



LEIGH
BARDUNG O
NEWIATY D
IX
DOMI

Leigh Bardugo

DZIEWIĄTY DOM

Przełożyła Małgorzata Strzelec

Wydawnictwo MAG
Warszawa 2020

Spis treści

Od autorki

Prolog. Początek wiosny

1. Zima

2. Zeszła jesień

3. Zima

4. Zeszła jesień

5. Zima

6. Zeszła jesień

7. Zima

8. Zima

9. Zima

10. Zeszła jesień

11. Zima

12. Zima

13. Zeszła jesień

14. Zima

15. Zima

16. Zima

17. Zima

18. Zeszła jesień

19. Zeszłe lato

20. Zima

21. Zima

22. Zima

23. Zima

24. Zima

25. Zima

26. Zima

27. Zima

28. Początek wiosny

29. Początek wiosny

30. Początek wiosny

31. Początek wiosny

32. Wiosna

Domy Zasłony

Podziękowania

O autorce

Plan – Uniwersytet Yale

Tytuł oryginału: *Ninth House*

Copyright © 2019 by Leigh Bardugo. All rights reserved
Copyright for the Polish translation © 2020 by Wydawnictwo MAG

Redakcja: Sylwia Sandowska-Dobija
Korekta: Magdalena Górnicka
Ilustracja na okładce: Dark Crayon
Zainspirowane oryginalnym projektem: Keith Hayes
Opracowanie graficzne okładki: Piotr Chyliński
Mapa: Rhys Davies i WB

ISBN 978-83-66712-81-2
Wydanie II

Wydawca: Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa
tel./fax 228 134 743
www.mag.com.pl

Wyłączny dystrybutor: Dressler Dublin sp. z o. o.
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
tel. 22 733 50 10
www.dressler.com.pl

Wersję elektroniczną wykonano w systemie Zecer firmy Elibri

Hedwig, Nimie, Em i Les – za wielokrotny ratunek

Od autorki

Stowarzyszenia na Uniwersytecie Yale i ich wybitni wychowankowie to rzecz jak najbardziej prawdziwa, ale postaci i wydarzenia opisane na tych stronach to owoc wyobraźni autorki i o ile mi wiadomo, nikt nigdy nie posłużył się magią, żeby ustawiać wyniki wyborów.

Ay una moza y una moza que nonse espanta de la muerte
porque tiene padre y madre y sus doge hermanos cazados.
Caza de tre tabacades y un cortijo enladriado.
En medio de aquel cortijo havia un mansanale
que da mansanas de amores en vierno y en verano.
Adientro de aquel cortijo siete grutas hay fraguada.
En cada gruta y gruta ay echado cadenado...
El huerco que fue ligero se entró por el cadenado.

La Moza y El Huerco

*Jest taka dziewczyna, która nie boi się śmierci
Bo ma ojca i matkę, i dwunastu braci myśliwych,
Dom z trzema piętrami i zagrodę,
A pośrodku farmy jabłoń, co rodzi jabłka miłosne zimą i latem.
Na farmie jest siedem pieczar,
A każda z nich zamknięta na kłódkę...
Śmierć była światłem i zakradła się przez dziurkę od klucza.*

*Śmierć i dziewczyna,
ballada sefardyjska*

Prolog

POCZĄTEK WIOSNY

Zanim Alex zdołała pozbyć się krwi ze swojego porządnego wełnianego płaszcza, zrobiło się za ciepło na jego noszenie. Wiosna nadeszła niechętnie; bladoniebieskim porankom nie udawało się nabrać intensywności, zamiast tego od razu przechodziły w wilgotne, posępne popołudnia, uporczywy mróz obrębiał drogę wysokimi, brudnymi bezami. Jednak gdzieś w połowie marca kawałki trawnika między kamiennymi ścieżkami Starego Kampusu zaczęły wynurzać się spod topniejącego śniegu wilgotne, czarne i pokryte kępkami zmierzwionej trawy, a Alex złapała się na tym, że tkwi na siedzisku w oknie w jednym z pokoiów ukrytych na ostatnim piętrze budynku nr 268 przy York Street i czyta Sugerowane wymagania dla kandydatów do Domu Lete.

Słyszała tykanie zegara na kominku oraz dźwięki dzwonka, gdy klienci wchodzili do sklepu odzieżowego na dole i z niego wychodzili. Tajne pokoje nad sklepem członkowie Lete nazywali czule Klitką, zaś w lokalu poniżej w różnych okresach mieścił się sklep obuwniczy, sklep ze sprzętem myśliwskim i turystycznym oraz czynny całodobowo minimarket Wawa z okienkiem Taco Bell. Pamiętniki członków Lete z tego okresu pełne są narzekania na smród odsmażanej fasoli i grillowanej cebuli przesiąkający z dołu – aż do 1995 roku, kiedy ktoś zaczarował Klitkę oraz tylną klatkę schodową prowadzącą do zaułka, żeby zawsze pachniały płynem do zmiękczenia tkanin i goździkami.

Alex odkryła broszurkę z zaleceniami dla Domu Lete w czasie tych mętnych tygodni po incydencie w rezydencji przy Orange Street. Od tamtego czasu tylko raz sprawdziła swoją pocztę na starym komputerze w Klitce – zobaczyła długi łańcuszek wiadomości od dziekana Sandowa i zaraz się wylogowała. Pozwoliła, żeby bateria w jej telefonie rozładowała się, ignorowała zajęcia i patrzyła, jak gałęzie wypuszczają pączki liści na knykciach niczym kobieta przymierzająca pierścionki. Wyjadła całe jedzenie ze spizarki i zamrażarki – najpierw

delikatesowe sery i wędzonego łososa, a potem puszki z fasolką i z brzoskwiniami w syropie z pudełek opisanych jako żelazne racje. Kiedy i one się skończyły, zaczęła gorączkowo zamawiać jedzenie na wynos, obciążając za wszystko wciąż aktywne konto Darlingtona. Zejście schodami i powrót były dla niej dostatecznie męczące, żeby musiała odpocząć, zanim rzucała się na lunch albo obiad. Czasem w ogóle nie zawracała sobie głowy jedzeniem i po prostu zasypiała na siedzisku w oknie albo na podłodze obok plastikowych toreb i zawiniętych w folię pojemniczków. Nikt nie przyszedł sprawdzić, co u niej. Nie został nikt, kto mógłby to zrobić.

Broszurkę wydrukowano tandetnie, spięto w skoroszybie z czarno-białym obrazkiem przedstawiającym Harkness Tower na okładce i napisem „Jesteśmy pasterzami” poniżej. Wątpiła, żeby założyciele Domu Lete mieli na myśli Johnny’ego Casha, gdy wybierali motto, ale za każdym razem, gdy widziała te słowa, myślała o okresie Bożego Narodzenia, gdy leżała na starym materacu u Lena w Van Nuys, pokój się kręcił, niedojedzona puszka sosu żurawinowego stała obok niej na podłodze, a Johny Cash śpiewał: „Jesteśmy pasterzami, przewędrowaliśmy przez góry. Zostawiliśmy nasze stada, gdy pojawiła się nowa gwiazda”. Myślała o Lenie, który obrócił się do niej, wsunął rękę pod jej koszulkę i zamruczał jej do ucha: „Do bani ci pasterze”.

Wytyczne dotyczące kandydatów do Domu Lete umieszczono pod koniec broszurki i ostatnim razem uaktualniano je w 1962 roku.

Wysokie osiągnięcia akademickie, w szczególności w historii i chemii.

Zdolności językowe i praktyczna znajomość łaciny i greki.

Dobre zdrowie fizyczne i higiena osobista. Mile widziane oznaki regularnej dbałości o sprawność fizyczną.

Widoczne przejawy statecznego charakteru i zamiłowanie do dyskrecji.

Zainteresowanie wiedzą tajemną nie jest dobrze widziane, ponieważ często stanowi wskaźnik skłonności do bycia „wyrzutkiem”.

Brak nadmiernej wrażliwości, gdy w grę wchodzi realia ludzkiej anatomii.

MORS VINCIT OMNIA.

Alex, której znajomość łaciny była dalece niezadowalająca, musiała sprawdzić znaczenie tej sentencji: „Śmierć wszystko zwycięża”. Jednak na

marginesie ktoś nabazgrał irrumat nad vincit, niemal całkowicie zamazując oryginalne słowo niebieskim długopisem.

Pod wymaganiami Lete widniał dopisek: „Wymogi wobec kandydatów obniżono w dwóch wypadkach: Lowella Scotta (licencjat z literatury angielskiej, 1909) i Sinclaira Bella Bravermana (bez dyplomu, 1950) z mieszanymi skutkami”.

Dopisano tam też drugą adnotację na marginesie, kanciastymi jak zapis EKG bazgrołami, niewątpliwie należącymi do Darlingtona: „Alex Stern”. Pomyślała o nasiąkającym krwią dywanie w starej rezydencji Andersona. Pomyślała o dziekanie, który pobiełał na widok wystającej mu z nogi kości udowej, i o smrodzie dzikich psów wypełniającym powietrze.

Alex odstawiła pojemnik z folii aluminiowej z zimnym falafelem z Mamoun's, otarła ręce o dres Domu Lete. Pokuśtykała do łazienki, otworzyła fiolkę z zolpidemem i włożyła jedną pigułkę pod język. Podsunęła złożoną dłoń pod kran i patrzyła, jak woda opływa jej palce, słuchała ponurego bulgotu dobiegającego z odpływu. „Wymogi wobec kandydatów obniżono w dwóch wypadkach”.

Po raz pierwszy od tygodni spojrzała, jak posiniaczona dziewczyna w obryzganym wodą lustrze podciąga podkoszulkę. Ropa poplamiała bawełnę na żółto. Rana w boku Alex była głęboką wklęsłością pokrytą zakrzepłą czernią. Ugryzienie zostawiło widoczny łuk, o którym wiedziała, że źle się zagoi, o ile w ogóle. Jej mapa się zmieniła, linia brzegowa się przekształciła. Mors irrumat omnia. Śmierć dyma nas wszystkich.

Alex delikatnie dotknęła rozpalonej czerwonej skóry wokół śladów zębów. Rana była zakażona. To ją trochę martwiło, umysł próbował obudzić jej instynkt samozachowawczy, ale myśl o sięgnięciu po telefon i pojechaniu do przychodni dla studentów – o sekwencji działań, jakie każde nowe działanie zapoczątkuje – była przytłaczająca, a przytępione ciepłe rwanie w ciele, które wzniecało w sobie pożar, stało się niemal kojące. Może dostanie gorączki i zacznie mieć zwidy.

Obrzuciła spojrzeniem łuk żeber. Niebieskie żyłki pod blednącymi siniakami przypominały zrzucone druty wysokiego napięcia. Jej usta wyglądały jak pokryte puchem z powodu spierzchniętej skóry. Pomyślała o swoim imieniu i nazwisku wypisanych na marginesie broszurki – trzeci przypadek.

– Skutki są zdecydowanie mieszane – powiedziała i zdziwiła się, jak zgrzytliwie brzmi jej własny głos.

Roześmiała się i odniosła wrażenie, że odpływ umywalki jej zawtórował. Może już miała gorączkę.

W silnym jarzeniowym świetle lamp łazienkowych złapała brzegi ugryzienia i wbiła palce w ranę, szczypiąc ciało przy szwach, aż ból okrył ją niczym peleryna i wyczekiwana ciemność gwałtownie napłynęła.

To była wiosna. Jednak kłopoty zaczęły się nocą w samym środku ciemnej zimy, kiedy Tara Hutchins umarła, a Alex wciąż myślała, że wszystko jej się upiecze.

Czaszka i Kości, najstarsze ze stowarzyszeń rezydencjalnych, pierwszy z ośmiu Domów Zasłony, założony w 1832 roku. Kościeje mogą szczycić się większą liczbą prezydentów, wydawców, magnatów przemysłowych i członków rządu niż jakiegokolwiek inne stowarzyszenie (pełna lista wychowanków znajduje się w Aneksie C) i być może słowo „szczycić się” jest tu najwłaściwsze. Kościeje są świadomi swoich wpływów i oczekują szacunku ze strony delegatów Lete. Powinni jednak pamiętać własne motto: „Bogaci i biedni – wszyscy są równi w obliczu śmierci”. Zachowujcie się powściągliwie i postępujcie dyplomatycznie, jak nakazuje wasz urząd i związek z Lete, ale zawsze pamiętajcie, że naszym obowiązkiem nie jest umacniać najlepszych i najbystrzejszych z Yale w ich próżności, ale stać między żywymi i umarłymi.

z Życie Lete: procedury i protokoły Dziewiątego Domu

Kościeje uważają się za tytanów pośród prostaczków i to może wnerwiać. Jednak kim jestem, żeby się czepiać, kiedy drinki są mocne, a dziewczęta śliczne?

Pamiętnik George’a Petita z czasów w Lete
(Saybrook College ’56)

1

ZIMA

Alex przemierzała pośpiesznie rozległą, nieziemską płaszczyznę Beinecke Plaza, jej buty łomotały na płaskich kwadratach czystego betonu. Gigantyczny sześcian ze zbiorem ksiąg rzadkich wydawał się szybować nad parterem. Za dnia jego panele jarzyły się bursztynowo jak wypolerowany złoty ul; bardziej przypominał świątynię niż bibliotekę. Nocą wyglądał po prostu jak grobowiec. Ta część kampusu nie pasowała do reszty Yale; brakowało tu szarego kamienia i gotyckich łuków, małych buntowniczych ostańców w postaci budynków z czerwonej cegły, które – jak wyjaśnił jej Darlington – nie były naprawdę kolonialne, a jedynie miały tak wyglądać. Wymienił powody, dla których Bibliotekę Beinecke zbudowano właśnie w taki sposób – budynek miał być zwierciadłem dla pozostałych budowli i dzięki temu wpasować się w architekturę kampusu, ale dla niej nadal wyglądał jak coś rodem z filmów fantastyczno-naukowych z lat siedemdziesiątych. Łapała się na tym, że studenci powinni tam nosić trykoty albo za krótkie tuniki, pić coś, co się nazywa Ekstraktem, i spożywać jedzenie w postaci pigułek. Nawet wielka metalowa rzeźba, która – jak teraz wiedziała – była dziełem Alexandra Caldera, przypominała jej ogromną lampę lawę w negatywie.

– To Calder – mruknęła pod nosem.

W taki sposób ludzie mówili tutaj o sztuce. Nic nie było tu czyimś dziełem. Ta rzeźba to jest Calder. Ten obraz to Rothko. Ten dom to Neutra.

A Alex była spóźniona. Zaczęła wieczór z najlepszymi intencjami. Postanowiła sobie wziąć się solidnie za esej na zajęcia ze współczesnej powieści brytyjskiej i wyjść odpowiednio wcześnie, żeby mieć mnóstwo czasu na dotarcie na wieszaczenie. Zasnęła jednak w jednej z czytelni w Bibliotece Sterlinga z egzemplarzem Nostromo w wiotkiej ręce i stopami opartymi o przewód grzewczy. O wpół do jedenastej obudziła się raptownie ze śliną ściekającą jej po

policzku. „Psiakrew”, które jej się wyrwało, poniosło się w ciszy biblioteki jak wystrzał ze strzelby. Schowała twarz w szaliku, zarzuciła torbę na ramię i chyłkiem uciekła.

Teraz szła na skróty przez Jadalnię i pod rotundą, gdzie głęboko wyżłobionymi w marmurze literami wypisano nazwiska poległych w wojnie. Czuwały tam kamienne posągi, personifikacje Pokoju, Poświęcenia, Pamięci i wreszcie Odwagi, która miała hełm, tarczę i niewiele więcej i zawsze kojarzyła się Alex bardziej ze striptizerką niż żałobnikiem. Alex zbiegła po schodach i przemknęła przez skrzyżowanie College Street i Grove Street.

Kampus miał skłonność do zmieniania twarzy z godziny na godzinę i wraz z kolejnymi przecznicami, przez co Alex wiecznie miała wrażenie, że widzi go po raz pierwszy. Tego wieczoru wyglądał jak lunatyk, który oddycha głęboko i spokojnie. Ludzie, których mijala po drodze do SSS, sprawiali wrażenie zamkniętych we śnie, patrzyli łagodnie, twarze mieli zwrócone ku sobie nawzajem wśród pary unoszącej się z kubków z kawą, trzymany w dłoniach w rękawiczkach. Ogarnęło ją upiorne wrażenie, że śnią o niej – o dziewczynie w ciemnym płaszczu, która zniknie, gdy oni się obudzą.

Sheffield-Sterling-Strathcona Hall też drzemał, sale wykładowe były szczelnie zamknięte, korytarze zalane energooszczędnym półświatłem. Alex weszła schodami na pierwsze piętro i usłyszała hałas niosący się echem z jednej z sal wykładowych. Yale Social wyświetlał tam w czwartkowe wieczory filmy. Mercy przyczepiła pinezki do ich drzwi w akademiku, ale Alex nie zwracała sobie głowy jego czytaniem. Była zajęta w czwartki.

Tripp Helmuth garbił się przy ścianie obok drzwi do sali wykładowej. Skinął do niej głową, patrząc spod ciężkich powiek. Nawet w słabym świetle widziała, że ma przekrwione oczy. Niewątpliwie palił, zanim przyszedł tu dziś wieczorem. Może dlatego starsi Kościeje postawili go przy drzwiach, żeby pilnował wejścia. A może zgłosił się na ochotnika.

– Spóźniłaś się – powiedział. – Już zaczęli.

Alex udała, że go nie słyszy. Obejrzała się przez ramię, żeby mieć pewność, że korytarz jest pusty. Nie musiała tłumaczyć się Trippowi, zresztą wyszłaby na słabeusza, gdyby spróbowała. Przycisnęła kciuk do ledwie widocznego nacięcia w boazerii. Ściana powinna otworzyć się gładko, ale jak zawsze się zacięła. Alex popchnęła ją mocno ramieniem i potknęła się, gdy przejście niespodziewanie się otworzyło.

– Spokojnie, kozaku – powiedział Tripp.

Alex zatrzasnęła za sobą drzwi i przepchnęła się wąskim przejściem w ciemności.

Niestety Tripp miał rację. Wieszczenie już się zaczęło. Alex weszła do dawnej sali operacyjnej najciszej, jak zdołała.

To była sala pozbawiona okien, wciśnięta między salę wykładową i salę lekcyjną, w której doktoranci spotykali się na seminariach. To była zapomniana pozostałość dawnej szkoły medycznej, której zajęcia odbywały się tutaj, w SSS, zanim przeniosła się do własnych budynków. Zarządcy fundacji, która założyła stowarzyszenie Czaszki i Kości, na stałe zamknęli wejście do sali i ukryli pod nową boazerią około 1932 roku. Wszystkie te fakty Alex poznała dzięki lekturze kompendium *Lete: Spuścizna*, chociaż pewnie powinna czytać w tym czasie *Nostromo*.

Nikt nawet nie zerknął w jej stronę. Wszyscy patrzyli na haruspika, jego szczupłą twarz była ukryta za maseczką chirurgiczną, bładoniebieski strój był zbryzgany krwią. Jego obleczone w lateksowe rękawiczki dłonie poruszały się metodycznie we wnętrznościach... pacjenta? Badanego obiektu? Ofiary? Alex nie bardzo wiedziała, jakim terminem określić mężczyznę na stole. Nie „ofiara”. „Ten człowiek powinien przeżyć” – pomyślała. Dopilnowanie tego to część jej zadania. Zadba, żeby przebrnął przez tę ciężką próbę i wrócił bezpiecznie na szpitalny oddział, z którego go zabrano. „A co będzie za rok? – zastanawiała się. – Za pięć lat?”.

Zerknęła na mężczyznę na stole. Michael Reyes. Czytała jego teczkę dwa tygodnie temu, kiedy wybrano go do rytuału. Płaty skóry na brzuchu rozchylono mu stalowymi klamrami i jego wnętrzności wyglądały jak rozkwitła, pulchna różowa orchidea, pluszowa i czerwona pośrodku. „Powiedzcie mi, że nie zostanie po tym ślad”. Musiała jednak martwić się o własną przyszłość. Reyes jakoś sobie poradzi.

Alex odwróciła wzrok, starała się oddychać przez nos, kiedy żołądek jej się burzył i ślina o miedzianym posmaku wypełniła jej usta. Widziała mnóstwo potwornych obrażeń, ale zawsze na martwych. Było coś znacznie gorszego w żywej ranie, ludzkim ciele trzymającym się życia jedynie za pomocą miarowego, metalicznego pikania monitora. Miała w kieszeni słodzony imbir na mdłości – jedna z rad od Darlingtona – ale nie mogła zmusić się, żeby go wyjąć i odwinąć z papierka.

Zamiast tego zawiesiła wzrok gdzieś w przestrzeni, podczas gdy haruspik wypowiadał serię cyfr i liter – symbole akcji i giełdowych kursów firm, które weszły na nowojorską giełdę pieniężną. Później tego wieczoru przejdzie do NASDAQ, Euronextu i rynków azjatyckich. Alex nie zawracała sobie głowy ich rozszyfrowywaniem. Polecenia, żeby kupować, sprzedawać lub zachować, podawano w nieprzeniknionym języku holenderskim, języku handlu, pierwszej giełdy papierów wartościowych, starego Nowego Jorku i w oficjalnym języku

Kościejów. Kiedy zakładano stowarzyszenie Czaszki i Kości, zbyt wielu studentów znało grekę i łacinę. Działalność stowarzyszenia wymagała czegoś trudniejszego do przeniknięcia.

– Wymowa w języku holenderskim jest trudniejsza – wyjaśnił jej wcześniej Darlington. – Poza tym Kościeje mają dzięki temu pretekst, żeby odwiedzać Amsterdam.

Oczywiście Darlington znał łacinę, grekę i holenderski. Mówił też po francusku, chińsku i względnie przyzwoicie znał portugalski. Alex właśnie zaczęła hiszpański na drugim poziomie. Spodziewała się, że dzięki lekcjom w podstawówce i miszmaszowi babcynych powiedzonek w ladino zajęcia okażą się proste do zaliczenia. Niestety nie wzięła pod uwagę takich rzeczy jak tryb łączący. Potrafiła jednak zapytać, czy Gloria miałaby ochotę pójść jutro wieczorem na dyskotekę.

Seria stłumionych strzałów dobiegła zza ściany, z sali, gdzie wyświetlano film. Haruspik podniósł wzrok znad oślizgłego, różowego chaosu jelita cienkiego Michaela Reyesa, nie kryjąc irytacji.

„Człowiek z blizną” – zdała sobie sprawę Alex, kiedy muzyka stała się głośniejsza i hałaśliwe głosy zagrzmiały chóralnie: „Chcecie sobie ze mną pogrywać? W porządku. Chcecie zabawić się ostro?”. Widownia skandowała dialogi, jakby to był *Rocky Horror*. Alex obejrzała *Człowieka z blizną* z setką razy. To był jeden z ulubionych filmów Lena. Był pod tym względem przewidywalny: lubił wszystko, co ostre – jakby zamówił sobie pocztą zestaw „Jak zostać gangsterem”. Kiedy spotkali w pobliżu deptaka w Venice Hellie o złotych włosach okalających spektakl jej niebieskich oczu, Alex natychmiast pomyślała o Michelle Pfeiffer w jej satynowej sukience. Brakowało jej tylko gładkiej kurtyny grzywki. Alex nie chciała jednak myśleć o Hellie tego wieczoru, kiedy w powietrzu unosił się smród krwi. Len i Hellie to jej dawne życie. Yale to nie miejsce dla nich. Z drugiej strony nie było to też miejsce dla Alex.

Mimo tych wspomnień Alex była wdzięczna za hałas, który zagłuszał mlaskanie i chlupot, kiedy haruspik grzebał w trzewiach Michaela Reyesa. Co on tam widział? Darlington twierdził, że wieszczenie nie różni się od czytania przyszłości z kart tarota albo garści zwierzęcych kości. Z pewnością jednak inaczej to wyglądało. I brzmiało o wiele konkretniej. „Tęsknisz za kimś. Znajdziesz szczęście w nowym roku”. Wróżbici mówili tego typu rzeczy – ogólnikowe, pocieszające.

Alex przyjrzała się Kościejom w szatach i kapturach, tłoczących się wokół ciała na stole. Jakiś studenciak wyznaczony na Skrybę zapisywał przewidywania, które zostaną przekazane zarządcom funduszy inwestycyjnych

i prywatnym inwestorom na całym świecie, żeby zapewnić Kościejom i wychowankom stowarzyszenia bezpieczeństwo finansowe. Byli prezydenci, dyplomaci, przynajmniej jeden dyrektor CIA – to wszystko byli Kościeje. Alex pomyślała o Tony'm Montanie, moczącym się w jacuzzi i perorującym: „Wiesz, co to jest kapitalizm?”. Alex zerknęła na rozciągnięte ciało Michaela Reyesa. „Tony, nie masz zielonego pojęcia” – pomyślała.

Wychwyciła jakiś ruch na ławkach nad salą operacyjną. Sala miała dwoje swoich własnych Szarych, którzy zawsze siedzieli na tych samych miejscach, kilka rzędów od siebie. Pacjentkę psychiatryczną, której usunięto jajniki i macicę w ramach hysterotomii w 1926 roku, za co miała otrzymać sześć dolarów, jeśli przeżyje, oraz studenta medycyny. Zamarzył na śmierć w palarni opium tysiące mil stąd około 1880 roku, ale siadywał na swoim dawnym miejscu w szkole i patrzył na to, co uchodziło za życie w tej sali. Wieszczenie odbywało się w sali operacyjnej tylko cztery razy w roku, z początkiem każdego kwartału fiskalnego, ale najwyraźniej jemu to wystarczało.

Darlington lubił mawiać, że zadawanie się z duchami jest jak jeżdżenie metrem: „Nie nawiązuj kontaktu wzrokowego. Nie uśmiechaj się. Nie interesuj się. Bo w przeciwnym wypadku nigdy nie wiadomo, co polezie za tobą do domu”. Łatwiej powiedzieć niż zrobić, kiedy jedyną inną rzeczą w sali, na którą można popatrzeć, jest mężczyzna bawiący się wnętrznościami drugiego człowieka, jakby to były tabliczki do madżonga.

Pamiętała wstrząs, jaki przeżył Darlington, kiedy zdał sobie sprawę, że nie dość, iż Alex widzi duchy bez pomocy żadnej mikstury czy zaklęcia, to jeszcze widzi je w kolorze. Był tym przedziwnie rozsierdzony. To jej sprawiło przyjemność.

– Jakiego rodzaju są te kolory? – zapytał, zdejmując nogi ze stolika kawowego, a jego ciężkie czarne buty zadudniły o parkiet w salonie Il Bastone.

– Po prostu kolory. Jak na polaroidzie. Dlaczego pytasz? Co ty widzisz?

– Są szarzy – warknął. – Dlatego nazywamy ich Szarymi.

Alex wzruszyła wtedy ramionami, wiedząc, że jej nonszalancja tylko jeszcze bardziej rozzłości Darlingtona.

– To nic takiego – powiedziała.

– Dla ciebie – mruknął i wyszedł, głośno tupiąc.

Resztę dnia spędził w sali treningowej, wypacając z siebie złość.

Alex była wtedy zadowolona z siebie, cieszyła się, że nie wszystko przychodzi Darlingtonowi z łatwością. Teraz jednak, gdy przesuwała się po obwodzie sali operacyjnej i sprawdzała drobne znaki kredą na każdym z kierunków róży wiatrów, czuła się roztrzęsiona i nieprzygotowana. Takich właśnie uczuć doznawała, odkąd postawiła pierwsze kroki w kampusie. Nie,

nawet wcześniej. Od chwili, kiedy dziekan Sandow usiadł obok jej szpitalnego łóżka, popukał w kajdanki na jej rękach żółtymi od nikotyny palcami i powiedział: „Mamy dla ciebie propozycję”. To jednak była stara Alex. Alex od Hellie i Lena. Alex z Yale nigdy nie nosiła kajdanek, nigdy nie wdała się w bójkę, nigdy nie zerznęła nieznanego w łazience, żeby zarobić na działkę dla swojego chłopaka. Alex z Yale z trudem sobie radziła, ale nie narzekała. Była dobrą dziewczyną, która stara się nadążyć.

„I nie udaje jej się” – pomyślała. Powinna była przyjść tu wcześniej i obserwować rysowanie znaków, przypilnować, żeby krąg był bezpieczny. Szarzy tak starzy, jak ci nad nią, błakający się po wznoszących się stopniowo ławkach, nie sprawiali zwykle kłopotów, nawet kiedy przyciągała ich krew. Wieszczenie jednak to potężna magia i zadaniem Alex było pilnowanie, żeby Kościeje trzymali się stosownych procedur i zachowywali ostrożność. Tyle że ona tylko udawała. Poprzedniej nocy zakuwała, próbując wyuczyć się na pamięć właściwych znaków oraz proporcji kredy, węgla i kości. Na miłość boską, zrobiła sobie nawet fiszki do nauki i zmusiła się do przeglądania ich w przerwach w zmaganiach z prozą Josepha Conrada.

Pomyślała, że znaki wyglądają w porządku, ale знаła się na symbolach ochronnych równie dobrze jak na współczesnej brytyjskiej powieści. Czy kiedy brała udział w jesiennym wieszczeniu z Darlingtonem, naprawdę uważała? Nie. Była zbyt zajęta ssaniem imbirowego cukierka, w głowie jej się kręciło z powodu dziwności całej sytuacji i modliła się, żeby nie narobić sobie wstydu i nie zwymiotować. Myślała, że będzie miała mnóstwo czasu na naukę, kiedy Darlington będzie zerkał jej przez ramię. Jednak oboje mylili się w tej sprawie.

– Voorhoofd! – zawołał haruspik i jeden z Kościejów śmignął do przodu. Melinda? Miranda? Alex nie pamiętała imienia rudzielca, wiedziała tylko, że należy do zespołu składającego się z samych dziewczyn i śpiewającego a cappella, który nazywał się Whim'n Rhythm. Dziewczyna otarła haruspikowi czoło białą ściereczką i zniknęła z powrotem w grupie.

Alex starała się nie patrzeć na mężczyznę na stole, ale i tak jej wzrok padł na jego twarz. Michael Reyes, lat czterdzieści osiem, zdiagnozowana schizofrenia paranoidalna. Czy Reyes będzie coś z tego pamiętał po przebudzeniu? Czy kiedy będzie próbował komuś o tym opowiedzieć, to zostanie po prostu uznany za wariata? Alex doskonale wiedziała, jak to jest. Równie dobrze to ona mogła wylądować na tym stole.

– Kościeje wybierają sobie tych najbardziej stukniętych – powiedział jej wcześniej Darlington. – Uważają, że to sprzyja lepszemu wieszczeniu.

Kiedy zapytała go dlaczego, odparł tylko:

– Im bardziej *victima* jest szalona, tym bliżej Boga stoi.

– To prawda?

– „Tylko poprzez tajemnicę i szaleństwo zostaje odsłonięta dusza” – zacytował Darlington, a potem wzruszył ramionami. – Stan ich kont najwyraźniej to potwierdza.

– I nam to nie przeszkadza? – zapytała go wtedy. – Że rozpruwa się ludzi, żeby Chauncey mógł odnowić sobie letni dom?

– Nigdy nie poznałem żadnego Chaunceya – odparł. – Ale nie tracę nadziei. – Potem zamilkł, stając w zbrojowni z poważną miną. – Nic tego nie powstrzyma. Zbyt wielu potężnych ludzi polega na tym, czego mogą dokonać stowarzyszenia. Przed pojawieniem się Lete nikt nad tym nie czuwał. Możesz więc albo wydawać z siebie daremne pobekiwanie protestu i stracić stypendium, albo możesz tu zostać, wykonywać swoje zadanie i działać jak najwięcej dobrego.

Nawet wtedy zastanawiała się, czy to nie jest tylko część prawdy, czy pragnienie Darlingtona, żeby dowiedzieć się dosłownie wszystkiego, wiązało go z Lete równie mocno jak poczucie obowiązku. Siedziała jednak cicho i zamierzała siedzieć cicho także teraz.

Michaela Reyesa znaleziono w jednym z łóżek szpitala uniwersyteckiego. Dla świata zewnętrznego wyglądał jak każdy inny pacjent: bezdomny z rodzaju tych, którzy krążą między oddziałami psychiatrycznymi, pogotowiami i więzieniami, raz będąc na lekach, innym razem nie. Miał brata w New Jersey, którego podał jako najbliższego krewnego i który wyraził zgodę na coś, co miało być rutynowym zabiegiem koniecznym z powodu zrostów jelita.

Reyesem zajmowała się wyłącznie jedna pielęgniarka, która nazywała się Jean Gatdula i która pracowała trzy noce z rzędu. Nawet nie mrugnęła okiem i nie podniosła rabanu, kiedy okazało się, że najwyraźniej doszło do pomyłki w grafiku i wpisano ją na dwie kolejne noce na oddziale. W tym tygodniu jej koledzy mogli zauważyć, że przychodziła do pracy z ogromniastą torebką. Znajdowało się w niej małe naczynie chłodzące, w którym nosiła posiłki dla Michaela Reyesa: serce gołębicy dla klarowności, korzeń geranium, potrawę z gorzkich ziół. Gatdula nie miała pojęcia, jak działało to jedzenie ani jaki los czekał Michaela Reyesa, tak samo jak nie wiedziała, co się dzieje z innymi „specjalnymi” pacjentami, którymi się zajmowała. Nie miała nawet pojęcia, dla kogo pracuje, wiedziała tylko, że raz w miesiącu otrzymuje bardzo potrzebny czek, równoważący długi hazardowe, jakich narobił jej mąż, grając w oczko w Foxwoods.

Alex nie była pewna, czy to jej wyobraźnia, czy naprawdę czuje zapach mielonej pietruszki z wnętrzości Reyesa, ale jej własny żołądek znowu szarpnął się ostrzegawczo. Desperacko potrzebowała świeżego powietrza i pociła się pod

warstwami ubrań. W sali operacyjnej było lodowato zimno, chłodzono ją osobnymi od reszty budynku przewodami wentylacyjnymi, ale ogromne przenośne lampy halogenowe, którymi oświetlano procedury, promieniowały ciepłem.

Rozległ się cichy jęk. Alex natychmiast spojrzała na Michaela Reyesa i straszliwy obraz rozbłysnął w jej myślach: Reyes budzi się i widzi siebie przywiązanego do stołu, otoczonego przez postaci w kapturach, i swoje wnętrzności wywleczone na wierzch. Jednak wciąż oczy miał zamknięte, a jego pierś miarowo podnosiła się i opadała. Jęk nadal rozbrzmiewał, teraz głośniej. Może komuś innemu zrobiło się niedobrze? Jednak żaden z Kościejów nie robił wrażenia roztrzęsionego. Ich twarze jaśniały jak pilne księżycy w półmroku sali, żaden nie oderwał oczu od poczynąń haruspika.

Jednak jęk narastał, cichy wiatr przybierał na sile, burzył się w sali i odbijał od pokrytych ciemnym drewnem ścian. „Nie nawiązuj kontaktu wzrokowego – przestrzegła samą siebie Alex. – Zerknij tylko, czy Szarzy...”. Ledwie zdławiła okrzyk zaskoczenia.

Szarzy opuścili swoje miejsca.

Pochylali się nad poręczą, która otaczała salę operacyjną, zaciskali palce na drewnie, wyciągali szyje, ich ciała wychylały się ku brzegowi kredowego kręgu, jakby byli zwierzętami, które usiłują napić się z krawędzi wodopoju.

„Nie patrz”. To był głos Darlingtona, który ją przestrzegał. „Nie przyglądaj się zbyt uważnie”. Szarym aż zbyt łatwo przychodziło stworzyć więź, przywiązać się do człowieka. A było to tym niebezpieczniejsze, że już znała historie tych Szarych. Byli tu od tak dawna, że kolejne pokolenia delegatów Lete udokumentowały ich przeszłość. Jednak ich imiona usunięto ze wszystkich dokumentów.

– Jeśli nie znasz imienia – wyjaśnił jej wcześniej Darlington – nie możesz go pomyśleć, a wtedy nie będzie cię kusić, żeby je wypowiedzieć.

Imię oznaczało swego rodzaju bliskość.

„Nie patrz!”. Niestety Darlingtona tu nie było.

Szara była naga, jej drobne piersi pomarszczyły się z zimna – tak to pewnie wyglądało w chwili jej śmierci. Uniosła rękę do otwartej rany na swoim brzuchu, dotknęła czule ciała jak kobieta, która nieśmiało daje do zrozumienia, że spodziewa się dziecka. Nie zaszyto jej. Chłopak – bo rzeczywiście był to ledwie chłopiec, chudy i o delikatnych rysach – nosił niechlujną marynarkę w kolorze butelkowej zieleni i poplamione spodnie. Szarzy zawsze wyglądali tak, jak prezentowali się w chwili śmierci. Było jednak coś obscenicznego w tym, jak stali obok siebie – jedno nagie, a drugie ubrane.

Wszystkie mięśnie w ciałach Szarych były napięte, oczy szeroko rozwarte, wargi rozdziawione. Czarne dziury ich ust były jaskiniami i stamtąd dobywało się ponure zawodzenie, nie całkiem podobne do jęku, lecz monotonne i nieludzkie. Alex pomyślała o gnieździe os, które pewnego lata znalazła w garażu pod mieszkaniem matki w Studio City, o bezmyślnym brzęczeniu owadów w ciemnym kącie.

Haruspik nadal recytował po holendersku. Pewien Kościej podsunął szklanekę do ust Skrybie, który nawet na chwilę nie przestał pisać. Zapach krwi, ziół i gówna wisiał gęstą chmurą w powietrzu.

Szarzy cał po calu wychylali się coraz mocniej, drżąc, z rozciągniętymi ustami, które teraz otwierały się za szeroko, jakby szczęki wypadły im z zawiasów. Cała sala wydawała się wibrować.

Jednak tylko Alex ich widziała.

To dlatego Dom Lete ją tu sprowadził, to dlatego dziekan Sandow niechętnie złożył swoją cudowną propozycję dziewczynie w kajdankach. Mimo to Alex rozejrzała się, mając nadzieję, że ktoś jeszcze zrozumie sytuację, zaproponuje pomoc.

Cofnęła się o krok z sercem bijącym szaleńczo w piersi. Szarzy byli zwykle potulni, roztargnieni, zwłaszcza tak starzy Szarzy. Przynajmniej Alex tak uważała. Czy to jedna z tych lekcji, do których Darlington nie doszedł?

Łamała sobie głowę, szukając paru inkantacji, których Darlington nauczył ją w zeszłym semestrze, zaklęć ochronnych. W razie konieczności mogła się posłużyć słowami śmierci. Czy zadziałałyby na Szarych w takim stanie? Powinna była wziąć trochę soli do kieszeni, karmelki dla odwrócenia ich uwagi, cokolwiek. „To podstawowe rzeczy – odezwał się w jej głowie Darlington. – Łatwe do opanowania”.

Drewno pod palcami Szarych zaczęło się wyginać i skrzypieć. Teraz ruda dziewczyna z zespołu a cappella podniosła wzrok, zastanawiając się, skąd się bierze skrzypienie.

Drewno popęka. Znaki musiano wykonać nieprawidłowo, krąg ochronny nie wytrzyma. Alex rozejrzała się na prawo i lewo, popatrzyła po bezużytecznych Kościejach w ich idiotycznych szatach. Gdyby Darlington tu był, zostałby i walczył, zapanowałby nad Szarymi i dopilnowałby, żeby Reyesowi nic się nie stało.

Halogeny pociemniały i pojaśniały.

– Wal się, Darlington – mruknęła pod nosem Alex, już odwracając się na pięcie, gotowa do ucieczki.

Bum!

Cała sala zadygotała. Alex się potknęła. Haruspik i pozostali Kościeje spojrzeli na nią z dezaprobatą.

Bum!

Odgłos czegoś dobijającego się z następnego świata. Czegoś wielkiego. Czegoś, czego nie należy przepuścić.

– Czy nasz Dante jest pijany? – mruknął haruspik.

Bum!

Alex otworzyła usta do krzyku, żeby powiedzieć im, że mają uciekać, zanim to, co powstrzymuje tamtą istotę, ustąpi.

Jęk ucichł nagle, całkowicie, jakby zakorkowano go w butelce. Monitor pikał. Światła szumiały.

Szarzy znajdowali się na swoich miejscach, ignorując się wzajemnie, ignorując Alex.

Alex czuła, że pod płaszczem całkiem przepocona bluzka lepi jej się do skóry. Czuła kwaśny zapach własnego strachu, odkładający się grubą warstwą na jej ciele. Halogeny nadal świeciły białym rozpalonym światłem. Sala pulsowała żarem jak mocno ukrwiony organ. Kościeje gapili się. W sąsiedniej sali leciały końcowe napisy.

Alex widziała miejsce, w którym Szarzy ściskali poręcz, białe drzazgi jak wąsy kukurydzy.

– Przepraszam – wybąkała.

Ugięła kolana i zwymiotowała na kamienną posadzkę.

Kiedy wreszcie Michaela Reyesa zaszyto, dochodziła prawie trzecia nad ranem. Haruspik i większość pozostałych Kościejów wyszła wiele godzin wcześniej, żeby zmyć pod prysznicem smród rytuału i przygotować się do przyjęcia, które przeciągnie się do późnych godzin rannych.

Haruspik mógł od razu wrócić do Nowego Jorku na siedzeniu z kremowej skóry w czarnej limuzynie albo zostać na przyjęciu i wybrać sobie do towarzystwa jakiegoś chętnego studenta, studentkę albo jedno i drugie. Powiedziano jej, że „obsługiwanie” haruspika uważa się za zaszczyt, i Alex uznała, że jeśli jest się dostatecznie pijanym albo nawalonym, to można tak to odbierać, ale dla niej ewidentnie wyglądało to jak sprzedawanie się facetowi, który płaci rachunki.

Rudzielec – Miranda, jak się okazało, „jak bohaterka Burzy” – pomogła Alex uprzątnąć wymiociny. Była naprawdę miła i Alex prawie było przykro, że

nie pamiętała jej imienia.

Reyesa wywieziono z budynku na noszach na kółkach, osłoniętego welonami uroków, przez co wyglądał jak sprzęt audiowizualny pod plastikową osłoną. To była najbardziej ryzykowna część całego wieczornego przedsięwzięcia, jeśli idzie o bezpieczeństwo Kościejów. Stowarzyszenie Czaszki i Kości znało się właściwie tylko na wieszczeniu, a członkowie Manuskryptu nie byli, rzecz jasna, zainteresowani dzieleniem się swoimi urokami z innym stowarzyszeniem. Magiczne więzy woali na Reyesie chwiały się przy każdym podskoku noszy, nosze to stawały się ostre, to się rozmywały, pikanie i pulsowanie sprzętu medycznego i respiratora nadal było słyszalne. Gdyby ktokolwiek zatrzymał się, żeby przyjrzeć się uważnie temu, co wieziono korytarzem, Kościeje mieliby poważne kłopoty. Chociaż Alex wątpiła, żeby było to coś, z czego nie zdołaliby się wykpić.

Powinna sprawdzić stan Reyesa, gdy już powróci na oddział, a potem jeszcze raz tydzień później, żeby mieć pewność, że wraca do zdrowia bez żadnych komplikacji. Zdarzały się już ofiary śmiertelne po wieszczeniu, ale tylko jedna, odkąd założono Lete w 1898 roku, żeby monitorowało poczynania innych stowarzyszeń. Grupa Kościejów zabiła niechcący włóczęgę w czasie pośpiesznie zaplanowanego awaryjnego czytania po załamaniu się rynku w 1929 roku. Zakazano wieszczenia na następne cztery lata i Kościejom groziła utrata wielgachnego grobowca z czerwonego kamienia przy High Street.

– To dlatego istniejemy – powiedział wtedy Darlington, kiedy Alex obracała stronicę w archiwach Lete, na których wypisano imiona wszystkich *victima* i daty wieszczeń. – Jesteśmy pasterzami.

Skrzywił się jednak, gdy Alex pokazała dopisek na marginesie informatora Lete: Spuścizna.

– NWMW?

– Nigdy więcej martwych włóczęgów – odpowiedział z westchnieniem.

Tyle jeśli idzie o szlachetną misję Domu Lete. Mimo to Alex nie mogła napawać się swoją wyższością tej nocy – nie wtedy, kiedy brakowało sekund, żeby porzuciła Michaela Reyesa i ratowała własny tyłek.

Alex zniosła długi ciąg żartów na temat jej zwymiotowanej kolacji składającej się z grillowanego kurczaka i Twizzlerów i została w sali operacyjnej. Chciała dopilnować, żeby ci z Kościejów, którzy też zostali, przestrzegali tego, co jak miała nadzieję, jest właściwą procedurą oczyszczania przestrzeni.

Obiecała sobie, że wróci tu, żeby posypać salę pyłem z kości. Przypomnienie śmierci to najlepszy sposób, żeby trzymać Szarych na dystans. To dlatego cmentarze są jednym z najmniej nawiedzanych miejsc na świecie. Pomyślała

o otwartych ustach duchów i straszliwym owadzi brzęczeniu. Coś próbowało się przebić do kredowego kręgu. Przynajmniej tak to wyglądało. Szarzy – czyli duchy – byli niegroźni. Przeważnie. Przybranie jakiegokolwiek formy w świecie śmiertelnych wymagało od nich wielkiego wysiłku. A przekroczenie ostatniej Zasłony, żeby przybrać postać fizyczną, zdolną do dotyku? Zdolną wyrządzić krzywdę? Owszem, to było wykonalne. Alex dobrze to wiedziała. Tyle że było to prawie niemożliwe.

Jednakże wieszczenie w tej sali operacyjnej przeprowadzano setki razy i nigdy nie słyszała o żadnych Szarych, którzy przybraliby namacalną formę albo zakłóciliby przebieg rytuału. Dlaczego dzisiaj ich zachowanie się zmieniło?

„O ile się zmieniło” – pomyślała.

Największym darem, jaki Dom Lete dał Alex, nie było zafundowanie studiów w Yale ani nowy początek, który wyczyścił jej przeszłość jak żrące chemikalia. To była wiedza, pewność, że rzeczy, które widziała, istnieją naprawdę i że zawsze tak było. Jednak za długo żyła, zastanawiając się, czy nie zwariowała, żeby teraz tego zaprzestać. Darlington by jej uwierzył. On zawsze jej wierzył. Niestety Darlington przepadł.

„Ale nie na zawsze – powiedziała sobie. – Za tydzień zacnie się nów i wtedy sprowadzą go z powrotem do domu”.

Alex dotknęła popękanej poręczy, zastanawiając się, jak opisać przebieg wieszczenia dla archiwów Domu Lete. Dziekan Sandow przeglądał wszystkie wpisy, a ona nie miała ochoty zwracać jego uwagi na cokolwiek nietypowego. Poza tym jeśli pominąć bezradnego człowieka, któremu przekładano wewnętrznosci, właściwie nie stało się nic złego.

Kiedy wyszła z przejścia na korytarz, Tripp Helmuth raptownie się wyprostował.

– Zaraz tam skończą? – spytał.

Alex skinęła głową i wzięła głęboki wdech względnie świeżego powietrza. Aż się rwała, żeby wyjść na zewnątrz.

– To dość makabryczne, co? – zapytał Tripp ze znaczącym uśmiechem. – Jeśli chcesz, mogę ci podsunąć parę rad, kiedy już zostaną przepisane. Trochę to przytępi ostrze studenckiej pożyczki.

– A co ty, kurwa, wiesz o studenckich pożyczkach?

Słowa wyrwały jej się z ust, zanim zdążyła się ugryźć w język. Darlington nie byłby zadowolony. Alex powinna pozostać uprzejma, chłodna, dyplomatyczna. Zresztą zachowała się jak hipokrytka. Dom Lete dopilnował, żeby skończyła studia bez wiszącej nad nią chmury długu – o ile przetrwa cztery lata egzaminów, pisania prac i takich nocy jak ta.

Tripp uniósł ręce, poddając się i śmiejąc nerwowo.

– Ej, tylko próbuję jakoś tu wyżyć.

Tripp należał do drużyny żeglarskiej, był w trzecim pokoleniu Kościejem, dżentelmenem i uczonym, czystej krwi golden retrieverem – głupkowskim, lśniącym i drogim. Był rozczochrany, miał różowe policzki jak zdrowy maluch, złociste włosy i skórę wciąż opaloną po pobycie na jakiejś tam wyspie, na której spędził zimowe ferie. Zachowywał się ze swobodą kogoś, u kogo wszystko zawsze było i będzie w porządku – chłopiec z tysiącem drugich szans.

– Wszystko gra? – zapytał ochoczo.

– Jasne – odpowiedziała, chociaż u niej nic nie grało. Nadal czuła wibracje brzękliwego jęku wypełniającego jej płuca, niosące się echem w czaszce. – Tam jest po prostu duszno.

– Prawda? – przytaknął Tripp, zawsze gotowy się zakumplować. – Może stanie tutaj przez całą noc nie jest takie najgorsze. – Nie robił jednak wrażenia przekonanego.

– Co ci się stało w rękę? – Alex zauważyła kawałek bandaża wystający spod wiatrówki Trippa.

Podciągnął rękaw, odsłaniając kawałek tłustego celofanu przyklejony do wewnętrznej strony przedramienia.

– Zrobiliśmy sobie dzisiaj z paroma chłopakami tatuaże.

Alex przyjrzała się uważniej. Paradujący dumnie buldog w niebieskiej literze „Y”. Samczy odpowiednik „przyjaciółek na całe życie!”.

– Ładny – skłamała.

– Ty masz jakieś obrazki? – Obrzucił zaspanym wzrokiem jej postać, próbując przeniknąć warstwy zimowych ubrań; w niczym nie różnił się od dupków kręcących się po Strefie Zero, muskających palcami jej obojczyki, bicepsy, wodzących palcami po rysujących się tam kształtach. „A co ten znaczy?”.

– Nie. To nie w moim stylu. – Alex owinęła szalikiem szyję. – Zajrzę jutro na oddział do Reyesa.

– Hę? A, racja. Świetnie. A gdzie właściwie podziewa się Darlington? Zawsze wtyka ci gównianą robotę?

Tripp tolerował Alex i starał się być dla niej miły, bo chciał, żeby każdy napotkany człowiek podrapał go po brzuchu, ale Darlingtona naprawdę lubił.

– Jest w Hiszpanii – odpowiedziała, bo tak jej kazano mówić.

– Milusio. Przekaż mu moje *buenos días*.

Gdyby Alex mogła cokolwiek powiedzieć Darlingtonowi, to powiedziałaby „wracaj”. Powiedziałaby to po angielsku i po hiszpańsku. Posłużyłaby się trybem rozkazującym.

– *Adiós* – powiedziała do Trippa. – Baw się dobrze na przyjęciu.

Kiedy już wyszła z budynku, zerwała rękawiczki i rozwinęła dwa lepkie cukierki z imbirem, żeby włożyć je do ust. Miała dość myślenia o Darlingtonie, ale zapach imbiru, pieczenie, jakie wywołał w tyle gardła, przywołały go z jeszcze większą wyrazistością. Widziała jego długie ciało wyciągnięte przed wielkim kamiennym kominkiem w Black Elm. Zdjął buty, żeby wysuszyć skarpetki na kominku. Leżał na plecach z zamkniętymi oczami, opierając głowę na skrzyżowanych rękach, machał palcami stóp w rytm muzyki unoszącej się w pomieszczeniu, czegoś z muzyki poważnej, czego Alex nie znała, melodii gęstej od waltorni, które zostawiały emfatyczne półksiężycy dźwięku w powietrzu.

Alex siedziała na podłodze obok niego, obejmując rękami kolana, z plecami przyciśniętymi do podstawy starej sofy. Próbowwała rozluźnić się i przestać gapić się na jego stopy. Wydawały się takie nagie. Darlington podwinął nogawki czarnych dżinsów, żeby nie moczyły mu skóry, i te smukłe, białe stopy z włoskami na palcach sprawiały, że Alex czuła się nieprzyzwoicie, jak zboczeniec w odcieniach sepii, którego doprowadza do szaleństwa przelotny widok kostek u nóg.

„Wal się, Darlington” – pomyślała. Ze złością włożyła z powrotem rękawiczki.

Przez chwilę stała jak sparaliżowana. Powinna wrócić do Domu Lete i napisać raport dla dziekana Sandowa do przejrzania, ale tak naprawdę to chciała paść na wąskie dolne łóżko w pokoju, który dzieliła z Mercy, i wycisnąć tyle snu, ile się da przed zajęciami. O tej porze nie musiałyby się tłumaczyć ciekawskim współlokatorom. Jeśli jednak prześpi się w siedzibie Lete, to Mercy i Lauren będą domagały się wyjaśnienia, gdzie i z kim spędziła noc.

Darlington zasugerował, żeby wymyśliła sobie chłopaka, który tłumaczyłby jej długie nieobecności i późne powroty.

– Jeśli to zrobię, to w pewnej chwili będę musiała stworzyć sobie istotę ludzką w kształcie chłopaka, która wpatrywałaby się we mnie z uwielbieniem – odpowiedziała sfrustrowana Alex. – Jak ty sobie radziłeś przez ostatnie trzy lata?

Darlington wzruszył ramionami.

– Moi współlokatorzy uznali, że jestem podrywaczem.

Gdyby Alex zdołała przewrócić oczami jeszcze bardziej, to zaczęłaby patrzeć do tyłu.

– Dobra, już dobra. Powiedziałam im, że gram w zespole z chłopakami z uniwerka stanowego i sporo ćwiczymy.

– A grasz w ogóle na jakimś instrumencie?

– Jasne.

Na wiolonczeli, kontrabasie, fortepianie i na czymś, co nazywało się ud.

Przy odrobinie szczęścia Mercy będzie spała jak suseł, kiedy Alex wróci do pokoju, będzie więc mogła zakraść się do środka, wziąć koszyczek z rzeczami pod prysznic i przemknąć niepostrzeżenie korytarzem. To będzie trudne. Zawsze, gdy majstruje się przy Zasłonie pomiędzy tym światem i następnym, pozostaje smród, który przypomina nieco elektryczne iskrzenie ozonu po burzy połączone ze zgnilizną dyni, która za długo stała na parapecie. Za pierwszym razem, kiedy popełniła błąd i wróciła do pokoju bez prysznic, musiała skłamać, że poślizgnęła się na śmieciach, żeby jakoś się wytłumaczyć. Mercy i Lauren śmiały się z niej tygodniami.

Alex pomyślała o brudnym prysznicu czekającym w akademiku... a potem o moczeniu się w starej wannie na nóżkach w nieskazitelnej łazience Il Bastone i o łóżku z baldachimem, które było tak wysokie, że musiała się na nie wdrapywać. Podobno Dom Lete miał kryjówki i azyle rozsiane po całym kampusie Yale, ale Alex zapoznano tylko z Klitką i Il Bastone. Klitka znajdowała się bliżej jej akademika i większości zajęć, ale to były po prostu sfatygowane, chociaż wygodne pokoje nad sklepem odzieżowym, zawsze pełne paczek chipsów i proteinowych batoników Darlingtona – miejsce, do którego można było zajrzeć na szybką drzemkę na niewygodnej kanapie. Il Bastone zaś to było coś specjalnego: dwupiętrowa rezydencja prawie milę od serca kampusu, która była główną siedzibą Domu Lete. Oculus będzie tam czekać tej nocy z zapalonymi lampami, tacą z herbatą, brandy i kanapkami. Taka była tradycja i nie miałyby znaczenia, gdyby Alex nie przyszła, żeby się rozkoszować tymi luksusami. Jednak ceną za te wszystkie zbytki było towarzystwo Oculus, a ona nie zniosłaby tej nocy milczenia i zaciśniętych zębów Dawes. Lepiej wrócić do akademika ze smrodem po dzisiejszej pracy.

Przeszła przez ulicę i potem pod rotundą. Trudno jej było nie oglądać się za siebie, gdy myślała o Szarych stojących przy krawędzi kręgu z szeroko rozwartymi ustami, z których czarnych czeluści dobywał się niski, owadzi odgłos. Co by się stało, gdyby poręcz pękła, gdyby kredowy krąg nie wytrzymał? Co ich sprowokowało? Czy znalazłaby siłę i wiedzę, żeby ich powstrzymać? *Pasa punto, pasa mundo.*

Alex ciaśniej owinęła się płaszczem, chowając twarz w szaliku; jej oddech zostawiał wilgoć na wełnie, gdy pośpiesznie mijała Bibliotekę Beinecke.

– Jeśli dasz się tam zamknąć w czasie pożaru, to wiesz, że cały tlen zostanie stamtąd wyssany – powiedziała jej kiedyś Lauren. – Żeby chronić książki.

Alex wiedziała, że to bujdy. Darlington jej to wyjaśnił. Znał całą prawdę na temat tego budynku, poznał wszystkie jego aspekty – wiedział, że został zbudowany zgodnie z platońskimi ideałami (budynek był świątynią), że

zastosowano te same proporcje, jakie stosowali niektórzy zecerzy, układając strony (budynek był książką), i że marmur pozyskano z Vermont (budynek był pomnikiem). Wejście stworzono tak, żeby mogła wejść tam na raz tylko jedna osoba, pokonując obrotowe drzwi jak suplikant. Przypomniała sobie, jak Darlington włożył białe rękawiczki, których należało używać w kontakcie z rzadkimi rękopisami, i położył z nabożeństwem długie palce na stronie. W taki sam sposób Len obchodził się z gotówką.

W Beinecke istniało pomieszczenie ukryte na... Nie mogła sobie przypomnieć, na którym piętrze. Nawet gdyby pamiętała, nie poszłaby tam. Nie miała dość odwagi, żeby zejść na patio, dotknąć palcami okna w tajnym kodzie i wejść w ciemność. To miejsce było drogie Darlingtonowi. Nie było miejsca bardziej magicznego. Nigdzie indziej na kampusie nie czułaby się bardziej oszustką niż właśnie tam.

Sięgnęła po telefon, żeby sprawdzić godzinę; miała nadzieję, że nie minęła jeszcze trzecia. Gdyby udało jej się umyć i pójść do łóżka przed czwartą, nadal miałyby szansę na trzy porządne godziny snu, zanim musiałyby znowu wstać i przejść przez kampus na hiszpański. To były rachunki, które przeprowadzała co wieczór, nieustannie. Ile czasu ma na wykonanie tej pracy? Ile czasu ma na odpoczynek? Jej obliczenia nigdy się nie sprawdzały. Ledwie sobie radziła, żyła na pożyczkach, wiecznie była w niedoczasy i ciągle towarzyszyła jej panika, deptała jej po piętach.

Alex spojrzała na jarzący się ekran i zaklęła. Był zalany wiadomościami. Wyłączyła dzwonek na czas wieszczenia i zapomniała go włączyć.

Wszystkie wiadomości przyszły od tej samej osoby: Oculusa, Pameli Dawes, doktorantki, która opiekowała się rezydencjami Lete i pełniła funkcję asystentki pomagającej delegatom w badaniach. „Pammie”, chociaż tylko Darlington ją tak nazywał.

„Zadzwoń”.

„Zadzwoń”.

„Zadzwoń”.

Wiadomości przychodziły dokładnie co piętnaście minut. Albo Dawes trzymała się jakiegoś protokołu, albo była jeszcze sztywniejsza, niż Alex myślała.

Zastanawiała się, czy nie zignorować wiadomości. Niestety to była czwartkowa noc, noc spotkań stowarzyszeń, a to znaczyło, że pewnie jakiś gnojek paskudnie narozrabiał. Z tego, co wiedziała, jacyś zmiennokształtni idioci z Wilczego Łba mogli zamienić się w stado bizonów i stratować studentów wychodzących z Branford College.

Stała za jedną z kolumn podtrzymujących sześcian Beinecke, żeby zasłoniła ją od wiatru, i wybrała numer.

Dawes odebrała po pierwszym dzwonku.

– Mówi Oculus.

– Odpowiada Dante – powiedziała Alex, czując się jak osioł.

Ona była Dantem. Darlington był Wergiliuszem. Tak działał Dom Lete i tak miało być, dopóki Alex nie dotrwa do ostatniego roku studiów i nie przyjmie tytułu Wergiliusza, żeby nauczać nowicjusza z pierwszego roku. Pokiwała głową i odwzajemniła uśmiezek Darlingtona, gdy wyjawiał jej ich kryptonimy, nazywając je „urzędami”. Udawała, że rozumie żart. Później to sprawdziła i odkryła, że Wergiliusz był przewodnikiem Dantego w piekle. Jak zwykle nie doceniła humoru typowego dla Domu Lete.

– Mamy ciało przy Payne Whitney – powiedziała Dawes. – Centurion jest na miejscu.

– Ciało – powtórzyła Alex, zastanawiając się, czy zmęczenie pozbawiło ją zdolności rozumienia prostej ludzkiej mowy.

– Tak.

– W sensie „martwe ciało”?

– T-tak. – Dawes ewidentnie siliła się na spokój, ale zatkało ją trochę, przez co pojedyncze słowo zabrzmiało tak, jakby właśnie dostała czkawki.

Alex przycisnęła plecy do kolumny, zimno z kamienia przenikało przez płaszcz. Przyptyw gniewnej adrenaliny był jak dźgnięcie nożem.

Pogrywasz sobie ze mną? O to chciała zapytać. Tak właśnie się czuła. Jakby ktoś sobie z nią pogrywał. Jak dziwadło, które mówi do siebie, które tak rozpaczliwie szuka przyjaciół, że zgodziła się na prośbę Sarah McKinney: „Możesz spotkać się ze mną pod Tres Muchachos po szkole? Może mogłabyś porozmawiać z moją babcią. Kiedyś chodziłyśmy tam bardzo często i strasznie za nią tęsknię”. Czuła się jak dzieciak, który stał samotnie pod najgorszą meksykańską knajpą w najbardziej zapyziałym centrum handlowym w Valley. Stała tam tak długo, aż musiała zadzwonić po mamę, żeby ją zabrała, bo nikt nie przyszedł. No jasne, że nikt nie przyszedł.

„To się dzieje naprawdę” – upomniała siebie w myślach. A o Pameli Dawes można powiedzieć wiele rzeczy, ale nie to, że jest dupkiem w rodzaju Sarah McKinney.

Co znaczyło, że ktoś nie żyje.

I co ona miała w związku z tym zrobić?

– Ehm, to był wypadek?

– Prawdopodobnie zabójstwo. – Dawes robiła wrażenie, jakby tylko czekała na to pytanie.

– W porządku – powiedziała Alex, bo nie miała pojęcia, co innego powiedzieć.

– W porządku – odpowiedziała z zakłopotaniem Dawes.

Wypowiedziała swoją najważniejszą kwestię i teraz była gotowa zejść ze sceny.

Alex rozłączyła się i stała w ponurej, wietrznej ciszy pustego placu. Zapomniała co najmniej połowę tego, czego próbował nauczyć ją Darlington, zanim zniknął, ale z całą pewnością nie omówił z nią reguł postępowania przy okazji morderstwa.

Nie miała pojęcia dlaczego. Skoro idziesz z kimś do piekła, to morderstwo wydaje się dobrym początkiem.

2

ZESZŁA JESIEŃ

Daniel Arlington szczyił się tym, że jest przygotowany na wszystko, ale gdyby miał wybrać frazę do opisanía Alex Stern, musiałyby powiedzieć, że to „niemiła niespodzianka”. Mógłby wymyślić mnóstwo innych określeń dla niej, ale żadne nie byłoby uprzejme, a Darlington zawsze starał się być uprzejmy. Gdyby został wychowany przez swoich rodziców – ojca dyletanta i wygadana, ale genialną matkę – może miałyby inne priorytety, ale wychował go jego dziadek, Daniel Tabor Arlington III, który wierzył, że większość problemów można rozwiązać za pomocą postarzonej w beczce szkockiej, mnóstwa lodu i nienagannyh manier.

Jego dziadek nigdy nie poznał Galaxy Stern.

Darlington odnalazł pokój Alex na parterze akademika w Vanderbilt Hall w upalny, beznadziejny dzień w pierwszym tygodniu września. Mógł poczekać, aż sama zgłosi się do domu przy Orange Street, ale kiedy on był na pierwszym roku, jego mentorka, niezrównana Michelle Alameddine, która była jego Wergiliuszem, powitała go w Yale i wśród tajemnic Domu Lete, przychodząc do jego akademika dla pierwszoroczników w Starym Kampusie. Darlington postanowił sobie, że zrobi wszystko jak należy, nawet jeśli wszystko, co wiązało się ze Stern, od początku źle się zapowiadało.

Nie wybrał sobie Galaxy Stern na swojego Dantego. Więcej – przez sam fakt swojego istnienia Galaxy Stern okradła go z czegoś, na co czekał przez całe trzy lata w Lete: z chwili, kiedy obdarzy kogoś nowego pracą, którą sam kochał, kiedy otworzy świat niezwykłości przed jakąś godną tego, chociaż niczego nie podejrzewającą duszą. Raptem kilka miesięcy temu rozpakował pudła z aplikacjami przyszłych studentów pierwszego roku i ułożył je w stosach w salonie w Black Elm. Z podniecenia kręciło mu się w głowie. Obiecał sobie przeczytać, a przynajmniej przejrzeć wszystkie ponad tysiąc osiemset teczek, zanim przedstawi swoje rekomendacje absolwentom Domu Lete. Zamierzał być

sprawiedliwy i skrupulatny, zachować otwarty umysł i ostatecznie wybrać dwudziestu kandydatów do roli Dantego. Potem Dom Lete zbadałby ich pochodzenie, sprawdził stan zdrowia, wychwycił ewentualne oznaki choroby psychicznej i kłopotów finansowych, aż wreszcie zostałyby podjęta ostateczna decyzja.

Darlington przygotował sobie plan, ile podań dziennie przejrzy, dzięki czemu rankami nadal mógłby pracować w posiadłości, a popołudniami w Muzeum Peabody'ego. I tego dnia w lipcu wyprzedzał plan – był przy podaniu nr 324: Mackenzie Hoffer, 800 punktów z angielskiego, 720 z matematyki, dziewięć kursów zaawansowanych na przedostatnim roku, blog na temat Tkaniny z Bayeux prowadzony po angielsku i po francusku. Była obiecującą kandydatką, dopóki nie doszedł do jej osobistego eseju, w którym porównywała się do Emily Dickinson. Darlington właśnie rzucił jej teczkę na kupę „nie”, kiedy dziekan Sandow zadzwonił, żeby powiedzieć, że poszukiwania się skończyły. Znaleźli kandydata. Wychowankowie Lete podjęli decyzję jednogłośnie.

Darlington chciał zaprotestować. Do diabła, chciał coś potłuc. Zamiast tego poprawił stos teczek przed sobą i zapytał:

– Kto to taki? Mam tu wszystkie teczki.

– Nie masz jej teczki. Nigdy nie złożyła podania. Nie skończyła nawet szkoły średniej. – Zanim Darlington zdołał wyrzucić z siebie słowa oburzenia, Sandow dodał: – Daniel, ona widzi Szarych.

Darlington zawahał się z ręką nadal na teczce Mackenzie Hoffer (dwa razy pracowała latem dla organizacji Habitat for Humanity). Nie chodziło tylko o to, że Sandow posłużył się jego imieniem, co rzadko robił. „Ona widzi Szarych”. Jedyne sposoby, żeby żywi widzieli umarłych, to napić się Orozcerio, niezmiernie złożonego eliksiru, którego stworzenie wymagało nadzwyczajnych umiejętności i skrupulatności. Sam tego próbował, gdy miał siedemnaście lat, zanim w ogóle usłyszał o Lete, kiedy jedynie żywił nadzieję, że na tym świecie istnieje coś więcej, niż pozwolono mu wierzyć. Jego wysiłki sprawiły, że wylądował na pogotowiu i krwawił z uszu i oczu przez dwa dni.

– Zdołała uwarzyć eliksir? – zapytał podekscytowany i (mógł się do tego przyznać) odrobinę zazdrosny.

Zapadło milczenie, które trwało dość długo, żeby Darlington wyłączył lampkę na biurku dziadka i wyszedł na tylną werandę Black Elm. Stąd widział domy na stoku łagodnie opadającym wzdłuż Edgewood w kierunku kampusu, a znacznie dalej wody zatoki Long Island Sound. Wszystkie ziemie aż po Central Avenue stanowiły kiedyś część posiadłości Black Elm, ale rozsprzedano je po kawałku, w miarę jak fortuna Arlingtonów topniała. Dom, różane ogrody,

pobojowisko zniszczonego labiryntu na skraju lasu – tylko tyle się ostało i tylko on pozostał, żeby zajmować się nimi, żeby je przystrzygać i hołubić, aż z powrotem ożyją. Zapadał właśnie powolny letni zmierzch, gęsty od komarów i błysków świetlików. Darlington widział znak zapytania białego ogona Cosmo, gdy kot szedł przez wysoką trawę, skradając się za jakimś małym stworzeniem.

– Bez eliksiru – powiedział Sandow. – Ona po prostu ich widzi.

– Rozumiem... – mruknął Darlington, patrząc, jak drozd dziobie coś bez przekonania u potrząskanej podstawy czegoś, co kiedyś było fontanną w kształcie obelisku.

Nie miał nic więcej do powiedzenia. Choć Dom Lete powstał, żeby monitorować działalność tajnych stowarzyszeń Yale, jego drugim zadaniem było rozwikłanie tajemnic tego, co leży poza Zasłoną. Od lat dokumentowali historie ludzi, którzy rzeczywiście widzieli zjawy. Niektóre historie były potwierdzone, inne okazywały się niewiele więcej niż plotką. Zatem jeśli zarząd znalazł dziewczynę, która potrafi coś takiego, i mógł sprawić, że będzie miała u nich dług wdzięczności... Cóż, to by było na tyle. Powinien się cieszyć, że ją pozna.

Miał ochotę się upić.

– Ja też nie jestem z tego powodu szczególnie uradowany – powiedział Sandow. – Wiesz jednak, w jakim znajdujemy się położeniu. To ważny rok dla Lete. Potrzebujemy, żeby wszyscy byli zadowoleni.

Dom Lete sprawował pieczę nad Domami Zasłony, ale jednocześnie zależał od nich finansowo. To był rok odnowienia umów finansowych, a stowarzyszenia od dawna działały bez żadnych incydentów, więc zaczęto szemrać i sugerować, że może nie trzeba sięgać do szkatuł i dalej utrzymywać Lete.

– Przyślę ci jej dane. Nie jest... Nie jest Dantem, na jakiego mogliśmy mieć nadzieję, ale staraj się zachować otwarty umysł.

– Oczywiście – odpowiedział Darlington, bo tak uczyniłby dżentelmen. – Tak właśnie zrobię.

Starął się to mówić szczerze. Starął się nawet po przeczytaniu jej teczki, nawet po obejrzeniu przeprowadzonej przez Sandowa rozmowy kwalifikacyjnej, nagranej w szpitalu w Van Nuys w Kalifornii, gdy usłyszał jej chrapliwy głos podobny do brzmienia popsutego instrumentu dętego. Znalaziono ją nagą i pogrążoną w śpiączce w miejscu zbrodni, obok dziewczyny, która miała mniej szczęścia niż ona i nie przeżyła działki fentanylu, który obie wzięły. Szczegóły tego wszystkiego były wstrętnejsze i smutniejsze, niż był w stanie ogarnąć. Starął się jej współczuć. Jego Dante, dziewczyna, którą obdarzy kluczami do tajemnego świata, była kryminalistką, narkomanką, wyrzutkiem i nie dbała o żadną z ważnych dla niego rzeczy. Mimo to się starał.

Jednak nic nie przygotowało go na szok spotkania jej we własnej osobie w nędznym wspólnym pokoju w Vanderbilt. Pokój był mały, ale wysoki, trzy okna wychodziły na dziedziniec w kształcie podkowy, a dwoje wąskich drzwi prowadziło do przyległych sypialni. W pomieszczeniu panował radosny chaos, towarzyszący wprowadzaniu się pierwszoroczników: kartony na podłodze, żadnych porządných mebli na widoku, za to rozchwierutana lampa i zdezelowany fotel z podnóżkiem zepchnięte pod od dawna niedziałający kominek. Muskularna blondynka w szortach do biegania – Lauren, jak się domyślał (najpewniej kurs przygotowujący do studiów medycznych, przyzwoite wyniki testów, kapitan drużyny hokeja na trawie w swoim prywatnym liceum w Filadelfii) – ustawiała stylizowany na starość adapter na siedzisku w oknie, a obok niego balansowała plastikowa skrzynka z płytami. Fotel pewnie też należał do niej, przywieziony w wozie do przeprowadzek z hrabstwa Bucks do New Haven. Anna Breen (Huntsville w stanie Teksas, stypendium STEM, przodownik chóru) siedziała na podłodze, próbując złożyć coś, co wyglądało jak regał na książki. To była dziewczyna, która nigdy tak naprawdę nie będzie tu pasować. Skończy w grupie śpiewającej a cappella albo mocno się zaangażuje w życie swojego kościoła. Z pewnością nie będzie imprezować ze współlokatorkami.

Potem pozostałe dwie dziewczyny wyszły z jednej z sypialni; z trudem dźwigały we dwie poobijane uniwersyteckie biurko.

– Musicie stawiać to tutaj? – zapytała ponuro Anna.

– Potrzebujemy więcej miejsca – odpowiedziała dziewczyna w letniej sukience w kwiaty; Darlington wiedział, że to Mercy Zhao (fortepian, 800 punktów z matematyki, 800 z czytania/pisania; nagrodzone eseje o Rabelais’ m i dziwne, ale frapujące porównanie fragmentu z *Wściekłości i wrzasku* z kawałkiem o gruszy w *Opowieściach kanterberyjskich*, które zwróciło uwagę wydziału języka angielskiego zarówno na uniwersytecie w Yale, jak i w Princeton).

A potem Galaxy Stern (bez świadectwa ukończenia szkoły średniej, bez żadnych osiągnięć wartych wspomnienia, poza tym, że przetrwała niedole swojego życia) wyszła z ciemnego zakątka sypialni ubrana w koszulę z długim rękawem i czarne dżinsy zupełnie nie pasujące do upału; trzymała w chudych rękach drugi koniec biurka. Na niskiej jakości nagraniu wideo Sandowa było widać gładkie, proste pasma jej czarnych włosów, ale film nie uchwycił surowej precyzji przedziałka pośrodku głowy, wychwycił pustkę w jej oczach, ale nie to, że są ciemne jak plama atramentu. Wyglądała na niedożywioną, jej obojczyki rysowały się mocno jak wykrzykniki pod materiałem koszuli. Była zbyt gładka,

ulizana, wydawała się niemal wilgotna, nie tyle jak ondyna, która wynurzyła się z fal, ile jak rusalka o zębach ostrych jak sztylety.

A może po prostu potrzebowała coś przekąsić i uciąć sobie długą drzemkę.

„W porządku, Stern, zaczynajmy”.

Darlington zapukał do drzwi, wszedł, posłał jej szeroki, promienny, przyjazny uśmiech, gdy stawiały biurko w kącie wspólnego pokoju.

– Alex! Twoja mama poprosiła, żebym sprawdził, co u ciebie. To ja, Darlington.

Przez chwilę robiła wrażenie całkowicie zagubionej, wręcz spanikowanej, a potem odwzajemniła jego uśmiech.

– Hej! Nie poznałam cię.

Dobrze. Potrafi się dostosować.

– Prosimy o zapoznanie – odezwała się Lauren, patrząc z zaciekawieniem, taksująco.

Wyjęła *A Day at the Races* Queenów ze skrzynki.

Darlington wyciągnął rękę.

– Jestem Darlington, kuzyn Alex.

– Ty też jesteś w JE? – spytała Lauren.

Darlington pamiętał to niezasłużone poczucie lojalności. Na początku roku wszyscy pierwszorocznicy zostawali przydzieleni do college'ów z internatami, gdzie będą spożywać większość swoich posiłków i gdzie ostatecznie będą spali, kiedy opuszczą Stary Kampus jako drugorocznicy. Będą kupować szaliki w kolorach swoich college'ów, uczyć się ich przyśpiewek i mott. Alex należała do Lete, tak samo jak Darlington, ale przydzielono ją do Jonathana Edwarda, college'u nazwanego na pamiątkę pastora od ognia i siarki.

– Jestem w Davenport – odpowiedział – ale nie mieszkam w kampusie.

Lubił mieszkać w Davenport College, lubił tamtejszą jadalnię, rozległy trawiasty dziedziniec. Nie odpowiadało mu jednak to, że posiadłość Black Elm stała wtedy pusta, a pieniądze, jakie oszczędzał na akademiku i stołówce, wystarczyły, żeby zeszłej wiosny usunąć zacieki w sali balowej. Poza tym Cosmo lubił towarzystwo.

– Masz samochód? – spytała Lauren.

Mercy się roześmiała.

– O Boże, nie wygłupiaj się.

Lauren wzruszyła ramionami.

– Jak inaczej dojedziemy do Ikei? Potrzebujemy sofy.

Będzie przywódczynią tej grupy; to ona będzie sugerować, na które imprezy się wybrać, i zaproponuje, żeby urządziły u nich w pokoju popijawę z okazji Halloween.

– Wybacz – odpowiedział z przepaszającym uśmiechem – ale nie mogę cię podwieźć. Przynajmniej nie dzisiaj. – Ani nigdy indziej. – I muszę na chwilę ukraść Alex.

Alex otarła ręce o dzinsy.

– Próbuje się zadomowić – odparła z wahaniem, wręcz z nadzieją.

Widział plamy potu pod jej pachami.

– Obiecałaś – powiedział, mrugając porozumiewawczo. – A wiesz, jak moja mama podchodzi do spraw rodzinnych.

Dostrzegł rozbłysk buntu w jej wilgotnych jak od oleju oczach, ale odpowiedziała tylko:

– Dobra.

– Możesz dać nam gotówkę na sofę? – spytała ją Lauren, wkładając szorstkim gestem płytę Queenów do skrzynki.

Darlington miał nadzieję, że to nie był oryginalny winyl.

– Jasne – odpowiedziała Alex. Odwróciła się do Darlingtona. – Ciotka Eileen powiedziała, że dorzuci się do nowej sofy, prawda?

Matka Darlingtona nazywała się Harper i wątpił, żeby choćby знаła słowo „Ikea”.

– Serio?

Alex skrzyżowała ręce.

– Aha.

Darlington wyjął portfel z tylnej kieszeni i wyciągnął trzysta dolarów. Podał je Alex, a ta podała je Lauren.

– Tylko pamiętaj, żeby wysłać jej kartkę z podziękowaniami – powiedział Darlington.

– Na pewno – zapewniła go Alex. – Wiem, że bardzo pilnuje takich rzeczy.

Kiedy szli przez trawniki Starego Kampusu, zostawiając za sobą wieże z czerwonej cegły i blanki Vanderbilt Hall, Darlington powiedział:

– Jesteś mi winna trzysta dolarów. Nie kupię ci nowej sofy.

– Stać cię – odparła chłodno Alex. – Domyślam się, że pochodzisz z dobrej części mojej rodziny, kuzynie.

– Potrzebowałaś przykrywki, żeby często się ze mną spotykać.

– Chrzanisz. Sprawdzałaś mnie.

– Moim zadaniem jest cię sprawdzać.

– Myślałam, że twoim zadaniem jest mnie uczyć. To nie to samo.

Przynajmniej nie była głupia.

– W porządku. Ale odwiedziny u ciotki Eileen mogą wytłumaczyć kilka zarwanych przez ciebie nocy.

– O jak bardzo zarwanych nocach mówimy?

Usłyszał niepokój w jej głosie. To ostrożność czy lenistwo?

– Ile powiedziała ci dziekan Sandow?

– Niewiele. – Odsunęła materiał koszuli od brzucha dla odrobiny ochłody.

– Dlaczego tak się ubrałaś?

Nie zamierzał pytać, ale robiła wrażenie, jakby się męczyła w zapiętej pod szyję czarnej koszuli bez kołnierzyka, z plamami potu rozlewającymi się pod pachami i jakby zupełnie tu nie pasowała. Dziewczyna, która potrafi tak gładko kłamać, powinna lepiej wyczuwać, jak ukryć się w tłumie.

Alex rzuciła mu tylko spojrzenie z ukosa.

– Jestem bardzo skromna.

Darlington nie wiedział, jak na to zareagować. Wskazał więc jeden z dwóch identycznych budynków po dwóch stronach ścieżki.

– To najstarszy budynek w kampusie.

– Nie wygląda na stary.

– Jest dobrze utrzymany. Chociaż niewiele brakowało, żeby przepadł. Ludzie myśleli, że psuje wygląd Starego Kampusu, i chcieli go wyburzyć.

– Dlaczego tego nie zrobili?

– Oficjalnie dzięki kampanii na rzecz jego zachowania, ale prawda jest taka, że Dom Lete odkrył, że jest nośny.

– Że co?

– W sensie duchowym. Stanowił część starego rytuału wiążącego, który miał chronić kampus. – Skręcili w prawo i poszli ścieżką, która doprowadzi ich do niby-średniowiecznej kraty w Phelps Gate. – Kiedyś cały college wyglądał w taki sposób. Małe budynki z czerwonej cegły. Kolonialne. Zupełnie jak Harvard. A potem po wojnie secesyjnej wzniesiono mury. Teraz większość kampusu wygląda podobnie: seria fortec otoczonych murami i bramami, z donżonem pośrodku.

Stary Kampus stanowił idealny przykład – rozległy kwadrat wysokich kamiennych akademików okalający zalany słońcem dziedziniec otwarty dla wszystkich – dopóki nie nadchodziła noc i nie zatrzaskiwano bram.

– Dlaczego? – spytała Alex.

– Żeby trzymać motłoch z dala. Żołnierze wrócili po wojnie do New Haven zdziczali, większość była nieżonata, wielu z nich zostało okaleczonych psychicznie po walkach. Nadeszła też fala imigrantów. Irlandczycy, Włosi, wyzwoleni niewolnicy, wszyscy szukali pracy w fabrykach. Yale nie chciało ich tutaj.

Alex się roześmiała.

– Coś cię bawi? – zapytał.

Obejrzała się na swój akademik.

– Mercy jest Chinką. Po sąsiedzku mieszka Nigeryjka. I jeszcze mój skundlony tyłek. I tak się tu dostaliśmy. Ostatecznie.

– Po długim, powolnym obłączeniu.

Słowo „skundlony” odebrał jak niebezpieczną przynętę. Spojrzał na jej czarne włosy, czarne oczy, oliwkowy odcień skóry. Mogłaby być Greczynką. Meksykanką. Białą.

– Matka Żydówka, nie wspomniano o ojcu, ale domyślam się, że jakiś był?

– Nigdy go nie poznałam.

Kryło się tu coś więcej, ale nie zamierzał naciskać.

– Wszyscy mamy białe plamy w życiorysach, których nie wypełniamy.

Doszli go Phelps Gate, wielkiego łuku, w którym niosło się echo. Brama prowadziła na College Street i z dala od względnego bezpieczeństwa Starego Kampusu. Darlington nie chciał odchodzić od tematu. Mieli za wiele spraw do omówienia, kawał drogi do przejścia.

– To błonia New Haven Green – powiedział, kiedy szli jedną z kamiennych ścieżek. – Kiedy kolonia została założona, tutaj wybudowano zbór. To miasto miało być nowym Edenem, założone między dwoma rzekami jak między Tygrysem i Eufratem.

Alex zmarszczyła brwi.

– Dlaczego stoi tu tak wiele kościołów?

Na błoniach stały trzy, dwa z nich niemal bliźniaczo podobne, oba w federalnym stylu, trzeci był perłą neogotyku.

– W tym mieście przypada praktycznie jeden kościół na kwartał. A przynajmniej tak było kiedyś. Niektóre z nich teraz się zamykają. Ludzie po prostu przestali do nich chodzić.

– A ty chodzisz? – spytała.

– A ty?

– Nie.

– Owszem, chodzę – odpowiedział. – To rodzinna tradycja.

Dostrzegł błysk wartościowania w jej oczach, ale nie czuł potrzeby, żeby się tłumaczyć. Kościół w niedzielę, praca w poniedziałek. Tak żyli Arlingtonowie. Kiedy Darlington skończył trzynaście lat i zaproteutował, że chętnie zaryzykuje Boży gniew, o ile będzie mógł dłużej pospać, dziadek złapał go za ucho i wywlekl z łóżka, chociaż miał już osiemdziesiąt lat.

– Nie obchodzi mnie, w co wierzysz – powiedział wtedy. – Robotnik wierzy w Boga i oczekuje tego samego od nas, więc ubierzesz tyłek, a potem posadzisz go w kościelnej ławce, bo inaczej osobiście ci go wygarbuję.

Darlington poszedł do kościoła. Dziadek zmarł, a on wciąż chodził do kościoła.

– Błonia to miejsce, gdzie wzniesiono pierwszy kościół w mieście i założono pierwszy cmentarz. To źródło ogromnej mocy.

– Co ty nie powiesz.

Darlington zdał sobie sprawę, że rozluźniła ramiona. Zmienił się jej krok. Nie robiła już wrażenia kogoś w każdej chwili gotowego do ataku.

Darlington próbował nie zdradzić się ze swoją nadgorliwością.

– Co widzisz?

Nie odpowiedziała.

– Wiem, co potrafisz. To żadna tajemnica – dodał.

Alex nadal patrzyła w dal bez mała znudzona.

– Tu jest pusto i tyle. Nigdy nie widzę ich zbyt wielu w okolicach cmentarzy i takich tam.

„I takich tam”. Darlington rozejrzał się, ale widział tylko to, co wszyscy inni: studentów, ludzi pracujących w sądzie albo w ciągu sklepów wzdłuż Chapel Street, rozkoszujących się słońcem podczas lunchu.

Wiedział, że ścieżki, które wydają się w przypadkowy sposób przecinać błonia, zostały wytyczone przez wolnomularzy, żeby uspokoić i powstrzymać umarłych, kiedy cmentarz przeniesiono stąd kilka przecznic dalej. Wiedział, że ich linie tworzące różę wiatrów – albo pentagram, zależy kogo zapytasz – są widoczne z góry. Wiedział, że miejsce, w którym Dąb Lincoln przewrócił się po huraganie Sandy, odsłaniając ludzki szkielet wplątany w jego korzenie, to jedno z wielu ciał, które nigdy nie zostały przeniesione na cmentarz przy Grove Street. Patrzył na miasto inaczej z powodu swojej wiedzy, a jego wiedza nie była zwyczajna. To był wyraz uwielbienia. Jednak żadna ilość miłości nie mogła sprawić, żeby zaczął widzieć Szarych. Nie bez Orozcerio, kolejnej działki ze Złotej Misy. Zadygotał. Za każdym razem to było ryzyko, kolejna okazja, żeby jego ciało powiedziało „dość”, żeby jedna z jego nerek po prostu przestała działać.

– To ma sens, że ich tu nie widzisz – powiedział. – Pewne rzeczy przyciągają ich na cmentarze, ale z zasady trzymają się od nich z dala.

Teraz wzbudził w niej zainteresowanie. W jej oczach zabłysło prawdziwe zaciekawienie, pierwsza wskazówka czegoś innego niż czujna rezerwa.

– Dlaczego?

– Szarzy kochają życie i wszystko to, co przypomina im bycie żywym. Sól, cukier, pot. Walka i seks, łzy i krew, ludzki dramat.

– Myślałam, że sól ich odstrasza.

Darlington uniósł brew.

– Widziałas to w telewizji?

– Poczulbyś się lepiej, gdybym powiedziała, że dowiedziałam się tego ze starodawnej księgi?

– Owszem.

– To masz pecha.

– Sól oczyszcza – powiedział, gdy przechodzili przez Temple Street – więc nadaje się do przepędzania demonów, chociaż ku mojemu wielkiemu rozczarowaniu nigdy osobiście nie miałem tego zaszczytu. Jednak gdy w grę wchodzi Szarzy, zrobienie kręgu z soli jest odpowiednikiem zostawienia sarnie soli do lizania.

– To co ich odstrasza?

Przez jej słowa przebijało żywe pragnienie. Czyli to było coś, co ją ciekawiło.

– Pył z kości. Ziemia cmentarna. Pozostałości popiołu z krematorium. *Memento mori*. – Zerknął na nią. – Znasz cokolwiek łacinę?

Pokręciła głową. Rzecz jasna.

– Nie cierpią tego, co przypomina o śmierci. Jeśli chcesz mieć pokój wolny od Szarych, powieś tam reprodukcję Holbeina.

Żartował, ale widział, że ona przetrawia jego słowa, zapamiętuje sobie nazwisko artysty. Darlington poczuł bolesne ukłucie wyrzutów sumienia, bo sprawiło mu to pewną przyjemność. Był tak zajęty zazdrośczeniem dziewczynie jej zdolności, że nie zastanowił się nawet, jak to musi być, kiedy nigdy nie możesz zamknąć drzwi przed umarłymi.

– Mogę przygotować magiczne osłony do twojego pokoju – powiedział w ramach pokuty. – Dla całego akademika, jeśli chcesz.

– Naprawdę?

– Pewnie. I mogę ci pokazać, jak samemu je robić.

– Opowiedz mi resztę – poprosiła Alex.

Z dala od mrocznej jaskini akademika pot odłożył się gładką, połyskliwą warstwą na jej nosie i czole, zbierał się w zagłębieniu nad górną wargą. Przepoci koszulę, a Darlington zorientował się po sposobie, w jaki sztywno trzymała ręce po bokach, że czuje się z tego powodu skrępowana.

– Czytałaś *Życie Lete*?

– Tak.

– Naprawdę?

– Przekartkowałam.

– Przeczytaj – powiedział. – Przygotowałem ci listę innych materiałów, które pomogą ci nadrobić braki. To w większości historia New Haven i zebrana przez nas historia stowarzyszeń.

Alex zdecydowanie pokręciła głową.

– Chciałam, żebyś powiedział mi, po co tu jestem... z tobą.

Trudno było odpowiedzieć na to pytanie. Bez powodu. Z tysiąca powodów. Dom Lete miał być darem, ale czy mógł być darem dla niej? Za dużo by mówić.

Opuścili błonia i zauważył, że powróciło napięcie w jej ramionach, chociaż on nadal nie widział niczego, co uzasadniałoby taką reakcję. Minęli sznur banków przy Elm Street, wznoszących się nad małym czerwonym sklepikiem z dywanami – Kebabian's – który jakimś cudem wspaniale prosperował w New Haven od ponad stu lat, i skręcili w Orange Street. Znajdowali się teraz kilka przecznic od właściwego kampusu, ale miał wrażenie, że dzielą ich mile. Zniknęła krzątanina studenckiego życia, jakby wejście do miasta było niczym upadek z urwiska. Ulice stanowiły mieszaninę nowego i starego: nieco sfatygowane kamienice, puste parkingi, starannie odnowiona sala koncertowa, ogromniasty wieżowiec urzędu mieszkalnictwa.

– Dlaczego tutaj? – zapytała Alex, kiedy Darlington nie odpowiedział na poprzednie pytanie. – Co takiego jest w tym miejscu, że tak ich przyciąga?

Krótką odpowiedź brzmiała: „A kto wie?”, Darlington jednak wątpił, żeby ukazała jego i Lete w najlepszym świetle.

– Na początku XIX wieku magia przenosiła się ze starego świata do nowego, porzucając Europę wraz z tymi, którzy ją praktykowali. Potrzebowali miejsca, gdzie mogliby przechowywać wiedzę i prowadzić swoje praktyki. Nikt nie jest pewien, dlaczego New Haven się sprawdziło. Próbowano także w innych miejscach. – Darlington powiedział to z pewną dumą. – W Cambridge. W Princeton. To w New Haven magia przyjęła się, utrzymała i zakorzeniła. Niektórzy uważają, że Zasłona jest tu cieńsza, łatwiejsza do przebicia. Rozumiesz więc, dlaczego Lete cieszy się, mając cię u siebie. – A przynajmniej niektórzy z Lete. – Może zdołasz przedstawić nam parę odpowiedzi. Można tu spotkać Szarych, którzy istnieją znacznie dłużej niż uniwersytet.

– I ci ludzie uprawiający magię uznali za rozsądne uczyć jej bandę dzieciaków z college'u?

– Kontakt z upiornością ma swoją cenę. Im ktoś jest starszy, tym trudniej mu przetrwać ten kontakt. Dlatego co roku stowarzyszenia uzupełniają zasoby świeżą krwią, nowymi delegatami. Magia jest całkiem dosłownie ginącą sztuką, a New Haven to jedno z nielicznych miejsc na świecie, gdzie wciąż można przywrócić ją do życia.

Galaxy Stern nic nie powiedziała. Przestraszyła się? Dobrze. Może wtedy rzeczywiście przeczyta książki, które dla niej wybrał, zamiast tylko je kartkować.

– W tej chwili w Yale istnieje ponad sto stowarzyszeń, ale większością nie zwracamy sobie głowy. Zbierają się przy kolacjach, opowiadają o swoim życiu,

odwalają trochę prac społecznych. To Starożytna Ósemka się liczy. Stowarzyszenia rezydencjalne. Domy Zasłony. Te stowarzyszenia, które nieprzerwanie utrzymują swoje grobowce.

– Grobowce?

– Założę się, że niektóre z nich już widziałeś. Kluby, które wyglądają jak mauzolea.

– Dlaczego nie przejmujemy się innymi stowarzyszeniami?

– Interesuje nas moc, a ona wiąże się z konkretnym miejscem. Każdy z Domów Zasłony wyrósł wokół jednej z gałęzi nauk tajemnych i poświęcił się jej badaniu, każdy wybudował swój grobowiec w węźle mocy. Wszystkie poza Berzeliumem, ale nikt nie przejmuje się Berzeliumem.

Stowarzyszenie Berzeliusa powstało jako bezpośrednia reakcja na rosnącą obecność magii w New Haven. Jego członkowie twierdzili, że inne Domy to szarlatani i przesądni dyletanci, i poświęcili się inwestowaniu w nową technikę i filozofię, zgodnie z którą jedyną prawdziwą magią jest nauka. Zdołali przetrwać krach na giełdzie w 1929 roku bez pomocy wieszczona i chwiejnym krokiem dobrnęli do 1987, kiedy zostali zmieceni z powierzchni ziemi. Okazało się, że jedyną prawdziwą magią jest magia.

– Te... węzły – powtórzyła Alex. – Są na całym terenie kampusu?

– Pomyśl o magii jak o rzece. Węzły to miejsca, w których pojawiają się wiry na rzece, a to pozwala stowarzyszeniom przeprowadzać udane rytuały. Wykryliśmy ich dwanaście w mieście. Grobowce wybudowano w ośmiu z nich. Pozostałe znajdują się tam, gdzie już istnieją budynki, takie jak dworzec kolejowy, albo gdzie nie da się niczego wybudować. Parę stowarzyszeń straciło z czasem grobowce. Mogą studiować magię, ile zechcą. Gdy raz połączenie zostanie zerwane, niczego nie zdołają dokonać.

– I mówisz mi, że to się dzieje od ponad stu lat i nikt jeszcze się nie zorientował?

– Starożytna Ósemka wydała najpotężniejszych ludzi na świecie. Ludzi, którzy dosłownie sterują rządami, bogactwem narodów, którzy wykuwają kształt kultury. Kierują wszystkim, od Organizacji Narodów Zjednoczonych po Kongres, „New York Times” i Bank Światowy. Ustawili niemal wszystkie mistrzostwa baseballu, sześć mistrzostw futbolu amerykańskiego, Oscary i przynajmniej jedno wybory prezydenckie. Setki stron internetowych jest poświęconych rozwikływaniu ich związków z wolnomularzami, zakonem iluminatów, Grupą Bilderberg i tak dalej.

– Może gdyby spotkali się w Denny’s zamiast w ogromnych mauzoleach, to nie musieliby się tym martwić.

Dotarli do Il Bastone, siedziby Lete, dwupiętrowego budynku z czerwonej cegły i witraży, wybudowanego przez Johna Andersona w 1882 roku za skandaliczną sumę i porzuconego już rok później. Anderson twierdził, że wypędziły go wysokie podatki w mieście. Zapiski Lete inaczej przedstawiają tę historię – opowiadają o jego ojcu i duchu martwej dziewczyny od cygar. Il Bastone nie było tak rozległym domostwem jak Black Elm. To był miejski dom, okolony z obu stron innymi nieruchomościami, wysoki, ale powściągliwy w swoim rozmachu.

– Oni się nie martwią – odpowiedział Darlington. – Cieszą się z wszelkich teorii spiskowych i wariatów noszących czapki z folii aluminiowej.

– Bo lubią budzić zainteresowanie?

– Bo tak naprawdę pozwalają sobie na dużo gorsze rzeczy. – Darlington otworzył bramę z czarnego kutego żelaza i zobaczył, że weranda domu wyprostowała się nieco, jakby wyczekująco. – Panie przodem.

Kiedy tylko brama się zamknęła, otoczyła ich ciemność. Gdzieś spod domu rozległo się przenikliwe i głodne wycie. Galaxy Stern zapytała, po co się tu znalazła. Nadszedł czas, żeby jej pokazać.

3

ZIMA

Kto umiera na siłowni? Po rozmowie telefonicznej z Dawes, Alex wróciła przez plac. Była w ośrodku sportowym Payne Whitney dokładnie raz – kiedy dała się zaciągnąć Mercy na zajęcia z salsy, gdzie biała dziewczyna upchnięta w obcisłe czarne spodnie kazała jej obracać się, obracać i obracać.

Darlington zachęcał ją do korzystania z darmowej siłowni i „poprawienia kondycji”.

– Po co? – zapytała go wtedy Alex.

– Żeby się rozwijać.

Tylko Darlington mógł powiedzieć coś takiego z poważną miną. Z drugiej strony on sam co rano przebiegał sześć mil i gdziekolwiek wchodził, otaczała go aura fizycznej doskonałości. Za każdym razem, gdy pojawiał się w Vanderbilt, wydawało się, że przez całe piętro przebiegł prąd. Lauren, Mercy i nawet milcząca, pochmurna Anna siadały nieco prościej, w ich oczach pojawiał się nowy blask i ogarniała je pewna nerwowość, jakby były zadbanymi wiewiórkami. Alex chciałaby być na to odporna: na jego ładną twarz, szczupłą sylwetkę, łatwość, z jaką zajmował przestrzeń, jakby do niego należała. Miał zwyczaj bezwiednie odgarniać włosy z czoła w sposób, który sprawiał, że chciało się to zrobić za niego. Jednak powab Darlingtona został zrównoważony przez zdrowy strach, który w niej budził. Ostatecznie był bogatym chłopakiem w eleganckim płaszczu, który mógłby wywrócić jej łódkę do góry dnem, nawet nie mając takiego zamiaru.

Tamtego pierwszego dnia w rezydencji przy Orange poszczuła ją szakalami. Szakalami! Zagwizdał przenikliwie, a one wyskoczyły z krzaków wokół domu, warcząc i szczekając. Alex wrzasnęła. Zaplątała się o własne nogi, gdy odwróciła się do ucieczki, przewróciła się na trawę i prawie nadziała na niski płotek z kutego żelaza. Jednak bardzo wcześnie nauczyła się przy Lenie

obserwować osobę, która dowodzi. To się zmieniało w poszczególnych pokojach, domach, przy kolejnych transakcjach, ale zawsze warto było wiedzieć, kto tam podejmuje ważne decyzje. Tu to był Darlington. A Darlington nie robił wrażenia przestraszonego. Wyglądał na zaciekawionego.

Szakale podchodziły do niej, śliniły się, szczyrzyły kły, wyginały grzbiety.

Wyglądały jak lisy. Wyglądały jak kojoty, które biegały po Hollywood Hills. Wyglądały jak ogary.

„Jesteśmy pasterzami”.

– Darlington – powiedziała, zmuszając się do odzyskania spokoju. – Zawołaj do siebie te pieprzone kundle.

Wypowiedział serię słów, których nie zrozumiała, i stworzenia wycofały się w krzaki. Cała ich agresja zniknęła, podskakiwały i pogryzały się wzajemnie po łapach. Darlington miał czelność uśmiechnąć się, kiedy podał jej elegancką dłoń. Dziewczyna z Van Nuys, która wciąż w niej żyła, chciała odepchnąć tę rękę, wbić mu palce w tchawicę i sprawić, że chłopak pożałuje. Zmusiła się jednak do złapania jego ręki, żeby pomógł jej wstać. To był początek bardzo długiego dnia.

Kiedy Alex w końcu wróciła do akademika, Lauren czekała całe sześćdziesiąt sekund, zanim wyskoczyła z pytaniem:

– No dobrze, czy ten twój kuzyn ma dziewczynę?

Siedziały wokół nowego stolika, próbując wyregulować małe plastikowe śrubki, tak żeby przestał się kołysać. Anna gdzieś zniknęła, a Lauren zamówiła pizzę. Okno było otwarte, wpuszczało słabe początki wiatorku wraz z zapadającym zmierzchem i Alex poczuła się tak, jakby obserwowała samą siebie z dziedzińca – szczęśliwą dziewczynę, zwyczajną dziewczynę, otoczoną przez ludzi, którzy mieli przyszłość i zakładali, że ona także ją ma. Chciała chwycić się tego uczucia, zachować je dla siebie.

– Wiesz... nie mam pojęcia.

Była tak przytłoczona tym wszystkim, że nawet nie miała okazji zainteresować się czymś takim.

– Pachnie kasą – powiedziała Mercy.

Lauren rzuciła w nią kluczem do sześciokątnych wkrętów.

– To w złym guście.

– Nie zaczynaj umawiać się z moim kuzynem – powiedziała Alex, bo takie rzeczy mówiły te dziewczyny. – Nie potrzebuję takich komplikacji.

Tej nocy, kiedy wiatr szarpał jej płaszczem, próbując dostać się pod niego, Alex pomyślała o tamtej dziewczynie oświetlonej złotym światłem i siedzącej w świętym kręgu. To była ostatnia chwila spokoju, jaką pamiętała. Było to raptem pięć miesięcy temu, ale Alex odnosiła wrażenie, że upłynęło znacznie więcej czasu.

Skreśliła w lewo, w cień białych kolumn, które biegły wzdłuż południowej ściany rozległej stołówki, którą wszyscy nadal nazywali Jadalnią, chociaż teraz oficjalnie to było Schwarzman Center. Schwarzman był Kościejem, rocznik 1969, i prowadził znany z sukcesów prywatny fundusz akcyjny Blackstone Group. Centrum było efektem datku wielkości stu pięćdziesięciu milionów dolarów dla uniwersytetu, prezentu i swoistych przeprosin za zabłąkaną magię, która wyrwała się w czasie niesankcjonowanego rytuału i spowodowała dziwaczne zachowanie oraz napady drgawek u połowy członków orkiestry dętej Yale podczas meczu futbolowego z Dartmouth.

Alex pomyślała o Szarych na sali operacyjnej, o ich rozwartych ustach. To było rutynowe wieszczenie. Nic nie powinno potoczyć się niewłaściwie, ale zdecydowanie stało się coś dziwnego, nawet jeśli tylko ona o tym wiedziała. A teraz miała stawić czoło morderstwu? Wiedziała, że Darlington i Dawes zwracali uwagę na wszelkie zabójstwa w rejonie New Haven i sprawdzali, czy nie śmierdzą magią, żeby mieć pewność, iż żadnego stowarzyszenia nie poniósł entuzjazm i żadne nie przekroczyło granic swoich rytuałów.

Szarzy tworzyli przed nią cienki kleik, który poruszał się na dachu szkoły prawniczej, rozlewał się i kłębił jak mleko dolane do kawy. Przyciągał ich kierat strachu i ambicji. Na prawo od niej wznosił się wyniosły biały grobowiec Księgi i Węża; ze wszystkich budynków stowarzyszeń ten najbardziej przypominał mauzoleum.

– Grecki fronton, jońskie kolumny. Rzecz bez polotu – powiedział jej wcześniej Darlington. Swój podziw zachował dla mauretańskich azurów i ornamentów Zwoju i Klucza, surowych linii Manuskryptu. Jednak to zawsze ogrodzenie wokół siedziby Księgi i Węża – czarne żelazo pełne węży – przyciągało spojrzenie Alex. – To symbol Merkurego, boga handlu – wyjaśnił jej Darlington.

Boga złodziei. Nawet Alex to wiedziała. Merkury był posłańcem.

Dalej przed nią leżał cmentarz przy Grove Street. Spostrzegła grupkę Szarych zebranych przy grobie blisko wejścia. Pewnie ktoś zostawił ciastka dla zmarłego krewnego albo jakiś fan położył coś z cukrem dla pochowanego tam artysty lub architekta. Jednak reszta cmentarza, jak wszystkie cmentarze nocą, była pusta, jeśli idzie o duchy. Za dnia Szarzy przywoływała sól we łzach i pachnące kwiaty żałobników, podarunki od żywych pozostawione dla umarłych. Dowiedziała się, że Szarzy kochają wszystko, co przypomina im o życiu. Rozlane piwo i hałaśliwy śmiech imprez urządzanych przez bractwa; biblioteki w okresie egzaminów gęste od napięcia, kawy i otwartych puszek ze słodką jak ulepek colą; naelektryzowane plotkami akademiki z dyszącymi parami, minilodówkami wypchanymi jedzeniem, które się zepsuje, studentami

rzucającymi się w nocy z powodu snów pełnych seksu i zgrozy. „Tam właśnie powinnam być – pomyślała Alex – w akademiku. Powinnam brać prysznic w brudnej łazience, a nie chodzić po cmentarzu w środku nocy”.

Brama na cmentarz została tak zbudowana, żeby przypominać swoimi grubymi kolumnami zdobionymi lotosami egipską świątynię; wieńczył ją napis z wielgachnych liter: „UMARLI POWSTANĄ”. Darlington określił kropkę na końcu tego zdania najbardziej wymownym znakiem przestankowym w języku angielskim. Kolejna rzecz, którą Alex musiała sprawdzić, kolejny kawałek kodu do rozszyfrowania. Okazało się, że to cytat z Biblii:

Oto ogłaszam wam tajemnicę: nie wszyscy pomrzemy, lecz wszyscy będziemy odmienieni. W jednym momencie, w mgnieniu oka, na dźwięk ostatniej trąby – zabrmi bowiem trąba – umarli powstaną nienaruszeni, a my będziemy odmienieni ¹.

„Nienaruszeni”. Kiedy zobaczyła to słowo, zrozumiała znaczący uśmieszek Darlingtona. Umarli powstaną, ale jeśli idzie o nienaruszalność, to cmentarz przy Grove Street niczego nie obiecywał. W New Haven najlepiej było nie mieć nadziei na gwarancje.

Scena przed Payne Whitney przypominała Alex salę operacyjną; światła policyjne oświetlały śnieg, sprawiały, że cienie padały na gapiów i malowały na ziemi kontrastowe linie. Wyglądałoby to pięknie – scena wyrzeźbiona w bieli i czerni jak litografia – ale odgradzające dostęp żółte taśmy psuły efekt wraz z leniwym, rytmicznym obrotem niebieskich i czerwonych świateł radiowozów, które zaparkowano tak, żeby odcięły miejsce, gdzie zbiegały się dwie ulice. Cała aktywność najwyraźniej skupiała się na trójkącie osieroconej ziemi pośrodku.

Alex widziała furgonetkę koronera z otwartymi drzwiami z tyłu; policjantów w mundurach stojących na baczność wzdłuż obwodu terenu; mężczyzn w niebieskich kurtkach – pewnie techników kryminalistyki, jak się domyślała na podstawie programów w telewizji; studentów, którzy mimo późnej godziny wyszli z akademików, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Czas, jaki spędziła z Lenem, nauczył ją nieufności wobec gliniarzy. Kiedy była młodsza, miał niezły ubaw, korzystając z jej pomocy przy dostarczaniu towaru, bo żaden mundur – czy to ochroniarz z kampusu, czy policjant z LA – nie zatrzyma pulchnego dzieciaka z warkoczykami, który szuka starszej siostry na terenie średniej szkoły. Niestety podrosła i straciła wygląd osoby, która pasuje do miejsc dla porządných dzieciaków.

Nawet gdy nie nosiła towaru, nauczyła się trzymać z dala od gliniarzy. Niektórzy jakby potrafili zwęszyć, że ma problemy.

Teraz jednak szła w ich kierunku, wygładzając włosy ręką w rękawiczce, jakby była po prostu jeszcze jedną studentką.

Z łatwością wypatrzyła Centuriona. Alex spotkała detektywa Abla Turnera dokładnie jeden raz. Uśmiechał się wtedy uprzejmie, a ona w okamgnieniu zorientowała się, że nienawidzi nie tylko jej, ale i Darlingtona oraz wszystkiego, co wiąże się z Lete. Nie bardzo wiedziała, dlaczego to jego wybrano na Centuriona, łącznika między Domem Lete a szefem policji, ale najwyraźniej nie chciał tej roboty.

Stał i rozmawiał z drugim detektywem oraz z policjantem w mundurze. Był czarnoskóry, o całe pół głowy wyższy od obu rozmówców i miał krótko przystrzyżone wycieniowane włosy. Nosił elegancki granatowy garnitur i coś, co prawdopodobnie było oryginalnym płaszczem od Burberry. Ambicja biła od niego jak słup ognia. „Za ładny” – powiedziała by jej babka. *Quein se prestado se vestio, en medio de la calle se quito*. Estrea Stern nie ufała przystojnym mężczyznom, zwłaszcza elegancko ubranym.

Alex kręciła się przy taśmie. Centurion był na miejscu, tak jak obiecała Dawes, ale Alex nie bardzo wiedziała, jak zwrócić jego uwagę i co zrobić, kiedy jej się uda. Stowarzyszenia spotykały się w czwartki i niedziele. Nie wolno było przeprowadzać żadnego ryzykownego rytuału bez obecności delegata z Domu Lete, ale to nie znaczyło, że nikt nie mógł złamać zakazu. Może rozniosła się wieść, że Darlington „wyjechał do Hiszpanii”, i ktoś w jednym ze stowarzyszeń wykorzystał tę okazję, żeby poeksperymentować z czymś nowym. Wątpiła, żeby ktoś rzeczywiście miał złe zamiary, ale Trippowie i Mirandy tego świata mogły narobić mnóstwa szkód bez złych intencji. Nigdy nie musieli płacić za swoje błędy.

Tłum wokół niej niemal natychmiast się rozproszył i Alex przypomniała sobie, jak bardzo musi śmierdzieć. Niestety w tej chwili nic nie mogła na to poradzić. Wyjęła telefon i przewinęła listę kontaktów. Załatwiła sobie nowy telefon, kiedy przyjęła ofertę Lete, usuwając wszystkich ze swojego dawnego życia jednym gestem, więc teraz lista była dość krótka. Jej współlokatorki. Mama, która przysyłała jej co rano wiadomość z serią uśmiechniętych buziek, jakby emotikony były swoistym zaklęciem. Turner też tam był, ale Alex nigdy do niego nie pisała; nigdy nie miała powodu.

„Jestem tu” – napisała, a potem dodała: „Tu Dante”, na wypadek gdyby nie zadał sobie trudu, żeby dodać ją do kontaktów.

Patrzyła, jak Turner wyjmuje telefon z kieszeni, czyta wiadomość. Nie rozejrzał się.

Jej telefon zabuczał sekundę później.

„Wiem”.

Alex poczekała dziesięć minut, dwadzieścia. Patrzyła, jak Turner kończy rozmowę, konsultuje się z kobietą w niebieskiej kurtce, kręci się w pobliżu odgradzonego miejsca, gdzie znaleziono ciało.

Gromadka Szarych pałętała się w pobliżu ośrodka sportowego. Alex obrzuciła ich spojrzeniem, nie zatrzymując wzroku na żadnym. Paru z nich to byli miejscowi Szarzy, których zawsze można było znaleźć w okolicy: wioślarz, który utonął przy Florida Keys, ale wrócił, żeby nawiedzać baseny treningowe; przysadzisty mężczyzna, który ewidentnie kiedyś był futbolistą. Wydawało jej się, że dostrzegła Pana Młodego, najsłynniejszego ducha w mieście, ulubieńca maniaków od morderstw i przewodników po nawiedzonych miejscach w Nowej Anglii. Podobno zabił swoją narzeczoną, a potem popełnił samobójstwo w biurach fabryki, która kiedyś stała zaledwie milę stąd. Nie zatrzymała wzroku, żeby potwierdzić swoje podejrzenie. Ośrodek sportowy Payne Whitney zawsze przyciągał Szarych, bo był pełen potu i wysiłku, głodu i szybko bijących serc.

– Kiedy zobaczyłaś ich po raz pierwszy? – zapytał Darlington w dniu, kiedy poszczuł ją szakalami.

Darlington znał siedem języków. Potrafił fechtować. Znał brazylijskie jujitsu i umiał naprawić instalację elektryczną, cytował poezję i sztuki autorów, o których Alex nigdy nie słyszała. Jednak zawsze zadawał niewłaściwe pytania.

Alex sprawdziła telefon. Straciła kolejną godzinę. W tej chwili pewnie mogła przestać zawracać sobie głowę spaniem. Wiedziała, że nie znajduje się wysoko na liście priorytetów Turnera, ale wylądowała w trudnym położeniu.

„W następnej kolejności zadzwonię do Sandowa” – napisała.

Blefowała i prawie miała nadzieję, że Turner nie da się na to nabrać. Gdyby nie zechciał z nią rozmawiać, z radością doniosłaby na niego dziekanowi, ale o bardziej cywilizowanej porze. Najpierw wróciłyby do siebie i przespała całe dwie cudowne godziny.

Zamiast tego zobaczyła, jak Turner wyjmuje telefon z kieszeni, kręci głową, a potem podchodzi do niej. Zmarszczył nieco nos i powiedział:

– W czym mogę pomóc, panno Stern?

Alex tak naprawdę nie wiedziała, ale dał jej mnóstwo czasu na sformułowanie odpowiedzi.

– Nie przyszedłam, żeby narobić panu kłopotów. Jestem tu, ponieważ kazano mi przyjść.

Turner zaśmiał się całkiem przekonująco.

– Wszyscy mamy robotę do wykonania.

„Jestem pewna, że w tej chwili chciałbyś, żeby twoja praca wymagała ukręcenia mi łba”.

– Rozumiem, ale to czwartkowa noc.

– Którą poprzedzała środowa i po której nastąpi piątkowa.

„Śmiało, udawaj głupka”. Alex z radością odwróciłaby się do niego plecami, ale potrzebowała czegoś do raportu.

– Jest jakaś przyczyna śmierci?

– To oczywiście, że coś spowodowało jej śmierć.

„Dupek” – pomyślała.

– Miałam na myśli...

– Wiem, co miałaś na myśli. Nie mamy jeszcze niczego pewnego, ale z pewnością poinformuję dziekana, gdy będziemy więcej wiedzieć.

– Jeśli brało w tym udział jakieś stowarzyszenie...

– Nie ma powodu, żeby tak uważać. – I jakby brał udział w konferencji prasowej, zaraz dodał: – Na tym etapie dochodzenia.

– Jest czwartek – powtórzyła z naciskiem. Chociaż stowarzyszenia spotykały się dwa razy w tygodniu, rytuały można było przeprowadzać tylko w czwartki. Niedziele były poświęcone „studiom w ciszy i poszukiwaniom”, co zwykle oznaczało elegancki posiłek podawany na drogiej zastawie, czasem zaproszonego gościa, który wygłaszał mowę, i mnóstwo alkoholu.

– Byłaś dzisiaj z tymi idiotami? – zapytał nadal uprzejmym tonem. – To dlatego cuchniesz jak gówno podgrzane na patelni? Z kim byłaś?

Ta częśćka jej osoby, która prosiła się o łupnia i kłopoty, kazała jej odpowiedzieć:

– Zachowuje się pan jak zazdrosny chłopak.

– Zachowuję się jak gliniarz. Odpowiedz mi.

– Tego wieczoru miałam Kościejów.

Robił wrażenie rozbawionego.

– Powiedz im, żeby oddali czaszkę Geronimo.

– Nie mają jej – odpowiedziała zgodnie z prawdą. Kilka lat temu spadkobiercy Geronimo wytoczyli stowarzyszeniu proces, ale niczego nie osiągnęli. Kościeje rzeczywiście mieli jego wątrobę i jelito cienkie w słoju, ale nie uważała, że to dobra chwila, aby o tym wspominać.

– Gdzie jest Darlington? – zapytał Turner.

– W Hiszpanii.

– W Hiszpanii?! – Po raz pierwszy łagodny wyraz twarzy Turnera rozpląnął się.

– Studiuje za granicą.

– I zostawił stowarzyszenia pod twoją opieką?

– Rzecz jasna.

– Musi pokładać w tobie wielką wiarę.

– Rzecz jasna. – Alex posłała mu najbardziej czarujący uśmiech i przez sekundę myślała, że może detektyw Turner go odwzajemni, bo jeden kanciarz zawsze rozpozna drugiego. Jednak nie. Musiał od zbyt dawna zachowywać ostrożność.

– Skąd jesteś, Stern?

– Dlaczego pan pyta?

– Słuchaj, robisz wrażenie miłej dziewczyny...

– Nie, nieprawda.

Turner uniósł brew, przechylił głowę na bok, otaksował ją wzrokiem i skinął potakująco głową.

– W porządku, masz robotę do wykonania tej nocy tak samo jak ja. Zrobiłaś swoje. Porozmawiałaś ze mną. Dasz znać Sandowowi, że zginęła tu dziewczyna, biała dziewczyna, która będzie wymagać mnóstwo uwagi i bez ciebie płaczącej mi się pod nogami. Będziemy starali się trzymać tę sprawę z dala od uniwersytetu i... całej reszty. – Machnął ręką, jakby mimochodem odganiał muchę, a nie zbywał mającą sto lat tradycji klikę magów. – Zrobiłaś swoje i możesz wracać do domu. Tego właśnie chcesz, nie?

Czy Alex nie pomyślała sobie właśnie dokładnie tego samego? Mimo to zawahała się, czując na barkach ciężar oceny Darlingtona.

– Tak, ale dziekan Sandow będzie chciał...

Maska Turnera na chwilę się zsunęła, zmęczenie i gniew z powodu jej obecności stały się nagle widoczne.

– Ona jest z miasta, Stern. Spieprzaj.

Z miasta. Nie była studentką. Nie była związana ze stowarzyszeniami. Mogła to sobie odpuścić.

– Aha, to w porządku – powiedziała.

Turner uśmiechnął się, w jego policzkach pojawiły się dołeczki – chłopięcy, usatysfakcjonowany, niemal szczery uśmiech.

– I tak trzymać.

Odwrócił się od niej i wrócił do swoich ludzi.

Alex zerknęła na szarą gotycką katedrę Payne Whitney. Budynek nie wyglądał jak ośrodek sportowy, ale tu nic nie wyglądało na to, czym było. „Tego właśnie chcesz, nie?”

Detektyw Abel Turner zrozumiał ją tak, jak Darlington nigdy nie zdołał.

Dobrze. Lepiej. Najlepiej. To trajektoria, która doprowadzała człowieka do tego miejsca. To, czego Darlington i reszta tych gorliwych, pracowitych dzieciaków nie mogli zrozumieć, to fakt, że Alex z radością zadowoliliby się

czymś skromniejszym niż Yale. Darlington był całkowicie skupiony na dążeniu do doskonałości, na pogoni za czymś nadzwyczajnym. Nie wiedział, jak cenne może być normalne życie, jak łatwo oddalić się od przeciętności. Zaczynasz spać do południa, opuszczasz jedne zajęcia, jeden dzień szkoły, tracisz jedną pracę, potem następną i zapominasz, jak normalni ludzie funkcjonują. Zatracasz język codzienności. A potem mimowolnie trafiasz do krainy bez powrotu. Żyjesz w stanie, w którym nieustannie masz wrażenie, że grunt umyka ci spod nóg, nie jesteś w stanie odnaleźć z powrotem pewnego oparcia.

To nie miało znaczenia, że Alex była świadkiem, jak przedstawiciele Czaszki i Kości przewidywali przyszły rynek, posługując się wnętrznościami Michaela Reyesa, albo że widziała, jak pewnego razu kapitan drużyny lacrosse'a zamienił się w normika. (Pisnął, a potem – mogłaby przysiąc – pomachał triumfalnie maleńką różową piąstką). Dom Lete był dla Alex sposobem na powrót do normalności. Nie potrzebowała być wyjątkową. Nie potrzebowała nawet być dobrą, wystarczy, żeby była dostatecznie dobra. Turner dał jej pozwolenie. Idź do domu. Idź się przespać. Weź prysznic. Wróć do prawdziwej pracy, spróbuj zaliczyć zajęcia i przebrnąć przez ten rok. Jej oceny po pierwszym semestrze były na tyle kiepskie, że dostała warunek.

„Ona jest z miasta”.

Niestety stowarzyszenia lubią rekrutować dziewczyny i chłopców z miasta do swoich eksperymentów. To właśnie z tego powodu powstał Dom Lete. A przynajmniej w znacznej mierze z tego powodu. W dodatku Alex przez większość życia była „tą z miasta”.

Spojrzała na furgonetkę koronera, która parkowała w połowie na chodniku, w połowie na ulicy. Turner nadal stał odwrócony do niej plecami.

Ludzie, kiedy nie chcą być zauważeni, popełniają zwykle błąd, próbując zachowywać się jakby nigdy nic. Dlatego zamiast tego Alex podeszła prosto do furgonetki, jak dziewczyna, która musi wrócić do akademika. W końcu było już późno. Kiedy obeszła pojazd, zerknęła szybko w stronę Turnera, a potem wślizgnęła się między szeroko rozwarte drzwi samochodu. Koroner w służbowym stroju odwrócił się do niej.

– Cześć – powiedziała.

Mężczyzna wciąż kucał, patrzył nieufnie, swoim ciałem zasłaniał jej widok na wnętrze. Alex pokazała mu jedną z dwóch złotych monet, które nosiła pod podszewką płaszcza.

– Coś pan upuścił.

Zobaczył błysk i odruchowo sięgnął po monetę, po części z grzeczności, po części z nawyku. Kiedy ktoś ci coś daje, bierzesz to. To był także odruch sroki, urok błyskotki. Alex poczuła się trochę jak troll z bajki.

– Wątpię... – zaczął koroner, ale kiedy tylko jego palce zacisnęły się na monecie, jego twarz rozluźniła się i zawładnął nim magiczny przymus.

– Pokaż mi ciało – powiedziała Alex, po części spodziewając się odmowy.

Widziała raz, jak Darlington błysnął monetą ochroniarzowi, ale sama nigdy do tej pory nie korzystała z monety przymusu.

Koroner nawet nie zamrugał, cofnął się tylko bardziej w głąb furgonetki i podał Alex rękę. Weszła za nim do wozu, oglądając się szybko przez ramię, i zamknęła za sobą drzwi. Mieli niedużo czasu. Wystarczyło, żeby kierowca albo – co gorsza – Turner zapukał do drzwi i przyłapał ją na pogawędce z koronerem nad trupem. Poza tym nie była pewna, jak długo przymus działa. Ten okrucieństwo magii pochodził z Manuskryptu. Stowarzyszenie specjalizowało się w lustrzanej magii, urokach, perswazji. Każdy przedmiot można zaczarować, najsłynniejszym była prezerwatywa, która przekonała uganianiającego się za kobietami szwedzkiego dyplomatę do przekazania teczki z poufnymi dokumentami.

Monety wymagały potężnej magii do stworzenia, więc posługiwano się nimi w Lete bardzo oszczędnie i Alex dbała o te dwie, które jej przydzielono. Dlaczego teraz jedną zmarnowała?

Kiedy znalazła się z koronerem w zamkniętej przestrzeni, zauważyła, jak jego nozdrza rozszerzyły się pod wpływem jej smrodu, ale już rozpiął suwak torby na ciało, ściskając monetę w drugiej dłoni. Poruszał się za szybko, jak na przewijanym do przodu filmie, i Alex kusilo, żeby kazać mu się chwilę wstrzymać, jednak moment już minął, a mężczyzna rozpiął torbę, czarny winyl otworzył się jak skórka na owocu.

– Jezu – szepnęła Alex.

Twarz dziewczyny była krucha, pokryta niebieskimi żyłkami. Nosila podkoszulkę z białej bawełny, rozdartą i zmarszczoną w miejscu, gdzie raz za razem wbijano nóż. Rany skupiały się na sercu i zadano je z taką siłą, że mostek zaczął już pękać, kości łamały się, tworząc płytki, krwawy krater. Alex nagle pożałowała, że nie wzięła sobie do serca dosadnie wyrażonej rady Turnera i nie wróciła do domu. To nie był nieudany rytuał. To było coś osobistego.

Przełknęła zólc, która podeszła jej do gardła, i zmusiła się do głębszego oddechu. Gdyby dziewczyna była celem stowarzyszenia albo gdyby eksperymentowała z magią, to nadal pachniałaby Zasłoną. Niestety smród Alex wypełnił furgonetkę i nie dało się niczego innego wyczuć.

– To jej chłopak.

Alex zerknęła na koronera. Przymus miał sprawiać, że jego ofiara robi, co w jej mocy, żeby się przypodobać.

– Skąd pan wie? – zapytała.

– Turner tak powiedział. Zabrano go na przesłuchanie. Ma już coś na swoim koncie.

– Co takiego?

– Handel i posiadanie. Tak samo jak ona.

No jasne. Chłopak sprzedawał, więc jego dziewczyna też. Jednak handel narkotykami na małą skalę dzielił potężny sus od morderstwa. „Czasem – upomniała siebie w myślach. – Czasem nie aż tak potężny”.

Znowu spojrzała na twarz dziewczyny. Była blondynką jak Hellie.

Podobieństwo było zewnętrzne. Zaś w środku? Gdy je rozciąć, wszystkie okazywały się takie same. Dziewczyny takie jak Hellie, takie jak Alex, takie jak ta zabita musiały cały czas biec, żeby kłopoty ich nie dogoniły. Ta dziewczyna nie biegła dostatecznie szybko.

Miała papierowe torby na dłoniach. „Żeby chronić dowody – zdała sobie sprawę Alex. – Może zadrapała napastnika”.

– Jak się nazywa?

To nie miało znaczenia, ale potrzebowała tego do raportu.

– Tara Hutchins.

Alex wpisała dane do telefonu, żeby ich nie zapomnieć.

– Przykryj ją.

Ucieszyła się, że nie musi już patrzeć na okaleczone ciało. Śmierć była paskudna, okropna, ale to nie znaczyło, że Tara miała związek ze stowarzyszeniami. Ludzie nie potrzebowali magii, żeby robić sobie nawzajem okropne rzeczy.

– Czas zgonu? – zapytała.

Uznała, że to coś, co powinna wiedzieć.

– Około jedenastej. Trudno to precyzyjnie ocenić na takim zimnie.

Zawahała się z ręką na kłamce. Około jedenastej. Mniej więcej w tym czasie, kiedy dwoje łagodnych Szarych, którzy nigdy nie sprawiali kłopotów, otworzyło usta, jakby chcieli połknąć świat, i coś próbowało przebić się do kredowego kręgu. A jeśli to coś znalazło sobie Tarę?

A może jej chłopak naćpał się tak, że uznał, iż zdoła przebić się prosto do jej serca? Na świecie nie brakowało potworów w ludzkiej skórze. Alex poznała parę takich. Na razie „zrobiła swoje”. Z nawiązką.

Otworzyła drzwi furgonetki, rozejrzała się po ulicy i wyskoczyła.

– Zapomnij o mnie – powiedziała koronerowi.

Przez jego twarz przeleciał rozmyty wyraz konsternacji. Alex zostawiła go oszołomionego przy ciele Tary i odeszła. Przeszła przez ulicę i ruszyła ciemnym chodnikiem z dala od policyjnych świateł. Niedługo przymus przestanie działać i mężczyzna zacznie się zastanawiać, skąd ma złotą monetę w ręku. Schowa ją

do kieszeni i zapomni o niej albo wyrzuci do kosza, nie zdając sobie nawet sprawy, że to prawdziwe złoto.

Alex obejrzała się na Szarych, którzy zebrali się wokół Payne Whitney. Czy to jej wyobraźnia, czy coś się kryło w przygarbieniu ich ramion, w sposobie, w jaki tłoczyli się razem przy drzwiach ośrodka? Alex wiedziała, że nie powinna przyglądać się zbyt uważnie, ale przysięgłaby, że przez chwilę wyglądali na przestraszonych. Czego umarli mogli się bać?

Słyszała głos Darlingtona w głowie: „Kiedy zobaczyłaś ich po raz pierwszy?”. Zapytał cicho i z wahaniem, jakby nie wiedział, czy nie narusza jakiegoś tabu. Jednak prawdziwe pytanie, właściwe pytanie, brzmiało: „Kiedy po raz pierwszy zrozumiałaś, że trzeba się ich bać?”.

Alex cieszyła się, że nigdy nie miał dość rozsądku, by je zadać.

1. Biblia Tysiąclecia (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

Gdzie należałoby zacząć historię Lete? Czy w 1824 roku wraz z Bathshebą Smith? Możliwe. Potrzeba będzie jednak kolejnych siedemdziesięciu lat i wielu więcej katastrof, żeby Dom Lete wreszcie powstał. Dlatego wskazujemy rok 1898, kiedy Charliego Baxtera, człowieka bez domu i znaczenia, znaleziono martwego z oparzeniami na dłoniach, stopach, kroczu i z czarnym skarabeuszem w miejscu języka. Pojawiły się oskarżenia i stowarzyszeniom zagroził atak ze strony uniwersytetu. Żeby usunąć rozdzwięk i – powiedzmy sobie szczerze – ratować własną skórę, Edward Harkness, członek Wilczego Łba, wraz z Williamem Payne Whitneyem z Czaszki i Kości oraz Hiramem Binghamem III z obecnie nieistniejącego Bractwa Akacji stworzyli Ligę Lete jako ciało nadzorujące okultystyczną działalność stowarzyszeń.

Podczas pierwszych spotkań określono misję: naszym zadaniem jest monitorować rytuały i praktyki wszelkich starszych stowarzyszeń zajmujących się magią, wróżeniem i innymi nadnaturalnymi poczynaniami w celu zapewnienia bezpieczeństwa obywatelom i studentom pod względem psychicznym, fizycznym i duchowym oraz kultywować przyjazne relacje między stowarzyszeniami a administracją uniwersytecką.

Dom Lete powstał dzięki funduszom Harknessa oraz obowiązkowym składkom od fundacji stojących za stowarzyszeniami ze Starożytnej Ósemki. Kiedy Harkness wyznaczył Jamesa Gamble'a Rogersa (Zwój i Klucz, 1889) do stworzenia planu Yale i zaprojektowania wielu jego budowli, zadbał o powstanie kryjówek i tuneli dla Lete na terenie całego kampusu.

Harkness, Whitney i Bingham czerpali z wiedzy stowarzyszeń, żeby stworzyć magazyn wiedzy tajemnej i magii, z której mogli korzystać przedstawiciele Lete. Zasoby te wzrosły w sposób znaczący w 1911 roku, kiedy Bingham udał się do Peru.

z Życie Lete: procedury i protokoły Dziewiątego Domu

4

ZESZŁA JESIEŃ

– Daj spokój – powiedział Darlington, pomagając jej wstać. – Iluzja przestanie działać lada chwila, a ty będziesz leżeć na frontowym trawniku jak przedpołudniowy pijak. – Prawie zawlekl ją schodami na werandę. Całkiem nieźle poradziła sobie z szakalami, ale niezdrowo pobladła i ciężko dyszała. – Jesteś w fatalnej formie.

– A ty jesteś dupkiem.

– Zatem oboje mamy nad czym pracować. Poprosiłaś, żebym ci powiedział, w co się pakujesz. Teraz już wiesz.

Wyszarpnęła rękę.

– Żebyś mi powiedział, a nie próbował mnie zabić.

Spojrzał na nią spokojnie. To ważne, żeby zrozumiała.

– Ani przez chwilę nic ci nie groziło. Nie mogę jednak obiecać, że zawsze tak będzie. Jeśli nie będziesz traktować tego poważnie, tobie albo komuś innemu może stać się krzywda.

– Komuś takiemu jak ty?

– Tak. Przeważnie w Domach Zasłony nie dzieje się nic naprawdę złego. Zobaczysz rzeczy, o których wolałabyś zapomnieć. Zobaczysz też cuda. Jednak nikt tak naprawdę nie rozumie, co kryje się za Zasłoną albo co może się wydarzyć, jeśli to coś zza niej wyjdzie. „Gdy skrzydła czarne śmierć nad nami skłoni, staniemy w jej obliczu, gotowi na wszystko: hoplici, huzarzy, dragoni”.

Położyła ręce na udach i zerknęła na niego.

– Sam to wymyśliłeś?

– Cabot Collins. Nazywano go Poetą Lete. – Darlington wyciągnął rękę do drzwi. – Stracił obie ręce, kiedy przejście między wymiarami zamknęło się na nich. Właśnie recytował swoje najnowsze dzieło.

Alex zadygotała.

– W porządku, rozumiem. Kiepska poezja, poważna sprawa. Te psy są prawdziwe?

– Dostatecznie. To widmowe ogary, które mają służyć córkom i synom Lete. Po co te długie rękawy, Stern?

– Z powodu śladów po igłach.

– Serio?

Podejrzewał, że może o to chodzić, ale nie do końca jej wierzył.

Wyprostowała się i rozciągnęła kręgosłup.

– Jasne. Wchodzimy czy nie?

Wskazał brodą na jej nadgarstek.

– Pokaż mi.

Alex podniosła dłoń, ale nie odsunęła rękawa. Po prostu podsunęła mu rękę, jakby zamierzał szukać żyły, żeby pobrać jej krew.

Wyzwanie. Którego nagle nie chciał przyjąć. To nie jego sprawa. Powinien tak powiedzieć. Odsunąć się.

Zamiast tego złapał ją za nadgarstek. Miała cienkie kości, ostre w dotyku. Drugą ręką odsunął rękaw na przedramieniu. Odbierał to jak preludium.

Żadnych śladów igieł. Skórę miała w tatuażach: zwinięty ogon grzechotnika, podobny do słońca kwiat peonii i...

– Koło Fortuny. – Powstrzymał chęć dotknięcia kciukiem wizerunku w zgięciu jej łokcia. Dawes zainteresowałaby się tym odwołaniem do tarota. Może znalazłyby wspólny temat. – Dlaczego chowasz tatuaże? Nikt się tu nimi nie przejmie.

Połowa studentów miała tatuaże. Niewielu na całych rękach, ale zdarzały się i takie przypadki.

Alex szybko obciągnęła rękaw.

– Jeszcze jakieś obręcze do przeskoczenia?

– Mnóstwo.

Otworzył drzwi i wpuścił ją do środka.

Wejście było ciemne i chłodne, witraż rzucał barwne wzory na pokrytą dywanem podłogę. Przed nimi potężne schody biegły przy ścianie na piętro, w ciemnym drewnie wyrzeźbiono motyw słoneczników. Michelle powiedziała mu, że sama klatka schodowa była warta więcej niż reszta domu i ziemia, na której go wybudowano.

Alex westchnęła cicho.

– Miło zejść ze słońca?

Mruknęła tylko.

– Cicho tu.

Potrzebował chwili, żeby zrozumieć, co miała na myśli.

– Magia chroni Il Bastone. Podobnie jak pokoje w Klitce... Jest aż tak źle?
Alex wzruszyła ramionami.

– Cóż... Tu cię nie dopadną.

Alex rozejrzała się z beznamiętną miną. Nie była pod wrażeniem strzelistego wejścia, ciepłego drewna i witraży, zapachu sosny i likieru z czarnych porzeczek, przez co dom zawsze kojarzył się trochę z Bożym Narodzeniem? Czy tylko próbowała robić takie wrażenie?

– Ładny klub – powiedziała. – Zupełnie niepodobny do grobowca.

– Nie jesteśmy stowarzyszeniem i nie funkcjonujemy jak stowarzyszenie. To nie jest klub. To nasza kwatera główna, serce Lete, magazyn setek lat wiedzy okultystycznej. – Wiedział, że brzmi jak okropny zarozumialec, ale nie potrafił się powstrzymać. – Stowarzyszenia co roku werbują nową delegację spośród studentów ostatniego roku, szesnastu członków, osiem kobiet, ośmiu mężczyzn. My wybieramy nowego Dantego, jednego studenta pierwszego roku raz na trzy lata.

– To pewnie znaczy, że jestem bardzo specjalna.

– Miejmy nadzieję.

Alex zmarszczyła brwi, a potem skinęła głową na marmurowe popiersie ustawione na stole pod wieszakiem.

– Kto to?

– Święty patron Lete, Hiram Bingham III.

Niestety chłopięce rysy twarzy Bingham'a i opuszczone kąciki ust nie przydawały mu uroku, uwiecznione w kamieniu. Wyglądał jak zaniepokojony manekin sklepowy.

Dawes wyszła z salonu, szurając stopami, z dłońmi schowanymi w rękawach obszernej bluzy, ze słuchawkami na szyi – wizerunek w beżu. Darlington wyczuwał w niej dyskomfort. Pammie nie cierpiała nowych ludzi. Potrzebował większej części pierwszego roku, żeby zdobyć jej sympatię, a nadal czuł, że wystarczy większy hałas, żeby czmychnęła do biblioteki i nigdy z niej nie wróciła.

– Pamelo Dawes, poznaj naszego nowego Dantego, Alex Stern.

Z entuzjazmem kogoś, kto wita nową epidemię cholery, Dawes wyciągnęła rękę i powiedziała:

– Witamy w Lete.

– Dawes pilnuje, żeby wszystko działało i żebyś nie zrobił z siebie zbyt wielkiego idioty.

– Czyli to praca na pełen etat? – zapytała Alex.

Dawes zamrugała.

– Pracuję wieczorami i popołudniami, ale mogę służyć ci pomocą prawie o dowolnej porze, o ile dasz mi znać z wyprzedzeniem.

Zerknęła z niepokojem ku salonowi, jakby jej od dawna nieukończona dysertacja była płaczącym dzieckiem. Dawes pracowała jako Oculus od prawie czterech lat i przez cały ten czas ślęczała nad swoją rozprawą doktorską – badała mykeńskie praktyki religijne na podstawie wczesnej ikonografii tarota.

Darlington postanowił jej dłużej nie dręczyć.

– Oprowadzę Alex, a potem zabiorę ją na kampus do Klitki.

– Klitki? – spytała Alex.

– Do pokojów, które mamy na rogu York i Elm. To nic wielkiego, ale są wygodne, gdy nie chcesz oddalać się za bardzo od swojego akademika. Klitka też jest magicznie chroniona.

– I zaopatrzona – dodała słabo Dawes, już uciekając w bezpieczne miejsce do salonu.

Darlington dał znać Alex, żeby poszła za nim schodami.

– Kim była Bathsheba Smith? – zapytała, depcząc mu po piętach.

Czyli czytała *Życie Lete*. Cieszył się, że nauczyła się imienia, ale o ile dobrze pamiętał, Bathsheba pojawiała się na pierwszej stronie pierwszego rozdziału, więc nie dał się ponieść radości.

– Siedemnastoletnią córką miejscowego farmera. Jej ciało znaleziono w piwnicy tutejszej szkoły medycznej w 1824 roku. Została wykopana przez studentów do badań.

– Jezu.

– To nic niezwykłego. Lekarze musieli studiować anatomię, a do tego potrzebowali ciał. Podejrzewamy jednak, że przypadek Bathsheby to wczesna próba porozumienia się z umarłym. Wina spadła na asystenta, a studenci Yale nauczyli się zachowywać większą dyskrecję w swoich poczynaniach. Po odkryciu ciała dziewczyny miejscowi omal nie puścili całego Yale z dymem.

– Może powinni byli – mruknęła Alex.

Może powinni. Incydent nazwano Zamieszkami Rezurekcyjnymi, ale na szczęście nie przybrały szczególnie paskudnego obrotu. Rozkwit czy fiasko – New Haven zawsze znajdowało się na krawędzi.

Darlington oprowadził Alex po reszcie Il Bastone: po wielkim salonie ze starą mapą New Haven nad kominkiem, po kuchni i spiżarni, pokojach treningowych na dole, po zbrojowni na pierwszym piętrze ze ścianą aptekarskich szufladek wypełnionych ziołami i świętymi przedmiotami.

Do obowiązków Dawes należało dbać o odpowiednie zaopatrzenie, to ona odświeżała zapasy wszelkich nietrwałych rzeczy i pozbywała się tego, co mogło się zepsuć, dbała o przedmioty, które tego wymagały. Perły Ochrony Kutberta

należało nosić przez kilka godzin w miesiącu, bo inaczej traciły zarówno połysk, jak i zdolność ochrony noszącej je osoby przed rażeniem gromem. Wychowanka Lete, która nazywała się Lee De Forest i którą podejrzewano, że jako studentka spowodowała raz przerwę w dostawie elektryczności w całym kampusie, pozostawiła po sobie wiele wynalazków, w tym Zegar Rewolucji, który odliczał dokładnie co do minuty, kiedy wybuchnie zbrojna rewolta w krajach na całym świecie. Miał dwadzieścia dwie tarcze i siedemdziesiąt sześć wskazówek i trzeba było go regularnie nakręcać, bo inaczej zaczynał krzyczeć.

Darlington pokazał jej zapasy pyłu z kości i ziemi cmentarnej, w które będą zaopatrywać się w czwartkowe noce, oraz nieliczne fiołki Wody Potępienia, która podobno pochodziła z siedmiu rzek piekła i można było z niej korzystać tylko w sytuacjach awaryjnych. Darlington nigdy nie miał powodu, żeby sięgnąć po którąkolwiek fiołkę, ale nie tracił nadziei.

Pośrodku pokoju stał Tygiel Hirma lub – jak lubili go nazywać delegaci Lete – Złota Misa. Miał obwód wielkości koła od traktora i był wykonany z kutego dwudziestodwukaratowego złota.

– Przez lata członkowie Lete wiedzieli, że w New Haven są duchy. Straszły w różnych miejscach, krążyły wieści o widzianych zjawach, a niektórym stowarzyszeniom udało się przebić przez Zastłonę za pomocą seansów i wezwań. Dom Lete wiedział jednak, że kryje się tu coś więcej, że obok naszego działa świat tajemny i często się wtrąca.

– W jaki sposób? – zapytała Alex, a Darlington zauważył, że jej chude ramiona nieco się napięły, gdy stanęła lekko przygarbiona jak bokser przed walką.

– Wtedy nikt nie był pewien. Podejrzewano, że obecność Szarych w świętych kręgach albo w salach świątynnych zakłóca działanie czarów i przebieg rytuałów stowarzyszeń. Istniały oznaki, że zabłąkana magia, gdy wyrywała się z rytuałów z powodu interwencji Szarych, mogła spowodować najróżniejsze rzeczy, od nagłego mrozu dziesięć mil dalej po gwałtowne wybuchy przemocy wśród dzieci w szkolnym wieku. Dom Lete nie dysponował żadnym dowodem na to ani sposobem zapobiegania temu. Rok po roku próbowano udoskonalić eliksir, który pozwoliłby delegatom widzieć duchy; eksperymentowali na sobie metodą prób i błędów, co niektórzy przypłacili życiem. Mimo to nie mogli niczym się wykazać. Aż do chwili, kiedy pojawił się Tygiel Hirma.

Alex przesunęła palcem po złotym brzegu naczynia.

– Wygląda jak słońce.

– Wiele budowli w Machu Picchu było poświęconych kultowi boga słońca.

– To coś pochodzi z Peru? – spytała Alex. – Nie musisz mieć takiej zdziwionej miny, wiem, gdzie leży Machu Picchu. Potrafię nawet znaleźć Teksas na mapie, jeśli dasz mi dość czasu.

– Musisz mi wybaczyć nieznamość programu nauczania w dystrykcie szkolnym Los Angeles i twojego zainteresowania powyższym.

– Wybaczam.

„Być może” – pomyślał Darlington, bo Alex Stern wyglądała na kogoś, kto raczej chowa urazę.

– Hiram Bingham był jednym z założycieli Lete. „Odkrył” Machu Picchu w 1911 roku, chociaż to drażliwa kwestia, ponieważ miejscowi doskonale zdawali sobie sprawę z jego istnienia. – Kiedy Alex nic nie powiedziała, dodał: – Podobno był też inspiracją dla postaci Indiany Jonesa.

– Fajnie.

Darlington powstrzymał westchnienie. No jasne, że akurat ten fakt zwrócił jej uwagę.

– Bingham ukradł około czterdziestu tysięcy przedmiotów.

– I przywiózł je tutaj?

– Tak, do Yale, żeby przestudiować je w Muzeum Peabody’ego. Powiedział, że zostaną zwrócone po osiemnastu miesiącach. Minęło dosłownie sto lat, zanim Peru je odzyskało.

Alex pstryknęła palcami w tygiel i rozległ się niski brzęk.

– Zapomnieli o tym przy wysyłce? Wygląda na coś, co dość trudno przegapić.

– Tygla nigdy nie odnotowano, ponieważ nie trafił do Yale. Został sprowadzony do Lete.

– Kradzione fanty.

– Niestety jak najbardziej. Jednak to klucz do otrzymania Orozcerio. To nie przepis na eliksir stanowił problem, ale naczynie do jego wykonania.

– Czyli to magiczna miska do mieszania?

„Mały barbarzyńca” – pomyślał o niej Darlington.

– Nie ująłbym tego w takich słowach, ale owszem.

– Jest cała ze złota?

– Zanim pomyślisz o tym, żeby z nią uciec, to weź pod uwagę, że waży dwa razy więcej od ciebie i że cały dom jest chroniony zaklęciami przed kradzieżą.

– Skoro tak mówisz.

Znając jego szczęście, znalazłaby sposób, by sturlać tygiel po schodach prosto na pakę ciężarówki i przetopić go na kolczyki.

– Elixir ma wiele innych nazw poza Orozcerio – powiedział. – Złota Próba. Pocisk Hiram. Za każdym razem, kiedy członek Lete pije eliksir i korzysta

z tygla, bierze życie w swoje ręce. Mikstura jest trująca, a proces niewiarygodnie bolesny. Mimo to go zażywamy. Raz za razem. Żeby zerknąć poza Zasłonę.

– Rozumiem – odpowiedziała Alex. – Spotkałam już w swoim życiu nałogowców.

„To nie tak” – chciał zaprotestować, ale może miała rację.

Reszta wycieczki była nieciekawa. Darlington pokazał jej magazyn i pokoje badawcze na wyższych piętrach, wyjaśnił, jak korzystać z biblioteki – chociaż ostrzegł ją, żeby nie korzystała z niej sama, dopóki dom jej nie pozna – i w końcu pokazał jej sypialnię z łazienką, uprzątnięte i przygotowane dla nowego Dantego. Przeniósł własne rzeczy do apartamentu Wergiliusza pod koniec zeszłego roku, kiedy jeszcze myślał, że będzie miał wychowanka z prawdziwego zdarzenia. Czuł się zawstydzająco sentymentalny w związku z całą tą sprawą. Kwatery Wergiliusza znajdowały się piętro wyżej nad pokojem Dantego i były dwa razy większe. Kiedy uzyska dyplom, pozostaną puste, żeby mógł z nich skorzystać zawsze, kiedy postanowi odwiedzić Lete. Stała tam toaletka, która należała do Eleazara Wheelocka. Połowę ściany naprzeciwko łóżka wypełniało witrażowe okno przedstawiające las choin, umieszczone tak, żeby w miarę jak słońce przesuwa się w ciągu dnia, kolory szklanych drzew i nieba nad nimi także wydawały się zmieniać. Kiedy się tam wprowadził, odkrył, że Michelle zostawiła dla niego przy ostatniej wizycie butelkę brandy i list:

*„Patrz! oto bór wiekuisty: sosny i świerki szumiące,
Mchem brodate, w zielonych oponach, mgłą przyprószone
Stoją na kształt druidów przeszłości z posepnem proroctwem...”¹*

Istniał kiedyś klasztor, który produkował armaniak tak doskonały, że tamtejsi mnisi musieli uciec do Włoch, kiedy Ludwik XIV zażartował, że zabije ich, żeby zachować ich sekrety. To ostatnia butelka. Nie pij jej na pusty żołądek i nie dzwoń, o ile nie umrzesz. Powodzenia, Wergiliuszu!

Uznał Longfellowa za bzdurę, ale mimo to cenił sobie list i brandy.

Teraz patrzył na Alex pocącą się wśród luksusów jego dawnych pokojów – pokojów, z których tak rzadko korzystał, ale które ogromnie kochał za ich ciemnoniebieskie ściany, łóżko z baldachimem i ciężkimi turkusowymi kapami, szafę pomalowaną w białe kwiaty derenia. Witraże tutaj były skromniejsze, dwa eleganckie okna – z chmurami w odcieniach błękitu i fioletowym gwiazdzistym niebem – okalały kominek z malowanych kafli.

Alex stała pośrodku tego wszystkiego, obejmując się rękami, i powoli się obracała. Znowu pomyślał o ondynie. A może po prostu była dziewczyną

zagubioną na morzu.

Musiał zapytać.

– Kiedy pierwszy raz ich zobaczyłaś?

Zerknęła na niego, a potem na okno nad sobą, na księżyc, którego wiecznie przybywało na witrażowym niebie. Podniosła pozytywkę Reuge z biurka, dotknęła palcem wieczka, ale potem zmieniła zdanie i odłożyła ją z powrotem.

Darlington był dobrym rozmówcą, ale najlepiej się czuł, kiedy nikt do niego nie mówił, kiedy nie musiał odgrywać samego siebie i mógł po prostu obserwować w spokoju innych. Alex miała w sobie coś ziarnistego jak stary film. Widział, że właśnie dokonuje wyboru. Ujawnić swoje sekrety? Czy uciec?

Wzruszyła ramionami i pomyślała, że na tym zostawi ten temat, ale wtedy znowu wzięła pozytywkę i odpowiedziała:

– Nie wiem. Przez jakiś czas myślałam, że to po prostu ludzie, a nikt nie zwraca uwagi na dzieciaka, który mówi do siebie. Pamiętam, jak zobaczyłam grubasa w samych skarpetkach i kalesonkach, który trzymał w jednej ręce pilota do telewizora jak pluszowego misia i stał pośrodku ulicy. Pamiętam, jak próbowałam powiedzieć mamie, że stanie mu się krzywda. Na wycieczce na molo w Santa Monica zobaczyłam kobietę leżącą w wodzie. Wyglądała jak... – Wykonała gest, jakby mieszała w garnku. – Z kwiatami we włosach?

– Ofelia.

– Jak Ofelia. Ruszyła za mną do domu, a kiedy zaczęłam płakać i krzyczeć, żeby sobie poszła, próbowała jeszcze bardziej się przysunąć.

– Lubią łąy. Sól, smutek, wszelkie silne emocje.

– Strach? – zapytała. Stała tak nieruchomo, jakby pozowała do portretu.

– Też.

Niewielu Szarych było złowrogich, ale uwielbiali straszyć i przerażać.

– Dlaczego nie ma ich więcej? Nie powinni być wszędzie?

– Tylko nieliczni Szarzy mogą przekroczyć Zastonę. Zdecydowana większość zostaje tam po śmierci.

– Widywałam ich w supermarkecie, przy ladzie z gorącym jedzeniem albo przy tych różowych pudłach na słodkie wypieki. Uwielbiali naszą szkolną stołówkę. Nie myślałam o tym wiele, dopóki Jacob Craig nie zapytał, czy chcę, żeby mi pokazał. Odpowiedziałam, że widziałam to już wiele razy, i jakimś cudem to dotarło do jego mamy, a ona zadzwoniła do szkoły. No więc nauczycielka bierze mnie na bok i pyta: „Co masz na myśli, mówiąc, że widziałas to już wiele razy?”. Nie umiałam kłamać. – Odłożyła pozytywkę. – Jeśli chcesz, żeby szybko wezwano opiekę społeczną, to zacznij opowiadać o członku ducha.

Darlington nie bardzo wiedział, czego się spodziewał. Martwego rozbójnika czającego się romantycznie za oknem? Banshee wędrującej brzegami rzeki w Los Angeles jak La Llorona? Historia Alex była tak bardzo zwyczajna i okropna jak ona sama. Ktoś zgłosił przypadek Alex opiece społecznej i jeden z algorytmów wyszukujących Lete albo jeden z kontaktów w licznych biurach, którym płacili, wychwycił godne uwagi kluczowe słowa: urojenia, paranoja, duchy. Od tej chwili była pewnie obserwowana.

– A tamtej nocy w mieszkaniu przy Cedros?

Zmarszczyła czoło, a potem powiedziała:

– Ach, masz na myśli Strefę Zero. Nie mów, że nie czytałeś mojej teczki.

– Czytałem. Chcę wiedzieć, jak przeżyłaś.

Alex potarła kciukiem o krawędź parapetu.

– Ja też.

Czy to wystarczyło? Darlington widział zdjęcia z miejsca przestępstwa, film zrobiony przez policjantów, którzy przyjechali na wezwanie. Pięciu mężczyzn nie żyło, wszyscy zostali pobici tak, że byli nie do poznania, dwóch miało przebite serca jak wampiry. Mimo jatki rozbryzgi krwi wskazywały, że to wszystko było dziełem jednego sprawcy – łuki czerwieni zdradzały, że każdy brutalny cios zadano od lewej do prawej.

Coś w tej sprawie śmierdziało, ale Alex nigdy nie była podejrzewana. Przede wszystkim była praworęczna, poza tym zdecydowanie za drobna, żeby uderzać bronią z taką siłą. Ponadto w jej ciele wykryto tyle fentanylu, że miała szczęście, iż sama nie umarła. Włosy miała mokre i znaleziono ją nagą jak nowo narodzoną. Darlington pogrzebał nieco dalej, nie mogąc otrząsnąć się z podejrzeń, ale nie wykryto krwi ani szczątków w odpływie – jeśli była jakoś zaplątana w zbrodnię, to nie zmyła z siebie dowodów. Dlaczego napastnik zostawił dziewczyny w spokoju? Jeżeli policja miała rację i były to porachunki między dilerami, to czemu oszczędzono Alex i jej przyjaciółkę? Handlarze narkotykami, którzy potrafili zatłuc człowieka na śmierć kijem baseballowym, nie wyglądali na takich, co oszczędzają kobiety i dzieci. Może napastnik uznał, że już nie żyją z powodu narkotyków. A może to Alex dała komuś cynk. Z pewnością wiedziała więcej o tym, co się wydarzyło, niż powiedziała policji. Czuł to w kościach.

– Hellie i ja przyćpałyśmy – powiedziała cicho, muskając palcami parapet. – Obudziłam się w szpitalu. Ona w ogóle się nie obudziła.

Nagle wydała mu się bardzo mała i ogarnął go wstyd. Miała dwadzieścia lat, więcej niż większość pierwszoroczniaków, ale nadal pod wieloma względami była dzieckiem w sytuacji, która ją przerastała. Straciła tamtej nocy przyjaciółkę, chłopaka, wszystko, co знаła.

– Chodź ze mną – powiedział.

Nie wiedział, dlaczego właściwie to zrobił. Może miał wyrzuty sumienia z powodu swojego wścibstwa. Może dlatego, że nie zasługiwała na karę za to, że przyjęła propozycję, której nie odrzuciłby nikt przy zdrowych zmysłach.

Zaprowadził ją z powrotem do mrocznej zbrojowni. Nie było tam okien, ściany były zastawione regałami z półkami i szufladami wysokimi na prawie dwa piętra. Potrzebował chwili, żeby znaleźć potrzebny kredens. Kiedy położył rękę na drzwiach, dom zamarł, a potem sprawił, że zamek otworzył się z pełnym dezaprobaty szcękaniem.

Darlington ostrożnie wyjął pudełko – ciężkie, z połyskliwego czarnego drewna, inkrustowane macicą perłową.

– Pewnie będziesz musiała zdjąć koszulę – powiedział – Dam pudełko Dawes, żeby mogła...

– Dawes mnie nie lubi.

– Dawes nikogo nie lubi.

– Proszę – powiedziała i zdjęła koszulę przez głowę, odsłaniając czarny stanik i żebra rysujące się bruzdami jak zaorane pole. – Nie idź po Dawes.

Dlaczego była taka gotowa oddać się w jego ręce? Nie odczuwała strachu czy po prostu była lekkomyślna? Żadna z tych cech nie wróżyła dobrze, jeśli idzie o jej przyszłość w Lete. Wyczuwał jednak, że nie chodzi o żadną z tych rzeczy. Miał wrażenie, że teraz to ona sprawdza jego, jakby rzucała mu kolejne wyzwanie.

– Odrobina przyzwoitości cię nie zabije – powiedział.

– Po co ryzykować?

– Zwykle zanim kobieta rozbierze się przy mnie, otrzymuję jakieś ostrzeżenie.

Alex wzruszyła ramionami i cienie przesunęły się po jej skórze.

– Następnym razem zapalę ognisko sygnałowe.

– Tak będzie najlepiej.

Tatuaże pokrywały ją od nadgarstków po ramiona i rozlewały się pod obojczykami. Wyglądały jak zbroja.

Darlington otworzył pudełko.

Alex nabrała nagle powietrza i odskoczyła do tyłu.

– Co się stało? – zapytał.

Cofnęła się prawie przez pół pokoju.

– Nie lubię motyli.

– To ćmy. – Siedziały w równych rzędach w pudełku, trzepocząc miękkimi białymi skrzydłami.

– Jeden pies.

– Musisz stać nieruchomo – powiedział. – Dasz radę?

– Po co?

– Po prostu zaufaj mi. Warto. – Zastanowił się. – A jeśli nie, to zawiozę cię i twoje współlokatorki do Ikei.

Alex ścisnęła koszulę w zaciśniętej pięści.

– I zabierzesz nas potem na pizzę.

– W porządku.

– A droga ciotka Eileen kupi mi parę nowych ciuchów na jesień.

– Dobrze. A teraz chodź tu, tchórze.

Podeszła do niego z powrotem jakby nieco bokiem, odwracając oczy od zawartości pudełka.

Wyjął jedną ćmę po drugiej i położył je delikatnie na jej skórze. Jedną na jej prawym nadgarstku, jedną na prawym przedramieniu, w zgięciu łokcia, na szczupłym bicepsie, na ramieniu. Powtórzył ten proces z lewą ręką, a potem położył dwie ćmy na jej obojczykach, gdzie znajdowały się głowy dwóch zwijających się czarnych węży, których języki prawie stykały się w zagłębieniu jej gardła.

– *Chabash* – mruknął. Ćmy zgodnie machały skrzydłami. – *Uverat*. – Znowu zatrzepotały skrzydłami i stały się szare. – *Memash*.

Z każdym uderzeniem skrzydeł ćmy stawały się ciemniejsze, a tatuaże zaczęły znikać.

Alex oddychała gwałtownie, oczy miała szeroko otwarte ze strachu, ale kiedy ćmy ciemniały, a atrament znikał z jej skóry, wyraz jej twarzy zmienił się. Rozchyliła usta.

„Widziała umarłych – pomyślał Darlington – widziała potworności, ale nigdy nie widziała magii”.

To dlatego to zrobił, nie z powodu wyrzutów sumienia czy dumy, ale ponieważ to była chwila, na którą czekał: szansa pokazania komuś innemu cudowności, patrzenia, jak ta druga osoba zdaje sobie sprawę, że jej nie okłamano, że świat, jaki jej obiecano, gdy była dzieckiem, nie musi zostać porzucony, że naprawdę coś czai się w lesie, pod schodami, między gwiazdami, że wszystko jest pełne tajemnicy.

Ćmy machały skrzydłami raz za razem, aż stały się czarne i jeszcze czarniejsze. Jedna po drugiej spadały z jej rąk na podłogę z cichutkim szelestem. Ręce Alex były nagie, odarte z wszelkich tatuaży, chociaż w miejscach, gdzie igła weszła głęboko, Darlington nadal widział słabe zarysy rysunków. Alex trzymała rozłożone ręce i miała urywany oddech.

Darlington zebrał kruche ciała ciem i umieścił je delikatnie w pudełku.

– Nie żyją? – szepnęła Alex.

– Upiły się atramentem. – Zamknął wieko i umieścił pudełko z powrotem w kredensie. Tym razem szcęk zamka wydawał się bardziej zrezygnowany. On i dom będą musieli sobie porozmawiać. – Ćmy pocztowe służyły niegdyś do przenoszenia tajnych materiałów. Kiedy wypłył atrament z dokumentu, można było je wysłać gdziekolwiek w kieszeni płaszcza albo w pudle z antykami. Umieszczone na czystej kartce papieru odtwarzały dokument słowo w słowo. O ile odbiorca znał odpowiednią inkantację.

– Czyli moglibyśmy umieścić moje tatuaże na tobie?

– Pewnie nie całkiem pasowałyby, ale moglibyśmy. Uważaj tylko... – machnął ręką – przy porywach namiętności. Ludzka ślina odwraca działanie czaru.

– Tylko ludzka?

– Tak. Możesz spokojnie pozwolić, żeby pies lizał cię po łokciach.

Spojrzała na niego. W półmroku pokoju jej oczy były czarne i dzikie.

– Coś jeszcze?

Nie musiał pytać, co ma na myśli. Czy świat będzie dalej się rozpadał? Czy będą wysypywać się z niego kolejne sekrety?

– Tak. Jest wiele więcej innych rzeczy.

Zawahała się.

– Pokażesz mi?

– Jeśli mi pozwolisz.

Wtedy Alex się uśmiechnęła. To był przelotny uśmiech, mignięcie dziewczyny, która się w niej czaiła – szczęśliwej, mniej nawiedzanej. Tak właśnie działała magia. Odślaniała serce tego, kim byłeś, zanim życie odebrało ci wiarę w to, co możliwe. Oddawała świat, za jakim tęskniły wszystkie samotne dzieci. To właśnie dał mu Dom Lete. Może to samo zrobi dla Alex.

Kilka miesięcy później Darlington przypomni sobie ciężar ciem w dłoni. Pomyśli o tamtej chwili i o tym, jakim był głupcem, myśląc, że cokolwiek wie na temat Alex.

5

ZIMA

Niebo już szarzało, kiedy Alex wreszcie wróciła na teren Starego Kampusu. Zajrzała do Klitki i wzięła prysznic z mydłem z werbeny i pod kadzielnicą z cedrem i palo santo – jedynymi rzeczami, które były w stanie zaradzić smrodowi Zasłony.

Niewiele czasu spędziła w miejscach należących do Lete samotnie. Zawsze towarzyszył jej Darlington i nadal spodziewała się, że zobaczy go na siedzisku w oknie z książką, że usłyszy jego narzekanie, że zużyła całą gorącą wodę. Zasugerował, żeby zostawiła parę swoich rzeczy tutaj i w Il Bastone, ale ona miała tak mało ciuchów, że nie mogła pozwolić sobie na odłożenie dodatkowej pary dżinsów i jednego z dwóch staników gdzieś indziej niż w jej brzydkiej uniwersyteckiej komodzie. Kiedy więc wyszła z łazienki do wąskiej przebieralni, musiała włożyć dresy Domu Lete – z widmowym ogarem Lete wyhaftowanym na lewej piersi i na prawym biodrze, symbolem bez znaczenia dla każdego poza członkami stowarzyszeń. Nadal wisiały tam rzeczy Darlingtona: kurtka Barbour, pasiasty szalik college’u Davenport, schludnie złożone świeże dżinsy, idealnie rozchodzone wysokie skórzane buty inżynierskie i para trzewików od Sperry Top-Siders, które tylko czekały, żeby Darlington w nie wskoczył. Nigdy nie widziała, żeby je nosił, ale może należy mieć jedną parę na wypadek, gdyby trzeba było wejść w rolę grzecznego chłoptasia.

Alex zostawiła zapaloną zieloną biurkową lampkę w Klitce. Dawes się to nie spodoba, ale nie była w stanie zostawić pokojów w ciemności.

Otworzyła właśnie kluczem drzwi wejściowe do Vanderbilt, kiedy dostała wiadomość od dziekana Sandowa: „Rozmawiałem z Centurionem. Możesz przestać się martwić”.

Miała ochotę rzucić telefonem przez dziedziniec. „Możesz przestać się martwić”?! Jeśli Sandow zamierzał sam zająć się morderstwem, to czemu ona

marnowała czas i na dodatek monetę przymusu, odwiedzając miejsce zbrodni? Wiedziała, że dziekan jej nie ufa. Dlaczego miałby? Pewnie siedział do późna z zaparzoną rumianką i ze swoim wielkim psem śpiącym u jego stóp, kiedy dostał wiadomość o śmierci Tary – czekał przy telefonie, żeby mieć pewność, że nic nie zaważyło się podczas wieszczenia i Alex nie przyniosła wstydu sobie i Lete. To jasne, że nie chciał, żeby kręciła się przy morderstwie.

„Możesz przestać się martwić”. Cała reszta pozostała niewypowiedziana: „Nie oczekuję, że się tym zajmiesz. Nikt nie oczekuje, że się tym zajmiesz. Nikt nie oczekuje, że dokonasz czegośkolwiek poza niezwracaniem na siebie uwagi do czasu powrotu Darlingtona”.

O ile go znajdą. O ile zdołają go ściągnąć w jakiś sposób do domu z ciemnego miejsca, do którego trafił, dokądkolwiek właściwie trafił. W ciągu niecałego tygodnia spróbują rytuału podczas nowiu. Alex nie rozumiała konkretów, wiedziała tylko tyle, że dziekan Sandow wierzy, iż to zaszła i że do tego czasu jej zadaniem jest pilnować, żeby nikt nie zadawał zbyt wielu pytań na temat zaginionego złotego chłopca z Lete. Przynajmniej teraz nie miała na głowie morderstwa i nie musiała się martwić kontaktami z gburowatym detektywem.

Kiedy weszła do wspólnego pokoju i okazało się, że Mercy już nie śpi, ucieszyła się, że znalazła czas na prysznic i zmianę ubrania. Myślała, że akademiki będą jak hotele z długimi korytarzami prowadzącymi do sypialni, ale Vanderbilt Hall bardziej przypominał staroświecki blok, wypełniony urywkami cichej muzyki, pomrukującymi i śmiejącymi się ludźmi, kręcącymi się przy wspólnych łazienkach, gdzie echo zatraskiwanych drzwi niesie się centralną klatką schodową. Mieszkanie, które zajmowała na dziko z Lenem, Hellie, Betchą i innymi, było hałaśliwe, ale westchnienia i jęki brzmiały tam inaczej – jak przegrane, jak dobiegające z umierającego ciała.

– Nie śpisz – powiedziała Alex.

Mercy podniosła wzrok znad egzemplarza Do latarni morskiej o stronach grubych od pastelowych przyklepanych karteczek z notatkami. Włosy miała zaplecione w wyrefinowany warkocz. Zamiast zawinąć się w tutejszą złaćmanioną szydełkową narzutę, narzuciła na dzinsy jedwabny szlafrok w niebieskie hiacynty.

– Wróciłaś w ogóle wczoraj wieczorem?

Alex postanowiła zaryzykować.

– Pewnie, ty już chrapałaś. Wstałam, żeby się przebiec.

– Byłaś na siłowni? Prysznicie są otwarte o tej porze?

– Dla obsługi, krewnych i znajomych królika.

Alex nie była tego pewna, ale wiedziała, że nie ma rzeczy, która mniej interesowałaby Mercy od sportu. Poza tym Alex nie miała butów biegowych ani sportowego stanika, a Mercy nigdy o to nie zapytała. Ludzie nie szukają kłamstw, za którymi nie stoi konkretny powód, a dlaczego ktoś miałby kłamać, że idzie na poranną przebieżkę?

– Świry.

Mercy rzuciła jej spięte zszywką strony. Alex je złapała, ale nie mogła się zmusić, żeby na nie spojrzeć. Jej esej z Miliona. Mercy zaproponowała, że go przeczyta. Alex już wszędzie widziała jej czerwony długopis.

– Co myślisz? – zapytała, drepcząc do ich sypialni.

– Nie jest źle.

– Ale dobrze też nie jest – mruknęła Alex, wchodząc do ich maleńkiej jaskini i zdejmując dres.

Mercy pokryła swoją część ściany plakatami, rodzinnymi zdjęciami, odcinkami biletów z przedstawień na Broadwayu, wierszami napisanymi chińskimi znakami, których – jak kiedyś wyjaśniła – rodzice kazali jej wyuczyć się na pamięć z okazji uroczystych kolacji, gdy była dzieckiem, ale które potem pokochała, serią szkiców Alexandra McQueena, gwiazdą z chińskich czerwonych kopert. Alex wiedziała, że to po części gra, konstrukcja osoby, jaką Mercy chciała być w Yale, ale każda rzecz, każdy przedmiot z czymś ją wiązał. Alex czuła się jak ktoś, kto zjawiał się przed czasem i odciął wszystkie łączące go ze światem nici. Najbardziej z jej prawdziwą przeszłością łączyła ją babcia, ale Estrea Stern zmarła, kiedy Alex miała dziewięć lat. A Mira Stern co prawda ją opłakiwała, ale nie interesowała się opowieściami matki ani jej piosenkami, sposobem, w jaki gotowała albo się modliła. Uważała się za poszukiwacza – homeopatia, alopatia, lecznicze kamienie szlachetne, Kryon, spirit science, trzy miesiące, gdy do wszystkiego dokładała spiruliny – każdą z tych rzeczy przyjmowała z tym samym zaciekleńcem optymizmem, ciągnąc Alex od jednego panaceum na wszystkie bolączki do następnego. Jeśli idzie o ojca Alex, Mira miała mgliste pojęcie o szczegółach, a gdyby zacząć ją naciskać, mówiła jeszcze bardziej mgliście. Był znakiem zapytania, widmową połową Alex. Wiedziała tylko, że kochał ocean, że był spod Bliźniąt, że był Latynosem – Mira nie potrafiła powiedzieć, czy pochodził z Dominikany, Gwatemali czy z Puerto Rico, wiedziała jednak, że miał Wodnika w ascendencie i księżyc w Skorpionie. Czy coś w tym guście. Alex nie pamiętała.

Przywiozła niewiele rzeczy z domu. Nie chciała wracać do Strefy Zero po swoje stare rzeczy, a to, co zostało w mieszkaniu matki, należało do małej dziewczynki – plastikowe kucyki, rozetki z kolorowych wstążek, gumki do ścierania o zapachu gumy do żucia. Ostatecznie spakowała kawał dymnego

kwarcu, który dała jej matka, prawie nieczytelne kartki z przepisami swojej babci, drzewko na kolczyki, które miała od ósmego roku życia, i mapę Kalifornii w stylu retro, którą powiesiła obok plakatu z Coco Chanel Mercy.

– Wiem, że była faszystką – powiedziała wtedy Mercy – ale nie potrafię jej porzucić.

Dziekan Sandow zasugerował Alex, żeby kupiła parę szkicowników i węgiel, a ona posłusznie położyła je na w połowie pustej komodzie, żeby robiły za przykrywkę.

Alex starała się wybrać możliwie najłatwiejsze przedmioty: literatura angielska, obowiązkowy hiszpański, wstępny kurs socjologii, malarstwo. Myślała, że przynajmniej literatura będzie łatwa, bo lubiła czytać; nawet kiedy w szkole naprawdę źle jej szło, wciąż udawało jej się mydlić nauczycielom oczy na zajęciach z literatury. Jednak ten angielski to był zupełnie inny język. Dostała niedostateczny za pierwszą pracę, a uwaga prowadzącego brzmiała: „To streszczenie książki”. Było zupełnie jak w szkole średniej, tyle że tym razem naprawdę się starała.

– Kocham cię, ale ten esej to chaos – odezwała się ze wspólnego pokoju Mercy. – Pewnie lepiej byłoby, gdybyś mniej czasu poświęcała na sport, a więcej na naukę.

„Bez jaj” – pomyślała Alex. Mercy czeka prawdziwa niespodzianka, jeśli kiedyś poprosi ją, żeby przebiegły się razem albo żeby Alex pomogła jej podnieść coś ciężkiego.

– Możemy go przejrzeć przy śniadaniu – zaproponowała Mercy.

Alex marzyła tylko o tym, żeby się przespać, ale ludzie zwykle nie idą do łóżka po bieganiu, a Mercy wyświadczyła jej przysługę, przeglądając jej pracę z angielskiego, więc zdecydowanie powinna zgodzić się na śniadanie. Dom Lete załatwił Alex korepetytora, doktoranta ze studiów amerykańskich imieniem Angus, który przez większość ich cotygodniowych spotkań siedział pochylony nad pracą Alex, prychał zniecierpliwiony i kręcił głową jak koń trapiiony przez chmarę much. Mercy nie była szczególnie delikatna, ale miała o wiele więcej cierpliwości.

Alex wciągnęła dzinsy i T-shirt, a potem czarny kaszmirowy sweter, który bardzo sobie ceniła, odkąd wypatrzyła go w Target. Dopiero kiedy zobaczyła puszysty lawendowy pulower Lauren i niemądrze zapytała: „Z czego jest zrobiony?”, zrozumiała, że istnieje tyle różnych rodzajów kaszmiru, ile jest rodzajów trawki, i że jej własny żaloszny sweter z wyprzedaży to same łądźki i nasiona. Przynajmniej był ciepły.

Jeszcze raz spryskała płaszcz olejkiem cedrowym, na wypadek gdyby nadal pachniał Zaslona, sięgnęła po torbę i się zawahała. Otworzyła szufladę komody

i pogrzebała w głębi, aż znalazła małą buteleczkę czegoś, co wyglądało jak zwykle krople do oczu. Zanim zdążyła dobrze się nad tym zastanowić, odchyliła głowę i wkropiła sobie po dwie krople basso belladony do oczu. To był stymulant, i to silny, trochę jak magiczny adderall. Zjazd potem był brutalny, ale Alex nie miała szansy przetrwać ranka bez pomocy. Dawni członkowie Lete prowadzili pamiętniki z okresu, który spędzili w Domu, i mieli w zanadrzu mnóstwo ułatwiających im życie sztuczek. Alex odkryła tę już po zniknięciu Darlingtona.

Wyszła z powrotem na chłód poranka w towarzystwie Mercy. Zawsze lubiła drogę ze Starego Kampusu do jadalni JE, ale dziedziniec wyglądał gorzej w szarości dnia. Nocą brudne zasy śniegu lśniły mgliście i bieliły się, ale teraz były brązowe i szare na brzegach jak stopy brudnych prześcieradeł gotowych do prania. Harkness Tower majaczyła nad nimi jak topiąca się świeca, dzwony wybijały godzinę.

Alex potrzebowała kilku tygodni, zanim zrozumiała, dlaczego ma wrażenie, że z Yale jest coś nie tak. Całkowicie brakowało mu szyku. W LA nawet w Valley, nawet w najgorsze swoje dni miasto miało styl. Nawet matka Alex z fioletowymi cieniami do oczu i kawałkami turkusów, nawet ich obskurne mieszkanie z szalami narzuconymi na lampy, nawet jej przyjaciele bez grosza zbierający się przy podwórkowym grillu, dochodzący do siebie po poprzedniej nocy, dziewczyny w obcisłych szortach, odsłaniające brzuchy, z długimi włosami sięgającymi krzyża, chłopcy z ogolonymi głowami albo jedwabistymi kokami na czubku głowy lub grubymi dreadami. Wszystko i wszyscy starali się o wygląd.

Tutaj jednak kolory jakby się rozmazywały. Obowiązywało swoiste umundurowanie: sportowcy w baseballowych czapkach noszonych tył naprzód i w długich luźnych szortach bez względu na chłód, z kluczami na sznurku, którymi wymachiwali jak dandysi; dziewczyny w džinsach i pikowanych kurtkach; dzieciaki związane z teatrem z nastroszonymi włosami farbowanymi samodzielnie w oranżadzie Kool-Aid. Ubrania, samochód, dudniąca z niego muzyka miały mówić ludziom, kim jesteś. Tutaj miało się wrażenie, że ktoś spiłował wszystkie numery seryjne, usunął odciski palców. „Kim jesteś? – zastanawiała się czasem Alex, patrząc na kolejną dziewczynę w granatowym marynarskim płaszczu, z bladą twarzą jak księżyc pod wełnianą czapką, z kucykiem jak z martwym zwierzątkiem na ramieniu. – Kim jesteś?”.

Mercy stanowiła wyjątek. Lubiała łączyć szalone kwieciste wzory z wydawałoby się niekończącą się paradą okularów, które nosiła na szyi na błyszczących sznurkach, ale Alex jeszcze nie widziała, żeby ich używała. Dzisiaj wybrała brokatowy płaszcz w poinsecje, w którym wyglądała jak najmłodsza na

świecie ekscentryczna babcia. Kiedy Alex uniosła brwi, Mercy powiedziała tylko:

– Lubię wyrazistość.

Weszły do świetlicy Jonathana Edwarda i owiało je ciepłe powietrze. Zimowe światło kładło się wodnistymi pasami na skórzanych kanapach – było to tylko fałszywie skromne preludium do wysokich krokwi i kamiennych nisz jadalni.

Mercy roześmiała się.

– Widzę u ciebie taki uśmiech tylko wtedy, gdy mamy jeść.

To prawda. Jeśli Biblioteka Beinecke była świątynią Darlingtona, to jadalnia była miejscem, które Alex codziennie czciła. W ich norze w Van Nuys żyli na jedzeniu z Taco Bell i Subwaya, kiedy byli przy forsie, i na suchych płatkach śniadaniowych (czasem namoczonych w oranżadzie, gdy byli naprawdę zdesperowani), kiedy byli splukani. Kradła paczkę bułek do hot dogów, kiedy tylko zapraszano ich na grilla u Eitana, żeby mieli na czym rozsmarować masło orzechowe. Raz nawet spróbowała zjeść trochę suchej karmy Lokiego, ale nie była w stanie jej rozgryźć. Nawet kiedy mieszkała z matką, żyły na mrożonkach, gotowych daniach z ryżem w torebkach, a potem na dziwnych koktajlach i batonikach odżywczych, kiedy Mira dała się wciągnąć w sprzedaż produktów Herbalife. Alex całymi tygodniami zabierała proteinowy pudding do szkoły.

Myśl, że gorące jedzenie czeka na nią trzy razy dziennie, nadal ją szokowała. Jednak nie miało znaczenia, co jadła ani ile – jakby jej ciało zbyt długo głodowało i teraz wiecznie czuła, że niedojada. Co godzinę burczało jej w brzuchu, jakby miała tam dzwony z Harkness Tower. Alex zawsze zabierała ze sobą dwie kanapki na dzień i parę czekoladowych ciastek zawiniętych w serwetkę. Zapas jedzenia w plecaku był dla niej jak przytulanka dla dziecka. Gdyby to wszystko się skończyło, gdyby to wszystko jej odebrano, to przynajmniej nie chodziłaby głodna przez następne dwa dni.

– To dobrze, że tyle ćwiczysz – zauważyła Mercy, kiedy Alex napychała się muesli. Tyle że Alex, rzecz jasna, wcale nie ćwiczyła, więc w końcu jej metabolizm przestanie współpracować, ona jednak w ogóle się tym nie przejmowała. – Myślisz, że to przesada włożyć spódnice na Omega Krach jutro wieczorem?

– Nadal realizujesz swój plan z bractwami?

Omega Krach stanowił część planu Mercy – Planu Pięciu Imprez – mającego na celu zrobienie z Alex bardziej towarzyskiego człowieka.

– Niektórzy z nas nie mają przystojnego kuzyna, który zabierałby nas w ciekawe miejsca, więc dopóki nie dostanę zaproszenia na coś lepszego, to

owszem. To nie szkoła średnia. Nie musimy być ofiarami losu, czekającymi, aż ktoś nas zaprosi. Za dużo fajnych strojów zmarnowałam przez ciebie.

– W porządku, włożę spódnicę, jeśli ty też włożysz spódnicę – ustąpiła Alex.
– Poza tym... będę musiała pożyczyć spódnicę.

Nikt nie stroił się na imprezy bractwa, ale jeśli Mercy chciała ładnie wyglądać dla bandy chłopaków w kombinezonach ochronnych, to tak właśnie zrobią.

– Powinnaś włożyć te swoje wysoko sznurowane buty – dodała. – Idę po dokładkę.

Basso belladonna zaczęła działać akurat wtedy, kiedy nakładała na tacę naleśniki z masłem orzechowym. Alex nabrała gwałtownie powietrza, kiedy nagle się rozbudziła. To trochę przypominało uczucie, jakby ktoś rozbił jej lodowato zimne jajko na karku. Oczywiście w tej samej chwili profesor Belbalm pomachała do niej od stolika pod oknem w kącie jadalni. Jej gładkie białe włosy lśniły jak głowa foki wynurzająca się z wody.

– Kurwa – mruknęła pod nosem Alex i zaraz skrzywiła się, kiedy usta Belbalm drgnęły, jakby mogła ją usłyszeć.

– Daj mi chwilę – powiedziała do Mercy i odstawiła swoją tacę na stół.

Marguerite Belbalm była Francuzką, ale mówiła doskonałą angielszczyzną. Jej włosy były białe jak śnieg i układały się w gładkiego, surowego pazia, który wyglądał jak wyrzeźbiony z kości hełm, założony ostrożnie na głowę. Nosiła asymetryczne czarne stroje, które układały się w nadzwyczaj szykowne fałdy, i miała w sobie bezruch, który przyprawiał Alex o nerwowe tiki. Alex była pod jej wrażeniem od pierwszego spojrzenia na smukłą, nieskazitelną postać na spotkaniu orientacyjnym w JE College, odkąd pierwszy raz poczuła jej pieprzowe perfumy. Była profesorem studiów feministycznych, szefową college'u i jedną z najmłodszych osób, jakie zdobyły tu kiedykolwiek stały etat. Alex nie do końca wiedziała, z czym się wiąże stały etat ani czy „najmłodsza” oznacza trzydziestkę, czterdziestkę czy pięćdziesiątkę. Zależnie od światła Belbalm mogła być w dowolnym wieku w tym przedziale. W tej chwili z basso belladonną w ciele dla Alex wyglądała jak zroszona rosą trzydziestolatka, a światło odbijające się z brzękiem od jej białych włosów wyglądało jak maleńkie spadające gwiazdki.

– Dzień dobry – przywitała się Alex, stając za jednym z drewnianych krzesel.

– Alexandro – powiedziała Belbalm, opierając podbródek na złożonych dłoniach. Zawsze przekręcała jej imię, a ona nigdy jej nie poprawiała. Przyznanie się tej kobiecie, że nazywa się Galaxy, było nie do pomyślenia. – Wiem, że śniadasz z przyjaciółką, ale muszę cię na chwilę ukraść. – „Śniadać”, Alex nigdy

w życiu nie słyszała czasownika z większą klasą. Plasował się tuż obok rzeczownika „wilegiatura”. – Masz chwilę? – Jej pytania nigdy nie brzmiały jak pytania. – Pójdiesz ze mną do gabinetu, prawda? Żebyśmy mogły porozmawiać.

– Oczywiście – odpowiedziała Alex, chociaż tak naprawdę to chciała zapytać: „Mam kłopoty?”.

Kiedy Alex dostała warunkową zgodę na pozostanie w szkole pod koniec pierwszego semestru, Belbalm przekazała jej wiadomość, siedząc w swoim elegancko urządzonej gabinecie, a przed nią leżały trzy prace Alex: jedna na zajęcia z socjologii na temat katastrof organizacyjnych na podstawie książki *Najlepsi. Kowboje, którzy polecieeli w kosmos*; druga na temat *Late Air* Elizabeth Bishop, wiersza, który wybrała ze względu na jego krótkość, i dopiero poniewczasie zdała sobie sprawę, że nie ma nic do powiedzenia na jego temat, a nie mogła nawet wypełnić pracy ładnymi, długimi cytatami, oraz trzecia na zajęcia ze Swifta, o których myślała, że będą zabawne z racji *Podróży Guliwera*. Okazało się, że *Podróże Guliwera*, które czytała, były dla dzieci i nie miały nic wspólnego z nieprzeniknionym oryginałem.

Belbalm przesunęła wtedy dłonią po zadrukowanych stronach i delikatnie oznajmiła, że Alex powinna była ujawnić swój problem z nauką.

– Jesteś dyslektyczką, prawda?

– Tak – skłamała wtedy Alex, bo musiała podać jakiś powód, dla którego była tak bardzo w tyle za pozostałymi. Czuła, że powinna się wstydzić, bo nie wyprowadziła Belbalm z błędu, ale zamierzała wykorzystać wszelką dostępną pomoc.

Zatem o co chodziło teraz? Nowy semestr ledwie się zaczął, Alex jeszcze nie zdążyła go zawalić.

Belbalm mrugnęła porozumiewawczo i ucisnęła rękę Alex.

– To nic strasznego. Nie musisz mieć takiej miny, jakbyś była gotowa uciekać.

Palce miała zimne i kościste, twarde jak marmur; na serdecznym palcu błyszczał ciemną szarością samotny wielki kamień. Alex wiedziała, że się gapi, ale narkotyk w ciele sprawił, że pierścionek był jak góra, jak ołtarz, jak planeta na orbicie.

– Wolę pojedyncze sztuki biżuterii – powiedziała Belbalm. – Urok prostoty, hmm?

Alex skinęła głową i oderwała wzrok. Nosila kolczyki typu trzy pary za pięć dolarów, które zwędziła ze stojaka w Claire’s w pasażu handlowym. Prostota.

– Chodź – rzuciła Belbalm, wstając i machając elegancką ręką.

– Pójdę tylko po torbę. – Alex wróciła do Mercy, wepchnęła sobie naleśnik do ust i zaczęła nerwowo przeżuwać.

– Widziałaś to? – zapytała Mercy, odwracając telefon do Alex. – Jakaś dziewczyna z New Haven została wczoraj w nocy zabita. Przed Payne Whitney. Musiałaś dziś rano przejść tuż obok miejsca przestępstwa!

– Do diabła – mruknęła Alex, obrzucając wzrokiem ekran telefonu Mercy. – Widziałam światła. Myślałam, że to wypadek samochodowy.

– To przerażające. Miała raptem dziewiętnaście lat. – Mercy potarła rękę. – Czego chce La Belle Belbalm? Myślałam, że przejrzymy twoją pracę.

Świat się skrzył. Alex czuła się rozbudzona, zdolna do wszystkiego. Mercy była szczodra i Alex chciała z nią popracować, zanim pobudzenie zacznie słabnąć, ale nic nie mogła na to poradzić.

– Ma teraz czas, a ja muszę porozmawiać z nią na temat mojego harmonogramu zajęć. Spotkamy się później w pokoju?

„Ta suka potrafi kłamać jak z nut” – powiedział raz Len o Alex. Powiedział mnóstwo rzeczy przed swoją śmiercią.

Alex wyszła za profesor z jadalni i przeszła przez dziedziniec do jej gabinetu. Czuła się fatalnie, zostawiając Mercy. Mercy pochodziła z zamożnych przedmieść Chicago. Oboje jej rodzice byli profesorami, a ona sama napisała jakąś zwariowaną pracę, która zaimponowała nawet Darlingtonowi. Ona i Alex nie miały ze sobą nic wspólnego. Obie jednak były dziećmi, które nie mają z kim usiąść w stołówce, a Mercy nie śmiała się, kiedy Alex przekreśliła nazwisko Goethego. Przy niej i Lauren łatwiej było udawać osobę, którą miała niby być. Jednak jeśli La Belle Belbalm żądała twojej obecności, to nie można było odmówić.

Belbalm miała dwoje asystentów, którzy na zmianę siedzieli przy biurku przed jej gabinetem. Tego ranka to był bardzo entuzjastyczny i bardzo przystojny Colin Khatri. Był członkiem Zwoju i Klucza, jakimś genialnym chemikiem.

– Alex! – wykrzyknął, jakby była najbardziej wyczekiwany gościem na przyjęciu.

Entuzjazm Colina zawsze sprawiał wrażenie szczerego, ale czasem sama ilość watów w jego uśmiechu sprawiała, że Alex miała ochotę zrobić coś nagłego i agresywnego, na przykład przebić mu dłoń ołówkiem. Belbalm powiesiła elegancki płaszcz na wieszaku i wezwała Alex do swojego sanktuarium.

– Herbata, Colinie? – rzuciła pytająco.

– Oczywiście – odpowiedział rozpromieniony bardziej jak akolita niż asystent.

– Dziękuję, skarbie.

„Płaszcz” – powiedział bezgłośnie Colin, ruszając tylko ustami. Alex rzuciła kurtkę. Zapytała go kiedyś, co Belbalm wie o stowarzyszeniach.

– Nic – odpowiedział wtedy. – Uważa, że to elitarystyczna bzdura uprawiana przez absolwentów.

Nie myliła się. Alex myślała, że musi kryć się w nich coś magicznego. Niestety to byli po prostu faworyci: potomkowie członków, prymusi, charyzmatyczne dziewczyny, redaktor „Daily News”, rozgrywający z zespołu futbolowego, dzieciak, który wyreżyserował szczególnie kontrowersyjne przedstawienie na podstawie sztuki Equus, którego nikt nie chciał oglądać. Ludzie, którzy kiedyś będą prowadzić fundusze hedgingowe, otwierać nowe firmy i pojawiać się jako główni producenci w napisach końcowych.

Alex weszła za Belbalm do gabinetu. Ogarnął ją spokój tego miejsca. Książki na regałach, starannie dobrane pamiątki z podróży Belbalm – karafka z dmuchanego szkła, wybrzuszona jak ciało meduzy, jakieś antyczne zwierciadło, zioła kwitnące na parapecie w białych ceramicznych doniczkach wyglądających jak geometryczne rzeźby. Nawet światło słoneczne wydawało się tu łagodniejsze.

Alex głęboko odetchnęła.

– Za dużo perfum? – zapytała Belbalm z uśmiechem.

– Nie! – zaprotestowała głośno Alex. – Są piękne.

Belbalm opadła z wdziękiem na krzesło za biurkiem i wskazała, żeby Alex też usiadła na zielonej aksamitnej kanapie naprzeciwko.

– Le Parfum de Thérèse – powiedziała. – Edmonda Roudnitska. Był jednym z najwspanialszych nosów XX wieku i zaprojektował ten zapach dla swojej żony. Tylko ona mogła używać tych perfum. Romantyczne, prawda?

– Więc...

– Jakim cudem ja je mam? Cóż, oboje zmarli, a można było zarobić, więc Frédéric Malle wystawił je na rynek, żebyśmy my, prostaczkowie, mogli je kupić.

„Prostaczkowie” to słowo, którego biedni ludzie nigdy nie używają. Tak jak ludzie z klasą nie mówią „ludzie z klasą”. Jednak Belbalm uśmiechnęła się w sposób, który obejmował też Alex, więc Alex odwzajemniła się, mając nadzieję, że jej uśmiech wypadł równie znacząco.

Pojawił się Colin, niosąc tacę z serwisem herbacianym w kolorze czerwonej gliny. Postawił ją na krawędzi biurka.

– Coś jeszcze? – zapytał z nadzieją.

Belbalm go przegoniła.

– Idź zająć się czymś ważnym. – Nalała trochę herbaty i podała filiżankę Alex. – Poczęstuj się mlekiem i cukrem, jeśli chcesz. Jest też świeża mięta. –

Podniosła się i odłamała gałązkę z jednego z ziół na parapecie.

– Poproszę miętę – odpowiedziała Alex, biorąc gałązkę i naśladując ruchy Belbalm: zmiażdżyła listki i wrzuciła do filiżanki.

Belbalm usiadła prosto i wypila łyk herbaty. Alex zrobiła to samo i ukryła wzdrygnięcie, gdy sparzyła sobie język.

– Rozumiem, że słyszałaś nowinę o tej biednej dziewczynie?

– O Tarze?

Belbalm uniosła brew.

– Tak, o Tarze Hutchins. Znałaś ją?

– Nie – odpowiedziała Alex, rozżłoszczona własną głupotą. – Dopiero co o niej czytałam.

– Potworna rzecz. A ja powiem jeszcze potworniejszą rzecz i przyznam, że cieszę się, iż nie była studentką. Co w żadnej mierze nie umniejsza straty, rzecz jasna.

– Rzecz jasna – przytaknęła Alex, chociaż była przekonana, że słowa Belbalm sprowadzają się dokładnie do tego, co sugerowały.

– Alex, czego chcesz od Yale?

„Pieniądzy”. Alex wiedziała, że Marguerite Belbalm uznałaby taką odpowiedź za beznadziejnie prymitywną. „Kiedy zobaczyłaś ich po raz pierwszy?” – zapytał Darlington. Może wszyscy bogaci ludzie zadają niewłaściwe pytania. Dla ludzi takich jak Alex nigdy nie chodzi o to, „czego chcesz”. Zawsze chodzi o to, „ile mogę z tego wyciągnąć”. Dość, żeby przetrwać? Dość, żeby zająć się matką, kiedy znowu wszystko się schrzani, jak to zawsze, ale to zawsze bywa?

Alex nic nie odpowiedziała, więc Belbalm spróbowała raz jeszcze.

– Dlaczego wybrałaś Yale zamiast szkoły plastycznej?

Dom Lete zrobił dla niej obrazy, sfabrykował ścieżkę sukcesów i entuzjastycznych rekomendacji, żeby wyjaśnić braki w jej edukacji.

– Jestem dobra, ale nie dość dobra, żeby mieć szansę.

To prawda. Magia mogła stworzyć kompetentnych malarzy, biegłych muzyków, ale nie geniuszy. Alex dodała fakultatywne zajęcia ze sztuki do planu zajęć, bo tego od niej oczekiwano, i okazały się najprostszą częścią jej akademickiego życia. Ponieważ to nie jej ręka poruszała pędzlem. Kiedy pamiętała, żeby sięgnąć po szkicowniki, których zakup zasugerował Sandow, przypominało to ruch krążka po tablicy Quija, chociaż obrazy, które się pojawiały, wynurzały się z jej wnętrza – półnagi Betcha pijący z dziury w puszcze, Hellie z profilu, z motylimi skrzydłami wyrastającymi z jej pleców.

– Nie będę cię oskarżać o fałszywą skromność. Ufam, że znasz swój talent. – Belbalm znowu napiła się herbaty. – Świat jest dostatecznie trudny dla artystów,

k którzy są dobrzy, ale nie naprawdę wielcy. Zatem czego pragniesz? Stabilizacji? Stałej pracy?

– Tak – odpowiedziała Alex i mimo jej najlepszych intencji w tym słowie wybrzmiała nuta rozdrażnienia.

– Mylisz się co do mnie, Alexandro. To żadna zbrodnia pragnąć takich rzeczy. Tylko ludzie, którzy zawsze żyli w komforcie, wyśmiewają takie pragnienia jako burżuazyjne. – Mrugnęła porozumiewawczo. – Najprawdziwsi marksystami są zawsze mężczyźni. Nieszczęścia zbyt łatwo przydarzają się kobietom. Nasze życie może rozpaść się pod wpływem jednego gestu, jednej zabłąkanej fali. A pieniądze? Pieniądze to skała, której możemy się uczepić, kiedy porwie nas prąd.

– Właśnie – przytaknęła jej Alex, pochylając się do przodu.

Tego właśnie matka Alex nigdy nie zdołała pojąć. Mira uwielbiała sztukę, prawdę i wolność. Nie chciała być częścią maszyny. Tyle że maszyna miała to gdzieś. Maszyna nadal miała i wciągnęła ją w swoje tryby.

Belbalm odstawiła filiżankę na spodek.

– Kiedy więc już będziesz miała pieniądze, kiedy już przestaniesz czepiać się skały i wespiesz się na nią, co tam zbudujesz? Kiedy już staniesz na skale, czego będziesz nauczać?

Alex poczuła, że całe zainteresowanie z niej uchodzi. Naprawdę oczekiwano, że będzie miała coś do powiedzenia? Jakąś mądrość do przekazania? „Zostańcie w szkole? Nie bierzcie narkotyków? Nie bzykajcie się z niewłaściwymi facetami? Nie pozwólcie, żeby niewłaściwi faceci pieprzyli się z wami? Bądźcie mili dla rodziców, nawet jeśli na to nie zasługują, bo stać ich na to, żeby zabrać was do dentysty? Miejcie skromniejsze marzenia? Nie pozwólcie umrzeć dziewczynie, którą kochacie?”.

Milczenie się przeciągało. Alex spojrzała na listki mięty pływające w herbacie.

– Cóż – powiedziała z westchnieniem profesor Belbalm – pytam cię o to, bo nie wiem, jak inaczej cię zmotywować. Zastanawiasz się, dlaczego się przejmuję?

Tak naprawdę to Alex w ogóle to nie interesowało. Po prostu zakładała, że Belbalm poważnie traktuje pracę szefowej JE, że troszczy się o wszystkich swoich studentów. Jednak skinęła głową.

– Wszyscy od czegoś zaczynamy. Zbyt wiele z tych dzieciaków dostało wszystko na tacy. Zapomnieli sięgać. Ty jesteś głodna, a ja szanuję głód. – Popukała w biurko dwoma palcami. – Ale czego jesteś głodna? Rozwijasz się, widzę to. Myślę, że znalazłaś sobie pomoc, to dobrze. Ewidentnie jesteś bystrą dziewczyną. Warunek to rzecz budząca niepokój, ale naprawdę martwi mnie to,

że zajęcia, które wybrałaś, łączy tylko jedna rzecz: łatwość ich zaliczenia. Nie możesz po prostu prześlizgnąć się tu przez studia.

„Mogę i tak właśnie zrobić” – pomyślała Alex, powiedziała jednak tylko:

– Przepraszam.

Mówiła szczerze. Belbalm szukała jakiegoś ukrytego potencjału, żeby go odblokować, a Alex ją rozczaruje.

Belbalm zbyła przeprosiny machnięciem ręki.

– Pomyśl o tym, czego chcesz. Może to nie jest coś, co znajdziesz tutaj. Jeśli jednak jest, to zrobię, co w mojej mocy, żeby pomóc ci tu zostać.

Tego właśnie chciała Alex – niezmaconego spokoju tego gabinetu, delikatnego światła wpadającego przez okna, mięty, bazylii i majeranku rosnących koronkowymi kępkami.

– Zastanawiałaś się nad planami na lato? – zapytała Belbalm. – Rozważyłabyś zostanieie tutaj? Pracę dla mnie?

Alex błyskawicznie poderwała głowę.

– A co takiego mogłabym dla pani robić?

Belbalm się roześmiała.

– Myślisz, że Isabel i Colin wykonują skomplikowane zadania? Pilnują mojego kalendarza, zajmują się moimi papierami, organizują mi życie, żebym ja nie musiała się tym zajmować. Nie wątpię, że poradziłabyś sobie z tymi rzeczami. Mamy letni program pisania, który myślę, że mógłby doprowadzić twoje prace pisemne do poziomu, na którym powinny się znajdować, żebyś mogła tu zostać. Mogłabyś zacząć zastanawiać się, co widzisz jako swoją drogę zawodową. Nie chcę patrzeć, jak zostajesz w tyle.

Lato, żeby nadrobić zaległości, żeby złapać oddech. Alex była dobra w ocenie ryzyka. Musiała być. Zanim zawrzesz umowę, musisz wiedzieć, czy można się z niej wypisać. Wiedziała też, że ma małe szanse prześlizgnąć się przez całe cztery lata w Yale. Z Darlingtonem pod ręką wyglądałoby to inaczej. On jednak przepadł, kto wie na jak długo, a ona miała już serdecznie dość tej orki na ugorze.

Belbalm proponowała trzy miesiące oddechu, dochodzenia do siebie, robienia planów, gromadzenia zasobów, żeby stać się prawdziwym studentem Yale, a nie tylko grać tę rolę za pieniądze Lete.

– Jak to pani widzi? – zapytała.

Chciała odstawić filiżankę, ale ręka tak jej się trzęsła, że bała się, iż naczynie brzęknie.

– Pokaż mi, że jesteś w stanie nadal się poprawiać. Skończ rok z mocną pozycją. A kiedy następnym razem zapytam cię, czego chcesz, oczekuję odpowiedzi. Słyszałaś o moim salonie? Ostatnie spotkanie odbyło się

wczorajszego wieczoru, ale będzie następne w przyszłym tygodniu. Możesz zacząć się pojawiać.

– Dam radę – odpowiedziała, chociaż nie była pewna, czy zdoła. – Mogę to zrobić. Dziękuję.

– Nie dziękuj mi, Alex. – Belbalm spojrzała na nią znad krawędzi czerwonej filiżanki. – Po prostu weź się do pracy.

Alex czuła się lekka, gdy wypłynęła z gabinetu i pomachała do Colina. Znalazła się na zupełnie cichym dziedzińcu. Czasem tak się zdarzało – wszystkie drzwi zamknięte, nikt nie idzie na posiłek albo zajęcia, wszystkie okna pozamykane z powodu zimna i człowiek natrafia na strefę ciszy. Alex pozwoliła, żeby spokój ją opłynął, wyobraziła sobie, że otaczające ją budynki zostały porzucone.

Jak wyglądałby kampus latem? Byłoby cicho jak teraz? Parno i pusto, miasto pod szkłem. Alex spędziła przerwę zimową zaszyta w Il Bastone, oglądając filmy na laptopie, który kupił jej Dom Lete, i cały czas się obawiała, że zaraz pojawi się Dawes. Rozmawiała przez Skype'a z mamą i wychodziła tylko na pizzę i makaron. Nawet Szarzy zniknęli, jakby bez podniecenia i niepokoju studentów nic nie przyciągało ich do kampusu.

Alex pomyślała o bezruchu, późnych porankach, które może przynieść lato. Mogłaby siedzieć za tym biurkiem, gdzie siadywali Colin i Isabel, parzyć herbatę, aktualizować stronę internetową college'u, robić to, co trzeba zrobić. Wybrałaby sobie zajęcia, których program mało się zmienia. Mogłaby przeczytać lektury z wyprzedzeniem, pójść na kurs pisania, żeby nie musieć tak bardzo polegać na Mercy – o ile Mercy w ogóle będzie chciała mieszkać z nią w przyszłym roku.

Przyszły rok. Magiczne słowa. Belbalm zbudowała jej most do potencjalnej przyszłości. Alex musiała go tylko przejść. Matka będzie rozczarowana, kiedy Alex nie przyjedzie do domu w Kalifornii... Chociaż czy aby na pewno? Może tak będzie łatwiej. Kiedy Alex powiedziała matce, że wyjeżdża do Yale, Mira spojrzała na nią z takim smutkiem, że Alex potrzebowała długiej chwili, zanim zrozumiała, że matka uznała, iż jest naćpana. Z poczuciem winy Alex sfotografowała pusty dziedziniec i wysłała matce. „Zimny poranek!”. Wiadomość bez znaczenia, ale dowód, że Alex nic nie jest i że jest tutaj. Dowód życia.

Wskoczyła do łazienki przed pójściem na zajęcia, przeczesała włosy palcami. Ona i Hellie uwielbiały się malować, wydawały ostatnie resztki luźnej gotówki na brokatowy eyeliner albo błyszczący do ust. Czasem jej tego brakowało. Tutaj makijaż znaczył coś innego; sygnalizował wysiłek, który był nie do przyjęcia.

Alex przetrwała lekcję hiszpańskiego, nudną, ale znośną, bo wymagała od niej jedynie nauki na pamięć. Wszyscy rozmawiali o Tarze Hutchins, chociaż nikt nie nazywał jej po imieniu. Była martwą dziewczyną, ofiarą morderstwa, dziewczyną z miasta, którą zadźgano. Ludzie rozmawiali o telefonach zaufania i kryzysowej terapii dla każdego, kim to wydarzenie wstrząsnęło. Asystent, który prowadził zajęcia z hiszpańskiego, przypomniał im, żeby korzystać z dostępnej na kampusie usługi i nie chodzić samemu po zmroku. „Byłam dokładnie w tym miejscu”. „Byłam tam jakąś godzinę przed tym, jak to się stało”. „Przechodzę tamtędy codziennie”. Alex słyszała te same frazy powtarzane raz za razem. Słysząc było troskę. Pewne zawstydzenie – kolejny dowód na to, że bez względu na to, ile sieciówek pojawi się w New Haven, to nigdy nie będzie to samo Cambridge. Jednak nikt nie robił wrażenia naprawdę przestraszonego. „Bo Tara nie była jedną z was – pomyślała Alex, pakując torbę. – Nadal wszyscy czujecie się bezpiecznie”.

Alex miała dwie wolne godziny i zamierzała spędzić jej w ukryciu w swojej sypialni, zjadając zwęzione kanapki i pisząc raport dla Sandowa, a potem przed wykładem z literatury angielskiej planowała przespać zjazd po basso belladonna.

Zamiast tego sama nie zauważyła, jak nogi poniosły ją z powrotem do Payne Whitney. Skrzyżowanie nie było już zablokowane i tłumy zniknęły, ale policyjna taśma nadal ogradzała trójkątny kawałek pustej ziemi po drugiej stronie ulicy, naprzeciwko ośrodka sportowego. Studenci, którzy tamtędy przechodzili, rzucali ukradkowe spojrzenia na miejsce przestępstwa i odchodzili szybszym krokiem, jakby zawstydzeni tym, że gapili się na coś tak drastycznego w zimnym szarym świetle poranka. Radiowóz parkował w połowie na chodniku, furgonetka wiadomości stanęła po drugiej stronie ulicy.

Alex wyobrażała sobie, że dziekan Sandow i pozostali członkowie administracji Yale odbyli tego ranka mnóstwo pośpiesznie zwołanych zebrań, mających na celu ograniczenie szkód dla wizerunku uniwersytetu. Alex nie rozumiała wcześniej różnicy między Yale, Princeton i Harvardem a miastami, w których te uniwersytety się znajdowały. Wszystkie były niemożliwymi miejscami w jakichś wyimaginowanych miasteczkach. Jednak ze sposobu, w jaki Lauren i Mercy żartowały, jasno wynikało, że New Haven i jego uniwersytet było uważane za nieco mniej prestiżowe od reszty uczelni z Ivy League.

Morderstwo tak blisko kampusu, nawet jeśli ofiara nie była studentką, nie mogło dobrze wpłynąć na wizerunek Yale.

Alex zastanawiała się, czy patrzy na miejsce, gdzie Tara została zamordowana, czy po prostu jej ciało zostało porzucone przed ośrodkiem sportowym. Powinna była zapytać koronera, kiedy był pod przymusem. Wyobrażała sobie jednak, że w grę wchodziła pierwsza opcja. Gdy chcesz pozbyć się ciała, nie rzucasz go na środek ruchliwego skrzyżowania.

W umyśle Alex rozbłysnął obraz buta Hellie, różowego plastikowego sandałka, ześlizgującego się z jej stopy z pomalowanymi paznokciami. Stopy Hellie były szerokie, palce ściśnięte razem, skóra pokryta zgrubieniami. Jedyna część jej ciała, która nie była piękna.

„Co ja tu robię?”. Alex nie chciała bardziej zbliżyć się do miejsca, w którym wcześniej leżało ciało. Winny był jej chłopak. Tak powiedział koroner. Handlował narkotykami. Wdali się w jakąś kłótnię. Rany były potworne, ale jeśli był naćpany, to kto wie, co działo się w jego głowie?

Jednak coś ją niepokoiło w tej scenie. Zeszłej nocy nadeszła od strony Grove Street, teraz jednak stała po drugiej stronie skrzyżowania, dokładnie naprzeciwko akademika w Baker Hall i pustego, lodowatego skrawka ziemi, na którym znaleziono Tarę. Z tego punktu widzenia było coś znajomego w wyglądzie terenu – dwie ulice, dwa paliki wbite w ziemię, gdzie Tara umarła albo została porzucona. A może po prostu fakt, że oglądała to miejsce za dnia, bez tłumów, dostatecznie dużo zmieniał? Fałszywe wrażenie *déjà vu*? Albo *basso belladonna* płatała jej figle, opuszczając jej ciało? Dzienniki *Lete* były pełne ostrzeżeń przed bardzo silnym działaniem tego stymulanta.

Alex pomyślała o bucie Hellie zwieszającym się przez chwilę z jej palca, a potem spadającym na podłogę mieszkania ze stłumionym stukotem. Len odwrócił się do Alex, męcząc się z ciężarem bezwładnego ciała Hellie, z rękami pod jej pachami. Betcha trzymał kolana Hellie przy biodrach, jakby tańczyli swinga.

– Rusz się – powiedział Len. – Otwórz drzwi, Alex. Wypuść nas.

Wypuść nas.

Otrząsnęła się ze wspomnienia i zerknęła na grupkę Szarych przed ośrodkiem sportowym. Dzisiaj było ich mniej, a ich nastrój – o ile naprawdę miewali nastroje – wrócił do normy. Jednakże Pan Młody wciąż tam stał. Mimo największych wysiłków, żeby go ignorować, nie potrafiła go przegapić – wyprasowane spodnie, błyszczące buty, przystojna twarz jak ze starego filmu, wielkie ciemne oczy i czarne włosy odgarnięte z czoła miękką falą; efekt psuła tylko wielka krwawa dziura rany postrzałowej w piersi.

Był prawdziwym łowcą, Szarym, który potrafił przeniknąć kolejne warstwy Zasłony i dać odczuć swoją obecność – potrząsał przednimi szybami i włączał alarmy samochodowe na parkingu, gdzie kiedyś stała fabryka powozów jego rodziny i gdzie zabił swoją narzeczoną i siebie. To był ulubiony przystanek wycieczek łowców duchów w Nowej Anglii. Alex nie pozwoliła sobie dłużej patrzeć, ale kątem oka widziała, że odszedł od grupy i sunie ku niej.

Czas na nią. Nie chciała wzbudzać zainteresowania Szarych, a zwłaszcza Szarych, którzy potrafią przybrać prawdziwą fizyczną formę. Odwróciła się do niego plecami i pośpieszyła w kierunku serca kampusu.

Zanim wróciła do Vanderbilt, zjazd po basso belladonna zaczął się na dobre. Czowała się słaba, wyczerpana, jakby właśnie miała za sobą tydzień najgorszej w życiu grypy. Jej raport dla Sandowa może poczekać. Zresztą i tak miała niewiele do powiedzenia. Prześpi się. Może będzie śnić o lecie. Nadal czuła na palcach zapach zmiążdżonej mięty.

Zamknęła oczy i zobaczyła twarz Hellie, jasne brwi rozjaśnione przez słońce, wymiociny przyklejone do ust. To wina Tary Hutchins. Blondynki zawsze sprawiały, że myślała o Hellie. Dlaczego jednak miejsce przestępstwa wydawało jej się tak bardzo znajome? Co zobaczyła w tym opuszczonym skrawku martwej ziemi otoczonej przez uliczny ruch?

Nic. Po prostu zarwała za dużo nocy, Darlington za dużo razy szeptał jej do ucha. Tara w niczym nie przypominała Hellie. Była jak kiepska podróbka, pospolita w porównaniu z markową Hellie.

„Nie – odezwał się głos w jej głowie. – To była Hellie, stała na deskorolce, kołysała się w tę i z powrotem na szerokich stopach, doskonale balansowała. Jej skóra była ziemista. Jej góra od bikini była pobrudzona grudkami ostatniego posiłku. «Ona jest mną» – mówiła. Jest tobą bez drugiej szansy”.

Alex pokonała przypływ snu. W pokoju było ciemno, odrobina światła wpadała przez pojedyncze wąskie okno.

Hellie odeszła dawno temu, tak samo jak ludzie, którzy ją skrzywdzili. Jednak ktoś skrzywdził też Tarę Hutchins. Ktoś, kto nie został ukarany. Na razie.

„Zostaw to detektywowi Turnerowi – mówiła w niej dziewczyna, która przetrwała. – Możesz przestać się martwić. Opuść sobie. Skup się na ocenach. Myśl o lecie”.

Alex widziała most, który zbudowała Belbalm. Musiała go tylko przejść.

Sięgnęła do komody po krople basso belladonna. Jeszcze jedno popołudnie. Tyle mogła dać Tarze Hutchins, zanim pochowa ją na dobre i zajmie się własnym życiem. Tak jak pochowała Hellie.

Stowarzyszenie Aurelian, dom niedoszłych królów filozofów, wielkich zjednoczycieli. Zostało założone, żeby kultywować ideały przywódcze i rzekomo połączyć w sobie to, co najlepsze ze stowarzyszeń. Stylizowali się na swoiste Nowe Lete, ściągali członków ze wszystkich stowarzyszeń, żeby utworzyć radę zarządzającą. To nie potrwało długo. Ożywione debaty ustąpiły wrzaskliwym kłótniom, zwerbowano nowych członków i wkrótce Aurelianie stali się równie zamknięci w swojej grupie jak pozostałe Domy Zasłony. Ostatecznie ich magia osiągnęła fundamentalną funkcjonalność, najbardziej przydatną dla pracującego profesjonalisty, stała się bardziej fachem niż powołaniem. Z tego powodu byli pośmiewiskiem dla osób obdarzonych większą wrażliwością. Kiedy jednak Aurelianie zostali pozbawieni swojego „grobowca” i tym samym stałej siedziby, zdołali przetrwać tam, gdzie inne Domy poległy – wynajmując się tym, którzy najwięcej zapłacą.

z Życie Lete: procedury i protokoły Dziewiątego Domu

Brakuje im jakiegokolwiek stylu. Pewnie, że czasem wydalą z siebie jakiegoś senatora albo przeciętnej sławy pisarza, ale wieczory Aurelian zawsze przypominają trochę chwilę, kiedy dostajesz do ręki zapis pikantnej sprawy sądowej. Zaczynasz czytać w podnieceniu i już przy drugiej stronie orientujesz się, że to mnóstwo słów i zero emocji.

Pamiętnik z czasów Michelle Alameddine w Lete
(Hopper College)

6

ZESZŁA JESIEŃ

Darlington wprowadzał ją małymi krokami – zaczął od Aurelian. Uznał, że poważna magia może jeszcze poczekać, i zorientował się, że podjął właściwą decyzję, gdy zszedł po schodach w Il Bastone i zastał Alex siedzącą na brzeżku aksamitnej poduszki. Obgryzała zaciekle paznokiec kciuka. Dawes ze słuchawkami wytłumiającymi hałas na swoim miejscu robiła wrażenie niczego nieświadomej, całkowicie skupiła się na podręczniku *A Companion to Linear B*.

– Gotowa? – spytał.

Alex wstała i otarła ręce o dzinsy. Kazał jej przejrzeć zapasy środków zabezpieczających w ich torbach i z zadowoleniem zauważył, że o niczym nie zapomniła.

– Dobranoc, Dawes – powiedział, gdy zdejmowali płaszcze z wieszaka. – Nie wrócimy późno.

Dawes zsunęła słuchawki na szyję.

– Mamy kanapki z wędzonym łososiem, jajkiem i koprem.

– Ośmielę się zapytać?

– I avgolemono.

– Powiedziałbym, że jesteś aniołem, ale jesteś o wiele bardziej interesująca.

Dawes zacmokała.

– To naprawdę nie jest jesienna zupa.

– Jesień ledwie się zaczęła, a nic tak nie wzmacnia jak avgolemono.

Poza tym po działce eliksiru Hirma trudno było się rozgrzać.

Dawes uśmiechnęła się i wróciła do lektury. Lubiła, kiedy ją chwalono za gotowanie, prawie tak samo, jak ceniła uznanie za swoje osiągnięcia naukowe.

Powietrze było rześkie, gdy szli Orange Street z powrotem w kierunku błoni i kampusu. Wiosna nadchodziła powoli w Nowej Anglii, ale jesień zjawiała się

nagle. W jednej chwili pocisz się pod letnią bawełną, a w drugiej drżysz pod niebem, które przybrało kolor twardej, niebieskiej emalii.

– Opowiedz mi o Aurelianach.

Alex odetchnęła.

– Stowarzyszenie założono w 1910 roku. Pomieszczenia konsekrowane w Sheffield-Sterling-Strathcona Hall...

– Daruj sobie tę kilometrową nazwę, wszyscy nazywają to miejsce SSS.

– SSS. Podczas remontu w 1932 roku.

– Mniej więcej w tym samym czasie, w którym Kościeje odcięli swoją salę operacyjną – dodał Darlington.

– Co takiego?

– Dowiesz się podczas swojego pierwszego wieszczenia. Pomyślałem jednak, że na czas pierwszej wyprawy zostawimy ci boczne kółeczka. – Lepiej, żeby Alex zaczęła się uczyć wśród entuzjastycznych, szczodrych Aurelian niż na oczach Kościejów. – Uniwersytet podarował im te sale w nagrodę za świadczone usługi.

– Jakie usługi?

– Sama mi powiedz.

– Specjalizują się w logomancji, magii słowa. Czyli to miało związek z jakimś kontraktem?

– Z zakupem Sachim's Wood w 1910 roku. Nabyto wtedy ogromny kawał ziemi i uniwersytet chciał mieć pewność, że legalność tej transakcji nigdy nie zostanie podważona. Teraz ten teren to Science Hill. Co jeszcze?

– Ludzie nie traktują ich zbyt poważnie.

– Ludzie?

– Lete – poprawiła się. – Pozostałe stowarzyszenia. Bo nie mają prawdziwego grobowca.

– Ale my nie jesteśmy jak ci ludzie. Nie jesteśmy snobami.

– Ty z pewnością jesteś snobem.

– Ale nie tego rodzaju. Interesują nas tylko dwie kwestie: czy ich magia działa i czy jest niebezpieczna?

– Działa? – spytała Alex. – I jest niebezpieczna?

– Odpowiedź na oba pytania brzmi „czasem”. Aurelianie specjalizują się w kontraktach nie do złamania, wiążących przysięgach, historiach, które dosłownie mogą uśpić. W 1989 roku pewien milioner zapadł w śpiączkę w kajucie swojego jachtu. Znalezione przy nim egzemplarz *God and Man at Yale* i gdyby ktokolwiek pomyślał, żeby to sprawdzić, odkryłby, że znajduje się tam wstęp, którego nie ma w żadnej innej wersji. Wstęp napisany przez Aurelian.

Być może zainteresowałoby cię także to, że ostatnie słowa Winstona Churchilla brzmiały: „Znudziło mnie to wszystko”.

– Chcesz powiedzieć, że Aurelianie zabili Winstona Churchilla?

– To tylko spekulacje. Mogę jednak potwierdzić, że połowa umarłych na cmentarzu przy Grove Street zostaje w swoich grobach, ponieważ inskrypcje na nich wykonali członkowie stowarzyszenia Aurelian.

– To mi wygląda na całkiem potężną magię.

– To była stara magia, kiedy nadal uważano ich za stowarzyszenie rezydencjalne. Aurelianie zostali wyrzuceni ze swoich sal, kiedy negocjacje w związku z porozumieniem zbiorowym zaczęły się walić. Oskarżono ich o podawanie alkoholu nieletnim, ale tak naprawdę to administracja uważała, że Aurelianie nawalili przy wstępnym kontrakcie. Stracili salę nr 405 i od tego czasu ich magia stała się niepewna. Obecnie udaje im się czasem zмайstrować umowę poufności albo czar inspiracyjny. To właśnie zobaczymy dziś wieczorem.

Minęli biura administracyjne Woodbridge Hall i jarzące się złotem ażury grobowca Zwoju i Klucza. Klucznicy odwołali swój następny rytuał. To nie oznaczało dla Lete zmniejszenia ilości pracy – stowarzyszenie Księgi i Węza z radością wykorzystało zwolniony czwartkowy wieczór. Niemniej Darlington zastanawiał się, co się właściwie dzieje w Zwoju i Kluczu. Krążyły plotki o osłabieniu magii, portalach, które źle działały albo w ogóle się nie otwierały. Możliwe, że to tylko gadanina. Domy Zasłony ceniły sobie tajemnicę, rywalizowały ze sobą i miały skłonność do rozsiewania małostkowych plotek. Darlington jednak zamierzał wykorzystać zwłokę, żeby zorientować się, z czym Zwój i Klucze może się zmagać, zanim wciągnie swojego Dantego w potencjalny zamęt.

– Skoro Aurelianie nie są groźni, to dlaczego musimy tam być? – zapytała Alex.

– Żeby dopilnować, że nic nie zakłóci procedury. Ten konkretny rytuał przyciąga zwykle mnóstwo Szarych.

– Dlaczego?

– Z powodu krwi.

Alex zwolniła.

– Proszę, nie mów mi, że masz delikatny żołądek. Nie przetrwasz semestru, jeżeli nie potrafisz znieść widoku odrobiny krwi.

Darlington natychmiast poczuł się jak dupek. Po tym, co Alex przeszła w Kalifornii, to oczywiste, że stała się ostrożna. Przeżyła prawdziwą traumę, a nie makabryczny teatrzyk, do jakiego przywykł Darlington.

– Nic mi nie będzie – odpowiedziała, ale zacisnęła dłoń w pięść na pasku torby na ramię.

Weszli na surową płaszczyznę Beinecke Plaza. Okna biblioteki jarzyły się jak kawałki bursztynu.

– Oczywiście, że nic ci nie będzie – zapewnił ją. – To kontrolowane środowisko i prosty czar. Dzisiaj zasadniczo robimy za wykidajłów.

– W porządku.

Nie wyglądała tak, jakby wszystko było u niej w porządku.

Przeszli przez obrotowe drzwi biblioteki do wysoko sklepionego wejścia. Gordon Bunshaft wyobraził sobie bibliotekę jak pudełko w pudełku. Za pustym biurkiem ochrony wznosiła się ogromna szklana ściana aż do sufitu, wypełniona półkami z książkami. To była prawdziwa biblioteka, zbiory, papierowo-pergaminowe serce Beinecke, a zewnętrzna budowla, która je otaczała, była wejściem, tarczą, fałszywą skórą. Ogromne okna ze wszystkich stron wychodziły na pusty plac.

Długi stół ustawiono niedaleko biurka ochrony, w wygodnej odległości od gablot, gdzie wystawiano systematycznie zmieniające się eksponaty ze zbiorów bibliotecznych i gdzie w osobnym szklanym sześcianie oświetlonym z góry znajdowała się biblia Gutenberga. Codziennie zmieniano stronę. Boże, jak Darlington kochał to miejsce.

Aurelianie kręcili się wokół stołu już odziani w szaty w kolorze kości i nerwowo gawędzili. Już sama napięta atmosfera wystarczyłaby, żeby zacząć przyciągać Szarych. Josh Zelinski, obecny przewodniczący delegacji, oderwał się od grupy i podszedł pośpiesznie, żeby ich przywitać. Darlington znał go z kilku seminariów na studiach amerykańskich. Nosił włosy obcięte na irokeza, chętnie zakładał przyduże ogrodniczki i naprawdę dużo mówił. W ślad za nim podeszła kobieta około czterdziestki, dzisiejszy Cesarz, absolwentka wybrana do nadzorowania rytuału. Darlington rozpoznał ją z rytuału, który Aurelianie zorganizowali w zeszłym roku, podczas którego przygotowali dokumenty statutowe dla jej zarządu mieszkaniowego.

– Amelia – powiedział, gdy przypomniał sobie imię. – Miło znowu cię widzieć.

Uśmiechnęła się i zerknęła na Alex.

– To nowy ty?

O to samo pytano Michelle Alameddine, kiedy zabierała go ze sobą podczas jego pierwszego roku.

– Poznaj naszego nowego Dantego. Alex jest z Los Angeles.

– Pięknie – powiedział Zelinski. – Znasz jakieś gwiazdy filmowe?

– Raz pływałam nago w basenie Olivera Stone’a. To się liczy?

– A on tam był?

– Nie.

Zelinski robił wrażenie szczerze rozczarowanego.

– Zaczniemy o północy – zapowiedziała Amelia.

Mieli więc mnóstwo czasu, żeby zabezpieczyć teren wokół stołu rytualnego.

– Do tego rytuału nie możemy całkowicie zablokować Szarych – wyjaśnił Darlington, kiedy razem z Alex obchodzili stół, wybierając, gdzie nakreślą granicę. – Magia wymaga, żeby kanały do Zasłony pozostały otwarte. A teraz powiedz mi, jaki będzie nasz pierwszy krok.

Wyznaczył jej fragmenty z Fowlera i krótki traktat na temat magicznych bram z początków istnienia Zwoju i Klucza.

– Pył z kości, ziemia cementarna albo inna forma *memento mori* do utworzenia kręgu.

– Dobrze – powiedział Darlington. – Tego wieczoru posłużymy się tym. – Wręczył jej kawałek kredy zrobionej ze sprasowanego popiołu krematoryjnego. – Dzięki temu nasze znaki będą bardziej precyzyjne. Zostawimy otwarte kanały w każdym z kierunków świata.

– A potem co?

– Potem staniemy przy drzwiach. Szarzy mogą zakłócić rytuał, a my nie chcemy, żeby jakakolwiek magia wyrwała się spod kontroli. Magia wymaga zdecydowania. Kiedy zacznie się ten konkretny rytuał, magia będzie szukała krwi i jeśli wyrwie się ze stołu, to może dosłownie rozciąć jakiegoś miłego studenta prawa przecnicę stąd albo dwie. Zawsze to jeden prawnik mniej na tym świecie, ale podobno żarty o prawnikach są już niemodne. Kiedy więc Szary spróbuje przejść, masz dwie możliwości: posłużyć się pyłem albo słowami śmierci.

Szarzy nie znosili wszelkich przypomnień o śmierci i umieraniu: lamentów, elegii, wierszy o żałobie i stracie, nawet zreżymowana reklama domu pogrzebowego mogła się sprawdzić.

– Czemu nie oboma rzeczami naraz? – spytała Alex.

– Naprawdę nie ma potrzeby. Nie marnujemy mocy, jeśli nie trzeba.

Spojrzała z powątpiewaniem. Jej niepokój go zaskoczył. Alex Stern mogła być pozbawiona wdzięku i niedouczone, ale miała stalowe nerwy – przynajmniej wtedy, kiedy w grę nie wchodziły ćmy. Gdzie się podziała stal, którą wcześniej w niej dostrzegł? Dlaczego jej strach tak bardzo go rozczarował?

Kiedy skończyli oznaczenia zamykające krąg, przez kołowrót wszedł młody człowiek z szalikiem naciągniętym prawie po oczy.

– Gość honorowy – mruknął Darlington.

– Kto to?

– Zeb Yarrowman, cudowne dziecko. A przynajmniej było *Wunderkind*. Z pewnością Niemcy mają jakąś nazwę na talenty, które wyrosły z wieku

dziecięcego.

– Z pewnością ty byś ją znał.

– To zbyt okrutne, Stern. Mam jeszcze czas. Zeb Yarrowman napisał swoją powieść na trzecim roku w Yale, opublikował przed otrzymaniem dyplomu i przez kilka kolejnych lat był ulubieńcem literackiej sceny Nowego Jorku.

– Dobra książka?

– Nie była zła – odparł Darlington. – Marazm, szaleństwo, młodzieńcza miłość, typowa *Bildungsroman*, a całość przeciwstawiona tłu w postaci pracy Zeba nad nieudanym pamiętnikiem wuja. Jednak proza była imponująca.

– W takim razie jest tutaj, żeby być dla kogoś mentorem?

– Jest tutaj, bo *The King of Small Places* został opublikowany prawie osiem lat temu, a Zeb Yarrowman nie napisał od tego czasu ani słowa. – Darlington zobaczył, że Zelinski daje Cesarzowi znać. – Czas zaczynać.

Aurelianie zebrali się w dwóch równych szeregach naprzeciwko siebie po obu stronach długiego stołu. Nosili białe szaty podobne do strojów chórzystów z rękawami tak szerokimi, że prawie muskały blat. Josh Zelinski stał przy jednym końcu, Cesarz przy drugim. Włożyli białe rękawiczki, takie, jakie zwykle nosi się przy korzystaniu z archiwalnych rękopisów, i rozwinęli zwój na całą długość stołu.

– Pergamin – wyjaśnił Darlington. – Zrobiony z kozłej skóry i nasączony kwiatem dzikiego bzu. Podarunek dla muzy. Tyle że ona oczekuje czegoś więcej. Chodź. – Poprowadził Alex do pierwszego znaku, jaki wykonali. – Ty będziesz pilnować południowej i wschodniej bramy. Nie stawaj między znakami, o ile nie będziesz musiała. Jeśli zauważysz zbliżającego się Szarego, po prostu stań mu na drodze i posłuż się ziemią cmentarną albo wypowiedz słowa śmierci. Ja będę monitorował północną i zachodnią.

– Jak? – W jej głosie pojawiła się nerwowa, wojownicza nuta. – Nawet ich nie widzisz.

Darlington sięgnął do kieszeni i wyjął fiolkę z eliksirem. Nie mógł dłużej z tym zwlekać. Złamał wosk, wyjął korek i zanim przeszkodziłby mu instynkt samozachowawczy, wypił zawartość.

Nigdy do tego nie przywykł. Wątpił, żeby kiedykolwiek zdołał – dławienie w gardle, gorycz przeszywająca mu podniebienie i dalej czaszkę.

– Kurwa – wyrwało mu się.

Alex wytrzeszczyła oczy.

– To chyba pierwszy raz, kiedy usłyszałam, jak przeklinasz.

Dostał dreszczy. Spróbował zapanować nad drżeniem całego ciała.

– T-traktuję przekleństwa jak wyznania miłosne. Należy używać ich oszczędnie i tylko wtedy, kiedy stoi za tym naprawdę szczere uczucie.

– Darlington... czy zęby powinny ci szczękać?

Próbował skinać głową, ale głowa już mu się kołysała – tyle że spazmatycznie.

Łyk eliksiru był jak zanurzenie głowy w epoce lodowcowej, jak wejście w długą, ciemną zimę. Albo, jak tu ujęła kiedyś Michelle: „Jakby ktoś ci wsadził sopel w tyłek”.

– Dla mnie to leci bardziej po całości – zdołał wtedy zazartować, chociaż niewiele brakowało, żeby zemdłał.

Nie potrafił wtedy rozpoznać tego odczucia, dopóki kilka miesięcy później, kiedy jechał autostradą międzystanową nr 95, ciągnik z naczepą nie wjechał na jego pas, omijając jego samochód zaledwie o włos. Adrenalina zalała całe jego ciało, gorzki posmak zgryzionej aspiryny wypełnił mu usta i przypomniał mu się smak Pocisku Hirama.

Tak było za każdym razem i tak będzie, dopóki dawka w końcu nie spróbuje go zabić i wątroba nie wysiądzie mu z powodu toksyn. Nie można podkradać się do śmierci i zanurzać w niej palców stóp, w końcu złapie cię za kostkę i spróbuje wciągnąć w toń.

Cóż, jeśli do tego dojdzie, Lete znajdzie mu nową wątrobę. Nie byłby pierwszy. Nie każdy rodzi się z takim darem jak Galaxy Stern.

Teraz drzenie minęło i na krótką chwilę świat stał się mleczny, jakby patrzył na złotą poświatę Beinecke przez gęstą kataraktę pajęczyn. To były warstwy Zastony.

Kiedy rozsunęły się dla niego, zaczął widzieć wyraźniej. Znowu postrzegał ze zwykłą ostrością znajome kolumny biblioteki, Aurelian w szatach i nieufną twarz Alex, tyle że widział też starego człowieka w marynarce w kurzą stópkę, kręcącego się przy gablocie z Biblią Gutenberga, który potem przeszedł do kolekcji pamiątek po Jamesie Baldwinie.

– Myślę... Myślę, że to... – Ugryzł się w język, zanim wypowiedział imię i nazwisko Frederica Prokoscha. Imiona oznaczały bliskość i ryzyko stworzenia więzi z umarłym. – Napisał powieść, swego czasu dość sławną, pod tytułem Azjaci, przy biurku w Bibliotece Sterlinga. Ciekawe, czy Zeb jest fanem.

Prokosch stwierdził, że jest niepoznawalny, że stanowi tajemnicę nawet dla najbliższych przyjaciół. A mimo to, proszę, po śmierci rozczulał się nad sobą w uniwersyteckiej bibliotece. Może to dobrze, że eliksir tak dużo kosztował i tak okropnie smakował. W przeciwnym wypadku Darlington piłby go każdego popołudnia, żeby zobaczyć takie rzeczy jak teraz. Czas jednak brać się do pracy.

– Odeślij go, Stern, ale nie nawiązuj kontaktu wzrokowego.

Alex rozluźniła ramiona jak bokser wchodzący do ringu i podeszła do Prokoscha, odwracając wzrok. Sięgnęła do torby i wyjęła fiolkę cmentarnej

ziemi.

– Na co czekasz?

– Nie mogę zdjąć pokrywki.

Prokosch oderwał wzrok od gabloty i zaczął sunąć w stronę Alex.

– No to wypowiedz słowa!

Alex cofnęła się o krok, nadal mocując się z pokrywką.

– On nie może cię skrzywdzić – tłumaczył Darlington, stając między Prokoschem a wejściem do kręgu. Rytuał jeszcze się nie zaczął, ale lepiej nie ryzykować. Darlington nie palił się do przepędzenia Szarego osobiście. Już za dużo wiedział o tym duchu i wygnanie go za Zasłonę wiązało się z ryzykiem stworzenia więzi. – Stern, rusz się!

Alex zacisnęła oczy i krzyknęła:

– „Odwagi! Nikt nie jest nieśmiertelny!”.

Prokosch zadygotał z obawy i uniósł rękę, jakby chciał odpędzić Alex. Uciekł przez szklane ściany biblioteki. Słowa śmierci mogły być dowolne, dopóki mówiły o tym, czego Szarzy bali się najbardziej: ostateczności odejścia, życia bez spuścizny, pustki życia pozagrobowego. Darlington podsunął jej kilka najłatwiejszych do zapamiętania, pochodzących z tabliczek orfickich znalezionych w Tesalii.

– Widzisz? – powiedział Darlington. – Łatwizna. – Zerknął na Aurelian; paru chichotało z powodu żarliwych słów Alex. – Chociaż nie musiałaś krzyczeć.

Jednak Alex nie przejmowała się tym, że zwracała uwagę innych. Oczy jej płonęły, gdy gapiała się w miejsce, w którym chwilę temu stał Prokosch.

– Łatwizna! – powiedziała. Zmarszczyła brwi i spojrzała na fiolkę ziemi w ręce. – To takie łatwe.

– Uciesz się chociaż trochę, Stern. Nie odmawiaj mi przyjemności usadzenia cię na swoim miejscu. – Kiedy nie odpowiedziała, dodał: – Chodź, są gotowi zaczynać.

Zeb Yarrowman stał u szczytu stołu. Zdjął koszulę i był nagi do pasa, jego skóra była blada, pierś wąska, ręce przyciskał do boków jak złożone skrzydła. Darlington widział wielu mężczyzn i kobiet stojących u szczytu tego stołu na przestrzeni ostatnich trzech lat. Niektórzy byli członkami stowarzyszenia Aurelian. Niektórzy zwyczajnie zapłacili wysoką cenę, jaką pobierała fundacja finansująca stowarzyszenie. Przychodzili, żeby wypowiedzieć swoje słowa, przedstawić swoją prośbę, w nadziei, że wydarzy się coś spektakularnego. Przychodzili z różnymi potrzebami, a Aurelianie przenosili się zależnie od ich potrzeb. Intercyzy nie do ruszenia można było stworzyć w wejściu do szkoły prawniczej. Fałszerstwa można było wykryć pod uważnym spojrzeniem oczu z obrazu biednego, oszukanego Benjamin Westa *Cicero Discovering the Tomb*

of Archimedes w galerii uniwersyteckiej. Akty notarialne związane z zakupem ziemi czy nieruchomości zostawały przypięczone wysoko na East Rock, z miastem błyszczącym daleko w dole. Magia Aurelian była słabsza od magii pozostałych stowarzyszeń, ale była bardziej mobilna i bardziej praktyczna.

Dzisiejsze recytacje zaczęły się po łacinie; kojące i łagodne wypełniły budynek, unosząc się w górę i w górę, wzdłuż regałów zamkniętych w szklanym sześcianie wnętrza biblioteki. Darlington słuchał jednym uchem, obserwując krąg i zerkając na Alex. Uznał, że jej napięcie to dobry znak. To znaczyło, że przejmując się dobrym wykonaniem zadania.

Recytacje zmieniły się, przechodząc od łaciny do potocznego włoskiego, od wersji antycznej aż do współczesnej. Głos Zeba brzmiał najgłośniejszym, zaklinał, odbijał się echem od kamienia. Darlington wyczuwał jego desperację. Rzeczywiście musiał być zrozpaczony, zważywszy na to, co zaraz go czekało.

Zeb wyciągnął ręce. Aurelianie po jego prawej i lewej stronie wyjęli noże i do wtóru wciąż trwającym recytacjom rozcięli mu przedramiona dwoma długimi liniami od nadgarstków.

Początkowo krew płynęła wolno, zbierając się w czerwonych rozcięciach, jakby to były otwierające się oczy.

Zeb oparł ręce na brzegu pergaminu i krew rozlała się po nim, plamiąc zwój. Jakby pergamin w niej zasmakował, krew zaczęła płynąć szybciej falą, która wędrowała po zwoju, a Zeb nadal recytował po włosku.

Zgodnie z przewidywaniami Darlingtona Szarzy zaczęli się pojawiać, przelatując przez ściany, przyciągani przez krew i nadzieję.

Kiedy wreszcie czerwony przypływ dosięgnął końca pergaminu, Aurelianie zaczęli ocierać się rękawami o nasiąknięty zwój. Krew Zeba jakby wspinała się po materiale, a zaśpiew przybrał na sile. Nie był to już jeden język, ale wszystkie, słowa wyciągano z książek, które ich otaczały i które znajdowały się w komorach pod nimi, gdzie kontrolowano wilgotność powietrza. Z tysięcy tysięcy tomów. Z pamiętników i opowieści dla dzieci, z pocztówek i kart z menu, z poezji i relacji podróżniczych; delikatne, zaokrąglone dźwięki włoskiego otoczone przez kolczaste dźwięki angielszczyzny, warkot niemczyzny, szeptliwe smugi kantońskiego.

Potem jak jeden mąż wszyscy Aurelianie uderzyli dłońmi w nasiąknięty krwią pergamin. Dźwięk przeszył powietrze jak grom i czerń rozlała się z ich dłoni, gdy krew zamieniała się w atrament i płynęła w górę stołu, snując się przez zwój do rąk Zeba. Krzyknął, gdy atrament dotarł do niego i zaczął zygzakami wspinać mu się na ręce, jak gryzmoły, linijka po linijce, słowo po słowie; palimpsest, który poczercił mu skórę, powoli wędrował zawijasami

kursywy do jego łokci. Zeb płakał, drżał i wył z bólu, ale trzymał ręce przyklejone do pergaminu.

Atrament wspinał się wyżej, do jego zgarbionych ramion, po szyi i przez pierś. W tej samej chwili szedł do jego głowy i serca.

To była najniebezpieczniejsza część rytuału, kiedy wszyscy Aurelianie byli najbardziej narażeni na atak, a Szarzy byli najbardziej rozochoceni. Napływali coraz szybciej przez ściany i zamknięte okna, okrążali krąg, szukali wejść, które Alex i Darlington zostawili otwarte, przyciągani przez pragnienie Yarrowmana i gryzący, żelazisty zapach świeżej krwi. O ile wcześniej coś trapiło Alex, o tyle teraz doskonale się bawiła, ciskając garściami cmentarnej ziemi w Szarych w niepotrzebnie skomplikowanych gestach, przez co wyglądała jak zawodowy zapaśnik, próbujący nakręcić niewidzialny tłum. Darlington skupił się na własnych bramach, rzucał chmurami kościanego pyłu w zbliżających się Szarych, mruczał stare słowa śmierci, kiedy jeden z nich próbował się przemknąć obok niego. Jego ulubiony oryficki hymn zaczynał się od słów: „O, duchu niedojrzałego owocu”, ale był praktycznie za długi, żeby z niego korzystać.

Usłyszał, że Alex stęknęła z wysiłku, i zerknął przez ramię, spodziewając się, że właśnie wykonuje szczególnie akrobatyczny gest przepędzania. Ona jednak leżała na ziemi i odpełzała do tyłu z przerażeniem w oczach – Szarzy przechodzili przez ochronny krąg. Darlington potrzebował ledwie chwili, żeby zrozumieć, co się stało – znaki na południowej bramie zostały rozmazane. Alex tak dobrze się bawiła, że weszła na znaki i przerwała południową część kręgu. To, co było wąskim drzwiami wpuszczającymi magię, stało się ziejącą dziurą bez żadnej bariery. Szarzy podchodzili, całą uwagę skupili na przyciąganiu krwi i tęsknoty, zbliżali się coraz bardziej do niczego nie podejrzewających Aurelian.

Darlington rzucił się przed nich, wykrzykując najkrótsze, najbardziej okrutne słowa śmierci, jakie znał:

– „Bez czci! – krzyknął. – Bez żalu, bez pieśni nagrobnych!”.

Część Szarych zatrzymała się, niektórzy nawet uciekli.

– „Bez czci, bez żalu, bez pieśni nagrobnych!”¹ – powtórzył.

Teraz jednak Szarzy rozpędzili się: masa zjaw, którą tylko on i Alex widzieli, odzianych w stroje z różnych epok, młodzi i starzy, niektórzy ranni lub okaleczeni, inni cali.

Gdyby Szarzy dotarli do stołu, zakłóciłiby rytuał. Yarrowman z pewnością umarłby i mógłby zabrać ze sobą z połowę Aurelian. Magia wyrwałaby się spod kontroli.

Jeśli jednak Biblioteka Beinecke była żywym domem słów, to była też ogromnym pomnikiem końca wszystkiego. Pośmiertna maska Thorntona

Wildera. Zęby Ezry Pounda. Elegie setek poetów. Darlington sięgnął po słowa. Harta Crane'a elegia na Melville'a, Bena Jonsona na śmierć jego syna. Requiem Roberta Louisa Stevensona. Szukał umysłem miejsca zaczepienia. Zaczynij od czegoś. Od czegokolwiek.

*Frywolny szkielet, żyję jak chcę
I lecę, gdzie wiatr niesie mnie.*

Dobry Boże. Gdy człowiekowi przychodzi odpierać upiorność, jakim cudem sięga po wiersz Foleya o szkielecie uprawiającym seks?

Paru Szarych oderwało się, ale potrzebował czegoś o większym ciężarze gatunkowym.

Horacy.

*Czy Jowisz da zim wiele przeżyć, czy ta zima
Ostatnia już, co morze Tyrreńskie tak wzdyma
I tłucze nim o skały? Nie marz! wina nalej! ²*

Teraz zwolnili, niektórzy zasłonili uszy.

– „Za obecność nadzieją nie wylatuj dalej! – wołał Darlington. – Mówim – a tu ucieka wiek nasz, życie krótsze – Co dziś jest, chwytaj, mało polegaj na jutrze!”.

Uniósł ręce przed siebie, jakby mógł ich odepchnąć. Dlaczego nie potrafił przypomnieć sobie pierwszego wersu wiersza? Bo go nie interesował. „Grzech badać co tam za zasłoną”.

– „Czy Jowisz da zim wiele przeżyć!” – powtórzył.

Kiedy jednak Darlington odpychał Szarych przez przerwana bramę i sięgnął po kredę, spojrzął przez szklaną ścianę biblioteki. Zbierała się horda, otaczająca budynek fala Szarych widoczna przez szklane ściany. Nie zdąży na czas naprawić znaków.

Alex nadal była na ziemi i trzęsa się tak mocno, że widział to nawet z odległości. Kiedy magia się wyrwie spod kontroli, może zabić ich dwoje w pierwszej kolejności.

– Odwagi! – powtarzała raz za razem. – Odwagi!

– To nie wystarczy!

Szarzy pędzili przez bibliotekę.

– Mors vincit omnia! – krzyknął Darlington, sięgając po słowa z każdego podręcznika Lete.

Cesarz i Aurelianie podnieśli wzrok znad stołu, tylko Zeb Yarrowman wciąż stał pogrążony w cierpieniu spowodowanym przez rytuał, głuchy na chaos, który rozpętał się w kręgu.

Wtedy powietrze przeszył głos, wysoki i drżący, który nie mówił, lecz śpiewał:

– *Pariome mi madre en una noche oscura.*

Alex śpiewała, melodia rwała się z powodu szłochu.

– *Ponime por nombre niña y sin fortuna.*

„Matka urodziła mnie w ciemną noc i nazwała dziewczyną bez przyszłości”.

Hiszpański, chociaż zniekształcony. Jakiś dialekt.

– *Ya crecen las yerbas y dan amarillo triste mi corazón vive con suspiro.*

Nie znał tej piosenki, ale jej słowa wydawały się spowalniać kroki Szarych.

„Żdźbła rosną i się złocą.

Moje ciężkie serce bije i wzdycha”.

– Więcej! – zawołał Darlington.

– Nie znam reszty piosenki! – wrzasnęła Alex.

Szarzy ruszyli naprzód.

– Mów coś! Potrzebujemy więcej słów!

– *Quien no sabe de mar no sabe de mal!*

Nie wyśpiewała tych słów, lecz je wykrzyczała. Wykrzykiwała je raz za razem.

„Ten, kto nie zna morza, nic nie wie o cierpieniu”.

Szereg Szarych na zewnątrz zachwiał się, oglądali się przez ramię. Coś się za nimi poruszało.

– Nie przerywaj! – przykazał jej Darlington.

– *Quien no sabe de mar no sabe de mal!*

To była fala, potężna fala, podnosząca się znikąd nad placem. Jakim cudem? Alex nie wypowiadała nawet słów śmierci. „Ten, kto nie zna morza, nic nie wie o cierpieniu”. Darlington nie był nawet pewien, czy rozumie sens tych słów.

Fala podnosiła się i nowe słowa przyszły do Darlingtona od Wergiliusza, prawdziwego Wergiliusza. Z Eklog.

– „Niech wszystko stanie się oceanem! – oznajmił. Fala wspięła się jeszcze wyżej, przesłaniając budynki i niebo. – Żegnajcie, o lasy! Z niebosiężnego górskiego szczytu rzucę się w odmęty. Niech to będzie mój ostatni, przedśmiertny dar”.

Fala opadła i Szarzy zostali rozrzućeni po kamiennych płytach placu. Darlington widział ich za szkłem, unoszących się na wodzie jak kawałki lodu

w świetle księżyca.

Pośpiesznie ponownie narysował znaki ochrony, umacniając je kupkami cmentarnej ziemi.

– Co to było? – zapytał.

Alex wpatrywała się w obalonych Szarych z policzkami mokrymi od łez.

– To... coś, co mawiała moja babka.

Ladino. Mówiła w języku hiszpańskich Żydów i nie był pewien, w czym jeszcze. To był język diaspory. Język śmierci. Miała szczęście. Oboje mieli.

Podał jej rękę.

– Nic ci nie jest?

Rękę miała zimną, lepłą. Wstała.

– Tak – odpowiedziała, ale nadal się trzęsła. – Wszystko w porządku. Przepraszam, że...

– Nie mów ani słowa więcej, dopóki nie znajdziemy się w Il Bastone, i na miłość boską, nie przepraszaj nikogo, dopóki stąd nie wyjdziemy.

Szli do nich Zelinski, a tuż za nim Cesarz. Rytuał skończył się i wyglądali na wściekłych, ale też trochę przypominali członków Klanu, którzy wyszli na spacer i zapomnieli o kapturach.

– Co wyście, do diabła, wyprawiali? – dopytywała się Amelia. – Swoimi krzykami prawie popsuliście rytuał. Co tu się stało?

Darlington obrócił się do nich gwałtownie, zasłaniając rozmazane oznaczenia i przywołując cały autorytet swojego dziadka.

– Może wy mi to wyjaśnicie?

Zelinski raptownie się zatrzymał. Jego rękawy – teraz znowu czyste i białe – zafurkotały cicho, gdy opuścił ręce.

– Co?

– Wykonywaliście ten rytuał poprzednio?

– Wiesz, że tak! – warknęła Amelia.

– Dokładnie w taki sam sposób?

– Oczywiście, że nie! Rytuał zawsze trochę się zmienia zależnie od potrzeby. Każda historia jest inna.

Darlington wiedział, że stąpa po grząskim terenie, ale lepiej atakować, niż pozwolić, żeby Dom Lete wyszedł na bandę amatorów.

– Cóż, nie wiem, co chodziło po głowie Zebowi w związku z nową powieścią, ale niewiele brakowało, a ściągnąłby całą hordę zjaw na naszą delegację.

Zelinski wytrzeszczył oczy.

– Szarzy tu byli?

– Cała armia.

– Ale ona krzyczała...

– Naraziliście mojego Dantego i mnie na niebezpieczeństwo – przerwał mu Darlington. – Zgłoszę to w raporcie dziekanowi Sandowowi. Aurelianie nie powinni eksperymentować z siłami...

– Nie, nie, proszę – wyrwał się Zelinski, unosząc ręce, jakby chciał zgasić ogień. – Proszę. To nasz pierwszy rytuał jako delegacji. Wiadomo było, że pojawią się trudności. Walczymy o odzyskanie naszych sal w SSS.

– Mogła jej się stać krzywda – powiedział Darlington, jeżąc się z błękitnokrwistego oburzenia. – Mogła zginąć.

– To rok dotacji, prawda? – odezwała się Amelia. – Możemy... możemy dopilnować, żeby była hojna.

– Próbujesz mnie przekupić?

– Nie! Skądże znowu! To tylko negocjacje, porozumienie.

– Zejdźcie mi z oczu. Macie szczęście, że nie zadano zbiorowi żadnych trwałych szkód.

– Dzięki – szepnęła Alex, kiedy Cesarz i Zelinski pośpiesznie odeszli.

Darlington rzucił jej gniewne spojrzenie i wziął się za uprzątnięcie kręgu.

– Zrobiłem to dla Lete, nie dla ciebie.

Sprzątnęli pozostałości znaków, upewnili się, że Aurelianie nie zostawili niczego po sobie i że ręce Zeba zostały zabandażowane, a jego stan jest stabilny. Nadal miał plamy atramentu na wargach, zębach i dziąsłach. Kapał mu z uszu i wewnętrznych kącików oczu. Zeb wyglądał potwornie, ale szczyrzył zęby, bełkotał do siebie, już notował coś w notesie. Będzie w takim stanie, dopóki historia go nie opuści.

Darlington i Alex wrócili do Il Bastone. Towarzyszyło im pełne napięcia milczenie. Noc wydawała się zimniejsza nie tylko z powodu pory, ale też eliksiru Hirama. Zwykle Darlingtona ogarniał smutek, kiedy magia go opuszczała, ale dzisiaj cieszył się, że Zasłona opadła z powrotem na swoje miejsce.

Co się wydarzyło w czasie rytuału? Jak Alex mogła być tak nieostrożna? Złamała najbardziej podstawowe zasady, jakie jej wyłożył. Krąg jest nienaruszalny. Strzeż znaków. Czyżby okazał zbyt dużą niefrasobliwość w tej sprawie? Za bardzo starał się ją uspokoić?

Kiedy weszli do Il Bastone, wejściowe światła zamrugwały, jakby dom wyczuwał ich nastrój. Dawes była dokładnie tam, gdzie ją zostawili przed kominkiem. Podniosła wzrok i jakby zapadła się jeszcze głębiej w swojej bluzie,

zanim wróciła do kart katalogowych. Z radością odwróciła się plecami do ludzkiego konfliktu.

Darlington zdjął płaszcz i powiesił koło drzwi, a potem poszedł korytarzem do kuchni, nie oglądając się na Alex. Włączył palnik, żeby podgrzać zupę Dawes, i wyjął talerz z kanapkami z lodówki. Odstawił go z brzękiem. Butelkę Syrah przelano wcześniej do karafki. Nalał sobie kieliszek, usiadł i patrzył na Alex, która zgarbiła się w krześle, wbijając ciemne oczy w czarno-białe kafelki podłogi.

Dopił kieliszek wina, nalał następny i w końcu powiedział:

– No więc? Co się stało?

– Nie wiem – mruknęła ledwie słyszalnym głosem.

– To nie wystarczy. Dosłownie do niczego nam się nie przydasz, jeśli nie radzisz sobie z paroma Szarymi.

– Nie ruszyli na ciebie.

– Ruszyli. Dwie z tych bram ja chronięm, zapomniałaś?

Potała rękę.

– Nie byłam gotowa. Następnym razem lepiej się spiszę.

– Następny raz będzie inny. I kolejny. I jeszcze następny. Mamy sześć działających stowarzyszeń i każde przeprowadza inne rytuały.

– Nie chodziło o rytuał.

– O krew?

– Nie. Jeden z nich mnie złapał. Nie uprzedziłeś mnie. I wtedy...

Darlington nie mógł uwierzyć własnym uszom.

– Chcesz powiedzieć, że jeden z nich cię dotknął?

– Więcej niż jeden i...

– To niemożliwe. To znaczy... – Odstawił kieliszek, przeczesał włosy dłońmi. – To zdarza się rzadko. Bardzo rzadko. Czasem w obecności krwi albo gdy duchy są szczególnie poruszone. Dlatego prawdziwe nawiedzenia zdarzają się tak rzadko.

– To jest możliwe – oznajmiła twardo głosem jak z oddali.

Może. Chyba że kłamała.

– Następnym razem musisz być gotowa. Nie byłaś przygotowana...

– A czyja to wina?

Darlington wyprostował się.

– Słucham? Dałem ci dwa tygodnie, żebyś się wdroszyła. Wysłałem konkretne fragmenty do przeczytania, żebyś sobie poradziła.

– A co z tymi wszystkimi latami wcześniej? – Alex wstała i odepchnęła krzesło. Weszła do pokoju śniadaniowego; światło lamp odbijało się w jej czarnych włosach, dziewczyna aż skrzyła się energią. Dom jęknął ostrzegawczo.

Alex nie była smutna, zawstydzona ani zmartwiona. Był wściekła. – Gdzie byliście? Wy wszyscy mądrzy ludzie z Lete ze swoimi zaklęciami, swoją kredą i swoimi książkami? Gdzie byliście, kiedy umarli chodzili za mną do domu? Kiedy wpadali do mojej klasy? Do sypialni? Do mojej przekłetej wanny? Sandow powiedział, że obserwowaliście mnie latami, odkąd byłam dzieckiem. Żaden z was nie mógł mi powiedzieć, jak się ich pozbyć? Że wystarczyłoby parę magicznych słów, żeby ich przegnać?

– Są niegroźni. To tylko rytuały...

Alex złapała kieliszek Darlingtona i cisnęła nim o ścianę. Posypało się szkło i trysnęło wino.

– Nie są niegroźni. Mówisz, jakbyś wiedział, jakbyś był jakimś ekspertem. – Oparła ręce o stół i pochyliła się ku niemu. – Nie masz pojęcia, do czego są zdolni.

– Skończyłaś czy chcesz stłuc jeszcze jeden kieliszek?

– Dlaczego nikt mi nie pomógł? – zapytała Alex, prawie warcząc.

– Pomogłem ci. Wylądowałaś pod morzem Szarych, o ile nie zapomniałaś.

– Nie mówię o tobie. – Alex machnęła ręką, wskazując dom. – Sandow. Lete. Ktoś taki. – Schowała twarz w dłoniach. – „Odwagi. Nikt nie jest nieśmiertelny”. Masz pojęcie, co by to dla mnie znaczyło, gdybym znała te słowa jako dziecko? Wystarczyłoby tak niewiele, żeby wszystko zmienić. Niestety nikt nie zawracał sobie mną głowy. Dopóki nie mogłam wam się przydać.

Darlington nie lubił myśleć, że źle się zachował. Nie lubił myśleć, że Dom Lete źle się zachował. „Jesteśmy pasterzami”. A jednak zostawili Alex na pastwę wilków. Miała rację. Nie obchodziła ich. Była dla Lete kimś, kogo można badać i obserwować z daleka.

Powiedział sobie, że daje jej szansę, że jest w porządku wobec dziewczyny, którą los wyrzucił na jego brzeg. Jednak pozwolił sobie myśleć o niej jak o kimś, kto dokonał samych złych wyborów i ruszył chwiejnie niewłaściwą ścieżką. Nie przyszło mu do głowy, że może była ścigana.

Po długiej chwili spytał:

– Zniszczenie jeszcze czegoś trochę pomoże?

Dyszała ciężko.

– Być może.

Darlington wstał i otworzył jedną szafkę, potem następną i kolejną, odsłaniając półki z kieliszkami, talerzami, dzbankami, półmiskami, maselnickami, sosjerkami, kryształami i porcelaną wartą tysiące dolarów. Wyjął kieliszek, nalał wina i podał Alex.

– Od czego chciałabyś zacząć?

1. Walter Scott, Pieśń ostatniego minstrela, tłum. Antoni Edward Odyniec. [\[wróć\]](#)
2. Oda I, 11, tłum. Lucjan Siemieński. [\[wróć\]](#)

7

ZIMA

Musiał istnieć jakiś protokół w Lete w przypadku morderstwa, seria kroków, których powinna się trzymać, które Darlington by znał i ich przestrzegał.

Pewnie kazałby jej zwerbować do pomocy Dawes. Niestety Alex i doktorantka nigdy nie wyszły poza wzajemne uprzejme ignorowanie siebie. Jak niemal wszyscy Dawes uwielbiała cudownego Darlingtona. Był jedyną osobą, która robiła wrażenie zupełnie swobodnej w kontakcie z Dawes; osiągał to bez ani odrobiny skrupowania, które zwieszało się z Dawes jak jedna z jej przydużych bluz w nieokreślonym kolorze. Alex praktycznie była przekonana, że Dawes obwinia ją za to, co wydarzyło się z Rosenfeld Hall, i chociaż prawie nie odzywała się do niej, jej milczenie przybrało nowy odcień gniewu w postaci zatraskiwanych szafek i podejrzliwych zerknięć. Alex nie chciała rozmawiać z Dawes więcej, niż to było konieczne.

Postanowiła więc skorzystać z biblioteki Lete. „Albo mogłabyś po prostu zarzucić tę sprawę” – pomyślała sobie, idąc po schodach rezydencji przy Orange. Za tydzień Darlington może pojawić się z powrotem pod tym dachem. Może wynurzyć się z rytuału w księżycowym nowiu cały, szczęśliwy i gotowy skierować swój wspaniały umysł na problem śmierci Tary Hutchins. A może skupi się na innych sprawach.

Nie było klucza, który wpuszczały do Il Bastone. Alex została przedstawiona drzwiom pierwszego dnia, kiedy Darlington ją tu przyprowadził, i teraz westchnęły ze skrzypieniem, kiedy Alex weszła. Kiedy towarzyszył jej Darlington, drzwi zawsze wesoło pomrukiwały. Przynajmniej dom nie poszczuł jej stadem szakali. Alex nie widziała ogarów Lete od tamtego pierwszego ranka, ale myślała o nich za każdym razem, gdy zbliżała się do domu. Zastanawiała się, gdzie śpią, czy są głodne i czy widmowe ogary w ogóle potrzebują jedzenia.

Teoretycznie Dawes miała wolne piątki, ale prawie zawsze można było ją zastać ukrytą w kącie salonu na parterze z laptopem. Dzięki temu łatwo było jej unikać. Alex przemknęła korytarzem do kuchni, gdzie znalazła talerz kanapek z zeszłej nocy, które Dawes zostawiła przykryte wilgotną ściereczką na górnej półce lodówki. Wrzuciła je do ust, czując się jak złodziej, ale dzięki temu miękkie białe chleb, plastry ogórka i cieniutko pokrojony łosoś z koperkiem jeszcze lepiej smakowały.

Dom przy Orange został kupiony przez Lete w 1888 roku, wkrótce po tym, jak John Anderson go porzucił, rzekomo próbując uciec przed duchem dziewczyny od cygar, którą miał zamordować jego ojciec. Od tego czasu Il Bastone udawał prywatny dom, szkołę prowadzoną przez siostry od św. Marii, biuro prawnicze, a teraz prywatny dom wiecznie czekający na remont. Jednak tak naprawdę zawsze należał do Lete.

Regał stał na korytarzu na pierwszym piętrze obok antycznego sekretarzyka i wazy z zasuszonymi hortensjami. To było wejście do biblioteki. W ścianie obok znajdował się stary panel, który rzekomo miał służyć do sterowania systemem stereo, ale działał tylko w połowie przypadków; czasem muzyka płynąca przez głośniki brzmiała tak cicho i odlegle, że dom wydawał się jeszcze bardziej pusty.

Alex wysunęła Księgę Albemarle'a z trzeciej półki. Wyglądała jak zwyczajna księga rachunkowa oprawiona w poplamione płótno, ale jej strony zaskwiercały lekko po otwarciu. Alex przysięgłaby, że przeszedł ją słaby prąd. Książka zachowywała echo ostatniej prośby użytkownika i kiedy Alex przeszła do strony z ostatnimi wpisami, zobaczyła pismo Darlingtona i słowa „plany Rosenfeld Hall”. Data – dziesiąty grudnia. Ostatnia noc, kiedy widziano Daniela Arlingtona żywego.

Alex wzięła długopis z sekretarzyka, wpisała datę, a potem słowa: „protokoły domu Lete, zabójstwo”. Wsunęła książkę z powrotem na półkę między powieść *Stover at Yale* i podniszczony egzemplarz *Kuchni nowoangielskiej, tom II*. Nigdzie nie widziała śladu pierwszego tomu.

Dom jęknął z dezaprobatą, a regał lekko zadygotał. Alex zastanawiała się, czy Dawes była za bardzo pogrążona w pracy, żeby to zauważyć, czy też właśnie spojrzała w sufit, zastanawiając się, co Alex kombinuje.

Kiedy regał przestał się trząść, Alex złapała za jego prawą krawędź i pociągnęła. Regał odchylił się od ściany jak drzwi, ukazując dwukondygnacyjną salę wypełnioną półkami. Chociaż było dopiero popołudnie, niebo widoczne przez szklaną kopułę jaśniało błękitem wczesnego zmierzchu. Powietrze było ciepłe i Alex wyczuwała w nim zapach kwiatu pomarańczy.

Dom Lete dysponował ograniczoną przestrzenią, więc bibliotekę zaopatrzone w magiczny portal dzięki zaklęciom zapożyczonym od Zwoju

i Klucza i zastosowanym przez Richarda Albemarle'a, kiedy był zwykłym Dantem. Należało wpisać szukany temat do Księgi Albemarle'a, odstawić ją na półkę, a biblioteka sama uprzejmie wyszukiwała odpowiednie tomy ze zbioru Lete, które już czekały, gdy tajemne drzwi się otwały. Cały zbiór znajdował się w podziemnym bunkrze pod posiadłością w Greenwich i dotyczył głównie historii okultyzmu, New Haven i Nowej Anglii. Znajdował się w nim oryginał słynnego dzieła Heinricha Kramera – *Malleus Maleficarum* i pięćdziesiąt dwa różne tłumaczenia tego tekstu, kompletny zbiór prac Paracelsusa, tajne pamiętniki Aleistera Crowleya i Francisa Bacona, księga czarów z zoroastryjskiej świątyni ognia w Czak Czak, zdjęcie z autografem Calvina Hilla i pierwsze wydanie *God and Man At Yale* Williama F. Buckleya wraz z czarem napisanym na serwetce z Yankee Doodle, który ujawniał tajne rozdziały książki. Powodzenia jednak, jeśli spróbujesz znaleźć tam *Dumę i uprzedzenie* albo podstawowe informacje na temat Zimnej Wojny (a niekoniecznie chcesz dowiedzieć się o wadliwej magii, którą posłużono się przy formułowaniu Doktryny Eisenhowera).

Biblioteka ponadto miała temperamencik. Jeśli nie byłeś dostatecznie konkretny w wyrażaniu prośby albo jeśli nie mogła znaleźć książek na szukany przez ciebie temat, regał zaczynał się trząść, buchać gorącem i wydawać z siebie przenikliwy, szaleńczy wizg, dopóki nie wzięłaś *Księgi Albemarle'a* i nie wypowiedziałaś kojącej inkantacji nad stronicami, gładząc ją delikatnie po grzbiecie. Ponadto magiczną bramę należało konserwować, powtarzając co sześć lat serię skomplikowanych rytuałów.

– A co by się stało, gdybyście przegapili właściwy rok? – zapytała Alex, kiedy Darlington pokazał jej, jak działa biblioteka.

– To się wydarzyło w 1928 roku.

– No i?

– Wszystkie książki ze zbioru stłoczyły się naraz w bibliotece i podłoga zawaliła się, spadając na Chestera Vance'a, ówczesnego Oculusa.

– Jezu, to straszne.

– Sam nie wiem – odparł w zamyśleniu Darlington. – Uduślenie pod stosem książek wydaje się odpowiednią śmiercią dla asystenta naukowego.

Alex podchodziła do biblioteki z ostrożnością i nie zbliżała się do regału, kiedy ten dygotał. Zbyt łatwo mogła wyobrazić sobie Darlingtona, jak żartuje o rozkosznej ironii, gdy ignorantka Galaxy Stern zginęła w szczękach zbuntowanej wiedzy.

Postawiła torbę na okrągłym stole pośrodku pokoju; drewniany blat inkrustowano wzorem układającym się w gwiazdozbiory, których nie rozpoznawała. Zdumiewało ją to, że zapach książek zawsze jest taki sam. Tak

samo pachniały starożytne dokumenty w zbiorach zamkniętych w klimatyzowanych pomieszczeniach i w szklanych gablotach Beinecke, czytelnie w Bibliotece Sterlinga, zmienna biblioteka Domu Lete i oświetlone jarzeniówkami czytelnie pełne tanich książek w miękkich okładkach, w których żyła jako dziecko.

Większość półek była pusta. Stało tam parę ciężkich, starych ksiąg o historii New Haven i pretensjonalna książeczka w broszurowej oprawie pod tytułem *Burda w New Haven!*, którą pewnie sprzedawano w sklepach dla turystów. Alex potrzebowała minuty, żeby zdać sobie sprawę, że jedna półka została całkowicie wypełniona egzemplarzami tej samej cienkiej książki – *Życie Lete: procedury i protokoły Dziewiątego Domu*, początkowo wydawanymi w twardej oprawie, a potem mniejszym kosztem zszywanymi, kiedy Dom Lete stracił większość swoich pretensji i zaczął rozsądniej gospodarować budżetem.

Alex sięgnęła po najnowsze wydanie; na okładce widniała pieczętka „1987”. Nie było tam spisu treści, tylko strony krzywo odbite na kopiarce, czasem z notatką na marginesie, i odcinek biletu na koncert Squeeze w New Haven Coliseum. Coliseum dawno temu przepadło, zostało wyburzone pod mieszkania i kampus dwuletniego college’u przygotowującego do studiów uniwersyteckich, który nigdy nie powstał. Alex widziała Szarego, nastolatka w T-shircie R.E.M. kręcącego się po parkingu, który zajął miejsce Coliseum. Kręcił się bez celu w kółko, jakby ciągle miał nadzieję zdobyć bilety na koncert.

Wpis pod hasłem „morderstwo” był frustrująco krótki:

„W przypadku gwałtownej śmierci związanej z działalnością stowarzyszeń rezydencjalnych zostanie zwołane konsylium z dziekanem, rektorem, aktywnymi członkami Domu Lete, aktualnym Centurionem i przewodniczącym fundacji Lete, mające na celu ustalenie dalszych poczynań (patrz: „protokoły narad”).

Alex przeszła do protokołów narad, ale znalazła tylko diagram jadalni w Domu Lete wraz z przewodnikiem, jak należy usadzać gości, z przypomnieniem, że rezydujący Oculus ma czuwać nad harmonogramem spotkania, oraz sugerowane menu. Najwyraźniej zalecano potrawy lekkostrawne, a alkohol należało podawać tylko na prośbę. Był tam nawet przepis na coś, co nazywało się miętowym ponczem z lodem.

– Ogromnie to pomocne, panowie – mruknęła Alex. Mówili o śmierci, jakby to było naruszenie zasad dobrego zachowania. Nie miała pojęcia, o co chodziło z tym „konsylium”, ale ewidentnie mowa była o poważnym zebraniu, którego nie zamierzała zwoływać. Naprawdę powinna zwrócić się do rektora i zaprosić go na rozmowę przy półmisku wędlin? Sandow kazał jej przestać się martwić. Nic nie mówił o konsylium. Dlaczego? Bo to rok ustalania funduszy. Bo Tara

Hutchins jest z miasta. Bo nic nie wskazuje na udział stowarzyszeń. Dlatego odpuść sobie.

Zamiast tego Alex wróciła na korytarz, zamknęła drzwi do biblioteki i ponownie otworzyła Księgę Albemarle'a. Tym razem ze stron buchnął zapach cygar i brzęk stołowych naczyń. Tak wyglądało wspomnienie Lete na temat morderstwa – nie krew i cierpienie, ale mężczyźni, którzy zebrali się przy stole i popijali miętowy poncz z kruszonym lodem. Zawahała się, próbując wymyślić właściwe słowa dla biblioteki, a potem wpisała kolejną prośbę: „Jak rozmawiać z umarłymi”.

Wsunęła książkę na miejsce i regał zatrzęsł się wściekle. Kiedy tym razem weszła do biblioteki, półki był zavalone książkami.

Trudno było pozbyć się uczucia, że Darlington zerka jej przez ramię, że jako entuzjastyczny badacz z trudem powstrzymuje się, żeby nie mieszać się do jej nieudolnych poszukiwań.

„Kiedy pierwszy raz ich zobaczyłaś?”. Alex powiedziała mu prawdę. Zwyczajnie nie pamiętała, kiedy pierwszy raz zobaczyła umarłego. Nawet nie nazywała ich tak w myślach. Sinousta dziewczyna w bikini przy basenie. Nagi mężczyzna stojący za siatką ogrodzenia przy szkolnym dziedzińcu, bawiący się leniwie ze sobą, kiedy jej klasa biegała w kółko. Dwóch chłopców w zakrwawionych bluzach siedzących we wnęce ze stolikiem w In-N-Out, którzy nigdy nie składali zamówienia. To byli po prostu Cisi i jeśli nie zwracała na nich uwagi, to zostawiali ją w spokoju.

To wszystko zmieniło się w łazience w Golecie, kiedy miała dwanaście lat.

Do tego czasu nauczyła się nie mówić o tym, co widzi, i szło jej całkiem nieźle. Kiedy nadszedł czas zacząć gimnazjum, poprosiła matkę, żeby zaczęła mówić na nią Alex zamiast Galaxy i żeby w ten sposób wypełniła jej szkolne dokumenty. W starej szkole wszyscy znali ją jako nerwowe dziecko, które gada do siebie i wzdryga się z powodu rzeczy, których nie ma, jako dziewczynkę bez taty, która nie przypomina matki. Jeden z psychologów myślał, że ma ADHD, inny że potrzebuje bardziej uregulowanego snu. Potem był wicedyrektor, który wziął jej matkę na bok i mruknął, że Alex może być nieco nierozgarnięta. „Pewnych rzeczy nie da się naprawić pigułką i terapią, sama pani rozumie. Niektóre dzieci są poniżej średniej i dla nich też znajdzie się miejsce w klasie”.

Jednak nowa szkoła oznaczała nowy początek, szansę, żeby zamienić się w kogoś zwyczajnego.

– Nie powinnaś się wstydzić tego, że jesteś inna – powiedziała jej matka, gdy Alex zebrała się na odwagę, żeby poprosić ją o zmianę imienia. – Nie bez powodu nazwałam cię Galaxy.

Alex się nie sprzeciwiła. Większość książek, które czytała, i programów telewizyjnych, które oglądała, pokazywała, że bycie innym to nic złego. Inność jest świetna! Tyle że nikt nie był inny w taki sposób jak ona. Poza tym pomyślała, rozglądając się po ich maleńkim mieszkaniu wyładowanym łowcami snów, jedwabnymi apaszkami i obrazami z wrózkami tańczącymi pod księżycem, że i tak nigdy nie będzie taka jak inni.

– Może z czasem do tego dorosnę.

– W porządku – zgodziła się Mira. – To twój wybór i ja go szanuję. – A potem porwała córkę w objęcia i ucałowała w czoło. – Ale nadal jesteś moją małą gwiazdką.

Alex wyrwała jej się ze śmiechem. W głowie jej się kręciło z niepokoju i ulgi, a potem zaczęła myśleć, jak mogłaby przekonać mamę do kupienia jej nowych džinsów.

Zacząła się siódma klasa i Alex często się zastanawiała, czy jej nowe imię nie jest magicznym słowem. Nie naprawiło wszystkiego. Nadal nie miała właściwych tenisówek, właściwej gumki i nie przynosiła właściwych rzeczy na lunch. Nie mogło zamienić ją w wysoką blondynkę ani wydepilować jej gęstych brwi, które trzeba było stale pilnować, żeby nie połączyły swoich sił w zjednoczonym froncie brwiowym. Białe dzieciaki nadal uważały ją za Meksykankę, a meksykańskie za białą. Jednak w szkole radziła sobie przyzwoicie. Miała z kim siadać w czasie lunchu. Miała przyjaciółkę imieniem Meagan, która zapraszała ją na wspólne oglądanie filmów, podczas których zajadały naładowane cukrem i lśniące sztucznymi kolorami firmowe płatki śniadaniowe.

Rankiem w dniu wyprawy do Golety, kiedy pani Rosales kazała im połączyć się w pary i Meagan złapała Alex za rękę, Alex ogarnęła tak przytłaczająca wdzięczność, że bała się, iż wymiotuje maleńkie muffinki z jagodami, które nauczyciele przynieśli dla uczniów. Spędziły rano, pijąc gorącą czekoladę ze styropianowych kubków, ściśnięte razem na zielonych winylowych siedzeniach autobusu. Obie ich mamy lubiły Fleetwood Mac i kiedy w radiu kierowcy zabrzmiało *Go Your Own Way*, zaczęły śpiewać, prawie krzyczeć, rozchichotane i zadyszane, aż Cody Morgan przycisnął ręce do uszu i wrzasnął na nie „ZAMKNIJCIE SIĘ!”.

Dojazd do rezerwatu motyli trwał prawie trzy godziny i Alex rozkoszowała się każdą minutą jazdy. Sam zagajnik nie był niczym nadzwyczajnym: ładne skupisko eukaliptusów otoczone pylistymi ścieżkami i przewodnik, który

opowiadał o zwyczajach żywieniowych i migracji motyli *Danaus plexippus* zwanych monarchami. Alex spostrzegła smukłą kobietę idącą przez zagajnik z ręką zwieszającą się z ciała na ledwie skrawku ścięgna i szybko odwróciła wzrok, w samą porę, żeby zobaczyć dywan pomarańczowych skrzydeł podrywający się z drzew, gdy motyle się wzbiły. Zjadły z Meagan lunch, siedząc ramię w ramię przy stole piknikowym w pobliżu wejścia, a przed odjazdem wszyscy poszli skorzystać z łazienki. To były niskie budynki o wilgotnych betonowych podłogach i obie z Meagan prawie się zadławiły, gdy tam weszły.

– Zapomnij – powiedziała Meagan. – Wytrzymam do powrotu.

Niestety Alex musiała skorzystać. Wybrała najczystszą kabinę, starannie ułożyła papier toaletowy na desce, zsunęła dżinsowe szorty i zamarła. Przez długą chwilę nie była pewna, na co patrzy. Krew prawie zaschła i była tak brązowa, że Alex z trudem zrozumiała, że to krew. Dostała miesiączki. Nie powinna mieć skurczy albo czegoś takiego? Meagan dostała miesiączki latem i miała mnóstwo przemyśleń na temat tamponów, podpasek i znaczenia ibuprofenu.

Jedyną ważną rzeczą był fakt, że krew nie przesiąkła jej przez szorty. Tylko jak miała przetrwać powrót do domu autobusem?

– Meagan! – krzyknęła, ale ktokolwiek korzystał wcześniej z łazienek, to już wyszedł.

Alex ogarnęła panika. Musiała dopaść panią Rosales, zanim wszyscy inni usiądą w autobusie i będą gotowi jechać. Ona będzie wiedziała, co zrobić.

Alex nawinęła trochę papieru na rękę i włożyła jako prowizoryczną podpaskę w brudną bieliznę, a potem podciągnęła szorty i wyszła z kabiny.

Krzyknęła. Stał tam mężczyzna z twarzą cętkowaną od siniaków. Ulżyło jej, gdy zorientowała się, że on nie żyje. Martwy mężczyzna w toalecie dla dziewcząt jest o wiele mniej straszny od żywego. Zacisnęła pięści i przeszła przez niego. Nie cierpiała przez nich przechodzić. Czasem widziała przebłyski ich wspomnień, ale tym razem poczuła tylko podmuch zimna. Podeszła pośpiesznie do umywalki i szybko umyła ręce. Nadal go wyczuwała, ale nie zamierzała napotkać jego wzroku w lustrze.

Poczuła, że coś musnęło jej kark.

W następnej chwili miała twarz wciśniętą w lustro. Coś dopchnęło jej biodra do porcelanowej krawędzi półki z umywalkami. Poczuła zimne palce szarpiące za gumkę jej szortów.

Krzyknęła, kopnęła, trafiła w namacalne ciało i kość, poczuła, że chwyt na szortach słabnie. Próbowwała odepchnąć się od umywalki, dostrzegła swoją twarz w lustrze, niebieską spinkę zsuwającą się z włosów i zobaczyła mężczyznę – to coś, co ją złapało. „Nie możesz mnie trzymać – pomyślała. – Nie możesz mnie

dotykać”. To niemożliwe. To niedozwolone. Żaden z Cichych nie mógł jej dotknąć.

A potem wylądowała twarzą na betonowej podłodze. Poczowała, że ktoś szarpnął jej biodra do tyłu, ściągnął majtki i że coś napiera na nią, wpycha się w nią. Zobaczyła motyla leżącego w kałuży pod umywalką, trzepotał jednym skrzydłem apatycznie, jakby do niej machał. Krzyczała i krzyczała.

Tak właśnie znalazła ją Meagan i pani Rosales – na podłodze łazienki, z szortami wokół kostek, z majtkami wokół kolan, z krwią na udach i grudką przesiąkniętego krwią papieru toaletowego wciśniętą między nogi, podczas kiedy ona płakała i miotła się z uniesionymi i drżącymi biodrami. Sama.

Pani Rosales podbiegła do niej, krzycząc:

– Alex! Kochanie!

I to coś, co próbowało w nią wejść, zniknęło. Nigdy nie dowiedziała się, dlaczego przestał, dlaczego uciekł, ale przywarła do pani Rosales, ciepłej i żywej, pachnącej lawendowym mydłem.

Pani Rosales odesłała Meagan z łazienki. Otarła łzy Alex i pomogła jej się umyć. Miała tampon w torebce i powiedziała jej, jak go włożyć. Alex wypełniała jej instrukcje, wciąż rozdygotana i zapłakana. Nie chciała się tam dotykać. Nie chciała myśleć o tym, jak on próbował się w nią wepchnąć. Pani Rosales usiadła obok niej w autobusie, dała jej kartonik z sokiem. Alex słuchała, jak inne dzieci się śmieją i śpiewają, ale bała się obejrzeć. Bała się spojrzeć na Meagan.

Przez całą tę długą jazdę autobusem i podczas oczekiwania w gabinecie pielęgniarki Alex chciała tylko, żeby matka przyszła, objęła ją i zabrała do domu, do bezpiecznego mieszkania, gdzie owinęłaby się w koce na kanapie i oglądała kreskówki. Zanim jej matka przyjechała i skończyła szeptaną rozmowę z dyrektorem, szkolnym psychologiem i panią Rosales, szkolne korytarze opustoszały. Kiedy Mira prowadziła ją na parking przez rozbrzmiewającą echem pustkę, Alex żałowała, że nie jest już dość mała, żeby wziąć ją na rękę.

Kiedy wróciły do domu, Alex wzięła prysznic najszybciej, jak się dało. Czowała się zbyt odsłonięta, zbyt naga. A jeśli on wróci? A jeśli coś innego po nią przyjdzie? Co go powstrzyma przed odnalezieniem jej, co powstrzyma którekolwiek z nich? Widziała, jak przechodzili przez ściany. Gdzie mogłaby wciąż czuć się bezpieczna?

Wybiegła spod prysznica i wpadła do kuchni, żeby pogrzebać w szufladzie ze szpargałami. Słyszała matkę pomrukującą przez telefon w sypialni.

– Myślę, że mogła być molestowana – powiedziała Mira. Płakała. – Że z tego powodu teraz odreagowuje... Nie wiem. Nie wiem. Był ten trener

pływacki w YWCA. Zawsze wydawał mi się trochę szemrany, a Alex nie lubiła chodzić na basen. Może do czegoś tam doszło?

Alex nie cierpiała basenu, bo był tam Cichy, dzieciak z wgniecioną czaszką po lewej stronie, który lubił kręcić się przy zardzewiałym podwyższeniu, gdzie kiedyś była trampolina.

Grzebała w szufladzie, aż znalazła mały czerwony scyzoryk. Wzięła go ze sobą pod prysznic i położyła na mydelniczce. Nie wiedziała, czy zda się na cokolwiek w spotkaniu z Cichym, ale poczuła się nieco lepiej. Umyła się szybko, wytarła i przebrała w piżamę, a potem poszła do salonu, żeby zwinąć się na kanapie z mokrymi włosami owiniętymi w ręcznik. Matka musiała usłyszeć, że zakręciła prysznic, bo wyszła z sypialni kilka minut później.

– Hej, skarbie – powiedziała cicho; oczy miała czerwone. – Jesteś głodna?

Alex nie odrywała wzroku od telewizora.

– Możemy zjeść prawdziwą pizzę?

– Sama mogę ci zrobić pizzę. Nie chcesz migdałowego sera?

Alex nie odpowiedziała. Kilka minut później usłyszała, że matka zamawia przez telefon pizzę z Amici's. Oglądały telewizję, a Mira udawała, że nie obserwuje Alex.

Alex jadła, aż brzuch ją rozboleł, a potem jeszcze trochę. Było za późno na kreskówki, w telewizji zaczęły się barwne seriale komediowe z nastoletnimi czarodziejami i bliźniakami mieszkającymi w lofcie; wszystkie dzieciaki w szkole udawały, że ich nie oglądają, bo dawno z nich wyrosły. „Kim są ci ludzie? – zastanawiała się Alex. – Kim są ci szczęśliwi, rozgorączkowani, zabawni ludzie? Dlaczego w ogóle się nie boją?”.

Jej matka skubała brzeżek pizzy. W końcu sięgnęła po pilota i wyłączyła dźwięk.

– Skarbie – odezwała się. – Galaxy.

– Alex.

– Alex, możesz ze mną porozmawiać? Możemy porozmawiać o tym, co się stało?

Alex poczuła, że śmiech podchodzi jej do gardła i napiera, aż zaczęło ją boleć. Czy jeśli go wypuści, roześmieje się czy rozpłacze? „Czy możemy porozmawiać o tym, co się stało?”. Co miała powiedzieć? „Duch próbował mnie zgwałcić? Może nawet zgwałcił?”. Nie była do końca pewna, kiedy to się liczy, jak głęboko musiałby w nią wejść. To jednak nie miało znaczenia, bo i tak nikt by jej nie uwierzył.

Alex ścisnęła scyzoryk w kieszeni piżamy. Serce nagle zaczęło jej gwałtownie bić. Co mogła powiedzieć? „Pomóż mi. Chronź mnie”. Tyle że nikt nie mógł jej obronić. Nikt nie widział rzeczy, które ją krzywdzą.

Może nawet naprawdę nie istniały. To było najgorsze z tego wszystkiego. A jeśli ona to wszystko sobie wyobrażała? Może po prostu zwariowała i co wtedy? Miała ochotę krzyczeć i nigdy nie przestać.

– Skarbie? – Oczy jej matki znowu wypełniły się łzami. – Cokolwiek się stało, to nie twoja wina. Wiesz to, prawda? Skarbie...

– Nie mogę wrócić do szkoły.

– Galaxy...

– Mamo – przerwała jej Alex, odwracając się i łapiąc ją za nadgarstki, bo musiała ją wysłuchać. – Mamo, nie każ mi tam wracać.

Mira spróbowała ją objąć.

– Och, moja mała gwiazdko.

Alex zaczęła wtedy krzyczeć. Kopała matkę, żeby ją odsunąć.

– Ty skończona frajerko! – wrzeszczała, powtarzając to raz za razem, aż matka się rozplakała, a Alex zamknęła się w pokoju, bo mdliło ją ze wstydu.

Mira pozwoliła córce zostać w domu do końca tygodnia. Znalazła terapeutę, który przyjął Alex, ale ona nie miała mu nic do powiedzenia.

Mira błagała Alex, próbowała ją przekupić niezdrowym jedzeniem i telewizją, a potem wreszcie oznajmiła:

– Albo porozmawiasz z terapeutą, albo wracasz do szkoły.

I dlatego w następny poniedziałek Alex wróciła do szkoły. Nikt się do niej nie odzywał. Prawie nikt na nią nie patrzył. A kiedy zobaczyła sos do spaghetti rozmazany na swojej szafce w przebieralni przy sali gimnastycznej, wiedziała, że Meagan się wygadała.

Alex nadano przydomek Krwawa Mary. Jadała lunch sama. Nikt nigdy nie chciał być jej partnerem w laboratorium albo na wycieczce szkolnej i trzeba było ją innym narzucać. Zrozpaczona Alex popełniła błąd, próbując powiedzieć Meagan, co naprawdę się wydarzyło, próbując wyjaśnić. Wiedziała, że to głupie, kiedy opowiadała o rzeczach, które widziała i które wiedziała. Patrzyła, jak Meagan odsuwa się coraz bardziej, spogląda w dal, nawija na wskazujący palec długie pasmo lśniących brązowych włosów. Jednak im bardziej Meagan się odsuwała, im bardziej cisza się przeciągała, tym więcej Alex mówiła, jakby gdzieś wśród tych słów krył się tajny kod, klucz, który pozwoli jej odzyskać iskrę tego, co straciła.

W końcu Meagan powiedziała:

– W porządku, muszę już iść.

A potem zrobiła to, czego Alex się spodziewała – wszystko rozpowiedziała.

Dlatego kiedy Sarah McKinney błagała Alex, żeby spotkała się z nią przy Tres Muchachos i porozmawiała z duchem jej babci, Alex wiedziała, że próbując wykręcić jej numer, że to pewnie jeden wielki żart. Mimo to poszła, nie tracąc

nadziei, i skończyła, siedząc w restauracyjnej części centrum handlowego i powstrzymując łzy.

Wtedy właśnie Mosh spojrzała zza lady Hot Dog on a Stick i zlitowała się nad nią. Mosh chodziła do ostatniej klasy, miała ufarbowane na czarno włosy i tysiąc srebrnych pierścionków na bladych jak u trupa rękach. Wiedziała wszystko na temat podłych dziewczyn i zaprosiła Alex do paczki swoich przyjaciół, którzy spotykali się na parkingu przy centrum handlowym.

Alex nie bardzo wiedziała, jak się zachowywać, więc stała z rękami w kieszeniach, aż chłopak Mosh zaproponował jej fajkę, którą sobie podawali.

– Ona ma dwanaście lat! – zaprotestowała wtedy Mosh.

– Jest zestresowana, przecież widzę. I jest w porządku, nie?

Alex widziała, jak starsze dzieciaki w szkole popalają skręty i papierosy. Ona i Meagan udawały, że palą, więc przynajmniej wiedziała, że nie powinno się wypuszczać dymu jak przy papierosie.

Zacisnęła usta na fajce i zaciągnęła się, próbując zatrzymać dym. Zakaszła głośno i mocno.

Mosh i jej przyjaciele przyklasnęli jej.

– Widzisz? – powiedział chłopak Mosh. – Ten dzieciak jest w porzo. I całkiem ładny.

– Nie zachowuj się jak oblech – upomniała go Mosh. – To tylko dzieciak.

– Nie powiedziałem, że chcę ją przelecieć. Jak się właściwie nazywasz?

– Alex.

Chłopak Mosh wyciągnął rękę. Nosił skórzane bransoletki na obu nadgarstkach, miał ciemne włosy na przedramionach i nie wyglądał jak chłopcy z jej klasy.

Uścisnęła mu dłoń, a on mrugnął do niej porozumiewawczo.

– Miło cię poznać, Alex. Nazywam się Len.

Kilka godzin później wpełzła do łóżka. Czowała się śpiąca i niezwyknięta. Zdała sobie sprawę, że nie widziała ani jednego umarłego, odkąd pierwszy raz wciągnęła dym do płuc.

Alex nauczyła się, że istnieje równowaga. Alkohol działał, tak samo oxy – każda rzecz, która osłabiała koncentrację. Valium było najlepsze. Sprawiało, że wszystko stawało się miękkie i jak spowite w watę. Amfa okazała się ogromnym błędem, zwłaszcza adderall, ale najgorsza ze wszystkiego była eska. Jeden raz, kiedy Alex popełniła ten błąd, nie dość, że widziała Szarych, to jeszcze

wyczuwała ich, odbierała ich smutek, ich głód napływający do niej ze wszystkich stron. Nic takiego jak incydent w łazience przy rezerwacji więcej się nie przydarzyło. Żaden z Cichych nie był w stanie jej dotknąć, ale nie wiedziała dlaczego. I nadal wszędzie ich spotykała.

Piękne było to, że przy swoich nowych przyjaciółach, jej naćpanych przyjaciółach, mogła świrować, a oni się tym nie przejmowali. Uważali, że jest przezabawna. Była najmłodszym dzieciakiem, który się z nimi kręcił, ich maskotką, wszyscy śmiali się, gdy rozmawiała z rzeczami, których nie było. Mosh nazywała dziewczyny takie jak Meagan „blond sukami” i „barbie mutantami”. Mówiła, że wszystkie są „smętnymi rybkami, pijącymi własne szczyny w głównym nurcie”. Powiedziała, że dałaby się zabić dla czarnych włosów Alex, a kiedy ta powiedziała, że świat jest pełen duchów, które próbują dostać się do środka, Mosh pokręciła głową i rzekła: „Powinnaś to zapisywać, Alex, słowo daję”.

Alex nie zdała do następnej klasy. Została zawieszona. Kradła gotówkę z torebki matki, zaczęła wynosić drobiazgi z domu, aż w końcu ukradła srebrny kielich do kiduszu dziadka. Mira płakała, krzyczała i ustanowiła nowe reguły w domu. Alex złamała wszystkie, czuła się winna, bo zasmucała matkę, wściekała się z powodu swojego poczucia winy. To wszystko ją męczyło i w końcu przestała wracać do domu.

Kiedy skończyła piętnaście lat, jej matka wykorzystwała resztę oszczędności, żeby wysłać ją na odwyk dla nastolatków o zaostrowym rygorze. W tamtym czasie Mosh już dawno wyjechała do szkoły plastycznej i nie spędzała czasu z Alex, Lenem i innymi dzieciakami, gdy przyjeżdżała na wakacje. Alex natknęła się na nią w drogerii, gdzie nadal kupowała czarną farbę do włosów. Mosh zapytała, jak jej idzie w szkole, a Alex tylko się roześmiała. Mosh zaczęła ją przeproszać.

– O czym ty mówisz? – zdumiała się Alex. – Uratowałam mnie.

Mosh była tak zasmucona i zawstydzona, że Alex praktycznie uciekła ze sklepu. Wróciła do domu tego wieczoru, bo chciała zobaczyć mamę i przespać się we własnym łóżku. Obudziła się, gdy dwóch napakowanych mężczyzn świeciło jej latarkami w oczy i wywlekało ją z pokoju na oczach zapłakanej matki, która mówiła: „Przepraszam, skarbie. Nie wiem, co innego mogę zrobić”. Najwyraźniej to był dzień pełen przeprosin.

Związali jej nadgarstki opaskami zaciskowymi, bosą i w piżamie wrzucili na tył SUV-a. Krzyczeli na nią o szacunku i łamaniu serca matce, że pojedzie do Idaho, żeby nauczyć się, jak należy żyć, i że czeka ją lekcja życia. Len nauczył ją jednak, jak zerwać opaskę zaciskową, i potrzebowała tylko dwóch prób, żeby uwolnić się, otworzyć cicho tylne drzwi i zniknąć między dwoma blokami,

zanim mięśniaki na przodzie zorientowały się, że uciekła. Przeszła siedem mil do cukierni Baskin-Robbins, gdzie pracował Len. Po jego zmianie włożyli pokryte pęcherzami stopy Alex do pojemnika z lodami o smaku gumy do żucia, naćpali się i uprawiali seks na podłodze w magazynie.

Pracowała w TGI Fridays, a potem w meksykańskiej restauracji, w której codziennie zbierało się niedojedzoną fasolę z talerzy klientów i ponownie podawało, później przy strzelnicy laser tag i w Mail Boxes Etc. Pewnego popołudnia, gdy stała przy ladzie nadawczej, ładna dziewczyna z kasztanowymi lokami weszła z matką i stosem szarych kopert. Alex potrzebowała minuty, żeby zdać sobie sprawę, że to Meagan. Stojąc w bordowym fartuchu i patrząc, jak Meagan gawędzi z innym pracownikiem, Alex poczuła się nagle tak, jakby sama stała wśród Cichych, jakby umarła w tamtej łazience wiele lat temu i od tamtego czasu ludzie patrzyli na wskroś niej. Przez większość czasu była po prostu zbyt naćpana, żeby to zauważyć. A potem Meagan obejrzała się przez ramię i ukradkowość, nerwowość jej spojrzenia wystarczyła Alex, żeby wrócić do własnego ciała. „Widzisz mnie – pomyślała. – Wolałabyś nie widzieć, ale widzisz”.

Lata mijały. Czasem Alex otrząsała się, myślała, żeby wytrzeźwieć, wrócić do szkoły albo mamy. Fantazjowała o czystej pościeli i o kimś, kto utulałby ją na noc. A potem dostrzegала motocyklistę ze skórą zdartą z połowy twarzy, z miazgą ciała upstrzoną żwirem albo starą kobietę w otwartym szlafroku, stojącą przed witryną sklepu z elektroniką, i zaraz wracała do ćpania. Kiedy ich nie widziała, oni też jej nie widzieli.

Żyła w taki sposób aż do Hellie – złotej Hellie; Len spodziewał się (a może miał taką nadzieję), że Alex ją znienawidzi, a ona przeciwnie, pokochała ją – aż do nocy w Strefie Zero, kiedy wszystko się tragicznie schrzaniło, aż do ranka, kiedy obudziła się i zobaczyła dziekana Sandowa w swoim szpitalnym pokoju.

Wyjął jakieś papiery z aktówki, stary esej, który napisała, kiedy jeszcze zawracała sobie głowę chodzeniem do szkoły. Nie pamiętała, żeby go napisała, ale tytuł brzmiał: „Dzień z mojego życia”. Na górze widniała wielka pała i słowa: „To nie miała być fikcja literacka”.

Sandow przysiadł na krześle obok łóżka i zapytał:

– Rzeczy, które opisałeś w tym esej... nadal je widzisz?

W noc rytuału Aurelian, kiedy Szarzy włączyli się do kręgu ochronnego, przybrali namacalne kształty, przyciągani przez krew i tęsknotę, cała przeszłość błyskawicznie do niej powróciła. O mały włos, a straciłaby wszystko, zanim jeszcze zrobiła pierwszy krok, ale jakoś wytrzymała i z małą pomocą – na przykład taką jak wakacyjna praca polegająca na parzeniu idealnej herbaty dla

profesor Belbalm – myślała, że może wytrzyma nieco dłużej. Musiała tylko odpuścić sobie Tarę Hutchins.

Zanim Alex skończyła pracę w bibliotece Lete, słońce zaszło, a jej mózg popadł w odrętwienie. Popełniła początkowo błąd, że nie ograniczyła zamówionych książek do anglojęzycznych. Jednak nawet gdy to poprawiła, na półkach pojawiła się zdumiewająco duża liczba trudnych do rozgryzienia akademickich prac i traktatów, które były zwyczajnie zbyt nieprzystępne, żeby zdołała przez nie przebrnąć. Na swój sposób to ułatwiło jej zadanie. Istniała ograniczona liczba rytuałów, które Alex mogła zrozumieć, i to zawężyło jej możliwości. Istniały rytuały, które wymagały określonego układu planet, równonocy albo jasnego październikowego dnia, jeden wymagał napletka „cnego młodziana wielkiego animuszu”, a inny nieco mniej niepokojących, ale równie trudnych do sprokurowania piór stu złotych rybołówów.

„Satysfakcja z dobrze wykonanej pracy” – to jedna z fraz, które lubiła jej mama. „Ciężka praca męczy duszę. Dobra praca karmi duszę!”. Alex nie była pewna, czy w ogóle zamierza zakwalifikować to jako „dobrą” pracę, ale to było lepsze niż bezczynność. Skopiowała tekst – ponieważ jej telefon nie działał w aneksie, nawet nie robił tu zdjęć – a potem zamknęła bibliotekę i powłokła się schodami do salonu.

– Cześć, Dawes – powiedziała skrzepowana. Żadnej reakcji. – Pamela.

Dawes siedziała w tym samym miejscu co zwykle, skulona na podłodze obok fortepianu, z markerem fluorescencyjnym w zębach. Laptop stał z boku, a ją otaczały stosy książek i rzędy kart katalogowych z czymś, co Alex wzięła za tytuły rozdziałów jej rozprawy.

– Cześć – spróbowała raz jeszcze. – Potrzebuję, żebyś mi w czymś pomogła.

Dawes wsunęła *Od Eleusis do Emploi pod Mimesis i Koło Rydwanu*.

– Mam robotę – wymamrotała z markerem w ustach.

– Musisz pójść ze mną do kostnicy.

Teraz Dawes podniosła wzrok, zmarszczyła czoło i zamrugowała jak ktoś nagle wystawiony na dzienne światło. Zawsze robiła wrażenie nieco obrażonej, gdy się do niej odzywano, jakby była o krok od objawienia, które wreszcie pomoże jej skończyć pisaną od sześciu lat rozprawę.

Wyjęła mazak z ust, otarła go bezceremonialnie o szorstką bluzę, która zależnie od światła mogła być szara albo granatowa. Rude włosy miała zwinięte w kok. Alex widziała różową aureolkę pryszcza formującego się na jej podbródku.

– Dlaczego? – spytała Dawes.

– Tara Hutchins.

– Czy dziekan Sandow chce, żebyś tam poszła?

– Potrzebuję więcej informacji – odpowiedziała Alex. – Do raportu.

To był problem, który droga Dawes może zrozumieć.

– W takim razie zadzwoń do Centuriona.

– Turner nie będzie ze mną rozmawiał.

Dawes przesunęła palcem po krawędzi jednej z kart. „Hermeneutyka heretycka – Józef Flawiusz i wpływ trickstera na Głupca”. Paznokcie miała obgryzione do żywego.

– Nie oskarżyli jej chłopaka? – zapytała, ciągnąc za postrzępiony rękaw. – Co to ma z nami wspólnego?

– Pewnie nic, ale to była czwartkowa noc i myślę, że powinniśmy się upewnić. Po to tu jesteśmy, nie?

Alex nie powiedziała: „Darlington by tak zrobił”, ale na to samo wyszło.

Dawes pociągnęła zakłopotana nosem.

– Ale jeśli detektyw Turner...

– Turner może się walić – ucięła Alex.

Była zmęczona. Przegapiła kolację. Zmarnowała wiele godzin na Tarę Hutchins i zamierzała zmarnować jeszcze więcej.

Dawes zagryzała wargę, jakby naprawdę próbowała wyobrazić sobie szczegóły techniczne tej operacji.

– Sama nie wiem.

– Masz samochód?

– Nie. Darlington ma. Miał. Kurwa.

Przez chwilę był tam z nimi w pokoju – kompetentny złoty chłopak. Dawes wstała i rozpięła plecak, wyjęła kluczyki. Stała w słabnącym świetle, ważąc je w dłoni.

– Sama nie wiem – powtórzyła.

Mogła mieć na myśli setkę różnych rzeczy. Nie wiem, czy to dobry pomysł. Nie wiem, czy można ci ufać. Nie wiem, jak skończyć rozprawę. Nie wiem, czy nie okradłaś mnie ze złotego, idealnego chłopca, któremu była pisana chwała.

– Jak tam wejdziemy? – spytała Dawes.

– Wprowadzę nas.

– A potem co?

Alex podała jej kartkę z notatkami, które spisała w bibliotece.

– Mamy wszystkie te rzeczy, nie?

Dawes przejrzała stronę. Jej zaskoczenie było oczywiste, gdy powiedziała:

– To nie jest złe.

„Nie przepraszaj. Po prostu weź się do pracy”.

Dawes zagryzła wargę. Usta miała bezbarwne jak cała ona. Może rozprawa doktorska wyssała z niej życie.

- Nie możemy zamówić samochodu?
- Możliwe, że będziemy musiały wyjść w pośpiechu.
Dawes westchnęła i sięgnęła po kurtkę.
- Ja prowadzę.

8

ZIMA

Dawes zaparkowała samochód Darlingtona przecznicę dalej. To był stary mercedes w kolorze wina, prawdopodobnie z lat osiemdziesiątych – Alex nigdy nie zapytała. Siedzenia były obite skórą w karmelowym kolorze, podniszczoną w niektórych miejscach, szwy już się prawie poprzecierały. Darlington zawsze utrzymywał samochód w czystości, ale teraz auto wyglądało nieskazitelnie. Niewątpliwie sprawka Dawes.

Jakby czekając na pozwolenie, Dawes zawahała się, zanim obróciła kluczyk w stacyjce.

Samochód ożył z warkotem i wyjechały z kampusu, a potem na autostradę.

Jechały w milczeniu. Centralne Biuro Medycyny Sądowej znajdowało się w Farmington, prawie czterdzieści mil poza New Haven. „Kostnica – pomyślała Alex. – Jadę do kostnicy, w mercedesie”. Zastanowiła się, czy nie włączyć radia – to było staroświeckie ustrojstwo z czerwoną linią, która przesuwiała się w poszukiwaniu stacji jak palec wędrujący do właściwego miejsca na stronie. A potem wyobraziała sobie głos Darlingtona rozlegający się z głośników – „Wynoś się z mojego samochodu, Stern” – i uznała, że cisza jej odpowiada.

Potrzebowały prawie godziny, żeby trafić do Biura Medycyny Sądowej. Alex nie do końca wiedziała, czego się spodziewa, ale kiedy przyjechały na miejsce, ucieszyła się z jasnych światel, dużego parkingu i biurowego wrażenia, jakie całość sprawiała.

– Co teraz? – spytała Dawes.

Alex wyjęła z torby plastikową torebkę i puszkę, które przygotowała wcześniej, i wcisnęła je do tylnej kieszeni dżinsów. Otworzyła drzwi, zsunęła płaszcz i szalik, rzuciła je na siedzenie pasażera.

– Co robisz? – spytała Dawes.

– Nie chcę wyglądać jak studentka. Daj mi swoją bluzę.

Marynarski płaszcz Alex był z cienkiej wełny z poliestrową podszewką, ale aż krzyczał „college”. Dlatego właśnie go kupiła.

Dawes wyglądała tak, jakby chciała zaprotestować, ale rozpięła kurtkę, zdjęła bluzę i rzuciła ją Alex, trzęsąc się w samym T-shircie.

– Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł.

– Oczywiście, że nie. Chodźmy.

Przez szklane drzwi Alex widziała poczekalnię z paroma osobami; wszystkie próbowały załatwić swoje sprawy przed zamknięciem. W głębi pomieszczenia za biurkiem siedziała kobieta. Miała puszyste brązowe włosy, a w biurowym świetle widać było, że potraktowała je czerwoną płukanką.

Alex szybko wysłała wiadomość do Turnera: „Musimy porozmawiać”. A potem powiedziała do Dawes:

– Poczekaj pięć minut, wejdź, usiądź i udawaj, że na kogoś czekasz. Jeśli ta kobieta odejdzie od biurka, natychmiast wyślij mi wiadomość, dobrze?

– Co zamierzasz zrobić?

– Porozmawiać z nią.

Alex żałowała, że zmarnowała monetę przymusu na koronera. Została jej tylko jedna i nie mogła jej wydać, żeby ominąć biurko przy wejściu, zwłaszcza jeśli jej plan ułoży się tak, jak miała nadzieję.

Odgarnęła włosy za uszy i wpadła do poczekalni, pocierając ręce. Za biurkiem wisiał plakat: „Współczucie i szacunek”. Mała tabliczka głosiła: „Nazywam się Moira Adams i z przyjemnością służę pomocą”. Z przyjemnością, nie z radością. Nie wypada radować się w budynku pełnym martwych ludzi.

Moira podniosła wzrok i się uśmiechnęła. Miała zmarszczki wokół oczu i na szyi, efekt ciężkiego życia.

– Cześć – powiedziała Alex. Wzięła demonstracyjnie głęboki wdech. – Ehm, detektyw powiedział, że mogę tu przyjść i zobaczyć kuzynkę.

– Dobrze, skarbie. Oczywiście. Jak się nazywa twoja kuzynka?

– Tara Anne Hutchins. – Drugie imię z łatwością znalazła w Internecie.

Na twarzy kobiety odmalowała się nieufność. O Tarze Hutchins mówiono w wiadomościach. Była ofiarą zabójstwa, a takie przyciągają wariatów.

– Detektyw Turner mnie przysłał – dodała Alex.

Moira nadal patrzyła nieufnie. Był głównym detektywem w sprawie i jego nazwisko pewnie pojawiło się w mediach.

– Usiądź sobie, a ja spróbuję się z nim skontaktować – odpowiedziała Moira. Alex pokazała telefon.

– Podał mi namiary na siebie. – Wysłała jeszcze jedną szybką wiadomość: „Odbierz. TO PILNE”. A potem przełączyła się na głośnik zewnętrzny. – Proszę – powiedziała, podsuwając jej komórkę.

– Nie mogę... – zająknęła się Moira, ale odgłos dzwoniącego telefonu i wyczekująca mina Alex zrobiły swoje. Kobieta zacisnęła usta i wzięła komórkę od Alex.

Zgodnie z przewidywaniem Alex połączyła się z pocztą głosową Turnera. Detektyw Abel Turner odbierze wtedy, kiedy będzie chciał, a nie kiedy pieprzona studentka sobie tego zażyczy, a już na pewno nie kiedy tego zażąda.

Alex miała nadzieję, że Moira rozłączy się, ale ona odchrząknęła i powiedziała:

– Detektywie Turner, mówi Moira Adams z biura koronera. Gdyby mógł pan oddzwonić...”. – Podała numer. Alex mogła tylko mieć nadzieję, że Turner nie sprawdzi zbyt szybko poczty głosowej z jej numeru. Może okaże się naprawdę małostkowy i od razu ją skasuje.

– Tara była dobrą dziewczyną, wie pani? – powiedziała, kiedy Moira oddała jej telefon. – Nie zasłużyła sobie na coś takiego.

Moira mruknęła ze zrozumieniem.

– Bardzo ci współczuję.

Jakby czytała scenariusz.

– Muszę tylko pomodlić się nad nią, pożegnać się.

Moira dotknęła krzyżyka.

– Oczywiście.

– Miała mnóstwo problemów, ale kto ich nie ma? Pilnowaliśmy, żeby co niedziela chodziła do kościoła. Rzecz jasna to się nie podobało jej chłopakowi. – Moira mruknęła potakująco. – Myśli pani, że detektyw Turner szybko oddzwoni?

– Gdy tylko będzie mógł. Możliwe, że jest zajęty.

– Ale wy zamykacie za godzinę, nie?

– Tak, dla odwiedzających, ale możesz wrócić w poniedziałek...

– Niestety nie mogę. – Alex przyjrzała się fotografiom przyklejonym poniżej półki przy biurku Moiry i zobaczyła kobietę w stroju pielęgniarskim z motywem Kubusia Puchatka. – Chodzę do szkoły pielęgniarskiej.

– Do Albertusa Magnusa?

– Aha!

– Moja siostrzenica tam się uczy. Alison Adams.

– Naprawdę ładna dziewczyna z rudymi włosami?

– To ona – odpowiedziała Moira z uśmiechem.

– Nie mogę przegapić zajęć. Są bardzo trudne. Nigdy w życiu nie chodziłam tak bardzo zmęczona.

– Wiem – powiedziała z zalem Moira. – Zamęczają Allie na śmierć.

– Po prostu... muszę móc powiedzieć mamie, że się z nią pożegnałam. Mama i tata Tary... nie byli ze sobą blisko. – Alex teraz zupełnie zgadywała, ale podejrzewała, że Moira Adams miała własne wyobrażenia o takich dziewczynach jak Tara Hutchins. – Gdybym tylko mogła zobaczyć jej twarz, pożegnać się.

Moira zawahała się, a potem pochyliła się i uścisnęła jej rękę.

– Mogę poprosić, żeby ktoś zabrał cię do niej. Przygotuj tylko jakiś dowód tożsamości i... To może być trudne, ale modlitwa pomaga.

– Zawsze pomaga – potwierdziła żarliwie Alex.

Moira przycisnęła guzik i kilka minut później pojawił się wycieńczony koroner w niebieskim stroju chirurgicznym i machnął na Alex.

Po drugiej stronie podwójnych drzwi było zimno, podłogi wyłożono kafelkami w kilku odcieniach szarości, ściany były w odcieniu kremowym.

– Podpisz się tutaj – powiedział, wskazując podkładkę z klipsem na ścianie. – Będę potrzebował dowodu tożsamości ze zdjęciem. Komórki, aparaty i wszystkie urządzenia nagrywające wrzuc do pojemnika. Możesz odebrać je przy wyjściu.

– Jasne – odpowiedziała Alex, a potem wyciągnęła rękę i w świetle jarzeniówek zabłyśło złoto. – Chyba pan to upuścił.

Pomieszczenie okazało się większe, niż się spodziewała i panowało tam lodowate zimno. Było też niespodziewanie hałaśliwe – kapanie wody z kranu, szum lodówek, szmer powietrza wpadającego przez klimatyzację, chociaż pod innymi względami było cicho. To było ostatnie miejsce, do którego przyjdzie Szary. Do diabła z Belbalm. Powinna stażować w kostnicy tego lata.

Stoły były metalowe, stały tam misy, a nad nimi wisiały zwinięte szlauchy, szuflady – płaskie kwadraty w dwóch ścianach – wyglądały jak kartoteka. Czy Hellie została pokrojona w takim miejscu jak to? Przyczyny jej śmierci nie były w końcu żadną tajemnicą.

Alex żałowała, że nie ma płaszcza. Albo kurtki Dawes. Albo setki wódki.

Musiała działać szybko. Przymus zapewni jej ze trzydzieści minut, żeby zrobić swoje i wyjść. Nie potrzebowała jednak dużo czasu, aby znaleźć Tarę; chociaż szuflada okazała się cięższa, niż się spodziewała, gładko się wysunęła.

Było coś gorszego w oglądaniu jej w takim stanie po raz drugi, jakby teraz już się znały. Patrząc na Tarę, Alex widziała, że tylko z powodu blond włosów skojarzyła jej się z Hellie. Hellie była silna. Jej ciało pamiętało piłkę nożną

i softball, w które grała w szkole średniej; Hellie potrafiła surfować i jeździć na desce jak dziewczyna z magazynu „Seventeen”. Ta dziewczyna była zbudowana jak Alex – była żyłasta, ale słaba.

Kolana Tary były brązowawoszare. Miała zarost w pobliżu strefy bikini, zaczerwienia od maszynki do golenia podobne do wysypki. Miała wytatuowaną papugę na biodrze, a pod nią zawijasy układające się w napis „Key West”. Na prawej ręce miała brzydki, realistyczny portret młodej dziewczyny. Córka? Siostrzenica? Jej własna twarz z dzieciństwa? Miała piracką flagę i statek na falach, dziewczynę zombie na obcasach i w czarnej bieliźnie w stylu Bettie Page. Tatuaz po wewnętrznej stronie ręki wyglądał na nowszy, tusz nadal był świeży i ciemny, ale napis okazał się prawie nieczytelny z powodu wymęczonego gotyckiego liternictwa: „Prędzej umrę niż zwątpię”. Słowa piosenki, ale Alex nie potrafiła sobie przypomnieć której.

Zastanawiała się, czy jej własne tatuaże pojawiłyby się z powrotem, gdyby umarła, czy też będą na zawsze żyły w pocztowych ćmach.

Dość zwlekania. Wyjęła notatki. Pierwsza część rytuału była łatwa: śpiewna recytacja. Sanguis salido – ale nie można było wypowiedzieć słów, trzeba było je zaśpiewać. To się wydawało potwornie obsceniczne – śpiewanie w tym pustym, rozbrzmiewającym echem pomieszczeniu, ale zmusiła się: „Sanguis salido! Salire! Saltare!”. Nie zalecono żadnej konkretnie melodii, zaznaczono tylko allegro. Dopiero przy drugiej powtórcie zdała sobie sprawę, że wyśpiewuje słowa do melodii dżingla reklamowego Twizzlerów. „Tak się ciągną, są takie owocowe. Takie radosne i takie soczyste”. Jeśli jednak tego trzeba było, żeby krew zatańczyła... Wiedziała, że to działa, kiedy usta Tary się zaróżowiły.

Teraz sytuacja się komplikowała. Śpiew dla krwi miał tylko pobudzić krążenie Tary i zmniejszyć stężenie pośmiertne, żeby Alex mogła otworzyć jej usta. Alex złapała ją za podbródek, nie zważając na znowu ciepłą, sprężystą skórę i otworzyła dziewczynie szczękę.

Wyjęła z plastikowej torebki w tylnej kieszeni spodni skarabeusza i umieściła delikatnie na języku Tary. Potem wyjęła z drugiej kieszeni puszkę i zaczęła rysować balsamem wodniste wzory na ciele Tary, starając się myśleć o wszystkim, byle nie o martwej skórze pod jej palcami. Stopy, łydki, uda, brzuch, piersi, obojczyk, wzdłuż rąk do nadgarstków i środkowych palców. Wreszcie zaczynając od pępka, nakreśliła linię dzielącą tors Tary aż do gardła, przez podbródek i do czubka głowy.

Alex zdała sobie sprawę, że zapomniała wziąć zapalniczkę. Potrzebowała ognia. Obok drzwi pod pomazaną białą tablicą stało biurko. Duże szuflady były zamknięte na klucz, ale górna wąska się otworzyła. W środku obok paczki Marlboro leżała różowa zapalniczka.

Alex wzięła ją i przytrzymała płomyk nad miejscami, gdzie nałożyła balsam. Wtedy nad skórą pojawiła się słaba mgiełka jak ciepło buchające z nagrzanego asfaltu – powietrze falowało i migotało. W pewnych miejscach efekt był bardziej wyrazisty, tak bardzo, że obraz rozmazywał się i wibrował, jakby widziany przez szprychy wirującego koła.

Alex odłożyła zapalniczkę z powrotem do szuflady. Sięgnęła do rozmazanej plamy nad łokciem Tary i przesunęła po niej dłonią. Nagle pędziła ulicą na rowerze. Nagle na drogę przed nią wyjechał samochód. Zahamowała, ale nie udało jej się zatrzymać i uderzyła ręką w drzwi. Przeszył ją ból. Alex syknęła i cofnęła dłoń, łapiąc się za rękę, jakby to ona złamała kość, nie Tara.

Mgiełka nad Tarą była mapą wszelkich krzywd zadanych jej ciału – migotała nad tatuażami i przekłutymi uszami, zgęstniała warstwa wisiała nad złamaną ręką, małe mroczna spirala unosiła się nad zagłębieniem w policzku, pamiątką po postrzale z wiatrówki, ponura ciemność wisiała nad raną w piersi.

W książkach Lete Alex nie znalazła ani sposobu, żeby zmusić Tarę do mówienia, ani jakiegokolwiek innej metody sięgnięcia na drugą stronę Zasłony, a w każdym razie nic, co byłoby w stanie osiągnąć bez pomocy kogoś ze stowarzyszeń. Nawet gdyby Alex się udało, wiele zapisków na temat rytuałów, jakie znalazła, jasno oznajmiało, że rozmowa z niedawno zmarłym zwykle wiąże się z ryzykiem wskrzeszenia go, a to zawsze było rzeczą niebezpieczną. Nikogo nie można sprowadzić spoza Zasłony na stałe, a zawleczenie odpornej duszy z powrotem do ciała mogło mieć wiele nieprzewidywalnych skutków. Stowarzyszenie Księgi i Węża specjalizowało się w nekromancji i stworzyło wiele zabezpieczeń dla swoich rytuałów, ale nawet jego członkowie tracili czasem panowanie nad Szarym, który trafił z powrotem do ciała. Pod koniec lat siedemdziesiątych próbowali wezwać ducha Jennie Cramer, legendarnej piękności z New Haven, do ciała nastolatki z Camden, która zamarła na śmierć, kiedy pijana straciła przytomność w samochodzie w czasie śnieżycy. Zamiast niej to właśnie dziewczyna z Camden wróciła, trzęsąc się z zimna, i miała ogromną siłę niedawno zmarłej osoby.

Wyrwała się przez bramy Księgi i Węża i weszła do pizzerii Yorkside, gdzie zjadła dwa paszteciki, a potem położyła się w jednym z pieców, żeby się rozgrzać. Delegat Lete był obecny i zdołał szybko objąć miejsce kwarantanną, a potem za pomocą solidnych przymusów przekonać klientów, że dziewczyna brała udział w przedstawieniu typu performance. Właściciel pizzerii był Grekiem i nie udało się go równie łatwo przekonać. Od dawna nosił *gouri*, które dała mu matka, a dokładnie niebieskie „złe oko”, czyli *mati*, które uniemożliwiało próby przymusu. Gotówka okazała się o wiele bardziej skuteczna. Na życzenie właściciela pizzerii Dom Lete dopilnował także, żeby Yorkside nie straciło

prawa dzierżawy, kiedy większość innych drobnych biznesów została wyparta z luksusowej dzielnicy handlowej Yale przez podwyższenie czynszu, które miało na celu ściągnięcie tam bardziej ekskluzywnych sklepów. Miejscowy biznes zniknął z Elm Street i Broadway, ustępując prestiżowym markom i sklepom z sieci handlowych, ale pizzeria Yorkside pozostała.

Ponieważ Tara nie mogła mówić, musiało przemówić jej ciało. Alex odkryła rytuał ujawniający uszkodzenia ciała, coś prostszego, lżejszego, co wykorzystywano do diagnozy, gdy pacjent lub świadek nie był w stanie mówić. Rytuał wynalazł Girolamo Fracastoro, żeby odkryć, kto otruił włoską hrabinę, kiedy padła z pianą na ustach podczas uczty weselnej.

Alex nie chciała wkładać ręki w mgiełkę nad makabryczną raną w piersi Tary. Niestety po to właśnie przysłała. Nabrała powietrza i wsunęła palce.

Leżała na ziemi, a nad nią widniała twarz chłopca – Lance’a. Czasem go kochała, ale ostatnio nie układało im się... Myśl jej umknęła. Poczowała, że rozwiera wargi i ma coś gryzącego w ustach. Lance się uśmiechał. Wybierali się właśnie... dokąd? Czowała tylko podniecenie, wyczekiwanie, świat zaczynał się rozmazywać.

– Przepraszam – powiedział Lance.

Leżała na plecach i patrzyła w niebo. Lampy uliczne wydawały się odległe. Wszystko poruszało się, katedra obok niej zamieniła się w budynek, który zasłonił nieliczne gwiazdy. Panowała cisza, ale ona coś słyszała, coś jakby odgłos chlupotania błota w bucie. Widziała ciało nad sobą, widziała nóż i zrozumiała, że dźwięk, który słyszy, to jej własna krew i pękająca kość, kiedy ostrze ją rozcinało. Dlaczego tego nie czowała? Czy to się działo naprawdę, czy nie?

– Zamknij oczy – powiedział nieznajomy głos.

Zamknęła je i przepadła.

Alex zatoczyła się do tyłu, łapiąc się za pierś. Nadal słyszała ten straszliwy chlupot i czowała ciepło rozlewające się po jej piersi. Jednak brak było bólu. Jakim cudem nie czowała bólu? Była naćpana? Tak bardzo, żeby nie czuć dźgania? Lance najpierw jej coś podał. Powiedział, że ją przeprosza. Też musiał być naćpany.

Oto więc odpowiedź. Tara i Lance ewidentnie eksperymentowali z czymś więcej niż trawką. Bez wątpienia do tej pory Turner przeszukał już ich mieszkanie i znalazł wszelkie dziwactwa, które brali i sprzedawali. Alex nie mogła się dowiedzieć, co Lance myślał tamtej nocy, ale jeśli brał coś halucynogennego, mogło mu się coś uroić.

Alex spojrzała na ciało Tary. Była przerażona w tych ostatnich chwilach, ale nie cierpiała. To już coś.

Lance pójdzie do więzienia. Znajdą się dowody. Tak duża ilość krwi... Tego nie da się ukryć. Alex to wiedziała.

Mapa nadal jarzyła się nad Tarą. Drobne uszkodzenia. Poważne. Co pokazywałaby mapa Alex? Nigdy nie złamała kości, nie przeszła żadnej operacji. Jednak najgorsze rany nie zostawiały śladu. Kiedy Hellie umarła, to jakby ktoś rozciął pierś Alex, rozłupał ją jak balsem. A gdyby naprawdę tak się stało i wyszłaby zakrwawiona na ulicę, próbując utrzymać razem żebra, serce, płuca i wszystko w niej odsłonięte przed światem? A tak to, co ją złamało, nie zostawiło śladu, żadnej blizny, którą mogłaby wskazać i powiedzieć: „W tym miejscu nastąpił mój koniec”.

Niewątpliwie to samo dotyczyło Tary. Kryło się w niej więcej bólu, którego nie ukazałaby żadna lśniąca mapa. Chociaż jej rany były makabryczne, to nie zabrano jej żadnego organu, nie było żadnych krwawych śladów ani innych wskazówek magicznej krzywdy. Tara umarła, bo była równie głupia jak Alex i nikt nie zjawiał się na czas, żeby ją uratować. Nie znalazła Jezusa ani jogi, nikt nie zaproponował jej stypendium w Yale.

Czas wyjść. Poznała odpowiedzi. To powinno wystarczyć, żeby uspokoić pamięć Hellie i spełnić oczekiwania Darlingtona. Jednak nadal coś ją gryzło, to wrażenie czegoś znajomego, jakie ogarnęło ją na miejscu zbrodni, które nie miało nic wspólnego z jasnymi włosami Tary ani z równoległymi szlakami ich życia.

– Powinniśmy już iść? – zapytała koronera stojącego w kącie i patrzącego w dal.

– Jak sobie życzysz – odpowiedział.

Alex zamknęła szufladę.

– Myślę, że przespałabym teraz z osiemnaście godzin – oznajmiła z westchnieniem. – Odprowadź mnie i powiedz Moirze, że wszystko jest w porządku.

Otworzyła drzwi i weszła prosto na detektywa Abła Turnera.

Złapał ją za rękę i wprowadził z powrotem do pokoju, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

– Co ty, kurwa, tu wyprawiasz?

– Cześć! – zawołała wesoło Alex. – Przyszedł pan.

Koronier kręcił się za jego plecami.

– Idziemy? – zapytał.

– Zostań tam minutę – odpowiedziała Alex. – Turner, lepiej będzie, jeśli mnie puścisz.

– Nie mów mi, co mam robić. I co się z nim stało?

– Ma udany wieczór – odpowiedziała Alex z sercem walącym jak młot.

Abel Turner nie stracił panowania nad sobą. Zawsze się uśmiechał, zawsze był spokojny. Jednak coś w Alex wolało go takim.

– Dotykałaś dziewczyny? – zapytał, wbijając palce w jej skórę. – Jej ciało to dowód, a tym przy nim majstrowałaś. To przestępstwo.

Alex zastanawiała się, czy nie kopnąć Turnera w krocze, ale nie tak traktuje się gliniarzy, więc nagle zwiotczała, stała się bezwładna. Całkowicie. Nauczyła się tej sztuczki przy Lenie.

– Co jest, do diabła? – Detektyw próbował ją przytrzymać, gdy osunęła się przy nim, a potem ją wypuścił. – Co z tobą nie tak? – Otarł dłoń o rękę, jakby jej słabość była zaraźliwa.

– Mnóstwo rzeczy – odpowiedziała Alex. Udało jej się nie upaść i pozostać poza zasięgiem Turnera. – Co takiego brali Tara i Lance?

– Słucham?

Pomyślała o twarzy Lance'a unoszącej się nad nią. „Przepraszam”. Co brali ostatniej wspólnej nocy?

– Czym dilowali? Kwasem? Eską? Wiem, że nie tylko trawką.

Turner zmrużył oczy i powróciła jego stara, gładka maska.

– Jak wszystko inne związane z tą sprawą to nie jest twój interes.

– Sprzedawali studentom? Stowarzyszeniom?

– Mieli długą listę klientów.

– Komu sprzedawali?

Turner pokręcił głową.

– Idziemy. W tej chwili.

Sięgnął po jej rękę, ale odsunęła się od niego.

– Możesz tu zostać – powiedziała do koronera. – Przystojny detektyw Turner odprowadzi mnie do wyjścia.

– Coś ty mu zrobiła? – mruknął Turner, kiedy wyszli na korytarz.

– Coś totalnie wykręconego.

– To nie jest żart, panno Stern.

Kiedy pchał ją korytarzem, Alex powiedziała:

– Ja też nie robię tego dla zabawy, rozumie pan? Nie lubię roli Dantego. Pan wolałby nie być Centurionem, ale taką mamy robotę, a pan przeszkadza nam obojgu.

Turner robił wrażenie lekko urażonego tymi słowami. Oczywiście to nie do końca była prawda. Sandow kazał jej się wycofać. „Możesz przestać się

martwić”.

Wyszli do poczekalni. Dawes nigdzie nie było widać.

– Kazałem twojej przyjaciółce poczekać w samochodzie – wyjaśnił Turner. – Przynajmniej miała dość rozumu, żeby wiedzieć, kiedy spartoliła robotę.

I nawet jej nie ostrzegła. Dawes była beznadziejną czujką.

Moira Adams uśmiechnęła się zza biurka.

– Miałaś swoją chwilę, słonko?

Alex skinęła głową.

– Tak, dziękuję.

– Będę się modlić za twoją rodzinę. Dobranoc, detektywie Turner.

– Z nią też zrobiłaś coś totalnie wykręconego? – zapytał Turner, kiedy wyszli na mróz.

Alex potarła smętnie ręce. Brakowało jej płaszcza.

– Nie musiałam.

– Powiedziałem Sandowowi, że będę go informował na bieżąco. Gdybym myślał, że któryś z młodych psychopatów pod waszą opieką jest z tym związany, zbadałbym to.

Alex mu wierzyła.

– Pewnych rzeczy może pan nie widzieć.

– Tu nie ma nic do widzenia. Jej chłopak został aresztowany w pobliżu miejsca zbrodni. Sąsiedzi słyszeli paskudne kłótnie w ostatnich tygodniach. Ślady krwi wiążą go z przestępstwem. Miał silne środki halucynogenne w organizmie...

– Jakie dokładnie?

– Jeszcze nie mamy pewności.

Alex trzymała się z dala od wszelkich środków halucynogennych, gdy zdała sobie sprawę, że przez nie Szarzy stają się bardziej przerażający, ale ścisła za rękę wielu ludzi podczas dobrych i kiepskich jazd. Mimo to jeszcze nie zetknęła się z grzybkami, po których nie czułoby się, że ktoś zadaje ci śmiertelne ciosy nożem.

– Chcesz, żeby mu się upiekło? – spytał Turner.

– Co? – To pytanie ją zaskoczyło.

– Majstrowałaś przy trupie. Ciało Tary to dowód. Jeśli dostatecznie dużo nabroisz przy tej sprawie, Lance Gressang nie zostanie skazany. Tego chcesz?

– Nie. To mu się nie upiecze.

Turner skinął głową.

– Dobrze.

Stali na zimnie. Alex widziała, że stary mercedes czeka na jałowym biegu na parkingu, jedyny samochód, jaki tam pozostał. Twarz Dawes była niewyraźną

smugą za przednią szybą. Uniosła rękę i Alex zdała sobie sprawę, że słabo do niej zamachała. Dzięki, Pammie. Najwyższy czas sobie odpuścić. Dlaczego nie mogła?

Spróbowała po raz ostatni.

– Proszę mi tylko podać nazwisko. Lete w końcu się dowie. Jeśli stowarzyszenia eksperymentują z nielegalnymi substancjami, powinniśmy wiedzieć.

A potem możemy przejść do porwań, wykorzystywania poufnych informacji i... Czy rozcięcie kogoś, żeby czytać z jego wnętrzości, podpada pod jakiś paragraf? Potrzebowaliby całego nowego działu w kodeksie karnym, żeby objąć to, czym zajmowały się stowarzyszenia.

– Możemy to zbadać, nie mieszając się w sprawę morderstwa – dodała.

Turner westchnął, a jego oddech odmalował się białym obłoczkiem.

– W jej kontaktach pojawia się tylko jedno nazwisko ze stowarzyszenia. Tripp Helmuth. Właśnie go sprawdzamy.

– Widziałam go zeszłej nocy. Jest Kościejem. Stał przy drzwiach podczas wieszczenia.

– To właśnie nam powiedział. Stał tam całą noc?

– Nie wiem – przyznała.

Tripp został wygnany na korytarz, żeby pilnować przejścia. To prawda, że kiedy rytuał się zacznie, ludzie rzadko wchodzą i wychodzą, tylko wtedy gdy ktoś zemdleje, pochoruje się albo trzeba coś przynieść haruspikowi. Alex chyba przypominała sobie, że drzwi kilka razy otwierały się i zamykały, ale nie mogła mieć pewności. Martwiła się kredowym kręgiem i starała się nie zwymiotować. Jednak trudno uwierzyć, żeby Tripp opuścił rytuał, udał się aż do Payne Whitney, zamordował Tarę i wrócił tak, żeby nikt nie zauważył, że opuścił posterunek. Poza tym w jaki sposób Tara mogłaby mu zaleźć za skórę, żeby chciał ją zamordować? Tripp był dostatecznie bogaty, żeby wykupić się z wszelkich kłopotów, jakich Tara albo jej chłopak mogliby mu narobić, a poza tym to nie jego twarz widziała nad Tarą z nożem, lecz twarz Lance'a.

– Nie rozmawiaj z nim – przestrzegł ją Turner. – Wyślę tobie i dziekanowi informację, gdy ustalimy jego alibi. Trzymaj się z dala od mojej sprawy.

– I pańskiej kariery?

– Zgadza się. Jeśli następnym razem znajdę cię w miejscu, w którym nie powinno cię być, natychmiast cię aresztuję.

Alex nie mogła powstrzymać śmiechu, który jej się wyrwał.

– Nie aresztuje mnie pan, detektywie. Ostatnie miejsce, w którym chce mnie pan zobaczyć, to komisariat, gdzie mogłabym narobić hałasu. Jestem śmierdzącą

sprawą, tak samo jak całe Lete, i jedyne, czego pan chce, to przejść przez to wszystko bez gówna na swoich błyszczących butach.

Turner rzucił jej spokojne, przeciągłe spojrzenie.

– Nie wiem, jak tu wylądowałaś, ale znam różnicę między towarem dobrej jakości i takim, który znajduję na podeszwie buta, a ty zdecydowanie nie jesteś towarem dobrej jakości.

– Dzięki za rozmowę. – Alex pochyliła się ku niemu, wiedząc, że smród upiorności bije od niej ciężkimi falami. Posłała mu najśłodszy, najcieplejszy uśmiech. – I niech mnie pan więcej w taki sposób nie łapie. Może i jest ze mnie gówno, ale z rodzaju tych, które przywierają.

9

ZIMA

Alex rozstała się z Dawes w pobliżu wydziału teologii, przy smętnym boczku w kształcie podkowy w getcie studentów podyplomowych. Dawes nie chciała zostawiać samochodu pod opieką Alex, ale miała prace do oceny, z czym już się spóźniała, więc Alex powiedziała, że odstawi samochód Darlingtona pod jego dom. Widziała, że Dawes chce odmówić nawet kosztem prac do oceny.

– Uważaj i nie... Nie powinnaś...

Nie skończyła jednak, a Alex nagle zrozumiała, że w tej sytuacji Dawes musi się na nią zdać. Dante służył Wergiliuszowi, ale Oculus służył im obojgu. I wszyscy służyli Lete. Dawes skinęła głową; nadal kiwała, gdy wyszła z samochodu i szła chodnikiem do mieszkania, jakby przy każdym kroku się utwierdzała.

Dom Darlingtona znajdował się w Westville, raptem kilka mil od kampusu. To było Connecticut, o jakim Alex marzyła: wiejskie domy bez wiejskich gospodarstw, solidne kolonialne domy z czerwonej cegły z czarnymi drzwiami i schludną białą stolarką, okolica pełna kominków na drewno, starannie pielęgnowane trawniki, okna lśniące złościście jak przejścia do lepszego życia, kuchnie, w których coś dobrego bulgoce na piecu, stoły śniadaniowe zasypane kredkami. Nikt nie zaciągał zasłon, światło, ciepło i dobry los wylewały się w ciemność, jakby ci niemądrzy ludzie nie wiedzieli, co taki dar może przyciągnąć, jakby zostawiali te lśniące przejścia otwarte dla głodnej dziewczyny, żeby mogła przez nie wejść.

Alex miała niewiele okazji prowadzić samochód, odkąd opuściła Los Angeles, i miło było znaleźć się za kierownicą nawet w aucie, którego panicznie bała się choćby zarysować. Mimo mapy w telefonie przegapiła skręt na podjazd Darlingtona i musiała dwa razy zawrócić, zanim zobaczyła grube kolumny oznaczające wjazd do Black Elm. Latarnie wzdłuż podjazdu były zapalone –

jasne aureole, które sprawiały, że nagie gałęzie drzew wyglądały łagodnie i przyjaźnie jak na zimowych pocztówkach. Zwalisty kształt domu pojawił się nagle i Alex gwałtownie wcisnęła pedał hamulca.

Światło paliło się w oknie kuchennym, jasne jak latarnia morska, i drugie – w wysokiej wieży, w sypialni Darlingtona. Pamiętała, jak leżał zwinięty obok niej, zamglone szyby wąskiego okna, morze czarnych gałęzi w dole, ciemny las oddzielający Black Elm od zewnętrznego świata.

Alex pośpiesznie wyłączyła przednie światła i silnik. Jeśli ktoś tam był, jeśli coś tam było, to nie chciała tego przepłoszyć.

Jej buty na żwirze zgrzytały niewiarygodnie głośno, ale nie skradała się – nie, wcale się nie skradała, po prostu podchodziła do kuchennych drzwi. Miała klucze w ręku. Była tu mile widziana.

„To może być jego mama albo tata” – powiedziała sobie. Niewiele wiedziała na temat rodziny Darlingtona, ale musiał jakąś mieć. Albo jakiś inny krewny. A może ktoś, kogo Sandow wynajął, żeby opiekował się domem, kiedy Dawes jest zajęta.

To wszystko było bardzo prawdopodobne, ale... „On tu jest” – upierało się jej serce, bijąc w piersi tak mocno, że musiała przystanąć przy drzwiach i zapanować nad oddechem. „On tu jest”. Ta myśl ciągnęła ją jak dziecko, które złapało ją za rękaw.

Zerknęła przez okno, stojąc bezpiecznie w ciemności. Kuchnia była cała w ciepłym drewnie i kafelkach z niebieskim wzorem. Kafelki to oryginalne delfty. Stał tam wielki ceglany kominek, a na hakach wisały miedziane garnki. Poczta leżała na kuchennej wyspie, jakby ktoś właśnie ją sortował. „On tu jest”.

Alex pomyślała, czy nie zapukać, ale zamiast tego zaczęła grzebać przy kluczach. Drugi otworzył zamek. Weszła i cicho zamknęła za sobą drzwi. Wesole światło w kuchni było ciepłe, serdeczne, odbijało się w płaskich miedzianych rondlach, w jasnozielonej emalii pieca, który ktoś zainstalował tam w latach pięćdziesiątych.

– Halo? – powiedziała ledwie szeptem.

Odkładane na blat klucze niespodziewanie głośno zadzwoniły. Alex stała pełna wyrzutów sumienia pośrodku kuchni, spodziewając, że ktoś ją zgani, może nawet sam dom. Jednak to nie była rezydencja przy Orange z pełnymi nadziei poskrzypywaniami i westchnieniami wyrażającymi dezaprobatę. To Darlington ożywił to miejsce, bez niego dom wydawał się ogromny i pusty jak kadłub wraku.

Od tamtej nocy w Rosenfeld Hall Alex łapała się na tym, że ma nadzieję, iż to wszystko jest próbą, jaką Dom Lete poddaje swoich uczniów. Że Dawes, Sandow i Turner biorą w tym udział. Że Darlington właśnie ukrywa się

w sypialni na drugim piętrze. Usłyszał samochód na podjeździe, pobiegł na górę i zaszył się tam w ciemności, żeby przeczekać, aż ona wyjdzie. Morderstwo mogło być częścią tej próby. Nie było żadnej martwej dziewczyny. Tara Hutchins zejście tanecznym krokiem po schodach, kiedy to wszystko się skończy. Musieli się upewnić, że Alex poradzi sobie sama z poważną sprawą.

To był absurd. Mimo to głos w jej głowie upierał się: „On tu jest”.

Sadow powiedział, że Darlington może nadal żyć, że zdołają go sprowadzić z powrotem. Powiedział, że potrzebuje tylko nowiu, odpowiedniej magii i wszystko będzie jak kiedyś. Może jednak Darlington znalazł własny sposób powrotu. Tak wiele potrafił. Może mu się udało.

Powędrowała w głąb domu. Światła z podjazdu rzucały żółtawy półmrok na pokoje – na pokój kredensowy z białymi szafkami pełnymi naczyń i kieliszków oraz wielką chłodnią z metalowymi drzwiami nie tak różnymi od tych w kostnicy, na jadalnię wykorzystywaną podczas uroczystych okazji, ze stołem o blacie wypolerowanym jak lustro, podobnym do ciemnego jeziora w cichym ogrodzie, i wreszcie na obszerny salon z wielkim czarnym oknem wychodzącym na mroczne kształty w ogrodzie, garby żywopłotu i szkielety drzew. Obok salonu znajdował się mniejszy pokój z wielkimi kanapami, telewizorem i konsolami do gier. Len posikałby się na widok rozmiarów ekranu. Ten pokój spodobałby mu się ogromnie i być może to byłaby jedyna rzecz, jaka łączyłaby go z Darlingtonem. „A może nie jedyna” – pomyślała Alex.

Większość pokoi na pierwszym piętrze była pozamykana. „W tym miejscu skończyły mi się pieniądze” – wyjaśnił jej kiedyś Darlington, obejmując ją za ramiona, kiedy próbowała go przesunąć. Ten dom był jak ciało, któremu odcięto dopływ krwi do wszystkich części oprócz tych niezbędnych do przeżycia. Starą salę balową przerobiono na prowizoryczną salę gimnastyczną. Gruszka bokserska zwieszała się z sufitu na wieszaku. Wielkie metalowe ciężarki, piłki lekarskie, florety ustawiono pod ścianami, ciężkie maszyny majaczyły na tle okien jak zwaliste insekty.

Poszła schodami na ostatnie piętro i ruszyła korytarzem. Drzwi do pokoju Darlingtona stały otwarte.

„On tu jest”. Znowu naszło ją to przekonanie, ale tym razem silniejsze. Zostawił dla niej włączone światło. Chciał, żeby go znalazła. Będzie siedział na łóżku ze skrzyżowanymi długimi nogami, zgarbiony nad książką, ciemne włosy będą opadały mu na czoło. Podniesie wzrok i skrzyżuje ręce. „Najwyższy czas”.

Chciała pobiec w stronę kwadratu światła, ale zmusiła się do spokojnego kroku jak panna młoda podchodząca do ołtarza. Jej pewność zaczęła słabnąć, a refren „on tu jest” z każdym krokiem się zmieniał, aż zdała sobie sprawę, że się modli „bądź tu, bądź tu, bądź tu”.

Pokój był pusty. Był mały w porównaniu z lokum w Il Bastone, dziwne okrągłe pomieszczenie, które ewidentnie nigdy nie było przewidziane na sypialnię i z jakiegoś powodu kojarzyło jej się z mnisią celą. Wyglądało dokładnie tak, jak kiedy ostatni raz je widziała: biurko ustawione pod łukowatą ścianą, żółknące wycinki z gazet na temat starej kolejki górskiej przypięte powyżej, jakby zapomniano, że tam wiszą; minilodówka – bo Darlington nie chciał przerywać lektury albo pracy, żeby zejść na dół po coś do zjedzenia; wysoki fotel do czytania przy oknie. Nie było tam regałów, tylko wiele stosów książek różnej wysokości, jakby Darlington zamierzał zamurować się za pomocą kolorowych cegieł. Lampka na biurku rzucała krąg światła na otwartą książkę: *Medytacje o 22 arkanach tarota*.

Dawes. Dawes przyszła zobaczyć dom, przejrzeć pocztę, wyprowadzić samochód. Poszła do pokoju Darlingtona, żeby poczytać. Żeby być bliżej niego. Może żeby na niego poczekać. Została nagle odwołana, zostawiła włączone światła, zakładając, że wróci wieczorem, żeby wszystkim się zająć. Okazało się jednak, że to Alex odstawiała samochód. I to by było na tyle.

Darlington nie wyjechał do Hiszpanii. Nie było go w domu. Nigdy nie wrócił do domu. A to z winy Alex.

Nagle na skraju jej pola widzenia ciemność przeciął biały kształt. Alex odskoczyła do tyłu, przewracając stos książek i zaklęła. To był tylko Cosmo, kot Darlingtona.

Kręcił się przy krawędzi biurka, szturchając ciepłą lampkę. Alex zawsze myślała o nim jak o kocim wcieleniu Bowiego, bo miał jedno oko inne i jego białe futro przypominało perukę, jaką Bowie nosił w Labiryncie. Był potwornym pieszczochem – wystarczyło tylko wyciągnąć rękę, żeby zaczął ocierać się o twoją dłoń.

Alex usiadła na krawędzi wąskiego łóżka Darlingtona. Było schludnie pościelone, pewnie przez Dawes. Ona też tu siedziała? Może spała?

Przypomniała sobie delikatne stopy Darlingtona, jego krzyk, gdy zniknął. Wyciągnęła rękę w dół, przywołując kota.

– Cześć, Cosmo.

Popatrzył na nią swoimi różnymi ślepiami. Źrenica lewego była czarna jak kleks.

– Daj spokój, Cosmo. Nie chciałam, żeby do tego doszło. Nie tak naprawdę.

Cosmo przebiegł przez pokój. Kiedy tylko jego smukły łepiek dotknął jej ręki, Alex zaczęła płakać.

Alex zasnęła w łóżku Darlingtona i śniło jej się, że leży zwinięty w kłębek obok niej na wąskim materacu.

Przyciągnął ją do siebie blisko, wbił palce w jej brzuch i wtedy poczuła szpony na ich końcach. Szepnął jej do ucha:

– Będę ci służył po kres dni.

– I kochał – dodała ze śmiechem, śmiała i nieulękła we śnie.

On jednak odpowiedział tylko:

– To nie to samo.

Alex obudziła się gwałtownie, obróciła na plecy i zagapiła na stromy strop, na drzewa za oknem malujące sufit w pasy cieniami i ostrym zimowym słońcem. Bała się majstrować przy termostacie, więc zawinęła się w trzy swetry Darlingtona i założyła brzydką brązową czapkę, którą znalazła na jego komodzie, ale nigdy nie widziała, żeby ją nosił. Pościeliła łóżko, a potem zeszła na dół, żeby nalać Cosmo wody do miski i zjeść na sucho trochę wyszukanego muesli z orzechami i korzonkami prosto z pudełka w spiżarni.

Wyjęła swój laptop z torby i wyszła na zakurzoną przeszkloną werandę, która ciągnęła się wzdłuż parteru. Wyrzała na podwórze. Opadający stok prowadził do zarośniętego jeżynami labiryntu. Widziała jakiś posąg albo fontannę w jego centrum. Nie była pewna, gdzie kończy się posiadłość, i zastanawiała się, jaka część tego wzgórza należy do rodziny Arlington.

Potrzebowała prawie dwóch godzin, żeby napisać raport o morderstwie Tary Hutchins. Przyczyna śmierci. Czas śmierci. Zachowanie Szarych podczas wieszczenia Czaszki i Kości. Zawahała się przy ostatniej kwestii, ale Lete sprowadziło ją z powodu tego, co może widzieć, i nie miała powodu, żeby kłamać na ten temat. Przekazała informacje, jakie zdobyła od koronera i Turnera jako Centuriona, wspomniała, że padło nazwisko Trippa i że zdaniem Turnera Kościeje nie są zamieszani w sprawę. Miała nadzieję, że Turner nie wspomni o jej wizycie w kostnicy.

Pod koniec raportu przewidziano miejsce na wnioski. Alex zastanawiała się przez długi czas, głaszcząc leniwie Cosmo, który mruczał obok niej na starej dwuosobowej kanapie z wikliny. Ostatecznie nie napisała niczego o dziwnym odczuciu, jakie ogarnęło ją na miejscu przestępstwa, ani o podejrzeniach, że Tara i Lance sprzedawali narkotyki także członkom innych stowarzyszeń. „Centurion powiadomi Dantego o nowych odkryciach, ale w tej chwili dowody sugerują, że przestępstwo popełnił chłopak Tary pod wpływem silnych środków halucynogennych i że sprawa nie jest w żaden sposób powiązana z Lete ani Domami Zasłony”. Przeczytała raport jeszcze dwa razy, żeby sprawdzić interpunkcję i spróbować jak najbardziej upodobnić odpowiedzi do tych, których udzielał Darlington, a potem wysłała raport Sandowowi z kopią dla Dawes.

Cosmo zamiauczał żałośnie, kiedy Alex wymknęła się kuchennymi drzwiami, ale z przyjemnością zostawiła dom za sobą i odetchnęła lodowatym powietrzem. Niebo było jaskrawoniebieskie, wyszorowane do czysta z chmur, żwir na podjeździe błyszczał. Odstawiła mercedesa do garażu i wezwała samochód. Później odda klucze Dawes.

Jeśli współlokatorki zapytają, gdzie była, po prostu powie, że spędziła noc u Darlingtona. Nagła rodzinna sprawa. Ten pretekst dawno się zużył, ale teraz będzie mniej zarwanych nocy i niewyjaśnionych nieobecności. Załatwiła sprawę Tary uczciwie. Lance zostanie ukarany, a ona przynajmniej w tej kwestii ma czyste sumienie. Dziś wieczór będzie popijała piwko, podczas gdy jej współlokatorka spije się miętowymi sznapsami puszczanymi lodowymi rynienkami w kształcie torów saneczkowych na Omega Krachu, a jutro spędzi dzień na nadrabianiu zaległości w lekturach.

Poprosiła, żeby kierowca wysadził ją przed eleganckim minimarketem na Elm Street. Dopiero w sklepie zdała sobie sprawę, że nadal nosi czapkę Darlingtona. Zsunęła ją z głowy i zaraz włożyła z powrotem. Było zimno. Nie musiała zachowywać się sentymentalnie z powodu czapki.

Napełniła koszyk Chex Mix i Twizzlerami, kwaśnymi żelowymi dżdżownicami. Nie powinna wydawać tak dużo pieniędzy, ale tęskniła za ukojeniem w postaci niezdrowego jedzenia. Sięgnęła do szafki z napojami, szukając czekoladowego mleka z dłuższą datą przydatności, kiedy poczuła, że coś musnęło jej rękę, pogłaskało ją po kostkach dłoni.

Alex wyszarpnęła gwałtownie rękę i przytuliła ją do piersi, jakby się sparzyła, a potem zatrzasnęła z brzękiem lodówkę. Serce waliło jej w piersi. Cofnęła się od lodówki, czekając, aż coś przejdzie przez nią z hukiem, ale nic się nie stało. Rozejrzała się zawstydzona.

Chłopak w okularach o małych, okrągłych szklach i w niebieskiej bluzie Yale zerknął na nią. Schyliła się, żeby podnieść koszyk, przy okazji zamykając oczy i biorąc głęboki wdech. Wyobraźnia. Brak snu. Ogólna nerwowość. Do diabła, może nawet szczur. Wpadnie jednak do Klitki – znajdowała się raptem po drugiej stronie ulicy. Alex mogła schować się za magicznymi obronami i zebrać myśli w środowisku wolnym od Szarych.

Porwała koszyk i się wyprostowała. Chłopak w okularkach podszedł do niej i stał zdecydowanie za blisko. Nie widziała jego oczu, tylko światło odbijające się od szkieł. Uśmiechnął się i coś poruszyło się w kąciku jego ust. Alex zdała sobie sprawę, że to machający czarny czułek jakiegoś owada. Żuk wyszedł z jego policzka, jakby chłopak trzymał go tam niczym żuty tytoń. A potem insekt spadł mu z ust. Alex odskoczyła, ledwie zduszając krzyk.

Za wolno. Stwór w niebieskiej bluzie złapał ją za kark i uderzył jej twarzą w drzwi lodówki. Szyba rozprysła się. Alex poczuła ostre odłamki szkła przecinające skórę, ciepłą krew spływającą po policzkach. Chłopak szarpnął jej głową do tyłu i cisnął Alex o ziemię. „Nie możesz mnie dotykać. To niedozwolone!”. Nadal po tak wielu latach i tylu horrorach reagowała w równie głupi, dziecięcy sposób.

Kobieta za kasą krzyczała, jej mąż wybiegł z zaplecza z wytrzeszczonymi oczami. Człowiek w okularach napierał. Nie człowiek. Szary. Jednak co go przyciągnęło i pomogło tu przejść? I dlaczego nie wyglądał jak żaden z Szarych, których do tej pory widziała? Jego skóra nie przypominała już ludzkiej. Miała w sobie coś ze szkła, jakąś przezroczystość – Alex widziała przez nią żyły i cienie kości. Cuchnął Zasłoną.

Alex włożyła ręce do kieszeni, ale nie uzupełniła zapasów ziemi cmentarnej. Prawie zawsze miała jej trochę przy sobie, na wszelki wypadek.

– „Odwagi! – krzyknęła. – Nikt nie jest nieśmiertelny!”.

Słowa śmierci, które powtarzała sobie, odkąd Darlington jej ich nauczył.

Jednak stwór nie zdradzał najmniejszego niepokoju czy rozkojarzenia.

Właściciele sklepu krzyczeli; jedno z nich miało telefon w ręce. „Tak, wezwijcie policję” – pomyślała Alex. Tyle że oni krzyczeli na nią, nie na niego. Nie widzieli go. Widzieli tylko dziewczynę, która stłukła ich lodówkę i dewastowała sklep.

Alex poderwała się na równe nogi. Musiała dotrzeć do Klitki. Wypadła przez drzwi na chodnik.

– Ej! – krzyknęła dziewczyna w zielonym płaszczu, kiedy Alex na nią wpadła.

Właściciel sklepu wybiegł za nią i ryczał, żeby ją zatrzymać.

Alex się obejrzała. Stwór w okularach przemknął obok właściciela sklepu, a potem wydawało się, że przeskoczył nad tłumem. Złapał Alex za gardło. Spadła z krawężnika na ulicę. Zaryczał klakson. Usłyszała pisk opon. Nie mogła oddychać.

Zobaczyła Jonasa Reeda stojącego na rogu i wytrzeszczającego oczy. Chodził na jej zajęcia z angielskiego. Przypomniła sobie zaskoczoną twarz Meagan, zaskoczenie ustępujące miejsca obrzydzeniu. Słyszała, jak pani Rosales wyrwał się okrzyk: „Alex! Skarbie!”. Zostanie uduszona na środku ulicy i nikt tego nie zobaczy, nikt tego nie powstrzyma.

– „Odwagi” – próbowała powiedzieć, ale wyrwał jej się tylko charkot. Alex rozejrzała się zdesperowana, oczy jej łzawiły, twarz nabrzmiewała krwią.

„Teraz cię nie dopadną” – obiecał jej Darlington. Wiedziała, że to nie jest prawda, ale pozwoliła sobie uwierzyć, że może być bezpieczna, bo dzięki temu

wszystko stało się znośniejsze.

Skrobała dłońmi po skórze stwora; była twarda i śliska jak szkło. Alex widziała, jak coś wybrzusza się w przezroczyściej skórze na jego gardle, coś mętnego, ciemnoczerwonego. Rozwarł usta. Puścił jej szyję i zanim zdążyła się powstrzymać, gwałtownie nabrała powietrza w tej samej chwili, w której on wypuścił strumień czerwonego pyłu prosto w jej twarz. W jej piersi eksplodował ból, kiedy pył przeniknął do płuc. Próbowowała zakaszleć, ale stwór siedział na niej, przyciskając kolanami jej ramiona, podczas gdy ona próbowała się wyrwać.

Ludzie krzyczeli. Usłyszała wycie syreny, ale wiedziała, że karetka nadjedzie za późno. Umrze tu w idiotycznej czapce Darlingtona. Może będzie czekał po drugiej stronie Zasłony razem z Hellie. I Lenem. I wszystkimi pozostałymi.

Świat zamigotał czernią i nagle znowu mogła się ruszać. Ciężar zniknął z jej ramion. Stęknęła i podniosła się, łapiąc się za pierś, próbując odzyskać oddech. Gdzie przepadł potwór? Podniosła wzrok.

Wysoko nad skrzyżowaniem stwór w okularach mocował się z czymś. Nie, z kimś. Z Szarym. Z Panem Młodym, ulubionym zabójcą-samobójcą New Haven w eleganckim garniturze i z fryzurą w stylu gwiazd niemego kina. Stwór w okularach złapał go za klapy marynarki i zamigotał lekko w słońcu, gdy miotali się w powietrzu. Wpadli na lampę uliczną, która włączyła się i przygasła, przechodzili przez ściany budynków i wracali. Cała ulica wydawała się trząść jakby od huku grzmotu, ale Alex wiedziała, że tylko ona to słyszy.

Hałas zagłuszył pisk hamulców. Samochód policyjny wjeżdżał w York Street, a za nim karetka. Alex po raz ostatni zerknęła na wykrzywioną w grymasie twarz Pana Młodego, gdy wymierzył cios pięścią w przeciwnika. Przebiegła przez skrzyżowanie.

Ból w piersi rozwijał się kolejnymi wybuchami jak fajerwerki. Coś się z nią działo, coś niedobrego i nie wiedziała, jak długo jeszcze pozostanie przytomna. Wiedziała tylko, że musi dotrzeć do Klitki, na górę, do bezpiecznych ukrytych pokoi Lete. Mogli nadejść inni Szarzy, inne potwory. Co mogą zrobić? Czego nie mogą? Musiała znaleźć się za magiczną barierą.

Obejrzała się przez ramię i zobaczyła biegnącego za nią sanitariusza. Wskoczyła na chodnik za rogiem i skręciła w zaułek. Był tuż za nią, ale nie mógł jej ochronić. Umarłaby pod jego opieką. Wiedziała o tym. Uskoczyła w lewo, ku drzwiom i zniknęła mu z oczu.

– To ja! – krzyknęła do Klitki, modląc się, żeby została rozpoznana.

Drzwi otworzyły się i schody zbiegły ku niej, wciągając ją do środka.

Próbowała wejść po schodach normalnie, ale osunęła się na kolana. Zwykle zapach korytarza był kojący – zimowy aromat płonącego drewna, powoli gotującej się żurawiny, grzanego wina. Teraz wywołał u niej mdłości. „To

upiorność” – zdała sobie sprawę. Smród śmieci w zaułku był przynajmniej prawdziwy. Te fałszywe aromaty przytulnego domu to już dla niej za dużo. Jej organizm nie mógł znieść kolejnej dawki magii. Zaciśnęła dłoń na żelaznej poręczy, drugą złapała się krawędzi kamiennego stopnia. Czarne gwiazdy rozlewały się jak porosty na schodach. Krew kapłała jej z ust.

Ogarnęła ją panika. Leżała na podłodze w publicznej toalecie. Połamany motyl machał słabo jednym zdrowym skrzydłem.

„Wstań. Krew może ich przyciągnąć – usłyszała głos Darlingtona w głowie. – Szarzy potrafią przekroczyć granicę, jeśli pragną czegoś dostatecznie mocno”. A jeżeli zabezpieczenia nie wytrzymają? A jeśli nie zostały stworzone w sposób wystarczający, żeby zatrzymać coś tak potwornego na zewnątrz? Pan Młody robił wrażenie, jakby wygrywał. A jeśli wygrał? Kto powiedział, że będzie delikatniejszy niż stwór w okularach? Nie wyglądał na ani trochę delikatnego.

Wpisała wiadomość na telefonie do Dawes. „SOS. 911”. Pewnie powinna posłużyć się jakimś kodem, żeby opisać krwawienie z ust, ale Dawes będzie musiała sama się zorientować.

Jeśli Dawes jest w Il Bastone, a nie tu, w Klitce, Alex umrze na schodach. Widziała wyraźnie doktorantkę siedzącą w salonie domu przy Orange Street z kartkami katalogowymi, które wiecznie porządkowała, rozłożonymi przed nią jak karty tarota, a wszystkie one wróżyły katastrofę, porażkę. Królowa Bezcelowości, dziewczyna z toporem nad głową. Dłużnik, chłopak zmiżdżony pod skałą. Studentka – Dawes w klatce własnej roboty. A w tym samym czasie Alex wykrwawiała się milę od niej.

Wciągnęła się na kolejny stopień. Musiała znaleźć się za drzwiami. Kryjówki były jak magiczne matrioszki z kolejnymi warstwami zabezpieczeń. Klitka. Tam, gdzie chowają się małe zwierzątka.

Zalała ją fala mdłości. Szarpnął nią odruch wymiotny i z ust wylała jej się struga czarnej żółci. Maź poruszała się po schodach. Alex zobaczyła mokre, błyszczące grzbiety żuków. Skarabeusze. Kawalki opalizujących pancerzyków połyskiwały w krwi i śluzie, jaki z niej wybuchnął. Minęła bałagan, którego narobiła, znowu wymiotując, a jednocześnie próbowała zrozumieć, co się z nią dzieje. Czego ten stwór od niej chciał? Czy ktoś go na nią nasłał? Gdyby umarła, jej małostkowe serce chciało wiedzieć, kogo ma straszyć. Klatka schodowa to zniknęła jej sprzed oczu, to powracała. Alex nie zdołała dotrzeć do Klitki.

Usłyszała metaliczny brzęk i chwilę potem zrozumiała, że gdzieś nad nią otworzyły się drzwi. Próbowała krzyknąć o pomoc, ale odgłos, jaki dobył się z jej ust, był słabym, żalonym kwileniem. Po schodach poniósł się echem stukot sportowych sandałów Dawes – zapadła cisza, a potem znowu usłyszała kroki, tym razem szybsze, którym wtórowało „kurwa kurwa kurwa”.

Alex poczuła mocne szarpnięcie w górę.

– Jezu. Jezu! Co się stało?

– Pomóż mi, Pammie.

Dawes się wzdrygnęła. Dlaczego Alex posłużyła się tym imieniem? Tylko Darlington tak do niej mówił.

Nogi miała ciężkie, gdy Dawes wlokła ją schodami. Skóra ją swędziała, jakby coś pod nią pełzało. Pomyślała o żukach wylewających się z jej ust i znowu szarpnął ją odruch wymiotny.

– Nie wymiotuj na mnie – ostrzegła ją Dawes. – Jeśli ty zwymiotujesz, to ja też.

Alex pomyślała o Hellie przytrzymującej jej włosy. Upiły się jägerem, a potem siedziały na podłodze łazienki w Strefie Zero, śmiejąc się, wymiotując, myjąc zęby i zaczynając od początku.

– Ruszaj nogami, Alex – powiedziała Hellie.

Odpychała kolana Alex w bok, wciągając ją na wielki pleciony fotel. Pachniała kokosem, a jej ciało było ciepłe, zawsze ciepłe, jakby słońce ją kochało, jakby chciało przywrzeć do jej złotej skóry na tak długo, jak to możliwe.

– Rusz tymi durnymi nogami, Alex!

To nie Hellie. To Dawes krzyczała jej do ucha.

– Ruszam.

– Nieprawda. Rusz się, zrób jeszcze ze trzy kroki.

Alex chciała ostrzec Dawes, że stwór nadchodzi. Słowa śmierci na niego nie działały. Może zabezpieczenia też go nie powstrzymają. Otworzyła usta i znowu zwymiotowała.

W odpowiedzi Dawes szarpnął odruch wymiotny. A potem znalazły się na podeście, przeszły przez drzwi i wpadły do środka. Alex upadła. Leżała na podłodze w Klitce z twarzą przyciśniętą do poprzecieranego dywanu.

– Co się stało? – zapytała Dawes, ale Alex była zbyt zmęczona, żeby odpowiedzieć. Poczuła, że przeturlano ją na plecy i mocno spoliczkowano. – Powiedz mi, co się stało, bo inaczej ci nie pomogę.

Alex zmusiła się, żeby spojrzeć na Dawes. Nie chciała. Chciała wrócić do wiklinowego fotela, do Hellie podobnej do skrawka promiennego słońca obok niej.

– Szary, nie wiem. Jak szkło. Widziałam poprzez niego.

– Psiakrew, to *gluma*.

Alex potrzebowała swoich karteczek do nauki. Jednak to słowo kryło się gdzieś w jej pamięci. *gluma* to skorupa, wywołany duch niedawno zmarłej

osoby, który działał jako pośrednik mogący przekraczać Zasłonę. To był rodzaj posłańców. Pracowali dla Księgi i Węża.

– Czerwony dym. Nabrałam go w płuca. – Znowu szarpnął nią odruch wymiotny.

– Trupie żuki. Zjedzą cię od środka.

Jasne. Pewnie, że zjedzą. Bo magia nigdy nie była dobra i życzliwa.

Usłyszała krzątanicę, a potem przytknięto jej kubek do ust.

– Pij – poleciła Dawes. – Będzie bolało jak diabli i całe gardło będziesz miała w pęcherzach, ale to zdołam wyleczyć.

Dawes odchyliła jej brodę, zmuszając do otwarcia ust. Gardło Alex zapłonęło żywym ogniem. Miała wizję prerii rozświetlonych niebieskim płomieniem. Przeszył ją ból. Złapała Dawes za rękę.

– Jezu, Alex, dlaczego się uśmiechasz?

Gluma. Skorupa. Ktoś nasłał na nią potwora i istniał tylko jeden powód: Alex na coś natrafiła. Wiedzieli, że poszła zobaczyć ciało Tary. Jednak kto? Księga i Wąż? Czaszka i Kości? Ktokolwiek to był, nie miał powodu uznać, że Alex poprzestanie na wizycie w kostnicy. Nie wiedzieli, jaką decyzję podjęła, i że już oddała raport. Alex miała rację. Coś było nie tak ze śmiercią Tary, istniał jakiś związek ze stowarzyszeniami, z Domami Zaslony. Jednak nie dlatego się uśmiechała.

– Próbowali mnie zabić, Hellie – wychrypiała i ześlizgnęła się w ciemność.

„A to znaczy, że teraz ja mogę spróbować ich zabić”.

Manuskrypt, młody parweniusz pośród Domów Zasłony, ale prawdopodobnie stowarzyszenie, które najlepiej poradziło sobie we współczesnym świecie. Łatwo wskazać ich zdobywców Oscarów i osobowości telewizyjne, lecz wśród ich wychowanków znajdują się także doradcy prezydentów, kustosz Metropolitan Museum of Art i – być może to najbardziej wymowny fakt – niektóre z największych umysłów neuronauki. Kiedy mówimy o Manuskrypcie, mówimy o lustrzanej magii, iluzjach, potężnych urokach z rodzaju tych, które mogą stworzyć gwiazdę, ale należy pamiętać, że cała ich praca opiera się na manipulacji naszą własną percepcją.

z Życie Lete: procedury i protokoły Dziewiątego Domu

Nie chodźcie na imprezy Manuskryptu. Po prostu – nie chodźcie.

Pamiętnik Daniela Arlingtona z czasów w Lete
(Davenport College)

10

ZESZŁA JESIEŃ

W noc przyjęcia Manuskryptu Darlington spędził wczesny wieczór przy rozświetlonych oknach Black Elm, rozdając słodczyce na oświetlonym latarniami z dyń podjeździe. Uwielbiał tę część Halloween, rytuał, przyływ radosnych nieznanym z wyciągniętymi rękami, docierający do jego samotnego brzegu. Przez większość czasu posiadłość Black Elm wydawała się ciemną wyspą, która z jakiegoś powodu przestała pojawiać się na mapach. Jednak nie w wieczór Halloween.

Dom leżał na łagodnym wzniesieniu niedaleko od ziem, które kiedyś należały do Donalda Granta Mitchella, a tutejsza biblioteka była zaopatrzona w liczne egzemplarze książek Mitchella: *Reveries of a Bachelor* i jedynego tytułu, który dziadek Darlingtona uważał za wart lektury – *My Farm of Edgewood*. Jako chłopca Darlingtona przyciągnęło tajemnicze brzmienie pseudonimu literackiego Mitchella – Ik Marvel – i ogromnie się rozczarował brakiem czegokolwiek magicznego i cudownego w jego książkach.

Jednak to odczucie w jego wypadku dotyczyło wszystkiego. Na świecie powinno być więcej magii. Nie chodziło o lipne przedstawienia klaunów i kiepskich iluzjonistów albo o sztuczki karciane, lecz o magię, jaką mu obiecano, jaką powinno znajdować się w głębi szaf, pod mostami, po drugiej stronie lustra. Była niebezpieczna, kusząca i nie służyła rozrywce. Może gdyby wychowywał się w zwykłym domu z porządnym ociepleniem i schludnie przyciętym trawnikiem od frontu, zamiast pośród walących się wież Black Elm z jeziorami mchów, niespodziewanymi, złowieszczymi szpicami naparstnic i wśród mgieł płynących między drzewami podczas jesiennych zmierzchów, to miałby szansę. Może gdyby pochodził z takiego miejsca jak na przykład Phoenix, zamiast z przeklętego New Haven.

Chwila, która przypieczętowała jego los, tak naprawdę nawet nie należała do niego. Miał jedenaście lat, był na pikniku zorganizowanym przez Rycerzy Kolumba, gdyż ich gospodyni Bernadette uparła się, żeby go zabrać, bo „chłopcy potrzebują świeżego powietrza”. Kiedy już dotarli do parku Lighthouse Point, usadowiła się w namiocie z przyjaciółkami i talerzem jajek faszerowanych na ostro i kazała mu iść się pobawić.

Darlington znalazł grupę chłopców mniej więcej w jego wieku, a może raczej oni znaleźli jego, i spędzili popołudnie, ścigając się, rywalizując w jarmarcznych zabawach, a potem wymyślając własne, gdy tamte zaczęły ich nudzić. Wysoki chłopiec imieniem Mason z ostrzyżonymi maszynką włosami i wystającymi przednimi zębami jakimś cudem został tego dnia tym, który podejmuje decyzje – kiedy jeść, kiedy pływać, kiedy gra staje się nudna, a Darlington z radością podążał jego śladem. Gdy zmęczeni się jazdą na starej karuzeli, poszli na skraj parku, skąd rozciągał się widok na Long Island Sound i New Haven Harbor w oddali.

– Powinni mieć łódki – orzekł Mason.

– Na przykład motorowe. Albo skutery wodne – wtrącił się chłopiec, który nazywał się Liam. – Byłoby super.

– Aha – poparł go inny dzieciak. – Moglibyśmy popłynąć do kolejki górskiej.

Łaził za nimi całe popołudnie. Był drobny, miał twarz gęsto usianą złotymi jak piasek piegami i teraz poparzony słońcem nos.

– Jakiej kolejki górskiej? – zapytał Mason.

Piegus wskazał na drugą stronę cieśniny.

– To miejsce ze światłami. Obok moło.

Darlington spojrział w dal, ale niczego tam nie zobaczył, tylko gasnący dzień i płaski kawałek ziemi.

Mason także popatrzył, a potem powiedział:

– Co ty, kurwa, wygadujesz?

Mimo zapadającego zmierzchu Darlington zauważył czerwony rumieniec oblewający piegawatą twarz. Dzieciak się zaśmiał.

– Nic takiego. Robiłem sobie z was jaja.

– Młotek.

Zeszli na cieniutki, srebrzysty sierp plaży, żeby ścigać się z falami, i tamta chwila poszła w zapomnienie. Do dnia, gdy kilka miesięcy później dziadek Darlingtona otworzył gazetę przy stole podczas śniadania i chłopiec zobaczył nagłówek: „Wspomnienia z Savin Rock”. Pod nim umieszczono zdjęcie przedstawiające wielką drewnianą kolejkę górską sterczącą w wodach Long

Island Sound. Podpis do fotografii brzmiał: „Legendarny Grom, ulubiony park rozrywki na Savin Rock, zniszczony przez huragan w 1938 roku”.

Darlington wyciął zdjęcie z gazety i przykleił sobie nad biurkiem. Tamtego dnia w Lighthouse Point poparzony słońcem piegowaty chłopiec widział tę starą kolejkę górską. Wierzył, że oni też ją widzą. Nie udawał ani nie żartował. Był zaskoczony i zawstydzony, a potem szybko zamilkł. Jakby nie pierwszy raz coś takiego mu się przydarzyło. Darlington próbował przypomnieć sobie jego imię. Zapytał Bernadette, czy mogliby wybrać się do Rycerzy Kolumba na bingo, składkowe kolacje – cokolwiek, co mogłoby umieścić go znowu na drodze tamtego dzieciaka. W końcu jego dziadek położył temu kres, gdy warknął: „Przestań robić z niego cholernego katolika”.

Darlington podrósł. Wspomnienie z Lighthouse Point zacierało się. Nigdy jednak nie zdjął zdjęcia Gromu ze ściany. Zapominał o nim na całe tygodnie, czasem nawet miesiące, ale nigdy nie mógł otrząsnąć się z myśli, że widzi tylko jeden świat, kiedy mogło być ich więcej, że istnieją zaginione miejsca, może nawet utraceni ludzie, którzy mogliby ożyć dla niego, gdyby dostatecznie mocno zmrużył oczy albo znalazł właściwe magiczne słowa. Książki z obietnicami zaklętych drzwi i sekretnych miejsc tylko pogarszały sprawę.

Uczucie powinno osłabnąć z czasem, ulec nieustannym drobnym rozczarowaniom dorastania. Jednak kiedy Darlington skończył szesnaście lat i w jego portfelu wylądowało tymczasowe prawo jazdy, pierwsze miejsce, w jakie pojechał starym mercedesem dziadka, był park Lighthouse Point. Stał na brzegu i czekał, aż świat mu się ujawni. Wiele lat później, kiedy poznał Alex Stern, musiał powstrzymać chęć zabrania jej w to miejsce, żeby przekonać się, czy Grom może jej się ukazać jak każdy inny Szary, dudniący duch radości i przyprawiającej o zawrót głowy zgrozy.

Kiedy zapadła całkowita ciemność i strumień dzieci w maskach goblinów zaczął rzednąć, Darlington włożył własny kostium, ten sam, który zakładał co roku: czarny płaszcz i parę tanich plastikowych kłów, przez które wyglądał tak, jakby potrzebował operacji stomatologicznej.

Zaparkował w zaułku za Klitką, gdzie czekała Alex, drżąc w długim czarnym płaszczu, którego do tej pory u niej nie widział.

– Nie możemy pojechać samochodem? – zapytała. – Jest straszny ziąb.

„Kalifornijczycy” – pomyślał.

– Jest dziesięć stopni, a mamy do przejścia trzy przecznice. Jakoś przetrwasz tę podróż przez tundrę. Modłę się, żebyś nie miała pod tym płaszczem skąpego kociego kostiumu. Powinniśmy budzić należyne szacunek.

– Mogę robić swoje i w kusych szortach. Pewnie nawet lepiej. – Wykonała bez przekonania kopnięcie w stylu karate. – Większa swoboda ruchu.

Przynajmniej nosiła rozsądne buty.

W świetle ulicznych lamp widział, że ma mocno umalowane oczy i duże złote kolczyki. Miał nadzieję, że nie włożyła niczego zbyt prowokacyjnego albo niestosownego. Nie chciał przez cały wieczór reagować na krytyczne złośliwości członków Manuskryptu, bo Alex naszała chęć, żeby przebrać się za seksowną Pocahontas.

Wyprowadził ich z zaułka na Elm Street. Alex robiła wrażenie czujnej, gotowej. Dobrze sobie radziła od incydentu u Aurelian, odkąd potłukiła wartość kilka tysięcy dolarów porcelaną i szkło na podłodze w kuchni Il Bastone. Może i Darlington lepiej teraz sobie radził. Obejrzeni serię pierwszych przemian w Wilczym Łbie, które odbyły się bez żadnych incydentów, chociaż Shane Mackay miał kłopot z powrotem i trzeba było go zamknąć w kuchni, zanim otrząsnął się z kształtu koguta. Rozkwaśił sobie nos, gdy próbował dziobać stół, i ktoś z jego przyjaciół spędził godzinę na pracowitym skubaniu go z drobnych białych piórek. Żartem na temat tego, jaki z niego kogut, nie było końca. Monitorowali wskrzeszenie w Księdze i Wężu, gdzie z pomocą tłumacza wysuszony trup przedstawił relację z ostatnich chwil niedawno zabitych żołnierzy na Ukrainie; przypominało to dziwaczną i makabryczną wersję zabawy w głuchy telefon. Darlington nie wiedział, kto z Departamentu Stanu poprosił o te informacje, ale domyślał się, że zostaną sumiennie przekazane. Obserwowali nieudaną próbę otwarcia przejścia w Zwoju i Kluczu – nie udało im się przesłać kogoś na Węgry i rytuał skończył się tylko tym, że cały grobowiec pachniał gulaszem – oraz równie nieciekawe przywoływanie burzy przez stowarzyszenie Świętego Elma w ich norze przy Lynwood, po którym to przewodniczący delegacji i biorący udział wychowankowie byli zażenowani i zawstydzeni.

– Wszyscy mają takie miny jak facet, kiedy jest za bardzo pijany, żeby mu stanął – szepnęła wtedy Alex.

– Stern, musisz być taka wulgarna?

– Powiedz mi, że się mylę.

– Z całą pewnością nie mam pojęcia na ten temat.

Dzisiejszy wieczór będzie inny. Nie będą rysować kręgów ochronnych, pokażą się tylko, będą nadzorować moc zbierającą się w węźle Manuskryptu, a potem napiszą raport.

– Ile czasu tam spędzimy? – zapytała Alex, kiedy ulica skręciła w lewo.

– Wyjdziemy chwilę po północy, może trochę później.

– Powiedziałam Mercy i Lauren, że spotkam się z nimi w Piekło ¹.

– Będą tak pijane, że nikt nie zauważy twojego spóźnienia. A teraz skup się: Manuskrypt wydaje się nieszkodliwy, ale jest wręcz przeciwnie.

Alex rzuciła mu spojrzenie. Miała jakiś brokat na policzkach.

– Robisz wrażenie naprawdę zdenerwowanego.

Ze wszystkich stowarzyszeń to Manuskrypt wywoływał największą nieufność Darlingtona. Zobaczył powątpiewanie na twarzy Alex, kiedy zatrzymali się przed brudnym murem z białej cegły.

– To tutaj? – zapytała, otulając się ciasniej płaszczem.

Gdzieś z wąskiego przejścia przesączały się dudnienie basów i pomruk rozmów.

Darlington rozumiał jej niedowierzanie. Inne grobowce zbudowano tak, żeby przypominały grobowce – płaska neoegipska fasada Kości, wyniosłe białe kolumny Księgi i Węża, delikatne ażury i mauretańskie łuki Zwoju i Klucza, ulubionego grobowca Darlingtona. Nawet Wilczy Łeb, stowarzyszenie, które twierdziło, że chce się otrząsnąć z przymiotów nauk tajemnych i stworzyć bardziej egalitarną organizację, zbudowało sobie małą angielską wiejską rezydencję w miniaturze. Darlington przeczytał opisy wszystkich grobowców w przewodniku Pinnella po Yale i czuł, że z jakiegoś powodu analiza ich poszczególnych części nie oddaje wrażenia tajemnicy, jakie wywoływały. Oczywiście Pinnell nie miał pojęcia o tunelu pod Grove Street, który prowadził prosto z Księgi i Węża do serca cmentarza, ani o zaczarowanych pomarańczowych drzewkach zabranych z Alhambry, które rodziły owoce przez cały rok na dziedzińcu Zwoju i Klucza.

Tymczasem siedziba Manuskryptu wyglądała z zewnątrz jak przysadzista ceglana gruda z paroma koszami do sortowania śmieci ustawionymi wzdłuż boku.

– To jest to? – zapytała Alex. – To żałośniejsze miejsce od tej nory na Lynwood.

Tak naprawdę to nie było bardziej żałosnego miejsca od domu Świętego Elma przy Lynwood, z jego poplamionym dywanem, zapadającymi się schodami i dachem, na którym jeżyły się sfatygowane przechylone wiatrowskazy.

– Nie oceniaj po okładce. Ta krypta schodzi osiem kondygnacji w dół i mieści się tutaj jedna z najlepszych kolekcji sztuki nowoczesnej na świecie.

Alex uniosła brwi.

– Czyli są bogaci po kalifornijsku.

– Co takiego?

– W L.A. naprawdę dziani goście ubierają się jak menele, jakby chcieli, żeby wszyscy wiedzieli, że mieszkają na plaży.

– Podejrzewam, że Manuskryptowi chodziło o dyskretną elegancję, nie deklarację „bzykam modelki w swojej rezydencji w Malibu”, ale kto może mieć pewność?

Zaprojektowany przez King-lui Wu grobowiec powstał na początku lat sześćdziesiątych. Darlington nigdy nie zdobył się na więcej niż niechętny szacunek dla architektury z połowy wieku. Mimo największych wysiłków, żeby podziwiać surowe linie i klarowność wykonania, zawsze wydawała mu się płaska. Ojciec otwarcie wyśmiewał burżuazyjny gust syna, jego upodobanie do wieżyczek i mansardowych dachów.

– Spójrz – powiedział Darlington, łapiąc Alex za ramiona i przesuwając ją odrobinę w lewo.

Poczuł satysfakcję, gdy wykrzyknęła:

– Och!

Pod tym kątem pojawiał się ukryty w białych ceglach kolisty wzór. Większość ludzi myślała, że symbolizuje słońce, ale Darlington wiedział swoje.

– Nie widać go, gdy stoi się na wprost – wyjaśnił. – Tak jest ze wszystkim tutaj. To dom kłamstw i iluzji. Zapamiętaj sobie, jak charyzmatyczni mogą być niektórzy z tych ludzi. Naszym zadaniem jest dopilnować, żeby nikt nie pozwolił sobie na zbyt wiele i żeby nikomu nie stała się krzywda. Doszło tu do pewnego incydentu w 1982 roku.

– Jakiego rodzaju incydentu?

– Dziewczyna zjadła coś na jednym z ich przyjęć i uznała, że jest tygrysem.

Alex wzruszyła ramionami.

– Patrzyłam, jak Salome Nils wyciągała piórka z tyłka chłopaka w kuchni Wilczego Łba. Jestem pewna, że mogło być gorzej.

– Ona nigdy nie przestała myśleć, że jest tygrysem.

– Co?

– Wilczemu Łbowi chodzi o przemianę fizyczną, rezygnację z ludzkiej formy przy zachowaniu ludzkiej świadomości. Manuskrypt specjalizuje się w przemianie stanu świadomości.

– Mieszają człowiekowi w głowie.

– Rodzice dziewczyny nadal trzymają ją w klatce w północnej części stanu Nowy Jork. Całkiem ładne miejsce. Całe akry do biegania. Surowe mięso dwa razy dziennie. Raz się wydostała i próbowała pokiereszować ich listonosza.

– Zrzuć sobie manicure.

– Powaliła go na ziemię i zaczęła gryźć w łydkę. Zatuszowaliśmy to jako przejaw załamania nerwowego. Manuskrypt zapłacił za opiekę nad nią i musiał zawiesić wszelką aktywność na cały semestr.

– Surowa sprawiedliwość.

– Nie twierdzę, że to w porządku. Niewiele jest sprawiedliwości na świecie. Mówię ci tylko o tym, żebyś nie ufała własnej percepcji tego wieczoru. Niczego

nie jedz ani nie pij. Miej się na baczności. Nie chcę musieć cię odesłać na prowincję z własnym kłębkiem włóczki.

Poszli wąskim zaułkiem i dalej bocznymi drzwiami za grupką dziewczyn ubranych w gorsety i z makijażem w stylu zombie. Żony Henryka VIII. Szyja Anny Boleyn była pokryta sztuczną krwią, która wyglądała na lepka.

Kate Masters siedziała na stołku przy drzwiach ze stempelkiem do rąk, ale Darlington złapał Alex za nadgarstek, zanim zdążyła podsunąć dłoń.

– Nie wiesz, co jest w tuszu – mruknął. – Po prostu wpuść nas, Kate.

– Szatnia po lewej. – Mrugnęła porozumiewawczo, czerwony brokat zaskrzył się na jej powiekach. Była przebrana za Poison Ivy, liście z kartonu miała przypięte do zielonego topu.

W środku muzyka dudniła i zawodziła, zalał ich żar ludzkich ciał wraz z podmuchem perfum i wilgotnego powietrza. Wielki kwadratowy pokój był słabo oświetlony, zapakowany ludźmi krążącymi wokół kadzi w kształcie czaszek z ponczem. W ogrodzie na tyłach rozwieszono sznury mrugających światełek. Darlington już zaczął się pocić.

– To nie wygląda najgorzej – powiedziała Alex.

– Zapomniałaś, co mówiłem? Prawdziwe przyjęcie trwa na dole.

– Czyli w sumie dziewięć poziomów? Jak dziewięć kręgów piekieł?

– Nie, to się opiera na chińskiej mitologii. Osiem uważa się za najszcześniejszą liczbę, stąd osiem tajnych poziomów. Schody reprezentują boską spiralę.

Alex zsunęła płaszcz. Pod nim nosiła czarną sukienkę typu futerał. Na ramionach miała rozrzuconą kaskadę srebrnych gwiazd.

– Za kogo się przebrałaś? – zapytał Darlington.

– Za dziewczynę ubraną na czarno z mocno umalowanymi oczami? – Wyjęła z kieszeni płaszcza koronę z plastikowych kwiatów pomalowanych srebrną farbą w spreju i włożyła na głowę. – Za królową Mab.

– Nie robisz na mnie wrażenia fanki Szekspira.

– Bo nie jestem. Lauren załatwiła strój Pucka z kostiumów wydziału teatralnego. Mercy idzie jako Tytania, więc mnie wepchnęły to i powiedziały, że mogę być Mab.

– Wiesz, że Szekspir nazwał Mab akuszerką wrózek.

Alex zmarszczyła czoło.

– Myślałam, że to była Królowa Nocy.

– To też. Pasuje do ciebie.

Darlington powiedział to jako komplement, ale Alex się skrzywiła.

– To tylko sukienka.

– A co ja próbowałem ci powiedzieć? Nic nigdy nie jest po prostu jedną rzeczą. – I może chciał, żeby była dziewczyną, która przebiera się za królową Mab, która kocha słowa i ma gwiazdy we krwi. – Przejdźmy się po parterze, zanim zmierzmy się z kłamstwami poniżej.

Nie potrzebowali dużo czasu. Siedzibę Manuskryptu wybudowano na bazie otwartych planów popularnych w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, więc nie mieli wielu pokoiów i przejść do zbadania. Przynajmniej na tym poziomie.

– Nie rozumiem – mruknęła Alex, rozglądając się po porośniętym krzakami podwórzu na tyłach. – Skoro dzisiejsza noc jest taka ważna dla Manuskryptu, to po co przeprowadzać rytuał, kiedy wokół jest tylu ludzi?

– To nie do końca jest rytuał. To zbiór. Na tym polega kłopot z ich magią. Nie można jej uprawiać w odosobnieniu. Magia lustrzana opiera się na odbiciu i percepcji. Kłamstwo nie jest kłamstwem, dopóki w nie ktoś nie uwierzy. Nie ma znaczenia, jak bardzo jesteś czarująca, jeśli nie masz kogo oczarować. Wszyscy na tym poziomie napełniają mocą to, co dzieje się poniżej.

– Po prostu dobrze się bawiąc?

– Próbując dobrze się bawić. Rozejrzyj się. Co widzisz? Ludzi w kostiumach, rogach, sztucznej biżuterii, zdobiących siebie cieniutkimi warstwami iluzji. Stoją nieco bardziej wyprostowani, wciągają brzuchy, mówią rzeczy, których tak naprawdę nie myślą, pozwalają sobie na pochlebstwa. Popełniają tysiące drobnych aktów oszustwa, okłamują siebie nawzajem, okłamują samych siebie, piją tak dużo, aż ulegają złudzeniom i to wszystko staje się łatwiejsze. To noc porozumienia między jasnowidzami a widzianym, noc, podczas której ludzie z własnej woli zawierają nieprawdziwe umowy, mając nadzieję, że dadzą się nabrać i nabiorą innych w zamian za przyjemność czucia się odważnym albo seksownym, pięknym albo zwyczajnie pożądanym, nieważne, przez jak krótki czas.

– Darlington, chcesz mi powiedzieć, że Manuskrypt napędzają nawaleni napaleńcy?

– Masz talent do trafiania w sedno. Każdy weekend, każda impreza to seria takich umów, ale Halloween wszystko to w sobie łączy. Ludzie wchodzą w ten układ, kiedy przekraczają próg pełni wyczekiwania. Nawet wcześniej, kiedy zakładają peruki, rogi... – zerknął w jej stronę – ...i brokat. Czy ktoś już nie powiedział, że miłość to podzielane złudzenie?

– Cyniczne słowa, Darlington. Nie pasują do ciebie.

– Nazwij to magią, jeśli wolisz. Dwoje ludzi recytujących to samo zaklęcie.

– Mnie się to podoba – odparła Alex. – Wygląda jak przyjęcie z filmu. Tyle że pełno tu Szarych.

Wiedział o tym, ale mimo to dał się zaskoczyć. Po tak długim czasie wydawało mu się, że powinien w jakiś sposób wyczuwać ich obecność. Chciał się cofnąć, spojrzeć na to miejsce oczami Alex, ale nadal widział tylko imprezę. Halloween to noc, kiedy umarli ożywali, bo ludzie byli bardziej żywi: szczęśliwe dzieci nakręcone cukrem, wściekłe nastolatki w bluzach z kapturami z jajkami i kremem do golenia, pijani studenci w maskach, skrzydłach i rogach, pozwalający sobie na to, żeby być kimś innym: aniołem, demonem, diabłem, dobrym doktorem, niegrzeczną pielęgniarką. Pot i podniecenie, przeładowane cukrem poncze z owocami i ociupiną alkoholu. Szarzy nie mogli się temu oprzeć.

– Kto tu jest? – zapytał.

Uniosła ciemne brwi.

– Chcesz usłyszeć szczegóły?

– Nie proszę, żebyś się narażała dla mojej ciekawości. Wystarczy... ogólny zarys.

– Dwóch przy przesuwanych szklanych drzwiach, pięciu albo sześciu na podwórzu, jeden przy wejściu zaraz obok tej dziewczyny przy drzwiach, całe stado skupione przy ponczu. Nie sposób policzyć, jak wielu.

Powiedziała to bez zmruczenia oka. Była świadoma ich obecności, bo się ich bała.

– Niższe poziomy są chronione. Nie musisz martwić się tym tego wieczoru.

Poprowadził ją do schodów, gdzie Doug Far opierał się o poręcz i pilnował, żeby nikt bez zaproszenia nie zszedł na dół.

– Magia wymagająca krwi jest ściśle kontrolowana w Halloween. Jest zbyt pociągająca dla umarłych. Jednak dzisiaj Manuskrypt zassie całe pożądanie i zapamiętanie święta, żeby mieć czym napędzać rytuały przez resztę roku.

– Imprezowanie jest aż tak potężne?

– Anderson Cooper ma tak naprawdę pięć stóp i cztery cale wzrostu, waży z setkę i mówi z potwornie silnym akcentem z Long Island. – Alex wytrzeszczyła oczy na jego słowa. – Po prostu uważaj.

– Darlington! – powiedział Doug. – Dżentelmen z Lete!

– Ugrzęźłeś tutaj na całą noc?

– Jeszcze tylko na godzinę, a potem nawalę się jak szpak.

– Pięknie – odparł Darlington i zauważył, jak Alex przewraca oczami.

Poza wieczorem, kiedy oboje upili się po katastrofalnym rytuale Aurelian, nigdy nie widział, żeby choćby wypła łyk wina. Zastanawiał się, czy balowała ze współlokatorkami, czy wolała unikać używek po tym, co przydarzyło się jej przyjaciołom w Los Angeles.

– A to kto? – spytał Doug, a Darlington złapał się na tym, że irytuje go powolne studiowanie kostiumu Alex. – Randka czy twój Dante?

– Alex Stern. Nowy Dante. Będzie pilnowała was, cymbały, kiedy ja w końcu się stąd wyrwę.

Powiedział to, ponieważ tego się po nim spodziewano, ale Darlington nigdy nie opuści miasta. Zbyt ciężko walczył, żeby tu pozostać, żeby utrzymać Black Elm. Poświęci parę miesięcy na podróże, żeby odwiedzić pozostałości biblioteki w jaskini w Dunhuangu, zaliczy pielgrzymkę do klasztoru na Mont Sainte-Odile. Wiedział, że Lete oczekuje, iż zacznie studia doktoranckie, może zajmie się pracą naukową w nowojorskim biurze. Nie tego jednak tak naprawdę chciał. New Haven potrzebowało nowej mapy, mapy tego, co niewidzialne, a Darlington chciał ją nakreślić, i może w liniach ulic, ciszy ogrodów, głębokich cieniach East Rock znajdzie odpowiedź na pytanie, dlaczego New Haven nigdy nie stało się Manhattanem albo Cambridge, dlaczego mimo wszystkich okazji i wszelkich nadziei na sukces zawsze kulało. Czy to tylko przypadek? Pech? Czy magia, która tu żyła, w jakiś sposób hamowała miasto, chociaż sama nadal rozkwitała?

– To kim jesteś? – zapytał Doug. – Wampirem? Wyssiesz mi krew?

– Jeśli będziesz miał szczęście – odparła Alex i zeszła schodami.

– Uważaj na siebie, Doug – powiedział Darlington i poszedł za Alex.

Już zniknęła mu z oczu na kręconych schodach, a tej nocy nie powinna być sama.

Doug się roześmiał.

– To twoja robota.

Podmuch z maszyny do robienia mgły uderzył go prosto w twarz i Darlington prawie się potknął. Poirytowany odpędził mgłę ręką. Dlaczego ludzie nie mogą po prostu napić się czegoś dobrego i porozmawiać? Po co cała ta rozpaczliwa pretensjonalność? I czy w jakimś stopniu zazdrościł Dougowi i każdemu, kto potrafi na jedną noc pozwolić sobie na lekkomyślność? Może. Czuł się oderwany od wszystkiego, odkąd przeprowadził się z powrotem do Black Elm. Od studentów pierwszego i drugiego roku wymagano, żeby mieszkali w akademiku, i chociaż sumiennie odwiedzał Black Elm, czuł, że daje się wciągnąć na inne orbity, że mający najlepsze intencje współlokatorzy wyciągają go siłą z jego skorupy, wprowadzają do świata, który nie miał nic wspólnego z Lete i upiornością. Lubił Jordana i E.J. na tyle, żeby mieszkać z nimi przez dwa lata, i cieszył się, że oni czują to samo. Cały czas zamierzał do nich zadzwonić, zaprosić do siebie. Jednak mijał kolejny dzień, a on ginął w książkach, tonął w sprawach związanych z Black Elm, Lete, a teraz Alex Stern.

– Powinnaś trzymać się mnie – powiedział, kiedy ją dogonił, poirytowany nadąsanym tonem w swoim głosie.

Alex już znajdowała się na następnym poziomie i rozglądała się z zaciekawieniem. Ten poziom przypominał VIP-owską część w nocnym klubie, światła były bardziej przyćmione, basy stłumione, ale całość wydawała się jak wyjęta ze snu, jakby każda osoba i każdy przedmiot w tym pomieszczeniu były obrysowane złotym światłem.

– To wygląda jak wideoklip muzyczny – powiedziała Alex.

– Z nieskończonym budżetem. To urok.

– Dlaczego nazwał cię dżentelmenem z Lete?

– Bo ludzie, którzy nie zawracają sobie głowy manierami, udają, że dobre wychowanie ich bawi. Naprzód, Stern.

Zeszli na kolejny poziom.

– Zejdziemy na sam dół?

– Nie. Najniższy poziom to miejsce, gdzie przeprowadza się i podtrzymuje rytuały. W dowolnej chwili Manuskrypt rzuca pięć do dziesięciu uroków na skalę międzynarodową. Czary charyzmy i uroki wymagają nieustannego podtrzymywania. Dzisiaj jednak nie będą przeprowadzać żadnego rytuału, tylko zbierać moc z przyjęcia i z miasta, żeby przechować ją w skarbcu.

– Czujesz ten zapach? – spytała Alex. – Pachnie jak...

Las. Na następnym poziomie znaleźli się w zielonym lesie. W zeszłym roku to było stoliwo na pustyni. Światło słoneczne wpadało przez liście zagajnika, a horyzont wydawał się ciągnąć na wiele mil. Ubrani na biało uczestnicy przyjęcia leniuchowali na piknikowych kocach rozłożonych na bujnej trawie, kolibry śmigwały i zawisały w ciepłym powietrzu. Od tego poziomu w dół wstęp mieli tylko wychowankowie i towarzyszący im obecni członkowie stowarzyszenia.

– To prawdziwy koń? – szepnęła Alex.

– Na tyle, na ile musi.

To była magia, rozrzutna, radosna magia i Darlington nie mógł zaprzeczyć, że pewna część jego osoby chciała tu dłużej zostać. Dlatego właśnie powinni iść dalej.

– Na następny poziom – powiedział.

Schody znowu zakręciły, ale tym razem wydawało się, że ściany zakrzywiają się razem z nimi. Budynek jakimś cudem zmienił kształt, sufit był wysoki jak w katedrze, pomalowany na jasnoniebiesko i złoto jak niebo u Giotto. Podłogę pokrywały maki. To był i zarazem nie był kościół. Muzyka była niezemska – coś, co brzmiało jak dzwony i bębny albo może bicie serca potężnej bestii,

usypiało ich z każdym uderzeniem. W ławkach i w nawach leżały splecione ciała otoczone przez pogniecione czerwone płatki.

- O, to jest bardziej coś, czego się spodziewałam – odezwała się Alex.
- Orgia w pełnej kwiatów katedrze?
- Brak umiaru.
- O to właśnie chodzi tej nocy.

Następny poziom to była altana na szczycie, która nawet nie próbowała udawać prawdziwej. Mgliste brzoskwińskie obłoczki, glicynie zwieszające się gęstymi kiściami z bladoróżowych kolumn, kobiety w przezroczystych sukniach wyciągnięte na ogrzonym słońcem kamieniu, ich włosy unoszone przez niemożliwy zefirek, niekończąca się złota godzina. Weszli do obrazu Maxfielda Parrisha.

Wreszcie dotarli do cichego pokoju z długim bankietowym stołem postawionym pod jedną ścianą i oświetlonym przez świetliki. Pomruk rozmów był cichy i cywilizowany. Północną ścianę zajmowało ogromne okrągłe lustro wysokie na prawie dwie kondygnacje. Jego powierzchnia wydawała się wirować. Zupełnie jakbyś patrzył w ogromny kocioł, w którym mieszała niewidzialna ręka. Lustro należało jednak rozumieć jako skarbiec, skład magii napędzanej przez pożądanie i złudzenia. Ten poziom, piąty, stanowił punkt centralny między pokojami do zbierania i pokojami do rytuałów poniżej. Był zdecydowanie większy od pozostałych, ciągnął się pod ulicą i otaczającymi siedzibę domami. Darlington wiedział, że system wentylacyjny dobrze tu działa, ale z trudem opędał się od lęku, że może zginąć zmiażdżony.

Wielu uczestników przyjęcia nosiło maski, najpewniej były to znane osoby i wybitni wychowankowie. Niektórzy włożyli udziwnione stroje, inni po prostu dżinsy i T-shirty.

– Widzisz fioletowe języki? – zapytał Darlington, wskazując chłopca w brokacie, który nalewał wino, i dziewczynę z tacą, która nosiła kocie uszy i niewiele poza tym. – Zażyli serwilis, narkotyk służby. Przyjmują go akolici i porzucają wtedy własną wolę.

- Dlaczego ktokolwiek zgodziłby się na coś takiego?
- Żeby mi służyć – odpowiedział cichy głos.

Darlington uklonił się postaci ubranej w jedwabne szaty w kolorze celadonu i złote nakrycie głowy, które zasłaniało połowę twarzy.

- Jak mamy zwracać się do ciebie tej nocy? – zapytał Darlington.

Osoba w masce reprezentowała Lan Caihe, jednego z ośmiu nieśmiertelnych z chińskiej mitologii, który dowolnie mógł zmieniać płeć. Na każde spotkanie Manuskryptu wybierano innego Caihe.

– Tego wieczoru jestem kobietą. – Oczy postaci były całkowicie białe za maską. Będzie wszystko widziała i nie da się zwieść żadnemu urokowi.

– Dziękujemy za zaproszenie – powiedział Darlington.

– Zawsze z radością witamy funkcjonariuszy Lete, chociaż żałujemy, że nigdy nie przyjmujecie naszych zaproszeń. Może kieliszek wina?

Uniosła gładką rękę o paznokciach zakrzywionych jak szpony, ale gładkich i wypolerowanych niczym szkło, i jeden z akolitów podszedł z dzbanem.

Darlington pokręcił głową, patrząc na Alex.

– Dziękujemy, ale nie – odpowiedział przeproszającym tonem. Wiedział, że niektórzy członkowie Manuskryptu bardzo biorą do siebie fakt, że członkowie Lete nigdy nie kosztują przyjemności oferowanych przez ich stowarzyszenie. – Obowiązuje nas jednak protokół.

– Żadna z naszych sugestii co do wyboru pierwszorocznika nie została zaakceptowana – powiedziała Lan Caihe, kierując spojrzenie białych oczu na Alex. – To wielkie rozczarowanie.

Darlington się zjeżył, ale Alex odparła tylko:

– Przynajmniej nie będziesz wiele spodziewała się po mnie.

– Ostrożnie – rzekła Caihe. – Lubię, kiedy się mnie rozbraja. Możesz jeszcze sprawić, że moje oczekiwania wzrosną. Kto rzucił urok na twoje ręce?

– Darlington.

– Wstydzisz się swoich tatuaży?

– Czasem.

Darlington zerknął zaskoczony na Alex. Znalazła się pod przymusem? Kiedy jednak zobaczył zadowolony uśmiech Lan Caihe, zrozumiał, że Alex jedynie podjęła grę. Caihe lubiła niespodzianki, a szczerość była zaskakująca.

Caihe wyciągnęła rękę i przesunęła paznokciem po gładkiej skórze nagiej ręki Alex.

– Moglibyśmy całkowicie je usunąć – powiedziała. – Na zawsze.

– Za niewielką cenę?

– Za uczciwą cenę.

– Moja pani – odezwał się ostrzegawczym tonem Darlington.

Caihe wzruszyła ramionami.

– To noc zbioru, kiedy odnawiamy zapasy i napełniamy beczułki. Nie zawrzemy żadnej umowy. Zejdź, chłopcze, jeśli chcesz się przekonać, co będzie potem. Zejdź i zobacz, co cię czeka, o ile się ośmielisz.

– Chciałam się tylko przekonać, czy jest tu Jodie Foster – mruknęła Alex, kiedy Lan Caihe wróciła do bankietowego stołu.

To była jedna z najsłynniejszych absolwentek Manuskryptu.

– Bardzo możliwe, że to właśnie była Jodie Foster – odparł Darlington, ale głowa mu ciążyła, język nie mieścił się w ustach i wszystko wokół wydawało się migotać.

Lan Caihe odwróciła się w jego stronę ze swojego miejsca u szczytu bankietowego stołu. „Zejdź”. Darlington nie powinien był usłyszeć jej z tej odległości, ale słowo rozbrzmiewało echem w jego głowie. Miał wrażenie, że podłoga ucieka mu spod nóg, a on spada. Stał w rozległej jaskini wyciętej w głębinach, skała była śliska od wilgoci, powietrze przesiąknięte zapachem świeżo skopanej ziemi. Uszy wypełniło mu brzęczenie i Darlington zdał sobie sprawę, że pochodzi z lustra, które jakimś cudem nadal wisiało na ścianie jaskini. Znajdował się w tym samym pokoju, a zarazem nie w tym samym. Spojrzał w wirującą powierzchnię i mgła rozstąpiła się, brzęczenie przybrało na sile, Darlington poczuł wibrację w kościach.

Nie powinien był patrzeć. Wiedział o tym. Nigdy nie powinien był patrzeć prosto w twarz upiorności, ale czy kiedykolwiek potrafił odwrócić wzrok? Nie, dopraszał się o to, zabiegał o to. Musiał się dowiedzieć. Chciał wszystko wiedzieć. Zobaczył stół bankietowy odbijający się w lustrze; jedzenie na nim gniło, ludzie napychali się zepsutymi owocami i mięsem razem z kłębiącymi się wokół tego muchami. Byli starzy, niektórzy mieli ledwie dość siły, żeby unieść kieliszek wina albo zwiędłą brzoskwinię do popękanych ust. Wszyscy oprócz Lan Caihe, która stała oświetlona przez ogień, złote przybranie głowy wyglądało jak płomień, jej szata jarzyła się jak węgielek, rysy twarzy zmieniały się z każdym oddechem – najwyższa kapłanka, pustelniczka, hierofant. Przez chwilę Darlingtonowi wydawało się, że spostrzegł tam swojego dziadka.

Czuł, że cały się trzęsie, poczuł wilgoć na ustach, dotknął twarzy i zdał sobie sprawę, że leci mu krew z nosa.

– Darlington? – rozległ się głos Alex i Darlington zobaczył ją w lustrze.

Wyglądała tak samo. Nadal była królową Mab. Nie... Tym razem naprawdę była królową Mab. Noc opadała i wznosiła się wokół niej opończą błyszczącą od gwiazd; nad czarną jak smoła kaskadą jej włosów płonął gwiazdozbiór – koło, korona. Jej oczy były czarne, jej usta ciemnoczerwone jak przejrzałe wiśnie. Czuł moc wzbierającą wokół niej i w niej samej.

– Czym jesteś? – szepnęła, chociaż w ogóle go to nie obchodziło. Padł na kolana. Na to właśnie czekał.

– Ach – powiedziała Lan Caihe, podchodząc. – W głębi serca to akolita.

W lustrze spostrzegł siebie, rycerza z pochyloną głową, oferującego swoją służbę, z mieczem w ręce i z mieczem w plecach. Nie czuł bólu, tylko ukłucie w sercu. Wybierz mnie. Miał łzy na policzkach, chociaż to go zawstydzalo. Była

nikim, dziewczyną, której przypadkiem trafił się dar, która nie zrobiła nic, żeby na niego zasłużyć. Była jego królową.

– Darlington – powiedziała, ale to nie było jego prawdziwe imię, tak samo jak Alex nie było jej prawdziwym imieniem.

Gdyby tylko jego wybrała. Gdyby tylko pozwoliła mu...

Dotknęła palcami jego twarzy, uniosła mu podbródek. Musnęła ustami jego ucho. Nie rozumiał. Chciał tylko, żeby znowu to zrobiła. Gwiazdy wlewały się w niego, zimno i wzbierająca fala nocy. Widział wszystko. Widział ich splecione ciała. Była nad nim i pod nim zarazem, jej ciało rozścielone i białe jak kwiat lotosu. Ugryzła go w ucho. Mocno.

Darlington krzyknął i wzdrygnął się, powrócił rozsądek.

– Darlington! – warknęła. – Weź się, kurwa, w garść.

I wtedy zobaczył siebie. Zadarł Alex sukienkę. Położył ręce na jej białych udach. Widział wokół siebie twarze w maskach, wyczuwał ich zapach, kiedy pochylały się do przodu z błyszczącymi oczami. Alex patrzyła na niego z góry, łapiąc go za ramiona i próbując odepchnąć. Jaskinia przepadła. Znajdowali się w sali bankietowej.

Przewrócił się do tyłu, wypuszczając jej sukienkę, erekcja zapulsowała mu męźnie w dżinsach, zanim zalało go uczucie upokorzenia. Co, u diabła, mu zrobili? I jak?

– Mgła – zrozumiał i poczuł się jak skończony dureń.

W głowie nadal mu się kręciło, ciało buzowało mu tym, co wciągnął do płuc. Przeszedł prosto przez podmuch maszyny do mgły i nawet się nie zastanowił.

Lan Caihe uśmiechnęła się szeroko.

– Nie możesz winić boga, że próbuje.

Darlington zapał się o ścianę, żeby się podnieść; starał się nie patrzeć na lustro. Nadal czuł wibracje w ciele. Chciał wściec się na tych ludzi. W żadnym razie nie wolno przeszkadzać przedstawicielom Lete, to pogwałcenie wszelkich praw stowarzyszeń, ale z drugiej strony chciał wynieść się z Manuskryptu, zanim bardziej się ośmieszy. Gdzie nie spojrzeł, widział zamaskowane i pomalowane twarze.

– Chodź – powiedziała Alex, biorąc go za rękę.

Wyprowadziła go na schody i zmusiła, żeby szedł przed nią.

Wiedział, że powinni zostać. Poczekać, aż minie godzina czarów, dopilnować, żeby nic nie przedostało się z zakazanych poziomów ani nie wpłynęło na zbiory. Nie mógł. Musiał się uwolnić. Natychmiast.

Schody ciągnęły się w nieskończoność, skręcając i skręcając, aż Darlington nie miał pojęcia, jak długo się wspinali. Chciał się obejrzeć i upewnić, że Alex

nadal tam jest, ale przeczytał dość historii, żeby wiedzieć, że nigdy nie wolno się oglądać, gdy wychodzisz z piekła.

Wyższy poziom Manuskryptu był jak rozszalała pożoga barw i światła. Wyczuwał owoce fermentujące w ponczu, drożdżowy aromat potu. Powietrze wydawało się lepkie i ciepłe na skórze.

Alex potrząsnęła jego ręką i pociągnęła go, łapiąc za łokieć. Był w stanie tylko iść chwiejnie za nią. Wypadli na zimne nocne powietrze, jakby prześlizgnęli się przez błonę. Darlington odetchnął głęboko, czując, że w głowie trochę mu się przejaśnia. Usłyszał głosy i zdał sobie sprawę, że Alex rozmawia z Mike'em Awolowo, przewodniczącym delegacji Manuskryptu. Obok niego stała Kate Masters. Była cała w kwitnących pnączach. Zaraz ją pojrzą... Nie. Na miłość boską, po prostu była przebrana za Poison Ivy.

– To niedopuszczalne – powiedział Darlington. Nadal miał lekko odrętwiałe wargi.

Alex nie wypuściła jego ręki.

– Ja to załatwię. Zostań tutaj.

Przeszli ulicą do Klitki. Darlington oparł głowę o mercedesa. Powinienem być uważać, co Alex mówi Kate i Mike'owi, ale metal był zimny i przyjazny dla jego twarzy.

Chwilę potem wsiedli do samochodu, a on wymamrotał adres posiadłości Black Elm.

Mike i Kate zajrzeli przez okno pasażera, gdy odjeżdżali.

– Boją się, że zgłosisz ich w raporcie – powiedziała Alex.

– I słusznie. Wybulą potężną karę. I czeka ich zawieszenie.

– Powiedziałam mu, że ja zajmę się raportem.

– W żadnym razie.

– Nie możesz być obiektywny w tej sprawie.

Rzeczywiście. W myślach ponownie klęczał z twarzą dociśniętą do jej ud, rozpaczliwie pragnąc się zbliżyć. Na samą myśl znowu stwardniał i ucieszył się, że jest ciemno.

– Co chcesz, żebym napisała w raporcie? – zapytała Alex.

– Wszystko – wymamrotał załóżnie Darlington.

– To nic wielkiego.

Przeciwnie. Poczuł... „Pożądanie” to nie było nawet właściwe słowo. Nadal czuł jej skórę pod dłońmi, emanujący przez cieniutki materiał majtek jej żar na swoich ustach. Do diabła, co z nim było nie tak?

– Przepraszam – powiedział. – To było niewybaczalne.

– Spiłeś się i zachowałeś jak głupek na imprezie. Wyluzuj.

– Jeśli nie chcesz dłużej ze mną pracować...

– Przymknij się. Nie będę odwalać tej roboty bez ciebie.

Odwiozła go do Black Elm i położyła do łóżka. W domu było lodowato zimno i zdał sobie sprawę, że szczeka zębami. Alex położyła się obok niego, tak że dzieliły ich okrycia, a jego serce bolało z powodu pragnienia.

– Mike powiedział, że narkotyk powinien opuścić twoje ciało w ciągu około dwunastu godzin.

Darlington leżał na wąskim łóżku i pisał w myślach wściekłe e-maile do wychowanków Manuskryptu i rady Lete. Co rusz tracił wątek, przytłoczony obrazami Alex rozświetlonej gwiazdami i myślą o czarnej sukience zsuwającej się z jej ramion, po czym powracał do pomstowania i żądań podjęcia zdecydowanych działań. Słowa plątały się, nadziewały na szprychy koła, pałki korony. Jednak jedna myśl wracała raz za razem, kiedy miotał się i wiercił, zasypiał i wybudzał, a światło poranka zaczęło wlewać się przez okno wysokiej wieży: Alex Stern nie była tym, czym się wydaje.

1. Pierson Inferno, tradycyjna impreza w Pierson College urządzana z okazji Halloween (przyp. tłum.). [\[wróć\]](#)

11

ZIMA

Alex gwałtownie się obudziła. Spała, a potem nagle była przytomna i przerażona, opędzała się od rąk, które czuła na szyi.

Gardło miała zdarte i zaczerwienione. Leżała na kanapie w salonie Klitki. Zapadła noc i kinkiety paliły się słabo, rzucając żółte półksiężycy na oprawione obrazy przedstawiające faliste łąki z owcami i pasterzami grającymi na fujarkach.

– Proszę – powiedziała Dawes, przysiadając na poduszkach i przytrzymując przy ustach Alex szklankę czegoś, co wyglądało jak ajerkoniak z odrobiną zielonego barwnika spożywczego.

Ze szklanki zalatywało stęchlizną. Alex wzdrygnęła się i otworzyła usta, żeby zapytać, co to jest, ale wydobyło się z nich tylko słabe chrypienie. Miała wrażenie, że do jej gardła ktoś przytknął płonąca zapałkę.

– Powiem ci, gdy już wypijesz. Zaufaj mi.

Alex pokręciła głową. Miała wrażenie, że ostatnia rzecz, którą Dawes dała jej do picia, podpaliła jej wnętrzności.

– Przecież żyjesz, nie? – zapytała Dawes.

Tak, ale w tej chwili wolałaby nie żyć.

Zatkała nos, wzięła szklankę i wypila. Smakowało stęchle i mącznie, płyn był tak gęsty, że prawie się nim zadławiła, ale kiedy tylko dotknął jej gardła, palenie osłabło i pozostał tylko stłumiony ból. Oddała szklankę i otarła usta dłonią, wzdragając się z powodu posmaku.

– Kozie mleko z gorczycą i pajęczymi jajkami – odpowiedziała Dawes.

Alex przycisnęła kostki dłoni do ust, żeby nie wymiotować.

– Mam ci ufać?!

Gardło miała obolałe, ale przynajmniej mogła mówić i szaleńczy ogień w jej ciele przygasł.

– Musiałam posłużyć się siarką, żeby wypalić w tobie żuki. Powiedziałabym, że lekarstwo jest gorsze od choroby, ale zważywszy, że zżerały cię od środka, chyba bym skłamała. Oczyszczwały trupy w starożytnych czasach, opróżniały ciała, żeby można było wypchać je pachnącymi ziołami.

Powróciło wrażenie, że coś pełza jej pod skórą, i Alex musiała zacisnąć pięści, żeby nie zacząć drapać się po skórze.

– Co oni mi zrobili? Czy pozostaną jakieś trwałe uszkodzenia?

Dawes potarła kciukiem o szklanę.

– Szczerze mówiąc, nie wiem.

Alex podniosła się z poduszek, które Dawes położyła jej pod szyją. „Ona lubi opiekować się ludźmi” – zdała sobie sprawę. To dlatego ona i Dawes nigdy się nie dogadywały? Bo Alex nie dała jej sobie matkować?

– Skąd wiedziałaś, co robić?

Dawes zmarszczyła czoło.

– Moim zadaniem jest wiedzieć.

A Dawes była dobra w tym, co robiła. Tak po prostu. Dawes sprawiała wrażenie względnie spokojnej, ale gdyby ścisnęła szklanę jeszcze mocniej, to popękałaby jej w ręce. Palce miała poplamione na tęczowo i Alex zdała sobie sprawę, że to wyblakłe ślady mazaków fluorescencyjnych.

– Czy cokolwiek próbowało... dostać się tutaj?

Alex nie była nawet pewna, jak by to wyglądało.

– Nie wiem. Dzwonki co rusz się odzywały. Coś ocierało się o zabezpieczenia.

Alex podniosła się i pokój wokół niej zawirował. Potknęła się i zmusiła, żeby złapać rękę zatroskanej Dawes.

Nie była pewna, co spodziewała się zobaczyć na zewnątrz. Twarz *glumy* patrząca na nią, światło odbijające się od jej okularów? Coś gorszego? Dotknęła gardła i szybkim ruchem odsunęła zasłonę.

Ulica na lewo od Klitki była ciemna i pusta. Alex musiała przespać cały dzień. W zaułku zobaczyła Pana Młodego, który krążył w tę i z powrotem w żółtym świetle lampy ulicznej.

– Co jest? – zapytała niespokojnie Dawes. – Co tam widzisz?

Robiła wrażenie niemal przerażonej.

– To tylko Szary. Pan Młody.

Spojrzał w okno. Alex zaciągnęła zasłonę.

– Naprawdę go widzisz? Ja widziałam tylko zdjęcia.

Alex skinęła głową.

– Jest bardzo potargany. Bardzo smutny. Bardzo... jak Morrissey.

Dawes zaskoczyła ją, śpiewając:

– *And I wonder, does anybody feel the same way I do?*

– *And is evil – zaśpiewała cicho Alex – just something you are or something you do?* ¹

To miał być żart, który umocni słabe nici koleżeństwa, jakie zaczęły formować się między nimi, ale w upiornej ciszy rozświetlonej lampami słowa piosenki zabrzmiały złowrogo.

– Myślę, że uratował mi życie. Zaatakował tego stwora – dodała.

– *Glumę?*

– Tak. – Alex zadygotała. *Gluma* była bardzo silna i najwyraźniej odporna na wszystko, co przeciwko niej skierowała... czego nie było za wiele, musiała przyznać. – Muszę wiedzieć, jak powstrzymać te stwory.

– Znajdę wszystko, co się da, na ich temat – obiecała Dawes – ale nie powinnaś tworzyć więzi z Szarymi, zwłaszcza skłonnyimi do przemocy.

– Nie łączy nas więź.

– To dlaczego ci pomógł?

– Może wcale mi nie pomagał. Może chciał skrzywdzić *glumę*. Nie miałam czasu zapytać.

– Mówię tylko...

– Wiem, co mówisz – przerwała jej Alex i wzdrygnęła się, gdy rozległ się gong.

Ktoś wszedł na schody.

– Wszystko w porządku – zapewniła ją Dawes. – To tylko dziekan Sandow.

– Zadzwoiłaś po niego?

– Oczywiście. – Prawie zostałaś zabita.

– Nic mi nie jest.

– Ponieważ Szary wstawił się za tobą.

– Nie mów mu o tym – warknęła Alex, zanim zdążyła złagodzić swoją reakcję.

Dawes się cofnęła.

– Musi wiedzieć, co się stało!

– Niczego mu nie mów. – Alex nie do końca wiedziała, dlaczego tak się bała, że Sandow dowie się o tym, co się wydarzyło.

Może to był stary nawyk. Nie rozmawiasz. Nie mówisz. Bo przez gadanie ktoś potem wzywa opiekę społeczną. W taki sposób łądujesz zamknięta „na obserwacji”.

Dawes oparła ręce na biodrach.

– A co miałabym mu powiedzieć? Nie wiem, co się stało, tak samo jak nie wiem, co się stało z Darlingtonem. Ja tu tylko sprzątam bałagan.

– Nie za to ci płacą?

Opróżnić lodówkę. Odkurzyć parę drobiazgów. Uratować moje nic niewarte życie. Do diabła.

– Dawes...

Niestety Sandow już otwierał drzwi. Zdziwił się, widząc Alex przy oknie.

– Wstałaś. Dawes mówiła, że jesteś nieprzytomna.

Alex zastanawiała się, co jeszcze Dawes mu powiedziała.

– Dobrze się mną zaopiekowała.

– Doskonale – orzekł Sandow, wieszając płaszcz na słupku z brązu w kształcie głowy szakala.

Przeszedł przez pokój do stojącego w kącie staroświeckiego samowara. Sandow był delegatem Lete pod koniec lat siedemdziesiątych, i to w dodatku bardzo dobrym według Darlingtona. „Genialny teoretyk, ale równie dobry w terenie. Stworzył kilka oryginalnych rytuałów, które nadal wymienia się w dzisiejszych książkach”. Sandow wrócił do kampusu dziesięć lat później jako profesor nadzwyczajny i od tego czasu służył jako łącznik Lete z rektorem uczelni. Pomijając paru absolwentów, którzy sami kiedyś zostali zwerbowani, reszta administracji i kadry nie miała pojęcia o Lete ani o prawdziwej działalności stowarzyszeń.

Alex mogła wyobrazić sobie Sandowa radośnie pracującego w bibliotece Lete albo pedantycznie kreślącego kredowe koło. Był drobnym, schludnym człowiekiem o szczupłej budowie biegacza i srebrzystych brwiach uniesionych nieco pośrodku czoła, przez co wyglądał na wiecznie zatroskanego. Rzadko go widywała, odkąd zaczęła edukację w Lete. Wysłał jej kontakt do siebie i „zawsze aktualne zaproszenie w godzinach urzędowania”, z którego nigdy nie skorzystała. Pod koniec września przyszedł na długi i niezręczny lunch w Il Bastone, podczas którego dyskutował z Darlingtonem na temat nowej książki o kobietach i przemyśle w New Haven, a Alex schowała swoje białe szparagi pod bułeczką.

Oczywiście to do niego wysłała wiadomość w wieczór, kiedy Darlington zniknął.

Sandow przyszedł tego wieczoru do Il Bastone ze swoim starym żółtym labradorem Honey. Rozpalił ogień na kominku w salonie i poprosił Dawes o herbatę i brandy, podczas gdy Alex próbowała wyjaśnić. Chociaż nie to, co się stało, bo nie wiedziała, co się stało. Wiedziała tylko to, co widziała. Cała się trzęsa, zanim skończyła, przypominając sobie ziąb w piwnicy, zapach elektryczności w powietrzu.

Sandow poklepał ją delikatnie po kolanie i postawił przed nią parujący kubek.

– Napij się – powiedział. – To pomoże. To musiało być bardzo przerażające.

Te słowa zaskoczyły Alex. Całe jej życie było serią przerażających wydarzeń, do których – jak się spodziewano – podejście spokojnie.

– To wygląda na magiczne przejście. Ktoś bawi się czymś, czym nie powinien – dodał.

– Ale Darlington powiedział, że to nie jest magiczny portal. Powiedział...

– Był przestraszony – odparł wtedy łagodnie Sandow. – Pewnie spanikował. Żeby Darlington zniknął w ten sposób, musiała mieć w tym udział magiczna brama. To może być anomalia tworzona przez węzeł pod Rosenfeld Hall.

Dawes weszła do pokoju i kręciła się za kanapą z rękami skrzyżowanymi na piersi, ledwie panując nad sobą, gdy Sandow pomrukiwał coś o czarach odzyskania i o tym, że wystarczy po prostu wyciągnąć Darlingtona z miejsca, do którego trafił.

– Będziemy potrzebowali nowiu – orzekł. – I wtedy zwyczajnie wezwiemy naszego chłopca z powrotem do domu.

Dawes wybuchła płaczem.

– Czy on... Gdzie on jest? – zapytała wtedy Alex.

Czy cierpi? Czy się boi?

– Nie wiem – odpowiedział dziekan. – To będzie część wyzwania dla nas. – Robił wrażenie niemal podekscytowanego, jakby podsunęto mu smakowity problem. – Przejście rozmiarów i kształtu, jakie opisałaś, na tyle stabilne, żeby utrzymało się bez obecności magów, nie mogło prowadzić do żadnego ciekawego miejsca. Darlington pewnie trafił do kieszonkowej rzeczywistości. To jak moneta, która wpada między poduszki kanapy.

– Ale został tam uwięziony...

– Pewnie nie ma nawet świadomości, że zniknął. Darlington wróci do nas, myśląc, że dopiero co był w Rosenfeld Hall, i wścieknie się, że musi powtarzać semestr.

Od tego czasu były e-maile i ciągi wiadomości. Sandow dawał znać, kto i co jest potrzebne do rytuału, stworzył przykrywkę z Hiszpanią. Potem posypała się lawina przepraszących i wyrażających frustrację wiadomości podczas styczniowego nowiu, z którego nie mogli skorzystać z powodu rozkładu zajęć Michelle Alameddine. Po nich ze strony Dawes zaległa śmiertelna cisza. Jednak tamta noc, kiedy Darlington zniknął z tego świata, to był ostatni raz, kiedy wszyscy przebywali w jednym pokoju. Sandow był alarmem przeciwpożarowym, którego nie należy uruchamiać bez ważnego powodu. Alex kusiło, żeby traktować go jak opcję nuklearną, ale tak naprawdę był tylko rodzicem. Prawdziwym dorosłym.

Teraz dziekan mieszał cukier w filizance.

– Doceniam twój refleks, Pamelu. Nie stać nas na kolejną... – Urwał. – Musimy przetrwać ten rok i... – Znowu nie dokończył zdania; rozpuściło się jak zanurzone w herbacie.

– I co? – Alex pociągnęła go za język, bo naprawdę zastanawiała się, co ma potem nastąpić.

Dawes stała ze złożonymi rękami, jakby miała zaśpiewać solówkę w chórze, i czekała, czekała.

– Zastanawiałem się nad tym – powiedział w końcu Sandow. Zapadł się w fotelu-uszaku. – Jesteśmy gotowi na nów. Odbiorę Michelle Alameddine z dworca w środę wieczór i zabiorę ją od razu do Black Elm. Głęboko wierzę, że rytuał zadziała i że już wkrótce Darlington do nas wróci. Musimy jednak przygotować się na drugą możliwość.

– Drugą możliwość? – zapytała Dawes.

Nagle usiadła. Twarz miała ściągniętą, wręcz gniewną.

Alex nawet nie udawała, że rozumie szczegóły tego, co zaplanował dziekan Sandow, ale założyłaby się, że Dawes wręcz przeciwnie. „To moja praca”. Była tu, żeby sprzątać bałagan, który wciąż robili, a ten był szczególnie duży.

– Michelle jest w Columbii, pracuje nad swoją pracą magisterską. Będzie z nami podczas rytuału w nowiu. Alex, myślę, że da się ją przekonać, żeby przyjeżdżała w weekendy i kontynuowała twoją naukę i trening. To uspokoi wychowanków, jeśli... – przesunął palcami po siwiejących wąsach – ... poinformujemy ich o niedawnych wydarzeniach.

– A co z jego rodzicami? Jego rodziną?

– Arlingtonowie nie kontaktują się z synem. Dla wszystkich innych Daniel Arlington studiuje węzeł pod San Juan de Gaztelugatxe. Jeśli rytuał zawiedzie...

– Jeśli rytuał zawiedzie, spróbujemy ponownie – odezwała się Dawes.

– Oczywiście – przytaknął jej Sandow i robił wrażenie szczerze zmartwionego. – Oczywiście, wypróbujemy każdą możliwość. Sięgnijemy po każdy sposób. Pamelu, nie staram się być bezduszny. – Wyciągnął do niej rękę. – Darlington zrobiłby wszystko, co w jego mocy, żeby sprowadzić jedno z nas z powrotem do domu. My postąpimy tak samo.

Jeśli jednak rytuał zawiedzie, jeśli Darlingtona nie uda się ściągnąć z powrotem, to co wtedy? Czy Sandow powie wychowankom prawdę? Czy razem z radą wymyślą historyjkę, która będzie brzmiała inaczej niż: „Posłaliśmy dwoje dzieciaków z college’u w sytuację, o której wiedzieliśmy, że ich przzerośnie, i jedno z nich nie żyje”.

Tak czy inaczej, Alex nie podobało się, że Domowi Lete przyjdzie z taką łatwością zamknięcie rozdziału Darlingtona. Był specyficzny, nade wszystko denerwujący, ale kochał swoją pracę i Dom Lete. To byłoby okrutne, gdyby Dom

Lete nie odwzajemniał tego uczucia. Pierwszy raz Sandow wspomniał o możliwości, że Darlington nie wróci, że nie da się go wyszarpnąć spomiędzy pozawymiarowych poduszek kosmicznej kanapy. Czy zrobił to, bo brakowało już tylko kilku dni do próby?

Sadow podniósł szklanę pokrytą warstewką ohydneho zielonego mleka.

– Axtapta? Zaatakowała cię gluma?

Jego ton był gładki, dyplomatyczny, zadumany, gdy mówił o Darlingtonie; to był głos dziekana. Jednak na myśl o *glumie* między jego zatroskanymi brwiami pojawiła się głęboka zmarszczka.

– Zgadza się – potwierdziła z przekonaniem Alex, chociaż nadal nie miała do tego całkowitego prawa. A potem zaryzykowała: – Myślę, że ktoś ją na mnie nasłał. Może Księga i Wąż.

Sadow zaśmiał się z niedowierzaniem.

– Dlaczego mieliby coś takiego zrobić?

– Ponieważ Tara Hutchins nie żyje i myślę, że mają z tym coś wspólnego.

Sadow zamrugał raptownie, jakby jego oczy były obiektywami popsutego aparatu.

– Detektyw Turner mówi...

– To ja tak myślę, nie Turner.

Sadow natychmiast spojrział na nią i wiedziała, że zaskoczyło go przekonanie w jej głosie. Nie mogła jednak bawić się teraz w przypochlebne gierki, choć wiedziała, że dziekan by to wolał.

– Badałaś tę sprawę?

– Tak.

– To nie jest bezpieczne, nie zostałaś przygotowana do...

– Ktoś musiał.

A Darlington jest daleko stąd.

– Masz jakieś dowody na udział stowarzyszenia?

– Księga i Wąż wskrzeszają umarłych. Wykorzystują *glumów*...

– *Glumy* – mruknęła Dawes.

– *Glumy* to posłańcy do rozmów z umarłymi. Jeden z nich mnie zaatakował. To mi wygląda na rozsądną teorię.

– Alex. – Sadow odezwał się łagodnie, ale z lekką przyganą w głosie. – Wiedzieliśmy, kiedy się tu zjawiłaś, że nikt o twoich zdolnościach nigdy nie zajmował tego stanowiska. To możliwe, wręcz prawdopodobne, że po prostu twoja obecność naruszyła system, którego działania możemy się tylko domyślać.

– Mówi pan, że sama sprowokowałam atak *glumy*? – Alex nie mogła znieść obronnego tonu w swoim głosie.

– Nie mówię, że coś takiego zrobiłaś – sprostował delikatnie dziekan. – Mówię tylko, że z racji tego, czym jesteś, mogłaś to sprowokować.

Dawes skrzyżowała ręce.

– To brzmi tak, jakby mówił pan, że „sama się o to prosiła”, panie dziekanie.

Alex nie mogła uwierzyć własnym uszom. Pamela Dawes postawiła się dziekanowi Sandowowi. Żeby stanąć po jej stronie.

Sandow z brzękiem odstawił kubek.

– Z całą pewnością nie zamierzałem tego zasugerować.

– Ale tak właśnie to zabrzmiało – powiedziała Dawes głosem, jakiego Alex nigdy dotąd u niej nie słyszała; mówiła wyraźnie i kategorycznie. Jej spojrzenie było zimne. – Alex zasygnalizowała swój niepokój w związku z atakiem, a zamiast ją wysłuchać, pan spróbował podważyć jej wiarygodność. Może nie chciał pan niczego sugerować, ale zamiar i skutek sprowadzają się do uciszenia jej, zatem trudno nie uznać, że to pachnie obwinianiem ofiary. To semantyczny odpowiednik stwierdzenia, że nosiła za krótką spódniczkę.

Alex próbowała powstrzymać uśmiech. Dawes odchyliła się w krześle, ręce i nogi miała skrzyżowane, głowę przechyloną w bok, robiła wrażenie rozgniewanej i zarazem odprężonej. Sandow się zaczerwienił.

– Pamela, mam nadzieję, że znasz mnie lepiej.

Alex nigdy nie widziała go równie zdenerwowanego. Czyli Dawes wiedziała, jak mówić w języku dziekana, znała groźby, które się liczyły.

– Ktoś nasłał na mnie potwora – odezwała się Alex, wykorzystując przewagę, jaką zapewniła jej Dawes. – I to nie jest zbieg okoliczności, że parę dni wcześniej zginęła dziewczyna. Z telefonu Tary wynika, że dzwoniła do Trippa Helmutha. To wskazuje na Kości. *Gluma* próbowała zamordować mnie na ulicy. To może wskazywać na Księżę i Węża. Tara zginęła w czwartkową noc, w noc rytuałów, i jeśli czytał pan mój raport, to wie pan, że w tym samym czasie, kiedy ktoś ją dźgał, dwojgu do tej pory łagodnym Szarym kompletnie odpierdoliło. – Sandow jeszcze bardziej ściągnął brwi, jakby taki język sprawiał mu ból. – Wy, Lete, sprowadziliście mnie tu nie bez powodu i mówię wam, że dziewczyna nie żyje i jest to związane ze stowarzyszeniami. Przez minutę niech pan udaje, że jestem Darlingtonem, i spróbuje potraktować mnie poważnie.

Sandow przyjrzał jej się i Alex zastanawiała się, czy może do niego dotarła. A potem przeniósł wzrok na Dawes.

– Pamela, o ile się nie mylę, mamy kamerę skierowaną na skrzyżowanie Elm i York.

Alex zobaczyła, jak ramiona Dawes opadają, jak dziewczyna spuszcza głowę, jakby Sandow wypowiedział słowa przełamujące czar, który na nią

rzucono. Wstała i przyniosła laptopa. Alex poczuła, że coś skręca się w jej brzuchu.

Dawes przycisnęła parę klawiszy na klawiaturze i lustro na przeciwległej ścianie się rozjaśniło. Chwilę potem na ekranie pojawiła się Elm Street pełna ludzi i samochodów, morze szarości i ciemniejszej szarości. Zegar w kącie ekranu wskazywał 11:50 rano. Alex przyglądała się fali ludzi na chodniku, ale wszyscy wyglądali jak zwaliste grudy w płaszczach. Potem jej wzrok przyciągnął ruch przed sklepem Good Nature. Patrzyła, jak tłum się rozstępuje, instynktownie odsuwa się od przemocy. I oto ona uciekała ze sklepu, właściciel krzyczał za nią – dziewczyna o czarnych włosach i w wełnianej czapce. Czapce Darlingtona. Musiała zgubić ją w czasie walki.

Dziewczyna na ekranie zeszła z chodnika na ulicę, wszystko rozgrywało się w zimnej ciszy, jak pantomima.

Alex przypomniała sobie zaciekły uścisk *glumy*, kiedy stwór wywlókł ją na ulicę, ale na ekranie nie było go widać. Zamiast tego widziała ciemnowłosą dziewczynę, która rzuciła się pod jadące samochody, potykała się i miotała, krzyczała i szarpała się z pustką. A potem upadła na plecy. Alex pamiętała, że *gluma* usiadła na niej, ale na ekranie w ogóle niczego nie było widać, tylko ją leżącą pośrodku ulicy, kiedy samochody próbowały ją objechać. Wyginała plecy, rozwierała szeroko usta, szarpała nie wiadomo co rękami, miotała się jak w konwulsjach.

Chwilę potem poderwała się i rzuciła w stronę zaułka, który prowadził do Klitki; widziała, że raz się obejrzała, spojrzała wytrzeszczonymi oczami, z ustami otwartymi z przerażenia, z kącikami zbyt odciągniętymi w dół jak przy napiętym żaglu. „Widziałam wtedy, jak Pan Młody walczy z *glumą* – pomyślała. – Tylko czy rzeczywiście coś widziałam?”. To była twarz wariatki. Znowu leżała na podłodze łazienki ze spodenkami wokół kostek, krzyczała i była sama.

– Alex, wszystko, co powiedziałaś, może być prawdą, ale nie ma żadnego dowodu, że zostałaś zaatakowana, już nie wspominając o tym, kto może za to odpowiadać. Jeśli pokażę to wychowankom... To ważne, żeby widzieli w tobie zrównoważoną, wiarygodną osobę, zważywszy... zważywszy, w jak trudnej sytuacji się znaleźliśmy.

Zważywszy, że Darlington zniknął. Zważywszy, że doszło do tego, kiedy powinna go chronić.

– Nie po to właśnie tu jesteśmy? – zapytała Alex, próbując po raz ostatni, odwołując się do czegoś większego od niej samej, czegoś, co Sandow może bardziej cenić. – Żeby chronić takie dziewczyny jak Tara? Pilnować, żeby stowarzyszenia nie... nie robiły tego, co im się żywnie spodoba?

– Oczywiście, ale czy naprawdę uważasz, że jesteś przygotowana do samodzielnego zbadania morderstwa? Nie bez powodu kazałem ci się wycofać. Staram się utrzymać normalność na tyle, na ile to możliwe w świecie, w którym żyją potwory. Policja bada morderstwo Hutchins. Aresztowano jej chłopaka, który teraz czeka na proces. Naprawdę myślisz, że gdyby Turner znalazł powiązanie z jednym ze stowarzyszeń, nie zbadałby tego tropu?

– Nie – przyznała Alex. – Wiem, że zbadałby ten trop.

Cokolwiek myślała na jego temat, Turner był ogarem z sumieniem, który nigdy nie brał wolnego.

– Jeśli coś znajdzie, z całą pewnością wesprzemy go i obiecuję, że przekażę mu wszystko, czego się dowiesz. Jednak w tej chwili potrzebuję, żebyś skupiła się na odzyskaniu zdrowia i własnym bezpieczeństwie. Dawes i ja zastanowimy się, co mogło spowodować atak *glumy* i czy twoje zdolności mogą wywołać inne zakłócenia. Twoja obecność na terenie kampusu to nieznaną czynnik, czynnik zakłócający. Zachowanie Szarych podczas wieszczenia, zniknięcie Darlingtona, gwałtowna śmierć w pobliżu kampusu, a teraz *gluma*...

– Chwileczkę – przerwała mu Alex. – Myśli pan, że moja obecność ma coś wspólnego ze śmiercią Tary?

– Oczywiście, że nie – odparł dziekan – ale nie chcę podsuwać radzie Lete powodów do takich wniosków. Nie stać mnie na to, żeby pozwolić ci bawić się w detektywa amatora w tak poważnej sprawie. W tym roku nasze fundusze zostaną poddane analizie. Istniejmy dzięki względem, jakie okazuje nam uniwersytet, i nieustannemu wsparciu pozostałych stowarzyszeń. Potrzebujemy ich dobrej woli. – Odetchnął głęboko. – Alex, nie chcę, żeby to zabrzmiało zimno. Morderstwo Hutchins jest makabryczne i tragiczne, i zdecydowanie zamierzam monitorować sytuację, ale musimy ostrożnie stawiać kroki. Koniec zeszłego semestru... wydarzenia w Rosenfeld wszystko zmieniły. Pamelu, chcesz zobaczyć, jak fundusze Lete zostają cofnięte?

– Nie – szepnęła Dawes.

Jeśli ona mówiła językiem Sandowa, to on mówił równie biegle w jej języku. Lete było jej kryjówką, jej bunkrem. Za nic nie zaryzykowałyby jego utraty.

Jednak Alex słuchała przemowy dziekana tylko jednym uchem. Patrzyła na starą mapę New Haven, która wisiała nad kominkiem. Ukazywała oryginalny plan kolonii New Haven z dziewięcioma placami. Alex przypomniała sobie, co Darlington powiedział pierwszego dnia, gdy szli przez błonia: „To miasto miało być nowym Edenem, założonym między dwoma rzekami jak między Tygrysem i Eufratem”.

Alex spojrzała na kształt kolonii: klin ziemi objęty przez West River i Farmington Canal, dwie smukłe arterie wodne, pędzące, żeby spotkać się

w porcie. Wreszcie zrozumiała, dlaczego miejsce przestępstwa wyglądało tak znajomo. Skrzyżowanie, na którym znaleziono ciało Tary Hutchins, wyglądało zupełnie jak mapa – spłacheć ziemi przed Baker Hall wyglądał jak kolonia w miniaturze. Ulice, które go okalały, przypominały rzeki, nurt ruchu samochodowego i łączyły się przy Tower Parkway. A pośrodku tego znaleziono Tarę Hutchins, jakby jej zadżgane ciało leżało w sercu nowego Edenu. Jej ciało nie zostało tam po prostu porzucone. Zostało tam celowo umieszczone.

– Doprawdy, Alex – mówił Sandow – jaki motyw mogliby mieć ci ludzie, żeby skrzywdzić dziewczynę w taki sposób?

Tak naprawdę nie wiedziała. Wiedziała tylko, że to zrobili.

A potem ktoś dowiedział się, że Alex odwiedziła kostnicę. Ktokolwiek to był, myślał, że Alex poznała sekrety Tary, a przynajmniej niektóre z nich, i że dysponuje dostateczną ilością magii, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Uznano więc, że lepiej coś z tym zrobić. Może chcieli ją zabić, a może wystarczyło ją skompromitować.

A Pan Młody? Dlaczego postanowił jej pomóc? Czy w jakiś sposób brał w tym udział?

– Alex, chcę, żebyś się tu odnalazła – powiedział Sandow. – Chcę, żebyśmy przetrwali ten trudny rok, i chcę, żeby cała nasza uwaga skupiła się na rytuale podczas nowiu i sprowadzeniu z powrotem Darlingtona. Przejdźmy przez to, a potem zrobimy bilans.

Alex też tego chciała. Potrzebowała Yale. Potrzebowała tu znaleźć miejsce dla siebie. Jednak dziekan się mylił. Śmierć Tary nie była po prostu brzydką sprawą, jak Sandow chciał. Ktoś ze stowarzyszenia brał w tym udział i ktokolwiek to był, chciał ją uciszyć.

„Grozi mi niebezpieczeństwo – chciała powiedzieć. – Ktoś mnie skrzywdził i wątpię, żeby na tym poprzestał”. Tylko na co kiedykolwiek zdało się mówienie? Z jakiegoś powodu Alex myślała, że to miejsce jest inne z jego rytuałami, zasadami i dziekanem Sandowem, który nad wszystkim czuwał. „Jesteśmy pasterzami”. Byli jednak tylko bawiącymi się dziećmi. Alex spojrzała na Sandowa sączącego herbatę z nogą założoną na nogę, ze światłem odbijającym się od wypucowanego mokasy, gdy kołysał stopą, i zrozumiała, że na pewnym poziomie jego naprawdę nie obchodziło, co może jej się stać. Może nawet miał nadzieję, że coś jej się stanie. Gdyby Alex coś się przydarzyło, gdyby zniknęła, wzięłaby ze sobą winę za to, co stało się z Darlingtonem, i jej krótki, katastrofalny pobyt w Yale uznano by za niefortunny błąd w ocenie, ambitny eksperyment, który się nie powiódł. Dziekan odzyska swojego złotego chłopaka podczas nowiu i wszystko będzie dobrze. Zależało mu na wygodzie.

Czy Alex nie była taka sama, skoro marzyła o spokojnym lecie i mięcie w herbacie, kiedy Tara Hutchins leżała zimna w szufladzie?

„Możesz przestać się martwić”. Była na to gotowa. Tyle że ktoś próbował ją skrzywdzić.

Alex poczuła, że coś mrocznego rozwija się w niej jak wąż.

– Jesteś beznamiętną bestią – powiedziała jej kiedyś Hellie. – Czai się w tobie mała żmija, gotowa w każdej chwili zaatakować. Albo może grzechotnik.

Hellie powiedziała to z uśmiechem, ale miała rację. Zimowa pogoda i uprzejme rozmowy uspiły węża, jego bicie serca zwolniło, gdy rozleniwiał się i nieruchomiał, jak każde zimnokrwiste stworzenie.

– Ja też chcę, żebyśmy przez to przeszli – powiedziała Alex i uśmiechnęła się do Sandowa lekko, gorliwie. Jego ulga ogarnęła pokój jak ciepły front, który mieszkańcy Nowej Anglii witają z radością, ale dla mieszkańców Los Angeles oznacza pożary.

– To dobrze, Alex. I przejdziemy. – Wstał, włożył płaszcz i pasiasty szalik. – Przedstawię twój raport wychowankom i zobaczę się z tobą i Dawes w Black Elm w środę wieczorem. – Uścisnął jej ramię. – Jeszcze kilka dni i wszystko wróci do normy.

„Nie dla Tary Hutchins, ty dupku”. Alex znowu się uśmiechnęła.

– Do zobaczenia w środę.

– Pamelu, przyślę ci e-maila w sprawie przekąsek. Nic wyrafinowanego. Oczekujemy dwóch reprezentantów od Aurelian oprócz Michelle. – Mrugnął do Alex. – Polubisz Michelle Alameddine. Była Wergiliuszem Darlingtona. Prawdziwy geniusz.

– Nie mogę się doczekać – odrzekła Alex, odpowiadając tym samym, gdy dziekan pomachał do niej, wychodząc. Kiedy drzwi się zamknęły powiedziała: – Dawes, jak trudne jest rozmawianie z umarłym?

– Nie tak bardzo, jeśli należysz do Księgi i Węża.

– Są ostatni na mojej liście. Staram się nie prosić o pomoc ludzi, którzy mogą chcieć mnie zabić.

– To ogranicza ci możliwości – mruknęła Dawes.

– Och, Dawes, podobasz mi się w zjadliwym wydaniu.

Dawes poruszyła się zażenowana i skubnęła szaroburą bluzę. Zamknęła laptopa.

– Dzięki za wsparcie w rozmowie z dziekanem – dodała Alex. Dawes skinęła głową, patrząc w dywan. – To jakie mam możliwości, jeśli potrzebuję porozmawiać z kimś po drugiej stronie Zasłony?

– Jedyna, jak przychodzi mi do głowy, to Wilczy Łeb.

– Zmiennokształtni?

– Nie nazywaj ich tak. Zwłaszcza jeśli potrzebujesz ich przysługi.

Alex podeszła do okna i odsunęła zasłonę.

– Nadal tam jest? – spytała Dawes zza jej pleców.

– Tak.

– Alex, co ty robisz? Jeśli raz go wpuścisz... Znasz historię o nim, wiesz, co zrobił tamtej dziewczynie.

„Otwórz drzwi, Alex”.

– Wiem, że uratował mi życie i chce zwrócić moją uwagę. Bywają związki, które opierają się na bardziej wątych podstawach.

Zasady Domu Lete były mętne i zawile. „Wszechstronne – powiedziała kiedyś Dawes. – Bizantyjskie”. Mimo wszystko najważniejsze rzeczy łatwo było zapamiętać. Zostaw umarłych umarłym. Skieruj wzrok na żywych. Jednak Alex potrzebowała sojuszników, a sama Dawes nie wystarczy.

Zapukała w okno.

W dole na ulicy Pan Młody podniósł wzrok. Spojrzenie jego ciemnych oczu w świetle ulicznej latarni napotkało jej wzrok. Alex nie odwróciła oczu.

1. „Czy zło to coś, czym jesteś, czy to coś, co robisz?” (przyt. tłum.). [[wróć](#)]

Wilczy Łeb, czwarty z Domów Zasłony, chociaż Berzelius wdałby się tu w dyskusję. Członkowie praktykują teriantropię i uważają zwykłą zmienność kształtu za podstawę swojej magii. Skupiają się na zdolności zachowania ludzkiej świadomości i cech, będąc w zwierzęcej formie. Przede wszystkim ich umiejętności były wykorzystywane w wywiadzie, szpiegostwie przemysłowym i politycznych sabotażach. Wilczy Łeb był głównym miejscem, w którym CIA werbowало swoich ludzi w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Niekiedy potrzeba wielu dni, żeby otrząsnąć się ze zwierzęcych cech po rytuale przemiany. Staraj się ograniczyć do minimum rozmowy o ważnych albo poufnych sprawach w obecności zwierząt.

z Życie Lete: procedury i protokoły Dziewiątego Domu

Jestem zmęczony i serce cały czas bije mi jak szalone. Mam różowe oczy. Nie mówię o białkach. Mówię o tęczołkach. Kiedy Rogers powiedział, że będziemy pieprzyć się jak króliki, nie sądziłem, że miał na myśli prawdziwe króliki.

Pamiętnik Charlesa „Chase’a” MacMahona z czasów w Lete
(Saybrook College '88)

12

ZIMA

Alex wiedziała, że nie może iść do Wilczego Łba z pustymi rękami. Jeśli chciała ich pomocy, to musiała najpierw zajrzeć do Zwoju i Klucza, żeby odzyskać posążek Romulusa i Remusa. Wilczy Łeb wiercił dziurę w brzuchu członkom Lete, żeby załatwili powrót statuetki, odkąd zaginęła podczas walentynkowej imprezy rok wcześniej, kiedy zgodnie z tradycją otworzyli podwoje przed członkami innych stowarzyszeń. Choć od tego czasu Alex zauważyła posążek na półce w grobowcu Kluczników z wiszącą na nim plastikową tiarą, Darlington odmówił mieszania się w tę sprawę.

– Lete nie angażuje się w drobne sprzeczki – orzekł. – Tego typu psikusy leżą poniżej naszej godności.

Alex jednak musiała dotrzeć do świątyni w sercu grobowca Wilczego Łba i doskonale wiedziała, jakiej zapłaty zażąda przewodnicząca delegacji stowarzyszenia, Salome Nils.

Wypiła jeden z obrzydliwych koktajli proteinowych Darlingtona z lodówki. Była głodna, co zdaniem Dawes było dobrym znakiem, ale jej gardło nie przełknęłoby żadnych pokarmów stałych. Nie paliła się do opuszczenia chronionego miejsca, kiedy nie wiedziała, co dokładnie stało się z *glumą*, ale nie mogła po prostu siedzieć i nic nie robić. Poza tym ktokolwiek nasłał *glumę*, myślał, że Alex leży teraz gdzieś pożerana od środka przez trupie żuki. Jeśli idzie o jej publiczny popis na Elm Street, to przynajmniej nie było zbyt wielu świadków, i jeżeli nie liczyć Jonasa Reeda, pewnie żaden z nich jej nie znał. A gdyby nawet, to już odebrałaby telefon od zatroskanego terapeuty z centrum zdrowia.

Alex wiedziała, że Pan Młody będzie czekał, gdy tylko ona i Dawes wejdą w zaułek. Zbliżał się świt i ulica była cicha. Jej „obrońca” szedł za nimi aż do Zwoju i Klucza, gdzie zastała udręczonego Klucznika, który właśnie pisał pracę;

przekonała go, żeby wpuścił ją do grobowca po szalik, który Darlington zostawił podczas ostatniego rytuału, jaki razem obserwowali. Delegatów Lete wpuszczano zwykle do grobowców tylko podczas rytualnych wieczorów i zatwierdzonych inspekcji.

– W Andaluzji bywa chłodno – powiedziała chłopakowi.

Klucznik kręcił się w drzwiach ze wzrokiem wbitym w telefon, kiedy Alex udawała, że szuka. Zaklął, kiedy znowu zadzwonił dzwonek na zewnątrz. „Dzięki, Dawes”. Alex zwinęła posążek i schowała do torby. Zerknęła na okrągły kamienny stół, gdzie delegacja zbierała się, żeby wykonywać rytuały, a w każdym razie próbowała. Na krawędzi wycięto cytat, który zawsze jej się podobał: „Miejcie moc opromienić tę mroczną ziemię, miejcie moc ożywić ten martwy świat”. Te słowa z czymś jej się kojarzyły, ale nie mogła wydobyć tego wspomnienia z pamięci. Usłyszała, że drzwi frontowe się zatrzasnęły, więc szybko wyszła z pokoju, dziękując po drodze Klucznikowi, który teraz mruczał coś o pijanych imprezowiczach nie potrafiących znaleźć swojego cholernego akademika.

Istniała spora szansa, że Zwój i Klucz wskaże ją, kiedy zauważy brak posążka, ale tym będzie musiała po prostu zająć się później. Dawes czekała za rogiem przy gotyckim budyńeczku, który pełnił funkcję wejścia do Bass Library. Darlington powiedział jej, że kamienne miecze wyrzeźbione wśród ozdób to sygnał magicznych zabezpieczeń.

– To zły pomysł – powiedziała Dawes zawinięta w kurtkę i promieniująca dezaprobatą.

– Przynajmniej jestem konsekwentna.

Dawes obracała głową jak reflektorem szperaczem.

– On tu jest?

Alex wiedziała, że ma na myśli Pana Młodego, i chociaż w życiu by się do tego nie przyznała, niepokoiło ją, jak łatwo zapewniła sobie jego uwagę. Wątpiła, żeby udało jej się równie łatwo go pozbyć. Obejrzała się przez ramię na Szarego; siedł za nimi w odległości, którą można było jedynie nazwać „pełnym szacunku dystansem”.

– Jest pół przecznicy za nami.

– To morderca – szepnęła Dawes.

„Cóż, w takim razie coś nas łączy” – pomyślała Alex, ale powiedziała tylko:

– Darowanemu koniowi w zęby się nie patrzy.

Nie podobał jej się pomysł pozwolenia Szaremu, żeby zbliżył się do niej, ale podjęła decyzję i nie będzie teraz jej podważać. Jeśli ktoś ze stowarzyszeń odpowiadał za tarczę umieszczoną na jej plecach, to Alex dowie się, kto to jest,

a potem dopilnuje, żeby nigdy więcej nie miał okazji jej skrzywdzić. Mimo wszystko...

– Dawes – mruknęła – kiedy wrócimy, zacznijmy szukać sposobów zerwania więzi między ludźmi a Szarymi. Nie chcę spędzić reszty życia z Morrisseyem zerkającym mi nad ramieniem.

– Najprościej jest w ogóle nie nawiązywać więzi.

– Serio? Pozwól, że to sobie zanotuję.

Grobowiec Wilczego Łba znajdował się kilka domów dalej od Klitki; była to imponująca szara rezydencja z porośniętym krzakami ogrodem od frontu i otoczona wysokim kamiennym murem. To było jedno z najbardziej magicznych miejsc na terenie kampusu. Przy zaułku, który otaczał grobowiec podkową, stały stare siedziby bractw, solidne ceglane budynki dawno temu oddane uniwersytetowi, ze starodawnymi magicznymi symbolami wyciętymi w kamieniu nad drzwiami obok niczym nie wyróżniających się zlepków greckich liter. Zaułek działał jak swoista fosa, gdzie moc zbierała się gęstą, skrzącą się mgłą. Przechodząc tamtędy, większość ludzi przypisywała dreszcz, jaki ich przechodził, zmianie pogody albo złemu nastrojowi, po czym zapominała o tym, gdy tylko wychodziła naprzeciwko Yale Cabaret albo Af-Am Center. Członkowie Wilczego Łba byli bardzo dumni z faktu, że gościli protestujących w czasie procesów czarnych Panter, ale też jako ostatni ze Starożytnej Ósemki dopuścili kobiety, więc Alex uważała, że oba te fakty wzajemnie się znoszą. W nocie rytuałów regularnie widywała Szarego stojącego tu na dziedzińcu i wypinającego nagi tyłek na biura „Yale Daily News” po sąsiedzku.

Alex musiała dwa razy zadzwonić do bramy, zanim Salome Nils w końcu zareagowała i je wpuściła.

– Kto to jest? – zapytała Salome.

Przez sekundę Alex myślała, że Salome widzi Pana Młodego. Zbliżył się, szedł krok w krok za Alex, drobny uśmieszek wykrzywił mu usta, jakby słyszał pośpieszny trzepot jej serca. A potem zdała sobie sprawę, że Salome pyta o Dawes. Większość ludzi ze stowarzyszeń pewnie nie miała nawet pojęcia o istnieniu Pameli Dawes.

– Pomaga mi – wyjaśniła Alex.

Jednak Salome już prowadziła je ciemnym korytarzem. Pan Młody wszedł za nimi. Grobowce nie miały magicznych zabezpieczeń, żeby umożliwić swobodny przepływ magii, a to znaczyło, że Szarzy mogli swobodnie wchodzić do nich i wychodzić. To dlatego ochrona ze strony Lete podczas rytuałów była konieczna.

– Masz to? – spytała Salome.

Wnętrze było nijakie: kamienne podłogi, ciemne drewno, okna z gomółek wychodzące na mały wewnętrzny dziedziniec, gdzie rósł jesion. Wyrósł tam na długo przed uniwersytetem i pewnie nadal będzie wyciągał korzenie, kiedy kamienie wokół niego rozpadną się w pył. Na magnetycznej tablicy przy drzwiach zaznaczano, którzy członkowie delegacji są w danej chwili obecni w grobowcu, rzecz konieczna w tak dużym budynku. Opisywano ich imionami egipskich bogów; tylko ankh Salome podpisany imieniem Chefren przesunięto do kolumny „w domu”.

– Mam – odpowiedziała Alex i wyjęła posążek z torby.

Salome porwała go z radosnym piskiem.

– Doskonale! Klucze tak się wkurzą, kiedy się zorientują, że go odzyskaliśmy.

– Jak on działa? – zapytała Alex, gdy Salome zaprowadziła ich do następnego ciemnego pokoju z podłużnym, owalnym stołem pośrodku otoczonym niskimi krzesłami.

Wzdłuż ścian stały szklane gabloty z egipskimi ciekawostkami i wizerunkami wilków.

– W ogóle nie działa – odpowiedziała Salome, rzucając jej miażdżące spojrzenie. Odstawiła posążek z powrotem do gabloty. – Chodzi o zasady. Zaprosiliśmy ich do naszego domu, a oni wypięli się na naszą gościnność.

– Jasne. To okropne. – Alex poczuła jednak, jak rozgniewany grzechotnik poruszył się i zawibrował pod jej mostkiem. Ktoś właśnie próbował ją zabić, a ta księżniczka bawi się w głupie gierki. – Weźmy się do roboty.

Salome przeniosła ciężar ciała z nogi na nogę.

– Posłuchaj, tak naprawdę nie mogę otworzyć świątyni bez pozwolenia delegacji. Tam nie wpuszcza się nawet wychowanków.

Dawes cicho westchnęła. Ewidentnie ulżyło jej, że przyjdzie im obrócić się o sto osiemdziesiąt stopni i wrócić do domu. Nic z tego.

– Zawarłyśmy umowę. Naprawdę zamierzasz pogrywać sobie ze mną? – zapytała Alex.

Salome uśmiechnęła się szeroko. Nie czuła najmniejszych wyrzutów sumienia. I dlaczego by miała? Alex była studentką pierwszego roku, uczennicą w Domu Lete, którą sytuacja ewidentnie przerastała. Przy Salome i delegacji Wilczego Łba była tylko cicha i pełna szacunku, zawsze pozwalająca, żeby to Darlington, prawdziwa indywidualność, dżentelmen z Lete, mówił. Może gdyby Lete wcześniej uratowało ją od jej życia, to rzeczywiście byłaby taką dziewczyną. Może gdyby *gluma* nie zaatakowała jej, a dziekan Sandow nie zignorował, to nadal by taką udawała.

– Załatwiłam ci ten durny posążek, masz u mnie dług.

– Tyle że ty nie powinnaś była tego w ogóle robić, nie? Zatem sama widzisz.

Większość handlu prochami odbywała się na kredyt. Dostawało się towar od kogoś, kto miał prawdziwe znajomości, i człowiek musiał dowieść, że jest w stanie go opchnąć za dobrą cenę, to może następnym razem będzie miał szansę na większy kasek.

– Wiesz, dlaczego twój chłopak to amator i pozostanie amatorem? – zapytał pewnego razu Eitan, mówiąc ze swoim mocnym akcentem. Wskazał kciukiem Lena, który rechotał nad fajką, podczas gdy Betcha grał obok niego w Halo. – Jest zbyt zajęty paleniem mojego towaru, żeby przynieść zyski komukolwiek poza mną.

Len zawsze ledwie wiązał koniec z końcem, zawsze mu trochę brakowało.

Kiedy Alex miała piętnaście lat, wróciła do Lena bez pieniędzy, zakłopotana i podenerwowana z powodu bankiera inwestycyjnego, którego spotkała na parkingu przy sklepie Sports Authority w Sherman Oaks. Len zwykle się nim zajmował, zostawiając Alex o słodkiej twarzyczce załatwianie interesów w college'ach i centrach handlowych. Jednak tego ranka Len miał za dużego kaca, więc dał jej pieniądze na autobus, a ona pojechała RTD na Ventura Boulevard. Alex nie wiedziała, co powiedzieć, kiedy bankier oznajmił, że brakuje mu pieniędzy, bo nie wziął właściwej sumy, ale może mieć pewność, że się z nią rozliczy. Jeszcze nikt nigdy tak po prostu nie odmówił jej zapłacenia. Dzieciaki z college'u, którym sprzedawała towar, nazywały ją „młodszą siostrzyczką” i czasem nawet zapraszały, żeby zapaliła sobie z nimi.

Alex spodziewała się, że Len będzie zły, ale jeszcze nigdy nie widziała go tak wściekłego; przerażony wrzeszczał, że to jej wina i że to ona będzie się tłumaczyć przed Eitanem. Znalazła więc sposób, żeby zwrócić kasę. Pojechała na weekend do domu i ukradła kolczyki z granatami babci i wzięła też zmianę w Club Joy, najgorszym z klubów ze striptizem, pełnym nieudaczników, którzy prawie nie dawali napiwków; klub należał do kurdupla zwanego King King – nie pozwalał żadnej dziewczynie wyjść z przebieralni, zanim jej nie obmacał. To było jedyne miejsce gotowe ją przyjąć bez dowodu tożsamości i niczego, czym mogłaby wypełnić bikini.

– Niektórym gościom to się podoba – powiedział King King, zanim wepchnął rękę pod jej bluzkę. – Ale nie mnie.

Nigdy więcej nie wróciła bez pełnej sumy.

Teraz spojrzała na smukłą Salome Nils o gładkiej twarzy, dziewczynę z Connecticut, która jeździła konno i grała w tenisa, z ciężkim ciemnym kucykiem przerzuconym przez ramię jak droga etola.

– Salome, a może przemyślisz swoje stanowisko?

– A może ty i twoja ciotka zwiniecie się do domu?

Salome była wyższa od Alex, więc Alex złapała ją mocno za dolną wargę i pociągnęła. Dziewczyna pisnęła i zgięła się w pół, wymachując rękami.

– Alex! – krzyknęła Dawes, przyciskając ręce do piersi jak kobieta udająca trupa.

Alex owinęła rękę wokół szyi Salome, łapiąc ją w chwyt duszący, którego nauczyła się od Minki – dziewczyna miała nieco ponad metr trzydzieści wzrostu i była jedyną pracownicą Club Joy, z którą King King nigdy nie zadzierał. Alex zacisnęła palce na diamentach w kształcie gruszki w kolczyku Salome.

Była świadoma obecności zaszokowanej Dawes i Pana Młodego, który wystąpił naprzód, jakby rycerskość tego od niego wymagała; czuła, jak powietrze między nimi zmienia się, przesuwa, znika mgiełka, dzięki czemu Salome, Dawes i może nawet Szary po raz pierwszy mogą wyraźnie ją zobaczyć. Alex wiedziała, że to pewnie błąd. Lepiej pozostawać niezauważoną, nie podnosić głowy, być cichą dziewczyną, która dla nikogo nie stanowi zagrożenia. Jednak jak większość błędów, popełnienie tego sprawiło jej przyjemność.

– Naprawdę podobają mi się te kolczyki – powiedziała cicho. – Ile kosztowały?

– Alex! – znowu zaprotestowała Dawes.

Salome próbowała chwycić Alex za przedramię. Była silna dzięki takim sportom jak squash albo żeglarstwo, ale nikt nigdy nie tknął jej palcem, pewnie nigdy nie widziała bójki poza kinem.

– Nie wiesz, prawda? To był prezent od tatusia na szesnastkę, z okazji ukończenia szkoły albo z jakiejś innej pieprzonej okazji? – Alex szturchnęła ją i Salome znowu pisnęła. – Oto, co się teraz stanie: wpuścisz mnie do tego pokoju albo wyrwę ci te błyskotki z uszu i wepchnę do gardła, aż się nimi udławisz.

Pusta groźba. Alex nie zmarnowałaby w taki sposób pary ładnych diamentowych kolczyków. Jednak Salome tego nie wiedziała. Zaczęła płakać.

– Tak lepiej – orzekła Alex. – Rozumiemy się?

Salome pokiwała gorączkowo głową, spocona skóra na jej gardle przesunęła się pod ręką Alex.

Wypuściła Salome. Dziewczyna cofnęła się, trzymając przed sobą ręce, Dawes przycisnęła palce do ust i nawet Pan Młody robił wrażenie poruszonego. Zdołała wstrząsnąć mordercą.

– Zwariowałaś – powiedziała Salome, dotykając opuszkami gardła. – Nie możesz po prostu...

Wąż w Alex przestał drgać i się rozwinął. Alex zawinęła dłoń w rękaw płaszcza i uderzyła w szklaną gablotę z ich świecidełkami. Salome i Dawes wrzasnęły. Obie cofnęły się o kolejny krok.

– Wiem, że przywykłaś do tego, iż masz do czynienia z ludźmi, którzy „nie mogą po prostu”, ale ja mogę, więc daj mi klucz do pokoju świątynnego i wyrównajmy rachunki, żebyśmy mogły o tym wszystkim zapomnieć.

Salome wahała się, stojąc w drzwiach, potem wspięła się na palce. Robiła wrażenie tak lekkiej, tak niemożliwie smukłej, że mogłaby po prostu stracić kontakt z ziemią i wznieść się pod sufit, gdzie kołysałaby się jak balonik. A potem coś zmieniło się w jej spojrzeniu, cały purytański pragmatyzm przesączył się z powrotem aż do kości. Opadła na pięty.

– Do diabła z tym – mruknęła, wyjęła klucze z kieszeni, zdjęła jeden z kółka i położyła na stole.

– Dziękuję. – Alex mrugnęła porozumiewawczo. – Teraz znowu możemy być przyjaciółkami.

– Psychol.

– Podobno – odparła Alex. To wariaci przeżywają. Zabrała klucz. – Idź przodem, Dawes.

Dawes przeszła korytarzem, trzymając się z dala od Alex i wbijając wzrok w podłogę. Alex odwróciła się do Salome.

– Wiem, że myślisz sobie, że jak tylko wejdziesz do świątyni, to ty zaczniesz dzwonić i spróbujesz mnie zablokować. – Salome skrzyżowała ręce. – Sądzę, że tak powinnaś zrobić. Wtedy ja wrócę i wybiję ci przednie zęby tą figurką wilka.

Pan Młody pokręcił głową.

– Nie możesz tak po prostu...

– Salome. – Alex pogroziła jej palcem. – A ty znowu swoje.

Jednak Salome zacisnęła pięści.

– Nie możesz robić takich rzeczy. Pójdiesz do więzienia.

– Możliwe, ale ty i tak będziesz wyglądała jak pieprzony wieśniak.

– Co z tobą nie tak? – warknęła Dawes, kiedy Alex dołączyła do niej w jakimś pokoju, który prowadził do świątyni.

Pan Młody snuł się za nimi.

– Kiepsko tańczę i nie używam nici dentystycznej. A co z tobą nie tak?!

Teraz, kiedy poziom adrenaliny opadł, zaczęły ją ogarniać wyrzuty sumienia. Kiedy maska raz się zsunie, nie można jej ponownie założyć. Salome nie wezwie posiłków, Alex była tego prawie pewna. I była równie pewna tego, że będzie o niej mówić. Psycholka. Stuknięta suka. To, czy ktoś jej uwierzy, to już inna

sprawa. Salome sama powiedziała „nie możesz tak po prostu”. Ludzie nie zachowują się tak jak Alex.

Bardziej niepokojące było to, jak dobrze Alex się poczuła, jakby po raz pierwszy od miesiąca oddychała swobodnie, wolna od duszącego ciężaru nowej Alex, którą próbowała stworzyć.

Za to Dawes z trudem oddychała. Jakby to ona odwaliała całą ciężką robotę.

Alex włączyła światło i pod czerwonymi i złotymi ścianami zapłonęły gazowe latarnie, oświetlając egipską świątynię zbudowaną w środku angielskiego dworku. Na ołtarzu leżały czaszki, wypchane zwierzęta i oprawiona w skórę księga, w której podpisywali się wszyscy członkowie delegacji przed rozpoczęciem rytuału. Pośrodku przeciwległej ściany stał sarkofag przykryty szkłem z wysuszoną mumią skradzioną z wykopalisk w Dolinie Nilu. To było niemal zbyt przewidywalne. Sufit pomalowano tak, żeby przypominał sklepienie niebieskie, w narożnikach widniały liście akantu i stylizowane palmy, środek pomieszczenia przecinał strumień zasilany przez ścianę wody spływającą z krawędzi balkonu powyżej. Echo było przytłaczające. Pan Młody przepłynął nad strumieniem, jak najbardziej oddalając się od sarkofagu.

– Wychodzę! – krzyknęła Salome z głębi korytarza. – Nie chcę tu być, jeśli coś pójdzie nie tak!

– Nic złego się nie stanie! – odkrzyknęła Alex. Usłyszała, jak frontowe drzwi się zatrzasują. – Dawes, co miała na myśli, mówiąc „jeśli coś pójdzie nie tak?”.

– Czytałaś opis rytuału? – spytała Dawes, obchodząc pomieszczenie i przyglądając się detalom.

– Częściowo.

Dość, żeby wiedzieć, że może pomóc jej skontaktować się z Panem Młodym.

– Musisz wkroczyć na pogranicze między żywymi i umarłymi.

– Czekaj... Będę musiała umrzeć? – Naprawdę powinna zacząć uważnie czytać.

– Tak.

– I wrócę?

– Na tym to ma polegać.

– Będziesz musiała mnie zabić? – Łagodna Dawes, która na widok przemocy zwinęła się w kacie jak jeź w bluzie? – I nie masz nic przeciwko temu? To nie będzie dobrze wyglądać, jeśli nie wrócę do życia.

Dawes głęboko odetchnęła.

– Dlatego lepiej wróć.

Pan Młody miał ponurą twarz, ale zwykle tak wyglądał.

Alex przyjrzała się ołtarzowi.

– Czyli zaświaty są egipskie? Ze wszystkich religii to starożytni Egipcjanie odkryli prawdę?

– Nie wiemy, jak wyglądają zaświaty. To jedna z dróg do granicy. Istnieją inne. Zawsze oznaczają je rzeki.

– Jak Lete dla Greków.

– Właściwie to dla Greków graniczną rzeką jest Styks. Lete to ostateczna granica, którą umarli muszą przekroczyć. Egipcjanie wierzyli, że słońce codziennie umiera na zachodnim brzegu Nilu, zatem podróż ze wschodniego brzegu na zachodni oznaczała zostawienie za sobą świata żywych.

I w tę podróż Alex będzie musiała wyruszyć.

„Rzeka” przecinająca świątynię była symboliczna – ociosany kamień wydobyty ze starożytnych wapiennych tuneli pod Turą, hieroglify z *Księgi wyjścia w ciągu nocy* wycięte na obu brzegach i u podstawy kanału.

Alex zawahała się. Czy to są rozstaje? Czy to ostatnia głupia rzecz, jaką popełni? I kto powita ją po drugiej stronie? Hellie. Może Darlington. Len i Betcha ze zmiażdżonymi czaszkami; Len z wyrazem zaskoczenia na twarzy żywcem wziętym z kreskówki. A może gdzieś po drugiej stronie zostaną uzdrowieni. Jeśli umrze, to czy zdoła przejść ponownie przez Zasłonę, żeby przez resztę wieczności śmigać po kampusie? Czy wyląduje w domu, skazana straszyć na jakimś śmietniku w Van Nuys? „Dlatego lepiej wróć”. Wróć albo zostawisz Dawes z martwym ciałem, a Salome Nils będzie musiała wziąć na siebie część winy. Ta ostatnia myśl nie była całkiem nieprzyjemna.

– Muszę tylko utonąć?

– Tylko – odpowiedziała Dawes bez śladu rozbawienia.

Alex rozpięła płaszcz, zdjęła sweter, podczas gdy Dawes ściągnęła kurtkę i wyjęła z kieszeni dwie smukłe trzcinki.

– Gdzie on jest? – szepnęła.

– Pan Młody? Tuż za tobą. – Dawes się wzdrygnęła. – Żartuję. Stoi przy ołtarzu z typową dla siebie smętną miną.

Pan Młody jeszcze bardziej się skrzywił.

– Niech stanie naprzeciwko ciebie na zachodnim brzegu.

– On cię dobrze słyszy, Dawes.

– A tak, oczywiście. – Dawes wykonała niezręczny gest i Pan Młody przepłynął na drugą stronę strugi. Była dość wąska, żeby Szary przekroczył ją jednym długim krokiem. – A teraz oboje uklęknicie.

Alex nie była pewna, czy Pan Młody chętnie będzie wykonywał polecenia, ale zrobił, co mu kazano. Uklękli. Najwyraźniej pragnął rozmowy równie mocno jak Alex.

Czuła chłód podłogi przez dzinsy. Zdała sobie sprawę, że nosi biały T-shirt, który zaraz przemoknie. „Za chwilę umrzesz – zbesztala siebie w myślach. – To nie jest moment, żeby martwić się tym, że duch zobaczy twoje cycki”.

– Złóż ręce za plecami – powiedziała Dawes.

– Dlaczego?

Dawes podniosła trzcinki i wyrecytowała:

– „Niech nadgarstki jego zostaną związane łądygą papierusu”.

Alex złożyła ręce za plecami. Zupełnie jakby została aresztowana. Niemal spodziewała się, że Dawes zwiąże jej nadgarstki opaską zaciskową, ale zamiast tego poczuła, że Dawes wsunęła jej coś do lewej kieszeni.

– To strąk chleba świętojańskiego. Kiedy będziesz chciała wrócić, włóż go do ust i zagryź. Gotowa?

– Rób to powoli – odpowiedziała Alex.

Pochyliła się do przodu. To było niewygodne, gdy ręce miała za plecami. Dawes złapała ją za głowę i szyję i pchnęła. Alex zatrzymała się na chwilę nad powierzchnią. Uniosła wzrok, napotkała spojrzenie Pana Młodego.

– Teraz – powiedziała.

Wzięła głęboki wdech i starała się nie panikować, kiedy Dawes wepchnęła jej głowę pod wodę.

Cisza wypełniła jej uszy. Otworzyła oczy, ale nie widziała niczego poza czarnym kamieniem. Czekala, oddech uciekał z niej niechętnymi bąbelkami, pierś się zaciskała.

Płuca ją bolały. Nie mogła zrobić tego w ten sposób. Będą musiały wymyślić coś innego.

Próbowała się odepchnąć, ale palce Dawes były jak szpony na jej potylicy. Nie mogła wyrwać się w tej pozycji. Dawes naciskała jej plecy kolanem. Wbijała palce w jej czaszkę jak szpikulce.

Napór w piersi był nie do zniesienia. Panika nadeszła jak pies, który zerwał się ze smyczy, i Alex zrozumiała, że popełniła straszliwy błąd. Dawes współpracowała z Księżą i Wężem. Albo z Czaszką i Kośćmi. Albo z Sandowem. Z kimś, kto chciał się jej pozbyć. Dawes miała skończyć to, co *gluma* zaczęła. Karała ją za to, co stało się z Darlingtonem. Od początku wiedziała, co naprawdę wydarzyło się w Rosenfeld Hall, i to była jej zemsta na Alex za skradzenie jej złotego chłopca.

Alex miotala się i wyginała w milczeniu. Musiała odetchnąć. „Nie rób tego”. Niestety jej ciało nie słuchało. Otworzyła usta, żeby złapać oddech. Woda napłynęła jej nosem, ustami, wypełniła płuca. Jej umysł wrzeszczał z przerażenia, ale nie było ucieczki. Pomyślała o matce, o srebrnych bransoletkach na jej przedramieniu jak rękawica zbroi. Jej babcia szepnęła:

„*Somos almicas sin pecado*”. Sękatymi palcami rozrywała skórę granatu i wysypywała nasiona do miski. „Jesteśmy duszyczkami bez grzechu”.

A potem nacisk na jej głowę zniknął. Alex cofnęła się gwałtownie, dysząc. Zapiaszczona woda buchnęła jej z ust, ciało drgało konwulsyjnie. Alex zdała sobie sprawę, że ma wolne nadgarstki, więc podniosła się na czworaka. Głęboki, suchy kaszel wstrząsnął jej ciałem. Płuca płonęły jej, gdy nabrała powietrza. Pieprzyć Dawes. Pieprzyć wszystkich. Zaczęła płakać i nie mogła przestać. Ręce ugięły się pod nią i padła na podłogę, obróciła się na plecy, wciągając powietrze, ocierając mokrym rękawem twarz, rozmazując smarki i łzy. I krew. Ugryzła się w język.

Zmrużyła oczy, patrząc na malowany sufit. Poruszały się po nim chmury, szare na tle nieba w kolorze indygo. Gwiazdy świeciły nad nią, tworząc obce jej gwiazdozbiory. To nie były jej konstelacje.

Alex zmusiła się do tego, żeby usiąść. Dotknęła dłonią piersi, pomasowała ją delikatnie, nadal kaszłąc. Próbowwała ogarnąć sytuację. Dawes zniknęła. Wszystko zniknęło – ściany, ołtarz, kamienne podłogi. Siedziała na brzegu wielkiej rzeki, która toczyła czarne wody pod gwiazdami, a jej szum brzmiał jak przeciągły wydech. Ciepły wiatr poruszał trzciniami. „Śmierć jest zimna – pomyślała Alex. – Nie powinno tu być zimno?”.

Daleko w wodzie widziała postać mężczyzny idącego w jej kierunku z przeciwległego brzegu. Wody opływały ciało Pana Młodego. Zatem tutaj miał prawdziwą formę. Czy w takim razie weszła za Zasłonę? Naprawdę nie żyła? Mimo łagodnego powietrza przeszedł ją dreszcz, gdy patrzyła na zbliżającą się postać. Pan Młody nie miał powodu, żeby ją skrzywdzić; przecież ją ocalił. „Ale to morderca – upomniała siebie w myślach. – Może po prostu tęskni za mordowaniem kobiet”.

Alex nie chciała wracać do wody, kiedy w piersi nadal czuła wspomnienie brutalnego nacisku i gardło miała zdarte od kaszlu. Przyszła tu jednak w konkretnym celu. Wstała, otrzepała dłonie z piasku i weszła na płyciznę. Buty chlupotały jej w błocie. Rzeka podniosła się, ciepła wokół jej łydek, nurt szarpał delikatnie za kolana, potem uda, wreszcie talię. Mijała ząbkowane misy lotosów unoszące się łagodnie na powierzchni, nieruchome jak zastawa na stole. Woda szarpała jej biodra, nurt przybierał na sile. Czuła muł przesuwany się pod stopami.

Coś musnęło ją pod wodą i w świetle gwiazd dostrzegła błyszczący, pofalowany grzbiet. Wzdrygnęła się i cofnęła, kiedy krokodyl ją minął, jedno złote oko obróciło się w jej stronę, kiedy się zanurzał. Na lewo od niej inny czarny ogon przeciął wodę.

– Nie mogą pani skrzywdzić. – Pan Młody stał raptem parę metrów od niej.
– Ale musi pani do mnie podejść, panno Stern.

Na środek rzeki. Gdzie umarli i żywi mogą się spotykać.

Nie podobał jej się fakt, że Pan Młody zna jej nazwisko. Miał niski i przyjemny głos, mówił prawie z angielskim akcentem, ale bardziej przeciągał samogłoski, trochę jak ktoś naśladowujący Kennedy'ego.

Alex brnęła dalej przez wodę, aż stanęła naprzeciwko Pana Młodego. Wyglądał dokładnie tak samo jak w świecie żywych, srebrzyste światło przywierało do ostrych linii jego przystojnej twarzy, odbijało się od czarnych, zmierzwionych włosów, tyle że teraz stała na tyle blisko, żeby widzieć zmarszczki w węzle jego krawata, połysk marynarki. Kawałki kości i krew, które brudziły biały materiał koszuli, zniknęły. Tutaj był czysty, wolny od krwi i rany. Obok nich przepłynęła łódź, smukła, z pawilonem z wydymających się jedwabiów. Za materiałem poruszyły się cienie, niewyraźne kształty, które w jednej chwili były ludźmi, w innej szakalami. Wielki kot leżący na krawędzi łodzi dla zabawy zanurzał łapę w wodzie. Spojrzał na nią wielkimi diamentowymi ślepiami i ziewnął, odsłaniając długi różowy język.

– Gdzie jesteśmy? – zapytała Pana Młodego.

– Pośrodku rzeki, w siedzibie Maat, boskiego porządku. W Egipcie wszyscy bogowie są bogami śmierci i życia. Nie mamy dużo czasu, panno Stern. Chyba że pragnie pani dołączyć do nas na stałe. Nurt jest silny i wszyscy mu w końcu ulegamy.

Alex obejrzała się przez ramię na odległy brzeg, zachodzące słońce, na ciemne ziemie następnego świata.

„Jeszcze nie” – pomyślała.

– Potrzebuję, żebyś poszukał kogoś po drugiej stronie Zaslony – powiedziała.

– Zamordowanej dziewczyny.

– Zgadza się. Nazywała się Tara Hutchins.

– Nie lada wyczyn. To tłoczne miejsce.

– Założę się jednak, że sobie poradzisz. I domyślam się, że chcesz czegoś w zamian. To dlatego mnie uratowałeś, prawda?

Pan Młody nie odpowiedział. Jego twarz pozostała nieruchoma, jakby czekał, aż publiczność ucichnie. W świetle gwiazd jego oczy wydawały się prawie fioletowe.

– Jeśli mam znaleźć dziewczynę, to potrzebuję czegoś osobistego, co do niej należało. Najlepiej coś, co zawiera jej wydzieliny.

– Co takiego?

– Ślinę, krew, pot.

– Rozumiem – odpowiedziała Alex, chociaż nie miała pojęcia, jak ma tego dokonać.

Za żadne skarby nie uda jej się drugi raz wejść do kostnicy, skończyły jej się monety przymusu. Poza tym możliwe, że Tara już leży pod ziemią albo została z niej popioły.

– Będzie pani musiała przynieść to na pogranicze.

– Wątpię, żebym zdołała tu wrócić. Tak naprawdę nie przyjaźnię się z Salome.

– W głowie mi się to nie mieści. – Pan Młody zacisnął nieco usta i w tym momencie tak bardzo przypominał jej Darlingtona, że aż przeszedł ją dreszcz.

Na zachodnim brzegu widziała poruszające się ciemne kształty, niektóre ludzkie, inne mniej. Słyszała niosący się z ich strony pomruk, ale nie potrafiła się zorientować, czy istniał jakiś powód do tego hałasu; czy to był język, czy tylko dźwięki.

– Muszę wiedzieć, kto zamordował Tarę – powiedziała. – Poznać nazwisko.

– A jeśli nie znała napastnika?

– To dowiedz się, co robiła z Trippem Helmuthem. Należy do Kości i Czaszki. I czy znała kogoś z Księgi i Węża. Muszę wiedzieć, czy ma powiązania ze stowarzyszeniami. – Czy w ogóle istniało jakieś powiązanie, czy to tylko zbieg okoliczności. – Dowiedz się, dlaczego u diabła...

Nad jej głową rozbłysła błyskawica. Rozległ się grzmot i nagle rzeka ożyła niespokojnymi gadzimi ciałami.

Pan Młody uniósł brew.

– Nie lubimy tu takich słów.

„Kto? – chciała zapytać Alex. – Umarli? Bogowie?”. Wsunęła buty głębiej w piach, gdy nurt szarpał ją za kolana, pchając na zachód, ku ciemności. Później może się zastanowić nad mechanizmami życia pośmiertnego.

– Po prostu dowiedz się, dlaczego ktoś miałby chcieć śmierci Tary. Musi coś wiedzieć.

– Zatem ustalmy warunki – powiedział Pan Młody. – Pani otrzyma swoje informacje, a w zamian ja pragnę dowiedzieć się, kto zamordował moją narzeczoną.

– To trochę niezręczna sytuacja. Miałam wrażenie, że ty.

Pan Młody znowu zacisnął usta. Robił wrażenie tak afektowanego, tak urażonego, że Alex prawie się roześmiała.

– Zdaję sobie sprawę.

– Morderstwo i samobójstwo? Zastrześliś ją, a potem siebie?

– Nieprawda. Ktokolwiek ją zabił, był także odpowiedzialny za moją śmierć. Nie wiem, kto to był. Tak samo jak Tara Hutchins może nie wiedzieć, kto ją

skrzywdził.

– W porządku – odparła z powątpiewaniem Alex. – To dlaczego nie zapytasz swojej narzeczonej, co widziała?

Odwrócił wzrok.

– Nie mogę jej znaleźć. Szukałem po obu stronach Zasłony przez ponad sto pięćdziesiąt lat.

– Może nie chce, żebyś ją znalazł.

Skinął sztywno głową.

– Jeśli duch nie chce być odnaleziony, może się schować w wieczności.

– Obwinia ciebie – domyśliła się Alex, składając fragmenty układanki w całość.

– To możliwe.

– I myślisz, że przestanie cię winić, jeśli się dowiesz, kto naprawdę to zrobił?

– Mam nadzieję.

– Albo mógłbyś zostawić ją w spokoju.

– Jestem odpowiedzialny za śmierć Daisy, nawet jeśli nie zadałem ciosu. Nie zdołałem jej ochronić. Jestem jej winien sprawiedliwość.

– Sprawiedliwość? Nie możesz się zemścić. Ktokolwiek cię zabił, już dawno nie żyje.

– Więc znajdę go po tej stronie.

– I co wtedy? Zabijesz go bardziej?

Pan Młody uśmiechnął się na to, kąciaki ust uniosły mu się, odsłaniając równe zęby drapieżnika. Alex przeszedł dreszcz. Przypomniała sobie, jak wyglądał, gdy walczył z *glumą*. Jak coś nie do końca ludzkiego. Coś, czego umarli powinni się bać.

– Istnieją gorsze rzeczy od śmierci, panno Stern.

Znowu z zachodniego brzegu poniósł się pomruk i tym razem Alex pomyślała, że wychwyciła coś, co mogło brzmieć jak francuski. Jean Du Monde? To mogło być imię mężczyzny albo bezsensowne sylaby, którym jej umysł próbował nadać sens.

– Miałeś ponad sto lat, żeby znaleźć tajemniczego mordercę – powiedziała. – Dlaczego myślisz, że mnie bardziej się poszczęści?

– Twój partner Daniel Arlington badał tę sprawę.

– Wątpię. – Stare morderstwo, główna atrakcja wycieczek dla łowców duchów w Nowej Anglii, było zupełnie nie w stylu Darlingtona.

– Odwiedził... miejsce, gdzie zginęliśmy. Miał ze sobą notes. Robił zdjęcia. Wątpię, żeby po prostu zwiedzał. Nie mogę przeniknąć przez zabezpieczenia domu przy Orange Street. Chcę wiedzieć, dlaczego tam był i co odkrył.

– A Darlingtona... Darlingtona tu nie ma? Z tobą?

– Nawet umarli nie wiedzą, gdzie przebywa Daniel Arlington.

Jeśli Pan Młody nie znalazł Darlingtona po drugiej stronie, to Sandow ma rację. Po prostu zaginął, a to znaczy, że można go znaleźć. Alex musiała w to wierzyć.

– Znajdź Tarę – odpowiedziała Alex, która chciała już wyjść z wody i wrócić do świata żywych. – Ja sprawdzę, co Darlington zostawił po sobie. Muszę jednak coś wiedzieć. Powiedz, że nie nasłałeś na mnie tego czegoś, *glumy*.

– Dlaczego miałbym...

– Żeby nawiązać między nami więź. Żebym miała u ciebie dług i żeby stworzyć podstawy do współpracy.

– Nie naslałem tego czegoś i nie wiem, kto to zrobił. Jak mam panią przekonać?

Alex nie była pewna. Miała nadzieję, że się zorientuje, iż mogła wymusić na nim jakąś przysięgę, ale uznała, że wkrótce i tak się przekona. Pod warunkiem, że dowie się, co Darlington odkrył. O ile cokolwiek odkrył. Fabryka, gdzie popełniono morderstwo, była teraz garażem. Znając Darlingtona, pewnie poszedł zrobić parę notatek na temat betonu w New Haven.

– Po prostu znajdź Tarę. Daj mi odpowiedzi, których szukam, a ja dam ci twoje.

– To nie jest pakt, jaki bym sobie wybrał, ani pani nie jest partnerką, jakiej bym szukał, ale oboje wykorzystajmy tę sytuację najlepiej, jak się da.

– Czarujący jesteś. Daisy podobało się, że jesteś taki wygadany? – Oczy Pana Młodego poczerwiały i Alex z trudem nie cofnęła się o krok. – Porywczy facet. Dokładnie ten typ, który zabija kobietę, gdy ta ma dość jego numerów. Zabije ją?

– Kochałem ją. Kochałem ją ponad życie.

– To nie jest odpowiedź.

Wziął głęboki wdech, odzyskując panowanie nad sobą, i jego oczy stały się normalne. Wyciągnął do niej rękę.

– Niech pani wypowie swoje prawdziwe imię, panno Stern, i przypieczętuje umowę.

W imionach tkwiła moc. To dlatego imiona Szarych usunięto z archiwów Lete. To dlatego wolała myśleć o istocie, która stała przed nią, jako o Panu Młodym. W bliskości czaiło się niebezpieczeństwo, zawsze w chwili gdy wiązało się własne życie z cudzym.

Alex dotknęła strączka w kieszeni. Lepiej być gotowym na wypadek... gdyby co? Próbował wciągnąć ją pod wodę? Dlaczego miałyby to zrobić? Potrzebował jej, a ona potrzebowała jego. Tak się zaczyna większość katastrof.

Wzięła jego dłoń. Uścisk miał mocny, rękę wilgotną i lodowato zimną. Czego dotykała? Ciała? Myśli?

– Bertram Boyce North – powiedział.

– Okropne imię.

– Rodzinne – odparł oburzony.

– Galaxy Stern – powiedziała, ale kiedy spróbowała zabrać rękę, zacisnęła mocniej palce.

– Długo czekałem na tę chwilę.

Alex wrzuciła strączek do ust.

– Chwila minęła – powiedziała i wsunęła strąk między zęby.

– „Myślałaś, że śpię, lecz słowa twe słyszałem, gdyś rzekła, że nie jesteś dobrą żoną”. – Alex znowu próbowała się wyrwać. Nadal zaciskał palce na jej dłoni. – „Przysięgam, że nie spytam o ich sens; wierzę w ciebie wbrew tobie, dlatego od dziś prędzej umrę niż zwątpię”.

„Prędzej umrę niż zwątpię”. Tatuaz Tary. To nie był cytat z piosenki jakiegoś metalowego zespołu.

– *Idylls of the King* – powiedziała.

– Teraz pamiętasz.

Przeczytała cały długachny poemat Tennysona w ramach przygotowań do jej pierwszej wizyty z Darlingtonem w siedzibie Zwoju i Klucza. W ich grobowcu wszędzie widniały cytaty z poematu, hołd dla króla Artura i jego rycerzy, obok skarbcza pełnego łupów zdobytych w czasie krucjat. „Miejcie moc opromienić tę mroczną ziemię, miejcie moc ożywić ten martwy świat”. Przypomniała sobie słowa wycięte na krawędzi stołu w grobowcu Kluczników.

Alex wyrwała się z uścisku Pana Młodego. Zatem śmierć Tary potencjalnie była związana z aż trzema stowarzyszeniami. Można było ją powiązać z Czaszką i Kośćmi przez Trippa Helmutha, z Księżą i Wężem przez atak *glumy* i – o ile Tara nie była w sekrecie wielbicieleką wiktoriańskiej poezji – ze Zwojem i Kluczem poprzez tatuaz z cytatem z Tennysona.

North skłonił się lekko.

– Kiedy znajdzie pani coś, co należało do Tary, proszę przynieść to nad dowolny zbiornik wodny, a ja przyjdę do pani. Teraz każdy może służyć nam za przejście.

Alex poruszyła palcami, chcąc pozbyć się wspomnienia dotyku dłoni Pana Młodego.

– Tak zrobię.

Odwróciła się od niego, zagryzła strąk chleba świętojańskiego i jej usta wypełniły się gorzkim, kredowym smakiem.

Próbowała napierać w stronę wschodniego brzegu, ale rzeka szarpnęła ją za kolana i Alex się zachwiała. Poczła ciągnięcie do tyłu, traciła oparcie dla nóg, próbowała wbić buty w dno rzeki, ale nurt ciągnął ją w stronę zastępów ciemnych kształtów na zachodnim brzegu. Nie wyglądały już jak ludzkie sylwetki. Były za wysokie, za szczupłe, ich ręce były długie i zginały się pod niewłaściwymi kątami, jak u owadów. Widziała zarysy ich głów na tle nieba w kolorze indygo, uniesione nosy, jakby ją zwęszyli, otwierające się i zamykające szczęki.

– North! – krzyknęła.

Ale on nawet nie zwolnił.

– Nurt wszystkich nas ostatecznie porywa! – zawołał, nie odwracając się. – Jeśli chce pani żyć, musi pani walczyć.

Alex przestała szukać dna. Obróciła się w stronę wschodu i zaczęła płynąć. Machała nogami i rękami ze wszystkich sił, walcząc z nurtem. Ciężar butów ciągnął ją w dół, bolały ją ramiona. Coś ciężkiego i muskularnego uderzyło w nią, zanurzając w toń. Ogon uderzył ją w nogę. Może krokodyle nie mogły jej skrzywdzić, ale mogły pomóc rzece. Zmęczenie kładło się ołowiem na jej mięśniach. Alex zwalniała.

Niebo pociemniało. Nie widziała już brzegu, nie była nawet pewna, czy płynie we właściwą stronę. „Jeśli chce pani żyć”.

I czy to nie było najgorsze ze wszystkiego? Chciała. Chciała żyć, zawsze tak było.

– Do diabła! – krzyknęła. – Niech to piekło pochłonie!

Niebo eksplodowało zygzakami błyskawicy. Odrobina bluźnierstwa, żeby oświetlić sobie drogę. Przez jedną długą, straszliwą chwilę otaczała ją tylko czarna woda, ale potem Alex spostrzegła wschodni brzeg.

Popłynęła w tym kierunku, tnąc rękami wodę, aż w końcu opuściła nogi. Natrafiła na dno – było bliżej, niż myślała. Przeczłgała się przez płyciznę i miażdżąc kwiaty lotosu mokrym ciałem, padła na piasek. Słyszała za sobą krokodyle, cichy warkot dobywający się z ich otwartych paszcz. Zepchną ją znowu w objęcia rzeki? Odczołgała się jeszcze kilka kroków, ale była za ciężka. Jej ciało zapadało się w piasek, ziarenka obciążały ją, napęniały usta, nos, wchodziły pod powieki.

Coś ją uderzyło raz, drugi. Zmusiła się do otwarcia oczu. Leżała na plecach, na podłodze świątyni, dławiąc się błotem i wpatrując w przerażoną twarz Dawes okoloną namalowanym niebem – na szczęście nieruchomym i pozbawionym chmur. Alex trzęsała się tak bardzo, że słyszała łomot własnej czaszki na kamiennej podłodze.

Dawes złapała ją, mocno objęła i w końcu mięśnie Alex powoli przestały się spazmatycznie kurczyć. Znowu normalnie oddychała, chociaż wciąż czuła szlam w ustach i gorzkie resztki strąka.

– Już wszystko dobrze – powiedziała Dawes. – Już nic ci nie jest.

Alex musiała się roześmiać, bo ostatnie, co powiedziałyby o sobie, to że ma się dobrze.

– Wynośmy się stąd – zdołała wykrztusić.

Dawes zarzuciła sobie ręce Alex na szyję i z zaskakującą siłą pomogła jej wstać. Ubrania Alex były zupełnie suche, ale ręce i nogi miała słabe, jakby rzeczywiście próbowała przepłynąć milę. Nadal czuła zapach rzeki, gardło miała zdarte, pozostało jej wrażenie rybiego śluzu po tym, jak woda weszła jej do nosa.

– Gdzie mam zostawić klucz? – zapytała Dawes.

– Przy drzwiach – odpowiedziała Alex. – Wyślę wiadomość Salome.

– To brzmi bardzo kulturalnie.

– Zapomnij. Wybierzmy okno i nasikajmy na stół do bilardu.

Dawes słabo zachichotała.

– W porządku, Dawes, nie umarłam. Za bardzo. Dotarłam do pogranicza. Zawarłam umowę.

– Och, Alex. Coś ty zrobiła?

– To, co zamierzałam. – Nie była jednak pewna, jak się z tym czuje. – Pan Młody znajdzie dla nas Tarę. To najłatwiejszy sposób odkrycia, kto ją skrzywdził.

– Ale czego on chce?

– Żeby oczyścić jego imię. – Zawahała się. – Twierdzi, że Darlington badał jego sprawę morderstwa połączonego z samobójstwem.

Dawes uniosła brwi.

– To brzmi mało prawdopodobnie. Darlington nie cierpiał tego typu słynnych spraw. Uważał, że są... makabryczne.

– Jarmarczne – dodała Alex.

Przez twarz Dawes przemknął słaby uśmiech.

– Właśnie. Czekaj... Czyli Pan Młody nie zabił swojej narzeczonej?

– Tak twierdzi. To nie do końca to samo.

Może był niewinny, może chciał się pogodzić z Daisy, może chciał znaleźć sposób na powrót do dziewczyny, którą zamordował. To nie miało znaczenia. Alex wywiąże się ze swojej części umowy. Bez względu na to, czy zawierasz umowę z żywym, czy z umarłym, lepiej dotrzymać jej warunków.

Możemy chcieć jak najszybciej załatwić kwestię Księgi i Węża, i kto miałby nam to za złe? W nekromancji jest coś, co budzi niesmak, a naturalny wstręt tylko pogłębi sposób, w jaki Księgarze chcą się prezentować. Kiedy wchodzi się do ich wielkiego mauzoleum, trudno zapomnieć, że to dom umarłych. Najlepiej jednak odłożyć na bok strach i przesady, a zamiast tego rozważyć piękno ich motta: „Wszystko w świecie się zmienia, nic się nie zatraci”¹. Prawdę mówiąc, umarli rzadko są wskrzeszani pod ich pretensjonalnym frontonem. Nie, źródłem utrzymania Księgarzy jest wywiad, informacje zbierane od siatki martwych informatorów, którzy dysponują wszelkiego rodzaju plotkami i nie potrzebują podsłuchiwać przy dziurkach od klucza, kiedy mogą po prostu przejść niezauważeni przez ściany.

z Życie Lete: procedury i protokoły Dziewiątego Domu

Dziś wieczorem Bobbie Woodward wyciągnął informacje na temat porzuconego nielegalnego baru od czegoś, co wyglądało praktycznie jak resztki kręgosłupa, złamana żuchwa i kępka włosów. Żadna ilość burbona z okresu prohibicji nie wymaże tego widoku z mojej pamięci.

Pamiętnik Butlera Romano z czasów w Lete
(Saybrook College '65)

1. Owidiusz, Przemiany, tłum. Bruno Kiciński. [\[wróć\]](#)

13

ZESZŁA JESIEŃ

Darlington obudził się po imprezie w Manuskrypcie z najgorszym kacem moralnym swojego życia. Alex pokazała mu kopię raportu, który wysłała. Prześlizgnęła się po szczegółach i chociaż Darlington chciał być osobą, która żąda ścisłego trzymania się prawdy, nie był pewien, czy potrafiłby spojrzeć dziekanowi Sandowowi w oczy, gdyby ujawniono jego upokorzenie we wszystkich detalach.

Wziął prysznic, zrobił Alex śniadanie, a potem zamówił samochód, żeby zabrał ich oboje do Klitki, bo chciał wziąć swojego mercedesa. Wrócił do Black Elm w swoim starym wozie, a obrazy z poprzedniej nocy zamieniały się w rozmazaną plamę w jego głowie. Zebrał dynie z podjazdu i wrzucił je na stos kompostu, zgrabił liście z czarnego trawnika. Miło było popracować. Dom nagle wydał mu się bardzo pusty, a nie odbierał tego w taki sposób już od dawna.

Niewielu ludzi przyprowadził do Black Elm. Kiedy na pierwszym roku zaprosił Michelle Alameddine, żeby zobaczyła jego dom, powiedziała:

– To miejsce to istne szaleństwo. Jak myślisz, ile jest wart?

Nie wiedział, jak odpowiedzieć.

Black Elm to było stare marzenie; romantyczne wieże posiadłości wzniesiono za fortunę, którą zarobiono na podeszwach wulkanizowanych gumowych butów. Pierwszy Daniel Tabor Arlington, praprapradziadek Darlingtona, zatrudnił trzydzieści tysięcy ludzi w swojej fabryce w New Haven. Kupował dzieła sztuki i szemrane antyki, kupił wakacyjną „chatkę” o powierzchni sześciu tysięcy stóp kwadratowych nad jeziorem New Hampshire i rozdawał indyki w Dniu Dziękczynienia.

Ciężkie czasy zaczęły się po serii pożarów w fabryce, a zakończyły, gdy odkryto sposób wytwarzania wodoodpornej skóry. Gumowe buty Arlingtonów były solidne i łatwe w produkcji, ale potwornie niewygodne. Kiedy Danny miał

dziesięć lat, znalazł stos takich butów na strychu w Black Elm, wepchniętych do kąta jak za karę. Grzebał w nich, aż znalazł parę i wytarł z nich kurz koszulką. Wiele lat później, kiedy po raz pierwszy napił się eliksiru Hirama i po raz pierwszy zobaczył Szarego, jego blade, wypłukane kolory, jakby nadal był spowity w Zaslone, Darlington przypomniał sobie te zakurzone buty.

Zamierzał nosić je cały dzień, tupiąc po calutkiej posiadłości i tyłając się w błocie w ogrodzie, ale wytrzymał tylko godzinę, po czym zdjął je i rzucił z powrotem na stos. To mu pozwoliło doskonale zrozumieć, dlaczego ludzie, gdy tylko zobaczyli inny sposób na nieprzemacanie nóg, natychmiast z niego skorzystali. Fabryka butów została zamknięta i stała pusta przez wiele lat, podobnie jak fabryka Smoothie Girdle, jak fabryki Winchestera i Remingtona, jak wcześniej zakłady braci Blake i Rooster Carriages. Gdy Darlington dorósł, dowiedział się, że zawsze tak to wyglądało w New Haven. Wykrwawiało przemysł, ale uporczywie szło przed siebie, zapuchnięte i anemiczne, mimo skorumpowanych burmistrzów i głupich urbanistów, mimo złych rządowych programów i pomocnych, ale przelotnych zastrzyków kapitału.

– To miasto, Danny – lubił mawiać jego dziadek – stały refren, czasem gorzki, czasem czuły.

„To miasto”.

Black Elm zbudowano tak, żeby przypominało angielską rezydencję. Jeden z przejawów licznych pretensjonalnych słabostek Daniela Tabora Arlingtona, odkąd dorobił się fortuny. Jednak dopiero na starość dom zaczął prezentować się przekonująco; powolny upływ czasu i bluszcz dokonały tego, czego pieniądze nie były w stanie.

Rodzice Danny’ego zjawiali się w Black Elm i znikali. Czasem przywozili prezenty, ale głównie go ignorowali. Nie czuł się niechciany czy niekochany. Jego świat składał się z dziadka, gospodyni Bernadette i tajemniczego mroku Black Elm. Niekończący się strumień nauczycieli umacniał jego zdobywane w publicznej szkole wykształcenie – szermierka, języki, boks, matematyka, fortepian.

– Uczysz się, jak być obywatelem świata – powiedział mu dziadek. – Dobre wychowanie, siła i specjalistyczna wiedza. Jedna z tych rzeczy zawsze zadziała.

W Black Elm nie było za wiele do roboty poza ćwiczeniem, a Danny lubił być dobry w różnych rzeczach, nie tylko z powodu otrzymywanych pochwał, ale ponieważ czuł, że nowe drzwi otwierają się wtedy dla niego na oścież. Był doskonały w każdym nowym temacie, zawsze miał uczucie, że przygotowuje się do czegoś, chociaż nie wiedział do czego.

Jego dziadek szczycił się w równym stopniu uczciwą i ciężką pracą jak swoją błękitną krwią. Palił papierosy Chesterfield, którymi po raz pierwszy

poczęstowano go w hali produkcyjnej w fabryce, gdzie jego ojciec upierał się, żeby syn spędzał letnie wakacje. Jadał w Jadłodajni u Clarka, gdzie nazwano go po prostu „Starym”. Lubił zarówno Marty’ego Robinsa, jak i coś, co matka Danny’ego opisywała jako „komedie Pucciniego”. Mówiła, że odgrywa „rolę trybuna ludowego”.

Darlington rzadko słyszał jakieś słowo uprzedzenia, że jego rodzice pojawiają się w mieście. Dziadek zwykle mawiał tylko: „Nakryj jutro do stołu dla czterech osób, Bernadette. Obiboki zaszczycą nas swoją obecnością”. Jego matka była profesorem sztuki renesansowej. Darlington nie do końca wiedział, czym zajmował się jego ojciec – mikroinwestycjami, budową portfela inwestycyjnego, zagranicznymi funduszami hedgingowymi. Wydawało się, że to się zmienia przy każdej wizycie i że nigdy nie układa się dobrze. Danny wiedział jedynie, że rodzice żyją z pieniędzy dziadka i że to ich potrzeba zwabiała ich z powrotem do New Haven. „Jedyna rzecz” – mawiał dziadek, a Danny nie miał serca, żeby się z nim sprzeczać.

Rozmowy przy stole zawsze krążyły wokół tematu sprzedaży Black Elm i stawały się coraz gwałtowniejsze, gdy sąsiedztwo wokół starego domu ponownie zaczęło ożywać. Rzeźbiarka z Nowego Jorku kupiła podupadły dom za dolara, wyburzyła go i wybudowała rozległe otwarte studio, żeby tam pracować. Zaczęła przekonywać przyjaciół, żeby poszli w jej ślady, i wkrótce Westville stało się modną okolicą.

– To dobry czas na sprzedaż – mawiał ojciec Darlingtona. – Kiedy ziemia wreszcie jest coś warta.

– Wiesz, jakie jest to miasto – mówiła matka. „To miasto”. – To nie potrwa.

– Nie potrzebujemy tyle miejsca. Marnuje się. Samo utrzymanie domu kosztuje fortunę. Przyjeżdż do Nowego Jorku. Będziemy mogli częściej się widywać. Moglibyśmy znaleźć ci mieszkanie w kamienicy z portierem albo przenieść cię w jakieś ciepłe miejsce. Danny mógłby uczyć się w Dalton albo wyjechać do szkoły w Exeter.

Dziadek odpowiadał na to:

– Prywatne szkoły zmieniają chłopców w mięczaków. Nie powtórzę tego błędu.

Ojciec Danny’ego uczył się w Exeter.

Czasem Danny myślał, że dziadek lubi podpuszczać Obiboków. Przyglądał się szkockiej w szklaneczce, odchylał się w fotelu, opierał stopy, żeby ogrzać je przy kominku, jeśli to była zima, albo przyglądał się formacji zielonych chmur jesionów nad ogrodem, jeśli to było lato. Robił wrażenie, jakby rozważał pomysł. Zastanawiał się, gdzie lepiej zamieszkać, roztrząsał zalety Westport, wady Manhattanu. Opowiadał o nowych mieszkaniach w pobliżu dawnej

browarni, a rodzice Danny'ego podążali tam, dokąd zawiódł go jego chwilowy kaprys, odczekał, z nadzieją, próbując na nowo nawiązać kontakt z tym starcem.

Pierwszy wieczór ich wizyty kończył się zdaniem „pomyślę o tym”, zaróżowionymi od alkoholu policzkami ojca, dzielnym ściskaniem przez matkę kokonu z miękkiego kaszmiru wokół ramion. Jednak pod koniec drugiego dnia Obiboki zaczynały się niecierpliwić, irytować. Nieco bardziej naciskali, a dziadek nieco mocniej się opierał. Pod koniec trzeciego dnia już się kłócili, ogień strzelał iskrami i dymił, gdy już nikt nie pamiętał, żeby dorzucić nowe polano.

Przez długi czas Danny zastanawiał się, dlaczego dziadek wciąż prowadzi tę grę. Dopiero kiedy był starszy, kiedy dziadek już nie żył, a Danny siedział sam pośród ciemnych wież Black Elm, zdał sobie sprawę, że dziadek był samotny, że jego nawyki przy kolacji, zbieranie czynszów i lektura Kiplinga mogły nie wystarczać do wypełnienia dnia, że mógł tęsknić za swoim niemądrym synem. Dopiero wtedy, gdy leżał na boku w pustym domu, otoczony przez gniazdo książek, Darlington zrozumiał, ile Black Elm żądało i jak mało dawało w zamian.

Wizyta Obiboków zawsze kończyła się w taki sam sposób: rodzice wyjeżdżali w tumanie oburzenia i chmurze perfum matki – Caron Poivre, jak odkrył Darlington pamiętnego letniego wieczoru w Paryżu po drugim roku studiów, kiedy wreszcie zebrał się na odwagę, żeby zaprosić Angelique Brun na randkę; zjawił się u jej drzwi i ujrzał ją piękną, w czarnej satynie i z odrobiną perfum jego żalostnego dzieciństwa nałożoną na miejsca wyczuwalnego pulsu. Skrócił ten wieczór, wymawiając się migreną.

Rodzice Danny'ego upierali się, że go wywiozą, że zapiszą go do prywatnej szkoły, że zabiorą ze sobą do Nowego Jorku. Początkowo Danny był podekscytowany i spanikowanymi tymi groźbami. Wkrótce jednak zrozumiał, że to puste słowa, ciosy wymierzone w dziadka. Rodziców nie było stać na drogie szkoły bez pieniędzy Arlingtonów i nie chcieli dziecka, które ograniczałoby ich wolność.

Kiedy już Obiboki wyjeżdżały, Danny i dziadek szli na kolację do Jadłodajni u Clarka, gdzie dziadek siadywał z Tonym i rozmawiał o jego dzieciach, oglądał rodzinne zdjęcia i obaj wychwalali wartość „dobrej, uczciwej pracy”, a potem dziadek łapał Danny'ego za nadgarstek.

– Słuchaj – mówił; z tak bliska jego oczy były przekrwione i wilgotne. – Słuchaj. Będą próbowali zabrać dom, gdy umrę. Spróbują wszystko zabrać. Nie pozwól im.

– Nie umrzesz – odpowiadał Danny.

Dziadek mrugał wtedy, śmiał się i mówił:

– Na razie.

Raz, kiedy siedli w niszy z czerwono obitą ławką i zapach smażonych ziemniaków z cebulą i sosem wisiał ciężką chmurą w powietrzu, Danny ośmielił się zapytać:

– Po co oni w ogóle mnie mają?

– Podobał im się pomysł zostania rodzicami – odpowiedział dziadek, machając rękami nad resztkami kolacji. – Popisywania się tobą przed przyjaciółmi.

– A potem po prostu mnie tu porzucili?

– Nie chciałem, by wychowywały cię nianie. Powiedziałem, że kupię im apartament w Nowym Jorku, jeśli zostawią cię u mnie.

Wtedy Danny uznał to za właściwe, bo dziadek „wiedział najlepiej”, bo dziadek „zarabiał na życie”. I jeśli jakaś część jego osoby zastanawiała się, czy dziadek nie szukał drugiej szansy na wychowanie syna, czy nie obchodziło go bardziej dobro rodu Arlingtonów niż małego, samotnego chłopca, to miał dość rozumu, żeby nie zapuszczać się na tę mroczną drogę.

Kiedy podrośł, starał się zniknąć z domu, kiedy Obiboki pojawiały się w mieście. Zawstydziała go myśl, że mógłby kręcić się po domu w nadziei na prezent albo oznakę zainteresowania jego życiem. Miał dość oglądania tego samego przedstawienia z dziadkiem, które odgrywali z zadowoleniem.

– Dlaczego nie zostawicie staruszka w spokoju i nie wróćcie do marnowania swojego czasu i jego pieniędzy? – warknął na nich, gdy wychodzili z domu.

– Kiedy to mały książę stał się taki świętoszkowaty? – odparł jego ojciec. – Przekonasz się, jak to jest, kiedy stracisz jego łaski.

Jednak Darlington nigdy nie miał okazji. Dziadek zachorował. Lekarz kazał mu rzucić palenie, zmienić dietę, powiedział, że może zyskać parę miesięcy, może nawet rok. Dziadek Danny’ego odmówił. Będzie żył po swojemu albo w ogóle. Zatrudniono pielęgniarkę, która zamieszkała w domu. Daniel Tabor Arlington bardziej posiwiiał i osłabł.

Obiboki zatrzymały się w domu i nagle Black Elm stało się wrogim terytorium. Kuchnia była pełna specjałów matki, stopy plastikowych pojemników oraz małych torebek z ziarnami i orzechami tłoczyły się na półkach. Ojciec nieustannie krążył po pokojach na parterze, rozmawiając przez komórkę – o wycenie domu, postępowaniu spadkowym, prawie podatkowym. Bernadette pozbyto się na rzecz ekipy sprzątajacej, która zjawiała się dwa razy w tygodniu w ciemnozielonej furgonetce i posługiwała się tylko produktami organicznymi.

Danny spędzał większość tego czasu w muzeum albo w swoim pokoju za zamkniętymi na klucz drzwiami, zagubiony w książkach, które pożerał jak ogień

powietrze, próbując nie zgasnąć. Ćwiczył grekę, zaczął uczyć się portugalskiego.

Sypialnia dziadka wypełniła się sprzętami: kroplówkami, żeby go nawadniać, tlenem, żeby mógł oddychać; obok ogromnego łóża z baldachimem stało szpitalne łóżko, żeby utrzymać go w pozycji półleżącej. Wydawało się, że podróżnik w czasie, który przybył z przyszłości, zajął tę mroczną przestrzeń.

Za każdym razem, gdy Danny próbował porozmawiać z dziadkiem o tym, co robią jego rodzice, o agentach od nieruchomości, którzy kręcą się po posiadłości, dziadek łapał go za nadgarstek i zerkał znacząco na pielęgniarkę.

– Ona słucha – syczał.

I możliwe, że słuchała. Darlington miał piętnaście lat. Nie wiedział, ile w tym, co mówi dziadek, było prawdy, czy może przemawiały przez niego rak albo leki.

– Podtrzymują mnie przy życiu, żeby móc kontrolować posiadłość, Danny.

– Ale twój prawnik...

– Myślisz, że nie mogą mu niczego obiecać? Pozwól mi umrzeć, Danny. Bo całkiem wykrwawią Black Elm.

Danny wyszedł sam z domu i siadł przy kontuarze w Jadłodajni, a kiedy Leona postawiła przed nim lody, musiał przycisnąć dłonie do oczu, żeby się nie rozpłakać. Siedział tam aż do zamknięcia i dopiero wtedy wrócił autobusem do domu.

Następnego dnia znaleźli dziadka nieprzytomnego w łóżku. Wpadł w śpiączkę, z której już nie wyszedł. W całym domu rozlegały się wściekle szeptane rozmowy, zamykano drzwi, ojciec wrzeszczał na pielęgniarkę.

Danny spędzał dni w muzeum Peabody'ego. Pracownicy nie mieli nic przeciwko temu. Całe stadko porzucanych latem dzieciaków spędzało tam wakacje. Kręcił się po sali z minerałami, obcował z mumią, ogromną kałamarnicą, dinozaurem Crichtona; próbował przerysować fresk z gadami. Spacerował po kampusie Yale, całymi godzinami rozszyfrowywał napisy w różnych językach nad drzwiami do Biblioteki Sterlinga, raz za razem wracał do kolekcji kart tarota w Beinecke, do nieprzeniknionego Manuskryptu Wojnicza. Wpatrywanie się w jego strony było jak ponowne stanięcie na cyplu w parku Lighthouse Point i czekanie, aż świat mu się ukáže.

Kiedy zaczynało się ściemniać, jechał autobusem do domu, a potem zakradał się do środka przez drzwi od strony ogrodu, przemykał bezszelestnie przez pokoje i uciekał do swojej sypialni i książek. Zwykle tematy już nie wystarczały. Był za duży, żeby wierzyć w magię, ale musiał wierzyć, że istnieje coś więcej na świecie niż życie i umieranie. Dlatego nazwał swoją potrzebę zainteresowaniem okultyzmem, wiedzą tajemną, świętymi przedmiotami. Spędzał czas na tropieniu prac alchemików i spirytystów, którzy obiecywali ukazanie rzeczy

niewidocznych. Wystarczyłoby, żeby ujrzął coś chociaż przelotnie, coś, co podtrzymałoby go na duchu.

Danny leżał zwinięty w kłębek w swoim pokoju w wysokiej wieży i czytał Paracelsusa, wspomagając się przekładem Waite'a, kiedy do drzwi zapukał prawnik jego dziadka.

– Będziesz musiał podjąć kilka decyzji – powiedział. – Wiem, że chcesz uczcić pamięć dziadka, ale powinieneś zrobić to, co będzie najlepsze dla ciebie.

To nie była zła rada, ale Danny nie miał pojęcia, co mogłoby być dla niego najlepsze.

Dziadek żył z pieniędzy Arlingtonów, rozdzielając je zgodnie ze swoim uznaniem, ale nie mógł ich przekazać nikomu poza własnym synem. Z domem sprawa miała się inaczej: pozostanie w zarządzie powierniczym do czasu, gdy Danny ukończy osiemnaście lat.

Danny zdziwił się, kiedy matka pojawiła się w drzwiach jego sypialni.

– Uniwersytet chce kupić ten dom – powiedziała i rozejrzała się po okrągłym pokoju w wieżyczce. – Jeśli wszyscy podpiszemy zgodę, będziemy mogli podzielić się zyskami. Będziesz mógł przyjechać do Nowego Jorku.

– Nie chcę mieszkać w Nowym Jorku.

– Nie potrafisz nawet wyobrazić sobie możliwości, jakie otworzą się tam przed tobą.

Niemal rok wcześniej pojechał kolejką podmiejską do miasta, godzinami spacerował po Central Parku, siedział w świątyni Dendur w Metropolitan Museum of Art. Pojechał do kamienicy z apartamentem rodziców, zastanawiał się nawet, czy nie zadzwonić do ich drzwi, ale stchórzył.

– Nie chcę opuścić Black Elm.

Matka usiadła na brzegu jego łóżka.

– Tylko ziemia ma wartość. Musisz zrozumieć, że ten dom jest nic niewart. Gorzej niż nic niewart. Pozbawi nas każdego dolara, jaki mamy.

– Nie sprzedam Black Elm.

– Nie masz pojęcia, jaki jest świat, Danielu. Nadal jesteś dzieckiem i zazdroścę ci tego.

– Nie tego mi zazdrościsz.

Wypowiedział te słowa cicho i zimno, dokładnie tak, jak chciał, ale matka tylko się roześmiała.

– Wyobrażasz sobie, że co tu się wydarzy? Masz mniej niż trzydzieści tysięcy dolarów na funduszu powierniczym na twoją naukę, więc jeśli nie myślisz o znalezieniu sobie przyjaciół na stanowym uniwerku, to powinieneś zacząć się zastanawiać. Dziadek złapał cię na plewy. Zwiódł cię tak samo jak

nas. Myślisz, że będziesz panem na Black Elm? Nie będziesz rządzić tym miejscem. To ono będzie rządzić tobą. Wyciśnij już teraz z niego tyle, ile się da.
„To miasto”.

Danny został w swoim pokoju. Zamknął drzwi na klucz. Jadł batoniki z muesli i pił wodę z umywalki w łazience. Uznał, że to pewnie swoista żałoba, ale też nie bardzo wiedział, co robić. W bibliotece w egzemplarzu 1776 McCullougha schowano plik banknotów wartości tysiąca dolarów. Kiedy skończy osiemnaście lat, będzie miał dostęp do funduszu na naukę. Poza tym nie miał nic. Nie mógł jednak opuścić Black Elm i nie zrobi tego, żeby ktoś mógł wyburzyć ten dom. Za nic na świecie. To jego miejsce. Kim byłby pozbawiony tego domu? Bez zdziczałych ogrodów, szarego kamienia, bez ptaków śpiewających w żywopłocie, bez nagich gałęzi drzew. Stracił osobę, która najlepiej go znała, która najbardziej go kochała. Czego innego miałyby się uchwycić?

A potem pewnego dnia zdał sobie sprawę, że w domu ucichło, że usłyszał, jak samochód rodziców odjeżdża, ale potem nie usłyszał, żeby wrócili. Otworzył drzwi i zszedł cicho schodami. Odkrył, że dom opustoszał. Nigdy nie przyszło mu do głowy, że rodzice mogą po prostu wyjechać. Czy po kryjomu trzymał ich tu jak zakładników, zmuszał do pozostania w New Haven, po raz pierwszy w życiu kazał im zwrócić na siebie uwagę?

Początkowo był rozradowany. Włączył wszystkie światła, telewizor w swojej sypialni i telewizor w salonie na dole. Wyjadł resztki jedzenia z lodówki i nakarmił białego kota, który czasem kręcił się przy domu o zmierzchu.

Następnego dnia zrobił to, co zawsze: wstał i poszedł do muzeum. Wrócił do domu, zjadł trochę suszonej wołowiny i położył się do łóżka. Powtarzał to raz za razem. Kiedy zaczął się rok szkolny, poszedł do szkoły. Odpowiadał na wszelką pocztę, jaka przychodziła do Black Elm. Żył na izotonikach i bułeczkach z kurczakiem z 7-Eleven. Zawstydział go fakt, że czasem bardziej tęskni za Bernadette niż za dziadkiem.

Pewnego dnia wrócił do domu, włączył światło w kuchni i odkrył, że odłączono mu prąd. Wyciągnął wszystkie koce i stare futro dziadka ze strychu i spał pod nimi. Patrzył, jak jego oddech rysuje się obłoczkiem w ciszy domu. Przez sześć długich tygodni żył w zimnie i ciemności, odrabiając lekcje przy świeczce, śpiąc w starych ubraniach narciarskich, które odkrył w kufrze.

Kiedy przyszły święta Bożego Narodzenia, rodzice zjawili się u frontowych drzwi Black Elm z uśmiechami i różnymi policzkami, obładowani prezentami i torbami z Dean & DeLuca, a za nimi na podjeździe stał jaguar. Danny zamknął drzwi na zasuwę i nie wpuścił ich do środka. Popełnili błąd, pokazując mu, że zdoła przetrwać.

Danny pracował w jadłodajni. Dostał pracę przy wykładaniu obornika i nasion w Edgerton Park. Sprawdzał bilety w Lyric Hall. Sprzedał ubrania i meble ze strychu. To wystarczyło, żeby miał co jeść i opłacić prąd. Nigdy nie zapraszał kolegów. Nie chciał, żeby pytano go o rodziców i dociekano, co nastolatek robi sam w wielkim, pustym domu. Odpowiedź, której nie mógł udzielić, brzmiała prosto: dbał o ten dom. Utrzymawał Black Elm przy życiu. Gdyby odszedł, dom by umarł.

Minął rok. Potem następny. Danny sobie radził. Nie wiedział jednak, jak długo pociągnie. Nie był pewien, co go czeka. Nie wiedział, czy będzie go stać na złożenie papierów do college'u razem z przyjaciółmi. Zamierzał wziąć rok przerwy. Pracować, poczekać na pieniądze z funduszu. A potem co? Nie miał pojęcia. Nie wiedział i bał się, bo miał siedemnaście lat i już był zmęczony. Nigdy nie uważał, że życie jest długie, ale teraz tak to odbierał.

Później, gdy patrzył na zaistniałe wydarzenia, Danny nie bardzo wiedział, co zamierzał zrobić tamtej nocy na początku lipca. Od tygodni bywał w Beinecke i u Peabody'ego, badając eliksiry. Spędził długie noce, gromadząc składniki i zamawiając to, czego nie mógł sam wyszukać lub ukraść. Potem zaczął warzyć. Przez trzydzieści sześć godzin bez przerwy pracował w kuchni, drzemiąc, kiedy się dało, ustawiając budzik, żeby obudził go przed następnym etapem przygotowań. Kiedy wreszcie spojrzął na gęsty, podobny do smoły syrop na dnie zniszczonego żeliwnego garnka firmy Le Creuset, który został po Bernadette, zawahał się. Wiedział, że kusi się o coś niebezpiecznego. Nie miał jednak już w co wierzyć. Została mu tylko magia. Był chłopcem, który szukał przygody, a nie który sięgał po truciznę.

Znalazł go na schodach kurier UPS następnego ranka; krew płynęła mu z oczu i ust. Udało mu się wyjść przez kuchenne drzwi, zanim padł.

Danny obudził się w szpitalnym łóżku. Obok niego siedział mężczyzna w tweedowej marynarce i pasiastym szaliku.

– Nazywam się Elliot Sandow – przedstawił się. – Mam dla ciebie propozycję.

Magia prawie go zabiła, ale ostatecznie go uratowała. Zupełnie jak w bajce.

14

ZIMA

Alex zwinęła się na siedzisku w oknie Klitki, a Dawes przyniosła jej kubek gorącej czekolady. Położyła wyśmienitą piankę na wierzchu – taką, co wygląda jak z grubsza ociosany kamień z kamieniołomów.

– Poszłaś do zaświatów – powiedziała Dawes. – Zasłużyłaś sobie na coś smakowitego.

– Nie aż do samych zaświatów.

– To oddawaj piankę.

Powiedziała to nieśmiało, jakby bała się żartować, a Alex demonstracyjnie przytuliła kubek, podejmując grę. Polubiła taką Dawes i pomyślała, że może ta sympatia jest odwzajemniona.

– Jak było?

Alex spojrzała na dachy w świetle późnego poranka. Widziała stąd mansardy siedziby Wilczego Łba i część zarośniętego bluszczem podwórza na tyłach, niebieski kosz oparty krzywo o ścianę. To wyglądało tak zwyczajnie.

Odstawiła kanapkę z bekonem i jajkiem. Zwykle była w stanie jeść za dwoje, nadal jednak czuła wciągający nurt rzeki i to osłabiało jej apetyt. Naprawdę tam przeszła? Ile z tego było iluzją, a ile prawdą? Opisała to najlepiej, jak potrafiła, i wyjaśniła, czego potrzebował Pan Młody.

Gdy skończyła, Dawes powiedziała:

– Nie możesz iść do mieszkania Tary Hutchins.

Alex wzięła kanapkę.

– Właśnie opowiedziałam ci o kontakcie z umarłym w rzece pełnej złotoookich krokodyli, a ty tylko tyle masz mi do powiedzenia?

Najwyraźniej jednak Dawes miała już dość przygód.

– Jeśli dziekan Sandow dowie się, co zrobiłaś Salome, żebyśmy weszły do świątyni...

– Salome może się poskarżyć przyjaciółom, ale nie wyciągnie prawdziwej artylerii. Wpuszczenie nas do świątyni, kradzież z siedziby Zwoju i Klucza... to za dużo.

– A jeśli jednak to zrobi?

– To wszystkiemu zaprzeczę.

– I chcesz, żebym ja też zaprzeczyła?

– Chcę, żebyś zastanowiła się nad tym, co tu jest ważne.

– Zamierzasz mi grozić? – Dawes patrzyła w kubek z kakao, nie przestając mieszać w nim łyżeczką.

– Nie. A boisz się, że będę?

Łyżeczka zamarła. Dawes podniosła wzrok. Jej oczy miały ciepły odcień ciemnej kawy, słońce padło na jej niechlujny kok, przez co czerwony blask jej włosów mocniej zapłonął.

– Chyba nie – odpowiedziała, jakby sama była zaskoczona tym faktem. – Twoja reakcja była... skrajna, ale Salome źle postąpiła. – Bezwzględne oblicze Dawes. – Mimo to jeśli dziekan się dowie, że zawarłaś umowę z Szarym...

– Nie dowie się.

– Ale jeśli...

– Boisz się, że wytknie ci, że mi pomogłaś. Nie martw się. Nie doniosę na ciebie. Tyle że Salome cię widziała. Możliwe, że ją też będziesz musiała uciszyć.

Dawes wytrzeszczyła oczy, a potem zrozumiała, że Alex żartuje.

– Ach, jasne. Po prostu... naprawdę potrzebuję tej pracy.

– Rozumiem. – Może nawet lepiej niż ktokolwiek inny, kto siedział pod tym dachem. – Niestety potrzebuję czegoś, co należało do Tary. Pójdę do jej mieszkania.

– A wiesz w ogóle, gdzie mieszkała?

– Nie – przyznała Alex.

– Jeśli detektyw Turner się dowie...

– Czego dowie się Turner? Że przeszłam połowę drogi do zaświatów, żeby porozmawiać z duchem? Jestem prawie pewna, że to nie liczy się jako manipulowanie świadkiem.

– Jednak pójdzie do mieszkania Tary, grzebanie w jej rzeczach... to kradzież z włamaniem. To zakłócanie śledztwa. Możesz zostać aresztowana.

– Tylko jeśli mnie złapią.

Dawes zdecydowanie pokręciła głową.

– Przekraczasz granicę. I nie mogę ci towarzyszyć, jeśli masz narazić nie tylko nas, ale i Lete. Detektyw Turner nie chce, żebyś się mieszała, i robi wszystko, żeby chronić swoją sprawę.

– Słuszna uwaga – przyznała Alex, zastanawiając się.

Może więc zamiast działać za jego plecami, powinna zwrócić się bezpośrednio do niego.

Alex chciałaby ukryć się w Klitce i pozwolić, żeby Dawes robiła jej kakao. Nie miałyby nic przeciwko temu, żeby trochę jej pomatковано. Musiała jednak wrócić do Starego Kampusu, odnowić związki ze zwyczajnym światem, zanim wymkną jej się rzeczy, które naprawdę się liczą.

Zostawiła Dawes przed wydziałem aktorskim, ale wcześniej zapytała o imię, które usłyszała wypowiedziane na pograniczu – a przynajmniej tak jej się wydawało.

– Jean Du Monde? A może Jonathan Desmond?

– Nic mi to nie mówi – odpowiedziała Dawes – ale poszukam trochę i sprawdzę, co biblioteka ma do powiedzenia, gdy już wrócę do Il Bastone.

Alex zawahała się, a potem powiedziała:

– Uważaj na siebie. Miej oczy otwarte.

Dawes zamruwała zdziwiona.

– Dlaczego? Jestem nikiem.

– Jesteś Lete i żyjesz. Nie jesteś nikiem.

Dawes znowu zamruwała, jak mechanizm czekający na obrót kółka zębatego, aż właściwy trybik zaskoczy i wreszcie znowu będzie mogła się ruszać. Potem oprzytomniała i ściągnęła brwi.

– Widziałś go? – zapytała, patrząc w ziemię. – Po drugiej stronie?

Alex pokręciła głową.

– North twierdzi, że go tam nie ma.

– To musi być dobry znak – uznała Dawes. – W środę przywołamy go z powrotem. Sprowadzimy do domu. Darlington będzie wiedział, co z tym wszystkim zrobić.

Może, ale Alex nie zamierzała ryzykować własnego życia, czekając.

– Dużo wiesz na temat sprawy Pana Młodego? – spytała.

Tylko dlatego, że znała jego nazwisko, nie zamierzała z niego stale korzystać. To by jedynie wzmocniło więź.

Dawes wzruszyła ramionami.

– To punkt wszystkich wycieczek dla łowców duchów w Connecticut obok Jennie Cramer i domu w Southington.

– Gdzie się to wydarzyło?

– Nie jestem pewna. Nie lubię czytać o takich rzeczach.

– Źle wybrałaś sobie pracę. – Alex przechyliła głowę. – Czy raczej ona wybrała ciebie?

Przypomniała sobie historię Darlingtona o przebudzeniu w szpitalnym łóżku, gdy miał siedemnaście lat, kroplówkę w jednej ręce i wizytówkę dziekana Sandowa w drugiej. To ich łączyło, chociaż nigdy tego w ten sposób nie odbierała.

– Zainteresowali się mną z powodu tematu mojej pracy doktorskiej. Nadawałam się do prowadzenia badań. To była nudna robota, dopóki... – Urwała. Jej ramiona drgnęły, jakby szarpnięte sznurkami. Aż do Darlingtona. Dawes otarła oczy dłońmi w rękawiczkach z jednym palcem. – Dam ci znać, jeśli się czegoś dowiem.

– Dawes... – zaczęła Alex, ale Dawes już odeszła w stronę Klitki.

Alex rozejrzała się, mając nadzieję zobaczyć Pana Młodego. Zastanawiała się, czy *gluma* albo jej pan wiedzą, że ona przeżyła, czy za rogiem nie czeka kolejna zasadzka. Musiała wracać do akademika.

Pomyślała o cytacie z *Idylls of the King*, który wypowiedział Pan Młody, o złowieszczym ciężarze słów. Jeśli dobrze pamiętała, pochodził z fragmentu o romansie Gerainta z Enidą, mężczyzny oszalałego z zazdrości, chociaż jego żona pozostała mu wierna. Nie napełniało to jej wiarą. „Prędzej umrę niż zwątpię”. Dlaczego Tara wybrała sobie tę linijkę na tatuaż? Identyfikowała się z Enidą czy po prostu podobało jej się brzmienie słów? I dlaczego ktoś ze Zwoju i Klucza podzielił się nimi z Tarą? Alex nie wyobrażała sobie, żeby któryś z Kluczników podziękował jej za wyjątkowo udany odlot wycieczką po grobowcu i wykładem ze związanej z nim mitologii. I nawet jeśli Alex nie robiła z muchy słonia, to jak sprzedanie trawki paru studentom mogło zamienić się w morderstwo? Musiało tu wchodzić w grę coś więcej.

Alex przypomniała sobie Tarę, jak leżała na plecach na skrzyżowaniu. I jak widziała ostatnie chwile Tary jej własnymi oczami, twarz Lance'a w górze. A jeśli to nie był Lance? A jeśli to był jakiś urok?

Skręciła w High Street i poszła w kierunku jadalni w Hopper College. Marzyło jej się bezpieczeństwo własnego akademika, ale odpowiedzi będą ją lepiej chronić niż magiczne zabezpieczenia. Chociaż Turner ostrzegł ją, żeby nie rozmawiała z Trippem, to było jedyne imię, które bezpośrednio wiązało Tarę ze stowarzyszeniami.

Było jeszcze wcześniej, ale oczywiście zobaczyła go tam – siedział przy długim stole z kumplami, wszyscy w luźnych szortach, bejsbolówkach i polarach. Wszyscy mieli zaróżowione policzki i wyglądali jak wysmagani wiatrem, chociaż wiedziała, że muszą być skacowani. Najwyraźniej zamożność jest lepsza od witaminowych zastrzyków. Darlingtona ulepiono z tej samej

bogatej gliny, ale on miał prawdziwą twarz, w której kryła się odrobina bezwzględności.

Podeszła i zobaczyła, że kumple Trippa patrzą na nią, oceniają i odrzucają. Wzięła prysznic w Klitce, przebrała się w dres Lete i uczesała. Po tym, jak wypchnięto ją pod koła samochodów, a potem topiono, była winna ludziom odrobinę wysiłku.

– Cześć, Tripp – rzuciła swobodnym tonem. – Masz minutkę?

Odwrócił się do niej.

– Chcesz mnie zaprosić na studniówkę?

– To zależy. A nie będziesz się stawiać i dasz się zaliczyć? – Kumple Trippa zareagowali aplauzem, jeden rzucił przeciągle: „W mordę kopane!”. Teraz wszyscy na nią patrzyli. – Muszę porozmawiać z tobą o tamtych zadaniach.

Tripp zaczerwienił się, ale zaraz się wyprostował i wstał.

– Jasne.

– Tylko przyprowadź go do domu o przyzwoitej porze – powiedział jeden z jego kumpli.

– A co? Liczysz na resztki?

Znowu skwitowali to aplauzem i klasnęli w ręce, jakby się wykazała.

– Masz paskudne zagrywki, Stern – rzucił Tripp, gdy wyciągała go z jadalni. – To mi się podoba.

– Chodź tu – powiedziała tylko.

Poprowadziła go schodami na górę, obok witraży w oknach przedstawiających życie na plantacji, które przetrwały zmianę patrona college’u z Calhouna, uważającego niewolnictwo za coś zdecydowanie dobrego, na Hopper. Kilka lat temu czarny woźny stłukł jeden z nich.

Wyraz twarzy Trippa zmienił się, usta wykrzywił mu szelmowski uśmiech.

– Co jest, Stern? – zapytał, gdy weszli do czytelnicy.

Była całkiem pusta.

Alex zamknęła za nimi drzwi, a jego uśmiech się poszerzył – jakby naprawdę myślał, że zamierza się do niego dobierać.

– Skąd znasz Tarę Hutchins?

– Co?

– Skąd ją znasz? Widziałam jej historię połączeń w telefonie – skłamała. – Wiem, jak często się kontaktowaliście.

Skrzywił się i oparł o skórzaną kanapę, krzyżując ręce. Dąsy nie pasowały do niego. Zmieniały jego krągłe chłopięce rysy ze słodkich w buzię rozgniewanego malucha.

– Robisz teraz za glinę?

Podeszła do niego i zauważyła, że zeszywniał, nie pozwalając sobie na to, żeby się cofnąć. W jego świecie zawsze chodziło o odroczenie, uniki. Nie podchodziło się do nikogo bezpośrednio. Nie patrzyło się nikomu w oczy. Trzeba było zachować luz. Wszystko jest w porządku. Można nawet zażartować.

– Nie każ mi mówić, że stanowią prawo, Tripp. Już bez tego ledwie zachowuję powagę.

Zmrużył oczy.

– O co ci chodzi?

– Aż tak głupi jesteś?

Tripp rozdziawił usta. Dolną wargę miał wilgotną.

Czy kiedykolwiek ktoś odezwał się w taki sposób do Trippa Helmutha?

– Chodzi o martwą dziewczynę. Chcę wiedzieć, kim dla ciebie była.

– Już rozmawiałem z policją.

– A teraz rozmawiasz ze mną. O martwej dziewczynie.

– Nie muszę...

Pochyliła się ku niemu.

– Wiesz, jak to działa, prawda? Moim zadaniem, zadaniem Domu Lete, jest pilnować, żeby takie uprzywilejowane gnojki jak ty nie narobiły administracji kłopotu.

– Dlaczego pogrywasz tak ostro? Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi.

Jasne, bo tyle razy graliśmy razem w piwnego ping ponga i wspólnie spędziliśmy lato w Biarritz? Naprawdę nie znał różnicy między przyjaciółmi a przyjaznym zachowaniem?

– Jesteśmy przyjaciółmi, Tripp. Gdybym nie była twoją przyjaciółką, to już poszłabym z tym do dziekana Sandowa, ale nie chcę robić zamieszania i nie chcę narobić kłopotów tobie albo Kościom, jeśli nie muszę.

Wzruszył szerokimi ramionami.

– To nie było nic poważnego.

– Tara nie robi wrażenia kogoś w twoim typie.

– Nie znasz mojego typu.

Naprawdę zamierzał flirtem wyślizgać się z tego? Spojrzała mu w oczy, więc odwrócił wzrok.

– Dobrze się przy niej bawiłem – mruknął.

Po raz pierwszy Alex miała wrażenie, że Tripp jest szczery.

– Na pewno – powiedziała łagodnie. – Zawsze się uśmiechała, zawsze cieszyła się na twój widok.

Na tym polega dilowanie. Tripp pewnie nie rozumiał, że był tylko klientem, że był kumplem, dopóki miał kasę pod ręką.

– Była miła. – Czy w ogóle przejął się jej śmiercią? Czy w jego oczach było więcej udręki niż tylko kac, czy może Alex chciała wierzyć, że chociaż trochę się przejął? – Przysięgam, że tylko pieprzyliśmy się i wypalaliśmy parę fajek towaru.

– Bywałeś kiedykolwiek u niej?

Pokręcił głową.

– Zawsze wpadała do mnie.

Oczywiście poznanie jej adresu nie mogło być aż tak proste.

– Widywałeś ją kiedykolwiek z kimś z innych stowarzyszeń?

Znowu wzruszył ramionami.

– Nie wiem. Słuchaj, Lance i Tara dilowali. Mieli najlepsze zioło, jakie w życiu paliłem, najbujniejszy, najzieleńszy towar pod słońcem. Nie pilnowałem, z kim się spotykała.

– Pytałam, czy ją z kimś widziałeś.

Trochę bardziej pochylił głowę.

– Dlaczego taka jesteś?

– Ej – powiedziała łagodnie i ścisnęła mocniej jego ramię. – Wiesz, że nie masz kłopotów, nie? Wszystko będzie dobrze.

Poczuła, że część napięcia z niego uchodzi.

– Zachowujesz się tak podle.

Była rozdarta: chciała go spoliczkować i jednocześnie położyć do łóżka z ulubionym kocykiem i kubkiem ciepłego mleczka.

– Po prostu próbuję się czegoś dowiedzieć, Tripp. Wiesz, jak to jest. Po prostu próbuję wykonać swoją robotę.

– Rozumiem, jasne.

Wątpiła w to, ale on znał swoją rolę: zwykłego gościa, który ciężko pracuje i ciężko się opieprza.

Chwyciła go mocniej za ramię.

– Musisz zrozumieć sytuację. Dziewczyna umarła. A ci ludzie, z którymi się kontaktowała? To nie są twoi przyjaciele, a ty nie będziesz odgrywał twardziela, gościa, który nie kapuje. Ani nie będziesz odstawiał żadnych głównianych numerów z filmów, bo to nie jest film, tylko twoje życie, a ty masz dobre życie i nie zamierzasz go sobie spieprzyć, nie?

Tripp nie odrywał oczu od butów.

– Jasne, pewnie. Jasne.

Miała wrażenie, że chłopak zaraz się rozplacze.

– To kogo widziałeś z Tarą?

Kiedy Tripp skończył mówić, Alex się odchyliła.

– Tripp?

– No? – Nadal patrzył na buty, idiotyczne plastikowe sandały, jakby lato nigdy nie kończyło się dla Trippa Helmutha.

– Tripp – powtórzyła i poczekała, aż podniesie wzrok i spojrzy jej w oczy. Uśmiechnęła się. – To wszystko. Skończyliśmy. To koniec.

Nie musisz już więcej myśleć o tej dziewczynie. Jak ją pieprzyłeś i o niej zapomniałeś. Jak myślałeś, że da ci lepszą cenę, jeśli jej zrobisz dobrze. Jak cię rajcowało bycie z kimś, kto wydawał się odrobinie niebezpieczny.

– Wszystko gra? – zapytała.

To był język, który rozumiał.

– Jasne.

– Nie pozwolę, żeby to zaszło dalej, obiecuję.

I wtedy wypowiedział to słowo i Alex wiedziała, że nikomu nie powie o ich rozmowie, ani kumplom, ani Kościejom.

– Dzięki.

Na tym polegała sztuczka: sprawić, żeby uznał, że ma więcej do stracenia niż ona.

– I jeszcze jedno – dodała, gdy chciał już czmychnąć z powrotem do jadalni.
– Masz rower?

Alex pedałowala trawnikami, minęła trzy kościoły, a potem pojechała State Street i pod autostradą. Miała około dwustu stron do przeczytania, jeśli nie chciała narobić sobie zaległości w tym tygodniu, i prawdopodobnie polował na nią potwór, ale w tej chwili musiała porozmawiać z detektywem Ablem Turnerem.

Kiedy już opuściła kampus, New Haven traciło pretensje do elegancji zrywami – sklepy za dolara i obskurne bary dzieliły przestrzeń z delikatesami i eleganckimi kawiarniami; tanie salony manikiurzystek i pawilony z telefonami komórkowymi stały obok ekskluzywnych chińskich barów i butików sprzedających małe, do niczego nieprzydatne mydełka. To niepokoiło Alex, jakby tożsamość miasta rozmywała się na jej oczach.

State Street to był długi odcinek niczego – parkingi, linie energetyczne, torry biegnące na wschód, a komisariat wyglądał równie źle – brzydki, przysadzisty budynek z kamienia w kolorze owsianki. W całym mieście istniały takie martwe przestrzenie, kwartały masywnych betonowych monolitów stojących nad pustymi placami – jak rysunek przyszłości z przeszłości.

– Brutalizm – nazwał to kiedyś Darlington, a Alex powiedziała wtedy:

– Rzeczywiście ma się wrażenie, że budynki zmawiają się przeciwko człowiekowi.

– Nie – poprawił ją. – To od francuskiego brut, co znaczy „surowy”, ponieważ architekci posługiwali się nagim betonem. Ale racja, ma się takie odczucie.

Były tu wcześniej slumsy, ale potem do New Haven napłynęły pieniądze w ramach programu Model Cities.

– Mieli w ten sposób wszystko uprzętać, ale wybudowali budynki, w których nikt nie chciał przebywać. A potem pieniądze się skończyły i w New Haven zostały takie... dziury.

„Rany – pomyślała wtedy Alex. Bo dla niej miasto to żywy organizm.

Spojrzała na swój telefon. Turner nie odpowiedział na jej wiadomości. Nie zebrała się na odwagę, żeby zadzwonić, ale teraz dotarła na miejsce i nie pozostało jej nic innego do zrobienia. Kiedy nie odebrał, rozłączyła się i znowu wybrała jego numer. A potem jeszcze raz. Nie była w pobliżu komisariatu od śmierci Hellie. Nie tylko ona umarła tamtej nocy. Jednak myślenie o tym w jakikolwiek inny sposób, myślenie o krwi, o bladym budynku mózgu Lena na krawędzi kuchennego blatu sprawiało, że jej umysł śmigał spanikowany po czaszce jak spłoszone zwierzę.

W końcu Turner odebrał.

– W czym mogę pomóc, Alex? – Głos miał przyjemny, zatroskany, jakby z nikim innym bardziej nie chciał porozmawiać.

„Odpowiedz na moje cholerne wiadomości”.

Odchrząknęła.

– Cześć. Chciałabym porozmawiać o Tarze Hutchins.

Turner zarechotał, nie dało się tego inaczej określić – to był pobłaźliwy śmiech siedemdziesięcioletniego dziadka, chociaż Turner nie mógł mieć więcej niż nieco ponad trzydziestkę. Zawsze tak się zachowywał w biurze?

– Alex, wiesz, że nie mogę rozmawiać o śledztwie, które trwa.

– Stoję pod komisariatem.

Pauza. Głos Turnera nieco się zmienił, kiedy w końcu odpowiedział; uszła z niego część wesołego ciepła.

– Gdzie?

– Po drugiej stronie ulicy.

Kolejna długa pauza.

– Dworzec za pięć minut.

Alex poprowadziła rower Trippa przecnicę dalej, do Union Station. Powietrze było łagodne, wilgotne, zapowiadało śnieg. Nie była pewna, czy

spociała się z powodu jazdy, czy dlatego, że nigdy nie przywyknie do rozmów z gliniarzami.

Oparła rower o ścianę na parkingu i usiadła na niskiej betonowej ławce, żeby poczekać. Szary w samych bokserkach minął ją pośpiesznie, sprawdzając zegarek. Uwijał się, jakby się bał, że ucieknie mu pociąg. „Na ten nie zdążysz, stary. Ani na żaden następny”.

Przeglądała telefon, zerkając jednym okiem na ulicę, i szukała informacji na temat Bertrama Boyce’a Northa. Chciała mieć jakiś kontekst, zanim zacznie zadawać bibliotece Lete pytania.

Na szczęście znalazła mnóstwo informacji w Internecie. North i jego narzeczona byli na swój sposób sławni. W 1854 roku North i młodziutka Daisy Fanning Whitlock zostali znalezieni martwi w biurach fabryki powozów North i Synowie, którą dawno temu zburzono. Ich portrety kryły się pod pierwszym linkiem pod hasłem „New Haven” na stronie poświęconej duchom w Connecticut. North był poważny i przystojny, włosy miał schludniej uczesane za życia niż po śmierci. Drugą różnicą była czysta biała koszula, bez plam krwi. Coś zimnego prześlizgnęło jej się po kręgosłupie. Czasem zapominała, że widzi umarłego, mimo krwi na jego eleganckim garniturze i koszuli. Gdy zobaczyła to sztywne czarno-białe zdjęcie, poczuła coś innego. „On rozkłada się w grobie – pomyślała. – Jest szkieletem, który obrócił się w pył”. Mogłaby odkopać jego szczątki. Mogliby stanąć na krawędzi jego grobu i zdumiewać się widokiem jego kości. Alex próbowała pozbyć się tego obrazu z głowy.

Daisy Whitlock była piękna w typowy dla dziewcząt tamtego okresu sposób – ciemnowłosa i kamiennooka. Przechylała lekko głowę, na ustach pełzała jej zaledwie sugestia uśmiechu, włosy miała uczesane z przedziałkiem pośrodku i ułożone w pętle odsłaniające szyję. Miała szczupłą talię, a jej białe ramiona wynurzały się z piany falbanek, w delikatnych dłoniach ścisnęła bukiet chryzantem i róż.

Jeśli chodzi o fabrykę, w której doszło do morderstwa, jej budowa nie została wtedy jeszcze ukończona i tak już zostało. Firma North i Synowie przeniosła się do Bostonu i prowadziła interesy do początku XX wieku. Nie było żadnych zdjęć z miejsca przestępstwa, tylko drastyczne opisy krwi, zgrozy i pistoletu – pistoletu, który North trzymał w gabinecie na wypadek napadu. I który nadal ścisnął w ręce po śmierci.

Ciała znalazła pokojówka Daisy, kobieta imieniem Gladys O’Donaghue, która wybiegła z krzykiem na ulicę. Znalaziono ją rozhisteryzowaną prawie pół mili dalej, na rogu Chapel i High Street. Nawet po uspokajającej dawce brandy niewiele była w stanie powiedzieć policji. Miejsce przestępstwa wydawało się oczywiste, tylko motyw intrygował. Istniały teorie, że Daisy była w ciąży

z innym mężczyzną, a jej rodzina wyciszyła to po morderstwach, żeby uniknąć kolejnego skandalu. Jeden z komentatorów zasugerował, że North oszalał z powodu zatrucia rtęcią, do którego doszło, ponieważ spędzał dużo czasu w pobliżu fabryki kapeluszy w Danbury. Najprostsza teoria była taka, że Daisy chciała zerwać zaręczyny, a North nie zamierzał się zgodzić. Jego rodzina potrzebowała zastrzyku pieniędzy od Whitlocków, a North chciał mieć Daisy. Była ulubienicą miejscowej kolumny towarzyskiej i słynęła jako dziewczyna śmiała, skłonna do flirtów i niekiedy nieco skandalizująca.

– Już cię lubię – mruknęła Alex.

Przewinęła na mapy z zaznaczonymi grobami Daisy i Northa i właśnie próbowała powiększyć artykuł ze starej gazety, kiedy pojawił się Turner.

Nie zwracał sobie głowy wkładaniem płaszcza. Pewnie nie zamierzał zostać dłużej. Mimo to potrafił się ubrać. Nosił prosty grafitowy garnitur, elegancko skrojony, a Alex zauważyła gustowne niuanse: poszetka, lawendowe prążki na krawacie. Darlington zawsze wyglądał dobrze, ale osiągał to bez wysiłku. Turner nie bał się zdradzić, że się stara.

Zaciskał zęby, miał zasznurowane usta. Dopiero kiedy zobaczył Alex, powróciła maska dyplomaty. Całe jego zachowanie zmieniło się, nie tylko wyraz twarzy. Jego sylwetka wydawała się rozluźniona, promieniował spokojem, jakby rozładował napięcie, które chwilę temu go ożywiało.

Usiadł obok Alex na ławce i oparł łokcie na kolanach.

– Muszę cię prosić, żebyś nie pojawiała się w miejscu mojej pracy.

– Nie odpowiadał pan na moje wiadomości.

– Dużo się dzieje. Prowadzę właśnie śledztwo w sprawie morderstwa, jak sama wiesz.

– W grę wchodzi albo komisariat, albo pański dom.

To bez mała elektryczne napięcie natychmiast wróciło do jego ciała i Alex poczuła satysfakcję, że jest w stanie go wkurzyć.

– Pewnie Lete ma wszystkie moje dane – powiedział.

Dom Lete z pewnością wiedział wszystko na jego temat, od numeru ubezpieczenia po ulubiony rodzaj porno, ale nikt nie zaproponował jej zajrzenia do jego teczki. Nie wiedziała nawet, czy Turner mieszka w samym New Haven. Sprawdził telefon.

– Mam jakieś dziesięć minut dla ciebie.

– Chciałabym, żeby pozwolił mi pan porozmawiać z Lance'em Gressangiem.

– Jasne. Może chciałabyś też zająć się jego oskarżeniem?

– Tara była powiązana nie tylko z Trippem Helmutem. Ona i Lance sprzedawali towar także członkom Zwoju i Klucza oraz Manuskryptu. Mam

nazwiska.

– Mów dalej.

– To nie jest coś, co mogę ujawnić.

Twarz Turnera niczego nie wyrażała, lecz Alex czuła, jak z każdą minutą, kiedy był zmuszony poświęcać jej czas, narasta w nim niechęć. Doskonale.

– Przychodzisz do mnie po informacje, ale nie zamierzasz podzielić się swoimi?

– Proszę pozwolić mi porozmawiać z Gressangiem.

– To główny podejrzany w morderstwie. Rozumiesz to, prawda? – Przez twarz przemknął mu pełen niedowierzania uśmiech.

Naprawdę uważał ją za głupią. Nie, za uprzywilejowaną. Jeszcze jeden Tripp. Może kolejny Darlington. I bardziej mu się podobała taka wersja jej osoby niż ta, którą spotkał w kostnicy. Bo tę wersję dało się zastraszyć.

– Wystarczy mi tylko pięciu minut – powiedziała proszącym tonem. – Tak naprawdę nie potrzebuję pańskiego pozwolenia. Mogę poprosić o rozmowę poprzez jego prawnika, powiedzieć, że znałam Tarę.

Turner pokręcił głową.

– Nie. Zaraz po tym spotkaniu zadzwonię do niego i powiem, że pewna wariatka próbuje się wkręcić do śledztwa. Może pokażę mu nagranie, jak biegasz po Elm Street jak świr.

Ogarnął ją wstyd na myśl o tym, jak wiała się na środku ulicy, a samochody musiały ją omijać. Czyli Sandow pokazał nagranie Turnerowi. Podzielił się z nim też innymi informacjami? Na myśl, że profesor Belbalm mogła to zobaczyć, żołądek jej się zacisnął. Nic dziwnego, że detektyw był dzisiaj podwójnie zadowolony z siebie. Nie uważał jej jedynie za głupią. Myślał, że jest nieźrównoważona. Jeszcze lepiej.

– O co pan robi takie wielkie halo?

Turner poruszył palcami na idealnie wyprasowanej nogawce spodni.

– Wielkie halo? Nie mogę cię tam po prostu wprowadzić ukradkiem. Wszyscy odwiedzający więzienie muszą zostać zarejestrowani. Muszę mieć dobry oficjalny powód, żeby cię tam wprowadzić. Jego prawnicy muszą być przy rozmowie. Całość trzeba będzie nagrać.

– Chce mi pan wmówić, że gliniarze nigdy nie łamią zasad?

– Policja – poprawił ją z naciskiem. – A jeśli nagnę zasady i obrona się dowie, Lance Gressang wywinie się z morderstwa, a ja stracę pracę.

– Ale kiedy poszłam do mieszkania Tary...

Turner spojrział na nią gwałtownie; oczy mu płonęły, zniknęły wszelkie pozory dyplomacji.

– Byłaś u niej w domu? Jeśli przeszłaś mimo taśmy...

– Musiałam wiedzieć, czy...

Poderwał się na równe nogi. To był prawdziwy Turner: młody, ambitny, zmuszony tańczyć, jak mu zagrano, żeby dojść do czegoś w tym świecie, czego miał już serdecznie dość. Zaczął krążyć w tę i z powrotem przed ławką, a potem wskazał Alex palcem.

– Trzymaj się, kurwa, z dala od tej sprawy!

– Turner...

– Detektywie Turner! Nie namieszasz w moim śledztwie. Jeśli zobaczę cię choćby w okolicy Woodland, spierdolę ci życie tak bardzo, że już nigdy w życiu go nie naprostujesz.

– Dlaczego pogrywasz tak ostro? – jęknęła, kradnąc tekst Trippa.

– To nie jest zabawa. Musisz zrozumieć, z jaką łatwością mógłbym zniszczyć ci życie, znaleźć mały zapasik trawki albo prochów przy tobie lub w twoim pokoju w akademiku. Niech to do ciebie dotrze.

– Nie może pan tak po prostu... – zaczęła Alex, wytrzeszczając oczy. Usta jej zadrżały.

– Zrobię to, co będę musiał. A teraz wynoś się stąd. Nie masz pojęcia, po jak kruchym lodzie stąpasz, więc nie naciskaj na mnie.

– Rozumiem, w porządku – mruknięła potulnie Alex. – Przepraszam.

– Z kim Tripp mówił, że widział Tarę?

Alex nie miała nic przeciwko ujawnieniu nazwisk. Od początku zamierzała to zrobić. Turner musiał wiedzieć, że Tara sprzedawała narkotyki studentom, którzy nie widnieli w jej telefonie, bo posługiwała się telefonem do wyrzucenia albo komórką, którą Lance schował albo zniszczył. Spojrzała na ręce w rękawiczkach i powiedziała cicho:

– Z Kate Masters i Colinem Khatrim.

Kate należała do Manuskryptu, ale Alex prawie jej nie знаła. Ostatni raz rozmawiała z nią w Halloween, kiedy Kate razem z Mike'em Awolowo błagali, żeby nie wsypała ich przed Lete, że otumanili Darlingtona. Była przebrana za Poison Ivy. Colina jednak znała. Pracował dla Belbalm i należał do Zwoju i Klucza. Był słodki i schludny, w stu procentach chłopczyk z dobrego domu. Wyobrażała go sobie, jak rozluźnia się z butelką szokująco drogiego wina, a nie popalając zioło w małym pomieszczeniu, żeby maksymalnie wykorzystać dym. Wiedziała jednak z czasów w Strefie Zero, że pozory mogą mylić.

Turner wygładził kłapy marynarki, przesunął dłońmi po gładkich skroniach. Alex patrzyła, jak odzyskuje nad sobą panowanie, a kiedy uśmiechnął się i mrugnął do niej, to wyglądało to tak, jakby głodnego i wściekłego Turnera nigdy tu nie było.

– Miło było porozmawiać, Alex. Daj mi znać, gdybym mógł być jeszcze kiedyś pomocny.

Odwrócił się i pomaszerował w stronę zwalistego komisariatu. Nie podobało jej się, że musiała skomleć przed Turnerem. Nie podobało jej się, że nazywano ją wariatką. Wiedziała jednak teraz, na jakiej ulicy mieszkała Tara, a reszta to już będzie łatwizna.

Kusiło ją, żeby pojechać prosto na Woodland Street i znaleźć mieszkanie Tary, ale nie chciała myszkować tam w niedzielę, kiedy ludzie są w domu, zamiast w pracy. Będzie musiała poczekać z tym do jutra. Miała nadzieję, że ktokolwiek nasłał na nią *glumę*, myślał, że Alex nadal chowa się w Klitce albo nie żyje. Jeśli jednak ktoś ją obserwował, miała nadzieję, że widział, iż rozmawiała z Turnerem. Uzna, że policja wie to, co ona wie, i nie będzie już powodu, żeby zamykać jej usta. Chyba że Turner sam w jakiś sposób jest w to uwikłany.

Alex otrząsnęła się z tej myśli, jadąc z powrotem ku bramie Hopper College. Ostrożność pomaga, ale paranoja rozprasza uwagę.

Napisała wiadomość do Trippa, dała mu znać, że zostawia rower w bramie, i poszła przez Stary Kampus, zastanawiając się nad powiązaniem Tary ze stowarzyszeniami. *gluma* sugerowała związek z Księżą i Wężem, ale na razie nie wyglądało na to, żeby Tara sprzedawała towar komukolwiek z tego stowarzyszenia. Tripp wiązał ją z Czaszką i Kośćmi, Colin i dziwny tatuaż łączył ją ze Zwojem i Kluczem, Kate Masters z Manuskryptem, Manuskrypt zaś specjalizował się w urokach. Jeśli ktoś był odziany w magię tamtej nocy i udawał Lance'a, to pewnie Manuskrypt brał w tym udział. To tłumaczyłoby, dlaczego Alex widziała twarz Lance'a we wspomnieniach Tary z morderstwa.

To wszystko jednak wymagało założenia, że informacje od Trippa są prawdziwe. Kiedy człowiek się boi, powie wszystko, byle wypłatać się z złej sytuacji. Kto jak kto, ale ona to wiedziała. I nie miała wątpliwości, że Tripp sprzedałby każdego, kto przyjdzie mu na myśl, byle wywinąć się z kłopotów. Pomyślała, że mogłaby pójść z tymi nazwiskami do Sandowa, wyjaśnić, że Turner będzie teraz sprawdzał alibi tych osób, i spróbować go przekonać, że Dom Lete powinien ponownie zaangażować się w śledztwo. Wtedy jednak musiałaby wyjaśnić, że wyciągnęła informacje od Kościeja.

Musiała też być szczerą z samą sobą. Coś w niej uwolniło się po ataku *glumy*: prawdziwa Alex zwinięta jak wąż w fałszywej skórze osoby, którą

udawała. Ta Alex zacisnęła szczęki na Salome, zastraszyła Trippa, manipulowała Turnerem. Musiała jednak być ostrożna. „To ważne, żeby widzieli w tobie zrównoważoną, wiarygodną osobę”. Nie chciała dać Sandowowi kolejnego pretekstu, żeby odciął ją od Lete i jej jedynej nadziei na pozostanie w Yale.

Poczuła ulgę, gdy weszła po schodach do Vanderbilt. Chciała znaleźć się za zabezpieczeniami akademika, zobaczyć Lauren i Mercy, porozmawiać o studiach i chłopakach. Chciała przespać się we własnym wąskim łóżku. Kiedy jednak weszła do ich pokoiów, pierwsze, co usłyszała, to płacz. Lauren i Mercy siedziały na kanapie. Lauren obejmowała Mercy i głaskała ją po plecach, a ta szlochała.

– Co się stało? – spytała Alex.

Mercy nie podniosła twarzy, a Lauren spojrzała gniewnie.

– Gdzieś ty była? – warknęła.

– Mama Darlingtona potrzebowała pomocy.

Lauren przewróciła oczami. Najwyraźniej rodzinna wymówka już dawno przestała działać.

Alex usiadła na podniszczonym stoliku do kawy, uderzając kolanami o kolana Mercy. Dziewczyna chowała głowę w dłoniach.

– Powiedz mi, co się dzieje.

– Mogę jej pokazać? – zapytała Lauren.

Mercy załkała.

– Czemu nie?

Lauren podała jej telefon Mercy. Alex odblokowała ekran i zobaczyła wiadomości od kogoś imieniem Blake.

– Blake Keely?

Grał w lacrosse’a, o ile dobrze pamiętała. Krążyły opowieści, że kopnął dzieciaka z przeciwnej drużyny w głowę podczas meczu w szkole średniej. Chłopak leżał wtedy na ziemi. Wszystkie college cofnęły mu stypendium. Wszystkie oprócz Yale. Drużyna lacrosse’a zdobywała mistrzostwo Ivy League przez cztery kolejne lata, a Blake pracował jako model dla Abercrombie & Fitch. Plakaty z nim wisały we wszystkich witrynach na Broadwayu, wielkie czarno-białe wizerunki, na których wynurzał się bez koszuli z górskiego jeziora, ciągnął bożonarodzeniowe drzewko przez ośnieżony las, tulił szczeniaka buldoga przy płonącym kominku.

„Ostra z ciebie laska. Wszyscy bracia to potwierdzają po wczorajszej nocy. Przyjdź znowu dziś wieczorem”. Dołączono do tego filmik.

Alex nie chciała go włączać, ale się zmusiła. Z telefonu buchnęły hałaśliwy śmiech i dudnienie basów. Blake powiedział: „Nooo, no, mamy taką śliczną dziewczynę, coś egzotycznego w menu na dzisiejszy wieczór, nie?”.

Kamera skierowała się na Mercy, która się roześmiała. Siedziała na kolanach innego chłopaka, aksamitną spódniczkę miała wysoko podciągniętą na udach, w rękę trzymała czerwony jednorazowy kubek. Jasna cholera, Omega Krach. Alex obiecała Mercy, że z nią pójdzie, ale całkiem zapomniała.

– Obejrzyj to w drugim pokoju – poprosiła Lauren, gdy Mercy znowu się rozpłakała.

Alex weszła pośpiesznie do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Łóżko Mercy było niepościelone. To jeszcze bardziej niż płacz świadczyło o jej cierpieniu.

Na filmie spódnicę Mercy podciągnięto aż do pasa i ściągnięto jej majtki.

– Jezu, popatrz na to futro! – Blake zachichotał; to był piskliwy, jazgotliwy dźwięk. Oczy mu łzawiły od śmiechu. – Na bank grzeczna dziewczynka. U ciebie wszystko w porządku, skarbie?

Mercy skinęła głową.

– Nie wypiął za dużo? Jesteś trzeźwa i zgodna, jak to się mówi?

– Ma się rozumieć.

Oczy Mercy błyszczały, patrzyła żywo, czujnie, nie miała szklistych oczu ani ciężkich powiek. Nie robiła wrażenia pijanej ani naćpanej.

– Na kolana, skarbie. Idziemy na lody.

Mercy uklękła. Jej ciemne oczy były wilgotne i szeroko otwarte. Otworzyła usta. Język miała fioletowy od ponczu. Alex zatrzymała film. Nie, nie od ponczu. Znała ten kolor. Tak wyglądali służący tamtej nocy w Manuskrypcie. To serwilis, narkotyk służby, który przyjmowali akolici, żeby wyzbyć się własnej woli.

Drzwi otworzyły się i do środka wślizgnęła się Lauren.

– Nie pozwoli, żebym zabrała ją do przychodni.

– To gwałciciele. Powinniśmy zadzwonić na policję.

Przynajmniej do tego gliny mogłyby się przydać.

– Widziałaś nagranie. Powiedziała mi, że prawie nic nie piła.

– Nafaszerowali ją czymś innym.

– Też tak pomyślałam, ale nie zachowuje się jak naćpana. Nie wygląda na naćpaną. Obejrzałaś film?

– Część. Jak źle to wygląda?

– Źle.

– Ilu chłopaków?

– Tylko dwóch. Ona myśli, że Blake to roześle do swoich kumpli, o ile już tego nie zrobił. Dlaczego z nią nie poszłaś?

„Bo zapomniałam”. Alex nie chciała tego powiedzieć. Owszem, zamordowano dziewczynę i Alex została zaatakowana, ale ostatecznie nawet nie pomyślała o Mercy. A Mercy zasługiwała na więcej. Zasługiwała na imprezę,

żeby się zabawić i poflirtować, może poznać fajnego chłopaka, którego mogłaby pocałować i zaprosić na tańce. Dlatego właśnie Alex zgodziła się pójść z nią na Omega Krach. Miała u niej dług, bo Mercy była miła, wspierała ją przy pracach i nigdy się nad nią nie litowała, tylko pomagała jej się doskonalić. Alex całkiem zapomniała o imprezie po ataku *glumy*. Dała się porwać strachowi, rozpacz i pragnieniu zrozumienia, dlatego na nią polowano.

– Z kim poszła? – zapytała.

– Z Charlotte i tą ekipą z góry. – Lauren praktycznie gniewnie warczała. – A one ją tam zostawiły.

Jeśli Mercy była pod wpływem serwilisu, to mogła powiedzieć, że wszystko jest w porządku, że mogą wyjść, a one nie знаły jej na tyle, żeby się z nią sprzeczać. Gdyby jednak Alex tam była, zauważyłaby fioletowy język Mercy. Mogłaby temu zaradzić.

Alex włożyła z powrotem płaszcz. Zrobiła swoim telefonem zdjęcie ekranu z filmem. Fotka przedstawiała otwarte usta Mercy z fioletowym językiem.

– Dokąd idziesz? – szepnęła wściekła Lauren. – Matka Darlingtona znowu potrzebuje pomocy?

– Idę to załatwić.

– Ona nie chce, żebyśmy rozmawiały z policją.

– Nie potrzebuję policji. Gdzie mieszka Blake?

– W domu bractwa Omega.

Przy Lynwood, w tym obskurnym szeregu domów, które wyrosły, gdy uczelnia wyrzuciła bractwa z kampusu wiele lat temu.

– Alex...

– Postaraj się ją uspokoić i nie pozwól jej nigdzie samej wychodzić.

Alex wyszła z akademika i poszła przez Stary Kampus. Chciała iść prosto do Blake'a, ale to nic by nie dało. Na obrzeżach pola widzenia mignęła jej grupa Szarych.

– *Orare las di Korach* – warknęła; wypowiedzenie przekleństwa babki sprawiło jej przyjemność.

„Niech ich piekło żywcem pochłonie”. Cały jej gniew musiał przesiąknąć w te słowa, bo Szarzy rozpierzchli się jak stado ptaków.

A co z *glumą*? Jeśli gdzieś na nią polowała, to czy zjawi się tu biegiem? Alex ucieszyłaby się na widok Pana Młodego, ale nie widziała go od ich spotkania na pograniczu.

Wiedziała, że nie powinna była denerwować detektywa Turnera. Mógłby zgodzić się teraz pomóc, gdyby z nim nie zadzierała. Możliwe, że mimo to pomógłby jej. Nadal po części wierzyła, że jest jednym z porządných gości. Nie chciała jednak polegać w tej sprawie na Turnerze, prawie ani administracji. Bo

filmik nadal gdzieś tam krążył, a Blake Keely był bogaty, piękny i kochany. Poza tym istniała duża różnica między sprawiedliwością a doprowadzeniem sprawy do porządku.

15

ZIMA

Alex nie była w siedzibie Manuskryptu od imprezy w Halloween. Tamtej nocy została z Darlingtonem w Black Elm, starając się nie zmarznąć na jego wąskim łóżku. Obudziła się o świcie, kiedy światło przesączało się przez pokój, a Darlington spał wtulony w nią za jej plecami. Znowu był twardy, napierał na jej pośladki. Jedną dłoń zamknął na jej piersi i poruszał kciukiem po jej sutku leniwym ruchem kociego ogona. Alex poczuła rumieniec oblewający całe jej ciało.

– Darlington! – warknęła.

– Hmm? – wymamrotał wtulony w jej kark.

– Obudź się i albo mnie zerznij, albo skończ z tym!

Zamarł i poczuła, że się obudził. Sturlał się z łóżka i zatoczył, zaplątany w okrycia.

– Ja nie... Przepraszam. Czy my...?

Przewróciła oczami.

– Nie.

– A to dupki.

Rzadkie przekleństwo, ale zasłużone. Oczy miał przekrwione, twarz wymizerowaną. Byłoby gorzej, gdyby wiedział, że raport, który mu pokazała przy śniadaniu, nie przypominał tego, który naprawdę wysłała dziekanowi Sandowowi.

Grobowiec Manuskryptu wyglądał jeszcze brzydziej w słońcu za dnia. Krąg ukryty w ceglach pojawiał się i znikał, gdy Alex zbliżała się do frontowych drzwi. Mike Awolowo pomachał, żeby weszła. Duży pokój i dziedziniec za nim wyglądały na przestronne, bezpieczne – wszelkie ślady nauk tajemnych schowano głęboko pod powierzchnią.

– Cieszę się, że się odezwałaś – powiedział, chociaż Alex w to wątpiła.

W ramach specjalizacji wybrał studia międzynarodowe i miał przyjazny, zasadniczy sposób bycia typowy dla gospodarza popołudniowego talk-show.

Alex obejrzała się przez ramię i ucieszyła się, że w grobowcu jest pusto. Teraz, kiedy Kate Masters znalazła się na jej liście podejrzanych, nie chciała dodatkowych komplikacji.

– Czas się rozliczyć.

Mike miał zrezygnowaną minę kogoś, kto siedzi na fotelu dentystycznym.

– Czego potrzebujesz?

– Sposobu, żeby coś odkręcić. Nagranie.

– Jeśli rozeszło się po sieci, to nic nie poradzimy.

– Wątpię, żeby już się rozeszło, ale w każdej chwili może.

– Ile osób je widziało?

– Nie jestem pewna. W tej chwili pewnie garstka.

– To poważny rytuał, Alex. Nie jestem nawet pewien, czy zadziała.

Alex spojrzała mu w oczy.

– Jedyne powód, dla którego nadal działacie, to raport, który wysłałam po Halloween.

W noc imprezy, kiedy wypadli z Darlingtonem z grobowca, a w każdym razie zrobili, co w ich mocy, żeby z niego się wydostać, Mike i Kate wyszli za nimi w swoich przebraniach Batmana i Poison Ivy. Darlington ledwie się trzymał na nogach, mrugał, jakby ciągle raziło go światło, uczeplił się jej ręki.

– Błagam – prosił Awolowo. – To nie zostało usankcjonowane przez delegację. Jeden z wychowanków miał coś do Darlingtona. To miał być żart.

– Nic takiego się nie stało – dodała Kate.

– Nieprawda – odparła Alex, ciągnąc Darlingtona ulicą.

Awolowo i Masters poszli za nimi, przekonując i składając propozycje. Alex oparła więc Darlingtona o mercedesa i zawarła z nimi umowę: przysługa za złagodzenie raportu. Przedstawiła incydent z narkotykiem jako wypadek i Manuskrypt poniósł jedynie karę pieniężną, podczas gdy groziło im zawieszenie działalności. Wiedziała, że w końcu Darlington się dowie, kiedy nie dojdzie do surowszych sankcji. Czekał ją za to co najmniej wykład na temat różnicy między moralnością a etyką. Kiedy jednak Darlington zniknął, sprawa raportu nigdy nie wypłynęła. Wiedziała, że to była szczeniacka zagrywka, jeśli jednak przetrwa pierwszy rok, to potem będzie sama prowadziła Lete. Musiała załatwiać sprawy po swojemu.

Awolowo skrzyżował ręce.

– Myślałem, że zrobiłaś to, żeby ratować honor Darlingtona.

– Zrobiłam to, ponieważ świat opiera się na przysługach. – Alex potarła twarz, starając się pozbyć nagłej fali zmęczenia. Podniosła telefon. – Spójrz na

jej język. Ktoś posługuje się jednym z waszych narkotyków, żeby zabawiać się z dziewczynami.

Mike wziął telefon do ręki i zmarszczył brwi, patrząc na zdjęcie.

– Serwilis? Niemożliwe. Nasze zapasy są zamknięte.

– Ktoś mógł zdradzić recepturę.

– Znamy wysokość stawki. Na wszystkich rzucono silny magiczny zakaz.

Nie możemy po prostu chodzić i opowiadać o tym, co tu robimy. Poza tym to nie jest kwestia znajomości formuły. Serwilis rośnie tylko w Wielkim Chinganie. Istnieje dosłownie jeden dostawca i płacimy mu bardzo dużo, żeby sprzedawał towar tylko nam.

To gdzie Blake i jego kumple dorwali narkotyk? Kolejna tajemnica.

– Zbadam to – powiedziała Alex – ale w tej chwili muszę to naprawić.

Mike przyjrzał się jej.

– To nie jest sprawa Lete, prawda? – Alex nie odpowiedziała. – Istnieje próg w przypadku mediów. Różny dla muzyki, sław, memów. Jeśli go przekroczysz, żaden rytuał tego nie cofnie. Moglibyśmy chyba spróbować odwrotności Pełnego Kielicha. Posługujemy się nim, żeby nadać rozpęd różnym projektom. To właśnie zrobiliśmy zeszłego września dla singla Michi.

Alex pamiętała opowieść Darlingtona o tym, jak członkowie stowarzyszenia zebrali się nadzy w ogromnej miedzianej kadzi, recytując zaklęcia, a kadź powoli napelniała się winem, które napływało z jakiegoś niewidzialnego miejsca pod ich stopami. Pełny Kielich. Wystarczyło, żeby bardzo przeciętny singiel wylądował na drugim miejscu listy przebojów tanecznych.

– Ilu ludzi do tego potrzebujesz?

– Jeszcze co najmniej trzech. Wiem, z kim porozmawiać. Przygotowania wymagają jednak czasu. Będziesz musiała zrobić co w twojej mocy, żeby na razie zatamować krwotok, bo inaczej to wszystko na nic się nie zda.

– W porządku. Daj znać swoim ludziom. Najszybciej jak zdołasz. – Nie podobała jej się myśl, że Kate Masters będzie brała w tym udział, ale wspomnienie jej nazwiska tylko wywołałoby dalsze pytania.

– Jesteś pewna?

Alex wiedziała, o co Mike pyta. To oznaczało pogwałcenie wszystkich protokołów Lete.

– Tak.

Już była w drzwiach, gdy Mike powiedział:

– Czekaaj.

Podszedł do ściany z ozdobnymi urnami, otworzył jedną, wyjął małą plastikową torebkę i odmierzył małą porcję srebrnego proszku. Zamknął torebkę i podał Alex.

- Co to?
- Gwiezdna Moc. Astrumsalinas. To sól zebrana z przeklętego jeziora, gdzie utopiły się niezliczone rzesze mężczyzn zakochanych w swoim odbiciu.
- Jak Narcyz?
- Dno jeziora jest pokryte ich kośćmi. Proszek sprawi, że będziesz naprawdę przekonująca przez jakieś dwadzieścia pięć do czterdziestu minut. Obiecaj mi tylko, że dowiesz się, skąd ten oblech dorwał serwilis.
- Mam to wciągnąć nosem? Posypać sobie tym głowę?
- Przełknąć. Smak ma potworny, więc możesz mieć kłopot z utrzymaniem go w żołądku. Czeka cię potężny ból głowy, gdy już przestanie działać, podobnie jak wszystkich, z którymi wejdiesz w kontakt.
- Alex pokręciła głową. Taka moc stała na półce w zasięgu ręki każdego. Co znajdowało się w pozostałych urnach?
- Nie powinniście mieć takich rzeczy – powiedziała, myśląc o oszalałym spojrzeniu Darlingtona i Mercy na kolanach. – Nie powinniście móc robić ludziom takich rzeczy.
- Mike uniósł brew.
- Nie chcesz?
- Nie powiedziałam tego. – Alex schowała torebkę w kieszeni. – Jeśli jednak kiedykolwiek się dowiem, że posłużyliście się czymś takim przeciwko mnie, spalę ten budynek.

Dom przy Lynwood był piętrowy, zbudowany z białego drewna i miał werandę załamującą się pod ciężarem zatechłej kanapy. Darlington powiedział jej, że bractwo Omega miało kiedyś dom w zaułku za Wilczą Głową, solidny kamienny budynek wykończony lśniącym drewnem i z oknami z gomółek. Ich litery nadal były widoczne w kamieniu, ale Alex nie potrafiła sobie wyobrazić imprez takich jak Omega Krach i Seks na Plaży w miejscu, które wygląda jak przytulny herbaciany salonik szkockich starych panien.

– Bractwa były wtedy trochę inne – wyjaśnił jej Darlington. – Członkowie lepiej się ubierali, spotykali na uroczystych kolacjach, nieco poważniej traktowali ideę „dżentelmena i badacza”.

– Określenie dżentelmen badacz dobrze opisuje ciebie.

– Prawdziwy dżentelmen nie chwali się tym tytułem, a prawdziwy badacz robi lepszy użytek ze swojego czasu, niż pijąc płonące kieliszki Dr Peppera.

Kiedy jednak Alex zapytała, dlaczego bractwo wyrzucono z kampusu, tylko wzruszył ramionami i podkreślił coś w książce, którą czytał.

– Czasy się zmieniły. Uniwersytet chciał mieć nieruchomości i nie ponosić odpowiedzialności.

– Może powinni zatrzymać ich w kampusie.

– Zaskakujesz mnie, Stern. Współczucie dla bractwa z beczkami piwa i źle ulokowaną agresją?

Alex pomyślała o zajmowanym na dziko lokalu przy Cedros.

– Jeśli zmusisz ludzi, żeby mieszkali jak zwierzęta, to zaczną zachowywać się jak zwierzęta.

Tyle że określenie „zwierzę” było zbyt łaskawe dla Blake’a Keely’ego.

Alex wyjęła plastikową torebkę z kieszeni i połknęła proszek. Natychmiast zadławiła się i musiała ścisnąć nos i zasłonić usta, żeby nie wypluć substancji. Miała parszywy słony smak i Alex rozpaczliwie chciała przepłukać usta, ale zmusiła się do przełknięcia.

Nie poczuła się inaczej. Jezu, a jeśli Mike tylko sobie z nią pogrywał?

Alex splunęła na błotniste podwórze, a potem weszła po schodach i sprawdziła frontowe drzwi. Nie były zamknięte na klucz. W salonie pachniało starym piwem. Kolejną zniszczoną kanapę i fotel z podnóżkiem ustawiono przy poobijanym stoliku do kawy zawalonym jednorazowymi kubkami. Nad prowizorycznym barkiem z dwoma stołkami nie do kompletu wisiał transparent z literami bractwa. Chłopak bez koszulki we włożonej tył naprzód czapce z daszkiem i w spodniach od piżamy zbierał porozrzucone kubki i wpychał je do wielkiego czarnego plastikowego worka na śmieci.

Alex zaskoczyła go swoim pojawieniem się.

– Szukam Blake’a Keely’ego.

Chłopak zmarszczył czoło.

– Ehm... Jesteś jego znajomą?

Alex żałowała, że tak pośpiesznie wyszła z Manuskryptu. Jak ta Gwiezdna Moc miała niby działać? Wzięła głęboki wdech i posłała mu szeroki uśmiech.

– Naprawdę byłabym wdzięczna za pomoc.

Chłopak cofnął się o krok. Dotknął ręką serca, jakby otrzymał cios w pierś.

– Oczywiście – odpowiedział gorliwie. – Oczywiście! Co tylko w mojej mocy. – Uśmiechnął się i Alex zrobiło się trochę niedobrze. I trochę cudownie.

– Blake! – zawołał w górę schodów, machając na nią, żeby poszła za nim.

Poruszał się żwawo. Dwa razy, gdy wbiegał po schodach, obejrzał się na nią, szczerząc w uśmiechu zęby.

Weszli na pierwsze piętro i Alex usłyszała muzykę, grzmot gry wideo, którą ktoś ustawił na cały regulator. Tutaj smród piwa osłabł i Alex wyczuwała

delikatny zapaszek bardzo kiepskiej trawki, popcornu z mikrofalówki i chłopców. Pachniało jak w mieszkaniu, które dzieliła z Lenem w Van Nuys. Dom był obskurny w nieco inny sposób, architektura była starsza, a pomieszczenia bardziej mroczne bez czystego złota słońca Kalifornii Południowej.

– Blake! – zawołał znowu chłopak bez koszuli.

Wziął Alex za rękę z absolutnie ufnym uśmiechem.

Olbrzym wystawił głowę zza drzwi.

– Gio, ty złamasie – powiedział. Nosił szorty, obróconą czapkę i też nie miał koszuli, jakby to było tutejsze umundurowanie. – Miałeś posprzątać łazienkę.

Czyli Gio był kandydatem do bractwa albo innym tego typu sługusem.

– Sprzątam na dole – wyjaśnił. – Chcesz poznać... O Boże, nie pamiętam twojego imienia.

Bo go nie podała. Alex tylko mrugnęła.

– Posprzątaj najpierw łazienkę, kurwa – marudził olbrzym. – Nie możecie, zasrańcy, srać prosto na to gównó?! I kim, kurwa, jest...

– Cześć – powiedziała Alex i ponieważ nigdy tego nie robiła, zarzuciła włosami.

– Ehm... Cześć. Dzień dobry. Jak się masz? – Chłopak podciągnął szorty, potem je trochę opuścił, zdjął czapkę, przeczesał ręką kępki włosów, włożył z powrotem czapkę. – Cześć.

– Szukam Blake'a.

– Dlaczego? – zapytał niemal żałośnie.

– Pomożesz mi go znaleźć?

– Pewnie. Blake! – ryknął olbrzym.

– Czego? – odparł poirytowany głos z sypialni na końcu korytarza.

Alex nie wiedziała, ile jeszcze czasu jej zostało. Wypuściła rękę Gio Sługusa i ruszyła przed siebie, bardzo starając się przypadkiem nie zerknąć do mijanej łazienki.

Blake Keely wyciągał się na futonie, popijał Gatorade z wielkiej butelki i grał w *Call of Duty*. Przynajmniej miał na sobie koszulę.

Wyczuwała, że pozostali chłopcy kręcą się za jej plecami.

– Gdzie masz telefon? – spytała.

– A ty, kurwa, kto jesteś? – odparł Blake, odchylając głowę i oceniając ją jednym aroganckim spojrzeniem.

Na chwilę Alex spanikowała. Czy magia Mike'a tak szybko się zużyła? Czy Blake z jakiegoś powodu był odporny? A potem przypomniała sobie palenie proszku w gardle. Wyszarpnęła wtyczkę ze ściany i gra ucichła.

– Co jest, k...

– Ojej, strasznie przepraszam – powiedziała Alex.

Blake zamrugął i posłała jej leniwy, promienny uśmiech. „Po takim uśmiechu majtki sama spadają” – pomyślała Alex, zastanawiając się, czy nie wybić mu zębów.

– Nie ma sprawy – zapewnił ją. – Jestem Blake.

– Wiem.

Uśmiechnął się szerzej.

– Poznaliśmy się? Nieźle się nawaliłem zeszłej nocy, ale...

Alex zatrzasnęła drzwi, a on wytrzeszczył oczy. Robił wrażenie prawie podenerwowanego, ale też wniebowziętego. Jak dzieciak w Boże Narodzenie. Jak bogaty dzieciak w Boże Narodzenie.

– Mogę zobaczyć twój telefon?

Wstał i podał jej komórkę, robiąc jej też miejsce na materacu.

– Chcesz usiąść?

– Nie, chcę, żebyś tu stał jak dupek.

Powinien na to zareagować, ale on tylko posłusznie się uśmiechnął.

– Masz do tego talent – uznała. Potrzaskała telefonem. – Odblokuj go.

Zrobił to, a ona znalazła galerię, włączyła pierwszy filmik. Pojawiła się twarz Mercy, uśmiechnięta i ochocza. Blake potarł wilgotnym czubkiem penisa po jej policzku, a ona się roześmiała. Obrócił kamerę z powrotem na siebie i znowu posłał ten swój durny, zafajdany szeroki uśmiech, kiwając głową jakby do widowni.

Alex uniosła telefon.

– Komu wysłałeś to nagranie?

– Tylko dwóm braciom. Jasonowi i Rodriguezowi.

– Sprowadź ich tu i każ im przynieść swoje telefony.

– Ja tu jestem! – odezwał się olbrzym zza drzwi. Alex je otworzyła. – Ja jestem Jason! – Naprawdę podniósł przy tym rękę.

Blake poszedł po Rodrigueza, a Jason Olbrzym czekał cierpliwie, podczas gdy Alex znalazła przesłane wiadomości, skasowała je, a potem na wszelki wypadek skasowała też resztę wiadomości. Był tak uprzejmy, że jeden z albumów zatytułował „Skarbiec cipek”. Było tam pełno nagrań z innymi dziewczynami. Niektóre miały błyszczące oczy i fioletowe języki, inne wyglądały na zwyczajnie pijane – pijane dziewczyny ze szklistymi oczami, bez koszulek albo z podciągniętymi po pachy. Jedna z nich odjechała tak daleko, że było widać tylko białka jej oczu, pojawiały się i znikwały jak półksiężyce, gdy Blake ją rznął. Inna miała wymiociny we włosach i twarz przyciśniętą do kałuży wymiocin, gdy Blake brał ją od tyłu. Zawsze odwracał kamerę na siebie, jakby nie mógł się oprzeć pokusie posłania swojego wartego gwiazdkę uśmiechu.

Alex wykasowała wszystkie zdjęcia i filmy, chociaż nie mogła mieć pewności, że nie ma gdzieś kopii zapasowych. Potem wzięła się za telefon Jasona. Albo miał odrobinę przyzwoitości, albo był zbyt skacowany, żeby przesłać filmik dalej.

Usłyszała dyszenie w korytarzu i zobaczyła Blake'a ciągnącego Rodrigueza po brudnej wykładzinie.

– Co ty robisz?

– Kazałaś go przyprowadzić.

– Daj mi po prostu jego telefon.

Sprawdziła kolejną komórkę. Rodriguez wysłał nagranie dwóm kumplom i nie sposób powiedzieć, czy oni przesłali je dalej. Niech to szlag. Alex mogła tylko mieć nadzieję, że Mike'owi udało się zebrać dość członków Manuskryptu i że odwrócony Pełny Kielich zadziała.

– Wiedzieli? – zapytała Blake'a. – Wiedzieli o serwilisie? Że Mercy dostała narkotyk?

– Nie – odpowiedział, nadal się uśmiechając. – Wiedzą tylko, że laski mi nie odmawiają.

– Skąd masz serwilis?

– Od gości z wydziału leśnictwa.

Wydział leśnictwa? Mieli tam szklarnie z regulacją temperatury i wilgotności powietrza, zaprojektowane tak, żeby naśladować środowiska naturalne z różnych zakątków świata – może w jednej z nich było tak samo jak w górach Wielkiego Chinganu. Co takiego powiedział Tripp? „Lance i Tara mieli najbujniejszy, najzieleńszy towar pod słońcem”.

– Znasz Lance'a Gressanga i Tarę Hutchins? – spytała.

– Pewnie! Znasz Lance'a?

– Skrzywdziłaś Tarę? Zabiłaś Tarę Hutchins?

Blake spojrział na nią zdumiony.

– Nie! Nigdy nie zrobiłbym czegoś takiego.

Alex naprawdę zastanawiała się, gdzie jego zdaniem istnieje granica. Poczuła ból w prawej skroni. To znaczyło, że Gwiezdna Moc zaczyna słabnąć. Zresztą i tak chciała się stąd wynieść. Ten dom przyprawiał ją o ciarki, jakby absorbował każdą smutną, obrzydliwą rzecz, jaka się wydarzyła w tych murach.

Spojrziała na telefon w ręku i pomyślała o dziewczynach Blake'a w galerii. Jeszcze nie skończyła.

– Chodź – powiedziała, zerkając ku otwartym drzwiom łazienki.

– Dokąd idziemy? – spytał, a jego leniwy uśmiech rozlewał się jak pęknięte żółtko.

– Nakręcimy mały filmik.

16

ZIMA

Lauren dała Mercy proszek na sen i położyła ją do łóżka. Alex została przy niej, drzemiąc w ciemnym pokoju. Obudziła się późnym wieczorem, słysząc szloch Mercy.

- Nagrania już nie ma – uspokoiła ją i ścisnęła jej rękę.
- Nie wierzę ci. To niemożliwe.
- Gdyby miało wypłynąć, już by to się stało.
- Może on chce mnie szantażować, żebym wróciła i robiła... różne rzeczy.
- Nagrania nie ma – powtórzyła Alex.

Nie było sposobu, żeby przekonać się, czy rytuał Mike'a zadziałał. Pełny Kielich został stworzony po to, żeby nadawać rozpęd, a nie pozbawiać go, musiała jednak mieć nadzieję.

– Dlaczego wybrał mnie? – powtarzała raz za razem Mercy, szukając logiki, równania, które sprowadziłoby wynik do czegoś, co powiedziała lub zrobiła. – Mógłby mieć każdą dziewczynę, którą zechce. Dlaczego zrobił to mnie?

„Bo on nie chce dziewczyn, które go chcą. Bo znudził się pożądaniem i zasmakował w budzeniu wstydu”. Alex nie wiedziała, co żyje w takich chłopakach jak Blake. Pięknych chłopcach, którzy powinni być szczęśliwi, którym niczego nie brakowało, a mimo to znajdowali sobie rzeczy do zagarnięcia.

Kiedy zapadła noc, zeszła z łóżka i wciągnęła sweter i dzinsy.

– Chodź na kolację – poprosiła Mercy, kucając koło łóżek, żeby zapalić lampę.

Mercy miała opuchniętą od płaczu twarz. Jej włosy lśniły jak czarna szarfa na poduszce. Miała takie same grube czarne włosy, których nie da się zakręcić, jak Alex.

- Nie jestem głodna.

– Musisz jeść.

Mercy schowała twarz w poduszce.

– Nie mogę.

– Mercy. – Alex potrząsnęła nią, łapiąc za ramię. – Mercy, nie rzucisz szkoły z tego powodu.

– Nigdy nie powiedziałam, że zamierzam.

– Nie musiałaś. Wiem, co sobie myślisz.

– Nie rozumiesz.

– Rozumiem. Coś podobnego przydarzyło mi się w Kalifornii. Kiedy byłam młodsza.

– I też rozeszło się po kościach?

– Nie, było fatalnie. I na swój sposób pozwoliłam, żeby mi to spałało życie.

– Wygląda na to, że dobrze sobie radzisz.

– Nieprawda, ale dobrze się czuję, kiedy jestem tu z tobą i Lauren, więc nikt mi tego nie odbierze.

Mercy otarła ręką nos.

– Czyli chodzi tylko o ciebie?

Alex się uśmiechnęła.

– Właśnie.

– Jeśli ktoś coś powie...

– Jeśli ktoś spojrzy na ciebie krzywo, wydłubię mu oko widelcem.

Mercy włożyła dzinsy i półgolf, żeby schować malinki. Jej strój był tak stonowany, że wyglądała wręcz obco. Opryskała twarz wodą i nałożyła korektor pod oczy. Nadal była blada i miała zaczerwienione oczy, ale nikt nie wygląda dobrze w niedzielę wieczór w środku zimy w New Haven.

Alex i Lauren wzięły ją pod rękę, gdy wchodziły do jadalni. Panował tam zgiełk jak zawsze, niósł się brzęk zastawy i ciepłe falowanie rozmów. Nic się nie zmieniło w pomruku głosów, gdy weszły. Może, być może, Mike'owi i Manuskryptowi się udało.

Usiadły z tacami. Mercy szturchała ospale smażonego dorsza, a Alex wgryzała się z pewnym zawstydzeniem w drugiego już cheeseburgera, gdy zaczęły się śmiechy. To był szczególny rodzaj śmiechu, jaki Alex od razu rozpoznała. Szyderczy, za głośny, który zduszano ręką kładzioną na usta, udając zażenowanie. Lauren całkowicie znieruchomiała. Mercy skuliła się w swetrze i cała się trzęsła. Alex wyczekująco zamarła.

– Wyjdźmy stąd – zaproponowała Lauren.

Niestety Evan Wiley już usiadł obok niej.

– O, mój Boże, umieram.

– Nie martw się – powiedziała Lauren do Mercy, a potem mruknęła wściekle: – Co z tobą?

– Wiedziałem, że Blake to obleśny typ, ale nie miałem pojęcia, że jest aż tak obleśny.

Telefon Lauren zawibrował, a zaraz potem komórka Alex. Nikt jednak nie patrzył na Mercy. Ludzie śmiali się i dławili przy stołach, nie odrywając twarzy od ekranów.

– Sprawdź – poprosiła Mercy, chowając twarz w dłoniach. – I powiedz mi.

Lauren wzięła głęboki wdech i sprawdziła telefon. Zmarszczyła brwi.

– Ohyda – zdołała wykrztusić.

– Właśnie! – zawtórował jej Evan.

Na ekranie Blake Keely pochylał się nad brudną muszlą klozetową. Alex poczuła, jak wąż w niej rozwija się, rozgrzany i usatysfakcjonowany, jakby znalazł idealnie nagrzaną słońcem skalę, żeby rozgrzać sobie brzuch.

– Mówisz poważnie? – powiedział Blake, chichocząc dokładnie w taki sam szaleńczy, piskliwy sposób, w jaki rechotał, kiedy powiedział „Popatrz na to futro!”.

– W porządku, w porządku – mówił na nagraniu. – Szurnięta z ciebie laska!

Nie było jednak widać osoby, do której to mówił.

– Nie – sapnęła Lauren.

– O mój Boże – powiedziała Mercy.

– Właśnie! – powtórzył Evan.

I patrzyli, jak Blake Keely zanurzył rękę w zatkanym kiblu, nabrał garść gówna i wziął wielki kęs.

Żuł i przełknął, nadal chichocząc, a potem z brązową mazią na białych zębach i ustach spojrzął na osobę, która trzymała telefon, i posłał jej swój słynny leniwy, zafajdany uśmiech.

Telefon Alex znowu zawibrował. Awolowo.

„CO Z TOBĄ NIE TAK?”.

Alex odpowiedziała prosto – przesyłając mu buziaki.

„Nie miałas prawa. Zaufalem ci”.

„Wszyscy popełniamy błędy”.

Mike nie poskarży się Sadowowi. Musiałby wyjawic, ze jego delegacja w jakis sposob pozwolila, zeby serwilis wydostal sie poza stowarzyszenie, i ze dal Alex dawke Gwiezdnej Mocy. Alex wykorzystala telefon Blake'a do rozeslania nowego nagrania do wszystkich jego kontaktow, a w bractwie Omega nikt nie znal jej imienia.

– Alex – szepnęła Lauren. – Co to jest?

Wokół nich w jadalni wybuchały gorączkowe rozmowy, ludzie śmiali się i odsuwali jedzenie z obrzydzeniem, inni dopytywali się, co się stało. Evan już przeniósł się do innego stolika. Jednak Lauren i Mercy patrzyły na Alex w milczeniu, z odłożonymi telefonami, obróconym ekranami do blatu.

– Jak to zrobiłaś? – zapytała Lauren.

– Co takiego?

– Powiedziałaś, że to załatwisz – odpowiedziała Mercy. Popukała w swój telefon. – No więc?

– No więc co?

Cisza wokół nich trwała przez długą chwilę.

A potem Mercy przesunęła palcem po stole i powiedziała:

– Wiesz, że ludzie mówią, iż z dwóch złych rzeczy nigdy nie wyjdzie jedna dobra?

– Aha.

Mercy przysunęła sobie talerz Alex i wzięła wielki kęs jej niedojedzonego cheeseburgera.

– Gównu wiedzą ci ludzie.

To, czy magia Zwoju i Klucza została poznana albo skradziona od czarodziejów z Bliskiego Wschodu podczas krucjat, to nie jest prawdziwy przedmiot dyskusji – moda się zmienia, złodzieje stają się kustoszami – chociaż Klucznicy nadal lubią protestować i twierdzić, że ich panowanie nad magią portali zostało osiągnięte tylko i wyłącznie uczciwymi sposobami. Zewnętrzny wygląd grobowca Zwoju i Klucza to hołd dla źródeł ich mocy, ale wewnątrz w stopniu nonsensownym poświęcono legendzie arturiańskiej; nie zabrakło nawet okrągłego stołu w jego sercu. Niektórzy twierdzą, że kamień pochodzi z samego Avalonu, inni przysięgają, że sprowadzono go ze Świątyni Salomona, a jeszcze inni szepczą, że wydobyto go z pobliskich kamieniołomów w Stony Creek. Bez względu na pochodzenie wszyscy od dziekana Achesona, poprzez Cole'a Portera, aż po Jamesa Gamble'a Rogersa – architekta odpowiedzialnego za kościelnicę samego Yale – przepychali się przy nim łokciami.

z Życie Lete: procedury i protokoły Dziewiątego Domu

Poparzenia słoneczne nie dają mi spać. Andy powiedział, że bez problemu zdążymy na początek meczu w Miami, że wszystko to jest w książkach i zostało zaaprobowane przez radę oraz wychowanków Zwoju i Klucza. Jednak jakkolwiek magię warzyli, szybko się posypała. Przynajmniej teraz mogę powiedzieć, że widziałam Haiti?

Pamiętnik Naomi Farwell z czasów w Lete
(Timothy Dwight College '89)

17

ZIMA

Alex spędziła resztę niedzielnego wieczoru we wspólnym pokoju z Mercy i Lauren, z Rimskim-Korsakowem na adapterze Lauren i z *Dobrym żołnierzem* na kolanach. Akademik wydawał się szczególnie hałaśliwy tego wieczoru i wielokrotnie pukano do ich pokoi, co za każdym razem ignorowały. W końcu Anna wróciła z równie ponurą i senną miną jak zawsze. Rzuciła im nijakie „cześć” i zniknęła w swojej sypialni. Minutę później usłyszały, że rozmawia przez telefon z rodziną w Teksasie, i musiały zatkać usta, chociaż ramiona im dygotały i łzy płynęły z oczu, gdy usłyszały, jak powiedziała: „Jestem pewna, że to czarownice”.

„Gdybyś tylko wiedziała” – pomyślała Alex.

Alex nie miała żadnych snów, ale obudziła się w środku nocy i zobaczyła, że Pan Młody unosi się za oknem jej sypialni, ponieważ magiczne zabezpieczenia nie pozwalają mu przeniknąć do środka. Miał wyczekującą minę.

– Jutro – obiecała.

Nie minęła nawet doba od jej podróży do pogranicza. Zajmie się Tarą, ale najpierw Mercy jej potrzebowała. Więcej była winna żywym niż umarłym.

„Daję sobie ze wszystkim radę – pomyślała, biorąc aspirynę i padając z powrotem do łóżka. – Może nie tak dobrze, jak poradziłby sobie Darlington, ale jakoś mi idzie”.

W poniedziałek rano najpierw zajrzała do Il Bastone, żeby wypchać kieszenie ziemią cmentarną, i przez godzinę przeglądała informacje, jakie znalazła na temat *glum*. Jeśli stowarzyszenie Księgi i Węża – czy kto tam nasłał na nią tego stwora – chciałoby spróbować po raz drugi, to natrafiło na idealny moment. Alex urządziła publiczną scenę, była w podbramkowej sytuacji, jeśli idzie o szkołę. Gdyby nagle rzuciła się do rzeki, skoczyła z dachu albo pod koła

samochodów, można by wskazać mnóstwo niepokojących sygnałów, które to poprzedzały.

„Czy robiła wrażenie przygnębionej? Zachowywała dystans. Nie miała żadnych przyjaciół. Z trudem radziła sobie na zajęciach”. To wszystko prawda. Tylko czy miałyby to znaczenie, gdyby była kimś innym? Gdyby była duszą towarzystwa, powiedziano by, że pewnie zapijała ból. Gdyby była piątkową uczennicą, powiedziano by, że perfekcjonizm pożarł ją żywcem. Zawsze istniały jakieś wytłumaczenia, dlatego dziewczyny umierają.

A jednak Alex odnajdywała przedziwną pociechę w fakcie, jak inna byłaby jej historia teraz od tego, jak mogłaby prezentować się rok temu. Śmierć z powodu hipotermii po tym, jak się upiła i włamała na publiczny basen. Przedawkowanie, gdy próbowała czegoś nowego albo po prostu za daleko się zapędziła. Albo zwyczajne zniknięcie. Len przestałby ją chronić i zniknęłaby w rozległej San Fernando Valley, pośród szeregów domków podobnych do gipsowych grobowców na małych cmentarnych parcelach.

Miło byłoby jednak, gdyby udało jej się teraz uniknąć śmierci. To kwestia zasad, jak rzekłby Darlington. Po kilkugodzinnej sprzeczce z biblioteką znalazła dwa akapity o tym, jak walczyć z *glumami*, jeden po angielsku, a drugi po hebrajsku – wymagał kamienia przekładu i okazało się, że dotyczy bardziej golemów niż *glum*. Ponieważ jednak w obu źródłach proponowano posłużenie się zegarkiem kieszonkowym lub na rękę, rada wydawała się dobra.

„Nakręć dobrze swój zegarek. Miarowe tykanie zegarka dezorientuje każdą istotę stworzoną, a nie narodzoną. Takie istoty usłyszą bicie serca w zwykłej pracy mechanizmu i będą szukać ciała tam, gdzie żadnego nie ma”.

To nie do końca była pewna ochrona, ale będzie musiało jej wystarczyć coś, co odwróci uwagę.

Darlington nosił zegarek na szerokim skórzanym pasku z tarczą z macicy perłowej. Myślała, że to pamiątka rodzinna albo przejaw pretensjonalności. A może miał w tym swój cel.

Alex weszła do zbrojowni, gdzie trzymali Tygiel Hiram; Złota Misa wydawała się wręcz osamotniona, ponieważ nikt z niej nie korzystał. Znalazła zegarek kieszonkowy zaplątany w szufladzie z kolekcją wahadeł do hipnozy, nakręciła go i schowała do kieszeni. Musiała jednak otworzyć mnóstwo szuflad, zanim znalazła zawinięte w watę kieszonkowe lusterko, którego potrzebowała. Karteczka w szufladzie wyjaśniała pochodzenie lusterka: samo zwierciadełko pochodziło z Chin, a zostało oprawione przez członków Manuskryptu z myślą o nadal utajnionej operacji z czasów Zimnej Wojny prowadzonej przez CIA. Jak trafiło z Langley do rezydencji Lete przy Orange Street, kartka nie informowała.

Szkło było przybrudzone, więc Alex wyczyściła je, chuchając na nie i pocierając bluzą.

Mimo weekendowych wydarzeń przetrwała hiszpański bez typowych dla siebie momentów paniki czy zagubienia, spędziła dwie godziny w Bibliotece Sterlinga, brnąc przez ostatnie lektury na zajęcia z Szekspira, a potem jak zwykle zjadła podwójny lunch. Czuła się rozbudzona, skupiona jak po basso belladonna, ale bez trzęsionki, od której serce jej stawało. I pomyśleć, że wystarczył zamach na jej życie i wizyta na pograniczu piekła. Szkoda, że nie dowiedziała się o tym wcześniej.

Tego ranka North krążył po dziedzińcu Vanderbilt. Alex mruknęła, że będzie wolna dopiero po lunchu. Oczywiście czekał, gdy wyszła z jadalni, i razem ruszyli College Street w kierunku Prospect Street. Znajdowali się w pobliżu lodowiska Ingallsów, kiedy zdała sobie sprawę, że nie widziała ani jednego Szarego. Nie, to nie do końca prawda. Widziała ich za kolumnami, czmychających w zaułki. „Boją się go” – zdała sobie sprawę. Przypomniała sobie, jak stał w rzece z uśmiechem. „Istnieją gorsze rzeczy od śmierci, panno Stern”.

Alex cały czas zerkła na telefon, gdy skręciła w Mansfield. Nie potrafiła zapamiętać mapy New Haven. Znała główne ulice uniwersyteckiego kampusu, trasy, które przemierzała tydzień w tydzień na zajęcia, ale reszta miasteczka była dla niej rozmyta i bezkształtna. Kierowała się w okolicę, przez którą jechała raz z Darlingtonem jego starym, podniszczonym mercedesem. Pokazał jej starą fabrykę broni palnej Winchestera, którą częściowo przebudowano na eleganckie mieszkania, linię przebiegającą przez budynek, gdzie farba ustępowała surowej cegle – dokładny zapis chwili, kiedy deweloperowi skończyły się pieniądze. Wskazał smętną siatkę ulic Science Park – efekt medyczno-technicznej inwestycji Yale w latach dziewięćdziesiątych.

– Rozumiem, że się nie udało – powiedziała wtedy Alex, widząc zabite okna i pusty parking.

– Ujmując to słowami mojego dziadka, to miasto miało przerąbane od samego początku. – Darlington docisnął pedał gazu, jakby Alex była świadkiem jakiejś żenującej rodzinnej kłótni przy stole w czasie Dziękczynienia.

Minęli szereg tanich domów, gdzie mieszkali robotnicy za czasów działalności fabryki Winchestera, a potem wjechali na Science Hill, między domy należące do brygadzystów z fabryki, zbudowane z cegły zamiast drewna, z szerszymi trawnikami i przyciętymi żywopłotami. Kiedy wjechali wyżej, solidne domy zaczęły ustępować miejsca wspaniałym rezydencjom, i gdy wreszcie dotarli do olśniewających, rozległych terenów ogrodów botanicznych Marsha, to jakby zdjęto z okolicy jakiś czar.

Jednak dzisiaj Alex nie dotrze na szczyt wzgórza. Trzymała się cieni, szeregów sfatygowanych domów, pustych podwórek, sklepów z alkoholem wciśniętych na rogach ulic. Detektyw Turner powiedział, że Tara mieszkała na Woodland Street, i nawet bez policjanta pilnującego drzwi Alex bez problemu rozpoznałaby dom nieżyjącej dziewczyny. Po drugiej stronie ulicy kobieta opierała się o ogrodzenie okalające jej podwórze, z rękami na siatce, jak gdyby nurkowała w zwolnionym tempie, i wpatrywała się w brzydki budynek, jakby mógł zacząć mówić. Dwóch gości w dresach stało i rozmawiało na chodniku, byli obrócenii w stronę porośniętego krzakami frontowego trawnika przed domem Tary, ale zachowywali lękliwy dystans. Alex im się nie dziwiła. Kłopoty bywają zaraźliwe.

– Większość miast to palimpsesty – powiedział jej raz Darlington. Kiedy sprawdzała znaczenie tego słowa, musiała próbować trzy razy, zanim zorientowała się, jak się je pisze. – Buduje kolejne budynki na miejscu starych, aż nie sposób zapamiętać, co gdzie było. Jednak New Haven ma bliźny. Wielkie autostrady, które wytyczono w złym miejscu, martwe zagłębienia biurowców, widoki, które otwierają się tylko na linie wysokiego napięcia. Nikt nie zdaje sobie sprawy, ile życia toczy się między ranami, ile miasto ma do zaoferowania. To miasto, które zbudowano tak, żeby każdy chciał przez nie przejechać, nie zatrzymując się nawet na chwilę.

Tara mieszkała na obrzeżach jednej z tych bliźn.

Alex nie włożyła marynarskiego płaszcza, nie związała włosów. Łatwo jej było wpasować się w te okolice, a nie chciała się rzucać w oczy.

Zwolniła kroku, zatrzymała się bitą przecnicę wcześniej, jakby na kogoś czekała. Zerknęła na telefon, popatrzyła na Northa dość długo, żeby zauważyć jego sfrustrowaną minę.

– Wyluzuj – mruknęła.

„Nie odpowiadam przed tobą, koleś. Przynajmniej tak mi się wydaje”.

W końcu z budynku Tary wyszedł mężczyzna. Wysoki, chudy, miał kurtkę drużyny Patriots i sprane džinsy. Skinął na dzień dobry policjantowi, włożył słuchawki i zszedł po ceglanych schodach. Alex poszła za nim za róg. Kiedy zniknęli innym z oczu, popukała go w ramię. Odwrócił się, a ona uniosła lusterko. Odbiła jasne słoneczne światło w jego twarz, więc zasłonił się przed nim i cofnął o krok.

– Co jest, u diabła?

Alex zamknęła lusterko.

– O rety, przepraszam – powiedziała. – Myślałam, że to Tom Brady. Facet rzucił jej paskudne spojrzenie i odszedł.

Alex pobiegła z powrotem do domu Tary. Kiedy podeszła do policjanta przy drzwiach, podniosła lusterko jak odznakę. Światło padło na jego twarz.

– Już wróciłeś? – zapytał gliniarz, widząc tylko uchwycone w lusterku odbicie faceta w kurtce zespołu futbolowego.

Manuskrypt może i ma najgorszy grobowiec, ale dysponuje jednymi z najlepszych sztuczek.

– Zapomniałem portfela – powiedziała Alex, starając się mówić jak najbardziej szorstko.

Gliniarz skinął głową, a ona zniknęła za frontowymi drzwiami.

Schowała lusterko w kieszeni i szybkim krokiem ruszyła korytarzem. Znalazła mieszkanie Tary na pierwszym piętrze, próg oznaczony policyjną taśmą.

Alex myślała, że będzie musiała otworzyć zamek wytrychem – nauczyła się tego, kiedy matka przeszła do fazy mądrej miłości i odcięła ją od mieszkania. Było coś upiornego we włamywaniu się do własnego mieszkania, zakradaniu się do środka, jakby sama była duchem, stawaniu w miejscu, które mogłoby należeć do kogokolwiek. Jednak w drzwiach Tary w ogóle nie było zamka. Najwyraźniej policja go usunęła.

Alex pchnęła drzwi i przeszła pod taśmą. Widać było, że nikt nie próbował uporządkować mieszkania Tary po tym, jak policja je przeszukała. Kto by miał to zrobić? Jeden z lokatorów siedział w areszcie, drugi leżał martwy na stole do sekcji.

Szuflady były powysuwane, poduszki leżały zrzucone z kanap, niektóre rozcięto, bo policja szukała kontrabandy. Podłoga była zaśmiecona – oprawione plakaty wyrwane z ram, porzucona piłeczka golfowa, pędzle do makijażu. Mimo to Alex widziała, że Tara starała się, żeby miło się tu mieszkało. Do ścian przyczepiono kolorowe pikowane narzuty, wszystkie niebieskie i fioletowe. Uspokajające kolory, jak powiedziałyby mama Alex. Morskie. Łapacz snów wisiał w oknie nad kolekcją sukulentów. Alex wzięła do ręki jedną z małych doniczek, dotknęła grubego, pokrytego woskiem liścia zasadzonej w niej rośliny. Prawie dokładnie taką samą kupiła na targu ogrodniczym. Nie wymagały niemal żadnej opieki i wody. Mali twardziele. Wiedziała, że jej roślina pewnie została wyrzucona do śmieci albo schowana do torebki jako dowód, ale lubiła wyobrazić sobie, że dalej stoi na parapecie w Strefie Zero i zbiera słońce.

Przeszła wąskim przedpokojem do sypialni. Panował tam podobny bałagan. Obok łóżka leżał stos poduszek i pluszowych zwierzątek. Tył komody rozebrano. Za oknem Alex widziała szczyt wieży starej rezydencji Marsha. To była część wydziału leśnictwa, za którą na długim, opadającym podwórzu stały cieplarnie.

Raptem parę minut spacerkiem z mieszkania Tary. „Coś ty wykombinowała, dziewczyno?”.

North zatrzymał się w korytarzu obok łazienki i tam się unosił. Powiedział jej, że potrzebuje czegoś z wydzielinami.

Łazienka była długa i wąska, ledwie można było się ruszyć między umywalką a poobijaną wanną połączoną z prysznicem. Alex przyjrzała się przedmiotom na umywalce i w koszu na śmieci. Szczoteczka do zębów albo używana chusteczka nie sprawdzą się. North powiedział, że to musi być coś osobistego. Alex otworzyła szafkę na leki. W środku prawie niczego nie było, ale na górnej półce stało niebieskie plastikowe pudełko. Naklejka na nim głosiła: „Zmień swój uśmiech, zmień swoje życie”.

Alex je otworzyła. Aparat korekcyjny na zęby. North spojrzał z powątpiewaniem.

– Masz chociaż pojęcie, co to jest? – zapytała Alex. – Wiesz, że patrzysz na cud nowoczesnej ortodoncji? – Skrzyżował ręce. – Tak myślałam.

Northowi brakowało stu pięćdziesięciu lat, żeby to zrozumieć, ale większości dzieciaków z kampusu też nie przyszłoby to do głowy. Aparat dentystyczny to coś, co ludziom kupują ich rodzice; dzieciaki nigdy nie znają ich ceny. Aparat to coś, co się gubi na szkolnych wycieczkach albo co łąduje zapomniane w szufladzie. Jednak dla Tary to było ważne. To było coś, na co oszczędzała miesiącami, co wkładała co wieczór i pilnowała, żeby nie zgubić. „Zmień swój uśmiech, zmień swoje życie”.

Alex oderwała kawałek papieru toaletowego i wyjęła aparat z pudełka.

– To miało dla niej znaczenie. Zaufaj mi.

I miejmy nadzieję, że na aparacie nadal jest jej ślina.

Alex zatkała umywalkę i napełniła ją wodą. Czy to będzie się liczyło jako zbiornik wodny? Miała nadzieję.

Wrzuciła aparat do wody. Zanim zdążył zatonać i spaść na dno, Alex zobaczyła bladą dłoń, która pojawiła się obok odpływu, jakby wyrosła z popękanej umywalki. Kiedy tylko palce zamknęły się, zarówno ręka, jak i aparat zniknęły. Gdy podniosła wzrok, North trzymał aparat w mokrej ręce, krzywiąc się z obrzydzeniem.

Alex wzruszyła ramionami.

– Chciałeś wydzielin.

Odkorkowała umywalkę, wrzuciła papier do kosza i odwróciła się do wyjścia.

W drzwiach stał mężczyzna. Był ogromny, głową prawie ocierał się o framugę, wypełniał ramionami całe przejście. Miał na sobie szary kombinezon

mechanika z odpiętą i luźno opadającą górą. Pod białym T-shirtem było widać umięśnione, pokryte tatuażami ręce.

– Ja... – zaczęła Alex, ale on już szarżował.

Wpadł na nią, uderzając ją o ścianę. Walnęła głową o parapet, a mężczyzna złapał ją za gardło. Zaczęła szarpać jego rękę.

Oczy Northa stały się czarne. Rzucił się na napastnika, ale przeleciał przez niego.

To nie była *gluma*. To nie był duch. To nie było coś zza Zastłony. To był człowiek z krwi i kości i próbował ją zabić. North nie mógł jej teraz pomóc.

Alex uderzyła napastnika dłonią w gardło. Zadławił się i jego uścisk nieco zależał. Uniosła kolano, żeby kopnąć go w krocze. Nie trafiła w dziesiątkę, ale dostatecznie blisko. Mężczyzna złożył się wpół.

Alex przepchnęła się obok niego, zrywając zasłonę prysznicową z kółek. Potknęła się o plastikową płachtę. Wypadła na korytarz, a North był tuż za nią. Sięgała już do drzwi, gdy nagle mechanik pojawił się dokładnie przed nią. Nie otworzył drzwi, po prostu pojawił się, jakby przez nie przeszedł. Zupełnie jak Szary. Magiczny portal? Przez ułamek sekundy Alex dostrzegła za nim coś, co wyglądało jak jałowe podwórze, ale on już atakował.

Cofała się przez zabałaganiony salon, obejmując się w pasie, starając się zebrać myśli. Krwawiła i oddychanie sprawiało jej ból. Połamał jej zębra. Nie wiedziała ile. Czowała coś ciepłego i mokrego spływającego po karku z miejsca, gdzie uderzyła głową o parapet. Zdoła dotrzeć do kuchni? Złapać nóż?

– Kim jesteś? – warknął mechanik. Głos miał niski i chrapliwy, może po tym, jak Alex uderzyła go w tchawicę. – Kto skrzywdził Tarę?

– Jej pieprzony chłopak – warknęła Alex.

On ryknął i rzucił się na nią.

Alex odskoczyła w lewo, w stronę półki nad kominkiem, ledwie mu się wymykając, ale on i tak oddzielał ją od drzwi. Podskakiwał, jakby to był mecz bokserski.

Uśmiechnął się.

– Nie masz dokąd uciekać, suko.

Zanim zdołała przemknąć obok niego, znowu zacisnął rękę na jej gardle. Przed oczami pojawiły jej się czarne plamy. North krzyczał, wymachiwał wściekle rękami, zupełnie bezradny. Nie, nie był bezradny. To nie tak. „Wpuść mnie, Alex”.

Nikt nie wiedział, kim jest Alex. Ani North. Ani ten potwór przed nią. Ani Dawes, ani Sandow. Żadne z nich.

Tylko Darlington się domyślił.

ZESZŁA JESIEŃ

Darlington wiedział, że jego telefon nie ucieszył Alex. Nie potrafił jej winić. To nie był czwartek, kiedy odbywają się rytuały, ani niedziela, kiedy powinna przygotowywać się przed pracą w nadchodzącym tygodniu, a wiedział, że z trudem radzi sobie z zajęciami i wymaganiami Lete. Martwił się, jak incydent w Manuskrypcie może wpłynąć na ich współpracę, ale Alex otrząsnęła się z większą łatwością niż on i zajęła się raportem, żeby on nie musiał ponownie przeżywać tamtego wstydu. Gładko przeszła z powrotem do narzekania na wymagania Lete. Łatwość, z jaką zapomniała o tamtej nocy, wybaczenie, jakiego udzieliła mu wręcz mimochodem, niepokoiła go i sprawiła, że ponownie zastanowił się nad ponurością życia, jakie wcześniej prowadziła. Nawet poradziła sobie z następnym rytuałem Aurelian (zgłoszeniem patentu w brzydkim, oświetlonym jarzeniówkami peryferyjnym kampusie w okolicy Peabody'ego) oraz z pierwszym wieszaniem dla Czaszki i Kości. Była tylko jedna trudna chwila, kiedy Alex pozieleniała i wyglądała tak, jakby miała zwymiotować na haruspika. Wytrzymała jednak, a Darlington nie mógł mieć do niej pretensji o chwilę słabości. Miał za sobą dwanaście wieszceń i nadal wprowadzały go z równowagi.

– To będzie chwila, Stern – obiecał, kiedy wyszli z Il Bastone we wtorkowy wieczór. – Rosenfeld sprawia kłopoty w sieci elektrycznej.

– Kto to jest Rosenfeld?

– Co. Rosenfeld Hall. Resztę powinnaś wiedzieć.

Poprawiła pasek od torby.

– Nie pamiętam.

– Święty Elmo – odpowiedział.

– Jasne. Facet, który zginął od porażenia prądem.

Przyznał jej punkt. Święty Erazm rzekomo przeżył porażenie prądem i utopienie. Od niego wziął się termin „ogień Świętego Elma” i nazwa stowarzyszenia, które miało kiedyś siedzibę w elzbietańskich wieżach Rosenfeld Hall. Budynek z czerwonej cegły był teraz wykorzystywany jako biura i magazyn, a na noc go zamykano, ale Darlington miał klucz.

– Załóż to – powiedział, wręczając jej gumowe rękawiczki i gumowe ochraniacze na buty, dość podobne do tego, co produkowano kiedyś w fabryce jego rodziny.

Alex posłusznie włożyła te rzeczy i weszła za nim do przedpokoju.

– Dlaczego to nie mogło poczekać do jutra?

– Bo kiedy ostatnim razem Dom Lete przymknął oko na kłopoty w Rosenfeld Hall, nie mieliśmy prądu w całym kampusie. – Jak na sygnał światła na górnych piętrach zamigotały. Budynek cicho zabrzęczał. – Wszystko to opisano w Życiu Lete.

– Pamiętasz, jak powiedziałaś, że nie zwracamy sobie głowy stowarzyszeniami, które nie są rezydencjalne?

– Owszem – odpowiedział Darlington, chociaż wiedział, co zaraz usłyszy.

– Wzięłam sobie do serca twoją naukę.

Darlington westchnął i otworzył kluczem kolejne drzwi, tym razem do wielkiego magazynu pełnego poobijanych mebli z akademików i porzuconych materaców.

– To dawna jadalnia Świętego Elma. – Błysnął latarką po wysokich gotyckich łukach i zmyślnych kamiennych detalach. – Kiedy stowarzyszenie miało kłopot z gotówką, uniwersytet odkupił od niego budynek, zostawiając mu sale w kryptach, żeby miało gdzie przeprowadzać rytuały. Jednak zamiast zawrzeć porządną umowę stworzoną przez Aurelian, która zapewniłaby dotrzymanie warunków, obie strony wybrały umowę dżentelmeńską.

– Dżentelmeni zmienili zdanie?

– Po prostu umarli, a ich miejsce zajęli ludzie, którzy już nie byli dżentelmenami. Yale odmówiło odnowienia umowy najmu stowarzyszeniu i Święty Elmo wylądował w obskurnym domku przy Lynwood.

– Tam dom, gdzie serce twoje, ty snobie.

– W rzeczy samej, Stern, a serce Świętego Elma jest tutaj, w ich oryginalnym grobowcu. Są zniszczeni i prawie pozbawieni magii, odkąd stracili to miejsce. Pomóż mi to przesunąć.

Odsunęli na bok dwie stare ramy łóżek, odsłaniając kolejne zamknięte na klucz drzwi. Stowarzyszenie słynęło z magii pogodowej, artium tempestate, którą wykorzystywali do wszystkiego, od manipulowania płodami rolnymi po wpływanie na wyniki kluczowych strzałów na bramkę. Odkąd przeprowadzili się

na Lynwood, nie zdołali wywołać nawet przelotnego wiatorku. Wszystkie domy stowarzyszeń wybudowano w węzłach magicznej mocy. Nikt za bardzo nie wiedział, co je stworzyło, ale to z ich powodów nie można było po prostu wybudować nowego grobowca. Magia unikała pewnych miejsc na świecie, na przykład ponurych, księżycowych przestrzeni National Mall w Waszyngtonie, podczas gdy inne ją przyciągały, jak Rockefeller Centre na Manhattanie czy French Quarter w Nowym Orleanie. New Haven miało nadzwyczaj wiele miejsc, gdzie magia zaczęła się i narastała jak wata cukrowa wokół patyczka.

Kręcone schody prowadziły na trzy podziemne poziomy, a z każdym krokiem w dół słyszeli narastający szum. Niewiele było do oglądania na niższych poziomach: zakurzone wypchane ciała zwierząt z zoo w New Haven, kupione dla żartu przez J.P. Morgana za jego bardziej szalonych dni, stare elektryczne przewodniki z metalowymi spiczastymi iglicami rodem z klasycznych filmów o potworach, puste kadzie i popękane szklane zbiorniki.

– Akwaria? – zapytała Alex.

– Imbryczki na burze.

Tutaj studenci Świętego Elma warzyli pogodę. Śnieżyce, które podnosiły ceny mediów, susze, które wypalały uprawy, wiatry dostatecznie silne, żeby zatopić okręt wojenny.

Brzęczenie było tu głośniejsze, nieustający elektryczny jęk sprawiał, że włoski stawały Darlingtonowi na rękach i czuł wibracje w zębach.

– Co to takiego?! – zapytała Alex, przekrzykując hałas i przyciskając ręce do uszu.

Darlington wiedział z doświadczenia, że to nic nie da. Brzęczenie kryło się w podłodze, w powietrzu. Gdyby zostać tam dostatecznie długo, można by zwariować.

– Stowarzyszenie Świętego Elma spędziło tu całe lata, przywołując burze. Z jakiegoś powodu pogoda lubi tu wracać.

– A kiedy to się dzieje, my jesteśmy wzywani?

Poprowadził ją do starej skrzynki z bezpiecznikami. Od dawna nie była używana, ale nie pokryła się kurzem. Darlington wyjął z torby srebrny wiatrowskaz.

– Wyciągnij rękę – powiedział. Położył wiatrowskaz na jej dłoni. – Dmuchnij na niego.

Alex rzuciła mu powątpiewające spojrzenie, a potem dmuchnęła na cieniutkie srebrzyste ramiona. Wiatrowskaz poderwał się jak lunatyk w kreskówce.

– Jeszcze raz.

Wiatrowskaz powoli obrócił się, łapiąc podmuch, a potem zaczął wirować na dłoni Alex, jakby obracała nim wichura. W promieniu światła z latarki włosy uniosły się wokół Alex, aureola spowodowana wiatrem i elektrycznością sprawiała, że jej twarz wyglądała tak, jakby kłębiły się na niej ciemne węże. Darlington przypomniał ją sobie spowitą w noc na imprezie Manuskryptu i musiał dwa razy zamrużyć, żeby pozbyć się tamtego obrazu z głowy. Nie pierwszy raz wspomnienie wróciło do niego i zawsze pozostawiało w nim niepokój. Nie był pewien, czy to skutek wstydu po tamtej nocy, czy też zobaczył coś prawdziwego i powinien mieć dość rozsądku, żeby odwrócić wzrok.

– Spraw, żeby wiatrowskaz się obracał – pouczał ją – a potem przełącz przyciski. – Przełączył je szybko, cały szereg. – I zawsze miej rękawiczki.

Zahaczył palcem o ostatni przełącznik i brzęk zamienił się w przenikliwe wycie, które szarpało mu czaszkę, przesywający, sfrustrowany wrzask marudnego dziecka, które nie chce iść do łóżka. Alex się skrzywiła. Z nosa popłynęła jej strużka krwi. Darlington sam poczuł wilgoć na wardze i wiedział, że jemu też leci krew z nosa. A potem rozległ się trzask i pomieszczenie rozbłysło jasnym światłem. Wiatrowskaz zaczął latać i uderzył z brzękiem o ścianę, cały budynek westchnął i brzęk całkowicie ucichł.

Alex zadygotała z ulgi, a Darlington podał jej czystą chusteczkę, żeby wytarła nos.

– Musimy to robić za każdym razem, gdy pogoda robi się marudna? – zapytała.

Darlington wytarł nos.

– Raz, dwa razy w roku. Czasem rzadziej. Energia musi znaleźć gdzieś ujście i jeśli jej nie ukierunkujemy, to spowoduje skok napięcia.

Alex podniosła połamany wiatrowskaz. Koniuszki srebrnych strzałek były nadtopione, a pręt mocujący ramiona wygięty.

– A co z tym?

– Włożymy to do tygła z topnikiem. Powinien odnowić się w ciągu około czterdziestu ośmiu godzin.

– I to wszystko? Tylko tyle musimy zrobić?

– Tak. Lete ma sensory na wszystkich niższych poziomach Rosenfeld. Jeśli pogoda wróci, Dawes odbierze sygnał. Zawsze bierz ze sobą wiatrowskaz. Zawsze wkładaj rękawiczki i ochraniacze na buty. To nic wielkiego. Teraz możesz wrócić do... Do czego właściwie wracasz?

– *The Fearie Queene*.

Darlington przewrócił oczami i zaprowadził ją do drzwi.

– Moje kondolencje. Spencer jest potwornym nudziarzem. Na jaki temat piszesz pracę?

Słuchał jej tylko jednym uchem. Chciał ją uspokoić. Chciał sam siebie uspokoić. Ponieważ w ciszy, jaka zapadła po brzęczeniu burzy, słyszał jakiś oddech.

Poprowadził Alex przejściem między zakurczonym szkłem i połamanymi maszynami, nasłuchując.

Jak przez mgłę docierało do niego, że Alex mówi o królowej Elżbiecie i że dzieciak z jej grupy zmarnował cały kwadrans, opowiadając o tym, że wszyscy wielcy poeci byli leworęczni.

– To oczywista nieprawda – powiedział Darlington.

Oddech był głęboki i równy, jak u odpoczywającego stworzenia, tak miarowy, że można by go pomylić z odgłosem systemu wentylacyjnego w budynku.

– To samo powiedział asystent prowadzący zajęcia, ale ten chłopak chyba jest leworęczny, bo zaczął nawijać, jak to kiedyś zmuszano mańkutów do pisania prawą ręką.

– Leworęczność uważano za oznakę demonicznego wpływu. Lewa ręka to nieczysta ręka i tak dalej.

– Naprawdę?

– Co naprawdę?

– To oznaka demonicznego wpływu?

– W żadnym razie. Demony są oburęczne.

– Czy zdarza się, że musimy walczyć z demonami?

– Nigdy. Demony przebywają w jakimś piekielnym świecie za Zastoną, a jeśli chodzi o te, którym uda się przez nią przepchnąć, to zdecydowanie za mało nam płacą, żebyśmy się nimi zajmowali.

– Przecież w ogóle nam nie płacą.

– Właśnie.

Tam, w kącie, ciemność wydawała się głębsza, niż powinna być – cień, który nie był cieniem. Portal. W piwnicy Rosenfeld Hall. Gdzie nie miał prawa być.

Darlingtonowi ulżyło. To, co wziął za oddech, musiało być świstem powietrza wpadającego przez magiczną bramę, i chociaż jej pojawienie się na razie było zagadką, to był w stanie ją rozwiązać. Ktoś ewidentnie zaglądał do piwnicy, próbując przechwycić moc dawnego węzła Świętego Elma do jakiejś magii. Najwyraźniej winowajcą był Zwój i Klucz. Stowarzyszenie odwołało ostatni rytuał i jeśli poprzednia próba otwarcia portalu na Węgry stanowiła jakąś wskazówkę, to magia ich własnego grobowca słabła. Nie zamierzał jednak rzucać oskarżeń bez dowodów. Rzuci czar chroniący i wiążący, żeby portalu nie dało się używać, a potem będą musieli wrócić do Il Bastone po narzędzia potrzebne, aby przejście zamknąć raz na zawsze. Alex to się nie spodoba.

– Sama nie wiem – mówiła. – Może po prostu chcieli okiełznać te leworęczne diabelskie dzieci, bo bałaganiły jak diabli. Zawsze potrafiłam się zorientować, kiedy Hellie pisała w pamiętniku, bo miała cały nadgarstek w atramencie.

Podjeżdżał, że sam zdołałby zamknąć portal. Dałby Alex spokój, żeby mogła napisać jakąś nużącą pracę o nużącym Spenserze. „Transport i transgresja w *The Fearie Queene*”.

– Kto to jest Hellie? – zapytał.

Jednak kiedy tylko wypowiedział pytanie, odnalazł odpowiedź. Helen Watson. Martwa dziewczyna, która przedawkowała; to obok niej znaleziono Alex. Coś w nim zamigotało jak żarówka. Przypomniał sobie straszliwe wzory krwi, powtarzające się raz za razem na ścianach nędznego mieszkania jak makabryczna tapeta. Zamachy lewą ręką.

Tyle że Helen Watson zmarła wcześniej tej nocy, prawda? Nie było na niej krwi. Żadnej z dziewczyn nie można było podejrzewać. Obie były naćpane do granic możliwości i za drobne, żeby narobić takich szkód. A Alex nie była leworęczna.

Za to Helen Watson owszem.

Hellie.

Alex patrzyła na niego w ciemności. Miała to ostrożne spojrzenie kogoś, kto wie, że za dużo powiedział. Darlington czuł, że powinien udać, iż się nie przejął. „Zachowuj się naturalnie. Tak, zachowuj się naturalnie, stojąc w piwnicy skrzęcej się burzową magią, obok portalu prowadzącego kto wie dokąd, z dziewczyną, która widzi duchy”. Nie, ona nie tylko je widziała.

Może nawet je wpuszczała.

„Zachowuj się naturalnie”. A zamiast tego stał w całkowitym bezruchu, wpatrując się w czarne oczy Alex, przeszukując w pamięci wszystko, co wiedział o opętaniu przez Szarych. Istnieli inni ludzie obserwowani przez Dom Lete, którzy rzekomo mieli widzieć duchy. Wielu straciło rozum albo przestało być „możliwymi do przyjęcia” kandydatami. Krążyły historie o ludziach, którzy oszaleli i niszczyli pokoje szpitalne albo atakowali swoich opiekunów z niesłychaną siłą – z siłą, jaka może być potrzebna, żeby załatwić kijem bejsbolowym pięciu dorosłych mężczyzn. Po wybuchu ludzie zawsze zapadali w stan katatonii, w którym nie można było ich przesłuchać. Jednak Alex nie była zwykłą osobą, prawda?

Darlington patrzył na nią. Ondyna o gładkich czarnych włosach z przedziałkiem jak nagi kolec, o pożerających oczach.

– Zabiłaś ich – powiedział. – Ich wszystkich. Leonarda Beacona. Mitchella Bettsa. Helen Watson. Hellie.

Cisza się przeciągała. Błysk jej ciemnych oczu stał się jakby bardziej bezwzględny. Czy nie pragnął magii, drzwi do innego świata, magicznej dziewczyny? Tyle że magia nigdy nie była życzliwa. „Powiedz mi, żebym się odpieprzył – pomyślał. – Otwórz te wulgarne usta i powiedz mi, że się myślę. Powiedz mi, żebym poszedł do diabła”.

Ona jednak powiedziała tylko:

– Nie Hellie.

Darlington słyszał szum wiatru wpadającego przez portal, zwyczajne jęki domu wznoszącego się nad nimi i gdzieś w oddali wycie syreny.

Wiedział. Od pierwszego dnia, kiedy ją poznał, wiedział, że coś jest z nią nie tak, ale nie odgadł jak bardzo. Morderczyni.

Kogo jednak tak naprawdę zabiła? Nikogo, za kim ktokolwiek by zatęsknił. Może zrobiła to, co musiała. Tak czy inaczej, zarząd Lete nie miał pojęcia, z kim ma do czynienia, co wprowadził w swoje szeregi.

– Co zrobisz? – spytała Alex.

Te twarde czarne oczy jak kamienie w rzece. Żadnych wyrzutów sumienia, żadnych wymówek. Tylko parcie, żeby przetrwać.

– Nie wiem – odpowiedział Darlington, ale oboje wiedzieli, że to kłamstwo.

Będzie musiał powiedzieć dziekanowi Sandowowi. Nie da się tego obejść.

„Zapytaj ją dlaczego. Nie, zapytaj ją, w jaki sposób”. Jej motywacje powinny bardziej liczyć się dla niego, ale Darlington wiedział, że to kwestia sposobu będzie go prześladować, podobnie zapewne jak zarząd. Nigdy jednak nie pozwoli jej pozostać w Lete. Gdyby coś się stało, gdyby Alex znowu kogoś skrzywdziła, oni ponieśliby odpowiedzialność.

– Zobaczmy – powiedział i odwrócił się ku ciemnemu cieniowi w kącie.

Nie chciał dłużej na nią patrzeć, nie chciał zobaczyć strachu na jej twarzy, świadomości wszystkiego, co utraci.

Czy ona kiedykolwiek miała szansę, żeby jej się udało? Zimna cząstka jego osoby uważała, że Alex nigdy nie miała tego, co potrzebne, aby należeć do Lete. Należć do Yale. To dziewczyna z zachodu, krainy beztroskiego słońca, sklejki i laminatu.

– Ktoś tu był przed nami – powiedział, bo łatwiej było mówić o pracy niż o fakcie, że była zabójczynią.

Leonard Beacon został pobity nie do poznania. Organy wewnątrz Mitchella Bettsa zamieniły się niemal w stan płynny, bo zbito je na miąsgę. Dwaj mężczyźni w pokoju na tyłach mieli dziury w piersi, jakby wbito im kółki w serca. Z kija zostały kawałeczki tak małe, że nie dało się zdjąć odcisków palców. A jednak Alex była czysta. Nie wykryto na niej żadnych śladów krwi. Technicy policyjni sprawdzili nawet odpływy.

Darlington wskazał na czarną plamę w kącie.

– Ktoś otworzył portal.

– W porządku – odpowiedziała ostrożnie, niepewnie.

Koleżeństwo i swoboda, które zyskali w minionych miesiącach, przepadły, jakby to była przelotna zmiana pogody.

– Zabezpieczę go – wyjaśnił. – Wrócimy do Il Bastone i porozmawiamy.

Sam zastanawiał się, czy mówił serio. Czy raczej miał na myśli „dowiem się, ile zdołam, zanim cię wydam i odejdziesz po cichu”. Dzisiaj będzie jeszcze gotowa na wymianę: informacje w zamian za jego milczenie. Była jego Dantem. To powinno mieć znaczenie.

„Ona jest zabójczynią” – upomniał siebie w myślach. – „I oszustką”.

– To nie jest coś, co mogę ukrywać przed Sandowem.

– W porządku – powtórzyła.

Darlington wyjął z kieszeni dwa magnesy i zakreślił wyraźny znak ochrony przed portalem. Takie przejścia to magia typowa dla Zwoju i Klucza, ale Klucznicy ponosili wręcz absurdalne ryzyko, otwierając portal z dala od własnego grobowca. Niemniej posłużył się ich własną magią, żeby zamknąć przejście.

– *Alsamt* – zaczął. – *Mukhal...*

Wyssało mu oddech, zanim zdążył dokończyć zaklęcie.

Coś go chwyciło i Darlington wiedział, że popełnił straszliwy błąd. To nie był portal. W żadnym razie.

W ostatniej chwili zdał sobie sprawę, jak niewiele rzeczy wiąże go ze światem. Co go tu zatrzyma? Kto zna go na tyle, żeby zatrzymać jego serce? Wszystkie te książki, muzyka, sztuka i historia, milczące kamienie Black Elm, ulice tego miasta. Tego miasta. Żadna z tych rzeczy nie będzie go pamiętać.

Próbował coś powiedzieć. Słowa ostrzeżenia? Ostatnie tchnienie mądrali? Tu leży chłopak, który znał wszystkie odpowiedzi. Tyle że nie będzie miał grobu.

Danny spojrzał na starą-młodą twarz Alex, w czarne studnie jej oczu, na usta, które pozostały rozwarte, ale nie poruszyły się, żeby coś powiedzieć. Nie zrobiła kroku w jego stronę. Nie wypowiedziała słów ochrony.

Skończył tak, jak zawsze podejrzewał, że skończy – samotnie i w ciemności.

19

ZESZŁE LATO

Alex nie potrafiła powiedzieć, kiedy zaczęły się kłopoty w Strefie Zero. To wszystko sięgało za daleko. Len próbował awansować, chciał, żeby Eitan dał mu poważniejszą robotę. Z trawy mogli opłacić rachunki, ale dzieciaki z prywatnych szkół w Buckley i Oakwood chciały adderallu, eski, oxy, ketaminy, a Eitan nie ufał Lenowi na tyle, żeby dać mu coś więcej niż torebki z działką trawki za dziesięć dolców, bez względu na to, jak bardzo Len mu się podlizywał.

Len uwielbiał złorzeczyć na Eitana, nazywał go śliskim żydowskim kutasem, a Alex wierciła się wtedy nerwowo, myśląc o swojej babci zapalającej świecę w szabat. Niestety Eitan Shafir miał wszystko, czego pragnął Len: pieniądze, samochody, niekończący się sznur potencjalnych modelek uczepionych jego ramienia. Mieszkał w wielkiej rezydencji w Encino z basenem na dachu, z którego był widok na autostradę 405. Otaczała go wręcz idiotyczna liczba mięśniaków. Kłopot w tym, że Len nie miał niczego, czego chciał Eitan, dopóki w mieście nie pojawił się Ariel.

– Ariel – powiedziała wtedy Hellie. – To imię anioła.

Ariel był kuzynem Eitana albo bratem, czy kimś takim. Alex nie była pewna. Miał szeroko rozstawione oczy pod ciężkimi powiekami, przystojną twarz z idealnie utrzymanym zarostem. Od pierwszej chwili budził w Alex niepokój. Był zbyt nieruchomy, jak polujący drapieżnik, i wyczuwała w nim czekającą na wybuch przemoc. Widziała to nawet w sposobie, w jaki Eitan się do niego zwracał, w tym, że imprezy w domu w Encino stały się bardziej szalone, jakby desperacko próbowano mu zaimponować, zabawić go, bo znudzony Ariel mógłby okazać się bardzo niebezpieczny. Alex miała przeczucie, że Ariel albo ktoś jemu podobny zawsze tam był, że ten popaprzany mechanizm zbudowany z ludzi takich jak Eitan i Len nie dałby rady funkcjonować bez kogoś takiego jak

Ariel nad nimi, bez rozpartego w fotelu gościa, który mruga powoli, jakby to było odliczanie zegara.

Len bawił Ariela. Rozśmieszał go, chociaż to przedziwne, że Ariel nigdy się nie uśmiechał, kiedy się śmiał. Uwielbiał przywoływać Lena do swojego stolika. Klepał go w plecy i namawiał do freestyle'owania.

– To nasza szansa – powiedział Len w dniu, kiedy Ariel wprosił się do Strefy Zero.

Alex nie rozumiała, dlaczego Len nie widzi, że Ariel śmieje się z niego, że bawi go jego bieda, podniecają jego pragnienia. Sama dość przeszła, żeby rozumieć, że są ludzie, którzy lubią widzieć, jak inni płaszczą się przed nimi, lubią popychać, żeby przekonać się, jakie upokorzenia przełkną nakręceni pragnieniem. Po domu Eitana krążyły plotki, które przekazywały sobie dziewczyny: „Nie zostawaj sam na sam z Arielem. Jemu nie chodzi po prostu o ostry seks. To potwór”.

Alex próbowała pokazać Lenowi niebezpieczeństwo.

– Nie zadawaj się z tym gościem – powiedziała mu. – On nie jest taki jak my.

– Ale mnie lubi.

– Lubi bawić się jedzeniem.

– Spraw, że Eitan mnie awansuje – powiedział Len, stając przy żółtym poobijanym blacie w Strefie Zero. – Dlaczego próbujesz spierdolić każdą dobrą rzecz, jaka mi się przytrafia?

– To gówniany fentanyl, na miłość boską. Daje ci go, bo nikt inny go nie chce.

Eitan nie zajmował się fentanylem, o ile nie wiedział, skąd dokładnie pochodzi. Lubił trzymać się z dala od policyjnego radaru, a zabijanie klientów zwykle zwracać uwagę glin. Ktoś spłacił mu dług czymś, co miało być heroiną wymieszaną z fentanylem, ale towar przeszedł przez zbyt wiele rąk, żeby uznać go za czysty.

– Nie spieprz mi tego, Alex – ostrzegł ją Len. – Wysprzątaj ten chlew, żeby ładnie wyglądał.

– Pozwól, że pójdę po swoją magiczną różdżkę.

Spoliczkował ją wtedy, ale niezbyt mocno. Zwykły policzek, który mówił „to interesy”.

– Ej! – zaprotestowała Hellie.

Alex nie była pewna, co Hellie miała na myśli z tym swoim „ej”, ale mimo to poczuła wdzięczność.

– Wyluzuj – powiedział Len. – Ariel chce się zabawić z prawdziwymi ludźmi, a nie z tymi plastikowymi dupkami, którymi otacza się Eitan.

Przyniesiemy głośniki od Damona. Posprzątajcie. – Spojrzał na Hellie, a potem na Alex. – Postarajcie się ładnie wyglądać. I bez żadnego stawiania się wieczorem.

– Chodźmy – powiedziała Alex, kiedy tylko Len wyszedł z mieszkania, a Betcha już przypalał na siedzeniu pasażera.

Betcha naprawdę nazywał się Mitchell, ale Alex dowiedziała się o tym dopiero, kiedy zgarnięto go za posiadanie i trzeba było rzucić się na kaucję. Przykleił się do Lena jeszcze przed Alex i zawsze przy nim się kręcił – wysoki, masywny, z miękkim brzuchem, podbródkiem wiecznie obsypanym trądzikiem.

Alex i Hellie zaczęły iść w kierunku betonowej ryny rzeki L.A, a potem na przystanek autobusowy przy Sherman Way, nie myśląc o żadnym konkretnym celu. Robiły to już kiedyś, przysięgały nawet, że wyjeżdżają na zawsze, i docierały aż do Santa Monica Pier, Barstow, a raz aż do Vegas, gdzie przez pierwszy dzień krążyły po hotelowych lobby, a drugiego kradły ćwierćdolarówki starszym paniom grającym na automatach, dopóki nie uzbierały dość, żeby opłacić powrót autobusem do domu. Pędząc międzystanową piętnastką w klimatyzowanym autobusie do L. A., zasnęły, opierając głowy na ramieniu drugiej. Alex śniła o ogrodzie przy Bellagio, kołach wodnych i aromatach, kwiatkach ułożonych jak puzzle w układance. Czasem mijały godziny, niekiedy nawet dni, ale zawsze wracały. Świat był za duży, wybór był zbyt wielki i prowadził do następnych wyborów. Na tym polegało życie, a żadna z nich nigdy nie zdobyła umiejętności podejmowania wyborów.

– Len mówi, że stracimy Strefę Zero, jeśli Ariel nie spełni obietnicy – powiedziała Hellie, gdy wsiadły do autobusu.

Dzisiaj nie miały wielkich planów. Żadnego Vegas, jedynie przejazdka na West Side.

– To tylko gadanie.

– Wścieknie się, że nie posprzątałyśmy.

Alex wyjrzała przez brudne okno i powiedziała:

– Zauważyłaś, że Eitan odesłał swoją dziewczynę?

– Co?

– Kiedy Ariel przyjechał, odesłał Inger. Nie chciał, żeby którakolwiek ze zwykłych dziewczyn została w pobliżu. Tylko śmiecie z Valley.

– To nic takiego.

Obie wiedziały, po co Ariel przyjdzie do Strefy Zero. Chciał się zabawić w slumsach, a Alex i Hellie miały być częścią tej zabawy.

– Zawsze wydaje się, że to nic takiego, dopóki nie okaże się, że jednak jest inaczej – odparła Alex.

Bywały już inne tego typu sytuacje. Pierwszy był gość od filmów (a przynajmniej ktoś, kogo Len tak przedstawił), który miał załatwić im dojazd do Hollywood. Później Alex dowiedziała się, że był tylko asystentem kierownika produkcji prosto po szkole filmowej. Przez cały wieczór siedziała na jego kolanach. Miała nadzieję, że na tym się skończy, dopóki nie zabrał jej do małej łazienki i nie położył brudnego dywanika łazienkowego na kafelkach – w przedziwnie rycerskim geście – żeby było jej wygodniej, gdy będzie mu obciążała, podczas gdy on siedział na sedesie. „Mam piętnaście lat” pomyślała, gdy opłukiwała usta i poprawiała rozmazany makijaż oczu. Jak to jest mieć piętnaście lat? Czy inna Alex chodzi na imprezy pizamowe u koleżanek i całuje chłopców na szkolnych potańcówkach? Czy mogłaby przejść przez lustro nad umywalką i wślizgnąć się w skórę tamtej dziewczyny?

Jednak to nie było nic wielkiego. U niej wszystko było w porządku. Aż do następnego ranka, kiedy Len trząsał drzwiami szafek kuchennych i palił w taki sposób, jakby chciał pożreć papierosa przy każdym zaciągnięciu się. W końcu Alex warknęła:

– Co z tobą?

– Ze mną? To moja dziewczyna jest kurwą.

Alex słyszała to słowo tyle razy z ust Lena, że ledwie na nie zwracała uwagę. Suka, zdzira, czasem pizda, kiedy był wyjątkowo zły albo odgrywał brytyjskiego gangstera. Jednak nigdy nie mówił na nią w ten sposób. To było słowo dla innych dziewczyn.

– Przecież powiedziałaś...

– Nic, kurwa, nie mówiłem.

– Powiedziałaś, że mam go zabawić.

– A po kurewskiemu to znaczy obciągnąć mu?

Alex zakręciło się w głowie. Skąd wiedział? Czy gość od filmów wyszedł z łazienki i się tym pochwalił? A jeśli tak, to czemu Len się wściekał? Wiedziała, co to znaczy „zabawić”. Alex ogarnęła wściekłość i było to lepsze od wszystkich narkotyków; gniew wypalił z jej umysłu wszelkie wątpliwości.

– A czegoś ty się, kurwa, spodziewała? – zapytała, zaskoczona tym, jak głośno mówi, z jaką pewnością. – Parodii? Że będę mu robić zwierzątka z baloników?

Wzięła ich blender, w którym Len robił koktajle proteinowe, i roztrzaskała go o lodówkę. Przez chwilę widziała strach w oczach Lena i okropnie chciała, żeby już zawsze się jej bał. Len nazwał ją wariatką i wyszedł z mieszkania, trzaskając drzwiami. Uciekł przed nią. Kiedy jednak wyszedł i adrenalina gwałtownie opadła, Alex poczuła się samotna i słaba. Nie czuła już słusznego

gniewu, tylko wstyd. Potwornie bała się, że w jakiś sposób wszystko popsuka, że Len już jej nie będzie chciał. A dokąd by poszła? Pragnęła tylko, żeby wrócił.

Ostatecznie przeprosiła go i błagała o wybaczenie. Upalili się, włączyli klimatyzator i pieprzyli się tuż obok niego. Powietrze buchało zimnymi podmuchami, zagłuszając ich dyszenie. Kiedy jednak Len powiedział, że jest dobrą małą zdziwą, nie czuła się ani seksowna, ani dzika. Czuła się mała. Bała się, że się rozplacze i że to też może mu się spodobać. Odwróciła twarz do zimnego podmuchu klimatyzatora, aż zdmuchnął jej włosy z policzka. Zaciśnęła powieki, a kiedy Len ją posuwał od tyłu, wyobraziła sobie, że jest lodowcem, nagim i samotnym, a świat jest czysty, pusty i pełen wybaczenia.

Niestety Ariel nie był studentem szkoły filmowej, który szuka przygody. Miał złą reputację. Krążyły historie, że znalazł się w Stanach, bo uciekł przed izraelską policją za to, że poturbował dwie nieletnie dziewczyny w Tel Awiwie, że prowadził walki psów, że lubił wyłamywać dziewczynom ramiona w ramach gry wstępnej, jak chłopiec wyrywający muszce skrzydełka.

Len będzie wściekły, kiedy wróci do domu i zobaczy, że w mieszkaniu nadal panuje bałagan. Jeszcze bardziej się wścieknie, jeśli nie wrócą do Strefy Zero na imprezę. Ale prędzej przetrwają gniew Lena niż uwagę Ariela.

Alex rozumiała, że Len spodziewał się objawów zazdrości, kiedy przyprowadził Hellie do domu tamtego dnia z plaży w Venice. Nie przewidział ciepłego śmiechu Hellie, swobody, z jaką obejmowała Alex, tego, że będzie zdejmowała tanie książki z dreszczowcami i starą fantastyką naukową z półki Alex i prosiła: „Poczytaj mi”. Hellie sprawiała, że życie było znośne. Alex nie zamierzała pójść ścieżką prowadzącą do Ariela, tak jak nie zamierzała pozwolić na to Hellie, ponieważ skądś wiedziała, że nie wyjdą z tego nietknięte. Nie miały wspaniałego życia. Nikt nie wyobrażał sobie takiego życia ani nie prosił o nie, ale dawały sobie radę.

Pojechały autobusem w dół wzgórza, drogą 101 do 405 i do Westwood, przeszły się aż do UCLA, wspięły się na teren kampusu i minęły ogród rzeźb. Usiadły na schodach pod ładnymi łukami Royce Hall i patrzyły na studentów grających we frisbee albo leżących na słońcu i czytających. Odpoczynek. Ci złośliwi ludzie szukali odpoczynku, bo mieli tyle innych rzeczy do zrobienia. Zajęcia. Cele. Alex nie musiała niczego. Nigdy. Z tego powodu czuła, że się pogrąża.

Kiedy robiło się naprawdę źle, lubiła rozmawiać o Planie Dwuletnim. Ona i Hellie pójdą jesienią do dwuletniego college'u, który przygotowuje do studiów, albo zaczną się uczyć przez Internet. Obie znajdą pracę w centrum handlowym i odłożą pieniądze na używany samochód, żeby nie musiały wszędzie jeździć autobusem.

Zwykle Hellie podejmowała grę, ale nie tego dnia. Była ponura, marudna, czepiała się wszystkiego.

– Nikt nie da nam tytułu zmian w centrum, żeby było nas stać i na samochód, i na wynajem mieszkania.

– To zostaniemy sekretarkami albo kimś takim.

Hellie rzuciła przeciągłe spojrzenie na jej ręce.

– Masz za dużo tatuaży.

Hellie ich nie miała. Gdy wyciągała się na schodach Royce Hall w dżinsowych szortach i krzyżowała złote nogi, pasowała do tego miejsca.

– Lubię, jak myślisz, że to naprawdę się wydarzy. To słodkie.

– To może się wydarzyć.

– Nie możemy stracić mieszkania. Przez jakiś czas byłam bezdomna, gdy matka wyrzuciła mnie z domu. Nie powtórzę tego.

– Nie będziesz musiała. Len tylko tak gada. A nawet jeśli nie, to coś się wymyśli.

– Jeśli dłużej zostaniesz na słońcu, to będziesz wyglądać jak Mexicana. – Hellie wstała i otrzepała szorty. – Zapalmy i chodźmy na film.

– Nie będziemy miały dość pieniędzy, żeby wrócić autobusem.

Hellie mrugnęła porozumiewawczo.

– Coś wymyślimy.

Znalazły kino, starego Foxa, gdzie Alex czasem widziała, jak obsługa rozpiniała czerwone sznury przed premierami. Usadowiła się przy Hellie i oparła głowę na jej ramieniu, wciągając słodki kokosowy zapach jej nadal ciepłej od słońca skóry. Czuła, jak czasem jej jedwabiste blond włosy muskają jej czoło.

W końcu przysnęła i kiedy światła w kinie zapaliły się, Hellie nie było. Alex poszła do lobby, potem do łazienki i wreszcie wysłała jej wiadomość. Dopiero po drugiej dostała odpowiedź: „Wszystko w porządku. Coś wymyśliłam”.

Hellie wróciła na imprezę. Wróciła do Lena i Ariela. Dopilnowała, żeby Alex nie zdążyła wrócić i jej powstrzymać.

Alex nie miała żadnych pieniędzy, nie miała jak wrócić do domu. Próbowła złapać stopa, ale nikt nie chciał zabrać zapłakanej dziewczyny w brudnym T-shirtcie i króciutkich czarnych dżinsowych szortach. Kręciła się po Westwood Boulevard, nie bardzo wiedząc, co zrobić, aż wreszcie sprzedała resztę trawki rudej dziewczynie z dreadami i chudym psem.

Kiedy wróciła do mieszkania, stopy miała w krwawych pęcherzach, które zdążyły zrobić się i popękać w jej tenisówkach Converse. Impreza w Strefie Zero rozkręciła się na całego, muzyka wypływała na zewnątrz dudnieniem i świergotem.

Zakradła się do środka, ale nie zobaczyła Hellie ani Ariela w pokoju dziennym. Poczekała w kolejce do łazienki, mając nadzieję, że nikt nie powie Lenowi o jej powrocie albo że ten będzie zbyt nawalony, żeby się przejąć. Umyła nogi w wannie, wróciła do sypialni i położyła się na materacu. Znowu napisała do Hellie.

„Gdzie jesteś? Jestem w sypialni”.

„Hellie, proszę”.

„Proszę”.

Zasnęła, ale obudziła się, gdy usłyszała, że Hellie kładzie się obok niej. W słabym świetle lamp z czujnikiem ruchu w zaułku wydawała się cała żółta. Oczy miała wielkie i szkliste.

– Nic ci nie jest? – spytał Alex. – Bardzo źle było?

– Nie – odpowiedziała Hellie, ale Alex nie wiedziała, na które pytanie odpowiada. – Nie, nie, nie, nie, nie.

Hellie objęła ją i przyciągnęła. Włosy miała wilgotne. Wzięła prysznic. Pachniała mydłem Dial, zamiast jak zwykle słodko i kokosowo.

– Nie, nie, nie, nie, nie – powtarzała.

Chichotała, ciało jej drżało jak wtedy, gdy powstrzymywała się przed zbyt głośnym śmiechem, ale ścisnęła plecy Alex i wbijała palce w jej ciało, jakby coś wciągało ją w morze.

Kilka godzin później Alex znowu się obudziła. Miała wrażenie, jakby nigdy nie przespała porządnie nocy i nigdy nie miała prawdziwego poranka, tylko te krótkie drzemki przerywane stanem półczuwania. Była trzecia rano i impreza umarła albo przeniosła się gdzie indziej. W mieszkaniu panowała cisza. Hellie siedziała przy niej i na nią patrzyła. Spojrzenie nadal miała błędne. W pewnym momencie w nocy wymiotowała na koszulkę.

Alex zmarszczyła nos, czując smród.

– Dzień dobry, flejtuchu – powiedziała.

Hellie uśmiechnęła się, a na jej twarzy malowała się wielka słodycz i wielki smutek.

– Spieprzajmy stąd – zaproponowała Alex. – Na dobre. Skończmy z tym miejscem.

Hellie skinęła głową.

– Zdejmij tę bluzkę. Potwornie cuchniesz – powiedziała Alex i sięgnęła do rąbka koszulki.

Jej ręka przeszła na wylot przez miejsce, gdzie powinna znajdować się jędrna skóra na brzuchu Hellie.

Hellie zamrugnęła. Jej oczy były smutne, bezbrzeżnie smutne.

Po prostu leżała i patrzyła na Alex, przyglądała się jej. Po raz ostatni, jak Alex zrozumiała.

Hellie odeszła. Chociaż nie całkiem. Jej ciało leżało na materacu, na plecach, krok od niej, obcisły T-shirt miała obryzganym wymiocinami, była nieruchoma i zimna. Skórę miała niebieską. Jak długo jej duch czekał, aż Alex się obudzi? W pokoju były dwie Hellie. W pokoju nie było żadnej Hellie.

– Hellie. Hellie! Helen.

Alex płakała, pochylając się nad jej ciałem, sprawdzając puls. Coś w niej pękło.

– Wróć – szlochała, sięgając do ducha Hellie, ale jej ręce przechodziły przez nią raz za razem i za każdym razem dostrzegała jasny ułamek życia Hellie. Słoneczny dom jej rodziców w Carpinterii. Jej zgrubiałe stopy na desce surfingowej. Ariel wpychający jej palce do ust.

– Nie musiałaś tego robić. Nie musiałaś.

Hellie jednak nic nie powiedziała, tylko płakała w ciszy. Łzy srebrzyły się na jej policzkach. Alex zaczęła krzyczeć.

Len wpadł do pokoju z wypuszczoną ze spodni koszulą, potarganymi włosami; przeklinał, że jest trzecia nad ranem, a on nie może nawet przez chwilę odpocząć we własnym domu, po czym zobaczył ciało Hellie.

I wtedy zaczął powtarzać w kółko jedno słowo: „Kurwa, kurwa, kurwa”. Tak jak wcześniej Hellie mówiła „nie, nie, nie”. Ratata, ta, ta. Chwilę potem już przyciskał dłoń do ust Alex.

– Zamknij się, zamknij się, do kurwy nędzy. Boże, ty durna zdziro, siedź cicho.

Alex nie mogła jednak zamilknąć. Płakała w głoś, z trudem łapiąc powietrze, gdy on ścisnął ją coraz mocniej. Nie mogła oddychać. Smarki lały jej się z nosa, a jego ręka zaciskała się mocno na jej ustach. Próbowwała się wyrwać, gdy on ją przyduszał. Czuła, że zaraz zemdleje.

– Jezu, kurwa. – Odepchnął ją i otarł ręce o spodnie. – Jezu, zamknij się i daj mi pomyśleć.

– O, w mordę. – W drzwiach stał Betcha, brzuch wisiał mu nad koszykarskimi szortami, wystając spod T-shirta. – Ona...?

– Musimy to uprzątnąć – powiedział Len. – Wynieść ją stąd.

Przez chwilę Alex kiwała głową, myśląc, że Len chce zadbać, żeby Hellie wyglądała schludnie. Nie powinna trafić do szpitala z wymiocinami na koszulce. Nie powinna zostać znaleziona w takim stanie.

– Nadal jest wcześniej. Nikogo nie ma na mieście – powiedział Len. – Możemy zabrać ją do samochodu, podrzucić ją... Sam nie wiem. Może pod ten obleśny klub przy Hayvenhurst.

– Crashers?

– Aha. Zostawimy ją w zaułku. Wygląda na dość zużytą i nadal będzie miała mnóstwo gówna we krwi.

– Jasne – zgodził się Betcha. – Pewnie.

Alex patrzyła na nich i dzwoniło jej w uszach. Hellie też na nich patrzyła z miejsca obok swojego ciała na materacu i słuchała, że zamierzają wyrzucić ją jak śmiecia.

– Dzwonię po gliny – powiedziała Alex. – Ariel musiał dać jej...

Len uderzył ją. Otwarta dłonią, ale mocno.

– Nie bądź, kurwa, głupia! Chcesz iść do więzienia? Chcesz, żeby Eitan i Ariel dobrali się nam do dupy? – Znowu ją uderzył.

– Stary, kurna, uspokój się – powiedział Betcha. – Nie bądź taki.

Jednak nie zamierzał się wtrącać. Nie zrobiłby niczego, żeby powstrzymać Lena.

Duch Hellie odchylił głowę i spojrzał na sufit, a potem zaczął dryfować ku ścianie.

– Chodź – powiedział Len do kumpla. – Złap ją za kostki.

– Nie możesz jej tego zrobić – zaprotestowała Alex. To właśnie powinna była powiedzieć poprzedniego wieczoru. I każdego innego. „Nie możesz jej tego robić”.

Duch Hellie już zaczął znikać przez ścianę.

Jej ciało wisiało między Lenem i Betchą jak hamak. Len złapał ją pod pachy. Głowa obróciła jej się na bok.

– Boże, jedzie gównem.

Betcha złapał ją za kostki. Jeden z jej perłoworóżowych plastikowych pantofli zwisał z nogi. Nie zdjęła ich przed pójściem do łóżka. Pewnie ich nawet nie zauważyła. Alex patrzyła, jak but ześlizguje się z palców i spada z głuchym stukotem na podłogę.

– Cholera, załóż go jej z powrotem.

Betcha zaczął wkładać go po omacku, położył jej stopy, a potem próbował wsadzić pantofel jak jakiś lokaj z Kopciuszka.

– Na miłość boską, po prostu weź go ze sobą. Wyrzucimy go razem z nią.

Dopiero kiedy Alex wyszła za nimi do pokoju dziennego, zobaczyła, że Ariel nadal tam jest, leży na kanapie w bokserkach.

– Niech to szlag, ja tu próbuję spać – powiedział, mrugając nieprzytomnie oczami. – O cholera, ona...?

I zaczął rechotać.

Zatrzymali się przy frontowych drzwiach. Len próbował sięgnąć do klamki, przewrócił swój durny gangsterki kij, który stał tam „dla obrony”. Nie był jednak

w stanie trzymać ciała Hellie i nacisnąć klamki.

– Rusz się – warknął. – Otwórz drzwi, Alex. Wypuść nas.
„Wpuść mnie”.

Duch Hellie wisiał w powietrzu widoczny przez okno. Już zniknął w szarości. Popłynę za nimi aż do tego obłędnego zaułka?

– Nie odchodź – prosiła ją Alex.

Len myślał, że mówi do niego.

– Otwórz te drzwi, suko! Zero z ciebie pożytku.

Alex sięgnęła do klamki. „Wpuść mnie”. Metal był chłodny w jej dłoni. Zaczęła otwierać drzwi, ale zaraz je zamknęła. Przekręciła zamek i odwróciła się do Lena, Betchy i Ariela.

– Co znowu? – zapytał zniecierpliwiony Len.

Alex wyciągnęła rękę do Hellie. „Zostań ze mną”. Nie wiedziała, o co prosi. Nie wiedziała, co oferuje. Hellie jednak zrozumiała.

Poczuła, jak Hellie mknie do niej. Poczuła, że jest rozrywana na pół, żeby zrobić miejsce dla drugiego serca, drugich płuc, dla woli Hellie, dla jej siły.

– Co znowu, Len? – spytała Alex i podniosła kij.

Alex nie pamiętała wiele z tego, co się potem wydarzyło. Zostało jej wrażenie obecności Hellie, podobne do głębokiego, wstrzymywanego oddechu. Pamiętała lekkość kija w ręku i naturalność, z jaką w niej leżał.

Nie wahała się. Wzięła zamach z lewej, jak Hellie, kiedy grała dla Midway Mustangs. Alex była tak silna, że aż niezręczna. Najpierw uderzyła Lena. Potężny cios w czaszkę. Zrobił krok w bok, a ona się zatoczyła, straciła równowagę z powodu siły własnego uderzenia. Znowu uderzyła go w głowę i rozległ się głośny trzask, jakby pękła piñata, poleciały odłamki czaszki i mózgu, krew bryzgnęła na wszystkie strony. Betcha nadal trzymał Hellie za kostki, kiedy Alex odwróciła się do niego z kijem – była aż tak szybka. Uderzyła go najpierw w kolana od tyłu. Padł z krzykiem, a wtedy przyłożyła mu kijem w kark i ramiona, jakby to był młot kowalski.

Ariel wstał i początkowo myślała, że sięgnie po broń, ale on się cofał z przerażeniem, a kiedy minęła przesuwane drzwi, zrozumiała powody. Jarzyła się. Pobiegła za nim do drzwi... Nie, nie pobiegła. Poleciała za nim, bo jej stopy ledwie dotykały ziemi. Gniew Hellie był jak narkotyk w jej ciele, rozpałał krew. Obaliła Ariela na podłogę i uderzała go raz za razem, aż kij pękł na jego kręgosłupie. A potem wzięła dwa ostro zakończone kawałki i poszła poszukać

pozostałych wampirów, tego męskiego sabatu, chłopców śpiących w łóżkach, śliniących się i pijanych.

Kiedy skończyła, kiedy już nikt nie został do zabicia i poczuła zmęczenie przesączające się przez nieskończoną energię Hellie, to Hellie nią pokierowała. Kazała jej włożyć różowe plastikowe buty i przejść dwie mile do miejsca, gdzie Roscoe przecina rzekę Los Angeles. Nie widziała nikogo po drodze. Hellie kierowała ją pustymi ulicami, mówiąc, gdzie skręcić, gdzie poczekać, aż będzie bezpiecznie. Dotarli do mostu i zeszły na dół w szarym świetle wczesnego poranka. Weszły razem do zimnej i brudnej wody. Miasto zniszczyło rzekę, kiedy wylała jeden raz za dużo, i zamknęło ją w betonowym korycie, żeby więcej nie narobiła szkód. Alex obmyła się w niej, strzaskane resztki kija posypały się z jej rąk jak nasiona. Przeszła biegiem rzeki prawie na wysokość Strefy Zero.

Umieściły z Hellie jej ciało z powrotem tam, gdzie było, a potem położyły się razem w zimnym pokoju. Nie obchodziło jej, co teraz się wydarzy, czy zjawi się policja, czy zamarznie na śmierć na podłodze.

– Zostań – powiedziała do Hellie, słysząc huk ich bijących serc, czując ciężar Hellie zwinięty w jej mięśniach i kościach. – Zostań ze mną.

Kiedy jednak obudziła się, sanitariusz świecił jej światłem w oczy, a Hellie nie było.

20

ZIMA

Co sobie myślała Alex w noc, kiedy Darlington zniknął? Że musi go ściągnąć z powrotem do Klitki, że tam porozmawiają. Że wyjaśni mu... Właściwie co? Że tamci sobie zasłużyli? Że zabicie Lena i pozostałych przyniosło spokój nie tylko Hellie, ale i jej? Że świat karał dziewczyny takie jak ona, jak Tara, za każdy niewłaściwy wybór, za każdy błąd. Że sumienie, które zawsze miała, tego dnia nie zjawilo się w pracy. I że z pewnością nie żałowała.

Mogłaby jednak powiedzieć, że żałuje. Mogłaby udawać, że nie pamięta ciężaru kija w ręce, i zapewnić go, że nigdy więcej tego nie zrobi. Bo tego właśnie bał się Darlington – nie tego, że jest zła, ale że jest niebezpieczna. Bał się chaosu. Dlatego Alex mogłaby mu powiedzieć, że Hellie ją opętała. Zamienić to w tajemnicę, którą wspólnie mogliby rozwikłać. To by się mu spodobało. Byłaby czymś do naprawy, przedsięwzięciem, tak jak to jego popsute miasto, jak walący się dom. Nadal mogła być jedną z dobrych.

Jednak Alex nigdy nie miała okazji wypowiedzieć tych kłamstw. Coś w piwnicy o to zadbało. Darlington nie wyjechał za granicę. Nie było go w Hiszpanii. I Alex tak naprawdę nie wierzyła, że znalazł się w jakiejś kieszonkowej rzeczywistości, z której można go wydostać, jakby był dzieckiem, które odłączyło się od grupy. Dawes i dziekana Sandowa nie było tamtej nocy w Rosenfeld Hall. Nie czuli ostateczności czającej się w ciemności.

– To nie portal – powiedział Darlington w piwnicy w Rosenfeld Hall. – To pa...

W jednej chwili tam stał, a w drugiej został spowity ciemnością.

Widziała przerażenie w jego oczach, prośbę. „Zrób coś. Pomóż mi”.

I chciała. A przynajmniej tak myślała. Odtwarzała tamtą chwilę tysiąc razy, zastanawiając się, dlaczego zamarła – czy to był strach, brak wytrenowania, czy

dekoncentracja. A może to był wybór. Czy to coś w kącie nie podsunęło jej rozwiązania problemu, jaki stanowił Darlington?

„To nie jest coś, co mogę ukrywać przed Sandowem”. Słowa Darlingtona były jak palce sięgające do jej ust, łapiące ją za język, uniemożliwiające jej krzyk.

W nocy myślała o idealnej twarzy Darlingtona, bliskości jego ciała w ciepłej od snu pościeli na jego wąskim łóżku.

„Pozwoliłam ci umrzeć. Pozwoliłam ci umrzeć, żeby siebie ratować”.

Na tym polega niebezpieczeństwo zadawania się z tymi, którzy niejedno przetrwali.

Mechanik pochylił się nad nią z uśmiechem.

– Nie masz dokąd uciekać, suko.

Jego uścisk kładł się ciężarem na jej szyi, jakby był w stanie przebić kciukami skórę i zagłębić je w tchawicy.

Alex nie chciała myśleć o tamtej nocy w Strefie Zero. Nie chciała się oglądać. Nie wiedziała nawet do końca, co się wtedy stało, czy Hellie to umożliwiła, czy ona sama.

„Wpuść mnie.

Zostań ze mną”.

Może bała się, że jeśli znowu otworzy te drzwi, coś straszliwego wejdzie do środka. Jednak właśnie tego teraz potrzebowała. Czegoś straszego.

Alex zacisnęła prawą rękę na porzuconym kiju golfowym. To był putter. Wyciągnęła lewą rękę do Northa, przypominając sobie wrażenie rozdzierania; zmusiła się, żeby znowu to zrobić. „Otwórz drzwi, Alex”. Zdążyła dostrzec wyraz zaskoczenia na jego twarzy, a potem jego zimny mrok śmignął ku niej.

Hellie przysłała do niej z własnej woli, ale North się opierał. Wyczuwała jego konsternację, rozpaczliwe pragnienie zachowania wolności, a potem przypływ jej własnej desperacji pochłonął jego obawy.

Odbierała go inaczej niż przyjaciółkę. Hellie była potężnym łukiem fali. Siła Northa była mroczna i giętka, sprężysta jak floret. Wypełniła jej członki i przez to Alex poczuła się tak, jakby w jej żyłach płynął stopiony metal.

Obróciła kij golfowy w ręce i zbadła jego ciężar. „A kto powiedział, że zamierzam uciekać?”. Zamachnęła się.

Mechanik zdołał podnieść rękę i zasłonić głowę, ale Alex usłyszała satysfakcjonujący trzask kości jego ręki. Mężczyzna wrzasnął i zatoczył się do

tyłu na kanapę.

Wtedy Alex zaatakowała jego kolana. Z dużymi facetami łatwiej sobie poradzić, gdy już leżą na ziemi. Padł z hukiem.

– Kim jesteś? – zapytała. – Kto cię przysłał?

– Pierdol się – warknęła.

Alex opuściła kij i uderzyła w deski podłogowe.

Mechanik zniknął – jakby przeleciał przez podłogę. Patrzyła w puste miejsce po nim, uderzenie w deski jeszcze wibrowało w jej rękach.

Coś zaatakowało ją od tyłu. W jej czaszce wybuchł ból.

Padła na podłogę i przeturlała się, próbując się odczołgać. Mechanik częściowo wystawał ze ściany, półka nad kominkiem przecinała jego ciało.

Alex poderwała się, ale w następnej sekundzie on już stał obok niej. Wymierzył pięścią cios w jej szczękę. Tylko dzięki sile Northa nie padła. Zamachnęła się kijem, ale mechanik już zniknął. Znowu oberwała pięścią, tym razem z drugiej strony. I tym razem upadła.

Mechanik kopnął ją mocno w bok, trafiając w połamane żebra. Wrzasnęła. Znowu kopnął.

– Zasłoń głowę rękami!

Detektyw Turner stał w drzwiach z wyciągniętą bronią.

Mechanik spojrzał na Turnera. Pokazał mu środkowy palec i zniknął w ścianie.

Alex skuliła się i poczuła, że North wypływa z niej. Widziała, jak opuszcza ją rozmazaną falą, przyjmując własny kształt. Miał przestraszoną i urażoną minę. Miała mu współczuć?

– Rozumiem – mruknęła Alex – ale nie miałam wyboru.

Dotknął rany w piersi, jakby to ona do niego strzeliła.

– Po prostu znajdź Tarę – warknęła. – Masz aparat.

– Co? – zapytał Turner.

Macał półkę i zamurowany kominek pod nią, jakby spodziewał się znaleźć sekretne przejście.

– Magiczna brama – wystękała Alex.

North obejrzał się przez ramię i zniknął przez ścianę mieszkania. Ból powrócił nagłą falą, jak rozkwitający kwiat na zdjęciach poklatkowych – jakby North powstrzymywał to, co najgorsze, a teraz, gdy była pusta, cały ból mógł bez przeszkód napłynąć. Alex spróbowała się podnieść. Turner schował broń do kabury.

Uderzył pięścią w blat.

– To niemożliwe.

– Możliwe.

– Nie rozumiesz. – Turner spojrział na nią tak jak North: jakby Alex zrobiła mu krzywdę. – To był Lance Gressang. Mój podejrzany o morderstwo. Zostawiłem go niecałą godzinę temu. Siedział w więziennej celi.

Czy istnieje coś niezgodnego z naturą w samej materii, z której utkano New Haven? W kamieniu, z którego wybudowano budynki? W rzekach, z której piją tutejsze ogromne wiązy? W czasie wojny brytyjsko-amerykańskiej Brytyjczycy zablokowali New Haven Harbor i biedny kościół pod wezwaniem Świętej Trójcy – któremu daleko jeszcze było do gotyckiego pałacu, jaki gości teraz na błoniach – stracił dostęp do drewna potrzebnego do budowy. Gdy jednak dowódca Hardy z Królewskiej Marynarki Wojennej usłyszał, do czego potrzebne są potężne dźwigary, pozwolił je przepuścić, żeby spłynęły rzeką Connecticut. „Jeśli jakieś miejsce na świecie potrzebuje religii – powiedział – to właśnie New Haven. Niech belki przepłyną!”.

z Lete: Spuścizna

Jak myślicie, dlaczego wybudowano tu tyle kościołów? Mieszkańcy miasta w jakiś sposób wiedzieli: ich ulice były domem dla innych bogów.

Pamiętnik Elliota Sandowa z czasów w Lete
(Branford College '69)

21

ZIMA

Turner wyciągnął telefon i Alex wiedziała, co teraz nastąpi. Po części chciała do tego dopuścić. Marzyła o miarowym pobrękiwaniu szpitalnej aparatury, zapachu środków odkażających, kroplówce pełnej najsilniejszego środka znieczulającego, jaki mają, który pozwoli jej zasnąć i uciec od bólu. Umierała? Raczej nie. Skoro już raz umarła, uznała, że teraz by się zorientowała. Mimo to czuła się tak, jakby umierała.

– Nie. – Ledwie wychrypiała to słowo. Gardło bolało ją po uścisku potężnych rąk Lance’a Gressanga. – Żadnych szpitali.

– Widziałas to na filmie?

– Jak zamierzasz wyjaśnić to lekarzowi?

– Powiem, że w takim stanie cię znalazłem – odparł Turner.

– No dobra, to jak ja mam to wyjaśnić? I swoją obecność na miejscu przestępstwa? Jak się tu dostałam?

– A jak się tu dostałaś?

– Nie potrzebuję szpitala. Zabierz mnie do Dawes.

– Dawes?

Zirykowało ją to, że Turner nie pamięta nazwiska Dawes.

– Do Oculusa.

– Pieprzyć to. Pieprzyć te wasze kryptonimy, sekrety i resztę tych pierdół.

Widziała, jak Turner przeskakuje od wściekłości do strachu i z powrotem. Jego umysł próbował wymazać wszystko to, co właśnie widział. Usłyszeć, że magia istnieje, to jedno, ale zobaczyć, jak dosłownie pokazuje ci środkowy palec, to całkiem co innego.

Alex zastanawiała się, ile Dom Lete zdradzał Centurionowi. Czy jemu też wręczono broszurkę Życie Lete? Obszerne akta pełne horrorów? Pamiątkowy kubek z napisem „Potwory naprawdę istnieją”? Alex przeżyła całe życie wśród

upiorności i nadal z trudem godziła się z rzeczywistością Lete. Jak to musiało wyglądać dla kogoś, kto dorastał w wydawałoby się zwykłym mieście, w swoim mieście, kto był stróżem porządku na jego ulicach i nagle dowiadywał się, że najbardziej podstawowe zasady tu nie obowiązują?

– Czy ona potrzebuje lekarza? – Jakaś kobieta stała w korytarzu z komórką w ręce. – Słyszałam zamieszanie.

Turner pokazał jej odznakę.

– Pomoc już jedzie, proszę pani. Dziękuję.

Odznaka też działała trochę jak magia. Mimo to kobieta zwróciła się do Alex.

– Nic ci nie jest, skarbie?

– Wszystko w porządku – wykrztusiła, wzruszona zachowaniem nieznajomej w szlafroku, nawet gdy ta przycisnęła komórkę do piersi i podreptała z powrotem do siebie.

Alex spróbowała podnieść głowę, ale przeszył ją ból, jakby ktoś smagnął ją biczem.

– Musisz zabrać mnie do magicznie chronionego miejsca. Gdzieś, gdzie mnie nie dopadną, rozumiesz?

– Oni.

– Tak, oni. Duchy, upiory i więźniowie, którzy potrafią przechodzić przez ściany. To wszystko naprawdę istnieje, Turner, to nie tylko banda dzieciaków z college'u poprzebieranych w szaty. Potrzebuję twojej pomocy.

Te ostatnie słowa go otrzeźwiły.

– Przed budynkiem stoi mundurowy i nie mogę wynieść cię pod jego nosem, nie prowokując lawiny pytań. A jestem pewien, że nie dasz rady wyjść o własnych siłach.

– Dam. – Ale, dobry Boże, naprawdę nie miała na to ochoty. – Sięgnij do mojej prawej kieszeni. Jest tam mała buteleczka z zakraplaczem.

Pokręcił głową, ale sięgnął do jej kieszeni.

– Co to?

– Basso belladonna. Wkropl mi dwie krople do oczu.

– To narkotyk?

– Lek.

Oczywiście to go uspokoiło. Turner harcerzyk.

Kiedy tylko pierwsza kropla wpadła jej do oka, wiedziała, że się przeliczyła. Natychmiast poczuła przypływ energii i była gotowa wstać, ale basso belladonna w żaden sposób nie uśmierzała bólu, a tylko zwiększała jego świadomość. Alex doskonale czuła miejsca, gdzie jej połamane kości napierały, gdzie naczynka krwionośne popękały, gdzie naczynia włoskowate pokruszyły się i spuchły.

Narkotyk mówił jej mózgowi, że wszystko jest dobrze, że wszystko jest możliwe, że siłą woli może siebie uzdrowić. Jednak ból był rozwrzeszczaną paniką, dobijał się do jej świadomości jak pięść waląca w szybę. Czuła, że szkło już pęka, że jej zdrowie psychiczne jest jak przednia szyba, która nie powinna się roztrzaskać. Nazywano ją wariatką niezliczoną ilość razy i czasem w to wierzyła, ale po raz pierwszy poczuła się jak szalona.

Serce waliło jej młotem. „Ja tu umrę”.

„Nic ci nie jest”.

Z drugiej strony w ile zarwanych nocy i długich popołudni mówiła to komuś, kto za dużo wypalił, za dużo przełknął, za dużo wciągnął nosem?

„Oddychaj. Nic ci nie jest. Nic ci nie jest”.

– Spotkajmy się na Tilton – powiedziała Turnerowi, podnosząc się.

Był piękny. Basso belladonna rozświetliła jego brązową skórę jak zachód słońca pod koniec lata. Światło odbijało się od krótkiego zarostu na jego ogolonej głowie. Lekarstwo, psia twoja mać. Ból wrzasnął, gdy jej popękane żebra się przesunęły.

– To fatalny pomysł – powiedział.

– Jedyne, jaki mam. Idź.

Turner westchnął poirytowany i wyszedł.

Nakręcony umysł Alex już obmyślił trasę korytarzem na tyłach i na rozchwierutany podest. Powietrze było chłodne i wilgotne na jej rozgrzanej skórze. Widziała każdy słoik sfatygowanego szarego drewna, czuła pot na policzkach, który schładzał się na zimowym powietrzu. Znowu będzie padał śnieg.

Zeszła po wąskich stopniach. „Po prostu zeskocz z nich” – podpowiadał jej narkotyk.

– Zamknij się, proszę – stęknęła Alex.

Wszystko wydawało się pokryte gładkim, srebrzystym, wysokim połyskiem. Zmusiła się, żeby iść, zamiast biec, jej kości zgrzytały o siebie jak smyczek od skrzypiec. Asfalt w zaułku za mieszkaniem Tary lśnił, smród śmieci i moczu był gęstą, widoczną mgłą, przez którą musiała przebrnąć, jakby znalazła się pod wodą. Minęła dwa rzędy domów i wyszła na Tilton. Chwilę potem niebieski dodge charger wyjechał z za rogu i zwolnił. Turner wyskoczył i otworzył tylne drzwi, żeby Alex wślizgnęła się na czarne siedzenie.

– Dokąd jedziemy? – zapytał.

– Do Il Bastone. Dom na Orange.

Bezruch wydawał się bez mała gorszy od ruchu. Kiedy zatonęła na skórzanym siedzeniu wozu Turnera, który nadal pachniał nowością, myślała tylko o przelewającym się przez nią bólu. Patrzyła na kawałki nieba i dachów za

oknem, próbując w myślach odtwarzać ich drogę do Il Bastone. Ile jeszcze Dawes tam będzie. Dawes zawsze tam jest, ale czy zdoła pomóc? „To moja praca”.

– Oculus nie odbiera telefonu – powiedział Turner. Czy Dawes jest na zajęciach? Gdzieś między regałami? – Co ja tam zobaczyłem?

– Mówiłam. Tak działa magiczna brama.

Powiedziała to z przekonaniem, chociaż nie mogła mieć pewności. Myślała, że magiczne przejścia służą do podróżowania na duże odległości albo do wchodzenia do chronionych budynków. Nie do zaskakiwania kogoś w trakcie bijatyki.

– Portale to magia Zwoju i Klucza. Myślałam, że Tara i Lance mogli sprzedawać im narkotyki z powodu Colina Khatriego. I przez tatuaż Tary.

– Który?

– „Prędzej umrę niż zwątpię”. To cytat z *Idylls of the King*. – Miała dziwne uczucie, że zajęła miejsce Darlingtona. Czy to znaczy, że Turner zajął jej miejsce? Boże, nie cierpiała być na tak dużym haju. – Lance powiedział coś, kiedy spuszczał mi lanie. Chciał wiedzieć, kto zabił Tarę. On tego nie zrobił.

– Czy muszę ci przypominać, że to przestępca?

Alex próbowała pokręcić głową, ale zaraz się skrzywiła.

– Nie wciskał mi kitu. – Z powodu paniki i strachu, gdy została zaatakowana, pomyślała, że znowu ktoś na nią poluje, tak jak to było w przypadku *glumy*. Teraz jednak już nie była tego taka pewna. – Przesłuchiwał mnie. Myślał, że się włamałam.

– Bo się włamałaś.

– Nie był tam z mojego powodu. Przyszedł do mieszkania po coś innego.

– Właśnie, porozmawiajmy o tym. Zakazałem ci zbliżać się do...

– Chcesz poznać odpowiedzi, czy chcesz dalej być dupkiem? Lance Gressang nie zabił Tary. Masz niewłaściwego gościa.

Turner nic nie powiedział i Alex cicho się zaśmiała. Efekt nie był wart wysiłku.

– Rozumiem. Albo zwariowałaś i masz zwidy, albo ja zwariowałam, ale czy nie byłoby o wiele milej, gdybym to ja okazała się świrem? Mam dla ciebie złą wiadomość. Żadnemu z nas nie odważyło. Ktoś chce, żebyś uwierzył w winę Lance’a.

– Ale ty w to nie wierzysz.

Cisza zapadła na dłuższą chwilę. Alex słyszała tykanie kierunkowskazu zgodne z biciem jej serca. W końcu Turner powiedział:

– Sprawdziłem alibi członków stowarzyszeń, których wymieniłaś.

Czyli zbadał ten trop. Był za dobrym detektywem, żeby zignorować informacje. Nawet otrzymane od Lete.

– No i?

– Wiemy już, że nie da się potwierdzić alibi Trippa Helmutha, bo nikt nie widział go przez całą noc. Kate Masters twierdzi, że była w Manuskrypcie dłużej niż do trzeciej nad ranem.

Alex stęknęła, gdy samochód podskoczył na wyboju. Rozmowa bolała, ale pomagała jej też oderwać uwagę od bólu.

– Powinna tam być cała delegacja – zdołała wykrztusić. – To była czwartkowa noc. Wieczór zebrania.

– Miałem wrażenie, że imprezowali do późna. To duży budynek. Kate spokojnie mogła przyjść i wyjść i nikt by się nie zorientował.

A Manuskrypt ma siedzibę raptem parę przecznic od miejsca przestępstwa. Czy Kate mogła się wymknąć zamieniona w Lance'a i spotkać z Tarą? To była jakaś gra? Jazda, która źle się skończyła? Czy Kate zamierzała zabić Tarę? Czy też to wszystko było po prostu wymysłem Alex?

– Co wiesz o dzieciaku ze Zwoju i Klucza, Colinie Khatrim? – spytał Turner.

– Lubię go. – Alex zaskoczyły własne słowa. – Jest miły i ubiera się równie elegancko jak ty, ale bardziej z europejska.

– To cenne informacje.

Alex zastanowiła się. Basso belladonna sprawiła, że z łatwością przypomniała sobie skomplikowane wnętrze grobowca Zwoju i Klucza, wzory z płytek na podłodze. W wieczór, kiedy przeprowadzono nieudaną próbę otworzenia portalu do Budapesztu, Colin pomachał do niej podekscytowany, gdy tylko ją zobaczył, jakby oboje ubiegali się o przyjęcie do tego samego bractwa.

– Darlington powiedział, że Colin to jeden z najlepszych i najbystrzejszych studentów, że przed magisterką prowadzi badania z chemii na poziomie doktoranta. Wybierał się w przyszłym roku na jakąś prestiżową uczelnię. Na Stanford chyba.

– W ogóle nie pokazał się w Zwoju i Kluczu zeszłego czwartku. Był na przyjęciu w domu jakiejś profesor. Bell-jakiejś-tam. Francuskie nazwisko.

Alex miała ochotę się roześmiać.

– To nie impreza. Ona prowadzi salon.

Colin wybrał się na wieczorek u Belbalm. Alex miała wziąć udział w następnym... Jutro? Nie, dziś wieczór. Jej magiczne lato wypełnione pracą w spokojnym gabinecie profesor i podlewaniem jej kwiatków nigdy nie wydawało się równie odległe. Czy

Colin rzeczywiście wziął udział w spotkaniu? Może się wymknął. Alex miała nadzieję, że było inaczej. Świat Belbalm z perfumami o pieprzowej nucie

i subtelnymi rozmowami wydawał jej się azylem, nagrodą, na którą pewnie nie zasługiwała, ale którą z radością przyjmie. Chciała trzymać go z dala od tego bałaganu.

Poczuła, gdy działanie basso belladonny zaczęło się kończyć w pierwszych przenikliwych rozbłyskach. Usłyszała za głośny sygnał, a potem Turnera, który rozmawiał przez radio, wyjaśniając szkody w mieszkaniu Lance'a i Tary. Ktoś szukał narkotyków. Turner ścigał pieszo delikwenta, ale go zgubił. Podał mglisty rysopis podejrzanego, który mógł być mężczyzną albo kobietą w kurtce w kolorze czarnym albo granatowym.

Alex zdziwiła się, słysząc, jak Turner kłamie, ale wiedziała, że to nie ją kryje. Nie wiedział, jak wytłumaczyć pojawienie się Lance'a ani to, co widział.

W końcu Turner powiedział:

– Dojeżdżamy do błoni.

Alex zmusiła się, żeby usiąść prosto, bo musiała nim pokierować. Miała wrażenie, że świat poczerwieniał, jakby samo powietrze, które jej dotyka, próbowało ją dopaść.

– Zaulek – powiedziała, gdy ciemna cegła i witraże Il Bastone pojawiły się w polu widzenia. W salonie paliły się światła. „Bądź w domu, Dawes” – modliła się w duchu. – Zaparkuj z tyłu.

Zacisnęła powieki i westchnęła, gdy silnik zgasł. Usłyszała, że Turner zatrzaskał drzwi, a potem pomógł jej wysiąść z samochodu.

– Klucze – powiedział.

– Nie ma kluczy.

Martwiła się przez chwilę, gdy Turner szarpał się z klamką, że dom go nie wpuści. Jednak albo jej obecność wystarczyła, albo dom poznał Centuriona, bo drzwi otworzyły się szeroko.

Il Bastone zatrzęszczał z troską, kiedy Alex weszła, żyrandole zadzwoniły. Każda inna osoba pewnie uznałaby, że w pobliżu przejechała ciężarówka, jednak Alex wyczuwała przyjęcie przez dom i to sprawiło, że gula wyrosła jej w gardle. Może dom po prostu nie pochwalał takiej ilości krwi i ran przekraczających jego próg, ale Alex chciała wierzyć, że domowi nie podoba się, iż ktoś z jego ludzi cierpi.

Dawes leżała na dywanie w salonie w workowatej bluzie ze słuchawkami na uszach.

– Hej – odezwał się Turner, a potem, kiedy nie zareagowała, powtórzył: – Hej!

Dawes się poderwała. To było jak obserwowanie wielkiego beżowego królika, który ożywa. Przestraszona odskoczyła do tyłu na widok Turnera i Alex w salonie.

- Jest rasistką czy jest po prostu nerwowa? – zapytał Turner.
- Nie jestem rasistką! – zaprotestowała Dawes.
- Wszyscy jesteście rasistami, Dawes – odparła Alex. – Jak ty w ogóle zrobiłaś magisterkę?

Dawes rozdziawiła usta, kiedy Turner wywlekł Alex na światło.

- O mój Boże. O mój Boże! Co się stało?
 - To długa historia – odpowiedziała Alex. – Naprawisz mnie?
 - Powinniśmy zabrać cię do szpitala. Nigdy bym...
 - Nie – przerwała jej Alex. – Nie wyjdę poza magiczne ochrony.
 - Co cię dopadło?
 - Bardzo wielki gość.
 - W takim razie...
 - Który potrafi przechodzić przez ściany.
 - Aha. – Dawes zacisnęła usta, a potem powiedziała: – Detektywie Turner, czy... mógłby pan...
 - Czego potrzebujecie?
 - Koziego mleka. Myślę, że mają je w supermarkecie Elm City.
 - Ile?
 - Ile się da. Resztę załatwi tygiel. Alex, dasz radę wejść po schodach?
- Alex zerknęła na schody. Nie była pewna, czy da radę.
Turner się zawahał.
- Mogę...
 - Nie – weszła mu w słowo Alex. – Damy sobie radę z Dawes.
 - W porządku – odpowiedział, już ruszając do drzwi. – Macie szczęście, że ta zabita dechami miejscina poprawia swój status. Już widzę, jak wchodzę do dyskontu po kozie mleko.

- Powinnaś była pozwolić, żeby cię wniósł – stęknęła Dawes, gdy powoli szły po schodach.

Ciało Alex sprzeciwiało się każdemu krokowi.

- W tej chwili ma wyrzuty sumienia, bo mnie nie słuchał. Nie mogę pozwolić, żeby już mi to wynagrodził.

– Dlaczego?

- Bo im gorzej będzie się czuł, tym więcej dla nas zrobi. Zaufaj mi. Turner nie lubi się mylić. – Jeszcze jeden krok. Jeszcze jeden. Dlaczego nie ma tu windy? Magicznej, pełnej morfiny. – Opowiedz mi o Zwoju i Kluczu. Myślałam,

że ich magia słabnie. W wieczór, kiedy obserwowaliśmy z Darlingtonem rytuał, nie byli w stanie otworzyć nawet bramy do Europy Wschodniej.

– Mieli parę kiepskich lat, kłopoty z rekrutacją najlepszych nabytków. W Lete spekulowano, że magia portali jest tak destrukcyjna, że osłabiła węzeł energetyczny, na którym wybudowali grobowiec.

A może Klucznicy tylko udawali, snuli intrygę, starając się wyglądać na słabszych, niż w rzeczywistości są. Tylko po co? Żeby przeprowadzać rytuały w sekrecie, za plecami Lete? Czy też coś szemranego kryło się w samych rytuałach? Jednak w jaki sposób łączyło to Colina Khatriego z Tarą? Tripp powiedział tylko, że Tara wspomniała raz mimochodem Colina. Musiało kryć się w tym coś więcej. Tatuaz nie mógł być czystym zbiegiem okoliczności.

Dawes zaprowadziła Alex do zbrojowni i oparła ją o Tygiel Hiram. Alex miała wrażenie, że pod dotykiem zimny metal delikatnie wibruje. Nigdy nie posługiwała się Złotą Misą, patrzyła tylko, jak Darlington miesza w niej eliksir. Podchodziła do niego z nabożeństwem i urazą. Jak ćpun do narkotyku.

– Szpital byłby bezpieczniejszy – powiedziała Dawes, otwierając jedną szufladę po drugiej w ogromnej szafie i szperając w nich.

– Daj spokój – zachnęła się Alex. – Dałaś mi już wcześniej tę miksturę z pajęczych jajek.

– To co innego. To było konkretne magiczne lekarstwo na konkretną magiczną przypadłość.

– Nie zawahałaś się mnie utopić. Jak trudne może być wyleczenie mnie?

– Zawahałam się. I żadne ze stowarzyszeń nie specjalizuje się w leczniczej magii.

– Dlaczego? – spytała Alex. Może jeśli będzie cały czas mówić, jej ciało nie podda się. – Wygląda na to, że byłoby z tego sporo pieniędzy.

Pełna dezaprobaty mina Dawes – to było spojrzenie mówiące, że nauka powinna służyć nauce – boleśnie przypomniała jej Darlingtona. Właściwie w tej chwili wszystko, co Alex robiła, było bolesne.

– Magia lecznicza jest zagmatwana i kłopotliwa – odpowiedziała Dawes. – Najczęściej praktykują ją laicy, a to znaczy, że moc jest dystrybuowana szerzej, zamiast wpadać do węzłów. Istnieją również silne zakazy przeciwko majstrowaniu przy nieśmiertelności. Poza tym nie wiem dokładnie, co ci jest. Nie mogę ci zrobić prześwietlenia i rzucić czaru, który naprawi złamane żebro. Możesz mieć wewnętrzny krwotok albo sama nie wiem, co jeszcze.

– Coś wymyślisz.

– Spróbujemy cofnięcia. Mogę cię cofnąć... Godzina wystarczy? Dwie godziny? Mam nadzieję, że będziemy mieli dość mleka.

– Czy ty... Czy ty mówisz o podróży w czasie?

Dawes zamarała z ręką w szufladzie.

– Pytasz poważnie?

– Nie – wycofała się pośpiesznie Alex.

– Pomagam tylko twojemu ciału powrócić do jego wcześniejszej wersji. To jest cofnięcie. To o wiele prostsze niż stworzenie nowego ciała albo kości. To właściwie rodzaj magicznego portalu, więc możesz podziękować za to Zwojowi i Kluczowi.

– Wyślę im liścik z podziękowaniami. Jak daleko możesz mnie cofnąć?

– Bez silniejszej magii i większej liczby ludzi niezbyt daleko.

„Cofnięcie. Zabierz mnie do przeszłości. Zamień mnie w kogoś, kogo nigdy nie skrzywdzono. Cofnij mnie tak daleko, jak zdołasz. Niech będę jak nowa. Bez siniaków. Bez blizn”.

Pomyślała o ćmach w pudełkach. Tęskniła za tatuażami, za swoimi dawnymi ciuchami. Brakowało jej siedzenia na słońcu z Hellie. Brakowało jej łagodnych wysiedzianych dołków w zdezelowanej sofie matki. Alex nie do końca wiedziała, za czym tęskni, tyle tylko, że bardzo brakuje jej czegoś, a może kogoś, kim nigdy nie była.

Przesunęła dłonią po krawędzi tygła. Czy to coś mogłoby ją odnowić? Żeby już nigdy więcej nie zobaczyła żadnego ducha ani Szarego, czy jak postanowią ich sobie nazywać? Czy naprawdę chciałaby tego w tej chwili?

Przypomniała sobie Belbalm, gdy zapytała, czego Alex chce. Bezpieczeństwa. Szansy na normalne życie. To właśnie przyszło jej do głowy w tamtej chwili – w ciszy gabinetu Belbalm, ziół kwitnących w skrzynkach na parapecie, kompletnego serwisu do herbaty zamiast poobijanych przypadkowych kubków z utraconych miejsc pracy i dodawanych za darmo w promocji. Chciała słońca wpadającego przez okno. Chciała spokoju.

Kłamczucha.

Spokój jest jak każdy odlot. Nie trwa. To iluzja. Coś, co w każdej chwili może zostać zniszczone i stracone raz na zawsze. Tylko dwie rzeczy zapewniają bezpieczeństwo: pieniądze i moc.

Alex nie miała pieniędzy, miała jednak moc. Bała się jej, bała się spojrzeć wprost na tamtą zlaną krwią noc. Bała się, że poczuje żal albo wstyd, że raz jeszcze będzie musiała pożegnać się z Hellie. Kiedy jednak w końcu spojrzała? Pozwoliła sobie przypomnieć? Może było w niej coś złamanego i skurczonego, bo czuła tylko głęboki spokój płynący ze świadomości, do czego jest zdolna.

Szarzy nękali ją przez całe życie, potwornie je wypaczyli, ale po wielu latach tortur wreszcie coś jej dali. To jej się należało. I podobało jej się korzystanie z tej mocy, nawet to uczucie obcości, kiedy miała w sobie Northa. Zaskoczenie na

twarży Lance'a sprawiło jej przyjemność, tak samo jak zaskoczenie na twarzy Lena i Betchy. „Myśleliście, że mnie znacie. Poznajcie mnie teraz”.

– Musisz się rozebrać – powiedziała Dawes.

Alex rozpięła dzinsy, spróbowała wsunąć palce pod pasek spodni. Poruszała się powoli, hamowana przez ból.

– Musisz mi pomóc – stęknęła.

Dawes niechętnie odeszła od półek i pomogła Alex zsunąć dzinsy z bioder. Kiedy znalazły się już przy kostkach, Dawes zdała sobie sprawę, że musi zdjąć jej buty, więc Alex stała w bieliźnie, podczas gdy Dawes rozwiązywała jej buty i je zdejmowała.

Wstała, wędrując wzrokiem od posiniaczonej twarzy do węży wytatuowanych na biodrach, którym kiedyś odpowiadały węże na obojczykach. Alex zafundowała je sobie po tym, jak Hellie powiedziała, że ma w sobie grzechotnika. Podobała jej się ta myśl. Len chciał wytatuować ją w ich kuchni. Kupił maszynkę i tusz przez Internet i upierał się, że są sterylne. Alex nie ufała jednak ani jemu, ani ich obskurnemu mieszkaniu. Nie chciała, żeby zostawił na niej ślad, nie w taki sposób.

– Możesz podnieść ręce nad głowę? – zapytała Dawes z czerwonymi policzkami.

Alex stęknęła przecząco.

Nawet mówienie stało się trudne.

– Przyniosę nożyczki.

Chwilę potem Alex usłyszała szcęk nożyczek i poczuła, że koszulka odrywa się od jej skóry, bo przykleiła się do zasychającej krwi.

– Nic się nie martw – pocieszyła ją Dawes. – Poczujesz się lepiej, gdy tylko znajdziesz się w tyglu.

Alex zdała sobie sprawę, że płacze. Duszono ją, utonęła, pobito ją, znowu duszono i prawie zginęła, a teraz płakała z powodu koszulki. Kupiła ją w Target, zanim przyjechała do szkoły. Była miękka i dobrze pasowała. Alex nie miała wielu nowych rzeczy.

Głowa jej ciążyła. Gdyby tylko mogła zamknąć na minutkę oczy. Albo na cały dzień.

Usłyszała, jak Dawes mówi:

– Przepraszam, ale nie dam rady cię wsadzić. Turner będzie musiał pomóc.

Wrócił już ze sklepu? Nie słyszała jego powrotu. Musiała stracić przytomność.

Coś miękkiego owinęło się na jej skórze i Alex zdała sobie sprawę, że Dawes owinęła ją prześcieradłem – bladoniebieskim, z pokoju Dantego. „Z mojego pokoju. Kochana Dawes”.

– To jakiś całun? – rozległ się głos Turnera.

Alex zmusiła się do otwarcia oczu i zobaczyła Turnera i Dawes opróżniających kartony mleka do tygla. Turner rozglądał się, kręcąc głową jak reflektorem szperaczem, powoli ogarniał dziwaczność wyższych pięter. Alex była dumna z Il Bastone, ze zbrojowni z jej ciekawostkami i przedziwną złotą wanną pośrodku.

Chciała być dzielna, zacisnąć zęby i znieść ból, ale krzyknęła, gdy Turner ją podniósł. Chwilę potem zanurzyła się w chłodnym płynie, prześcieradło się rozwinęło, krew plamiła kozie mleko różowymi żyłkami. Wyglądało to jak lodowy deser z truskawkami, który jada się drewnianą łyżeczką.

– Nie dotykaj mleka! – krzyknęła Dawes.

– Staram się dopilnować, żeby nie utonęła! – warknął Turner.

Trzymał jej głowę w dłoniach.

– Nic mi nie jest – uspokoiła go Alex. – Możesz mnie puścić.

– Obie jesteście stuknięte – powiedział, Alex poczuła jednak, że jego uścisk zelżał.

Zanurzyła się pod powierzchnię. Chłód mleka przesiąkał prosto przez jej skórę, otulał ból. Wstrzymywała oddech tak długo, jak się dało. Chciała tu zostać, czuć wokół siebie kokon z mleka. W końcu jednak zaparła się palcami stóp o dno i wynurzyła z mleka.

Kiedy to zrobiła, Dawes i Turner zaczęli na nią krzyczeć. Musiała siedzieć pod powierzchnią trochę za długo.

– Nie tonę – powiedziała. – Nic mi nie jest.

Rzeczywiście nic jej nie było. Nadal czuła ból, ale słabł, a ona myślała już trzeźwiej. Mleko też się zmieniało, stawało się bardziej przezroczyste, wodniste.

Turner miał taką minę, jakby zbierało mu się na wymioty, i Alex uznała, że chyba rozumie powody. Magia przyprawiała o swoisty zawrót głowy. Może widok dziewczyny o krok od śmierci, która wchodzi do kąpieli i po paru sekundach wynurza się cała i zdrowa to jeden zawrót głowy za dużo podczas tej przejażdżki.

– Muszę wracać na komisariat – powiedział. – Muszę...

Odwrócił się i wyszedł z pokoju.

– On nas chyba nie lubi, Dawes.

– Nie szkodzi – odparła Dawes, zbierając stos zakrwawionych ubrań Alex. – I tak miałyśmy już za dużo przyjaciół.

Dawes poszła zrobić Alex coś do jedzenia. Stwierdziła, że będzie umierać z głodu po skończonym cofnięciu.

– Nie utop się, kiedy wyjdę – powiedziała i zostawiła za sobą otwarte drzwi do zbrojowni.

Alex leżała w tyglu, czując, jak jej ciało się zmienia, jak ból z niej wycieka i coś – mleko albo coś, czym tam się stało zaczarowane przez Dawes – wypełnia jego miejsce. Słyszała muzykę płynącą z maleńkich głośniczków, tak monotonna, że trudno było wychwycić melodię.

Znowu zanurzyła głowę. Pod powierzchnią było cicho, a kiedy otworzyła oczy, to zupełnie jakby patrzyła przez mgłę. Obserwowała, jak resztki mleka i magii znikają. Pojawił się przed nią blady kształt i stopniowo się wyostrzył. Twarz.

Alex wzięła wdech i zachłysnęła się wodą. Wyskoczyła nad powierzchnię, kaszląc i plując, krzyżując ręce na piersiach. Z wody patrzyło na nią odbicie Pana Młodego.

– Nie możesz tu być – zaprotestowała. – Magiczne zabezpieczenia...

– Powiedziałem ci – odparło odbicie – że możemy teraz rozmawiać przy każdym zbiorniku wodnym. Woda to pierwiastek łączący. Czynniki pośredniczące.

– To teraz będziesz brał ze mną prysznic?

Zimna twarz Northa się nie zmieniła. Alex widziała za nim ciemny brzeg. Wyglądał inaczej niż za pierwszym razem i przypomniała sobie, co Dawes powiedziała o różnych pograniczach. Pewnie teraz nie patrzyła na Egipt (czy jakąś wersję Egiptu, do którego przeniosła się, gdy przekroczyła Nil). Widziała jednak te same ciemne kształty na brzegu, ludzkie i nieludzkie. Cieszyła się, że nie mogą jej tu dosięgnąć.

– Co mi zrobiłaś w mieszkaniu Tary? – zapytał North.

Brzmiał bardziej wyniośle niż zwykle, miał jeszcze bardziej oschły głos.

– Nie wiem, co ci powiedzieć – odrzekła, bo zabrzmiało to bardziej prawdziwie niż wszystkie inne możliwości. – Naprawdę nie było czasu, żeby prosić o pozwolenie.

– Ale coś ty mi zrobiła? Jak to zrobiłaś?

„Zostań ze mną”.

– Tak naprawdę nie wiem.

Niczego z tego nie rozumiała. Skąd się brała ta zdolność. Dlaczego widziała rzeczy, których nikt inny nie widział. Czy to się kryło gdzieś w jej krwi? W genach ojca, którego nigdy nie poznała? Czy to było w kościach jej babki? Szarzy nigdy nie ważyli się podejść do domu Estrei Stern, gdy w oknach płonęły świece. Czy gdyby żyła dłużej, znalazłaby sposób, żeby chronić Alex?

– Dałem ci swoją siłę.

„Nie – pomyślała Alex. – Sama ją sobie wzięłam”. Wątpiła jednak, żeby Northowi spodobało się to sprostowanie.

– Wiem, co zrobiłaś tamtym mężczyznom. Zobaczyłem, kiedy wpuściłaś mnie do siebie.

Alex zadrżała. Całe ciepło i dobre samopoczucie, które wlało się w nią, gdy moczyła się w mlecznej kąpieli, nie miało szansy z myślą, że Szary grzebał w jej głowie. Co jeszcze Pan Młody zobaczył? Nieważne. W przeciwieństwie do Darlingtona, North nie mógł zdradzić jej sekretu światu. Bez względu na to, ile warstw Zasłony przeniknął, nadal tkwił w pułapce śmierci.

– Masz wrogów po tej stronie Zasłony, Galaxy Stern – mówił dalej. – Leonard Beacon. Mitchell Betts. Ariel Harel. Cały zastęp mężczyzn, których wysłałaś na ciemniejszy brzeg.

„Daniel Arlington” – pomyślała.

Tyle że North powiedział, iż Darlingtona nie ma po drugiej stronie. Od strony kształtów za Panem Młodym poniósł się pomruk, ten sam dźwięk, który słyszała, gdy brodziła przez Nil. „Jean Du Monde. Jonathan Mont”. Może to nawet nie było imię i nazwisko. Sylaby brzmiały dziwnie i niewłaściwie, jakby wypowiedane przez usta niestworzone do mówienia w ludzkim języku.

A co z Hellie? Czy była szczęśliwa tam, dokąd trafiła? Czy Len jej nie zagrażał? Czy może odnaleźli się po drugiej stronie Zasłony i znowu zatruwali sobie istnienie?

– Ach, cóż, po tej stronie też mam wrogów. Zamiast sprawdzać moich dawnych kumpli, może znajdziesz Tarę?

– Dlaczego nie poszukasz notatników Darlingtona?

– Byłam zajęta. A ty nigdzie się nie wybierasz.

– Ależ ty jesteś wygadana. I jaka pewna siebie. Kiedyś i ja byłem taki pewny siebie. Czas mi to odebrał. Czas odbiera wszystko, panno Stern. Nie musiałem jednak szukać twoich przyjaciół. Po tym, co mi zrobiłaś w mieszkaniu Tary Hutchins, sami do mnie przyszli. Czuli twoją moc na mnie jak zatechły dym. Pogłębiłaś więź między nami.

Cudownie. Tego właśnie potrzebowała.

– Po prostu znajdź Tarę.

– Miałem nadzieję, że ten obrzydliwy przedmiot przyciągnie ją do mnie, lecz jej śmierć była brutalna. Możliwe, że dochodzi gdzieś do siebie. Druga strona bywa przerażającym miejscem dla nowo umarłych.

Alex nie pomyślała o tym. Zakładała po prostu, że ludzie przechodzą tam, zyskując pewne zrozumienie. Znika ból, pojawia się spokój. Znowu spojrzała na

powierzchnię wody, na rozkołysane odbicie Pana Młodego, na monstrualne kształty za nim i zadygotała.

Jak Hellie przeszła do następnego świata? Jej śmierć była... Cóż, pod pewnymi względami w porównaniu z Tarą, Lenem, Betchą i Arielem odeszła względnie spokojnie.

Nadal jednak była to śmierć. Nadal przedwczesna.

– Znajdź ją. Znajdź Tarę, żeby zorientowała się, kto ją skrzywdził i żeby Turner mógł go zamknąć, zanim zrobi mi krzywdę.

North zmarszczył brwi.

– Nie wiem, czy ten detektyw to dobry partner w tym przedsięwzięciu.

Alex oparła się o ścianę tygła. Chciała wyjść z wody, ale nie była pewna, czy powinna.

– Nie przywykłeś do widoku czarnego z odznaką?

– Nie siedziałem w grobie przez ostatnie sto lat, panno Stern. Wiem, że świat się zmienił.

W grobie.

– Gdzie zostałeś pochowany?

– Moje kości leżą na cmentarzu Evergreen. – Wykrzywił usta. – To spora atrakcja turystyczna.

– A Daisy?

– Rodzina złożyła ją w rodzinnym mauzoleum przy Grove Street.

– To dlatego zawsze się tam czaisz.

– Nie czaję się. Przychodzę złożyć wyrazy szacunku.

– Przychodzisz w nadziei, że zobaczy twoją skruchę i ci wybaczy.

Kiedy North się wściekał, jego twarz się zmieniała. Wyglądał mniej ludzko.

– Nie skrzywdziłem Daisy.

– Gorąca krew – zanuciła Alex, ale nie chciała go bardziej prowokować. Potrzebowała go i mogła zdobyć się na okazanie odrobiny dobrej woli. – Przykro mi z powodu tego, co zrobiłam w mieszkaniu.

– Nieprawda.

Tyle jeśli idzie o gest dobrej woli.

– Fakt, nie żałuję tego.

North odwrócił głowę. Miał profil stworzony do bicia na monetach.

– To nie było całkiem nieprzyjemne doświadczenie.

To ją zaskoczyło.

– Tak?

– To było... Zapomniałem, jakie to uczucie znaleźć się w ciele.

Alex zastanowiła się nad tym. Nie powinna pogłębiać więzi, ale skoro mógł zajrzeć do jej głowy, kiedy do niej wszedł, to może jego myśli będą też otwarte

dla niej. Niewiele dostrzegła na jego temat, ogarnięta paniką walki.

– Możesz wrócić, jeśli chcesz.

Zawahał się. Dlaczego? Z powodu intymności tego aktu? Czy może miał coś do ukrycia?

Dawes wpadła przez drzwi z tacą pełną naczyń w rękach. Postawiła ją na szafce z mapami.

– Wybrałam proste rzeczy. Purée ziemniaczane. Makaron z serem. Zupa pomidorowa. Sałatka.

Gdy tylko Alex poczuła zapach, zaburczało jej w żołądku i ślina napłynęła do ust.

– Niech ci Bóg błogosławi, Dawes. Mogę z tego wyjść?

Dawes zerknęła na tygiel.

– Mleko wygląda na przezroczyste.

– Jeśli masz zamiar jeść, to zostanę – powiedział North. Mówił spokojnie, ale jego twarz w zwierciadle wody była ochocza.

Dawes podała Alex ręcznik i niezręcznie pomogła jej wyjść z kąpieli.

– Mogę zostać na chwilę sama?

Dawes zmrużyła oczy.

– Co zamierzasz?

– Nic. Po prostu będę jadła. Ale jeśli... Jeśli coś usłyszysz, to nie zwracaj sobie głowy pukaniem, tylko po prostu wejdź.

– Będę na dole – odpowiedziała nieufnie Dawes.

Zamknęła za sobą drzwi.

Alex pochyliła się nad tygłem. North czekał w odbiciu.

– Chcesz wejść? – spytała.

– Zanurz rękę – mruknął, jakby prosił ją, żeby się rozebrała.

Oczywiście ona już była rozebrana.

Zanurzyła rękę w wodzie.

– Nie jestem mordercą – powiedział North, sięgając ku niej.

Uśmiechnęła się i ujęła jego palce.

– Oczywiście – odpowiedziała. – Tak samo jak ja.

Wyglądała przez okno. Była podekscytowana, wypełniała ją duma i zadowolenie, jakich nie znała. Świat należał do niej. Ta fabryka, nowocześniejsza od zakładów Brewstera czy Hookera. Miasto przed nią. Kobieta obok niej.

Daisy. Daisy była nadzwyczajna, rysy jej twarzy delikatne i cudowne, włosy w lokach muskających stójkę jej sukni, miękkie białe dłonie schowane w mufce ze sztucznego lisa. Była najpiękniejszą kobietą w New Haven, może w Connecticut, i należała do niego. Do niej. „Jest moja”.

Daisy odwróciła się do niego, w jej ciemnych oczach płonęły szelmowskie iskierki. Jej inteligencja czasem go niepokoiła. Nie była do końca kobieca, a jednak wiedział, że wyniosła ją ponad inne piękności Elm City. Może nie była naprawdę najpiękniejsza. Nos miała nieco za ostry, usta za wąskie, ale słowa, które z nich padały, śmiech i niekiedy frywolny żarcik... I nie można było absolutnie nic zarzucić jej figurze czy rozumnemu uśmiechowi. Była po prostu bardziej żywa od wszystkich, których do tej pory poznał.

Te kalkulacje przeprowadził w okamgnieniu. Nie potrafił się przed nimi powstrzymać, bo zawsze składały się na poczucie triumfu i zadowolenia.

– O czym myślisz, Bertie? – zapytała żartobliwym tonem, przysuwając się.

Tylko ona zwracała się do niego tym imieniem. Przyszła z nimi jej pokojówka, tak jak nakazywała przyzwoitość, ale Gladys została w korytarzu, a teraz widział ją przez okno wędrującą w stronę błoni. Wstążki czepka falowały za jej ręką, gdy zrywała gałązkę derenia. Nie miał zbyt wielu powodów, żeby rozmawiać z Gladys, ale wkładał w to sporo wysiłku. Służący wszystko słyszą i opłaca się mieć wpływ na kobietę najbliższą kobiecie, która zostanie jego żoną.

Odwrócił się od okna do Daisy jarzącej się jak kawałek mlecznego szkła na tle wypolerowanego drewna jego nowego gabinetu. Jego biurko wraz z sejfem zbudowano specjalnie z myślą o tym pomieszczeniu. Już spędził kilka długich wieczorów, pracując w tym wygodnym gabinecie.

– O tobie, rzecz jasna.

Popukała go w ramię, podchodząc jeszcze bliżej. Poruszała się z pewnym rozkołysaniem, które mogłoby wydawać się nieprzyzwoite w przypadku innej kobiety, ale nie w przypadku Daisy.

– Nie musisz ze mną flirtować. – Podniosła dłoń i zamachała palcami; zabłysł na niej szmaragd. – Już powiedziałam „tak”.

Złapał rękę Daisy i przyciągnął ją do siebie. Coś zapłonęło w jej oczach, ale co? Pożądanie? Strach? Czasem nie dało się tego odczytać. W lustrze nad kominkiem zobaczył ich oboje i ten obraz przyprawił go o dreszczyk.

– Pojedźmy do Bostonu po ślubie. Możemy pojechać do Maine na miesiąc miodowy. Nie chcę długiej morskiej podróży.

Uniosła tylko brew i się uśmiechnęła.

– Bertie, Paryż był częścią umowy.

– Ale dlaczego? Mamy czas, żeby zobaczyć cały świat.

– Ty masz czas. Ja będę matką twoich dzieci i gospodynią podejmującą twoich partnerów w interesach. Ale na razie... – Wspięła się na palce, a jej usta znalazły się tuż przy jego wargach, żar jej ciała był wyczuwalny, gdy zacisnęła palce na jego ręce – ...mogę po prostu być dziewczyną, która ogląda Paryż pierwszy raz w życiu, a my razem możemy po prostu być kochankami.

To słowo uderzyło w niego jak młotem.

– Wobec tego Paryż – powiedział ze śmiechem i pocałował ją.

Nie był to ich pierwszy pocałunek, ale z Daisy każdy wydawał się pierwszy.

Rozległo się skrzypienie schodów, a potem odgłos, jakby ktoś się potknął.

Daisy się odsunęła.

– Gladys ma fatalne wyczucie chwili.

Jednak widział ponad jej ramieniem Gladys nadal sunącą z rozmarzeniem po błoniach, z białym czepkiem odcinającym się wyraźnie na tle dereni.

Odwrócił się i zobaczył... Nikogo nie zobaczył, tylko puste drzwi. Zaskoczona Daisy wzięła gwałtowny wdech.

Coś na obrzeżach jego pola widzenia zamazało się, czarna plama rozlewająca się jak płomień zajmujący brzegi kartki, pożerający jej krawędź. Krzyknął, gdy poczuł coś jak ból, coś jak ogień przesywający jego czaszkę. Jakiś głos powiedział: „Rozcięli mnie. Chcieli zobaczyć moją duszę”.

– Daisy? – wykrztusił.

Ledwie wyszeptał jej imię. Leżał na plecach w sali operacyjnej. Stali nad nim mężczyźni. Tak naprawdę chłopcy.

– Coś jest nie tak – powiedział jeden z nich.

– Po prostu skończ to! – krzyknął inny.

Spojrzał w dół. Rozcięto mu brzuch. Widział, o Boże, widział siebie, swoje wnętrzności, mięso swoich narządów, rozłożone jak kręte węże podrobów na witrynie rzeźnika. Jeden z chłopców go macał. „Rozcięli mnie”.

Krzyknął i złożył się wpół. Złapał się za brzuch. Był cały.

Znajdował się w pokoju, którego nie rozpoznawał, w jakimś biurze, gdzie wszędzie było wypolerowane drewno. Pachniało nowością. Światło słoneczne było tak jasne, że raziło go w oczy. Jednak tamci chłopcy nadal mu zagrażali. Pójdą tu za nim. Chcieli go zabić. Zabrali go z dobrego miejsca przy boczniczy kolejowej. Zaproponowali mu pieniądze. Wiedział, że chcą się zabawić, ale nie wiedział, ach, nie wiedział... Rozcięli go. Próbowali zabrać mu duszę.

Nie mógł pozwolić, żeby zawlekli go z powrotem do tego zimnego pokoju. Tutaj miał ochronę. Gdyby tylko ją znalazł. Sięgnął do biurka, zaczął otwierać szuflady. Znajdowały się za daleko, jakby jego ręce były krótsze, niż to zapamiętał.

– Bertie?

To nie było jego imię. Próbowali namieszać mu w głowie. Spojrzał w dół i zobaczył czarny kształt w ręce. Wyglądał jak cień, ale był ciężki. Znał jego nazwę i próbował sformułować słowo w umyśle.

Miał broń w ręce, a kobieta krzyczała. Prosiła. To nie była jednak kobieta, ale coś strasznego. Widział zbierającą się wokół niej noc. Chłopcy przysłali ją, żeby go sprowadziła z powrotem, żeby znowu go rozciąli.

Światło rozbłysło, ale niebo nadal było niebieskie. Daisy. Miał ją chronić. Czołgała się po podłodze. Płakała. Próbowła uciec.

Znad kominka patrzył na niego potwór, jego biała twarz napełniła się zgrozą i wściekłością. Przyszli po niego i musiał ich zatrzymać. Istniał tylko jeden sposób. Musiał zepsuć im zabawę. Obrócił cień w ręce i przycisnął do brzucha.

Kolejny rozbłysk światła. Kiedy nadeszła burza?

Spojrzał w dół i zobaczył, że jego pierś się otworzyła. Zrobił swoje. Teraz nie mogli go rozciąć. Nie mogli zabrać mu duszy. Leżał na podłodze. Widział światło padające na deseczki, żuka idącego po zakurzonej podłodze. Daisy – znał ją – leżała obok niego nieruchoma, róże bladły na jej policzkach, jej szelmowskie, żywe oczy stały się zimne.

22

ZIMA

Alex zatoczyła się do tyłu, prawie zrzucając tacę z miejsca, gdzie postawiła ją Dawes. Złapała się za pierś, spodziewając się zobaczyć tam ziejącą ranę. Usta miała pełne jedzenia i zdała sobie sprawę, że stała przed tacą, napychając się makaronem, kiedy przeżyła śmierć Northa. Nadal czuła go w sobie, niczego nieświadomego, zatraconego we wrażeniach związanych z jedzeniem po raz pierwszy od ponad stu lat. Całą siłą woli odepchnęła go od siebie, ponownie zamykając przejście, które pozwoliło mu do niej wejść.

Wypluła makaron, nabrała gwałtownie powietrza i zatoczyła się w stronę tygła. Jedyna twarz, jaka spoglądała teraz na nią z powierzchni wody, należała do niej. Uderzyła dłonią w wodę i patrzyła na rozchodzące się fale.

– Zabiłeś ją – szepnęła. – Widziałam, jak ją zabijałeś. Czułam to.

Kiedy jednak to powiedziała, zrozumiała, że nie była w tamtej chwili Northem. Ktoś inny znalazł się w jego ciele.

Alex przeszła chwiejnie korytarzem do sypialni Dantego i wyjęła dresy Domu Lete. Miała wrażenie, że minęło wiele dni, a to było raptem kilka godzin. Wciąż czuła się obolała w miejscu, gdzie miała połamane żebra, jedyny ślad lania, jakie zebrała. A mimo to była ogromnie zmęczona. Każdy dzień wydawał się trwać rok i nie była pewna, czy tak męczyły ją cielesne obrażenia, czy intensywny kontakt z upiornością.

Popołudniowe światło wpadało przez witrażowe okna, rzucając barwne wzory, błękitne i żółte, na wypolerowane deski podłogi. Może nawet prześpi się tutaj tego wieczoru i nieważne, że będzie musiała iść jutro na zajęcia w dresie. Ubrania dosłownie jej się kończyły. Te zamachy na jej życie siały spustoszenie w garderobie.

W łazience obok dużej sypialni stały dwie umywalki i głęboka wanna na nóżkach, z której nigdy nie korzystała. Darlington jej używał? Nie potrafiła

wyobrazić go sobie, jak zanurza się w kąpielu z pianką dla odprężenia.

Włożyła dłoń pod kurek w umywalce, żeby się napić, i zaraz wypluła wodę. Wzdrygnęła się – woda była różowa i pływały w niej jakieś grudki. Zatkaną odpływ, zanim woda by spłynęła.

Patrzyła na krew Northa. Była tego pewna. Krew, którą przełknął niemal sto lat temu, gdy umarł.

I natkę pietruszki.

Kawałeczki natki.

Przypomniała sobie nieprzytomnego Michaela Reyesa leżącego na stole operacyjnym i zebranych wokół niego Kościejów. „Serce gołębiczy dla klarowności, korzeń geranium, potrawa z gorzkich ziół”. Dieta dla *victima* przed wieszaniem.

Ktoś wszedł w Northa tamtego dnia w fabryce – ktoś, kogo Kościeje wykorzystali do wieszania na długo przed tym, jak Dom Lete zaczął czuwać. „Rozcięli mnie. Chcieli zobaczyć moją duszę”. Pozwolili mu umrzeć. Była tego pewna. Jakiś bezimienny włóczęga, którego braku nikt nie spostrzeże. „NWMW. Nigdy więcej martwych włóczęgów”. Widziała ten napis w broszurce Lete: Spuścizna. Drobną żarcik między kamratami z Dziewiątego Domu. Alex nie do końca w to wierzyła, nawet po tym, jak zobaczyła rozciętego Michaela Reyesa na stole. Powinna sprawdzić, co u niego, czy nic mu nie jest.

Odkorkowała umywalkę. Oplukała raz jeszcze usta, owinęła mokre włosy świeżym ręcznikiem i usiadła przy małym biurczku antyku przy oknie.

Kości założono w 1832 roku. Grobowiec wybudowali sobie dopiero dwadzieścia pięć lat później, ale to nie znaczyło, że wcześniej nie próbowali żadnych rytuałów. Nikt wtedy nie pilnował stowarzyszeń, a pamiętała, co Darlington powiedział o zabłąkanej magii, która wyrывała się w trakcie rytuałów. A jeśli coś poszło nie tak podczas wczesnego wieszania? Jeżeli jakiś Szary zakłócił rytuał i wysłał gdzieś w świat duszę *victima*? I jeśli ta dusza natrafiła na Northa? Robił wrażenie, jakby nawet nie poznał broni w swojej ręce – „cień w mojej dłoni”.

Przerażona *victima* wewnątrz Northa, North wewnątrz Alex. Byli jak matryoszki upiorności. Czy duch w jakiś sposób wybrał ciało Northa, czy po prostu on i Daisy znaleźli się w złym miejscu w złym czasie, dwoje niewinnych ludzi położonych trupem przez moc, której nie mieli nawet prawa ogarnąć? Czy to zabłąkana magia doprowadziła do śmierci Northa i Whitlock?

Alex weszła po schodach na drugie piętro. Spędziła tu niewiele czasu, ale przy drugiej próbie znalazła sypialnię Wergiliusza. Znajdowała się dokładnie nad pokojem Dantego, ale była o wiele wspanialsza. Alex uznała, że jeśli przetrwa trzy lata w Lete i na Yale, to pewnego dnia ten pokój będzie należał do niej.

Podeszła do biurka i otworzyła szuflady. Znalazła list z paroma linijkami wiersza, papeterię z ogarem Lete i niewiele więcej.

Na biurku leżał podręcznik do statystyki. Czy Darlington zostawił go tej nocy, kiedy poszli do piwnicy w Rosenfeld Hall?

Alex zeszła schodami do regału, który strzegł biblioteki. Wyjęła Księgę Albemarle'a, ze stronic uniósł się zapach koni, odgłos kopyt na bruku, urywek hebrajskiego – wspomnienie jej badań na temat golemów. Darlington regularnie korzystał z biblioteki i w księdze było pełno jego zapytań, większość jednak dotyczyła jego obsesji na punkcie New Haven – historii przemysłu, aktów własności ziemi, planów miasta. Były tam też zapytania Dawes; wszystkie dotyczyły tarota i starożytnych mistycznych kultów. Znalazło się tam nawet kilka zamówień dziekana Sandowa. W końcu jednak zobaczyła – na początku jesienno semestru dwa nazwiska wypisane kanciastymi bazgrołami Darlingtona: Bertram Boyce North i Daisy Whitlock. Pan Młody miał rację. Darlington badał jego sprawę. Tylko gdzie podziały się jego notatki? Znajdowały się w jego torbie tej nocy w Rosenfeld Hall i zostały połknięte razem z nim samym?

– Gdzie jesteś, Darlington? – szepnęła.

„I czy zdołasz mi wybaczyć?”.

– Alex.

Aż podskoczyła. Dawes stała na schodach ze słuchawkami na szyi i ściereczką do naczyń w rękach.

– Turner wrócił. Ma nam coś do pokazania.

Alex wzięła swoje skarpetki ze zbrojowni i dołączyła do Turnera i Dawes w salonie. Siedzieli ramię w ramię przed niezgrabnym laptopem i oboje tak samo marszczyli czoła. Turner przebrał się w dżinsy i koszulę, ale mimo to wyglądał elegancko, zwłaszcza w porównaniu z Dawes.

Pomachał do Alex, żeby podeszła. Obok niego leżał stos teczek.

Na ekranie Alex widziała czarno-białe nagranie z czegoś, co wyglądało jak więzienny korytarz. Szereg więźniów szedł wzdłuż cel.

– Spójrz na zegar – powiedział Turner. – To mniej więcej ten czas, kiedy wybierałaś się na moje miejsce przestępstwa.

Turner włączył odtwarzanie i więźniowie powlekli się przed siebie. Na ekranie pojawił się wielki kształt.

– To on – powiedziała Alex. To był niewątpliwie Lance Gressang. – Dokąd on idzie?

– Skręci za róg i po prostu zniknie. – Turner przycisnął parę klawiszy i zobaczyli inny punkt widzenia, w kolejnym korytarzu, ale nigdzie nie było widać Gressanga. – Oto numer jeden na długiej, bardzo długiej liście rzeczy, których nie rozumiem: dlaczego wrócił? – Turner znowu przycisnął parę klawiszy i Alex zobaczyła szerokokątny widok na coś, co wyglądało jak oddział szpitalny.

– Gressang wrócił do więzienia?

– Zgadza się. Jest na izbie chorych ze złamaną ręką.

Alex przypomniała sobie trzask kości, kiedy uderzyła go kijem golfowym. Jednak dlaczego, u diabła, Gressang wrócił do więzienia, gdzie mógł tylko czekać na proces?

– To dla mnie? – spytała, wskazując teczki.

Turner skinął głową.

– To wszystko, co w tej chwili mamy na temat Lance’a Gressanga i Tary Hutchins. Przejrzyj, ile zechcesz, ale muszą wrócić ze mną dziś wieczorem.

Alex wzięła stos i usadowiła się na welwetowej sofie.

– Skąd ta hojność?

– Jestem uparty, ale nie głupi. Wiem, co widziałem. – Turner odchylił się w krześle. – Zatem posłuchajmy, Alex Stern. Nie wierzysz, że to Gressang zabił. W takim razie kto jest odpowiedzialny?

Alex otworzyła pierwszą teczkę.

– Nie mam pojęcia, ale wiem, że Tara była powiązana z co najmniej czterema stowarzyszeniami, a nikt nie zadźga dziewczyny z powodu działki trawki za dwadzieścia dolców, więc nie chodziło o odrobinę zioła.

– Z czego ci wyszły cztery stowarzyszenia?

– Przyniosę tablicę – zaproponowała Dawes.

– To magiczna tablica? – zapytał kwaśno Turner.

Dawes rzuciła mu nienawistne spojrzenie.

– Wszystkie tablice są magiczne.

Wróciła z garścią markerów i białą tablicą, którą postawiła na półce nad kominkiem.

Turner potarł twarz.

– No dobra, podaj mi swoją listę podejrzanych.

Alex nagle zawstydziała się, jakby poproszono ją, żeby rozwiązała skomplikowany problem matematyczny na oczach całej klasy, ale wzięła niebieski marker od Dawes i podeszła do tablicy.

– Z Tarą łączy coś Czwórkę ze Starożytnej Ósemki: Czaszkę i Kości, Zwój i Klucz, Manuskrypt oraz Księgę i Węża.

– Starożytna Ósemka? – zapytał Turner.

– Domy Zasłony. Stowarzyszenia z grobowcami. Powinieneś przeczytać swój egzemplarz Życia Lete.

Turner machnął, żeby mówiła dalej.

– Zaczynaj od Czaszki i Kości. Tara sprzedawała trawkę Trippowi Helmuthowi, ale nie widzę tu motywu morderstwa.

– Także sypiała z Trippem.

– Myślisz, że to było coś więcej niż niezobowiązujące numerki?

– Wątpię – przyznała Alex.

– A jeśli Tara inaczej myślała? – zasugerowała ostrożnie Dawes.

– Domyślam się, że Tara orientowała się w sytuacji. – Musisz się orientować. Zawsze. – Niemniej rodzina Trippa to prawdziwa stara fortuna. Tara mogła próbować coś od niego wyciągnąć.

– To mi brzmi trochę jak motyw z opery mydlanej – orzekł Turner.

Detektywa nie da się łatwo przekonać.

– A jeśli sprzedawali też mocniejszy towar? Nie tylko trawkę? Myślę, że student ostatniego roku, Blake Keely, kupował od nich narkotyk zwany serwilis.

– To niemożliwe – zaprotestowała Dawes. – To rośnie tylko...

– Wiem, na jakiejś górze. Ale Blake kupił to od Lance'a i Tary. Tripp powiedział, że widział Tarę z Kate Masters, a Kate należy do Manuskryptu, jedyne stowarzyszenia, które ma dostęp do serwilisu.

– Myślisz, że Kate sprzedała serwilis Tarze i Lance'owi? – zapytała Dawes.

– Nie – odpowiedziała Alex, rozważając tę myśl. – Myślę, że Kate płaciła Tarze za to, żeby dowiedzieć się, jak hodować serwilis. Lace i Tara mieszkali rzut beretem od wydziału leśnictwa i szklarni Marsha. Kate chciała zaoszczędzić na pośredniku. Załatwić Manuskryptowi własny zapas.

– W takim razie... w jaki sposób Blake dorwał serwilis?

– Może sami zaczęli hodować serwilis i sprzedawać Blake'owi. Pieniądz to pieniądz.

– Ale to byłoby...

– Nieuczciwe? – zapytała Alex. – Nieodpowiedzialne? To jak wręczenie socjopatycznemu maluchowi magicznej maczety?

– Jak właściwie działa ten narkotyk? – spytał niechętnie Turner, jakby nie był pewien, czy chce się dowiedzieć.

– Sprawia, że stajesz się... – Alex się zawahała.

„Posłuszny” to nie było właściwe słowo. „Entuzjastyczny” też nie trafiało w sedno.

– Akolitą – powiedziała Dawes. – Pragniesz jedynie służyć.

Turner pokręcił głową.

– I niech zgadnę: to nie jest substancja zakazana, bo nikt o niej nie słyszał, żeby narzucić w związku z nią jakieś przepisy. – Miał tę samą minę człowieka, który ma mdłości, jak na widok Alex leżącej się w tyglu. – Jesteście dzieciakami, które bawią się ogniem, i patrzycie zdziwione, gdy dom się spali. – Potarł twarz dłonią. – Wracajmy do tablicy. Tara jest związana z Kośćmi poprzez Trippa, z Manuskryptem przez Kate Masters i ten narkotyk. Czy Colin Khatri to jej jedyne powiązanie ze Zwojem i Kluczem?

– Nie – odpowiedziała Alex. – Miała słowa z poematu *Idylls of the King* wytatuowane na ręce, a cytaty z tego utworu widnieją wszędzie w grobowcu Kluczników. – Podała teczkę z fotografiami Dawes. – Prawe przedramię.

Dawes zerknęła na zdjęcia z sekcji zwłok ukazujące tatuaże Tary, a potem szybko przejrzała pozostałe.

– To mi nie wygląda na przypadkowy związek – dodała Alex.

– Co to? – spytała Dawes, pukając w zdjęcie z sypialni Tary.

– Parę narzędzi do robienia biżuterii – wyjaśnił Turner. – Prowadziła drobny interes na boku.

Jasne. Tym właśnie zajmowały się dziewczyny, kiedy ich życie szło w rozsypkę. Próbowaly znaleźć okno, przez które da się uciec. College przygotowujący do studiów. Ręcznej roboty mydełka. Robienie biżuterii na boku.

Dawes zagryzała wargę tak mocno, że Alex bała się, że zaraz popłynie krew. Pochyliła się do przodu i zerknęła na zdjęcie, na tanie podróbki kamieni półszlachetnych i naczynka z wygiętymi haczykami uszek do kolczyków, szczypcy. Jednak jedno naczynie odróżniało się od reszty. Było płytsze, metal był kuty i surowy, z jakimiś resztkami podobnymi do popiołu albo wapiennego osadu na dnie.

– Dawes – odezwała się Alex – a co to jest według ciebie?

Dawes odsunęła teczkę, jakby mogła przegnać jej zawartość.

– To tygiel.

– Do czego Tara by go używała? Żeby wytwarzać serwilis?

Dawes pokręciła głową.

– Nie. Serwilis wykorzystuje się w stanie surowym.

– Ej – wtrącił się Turner – a może przez minutę będziemy udawali, że nie wiem, co to jest tygiel?

Dawes odgarnęła pasmo kasztanowych włosów za ucho i nie patrząc na niego, odpowiedziała:

– To naczynia stworzone do magii i alchemii. Zwykle są wykonane z czystego złota i wysoce reaktywne.

– Ta wielka złota wanna, do której Dawes dopiero co mnie wsadziła, to też tygiel – dodała Alex.

– Mówisz mi, że ta rzecz w mieszkaniu Tary to prawdziwe złoto? Jest wielkości popielniczki. W żadnym razie Gressanga i jego dziewczyny nie było stać na coś takiego.

– Chyba że to był prezent – powiedziała Alex. – I możliwe, że robili w nim coś, co jest o wiele więcej warte niż sam metal.

Dawes naciągnęła rękawy bluzy na dłonie.

– Istnieją opowieści o świętych mężach, którzy za pomocą psylocybiny, znaczy grzybków, dosłownie otwierają drzwi do innych światów. Tyle że narkotyk należało oczyścić... w tyglu.

– Drzwi – powiedziała Alex, przypominając sobie noc, kiedy razem z Darlingtonem obserwowała nieudany rytuał Zwoju i Klucza. – Masz na myśli magiczne portale. Powiedziałaś, że krążą plotki, że magia Zwoju i Klucza słabnie. Czy tajna mikstura Lance'a i Tary mogła w tym pomóc?

Dawes westchnęła głęboko.

– Tak. Teoretycznie taki narkotyk mógłby pomóc w otwieraniu portali.

Alex wzięła zdjęcie z maleńkim tygłem.

– Macie ten przedmiot w... areszcie, czy jak to zwą?

– Został włączony do dowodów – odpowiedział Turner. – Tak, mamy go. Jeśli zostało w nim dość osadu, to możemy zbadać i przekonać się, czy odpowiada środkowi halucynogennemu, który znaleziono w ciele Tary.

Dawes zdjęła słuchawki z szyi. Siedziała z nimi na kolanach, jakby to było śpiące zwierzątko.

– Co jest? – zapytała ją Alex.

– Powiedziałaś, że Lance przechodził przez ściany, może posłużył się magią portali, żeby cię zaatakować. Jeśli ktoś ze Zwoju i Klucza wpuścił kogoś z zewnątrz do grobowca, jeśli Lance'a i Tarę wtajemniczono w rytuały... Domy Zasłony uważają to za niewybaczalne. *Nefandum*.

Alex i Turner spojrzeli po sobie.

– Jaka jest kara za udzielenie tego typu informacji komuś z zewnątrz? – zapytała Alex.

Dawes ścisnęła słuchawki.

– Stowarzyszenie zostałoby pozbawione grobowca i rozwiązane.

– Wiesz, jak to brzmi? – zapytał Turner.

– Aha – odpowiedziała Alex. – Jak motyw.

Czy Colin Khatri zapoznał Lance'a i Tarę z tajemnicami stowarzyszenia? Czy to była forma zapłaty? Z rodzaju tych, jakich nie chciał dłużej uiszczać? Czy to z tego powodu Tara zginęła? Alex nie potrafiła sobie wyobrazić schludnego, radosnego Colina popełniającego brutalne morderstwo. Był jednak chłopcem ze świetlaną przyszłością, a to znaczyło, że miał wiele do stracenia.

– Pójdę dziś wieczorem do profesor Belbalm – oznajmiła Alex. Wolałaby zasnąć tu, na kanapie przed kominkiem, ale nie chciała wkurzyć jedynej osoby, którą interesowała jej przyszłość. – Colin pracuje dla Belbalm. Mogę spróbować się dowiedzieć, jak długo został w jej domu w noc śmierci Tary.

– Alex – odezwała się Dawes, podnosząc w końcu wzrok. – Jeśli Darlington dowiedział się o narkotykach, o tym, co Colin i pozostali Klucznicy robili z Lance'em i Tarą, to może...

Urwała, ale Alex doskonale wiedziała, co sugeruje: może stowarzyszenie Zwoju i Klucza było odpowiedzialne za portal, w którym Darlington zniknął tamtej nocy w piwnicy Rosenfeld Hall.

– Gdzie właściwie jest Darlington? – spytał Turner. – Jeśli powiesz, że w Hiszpanii, to spakuję akta i wracam do domu. Moje łóżko prezentuje się w tej chwili naprawdę kusząco.

Dawes wierciła się na krześle.

– Coś się z nim stało – odpowiedziała Alex. – Nie jesteśmy pewni co. Spróbujemy dotrzeć do niego za pomocą rytuału, ale możemy to zrobić tylko podczas nowiu.

– Dlaczego w nowiu?

– Odpowiedni moment ma znaczenie – wyjaśniła Dawes. – Sprzyjający czas albo sprzyjające miejsce zwiększają szansę na skuteczny rytuał. Nów reprezentuje chwilę poprzedzającą ujawnienie czegoś ukrytego.

– Sandow chciał to zataić? – zapytał Turner. Alex pokiwała głową, ogarnięta wyrzutami sumienia. Sama też nie chciała rozgłaszać tej wieści. – A co z rodziną Darlingtona?

– To my odpowiadamy za Darlingtona – rzuciła ostro Dawes, jak zawsze opiekuńcza. – Odzyskamy go.

Być może.

Turner pochylił się do przodu.

– Czyli chcecie powiedzieć, że Zwój i Klucz może nie tylko być zamieszany w morderstwo, ale i w porwanie?

Alex wzruszyła ramionami.

– Pewnie. Można to i tak ująć. Nie możemy jednak wykluczyć Manuskryptu. Może Kate Masters odkryła, że Tara sprzedała trochę serwilisu Blake'owi Keely'emu i że on podawał narkotyk dziewczynom, a może współpraca przestała

im się układać. Jeśli Lance nie zabił Tary, to ktoś został zaczarowany, żeby wyglądać tak jak on. Manuskrypt dysponuje mnóstwem trików i chwytów, które pozwoliłyby Kate przybrać jego wygląd na kilka godzin. I żadna z tych rzeczy nie wyjaśnia *glumy*, którą na mnie nasłano. – Alex sięgnęła do kieszeni i poczuła uspokajające tykanie zegarka.

Turner miał minę, jakby sam był gotowy dokonać morderstwa.

– Że co znowu?

– To coś, co ścigało mnie na Elm Street. Nie patrz, kurwa, tak na mnie. To naprawdę się wydarzyło.

– Jasne, wierzę.

– *Glumy* to służący umarłych – wyjaśniła Dawes. – Ich chłopcy na posyłki.

Alex się skrzywiła.

– Ten chłopiec na posyłki miał wyjątkowo mordercze skłonności.

– Wyznaczasz im proste zadanie, a one je wykonują. Księga i Wąż posługuje się nimi jako posłańcami, którzy kursują z jednej strony Zasłony na drugą. Są zbyt skłonne do przemocy i nieprzewidywalne, żeby nadawały się do czegokolwiek innego.

Poza tym, że mogą sprawić, iż dziewczyna wyjdzie na wariatkę, i przy okazji raz na zawsze zamkną jej usta.

– Czyli Księga i Wąż też trafiają na tablicę – orzekł Turner. – Nie znamy motywu. Zdajesz sobie sprawę, że żadna z tych rzeczy nie jest dowodem, prawda? Nie możemy wykazać żadnych wiarygodnych powiązań z tymi stowarzyszeniami poza tym, co powiedział ci Tripp. Nie mam nawet dość, żeby dostać nakaz przeszukania szklarni wydziału leśnictwa.

– Domyślam się, że Centurion może pociągnąć za mnóstwo sznurków. – Przez twarz Turnera przemknął cień. – Tyle że nie chcesz tego zrobić.

– To nie tak powinno działać. Nie mogę po prostu pójść do swojego kapitana. Nic nie wie o Lete. Musiałbym iść aż na samą górę do szefa.

A Turner nie robi tego, o ile nie będzie miał pewności, że wszystkie ich teorie składają się w sensowną całość, a nie są tylko stekiem wariackich gryzmołów na tablicy. Alex nie miała do niego o to pretensji.

– Wyciągnę listę numerów telefonicznych z monopolowego obok mieszkania Tary. Możliwe, że korzystali z ich telefonu przy prowadzeniu interesów. Numer Kate Masters nie pojawił się ani na komórce Tary, ani na komórce Lance'a. Tak samo jak numery Colina Khatriego i Blake'a Keely'ego.

– Jeżeli Tara i Lance korzystali ze szklarni, to współpracowali z kimś z wydziału leśnictwa – powiedziała Dawes. – Bez względu na nakaz powinniśmy spróbować się dowiedzieć z kim.

– Jestem studentką – odezwała się Alex. – Mogę tam po prostu wejść.

– Myślałem, że chcesz, żebym zaczął pociągać za sznurki – powiedział Turner.

Bo chciała, ale teraz to sobie przemyślała.

– Możemy same się tym zająć. Jeśli pójdziesz do kogoś wyżej postawionego, to sprawa może dotrzeć do uszu Sandowa.

Turner uniósł brew.

– A to problem?

– Chcę wiedzieć, gdzie był w noc morderstwa.

Dawes wyprostowała się.

– Alex...

– Naciska, żebym przestała badać tę sprawę. Lete istnieje po to, żeby pilnować stowarzyszeń. Dlaczego tak mocno ściągnął cugle?

„Jesteśmy pasterzami”. Po to właśnie stworzono Lete. Prawda? Czy Dom Lete naprawdę zamierzał kogokolwiek chronić? Czy po prostu miał utrzymywać status quo, robić wrażenie, że Domy Zasłony są monitorowane, że trzymają się pewnych standardów, bez sprawdzania tak naprawdę mocy stowarzyszeń? „To rok ustalania funduszy”. Czy Sandow wiedział, że jeśli złączą uważniej badać sprawę, to znajdą związek z harmonogramem stowarzyszeń? Kości, Księga i Wąż, Zwój i Klucz, Manuskrypt – cztery z ośmiu stowarzyszeń odpowiedzialnych za fundusze dla Lete. Składały się na połowę pieniędzy potrzebnych do utrzymania Dziewiątego Domu przy życiu, a nawet na więcej, ponieważ Berzelius się nie dorzucił. Czy Lete było aż tak cenne dla Sandowa?

– Ile zarabia dziekan Sandow, pracując dla Lete? – zainteresowała się Alex.

Dawes zamruwała.

– Właściwie to nie wiem, ale ma stały etat. Zarabia mnóstwo na uniwersytecie.

– Hazard? – zasugerował Turner. – Narkotyki? Długi?

Dawes wyprostowała się jeszcze bardziej, jakby była anteną, która zmienia położenie, żeby lepiej odbierać sygnały.

– Rozwód – odpowiedziała powoli, niechętnie. – Żona odeszła od niego dwa lata temu. Od tego czasu spotykają się w sądzie. Mimo wszystko...

– To pewnie nic takiego – powiedziała Alex, chociaż nie była o tym przekonana – ale warto wiedzieć, gdzie był tamtej nocy.

Dawes znowu zagryzła usta.

– Dziekan Sandow nie zrobiłby niczego, żeby zaszkodzić Lete.

Turner wstał i zaczął zbierać teczki.

– Za właściwą cenę mógł. Jak myślisz, dlaczego zgodziłem się zostać Centurionem?

– To zaszczyt – odpowiedziała Dawes.

– To praca – sprostował. – Dodatkowa robota obok trudnej pracy, którą już wykonuję. Jednak dzięki tym pieniądзом mogłem spłacić hipotekę matki. – Schował teczki do torby. – Sprawdzę, ile zdołam dowiedzieć się dyskretnie na temat Sandowa.

– Ja powinnam się tym zająć – odezwała się cicho Dawes. – Mogę porozmawiać z jego gospodynią. Jeśli ty zaczniesz zadawać pytania, Yelena natychmiast pójdzie z tym do Sandowa.

– Czujesz, że dasz radę? – zapytał z powątpiewaniem Turner.

– Pewnie, że da sobie radę – zapewniła go Alex. – Musimy po prostu poznać rozkład jego zajęć.

– Podobają mi się pieniądze jako motyw – powiedział Tuner. – To ładny i czysty motyw. Nie to co te bzdury z hokus-pokus. – Włożył płaszcz i ruszył do tylnych drzwi.

Alex i Dawes poszły za nim.

Turner zatrzymał się w otwartych drzwiach. Za nim Alex widziała ciemniejące o zmierzchu niebo, zapalające się uliczne lampy.

– Matka nie wzięłaby po prostu czeku – powiedział ze smutnym uśmiechem na ustach. – Wie, że gliniarze nie dostają bonusów. Chciała wiedzieć, skąd wzięły się pieniądze.

– Powiedziałeś jej? – zapytała Alex.

– O tym? Skąd! Powiedziałem, że miałem fart w Foxwoods. Ona jedna wie, że wpakowałem się w coś, w co nie powinienem.

– Matki takie są – powiedziała Dawes.

Tak? Alex pomyślała o zdjęciu, które matka podesłała jej tydzień wcześniej. Ktoś z przyjaciół sfotografował ją w jej mieszkaniu. Mira miała na sobie bluzę Yale, a na półce nad kominkiem za nią stało pełno kryształów.

– Wiesz, co powiedziała moja matka? – zapytał Turner. – Powiedziała mi, że nie ma drzwi, których nie znałby diabeł. Zawsze czeka, żeby wsunąć w nie nogę. Nie wierzyłem jej tak naprawdę aż do dzisiejszego wieczoru.

Turner postawił kołnierz i zniknął w zimnym wieczorze.

23

ZIMA

Alex powlekła się na górę, żeby zabrać buty ze zbrojowni. Tygiel wyleczył jej rany, ale brakowało jej snu i ciało o tym wiedziało. Nadal, jeśli miałyby wybór, wolałaby zaliczyć jeszcze jedną bijatykę, nawet z takim mięśniakiem jak Lance, niż pójść dziś na wieczorek, a jutro na zajęcia. I pojutrze, i dzień potem. Kiedy walczyła o życie, w grę wchodziły tylko dwa wyniki – zdasz albo odpadniesz. Musiała tylko przetrwać i mogła to uznać za zwycięstwo. Nawet gdy siedziała w salonie z Dawes i Turnerem, miała uczucie, że nadąża, a nie jedynie odgrywa rolę. Nie chciała wrócić do wrażenia, że jest oszustką.

„Jednak nadal udajesz” – upomniała siebie w myślach. Dawes i Turner tak naprawdę jej nie znali. Nigdy nie odgadliby tego, czego Darlington dowiedział się o jej przeszłości. A jeśli rytuał podczas nowiu zadziała? Jeżeli Darlington wróci za dwa dni i powie im wszystkim prawdę, czy ktokolwiek wstawi się za nią?

Alex znalazła stos ubrań na łóżku w pokoju Dantego.

– Przyniosłam je z mojego mieszkania – powiedziała Dawes, kręcąc się w progu z rękami schowanymi w rękawach. – To nic stylowego, ale lepsze to niż dresy. Wiem, że lubisz czarny kolor, więc...

– Są idealne.

Nie były. Dżinsy były za długie, a koszulę prano tyle razy, że bliżej jej było do szarości niż czerni, ale Dawes nie musiała dzielić się swoimi rzeczami. Alex chciała napawać się każdym okruczem życzliwości, póki jeszcze mogła.

Kiedy wyruszyła do domu Belbalm, denerwowała się. Mocno nakręciła zegarek, na wypadek gdyby *gluma* nadal jej szukała, wcisnęła słoik ziemi cmentarnej do torby, włożyła dwa magnesy do kieszeni i przeanalizowała znaki ochronne potrzebne do tymczasowego zamknięcia portalu. Miała wrażenie, że to

drobne gesty. Lista podejrzanych o morderstwo Tary stała się listą potencjalnych zagrożeń i razem stanowili zbyt dużą magiczną siłę.

Belbalm mieszkała przy St. Ronan Street, dwadzieścia minut spacerem na północ z Il Bastone, niedaleko wydziału teologicznego. Jej dom był jednym z mniejszych przy tej ulicy, miał jedno piętro, był zbudowany z czerwonej cegły i pokryty winoroślami szarymi jak włosy starej kobiety. Alex weszła przez furtkę ogrodową pod białym wygiętym łukowato treliazem i ogarnęło ją to samo uczucie spokoju, jak w gabinecie Belbalm. W ogrodzie pachniało miętą i majerankiem.

Alex zatrzymała się na ścieżce. Była wysypana żwirem w kolorze łupka. Przez wysokie okna widziała krąg ludzi zebranych na różnych krzesłach, parę osób tłoczyło się na ławce przy fortepianie, kilka siedziało na podłodze. Dostrzegła kieliszki czerwonego wina, talerze na kolanach. Chłopak z brodą i dziką grzywą loków coś czytał. Miała wrażenie, że patrzy na inne Yale, Yale poza Lete i stowarzyszeniami, które mogło otworzyć się dla niej i nadal się otwierać, gdyby tylko poznała jego rytuały i kodeksy. W domu Darlingtona czuła się jak intruz, tutaj została zaproszona. Może to nie było miejsce dla niej, ale była tu mile widziana.

Cicho zapukała i kiedy nikt nie odpowiedział, delikatnie pchnęła drzwi. Nie były zamknięte na klucz, jakby nigdy nie zjawiali się tu niechciani goście. Na rzędzie wieszaków wisały stopy płaszczy. Podłoga była dosłownie zasłana butami.

Belbalm zobaczyła ją stojącą w drzwiach i dała znać, żeby weszła do kuchni.

Wtedy Alex zrozumiała. Należała do obsługi.

Oczywiście, że należała do obsługi.

Bogu dzięki, że należała do obsługi i nie będzie musiała udawać nikogo innego.

Ponad ramieniem Belbalm spostrzegła dziekana Sandowa rozmawiającego z dwójką studentów na kanapie. Wślizgnęła się do kuchni, mając nadzieję, że jej nie zauważył, a potem zastanowiła się, dlaczego miałyby się tym martwić. Czy naprawdę myślała, że skrzywdził Tarę? Że był zdolny do czegoś równie makabrycznego? W salonie w Il Bastone to wydawało się możliwe, ale tu, w tym ciepłym miejscu wypełnionym swobodnymi rozmowami, Alex nie była w stanie ogarnąć podobnej myśli.

Kuchnia była przestronna, szafki białe, blaty czarne, podłoga tworzyła szachownicę.

– Alex! – zapiał Colin na jej widok. Zewsząd otaczali ją podejrzani o morderstwo. – Nie wiedziałem, że przyjdiesz! Potrzebujemy dodatkowych

ręk. Co masz na sobie? Czarny jest w porządku, ale następnym razem załóż białą koszulę.

Alex nie miała białej koszuli.

– Jasne – odpowiedziała.

– Chodź tu i wyłóż to na blachę do pieczenia.

Alex wpadła w rytm wykonywania poleceń. Isabel Andrews, druga asystentka Belbalm, też była obecna; układała owoce, ciasteczka i tajemnicze stosiki mięs na różnych półmiskach. Jedzenie, jakie przygotowywali, było jej całkowicie obce. Kiedy Colin poprosił, żeby podała mu ser, potrzebowała długiej chwili, żeby zdać sobie sprawę, że leży dokładnie przed nią: nie półmiski z pokrojonym w kostkę cheddarem, ale wielkie kawały czegoś, co wyglądało jak kwarc i kordieryt, małeńki słoiczek miodu i grad migdałów. Wszystko sprawiało wrażenie dzieła sztuki.

– Po czytaniu i dyskusji będzie deser – wyjaśnił Colin. – Profesor zawsze podaje bezy i minitarty z jabłkami.

– Dziekan Sandow był tu w zeszłym tygodniu? – spytała Alex.

Jeśli tak, to mogłaby go skreślić z listy, a gdyby Colin nie wiedział, to może wcale nie spędził tu całego wieczoru.

Zanim jednak zdążył odpowiedzieć, profesor Belbalm weszła przez wahadłowe drzwi.

– Oczywiście, że tak – powiedziała. – Ten człowiek uwielbia wypijać mojego burbona. – Wrzuciła małeńką truskawkę do ust i otarła palce w ściereczkę. – Powiedział coś absolutnie niedorzecznego na temat Camus. Chociaż łatwo o niedorzeczność w przypadku Camus. Nie wiem, dlaczego spodziewałam się czegoś więcej, w końcu trzyma oprawiony cytat z Rumiego nad biurkiem. To mnie boli. Kochany Colinie, dopilnuj, proszę, żebyśmy zawsze mieli pod ręką białe i czerwone, dobrze? – Podniosła pustą butelkę i Colin pobladł. – W porządku, skarbie. Weź butelkę i dołącz do nas. Alex i pozostali poradzą tu sobie, prawda? Przyniosłeś coś do przeczytania?

– Ehm... tak. – Colin wyszedł z kuchni, jakby u kostek wyrosły mu nagle skrzydła.

– Bezy – wydała polecenie Isabel.

– Bezy – powtórzyła Alex, podchodząc do miksera i podając miskę Isabel.

Sfotografowała kuchnię i wysłała do mamy z podpisem „w pracy”. Chciała, żeby Mira właśnie w ten sposób o niej myślała: że jest szczęśliwa. Normalna. Bezpieczna. Wszystko, co nigdy Alex nie dotyczyło. Napisała też do Mercy i Lauren. „U Belbalm. Trzymajcie kciuki, żeby resztki zostały”.

– Nie mogę uwierzyć, że Colin będzie dziś czytał – narzekała Isabel, wyciskając bezy na blachę. – Jestem z nią semestr dłużej niż on i bezbłędnie

zaliczyłam seminarium z Kobiet i Industrializmu.

– Następnym razem – mruknęła Alex, nakładając stopione masło na maleńkie tarty z jabłkami. – W zeszłym tygodniu też był taki tłum?

– Tak i Colin narzekał cały wieczór. Skończyliśmy sprzątać po drugiej w nocy.

Czyli alibi Colina się sprawdzało. Alex ulżyło. Lubiła Colina, lubiła skwaszoną Isabel, lubiła tę kuchnię, ten dom, tę wygodną przestrzeń. Lubiła ten kawałek świata, który nie miał nic wspólnego z morderstwem lub magią. Nie chciała, żeby przemoc zaburzyła jego spokój. To nie znaczyło jednak, że może skreślić Zwój i Klucz ze swojej listy. Nawet jeśli Colin nie zabił Tary, to ją znał. I ktoś nauczył Lance'a magii portali.

– Czy Sandow przesiedział tu w zeszłym tygodniu całe spotkanie?

– Niestety – odpowiedziała Isabel. – Zawsze za dużo pije. Podobno przechodzi paskudny rozwód. Profesor Belbalm ułożyła go w swoim gabinecie i okryła kocem. Zostawił kałużę moczu w toalecie i Colin musiał to posprzątać. – Zadygotała. – Gdy się teraz nad tym zastanowię, to zasłużył sobie na czytanie. Czeka cię tyle świetnych rzeczy, Alex.

Isabel nie miała powodu, żeby kłamać, więc kiepska celność dziekana Sandowa zapewniła mu właśnie alibi. Dawes się ucieszy. Alex uznała, że ona też się cieszy. Być mordercą to jedno, ale pracować dla mordercy to całkiem co innego.

To była długa noc w kuchni, ale Alex nie żałowała. Czuła, że na coś pracuje.

Około pierwszej w nocy skończyli podawać, posprzątali kuchnię, wrzucili butelki do koszy na szkło, powietrze przy ich policzkach zostało ucałowane przez Belbalm i pozęglowali w noc z tacami resztek w dłoniach. Po przemocy i dziwności ostatnich kilku dni to był prawdziwy dar. Cudowny przedsmak tego, czym życie może się stać i jak niewiele stowarzyszenia znaczą dla większości ludzi w Yale. Przedsmak pracy, która nie wymaga od człowieka niczego poza czasem i odrobiną uwagi w domu pełnym nieszkodliwych ludzi, pijanych jedynie wysokim mniemaniem o sobie.

Alex zobaczyła Szarą na rolkach kluczącą między ulicznymi lampami i zbliżającą się do niej. Czaszkę i pierś miała jak zmiażdżone, głęboki dołek zostawiony przez koło samochodu jakiegoś nieuważnego kierowcy.

– Pasa punto, pasa mundo – szepnęła Alex, niemal życzliwie, i patrzyła, jak dziewczyna znika.

Chwila mija, świat mija. Bułka z masłem.

Alex nie miała zajęć następnego ranka. Wstała wcześniej, żeby zjeść śniadanie i trochę poczytać przed wyprawą do ogrodów Marsha, ale kończyła właśnie stos jajek z ostrym sosem, kiedy spostrzegła Pana Młodego. Popatrzył z dezaprobatą, kiedy potem dołożyła sobie wielki deser lodowy z karmelem, ale lody podawano do wszystkich posiłków w każdej jadalni i była to okazja, której nie można było przepuścić.

Po śniadaniu skoczyła do łazienki przy świetlicy i napełniła umywalkę wodą. Nie rwała się do rozmowy z Panem Młodym; nie była gotowa do rozmowy o tym, co zobaczyła w jego wspomnieniach. Chciała jednak wiedzieć, czy udało mu się znaleźć Tarę.

Po chwili twarz Northa pojawiła się w odbiciu.

– No i? – spytała.

– Nie znalazłem jej jeszcze.

Alex uderzyła powierzchnię wody palcem i patrzyła, jak odbicie faluje.

– Wygląda na to, że nie jesteś w tym szczególnie dobry.

Kiedy woda się uspokoiła, North miał ponurą minę.

– A co ty odkryłaś?

– Miałaś rację. Darlington interesował się twoją sprawą. Niestety nie znalazłam notatek w jego biurku w Il Bastone. Mogę poszukać jutro wieczorem w Black Elm.

Kiedy nadejdzie nów. Może potem Darlington sam będzie mógł odpowiedzieć na pytania Pana Młodego.

– No i?

– No i co?

– Co widziałaś, kiedy byłaś w mojej głowie, panno Stern? Byłaś zdenerwowana, kiedy mnie wyrzuciłaś.

Alex zastanawiała się, ile mu powiedzieć.

– Co pamiętasz z chwili swojej śmierci, North?

Jego twarz znieruchomiała i Alex zdała sobie sprawę, że wypowiedziała na głos jego imię. Do diabła.

– To właśnie widziałaś? – zapytał powoli. – Moją śmierć?

– Po prostu mi odpowiedz.

– Nic – przyznał. – W jednej chwili stałem w swoim nowym gabinecie i rozmawiałem z Daisy, a w drugiej... Nie byłem już nikim. Śmiertelny świat przepadł dla mnie.

– Byłeś po drugiej stronie. – Alex widziała teraz, jak to mogło namieszać mu w głowie. – Czy kiedykolwiek próbowałeś odnaleźć Gladys O'Donaghue za Zastoną?

– Kogo?

– Pokojówkę Daisy.

North zmarszczył brwi.

– Policja ją przesłuchała. Znalazła... nasze ciała, ale nie była na miejscu, nie była świadkiem zbrodni.

– I była tylko pokojówką?

Tacy goście jak on nigdy nie zauważają służby. Jednak North miał rację. Alex widziała Gladys na dworze, rozkoszującą się wiosenną pogodą. Gdyby Gladys widziała albo słyszała cokolwiek dziwnego na miejscu przestępstwa, to miałyby wszelkie powody, żeby powiedzieć o tym policji. Alex podejrzewała, że nie było nikogo, kogo mogłaby zauważyć, jedynie niewidzialna i dzika magia, przerażony duch człowieka, którego Kościeje potraktowali brutalnie i który w jakiś sposób trafił do Northa.

– Dam ci znać, co znalazłam w Black Elm. Przestań mnie śledzić i idź szukać Tary.

– Co widziałas w mojej głowie?

– Przepraszam! Coś nam przerywa! – Alex wyjęła korek z umywalki.

Wyszła z łazienki i wysłała wiadomość do Turnera, że wybiera się do szklarni Marsha. Po drodze zadzwoniła do szpitala i zapytała o Michaela Reyesa. Powinna była wcześniej sprawdzić stan *victima* po wieszczeniu Czaszki i Kości, ale miała więcej niż parę rzeczy na głowie. Minęła dłuższa chwila, zanim połączono ją z właściwą osobą, ale w końcu Jean Gatdula przyszła, żeby jej powiedzieć, że Reyes dochodzi do siebie, dobrze się czuje i zostanie odesłany do domu w ciągu najbliższych dwóch dni. Alex wiedziała, że „dom” oznacza Columbus House, schronisko z dala od kampusu. Miała nadzieję, że Kościeje zostawią mu przynajmniej sporo pieniędzy z racji tego, co przez nich przeszedł.

Ogród botaniczny Marsha znajdował się na szczycie Science Hill; stała tam stara rezydencja i coś, co wyglądało jak dzwonnica. Tereny dawnej posiadłości opadały faliście w dół ku mieszkaniu, które Tara dzieliła z Lance'em. Nie było tam ochrony z prawdziwego zdarzenia i Alex z łatwością wymieszała się z tłumem kręcących się tam studentów. Cztery potężne uniwersyteckie szklarnie stały blisko tylnego wejścia, otoczone przez garść mniejszych szklanych budowli. Alex martwiła się, że nie zdoła rozpoznać, gdzie Tara doglądała swojego ogródka, ale kiedy obchodziła teren, wyczuła zapach upiorności pod zapachem obornika i świeżo skopanej ziemi. Chociaż mała szklarnia wyglądała całkiem zwyczajnie, Alex podejrzewała, że chroniły ją resztki uroku – pewnie dzięki uprzejmości Kate Masters i Manuskryptu. Skąd inaczej Tara wiedziałaby, jak uprawiać swoje rośliny, nie wzbudzając podejrzeń?

Kiedy jednak Alex otworzyła drzwi, zobaczyła tylko puste żardyniery i poprzewracane donice na stołach. Ktoś wyczyścił to miejsce. Kate? Colin?

Ktoś inny? Czy Lance otworzył portal z celi więziennej i przyszedł zniszczyć potencjalne dowody?

Na stosie ziemi obok przewróconego plastikowego pojemnika leżała smukła gałązka nieznannej rośliny. Alex dotknęła jej palcem. Drobne pnącze rozwinęło się, między liśćmi pojawił się samotny biały kwiat. Płatki otworzyły się, buchając świecącymi nasionami jak fajerwerkiem z cichym, ale słyszalnym „puf”, po czym kwiat zwiędł i się rozpadł.

Na zewnątrz Alex znalazła szczupłą kobietę w dżinsach i farmerskiej kurtce, która grzebała rękami w rękawicach w wiadrze ze ściółką.

– Dzień dobry – powiedziała – może mi pani powiedzieć, kto korzysta z tej szklarni?

– Sveta Myers. Doktorantka.

Alex nie pamiętała, żeby jej nazwisko pojawiło się w teczce ze sprawą Tary.

– Wie pani, gdzie ją znajdę?

Kobieta pokręciła głową.

– Wyjechała parę dni temu, wzięła wolne na resztę semestru.

Sveta Myers przestraszyła się. Może sama zniszczyła zawartość szklarni.

– Widywała ją pani z taką parą: chudą blondynką i wielkim gościem, który wygląda tak, jakby mieszkał na siłowni?

– Często widywałam dziewczynę. Była kuzynką Svety, siostrzenicą czy coś takiego? – Alex mocno w to wątpiła. – Mogłam z raz, może dwa razy widzieć tego faceta. A czemu pytasz?

– Dziękuję za pomoc – odpowiedziała Alex i ruszyła do wyjścia.

Próbowała pozbyć się uczucia rozczarowania, kiedy schodziła ze wzgórza. Miała nadzieję znaleźć więcej śladów po ogrodach Tary, a nie tylko kupę ziemi jak na świeżym grobie.

Turner powiedział, że spotka się z Alex przed lodowiskiem Ingallsów. Zobaczyła jego dodge'a stojącego przy krawężniku z włączonym silnikiem. W środku było cudownie ciepło.

– Masz coś? – spytał.

Pokręciła głową.

– Ktoś wyczyścił szklarnię, a studentka, która tam pracowała, wyjechała z miasta. Nazywała się Sveta Myers.

– Nic mi to nie mówi, ale sprawdzę, czy uda mi się ją namierzyć.

– A ja sprawdzę spis wychowanków, żeby upewnić się, że nie była związana z żadnym ze stowarzyszeń. I chcę porozmawiać z Lance'em Gressangiem.

– Ty znowu o tym?

Alex prawie zapomniała, że udawała wcześniej zainteresowanie rozmową z Gressangiem.

- Ktoś musi go przepytac w związku z nowymi informacjami, jakie mamy.
- Jeśli dojdzie do procesu...
- To już będzie za późno. Ktoś nasłał na mnie potwora. Zabili Tarę, ukradli wszystkie jej rośliny. Może dopadli też Svetę Myers. Sprzątają po sobie.
- Nawet gdybym załatwił rozmowę z Gressangiem, to nie zabiorę cię ze sobą.
- Dlaczego? Potrzebujemy, żeby Gressang zrozumiał, że orientujemy się w tym wszystkim lepiej niż on. Wystarczy mu ze trzydzieści sekund, żeby pojąć, że nie odróżniasz własnego tyłka od rozgrzanej skały.
- Jakie barwne porównanie.
- Widziałam cię w mieszkaniu. Prawie zmoczyłeś spodnie, gdy Lance przeszedł przez ścianę.
- Masz podejście do ludzi, co, Stern?
- To mój urok osobisty czy uroda tak cię zniewala?
- Turner obrócił się na siedzeniu, żeby rzucić jej przeciągłe spojrzenie.
- Nie zawsze musisz atakować. Co cię tak wkurza?
- Alex zirytował fakt, że się zawstydzila.
- Wszystko – mruknęła, patrząc na zaparowaną przednią szybę. – Poza tym wiesz, że mam rację.
- Możliwe, ale Lance ma prawnika. Żadne z nas nie porozmawia z nim bez jego prawnika.
- A chciałbyś?
- Pewnie, że tak. Zjadłbym też krwisty befszytk i chciałbym mieć chwilę spokoju bez twojego ujadania za uchem.
- Przykro mi, że nie mogę pomóc, ale myślę, że zdołam załatwić ci rozmowę z Gressangiem.
- Powiedzmy, że to prawda. Nic, czego się w ten sposób dowiemy, nie będzie mogło trafić do sądu. Lance Gressang mógłby nam powiedzieć, że zabił Tarę dwanaście razy, a my nie moglibyśmy go za to posadzić.
- Ale potrzebujemy odpowiedzi.
- Turner oparł dłonie w rękawiczkach na kierownicy.
- Jestem przekonany, że kiedy moja matka mówiła o diable, miała na myśli ciebie.
- Jestem aniołem.
- Jeżeli się zgodzę, to czego potrzebujemy?
- Turner już miał dostatecznie ładny garnitur.
- Masz aktówkę?
- Mogę pożyczyć.

- Świetnie. I będziemy potrzebowali tego. – Wyjęła z kieszeni lusterko, którym posłużyła się, żeby dostać się do mieszkania Tary.
- Mam przejść przez ochronę więzienia z lusterkiem i elegancką aktówką?
- Gorzej, Turner. – Alex obróciła lusterko w ręce. – Chcę, żebyś uwierzył w magię.

24

ZIMA

Plan okazał się trudniejszy do wykonania, niż Alex przewidywała. Lusterko zmyli strażników, których spotkają, ale nie kamery ochrony.

Dawes uratowała ich za pomocą prawdziwej burzy w imbryku. Alex nie pomyślała, że Darlington mówi dosłownie, kiedy szli przedziwną piwnicą Rosenfeld Hall, ale najwyraźniej w okresie rozkwitu stowarzyszenie Świętego Elma uprawiało najróżniejsze rodzaje ciekawej magii.

– To nie jest tylko naczynie – wyjaśniła Dawes następnego dnia, stojąc przy blacie w kuchni w Il Bastone ze złotym imbrykiem i wysadzonym kamieniami sitkiem. – To sama herbata. – Odmierzyła starannie wysuszone listki z puszki z herbem Świętego Elma, złowieszczym drobnym znakiem, który nazywano „kozłem i łodzią”.

– Darlington powiedział, że domagali się nowego grobowca – powiedziała Alex.

Dawes skinęła głową.

– Utrata Rosenfeld Hall ich zniszczyła. Składali petycje od lat, przedstawiając najróżniejsze nowe zastosowania dla swojej magii, ale bez węzła, na którym mogliby budować, nowy grobowiec nie miał sensu. – Nalała wodę na liście i ustawiła minutnik na telefonie. Światła zamrugały. – Przy zbyt mocnym naparze można załatwić się wysokiego napięcia na całym wschodnim wybrzeżu.

– Dlaczego grobowce są takie ważne? – zapytał Turner. – To tylko dom, w którym staje się i... robi magię. – Przesunął językiem po zębach, jakby nie podobał mu się smak tego słowa.

– Magia Domu Lete opiera się na zaklęciach i przedmiotach, pożyczonych czarach. Jest bardzo stabilna. Nie polegamy na rytuałach. Dzięki temu możemy mieć zainstalowane magiczne zabezpieczenia. Inne stowarzyszenia korzystają ze

znacznie potężniejszych sił: przepowiadają przyszłość, porozumiewają się ze zmarłymi, przemieniają materię.

– Duża magia – powiedziała Alex.

Turner oparł się o blat.

– Czyli mają karabiny maszynowe, a wy posługujecie się łukiem i strzałą?

Dawes podniosła wzrok zaskoczona. Potarła nos.

– Raczej kuszą, ale owszem.

Rozległ się minutnik. Dawes szybko wyjęła sitko i przelała herbatę do termosu. Wręczyła go Alex.

– Będiesz miała jakieś dwie godziny prawdziwego zamętu. Potem... – Wzruszyła ramionami.

– Ale nie wyłączysz prądu, zgadza się? – upewnił się Turner. – Nie chcę wylądować w więzieniu, kiedy wszystkie światła pogasną.

– Och, patrz, jak daleko zaszedłeś! – powiedziała Alex. – Teraz się martwisz, że magia może okazać się za silna!

Dawes pociągnęła za rękawy bluzy, a cała pewność siebie, jaką miała, gdy parzyła herbatę, wyparowała.

– Nie, jeśli zrobiłam to tak, jak trzeba.

Alex wzięła termos i schowała w torbie, a potem związała włosy w ciasny kok. Powiedziała Mercy, że idzie na rozmowę o pracę, żeby mieć pretekst do pożyczenia od niej eleganckiego czarnego kostiumu.

– Mam nadzieję, że dostaniesz pracę – powiedziała wcześniej Mercy i objęła ją tak mocno, że Alex miała wrażenie, iż kości jej się wyginają.

– Ja też mam nadzieję – odpowiedziała.

Bez względu na niebezpieczeństwo cieszyła się z przebieranki, z faktu, że ta przygoda wypełni jej czas. Rytuał podczas nowiu wydawał się odległy, niemożliwie daleki, ale odbędzie się już tej nocy. Z trudem myślała o czymkolwiek innym.

Sprawdziła telefon.

– Nie mam sygnału.

Turner zrobił to samo.

– Ja też.

Alex włączyła mały telewizor, który znajdował się nad śniadaniowym kącikiem. Nic, tylko szum.

– Idealny napar, Dawes.

Dawes wyglądała na zadowoloną.

– Powodzenia.

– Właśnie zamierzam popełnić zawodowe samobójstwo – powiedział Turner.

– Miejmy nadzieję, że możemy liczyć na coś więcej niż tylko szczęście.

Jazda do więzienia trwała krótko. Nikt tam nie znał Alex, więc nie musiała się martwić, że zostanie rozpoznana. Robiła całkiem dobre wrażenie w roli asystentki w swoim pożyczonym prawniczym przebraniu. Turner to inna historia. Musiał zajrzeć rano do sądu, żeby wpaść na prawnika Lance'a Gressanga i zdobyć jego odbicie.

Minęli ochronę bez żadnych problemów.

– Przestań patrzeć na kamery – szepnęła Alex, kiedy ją i Turnera prowadzono obskurnym korytarzem oświetlonym buczącymi jarzeniówkami.

– Robią wrażenie, jakby działały.

– Są zasilane, ale nagrywają jedynie szum – powiedziała Alex z większym przekonaniem, niż naprawdę czuła.

Termos niosła w torbie, a jego waga przy biodrze działała na nią uspokajająco.

Kiedy weszli do sali spotkań, wreszcie byli bezpieczni. Podczas spotkania prawnika z klientem nie wolno było nagrywać ani obrazu, ani dźwięku.

Lance siedział przy stole, gdy weszli.

– Czego chcesz? – spytał, gdy zobaczył Turnera chowającego lusterko, którym błysnął w twarz skrzywionemu strażnikowi.

– Masz godzinę – powiedział strażnik. – Nie przeciągaj.

Gressang odsunął się od stołu, patrząc to na Turnera, to na Alex.

– Co to, kurwa, jest? Wy dwoje pracujecie razem?

– Godzina – powtórzył strażnik i zamknął za nimi drzwi.

– Znam swoje prawa – powiedział Gressang, wstając.

Robił wrażenie jeszcze większego niż w mieszkaniu, a jego zabandażowana ręka bynajmniej nie uspokajała Alex. Nauczyła się pilnować, żeby nie wylądować w ciasnych pomieszczeniach z takimi mężczyznami jak Lance Gressang. Nie chcesz być jedyną rzeczą w zasięgu wzroku, kiedy popsuje im się humor.

– Siadaj – powiedział Turner. – Musimy porozmawiać.

– Nie możecie rozmawiać ze mną bez mojego prawnika.

– Przeszedłeś wczoraj przez ścianę – odpowiedział Turner. – Kodeks karny uwzględnia i to?

Lance robił wrażenie wręcz zażenowanego z powodu oskarżenia. „Wie, że nie powinien posługiwać się tą magią – pomyślała Alex. – A już z pewnością nie powinien pozwolić, żeby gliniarz to zobaczył”. Lance nie mógł wiedzieć, że Turner współpracuje z Domami Zasłony.

– Siadaj, Gressang – powtórzył Turner. – Możesz się ucieszyć, że to zrobiłeś.

Alex zastanawiała się, czy Lance po prostu nie wrzuci grzybka do ust i nie zniknie przez podłogę. Jednak powoli, z ponurą miną usiadł z powrotem na krześle.

Turner i Alex zajęli miejsca po drugiej stronie stołu.

Lance zacisnął zęby i wskazał podbródkiem Alex.

– Co robiłaś w moim mieszkaniu?

W moim mieszkaniu. Nie w „naszym”. Nie odpowiedziała.

– Próbuje odkryć, kto zabił Tarę – powiedział Turner.

Lance uniósł rękę.

– Skoro wiesz, że jestem niewinny, to czemu nie wyciągniesz mnie z tego szamba?

– „Niewinny” to mocno powiedziane w wypadku kogoś takiego jak ty. – Turner oznajmił to tym samym przyjemnym, protekcjonalnym tonem, jakim zwracał się do Alex jeszcze kilka dni temu. – Może jesteś niewinny, gdy w grę wchodzi ten konkretny akt przemocy, i jeśli to prawda, to z przyjemnością dopilnuję, żeby zwolniono cię z oskarżenia o morderstwo. Jednak w tej chwili chcę ci powiedzieć, że nikt nie wie o tym, że tu jesteśmy. Wszyscy strażnicy myślą, że rozmawiasz ze swoim prawnikiem, i musisz zrozumieć, że możemy zrobić to, co tylko zechcemy.

– Mam się bać?

– Tak – odpowiedział Turner. – Masz się bać. Ale nie nas.

– Ej, nas też może się bać – wtrąciła Alex.

– Może, ale ma większe problemy, którymi powinien się martwić. Jeśli nie ty zabiłaś Tarę, to zrobił to ktoś inny. I ten ktoś tylko czeka, żeby dorwać cię w swoje ręce. W tej chwili jesteś użytecznym kozłem ofiarnym. Ale jak długo to potrwa? Tara wiedziała rzeczy, których nie powinna wiedzieć, i możliwe, że ty także.

– Nic nie wiem.

– Nie mnie musisz przekonywać. Widziałeś, do czego ci ludzie są zdolni. Myślisz, że zawahają się przed sprzątnięciem takiego śmiecia jak ty? Myślisz, że zawahają się przed pozbyciem się ciebie albo twoich przyjaciół czy wręcz całej dzielnicy, jeśli dzięki temu będą mogli spokojnie spać nocą?

– Ludzie tacy jak ty czy ja nie liczą się – wtrąciła Alex. – Zwłaszcza kiedy przestaną być użyteczni.

Lance ostrożnie położył uszkodzoną rękę na stole i pochylił się do przodu.

– A tym kim, do kurwy nędzy, jesteś?

Alex nie odwróciła wzroku.

– Jestem jedyną osobą, która myśli, że nie zabiłaś Tary. Pomóż mi więc zorientować się, kto to zrobił, zanim Turner straci cierpliwość, wypchnie mnie za

drzwi i pozwoli ci tu zgnić.

Lance popatrzył po nich obojgu. W końcu powiedział:

– Nie zabiłem jej. Kochałem ją.

Jakby jedno z drugim całkiem się wykluczało.

– Kiedy zaczęliście współpracować ze Svetą Myers?

Lance poprawił się na krześle. Wyraźnie nie spodobało mu się, że znali to nazwisko.

– Nie pamiętam. Ze dwa lata temu? Tara poszła tam na wyprzedaż roślin i zaczęły gawędzić. Świetnie się dogadywały w temacie ogrodnictwa i takich tam pierdół. Przez jakiś czas sprzedawaliśmy jej towar, a potem zaczęliśmy hodować razem z nią, dając jej obryw.

– Powiedz nam o serwilisie – powiedziała Alex

– O czym?

– Nie hodowaliście tylko trawki. Co hodowaliście dla Blake’a Keely’ego?

– Tego modelu? Kręcił się przy Tarze i popisывał się kasą, jakby był gwiazdą. Nie mogę znieść tego dupka.

Alex nie wiedziała, jak się czuje, odnajdując wspólną płaszczyznę z Lance’em Gressangiem.

– Co hodowałeś dla niego? – naciskał Turner.

– To nie było dla niego. Przynajmniej początkowo. Przez jakiś czas sprzedawaliśmy trawkę jego bractwu... Żadna z tych rzeczy nie może trafić do sądu, jasne? To wszystko prywatna rozmowa, nie? – Turner machnął ręką. – Nic nadzwyczajnego. Towar za dziesiątkę, towar za dwudziestkę. Zwykłe gówno. A potem w tym roku pojawiła się ta dziewczyna, Katie...

Alex pochyliła się do przodu.

– Kate Masters?

– Aha. Blondynka, naprawdę ładna, ale trochę jakby lesba?

– Opowiedz mi więcej o tym, jakie dziewczyny ci się podobają.

– Serio?

– Nie, dupku. Czego Katie chciała?

– Chciała wiedzieć, gdzie hodujemy towar i czy Tara może zrobić trochę miejsca w szklarni na coś nowego. Jakies lecznicze rośliny, bardzo wymagające pod względem wilgotności powietrza i takich tam dupereli. Tara naprawdę wciągnęła się we współpracę ze Svetą. Potrzebowała chwili, ale w końcu towar zaczął jej całkiem ładnie rosnać. Spróbowałem raz trochę. Nic a nic nie podziało.

Jezu. Lance Gressang miał w rękach serwilis i nawet o tym nie wiedział. Kiedy Alex pomyślała, jakich szkód mógłby narobić, gdyby zdał sobie sprawę,

jaką kontrolę nad innymi zapewnia mu narkotyki... Jednak ktoś wcześniej dotarł do serwilisu.

– Pomyślałeś, że to gówno – powiedziała Alex. – Że w ogóle nie kręci. Dlatego sprzedałeś to Blake’owi.

– Aha – odparł Gressang i wyszczerzył zęby.

– A co pomyślałeś, kiedy przyszedł po więcej?

Gressang wzruszył ramionami.

– Z radością przyjąłem jego pieniądze.

– Czy Kate Masters wiedziała, że sprzedałeś serwilis Blake’owi?

– Skąd, była strasznie sztywna. Powiedziała nam, że to trucizna i tak dalej, żeby niczego nie próbować. Wiedziałem, że wściekłyby się, gdyby się dowiedziała, ale Blake ciągle przychodził po więcej, a potem przyprowadził drugiego gościa, który chciał wiedzieć, czy możemy załatwić mu grzybki.

– Kogo? – zapytał Turner, ale Alex już znała odpowiedź.

Lance wiercił się na krześle. Robił wrażenie niespokojnego, prawie przestraszonego.

– To był Colin Khatri, nie? – powiedziała Alex. – Ze Zwoju i Klucza.

– Aha. On... – Lance odchylił się na krześle. Cała brawura z niego uszła. Patrzył na ścianę, jakby spodziewał się tam zobaczyć jakąś odpowiedź. Czas uciekał, ale Alex i Turner milczeli. – Nie miałem pojęcia, co zaczynamy.

– Powiedz mi – odezwał się Turner. – Powiedz mi, jak to się zaczęło.

– Tara cały czas siedziała w szklarni – opowiadał z wahaniem Lance. – Wracała do domu późno, zarywała noce, mieszając towar, łączyła grzybki sam nie wiem z czym. Dostała takie małe złote naczynko od Colina. Nazywała to swoim kociołkiem wiedzmy. Colinowi ciągle było mało tabletek, które robiła. Wciąż wracał po więcej.

– Tabletek? – spytał Turner. – Myślałem, że handlowaliście grzybkami.

– Tara destylowała to gówno. To nie był kwas. Nie wiem, co to było. – Lance potarł zdrową ręką tę złamaną, a Alex zauważyła, że dostał gęziej skórki. – Chcieliśmy wiedzieć, do czego Colin tego używa, ale odpowiadał bardzo wymijająco. Tara stwierdziła więc, że nie będzie już dla nich dłużej gotować. – Lance podniósł ręce, jakby prosił Alex. – Mówiłem jej. Powtarzałem, żeby zostawiła to w spokoju i po prostu dalej brała kasę od Colina.

– Ale to jej nie wystarczyło – domyśliła się Alex. „Prędzej umrę niż zwątpię”. Tara wyczuła, że w grę wchodzi coś dużego, i chciała być tego częścią. – I co się stało?

– Colin ustąpił. – Alex nie wiedziała, czy Lance był zadowolony z siebie, czy raczej żałował. – Pewnego weekendu on i jego kumple przyszedli do nas do mieszkania. Wszyscy wzięliśmy tabletki zrobione przez Tarę, a potem zawiązali

nam przepaski na oczach i zabrali nas do budynku, do jakiegoś pokoju. Był naprawdę ładny, z ażurowymi ścianami z żydowskimi gwiazdami i otwartym sklepieniem, przez które było widać niebo.

Alex była w tym pokoju w noc nieudanego rytuału Kluczników, kiedy próbowali dostać się do Budapesztu. Zaaranżowali to wszystko, wiedząc, że nic z tego nie wyjdzie bez tabletek Tary?

– Stanęliśmy w kręgu wokół okrągłego stołu i oni zaczęli śpiewać po... nie wiem, jakby po arabsku i stół po prostu... się otworzył.

– Jak przejście? – zapytał Turner.

Lance pokręcił głową.

– Nie, nie. Nie rozumiesz. Tam nie było dna. Tam w dole była noc, jakaś inna noc, a nad nami była nasza noc. Wszędzie były gwiazdy. – W jego głosie pobrzmiwało prawdziwe nabożne zdumienie. – Przeszliśmy tamtędy i znaleźliśmy się na szczycie góry. Widok ciągnął się na wiele mil. Powietrze było tak czyste, że widać było, jak horyzont się zakrzywia. To było niewiarygodne. Tyle że następnego dnia chorowałem jak pies. I Boże, jak myśmy śmierdzieli. Nie dało się tego smrodu zmyć przez wiele dni. – Lance westchnął i ciągnął: – I chyba od tego wszystko się zaczęło. Colin i jego ludzie chcieli, żeby Tara dalej dla nich gotowała. My chcieliśmy zaliczać kolejne jazdy. Tara chciała zobaczyć świat. Ja tylko chciałem się poopierdalać. Wybraliśmy się do Amazonii, Maroka, do tych gorących źródeł na Islandii. Wybraliśmy się do Nowego Orleanu na sylwestra. To było jak najlepsza gra wideo świata. – Lance zaśmiał się słabo. – Colin nie mógł się zorientować, jak Tara miesza to gówno. Zachowywał się tak, jakby uważał, że to zabawne, ale widziałem, że to go wkurwia.

Alex próbowała w myślach pogodzić tego Colina – chciwego, zazdrosnego, zaliczającego jazdy z dilerami – i Colina, który był ambitnym, doskonale zadbanym chłopcem, jakiego widziała w domu Belbalm. Co on sobie wyobrażał, że dokąd to go doprowadzi?

– Skąd Blake i Colin się znali? – zapytała Alex.

Nie mogła sobie wyobrazić, żeby razem spędzali czas.

Lance wzruszył ramionami.

– Z lacrosse'a albo czegoś takiego?

Lacrosse. Colin wydawał się tak niesportowym typem, że trudno było to sobie wyobrazić. Widział jeden z obrzydliwych filmików Blake'a i rozpoznał serwilis, tak jak Alex? A magia Kluczników zaczęła słabnąć. Węzeł pod ich grobowcem przestał działać i desperacko szukali innego sposobu otwierania portali. I Colin – bystry, przyjazny, zadbany Colin – nie zgłosił tego, co Blake

robił z serwilisem. Nie powstrzymał go przed krzywdzeniem dziewczyn. Zamiast tego skorzystał z okazji, żeby pomóc sobie i swojemu stowarzyszeniu.

– A co z Trippem Helmuthem? – zapytał Turner.

To było dziwne pytać o tego przyjaznego chłopca o różowych policzkach, ale Alex cieszyła się, że Turner nikogo na razie nie wyklucza.

– Kto to?

– Bogaty dzieciak – wyjaśniła Alex – z drużyny żeglarskiej, który zawsze wygląda jak opalony.

– To pasuje do mnóstwa chłopaków z Yale.

Alex wątpiła, żeby Lance odgrywał głupka, ale nie miała pewności.

– Poprzedniego dnia otworzyłeś portal w więzieniu – odezwał się Turner.

– Miałem przy sobie tabletkę, kiedy mnie zgarnęliście. – Lance uśmiechał się szeroko. – Coś tak małego można schować w wielu miejscach.

– Dlaczego nie uciekłeś? Nie przeniosłeś się na Kubę albo w tego typu miejsce?

– A co ja, kurwa, robiłbym na Kubie? Poza tym nie potrafię przenieść się nigdzie daleko bez stołu.

Miał na myśli grobowiec. Zwój i Klucz nadal potrzebował węzła. Same tabletki Tary nie wystarczały.

– Czekaj – odezwała się Alex – zmarnowałeś jedyną tabletkę tylko po to, żeby wrócić do mieszkania?

– Myślałem, że dorwę trochę kasy i spróbuję nawiać albo znajdę schowany tam towar, ale pieprzeni gliniarze dosłownie roznieśli mi chałupę.

– Dlaczego nie przeniosłeś się po prostu do grobowca, to znaczy stołu, a potem tam, dokąd byś zechciał?

Lance zamrugnął zaskoczony.

– W mordę. – Zgarbił się na krześle. – Kurwa.

Spojrzał na Alex. Miał niewiarygodnie żalowaną minę.

– Pomożesz mi, co? Będziesz mnie chronić?

Turner wstał.

– Nie wychylaj się, Gressang. Dopóki będziesz robił wrażenie, że bierzesz winę na siebie, powinieneś być tu bezpieczny.

Alex spodziewała się, że Lance zaprotestuje, że będzie chciał się targować, a może nawet zacznie im wygrażać. Jednak on tylko siedział, jego rosło ciało znieruchomiało jak kamienny idol pod jarzeniówkami. Nie odezwał się słowem, kiedy Turner zapukał do drzwi i przyszedł po nich strażnik. Nie podniósł wzroku, gdy wychodzili. Był w dżunglach Amazonii, badał targowiska Marrakeszu. Zobaczył tajemnice świata, ale tajemnice świata nie zainteresowały

się nim i ostatecznie Lance wylądował w więzieniu. Drzwi się zamknęły. Magiczne portale także. Lance Gressang nigdzie się już nie wybierał.

Turner i Alex jechali z powrotem na kampus w milczeniu. Ogrzewanie w samochodzie podkreślono z powodu siarczystego mrozu. Alex napisała do Dawes, żeby dać jej znać, że bezpiecznie wyszli z więzienia i że najpóźniej przed ósmą będzie w Black Elm. A potem zsunęła pantofle, które pożyczyła od Mercy. Były o pół numeru za małe i potwornie bolały ją nogi.

Dopiero kiedy zjechali z autostrady, Turner się odezwał.

– No i?

– Myślę, że mamy więcej motywów niż na początku.

– Nie zdejmuję karty Gressanga ze stołu. Przynajmniej dopóki nie zdołamy umieścić kogoś innego na miejscu przestępstwa. Jednak Colin Khatri i Kate Masters wyglądają o wiele ciekawiej. – Popukał ręką w rękawicze o kierownicę. – Ale to nie tylko Colin i Kate, nie? To oni wszyscy. Wszystkie dzieciaki w szatach i kapturach, udające czarodziejów.

– Oni nie udają.

Alex wiedziała jednak, co miał na myśli. Colin był ogniwem, które bezpośrednio wiązało Zwój i Klucz z Tarą, ale wszyscy Klucznicy ujawnili swoje rytuały przed ludźmi z zewnątrz i ukryli prawdę przed Lete. Jeśli Tara zaczęła stanowić zagrożenie dla stowarzyszenia, to ktoś z nich mógł postanowić, że ją uciszy. Nie wyglądało też raczej na to, żeby Kate Masters działała za plecami Manuskryptu. Alex przypomniała sobie, co Mike Awolowo powiedział na temat rzadkości serwilisu. Może wszyscy pomyśleli, że uda im się zrezygnować z dostawcy z Wielkiego Chinganu i zacząć samemu hodować roślinę. Robił wrażenie szczerze zaskoczony tym, że serwilis wy dostał się poza stowarzyszenie, ale może tylko udawał.

– Kogo widzisz jako winnego? – zapytał Tuner.

Alex starała się nie okazać zaskoczenia. Może Turner chciał po prostu obgadać z kimś sprawę, ale to miłe, że zapytał ją o zdanie. Żałowała, że nie ma lepszej odpowiedzi.

Poruszyła stopami.

– Każdy członek Manuskryptu mógł posłużyć się urokiem, żeby Tara pomyślała, że spotyka się z Lance'em. Poza tym jeśli Klucznicy polegali na Tarze i jej sekretnych grzybkach, to czemu chcieliby jej śmierci? Ich magia rozpadała się od co najmniej paru lat. Potrzebowali jej.

– Chyba że za bardzo naciskała – odparł Turner. – Nie mamy pojęcia, jak naprawdę wyglądała jej relacja z Colinem. Nie wiemy, co dokładnie było w tych jej tabletkach. Nie rozmawiamy tu już o magicznych grzybkach.

To prawda. Może Colinowi, chemikowi czarodziejowi nie podobało się, że dziewczyna z miasta zdołała go zawstydić. Poza tym Alex wątpiła, żeby komukolwiek ze Zwoju i Klucza podobało się, że wymuszono na nich szantażem podzielenie się swoimi rytuałami. Możliwe też, że ktoś złamał recepturę Tary i Kluczownicy uznali, że już jej nie potrzebują.

– Colin Khatri ma alibi na tę noc – zauważyła Alex. – Był u Belbalm.

– Chcesz mi powiedzieć, że nie mógł otworzyć wygodnego małego portalu, przeskoczyć nim i zabić Tary, zanim ktokolwiek coś zauważy?

Alex miała ochotę walnąć się w głowę.

– Cwane, Turner.

– Prawie jakbym znał się na swojej robocie.

Alex wiedziała, że powinna była sama na to wpaść. Może wpadłaby, gdyby nie uczepiła się nadziei, że Colin nie jest zamieszany w samo morderstwo, że jej idealne obiecane lato z Belbalm pozostanie nietknięte przez ohydę mordu na Tarze.

Turner skręcił w Chapel i zatrzymał się przed bramą do Vanderbilt. Alex zobaczyła, że na schodach przy wejściu kręci się North. Ile czasu czekał? Znalazł Tarę po drugiej stronie? Przeszedł ją dreszcz, gdy zdała sobie sprawę, że został zabity – albo zabił Daisy i potem siebie – raptem parę przecznic od miejsca, w którym siedziała.

– Jak byś zareagował, gdybym ci powiedziała, że przed moim akademikiem czeka duch? – zapytała Alex. – Dokładnie na dziedzińcu.

– Szczerze? Po tym wszystkim, co widziałem w ciągu ostatnich dni?

– Aha.

– Nadal bym uważał, że sobie ze mną pogrywasz.

– A gdybym ci powiedziała, że pracuje nad naszą sprawą?

Prawdziwy śmiech Turnera zupełnie nie przypominał fałszywego rehotu – to był głęboki śmiech z brzucha.

– Miewałem dziwniejszych informatorów.

Alex wepchnęła stopy w za ciasne pantofle i otworzyła drzwi. Wieczorne powietrze było tak zimne, że aż bolało, gdy się oddychało, a niebo nad nią było czarne. Czas nowiu. W ciągu najbliższych godzin powinna pojechać do Black Elm. Kiedy dziekan zaczął mówić o rytuale, Alex początkowo zakładała, że spróbują skontaktować się z Darlingtonem z Il Bastone, może posłużą się tygłem. Jednak Sadow naprawdę zamierzał sprowadzić go do domu.

– Potrzęsę jutro drzewkiem Kate Masters – powiedział Turner. – I Colina Khatniego. Zobaczymy, co spadnie.

– Dzięki za podwózkę. – Alex zamknęła drzwi i popatrzyła, jak przednie światła wozu Turnera znikają na Chanel Street. Zastanawiała się, czy jeszcze będzie miała okazję porozmawiać z detektywem.

Wszystko mogło się dziś wieczorem zmienić. Alex pragnęła powrotu Darlingtona, ale też się go bała. I nie potrafiła całkiem rozdzielić tych uczuć. Wiedziała, że kiedy Darlington powie dziekanowi Sandowowi, co ona zrobiła, kim naprawdę jest, to będzie jej koniec w Lete. Wiedziała to. Wiedziała też, że Darlington to największa szansa dla Tary na sprawiedliwość. On mówił językiem tego świata i rozumiał jego protokoły. Spostrzeże związki, które pozostali przegapiali.

Musiała przyznać, że brakowało jej jego nadętego, przemądrzałego tyłka. Jednak chodziło o coś więcej. Darlington mógł ją ochronić.

Ta myśl była zawstydzająca. Alex wiele przeszła. Alex grzechotnik powinna być twardsza. Miała jednak dość walki. Darlington nie pozwoliłby na żadną z tych rzeczy, które musiały obie z Dawes przejść. Mógł uważać, że nie ma miejsca dla Alex w Lete, ale wiedziała, że uznalby, iż zasługuje na ochronę ze strony Lete. Obiecał, że stanie między nią – między nimi wszystkim – a straszliwą ciemnością. To miało wartość.

North zachowywał dystans, krążąc w złotym świetle ulicznej lampy – morderca albo ofiara, ale tak czy inaczej jej partner. Na razie.

Skinęła do niego głową i na tym poprzestała. Dzisiaj wieczorem ma inne długi do spłacenia.

25

ZIMA

– Jak poszło? – spytała Mercy, kiedy tylko Alex weszła do ich wspólnego pokoju.

Siedziała ze skrzyżowanymi nogami na kanapie, otoczona książkami. Alex potrzebowała chwili, żeby sobie przypomnieć, iż miała być na rozmowie o pracę.

– Nie jestem pewna – odpowiedziała, idąc do sypialni, żeby się przebrać. – Może dobrze? Było ciekawie. A spodnie są za ciasne.

– Masz za duży tyłek.

– Mój tyłek jest akurat! – odkrzyknęła Alex.

Wciągnęła czarne dzinsy, ostatnią porządną koszulkę z długim rękawem i czarny sweter. Zastanawiała się, czy nie wymówić się nauką w czytelniku, a potem postanowiła uczesać się i nałożyć szminkę w kolorze ciemnej śliwki.

– Dokąd się wybierasz? – zaciekawiała się Mercy, kiedy zobaczyła Alex.

– Spotykam się z kimś na kawie.

– Chwileczkę – powiedziała Lauren, wystawiając głowę z sypialni. – Czy Alex Stern idzie na randkę?

– Najpierw Alex Stern miała rozmowę o pracę – odpowiedziała Mercy – a teraz idzie na randkę.

– Kim ty jesteś, Alex Stern?

„Niech mnie diabli, jeśli sama wiem”.

– Jeśli już skończyłyście, to kto mi zwędził kolczyki?

– Z którego college’u jest? – zapytała Lauren.

– Jest z miasta.

– Ooo! – Lauren położyła posrebrzane kółka na dłoni Alex. – Alex kocha robotnika. Ale ze szminką to przesadziłaś.

– Mnie się podoba – wtrąciła Mercy.

– Wygląda tak, jakby zamierzała pożreć jego serce.

Alex założyła kolczyki i odcisnęła usta na bibułce.

– W sam raz.

– Lutowy Klub prawie się kończy – powiedziała Mercy. Co wieczór w lutym jakaś grupa albo organizacja urządzała imprezę w ramach protestu przeciwko ponurej zimie. – Powinnyśmy pójść na ostatnią imprezę w piątek.

– Tak? – zapytała Alex, zastanawiając się, czy Mercy rzeczywiście jest na to gotowa.

– Aha. Nie mówię, że powinnyśmy zostać tam długo ani nic takiego... ale chcę iść. Może pożyczę od ciebie szminkę.

Alex uśmiechnęła się szeroko i wyjęła telefon, żeby zamówić samochód.

– W takim razie na pewno pójdziemy. – „O ile jutro nadal będę w Yale”. – Nie czekaj na mnie, mamó.

– Ty śliczna wywłoko – powiedziała Lauren.

– Uważaj na siebie – dodała Mercy.

– Jemu powiedz, żeby uważał – odparła Alex i zamknęła za sobą drzwi.

Kierowca podrzucił ją przed kamienne kolumny Black Elm. Długi podjazd pokonała piechotą. Garaż był otwarty i Alex widziała zaparkowanego w środku bordowego mercedesa Darlingtona.

Światła paliły się na parterze i na pierwszym piętrze. Alex zobaczyła Dawes przez kuchenne okno. Mieszała coś na kuchence. Kiedy tylko weszła do środka, poznała cytrynowy zapach. Avgolemono. Ulubiona zupa Darlingtona.

– Wcześniej przyjechałaś – rzuciła przez ramię Dawes. – Ładnie wyglądasz.

– Dzięki – odparła nagle zawstydzona Alex.

Czy kolczyki i szminka były jej wersją cytrynowej zupy?

Alex zdjęła płaszcz i powiesiła go na wieszaku obok drzwi. Nie wiedziała, czego spodziewać się po tym wieczorze, ale chciała przeszukać gabinet Darlingtona i jego sypialnię, zanim pozostali przyjadą. Cieszyła się, że Dawes pozapalała światła. Ostatnim razem kiedy tu była, samotność tego miejsca aż ją przytłoczyła.

Najpierw sprawdziła gabinet – pokój z boazerią i regałami na książki stojącymi tuż obok ładnej przeszkolonej werandy, w której pisała raport na temat śmierci Tary. Rzeczy na biurku leżały względnie uporządkowane, ale szafki były pełne dokumentów dotyczących tylko Black Elm. W górnej szufladzie Alex natrafiła na staroświecki kalendarz i zgniecioną paczkę Chesterfieldów. Nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby Darlington zaciągał się tanimi papierosami.

Poszukiwania w jego mnisiej celi na drugim piętrze były równie bezowocne. Cosmo wszedł za nią i patrzył krytycznie, gdy otwierała szuflady i przeglądała stosy książek.

– Tak, naruszam jego prywatność, Cosmo – powiedziała – ale działam w dobrej wierze.

Najwyraźniej tyle kotu wystarczyło. Zaczął plątać się między nogami, przyciskając głowę do jej wysokich wojskowych butów, i głośno mrużyć. Podrapała go za uszami, przeglądając książki ze stosu najbliżej łóżka Darlingtona – wszystkie wyglądały na poświęcone przemysłowi w Nowej Anglii. Zatrzymała się przy czymś, co wyglądało jak stary katalog z powozami o pożółkłych i naderwanych przy brzegach kartkach. Był zamknięty w plastikowej torbie, żeby chronić go przed wilgocią. Rodzina Northa produkowała powozy.

Alex ostrożnie zdjęła torebkę. Przy bliższej inspekcji okazało się, że to coś w rodzaju pisma dla wytwórców powozów w New Haven i innych biznesów, które ich wspierały. Były tam odręczne rysunki kół, zamków do drzwi i latarni, a na trzeciej stronie zamieszczono wydrukowane śmiałą, dużą czcionką ogłoszenie o budowie nowej fabryki firmy North i Synowie, przy której zostanie także otwarty salon wystawowy dla potencjalnych nabywców. Na marginesie charakterystycznym pismem Darlingtona napisano: „Pierwsza?”.

– Tylko tyle? Daj spokój. Co za „pierwsza”?

Alex usłyszała chrzęst opon na żwirze i wyjrzała na podjazd. Zobaczyła przednie światła dwóch samochodów: nieco zdezelowanego audi i tuż za nim błyszczącego niebieskiego land rovera.

Audi wjechało do garażu, żeby zaparkować obok mercedesa Darlingtona, i chwilę potem wyszedł z niego dziekan Sandow i kobieta, która musiała być Michelle Alameddine. Alex nie bardzo wiedziała, czego się spodziewała, ale dziewczyna wyglądała zupełnie zwyczajnie. Gęste splecione loki wokół ramion, kanciasta twarz z elegancko wyregulowanymi brwiami. Nosila dobrze skrojony czarny płaszcz i czarne kozaki do kolan. Wyglądała bardzo nowojorsko, chociaż Alex nigdy nie była w Nowym Jorku.

Alex schowała katalog powozów z powrotem do torebki i pośpiesznie zeszła na dół. Sandow i Michelle już wieszali płaszcze w przedsionku, a za nimi nadchodziła starsza kobieta i niezdarly chłopak z irokezem i wielkim plecakiem przewieszonym przez ramię. Alex potrzebowała długiej minuty, żeby rozpoznać ich bez długich białych szat, ale w końcu namierzyła ich w pamięci: Josh Zelinski, przewodniczący delegacji Aurelian, i absolwentka, która prowadziła rytuał zeszłej jesieni z powieściopisarzem – rytuał, który prawie się nie udał. Amelia.

Darlington przekonał członków stowarzyszenia Aurelian, że wina leży po ich stronie, a nie Alex. I tego samego wieczoru Dawes, Alex i Darlington strasznie się upili drogim czerwonym winem i stłukli całą szafkę niewinnych kryształów, wraz z jarmarcznym porcelanowym kompletem podgrzewaczy, który pewnie zasługiwał na śmierć. Pamiętała, jak stała w pomieszczeniu pełnym potłuczonego szkła i odłamków naczyń stołowych i czuła się tak dobrze, jak nie czuła się od lat. Darlington przyjrzał się zniszczeniom, nalał sobie wina i niewyraźnie wymamrotał:

– W tym kryje się jakaś metafora, Stern. Ogarnę ją, gdy wytrzeźwieję.

Teraz wszyscy zostali sobie przedstawieni i Sandow otworzył butelkę wina. Dawes wyłożyła talerz z serem i kawałkami warzyw. To wyglądało jak wstęp do uroczystej kolacji.

– Zatem – odezwała się Michelle, wrzucając plasterk ogórka do ust – Danny zniknął?

– Możliwe, że nie żyje – powiedziała cicho Dawes.

– Wątpię – odparła Michelle – bo wtedy nie przestawałby jej straszyć. – Wskazała kciukiem Alex. – Byłaś z nim, prawda?

Alex skinęła głową, czując, jak żołądek jej się zaciska.

– I ty jesteś tą magiczną dziewczyną, która widzi Szarych. Kręcił się w pobliżu?

– Nie – odpowiedziała. – I North też nie widział go po drugiej stronie. Darlington gdzieś żył i dzisiaj wróci do domu.

– Co za nadzwyczajny dar – powiedziała Amelia. Miała gęste brązowe włosy z miodowymi pasemkami, które sięgały tuż za podbródek, i nosiła granatowy bliźniak oraz sprane dżinsy. – Lete ma szczęście, że cię ma.

– Tak – zgodził się uprzejmie Sandow. – Mamy szczęście.

Josh Zelinski pokręcił głową.

– Szaleństwo. Oni po prostu latają wokół? Jest tu w tej chwili jakiś Szary?

Alex wzięła łyk wina.

– Aha. Jeden właśnie trzyma rękę na twoim tyłku.

Zelinski gwałtownie się obrócił.

Sadow miał zboląłą minę.

Michelle jednak się roześmiała.

– Darlington pewnie posikał się, gdy dowiedział się, co potrafisz.

Sadow odchrząknął.

– Dziękuję, że przyjechaliście – powiedział do wszystkich. – To trudna sytuacja i wiem, że wszyscy jesteście zajęci.

„To nie jest, kurwa, zebranie zarządu! – miała ochotę krzyknąć Alex. – On zniknął!”.

Michelle dołała wina do kieliszków.

– Nie mogę powiedzieć, że zdziwiłam się, gdy dostałam wiadomość.

– Tak?

– Mam wrażenie, że przez większą część pierwszego roku musiałam pilnować, żeby Darlington nie zabił się ani niczego nie podpalił. Gdziekolwiek jest, pewnie cieszy się, że wreszcie zrobiło się ciekawie.

Sadow się zaśmiał.

– Tak obstawiam.

Alex się zirytowała. Nie podobało jej się, że Sadow i Michelle razem podśmiewają się z Darlingtona. Zasługiwał na coś więcej.

– Lubi szukać sensacji? – zapytała Amelia, która sama robiła wrażenie nieco podekscytowanej.

– Nie całkiem – odpowiedziała Michelle. – Po prostu zawsze jest gotowy rzucić się do działania. Wyobrażał sobie, że jest rycerzem, chłopcem, który stoi w drzwiach do podziemnego świata z mieczem w ręku.

Alex kpiała za każdym razem, gdy Darlington opisywał w ten sposób siebie albo Lete. Teraz jednak nie brzmiało to tak głupio – zwłaszcza kiedy myślała o Tarze, narkotykach takich jak serwilis i chłopcach takich jak Blake. Domy Zasłony miały zbyt wielką moc, a zasady, które ustanowiono, tak naprawdę miały kontrolować dostęp do tej mocy, a nie rozmiary szkód, jakich może narobić.

– Czy nie po to właśnie istniejemy? – odezwała się Alex, zanim zdążyła ugryźć się w język. – „Jesteśmy pasterzami” i tak dalej?

Michelle znowu się roześmiała.

– Nie mów, że ciebie też przekabacił. – Wzięła Sadowa pod rękę i wyszli z kuchni, a za nimi Zelinski i Amelia. – Żałuję, że nie mogłam przyjechać wcześniej i obejrzeć domu w świetle dziennym. Włożył w to miejsce wiele pracy.

Dawes musnęła dłoń Alex, co ją kompletnie zaskoczyło. To był drobny gest, ale go odwzajemniła. Darlington miał rację co do Domu Lete, sensu jego istnienia. Nie byli po prostu ochroną supermarketu pilnującą, żeby niesforne dzieciaki zachowywały się przyzwoicie. Mieli być detektywami, żołnierzami. Michelle i Sadow nie rozumieli tego.

„A ja?” – zastanawiała się Alex. Jak to się stało, że z osoby, która próbuje tylko przetrwać, zamieniła się w wojownika w świętej wojnie? I co się stanie, kiedy wyciągną Darlingtona z powrotem do tego świata z miejsca, w którym czekał bez końca?

Może praca nad sprawą Tary Hutchins zapewni jej parę punktów, ale wątpiła, żeby po prostu powiedział: „To się nazywa przejawić inicjatywę. Wszystko

zostaje ci wybaczone”. Mogłaby mu powiedzieć, że żałuje, że nie wiedziała, co Hellie zamierzała tamtego ranka w Strefie Zero. Mogłaby mu powiedzieć wszystko, co konieczne, i trzymać się tego życia obiema rękami.

– Jak myślicie, gdzie on jest? – zapytała Michelle, gdy szli schodami na pierwsze piętro.

– Nie wiemy. Pomyślałem, że może rzucimy czar tropiący. – Sandow robił bez mała wrażenie zadowolonego z siebie.

Alex czasem zapomniała, że dziekan należał kiedyś do Lete i był w tym całkiem dobry.

– Nieźle! Czego użyjemy jako jego tropu?

– Umowy na Black Elm.

– Została przypieczętowana przez Aurelian?

– Nic mi o tym nie wiadomo – odpowiedziała Amelia – ale możemy aktywować język, żeby przywołać sygnatariuszy.

– Z dowolnego miejsca? – zapytała Michelle.

– Z dowolnego – odparł zadowolony z siebie Zelinski.

Zaczęli rozwlekle opisywać działanie kontraktu i tłumaczyć, że przywołanie powinno być skuteczne, o ile kontrakt podpisano w dobrej wierze i obie strony czuły się związane emocjonalnie z umową.

Alex i Dawes spojrzały po sobie. Tego jednego były pewne: Darlington kochał Black Elm.

Sala balowa na piętrze została oświetlona latarenkami ustawionymi w czterech kierunkach świata. Maty i sprzęty do ćwiczeń Darlingtona odsunięto na bok.

– To dobra przestrzeń – powiedział Zelinski, otwierając plecak.

Razem z Amelią wyjęli cztery przedmioty owinięte watą.

– Nie potrzebujemy nikogo do otwarcia portalu? – szepnęła Alex do Dawes, patrząc, jak Josh odwija z waty wielki srebrny dzwonek.

– Jeśli Sandow ma rację i Darlington po prostu utknął między światami albo w jakiejś kieszonkowej rzeczywistości, to aktywowanie umowy powinno przyciągnąć go do nas.

– A jeśli nie?

– To będziemy musieli podczas następnego nowiu zaangażować Zwój i Klucz.

A jeśli to Klucznicy stworzyli portal w piwnicy Rosenfeld Hall? A jeżeli chcieli, żeby Darlington nie wrócił?

– Alex! – zawołał Sandow – Chodź, pomóż mi, proszę, przy znakach.

Alex dziwnie się czuła, rysując znaki ochronne wokół kręgu, jakby jakimś sposobem cofnęła się w czasie i stała się Dantem Sandowa.

– Zostawimy otwartą północną bramę – zapowiedział. – Północ geograficzna, żeby skierować Darlingtona do domu. Musisz sama patrzeć, czy nie pojawią się Szarzy. Napiłbym się eliksiru Hirama, ale... jestem w wieku, kiedy ryzyko jest za duże. – Robił wrażenie zażenowanego.

– Dam sobie radę – zapewniła go Alex. – Czy rytuał będzie wymagał krwi?

Chciała przynajmniej wiedzieć, czy powinna szykować się na zalew Szarych.

– Nie – odpowiedział Sandow. – Żadnej krwi. W dodatku Darlington umieścił na granicach Black Elm ochronne zaklęcia. Wiesz jednak, że silne pragnienie może przyciągnąć Szarych, a właśnie silnego pragnienia potrzebujemy, żeby ściągnąć go z powrotem.

Alex skinęła głową i zajęła pozycję na północy, Sandow na południu. Dawes i Michelle Alameddine stanęły naprzeciwko siebie na wschodzie i zachodzie. Oświetlona samymi świecami sala balowa wydawała się znacznie przestronniejsza. To było duże, zimne pomieszczenie wybudowane po to, żeby imponować ludziom, którzy dawno temu przeminęli.

Amelia i Josh stanęli pośrodku kręgu z plikiem dokumentów – aktem notarialnym na Black Elm – ale nie będą mieli niczego do zrobienia, jeśli czar Sandowa nie zadziała.

– Jesteśmy gotowi? – zapytał dziekan.

Kiedy nikt nie odpowiedział, Sandow zaczął mrużyć, najpierw po angielsku, potem po hiszpańsku, a później w podobnym do szeptu języku, który Alex rozpoznała jako holenderski. Czy potem mówił po portugalsku? Później rozległ się mandaryński. Zdała sobie sprawę, że mówi w językach, które znał Darlington.

Nie była pewna, czy to jej wyobraźnia, czy naprawdę usłyszała tupot psich łap i dyszenie. Czar tropiący. Pomyślała o ogarach Lete, zaskakująco pięknych szakalach, które Darlington napuścił na nią pierwszego dnia w Il Bastone. „Wybaczam ci – pomyślała – tylko wróć do domu”.

Nagle usłyszała wycie, a potem odległe szczekanie.

Świece buchnęły ogniem, a płomienie były żywo zielone.

– Znaleźliśmy go! – wykrzyknął Sandow drżącym głosem. Robił wrażenie prawie przestraszonego. – Aktywujcie akt notarialny!

Amelia przytknęła świecę do dokumentów leżących pośrodku kręgu. Zapłonęło zielone światło i otoczyło stos. Rzuciła coś do ognia, który buchnął iskrami jak fajerwerki.

„Żelazo” – zdała sobie sprawę Alex. Widziała kiedyś podobny eksperyment na zajęciach w szkole.

Słowa unosiły się w zielonym płomieniu nad dokumentem, kiedy żelazo iskrzyło.

*STRONY POSTANAWIAJĄ
CO NASTĘPUJE
WSPOMNIANY CEDENT
ŚWIADCZENIE
NINIEJSZYM
NINIEJSZYM*

Słowa zawinęły się, unosząc się w ogniu i znikając jak dym.

Płomienie świec strzeliły wyżej, a potem przygasły. Ogień pokrywający akt notarialny nagle się cofnął. Ogarnęła ich ciemność.

A potem posiadłość Black Elm ożyła, wszystkie kinkiety na raz zapłonęły, buchnęła muzyka z głośników w kącie, w korytarzach poniosły się echem odgłosy wieczornych wiadomości, kiedy gdzieś w domu włączył się telewizor.

– Kto, u diabła, zostawił wszystkie światła włączone? – zapytał starszy mężczyzna stojący poza kręgiem. Był przerażająco chudy, miał ledwie kosmyki włosów na głowie, szlafrok rozchyłał mu się, ukazując wychudzoną pierś i skurczone genitalia. Z ust zwisał mu papieros.

Nie był ostry i wyraźny jak zwykle ukazujący się Alex Szarzy. Wyglądał... cóż, szaro. Jakby widziała go przez warstwy mlecznego szyfonu. Przez Zastłonę.

Wiedziała, że patrzy na Daniela Tabora Arlingtona III. Chwilę potem zniknął.

– To działa! – krzyknął Josh.

– Posłuchcie się dzwonekami! – zawołała Amelia. – Przywołajcie go do domu!

Alex uniosła srebrny dzwonek leżący u jej stóp i zobaczyła, że pozostali robią to samo. Zadzwonili i słodki dźwięk przetoczył się nad kręgiem, nad odgłosami muzyki i chaosem panującym w domu.

Okna otworzyły się na oścież. Alex usłyszała pisk opon i głośny huk z dołu. Widziała wokół siebie tańczących ludzi; młody człowiek z sumiastymi wąsami, który bardzo przypominał Darlingtona, przepłynął obok niej ubrany we frak, który wyglądał jak rekwizyt z muzeum.

– Cisza! – krzyknął Sandow. – Coś jest nie tak! Przestańcie dzwonić!

Alex złapała serce dzwonu, próbując go uciszyć, a pozostali zrobili to samo. Dzwonki jednak nie przestały dźwięczeć. Nadal czuła wibracje dzwonka w ręce, jakby w niego uderzano, słyszała, że dzwonienie jest coraz głośniejsze.

Na twarz wypłynął jej rumieniec. Chwilę temu w sali było lodowato zimno, a teraz pociła się w ubraniu. Powietrze wypełnił smród siarki. Usłyszała jęk dudniący spod podłogi – głęboki, basowy odgłos. Przypomniała sobie krokodyle nawołujące się z brzegów rzeki na pograniczu. Cokolwiek tam było, cokolwiek weszło do sali, było większe. O wiele, wiele większe. I robiło wrażenie głodnego.

Dzwony wrzeszczały. Brzmiały jak wściekły tłum, jak horda o krok od przemocy. Wibracje dzwonka sprawiały, że dłonie jej dygotały.

Bum! Budynek się zatrzęsł.

Bum! Amelia straciła równowagę, złapała się Zelinskiego, żeby nie upaść, dzwonek wypadł jej z ręki, wciąż dzwoniąc i dzwoniąc.

Bum! To ten sam dźwięk, który Alex słyszała podczas wieszczenia, odgłos czegoś, co próbuje przebić się przez krąg, wedrzeć się do ich świata. Tamtej nocy Szarzy w sali operacyjnej przeniknęli Zastonę i prawie złamali poręcz. Myślała, że chcą zniszczyć ochronny krąg, ale może chcieli do niego wejść? Może bali się tego, co nadchodziło? Niski, dudniący jęk znowu zatrzęsł domem. To brzmiało tak, jakby szczęki czegoś starodawnego się otwierały.

Alex szarpnął odruch wymiotny; smród siarki był tak mocny, że prawie czuła jej smak jak zgniliznę w ustach.

„Morderstwo”. Głośny i twardy głos ponad dzwonami – głos Darlingtona, ale głębszy, warczący. Rozgniewany. „Morderstwo” – powiedział.

Do diabła, to tyle, jeśli idzie o zachowanie przez niego milczenia.

I wtedy go zobaczyła – unosił się nad kręgiem, jakby nie było tam sufitu ani drugiego piętra, jakby w ogóle nie było tam domu. Potwór. Nie dało się tego określić innym słowem. Rogaty, z wielkimi zębami, tak zwalisty, że jego potężne ciało przesłoniło czarne niebo. Dzik. Baran. Wspięty. A jego ciało składało się z segmentów jak u skorpiona. Umysł Alex pograżył się w zgrozie i nie potrafiła pojąć tego, co się dzieje.

Zdała sobie sprawę, że krzyczy, że wszyscy krzyczą. Ściany wydawały się płonąć.

Czuła żar na policzkach. Przypalał jej też włoski na rękach.

Sadow wszedł do środka kręgu. Rzucił dzwonek i ryknął:

– *Lapidea est lingua vestra!* – Rozłożył ręce szeroko, jakby dyrygował orkiestrą, a jego twarz była złota w świetle płomieni. Wyglądał młodo. Wyglądał obco. – *Silentium domus vacuae audito! Nemo gratus accipietur!*

Okna sali balowej wpadły do środka, posypało się szkło. Alex osunęła się na kolana, zasłaniając głowę rękami.

Czekała z bijącym w piersi sercem. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że dzwony przestały bić.

Cisza była miękka dla jej uszu. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że świece znowu się palą, zalewając wszystko łagodnym blaskiem. Jakby nic się nie stało, jakby to wszystko było wielką iluzją – jeśli pominąć potłuczone szklane gomółki z okien na podłodze.

Amelia i Josh klęczeli i płakali. Dawes leżała na podłodze z rękami przyciśniętymi do ust. Michelle Alameddine krążyła w tę i z powrotem, mrużąc:

– Jasny gwint. Jasny gwint. Jasny gwint.

Wiatr wpadał przez powybijane okna, zapach nocnego powietrza był chłodny i słodki po ciężkim smrodzie siarki. Sandow stał i gapił się w miejsce, w którym bestia się pojawiła. Koszulę miał przesiąkniętą potem.

Alex zmusiła się do wstania i podeszła do Dawes. Jej buty zgrzytały na szkle.

– Dawes? – powiedziała, kucając i kładąc rękę na jej ramieniu. – Pammie?

Dawes płakała, łzy spływały powoli i bezgłośnie po jej policzkach.

– Nie ma go – powiedziała. – Naprawdę przepadł.

– Ale słyszałam go – odpowiedziała Alex. Albo coś, co brzmiało bardzo podobnie do niego.

– Nie rozumiesz – mówiła Dawes. – To coś...

– To była piekielna bestia – odezwała się Michelle. – Przemawiała jego głosem. To znaczy, że go pożarła. Ktoś wpuścił ją do naszego świata. Zostawił ją jak jaskinię, do której Darlington wszedł.

– Kto? – zapytała Dawes, ocierając łzy z twarzy. – Jak?

Sandow ją objął.

– Nie wiem, ale się dowiemy.

– Skoro nie żyje, to powinien znaleźć się po drugiej stronie – odezwała się Alex. – A nie ma go tam. On...

– Przepadł – weszła jej w słowo Michelle. Mówiła szorstko. – Nie ma go po drugiej stronie. Nie ma go za Zasłoną. Został pożarty razem z duszą i całą resztą.

„To nie portal”. To właśnie powiedział Darlington tamtej nocy w piwnicy Rosenfeld Hall. I teraz już wiedziała, co chciał powiedzieć, co próbował powiedzieć, zanim to coś go zabrało. „To nie portal. To paszcza”.

Darlington nie zniknął. Został pożarty.

– Nikt nie może tego przetrwać – powiedział chrapliwym głosem Sandow. Zdjął okulary i otarł oczy. – Żadna dusza tego nie przetrwa. Przywołaliśmy *poltergeista*, echo. To wszystko.

– Przepadł – powtórzyła Dawes.

Tym razem Alex nie zaprzeczała.

Zebrali dzwonki Aurelian, a dziekan Sandow powiedział, że musi zadzwonić, żeby jutro rano ktoś zabił deskami okna do sali balowej. Zaczynał padać śnieg, ale teraz było za późno, żeby coś z tym zrobić. Kto został, żeby zająć się domem? Strażnik Black Elm, obrońca, nigdy nie wróci.

Wyszli powoli z salonu. Kiedy weszli do kuchni, Dawes jeszcze bardziej się rozpląkała. To wszystko wyglądało nieznośnie głupio i naiwnie: napełnione do połowy kieliszki wina, schludnie ułożone warzywa, garnek zupy na kuchence.

Na zewnątrz zobaczyli, że mercedes Darlingtona uderzył w land rovera Amelii. To był huk, który Alex usłyszała. Samochód Darlingtona został opętany przez echo, które ściągnęli do tego świata.

Sadow westchnął.

- Wezwę pomoc drogową i poczekam z tobą, Amelio. Michelle...
- Mogę pojechać taksówką na dworzec.
- Przepraszam...
- Nie szkodzi.

Robiła wrażenie rozkojarzonej, skonsternowanej, jakby nie mogła czegoś się doliczyć, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, że przez wszystkie lata w Lete kroczyła ścieżką ramię w ramię ze śmiercią.

– Alex, możesz dopilnować, żeby Dawes trafiła do domu? – zapytał Sadow.

Dawes otarła rękawem zapłakaną twarz.

– Nie chcę wracać do domu.

– To do Il Bastone. Dołączę do was najszybciej, jak się da. My... – Urwał. – Nie wiem dokładnie, co teraz zrobimy.

– Jasne – odpowiedziała Alex.

Wezwała samochód przez telefon, a potem objęła Dawes i poprowadziła ją podjazdem za Michelle.

Stały w milczeniu obok kamiennych kolumn, za nimi wznosił się dom Black Elm, wokół nich zbierał się śnieg.

Pierwszy przyjechał samochód Michelle. Nie zaproponowała, że pojedą razem, ale odwróciła się do Alex, zanim wsiadła.

– Pracuję przy darowiznach i nabytkach w Bibliotece Butlera na Columbii – powiedziała. – Gdybyś mnie potrzebowała.

Zanim Alex zdążyła odpowiedzieć, Michelle wsiadła do samochodu. Wóz zniknął powoli w głębi ulicy, kierowca uważał z powodu śniegu. Tylne światła gasły jak iskierki.

Alex nie przestała obejmować Dawes, bojąc się, że ta się odsunie. Do tej chwili, do tej nocy wszystko było możliwe i Alex naprawdę wierzyła, że jakimś

cudem, ostatecznie – jeśli nie podczas tego nowiu, to przy następnym – Darlington wróci. Teraz czar nadziei prysł i żadna ilość magii nie mogła tego naprawić.

Złoty chłopiec Lete przepadł.

26

ZIMA

– Zostaniesz, prawda? – zapytała Dawes, gdy weszły do przedpokoju w Il Bastone.

Dom westchnął wokół nich, jakby wyczuwał ich smutek. Czy wiedział? Czy od początku wiedział, że Darlington nigdy nie wróci?

– Oczywiście. – Była wdzięczna, że Dawes życzy sobie jej obecności.

Nie chciała zostać sama ani silić się na wesołe miny w obecności swoich współlokatorek. Nie była w stanie udawać w tej chwili. Nie potrafiła też szukać okruchów nadziei.

– Może coś źle zrobiliśmy. Może Sandow coś schrzanił.

Dawes włączyła światła.

– Miał prawie trzy miesiące na zaplanowanie tego. To był dobry rytuał.

– Może celowo go schrzanił. Może nie chce, żeby Darlington wrócił. – Wiedziała jednak, że chwytła się resztek nadziei, ale tylko tyle jej zostało. – Jeśli jest zamieszany w tuszowanie morderstwa Tary, to myślisz, że naprawdę chciałby, żeby taki bojownik za sprawę jak Darlington kręcił się zamiast mnie?

– Ale ty też jesteś bojowniczką.

– To w takim razie bardziej kompetentny bojownik. Co powiedział Sandow, żeby przerwać rytuał?

– „Wasze języki są z kamienia”. W ten sposób uciszył dzwonki.

– A reszta?

Dawes zdjęła szalik i powiesiła kurtkę na wieszaku.

Stała plecami do Alex, gdy powiedziała:

– „Usłysz ciszę pustego domu. Nikt nie będzie tu mile widziany”.

Myśl, że Darlington został na zawsze przegnany z Black Elm, była potworna. Alex potarła zmęczone oczy.

– W noc wieszczenia Czaszki i Kości słyszałam kogoś, coś, jak dobijało się do drzwi, żeby dostać się do środka dokładnie w chwili, kiedy Tara została zamordowana. To brzmiało tak jak dzisiaj. Może to był Darlington. Może wiedział, co się dzieje z Tarą, i próbował mnie ostrzec. Jeśli...

Dawes już kręciła głową, a luźny kok rozpadł jej się na karku.

– Słyszałaś, co powiedzieli. To... to coś go pożarło. – Ramiona jej się trzęsły i Alex zdała sobie sprawę, że Dawes znowu płacze, ściskając kurtkę, jak gdyby bez tego oparcia mogła się przewrócić. – Przepadł.

Te słowa brzmiały jak refren, jak pieśń, którą będą śpiewać, aż żałoba minie. Alex dotknęła jej ręki.

– Dawes...

Ona jednak wyprostowała się, pociągnęła głośno nosem, otarła łzy z oczu.

– Sandow jednak się myli. Teoretycznie można przetrwać pożarcie przez piekielną bestię. Jeśli nie jesteś człowiekiem.

– Kto może przetrwać pożarcie?

– Demon.

„Zdecydowanie za mało nam płacą, żebyśmy się nimi zajmowali”.

Dawes wypuściła powietrze z drzeniem i zebrała włosy, żeby znowu spaść je z tyłu.

– Myślisz, że Sandow napije się kawy, kiedy przyjdzie? – zapytała, podnosząc słuchawki z dywanu w salonie. – Chcę chwilę popracować.

– Jak ci idzie?

– Dysertacja? – Dawes zamrugała, a potem spojrzała na słuchawki w ręce, jakby się zastanawiała, skąd się tam wzięły. – Nie mam pojęcia.

– Zamówię pizzę – zaproponowała Alex. – I pierwsza idę pod prysznic. Obie śmierdzimy.

– Otworzę butelkę wina.

Alex była w połowie schodów, kiedy usłyszała pukanie do drzwi. Przez chwilę myślała, że to dziekan Sandow. Ale czemu by pukał? W ciągu sześciu miesięcy w Lete nikt nigdy nie pukał do domu przy Orange Street.

– Dawes... – zaczęła.

– Wpuść mnie. – Za drzwiami rozległ się głośny i gniewny głos mężczyzny.

Alex zbiegła po schodach, zanim zdała sobie sprawę, dokąd ją nogi niosą. Przymus.

– Dawes, nie! – krzyknęła, ale tamta już otwierała drzwi.

Zamek szczęknął i drzwi otworzyły się z hukiem do środka. Dawes poleciała na poręcz, słuchawki wypadły jej z ręki. Alex usłyszała głośny trzask, kiedy głowa dziewczyny uderzyła o drewno.

Alex nie zatrzymała się, żeby się namyślić. Porwała słuchawki Dawes i założyła na uszy, dociskając je mocno rękami, i wbiegła po schodach. Obejrzała się raz i zobaczyła Blake'a Keely'ego. Pięknego Blake'a. Ramiona jego wełnianego płaszcza były przyprószone śniegiem, jakby wyszedł prosto ze stron katalogu. Przeszedł nad ciałem Dawes, nie odrywając oczu od Alex.

„Dawes nic nie będzie – powiedziała sobie. – Nie zdołasz jej pomóc, jeśli stracisz panowanie nad sobą”.

Blake posługiwał się Gwiazdną Mocą albo czymś podobnym. Alex czuła wpływ jego głosu nawet przez drzwi. Tylko dlatego Dawes mu otworzyła.

Alex pobiegła w stronę zbrojowni, wybierając numer Turnera na telefonie. Uderzyła w stary panel na ścianie przy bibliotece, który uruchamiał nagłośnienie, w nadziei, że chociaż raz zadziała. Może dom walczył po jej stronie, bo muzyka rozbrzmiała głośniejsz i wyraźniej niż kiedykolwiek dotąd. Przy Darlingtonie to zwykle był Purcell albo Prokofiew. Zamiast tego teraz to była ostatnia rzecz, jakiej słuchała Dawes – gdyby Alex nie była tak przerażona, roześmiałyby się, słysząc zawodzenie Morrissey'a i brzęk gitar, które wypełniły powietrze.

Słuchawki tłumiliły słowa, Alex słyszała własny oddech w uszach. Wpadła do zbrojowni i zaczęła otwierać szuflady. Dawes leżała i krwawiła. Turner był daleko. A Alex nie chciała myśleć, co Blake może jej zrobić, do czego może ją zmusić. Czy to będzie zemsta za to, co mu zrobiła? Czy w jakiś sposób zorientował się, kim jest Alex, i śledząc ją, jakoś dotarł do tego miejsca? Czy to Tara doprowadziła go do jej drzwi? Alex była tak skupiona na stowarzyszeniach, że nie spostrzegła innego podejrzanego tuż pod nosem – ładnego chłopca przegniłego do szpiku kości, który nie lubił słowa „nie”.

Potrzebowała broni, ale nic w zbrojowni nie zostało stworzone do walki z żywym ludzkim ciałem nabuzowanym nadludzką charyzmą.

Alex obejrzała się przez ramię. Blake był tuż za nią. Coś mówił, ale na szczęście nie słyszała go z powodu muzyki. Sięgała do szuflady i brała wszystko, co ciężkie i czym mogła rzucić. Nie była nawet pewna, jak bezcenne są rzeczy, którymi ciskała. Astrolabium. Błyszczący przycisk do papieru z zamrażającym w środku morzem.

Blake zbijał te rzeczy na bok i w końcu złapał ją za kark. Był silny dzięki lacrosse'owi i własnej próżności. Zerwał jej słuchawki z uszu. Alex krzyknęła najgłośniejsz, jak mogła i rozorała mu twarz paznokciami. Blake wrzasnął, a ona uciekła korytarzem. Walczyła już z potworami. I zwyciężyła. Ale nigdy nie była sama. Musiała się wydostać, znaleźć się poza magicznymi osłonami, żeby wciągnąć siłę Northa albo znaleźć innego Szarego, który jej pomoże.

Dom wibrował i brzęczał niepokojem. Tu jest obcy. Tu jest zabójca. Światła migotały, szum w głośnikach narastał.

– Uspokój się – powiedziała mu Alex, biegnąc korytarzem i z powrotem do schodów. – Jesteś za stary na takie bzdury.

Jednak dom nadal trzeszczał i brzęczał.

Blake złapał ją od tyłu i obalił. Grzmotnęła o podłogę.

– Nie ruszaj się – zanucił jej do ucha.

Alex poczuła, że jej kończyny nieruchomieją. Z przyjemnością zamarła, naprawdę chętnie to zrobiła. Będzie całkowicie nieruchoma, jak posąg.

– Dawes! – krzyknęła.

– Bądź cicho – powiedział Blake.

Alex zacisnęła usta. Cieszyła się, że może coś dla niego zrobić. Zasługiwał na to. Zasługiwał na wszystko.

Blake obrócił ją na plecy i stanął nad nią. Wydawał się niemożliwie wysoki, jego złota zmierzwiona głowa znalazła się na tle kasetonowego sufitu.

– Zniszczyłaś mi życie – powiedział. Uniósł nogę i oparł ją na jej piersi. – Zniszczyłaś mnie.

Jakaś część jej umysłu krzyczała: „Uciekaj! Odepchnij go! Zrób coś!”. Niestety to był odległy głos, zagubiony wśród radosnego pomruku posłuszeństwa. Była szczęśliwa, tak się cieszyła, że może służyć.

Blake nacisnął mocniej i Alex poczuła, że żebra jej się uginają. Był duży – dwieście funtów samych mięśni – i miała wrażenie, że cały ten ciężar spoczywa tuż nad jej sercem. Dom grzechotał histerycznie, jakby wyczuwał krzyk jej kości. Alex usłyszała, że stół się gdzieś przewrócił, naczynia spadają z brzękiem z półek. Il Bastone wyrażał jej strach.

– Jakie miałas do tego prawo? – zapytał Blake. – Odpowiedz mi.

Udzielił jej pozwolenia.

– Mercy i wszystkie dziewczyny przed nią dały mi do tego prawo – warknęła Alex, chociaż jej umysł błagał o kolejny rozkaz, kolejny sposób zadowolenia go.

Blake uniósł nogę i opuścił ją z całej siły. Alex krzyknęła, gdy zalał ją ból.

W tej samej chwili pogasły światła. Razem z nimi ucichła muzyka, zostawiając ich w ciemności i ciszy, jakby Il Bastone po prostu umarł wokół Alex.

W ciszy usłyszała krzyk Blake’a. Lewą rękę miał zaciśniętą w pięść, jakby był gotowy ją uderzyć. Jednak w świetle ulicznych lamp wpadającym przez okna Alex dostrzegła w drugiej ręce coś srebrnego. Ostrze.

– Możesz być cicho? – zapytał. – Powiedz mi, że możesz być cicho.

– Mogę być cicho – odpowiedziała.

Blake zachichotał. To był ten piskliwy chichot, który pamiętała z nagrania.

– Tara też tak powiedziała.

– Co powiedziała? – szepnęła Alex. – Co zrobiła, żeby cię rozgniewać?

Blake pochylił się. Jego twarz nadal była piękna, ostre rysy wyglądały niemal jak anielskie.

– Myślała, że jest lepsza od wszystkich innych dziewczyn. Ale każda dostaje od Blake'a to samo.

Czy był na tyle głupi, żeby podać Tarze serwilis? Czy zdała sobie sprawę, do czego Blake wykorzystuje ten narkotyk? Zagroziła mu? Czy cokolwiek z tego miało teraz znaczenie? Alex zaraz umrze. Ostatecznie nie była mądrzejsza od Tary, nie była w stanie lepiej bronić się niż ona.

– Alex? – Gdzieś z dołu dobiegł ją głos dziekana Sandowa.

– Niech pan tu wchodzi! – krzyknęła. – Trzeba wezwać gliny! On...

– Stul, kurwa, dziób! – Blake kopnął ją mocno w bok.

Alex ucichła.

Zresztą i tak było za późno. Sandow już stał u szczytu schodów ze zdumioną miną. Alex zdała sobie sprawę, że widzi ją leżącą i stojącego nad nią Blake'a z nożem.

Rzucił się, ale był za wolny.

– Stój! – warknął Blake.

Dziekan zamarł i prawie się przewrócił.

Blake odwrócił się do Alex z szerokim uśmiechem na ustach.

– To twój przyjaciel? Mam mu kazać rzucić się ze schodów?

Alex milczała. Kazał jej być cicho i chciała tylko go uszczęśliwić, ale umysł buntował się w jej czaszce. Wszyscy umrą tej nocy.

– Chodź tu – powiedział Blake. Sandow podszedł ochoczo sprężystym krokiem. Blake skinął głową na Alex. – Chcę, żebyś wyświadczył mi przysługę.

– Co tylko mogę dla ciebie zrobić – odpowiedział Sandow, jakby zapraszał nowego obiecującego studenta, żeby wpadł do niego w godzinach dyżuru.

Blake podał mu nóż.

– Dźgnij ją. Dźgnij ją w serce.

– Z przyjemnością. – Sandow wziął nóż i usiadł okrakiem na Alex.

Przez otwarte drzwi wpadł do domu zimny wiatr. Alex poczuła go na zarumienionej twarzy. Nie mogła mówić, nie mogła walczyć, nie mogła uciekać. Za Sandowem widziała szczyt otwartych drzwi i ceglaną ścieżkę. Przypomniała sobie pierwszy dzień, kiedy Darlington ją tu przyprowadził. Przypomniała sobie, jak zagwizdał. Przypomniała sobie szakale, widmowe ogary, które miały służyć delegatom Lete.

„Jesteśmy pasterzami”.

Ręka Alex leżała na podłodze. Czowała zimne, wypolerowane drewno pod dłonią. „Proszę – błagała dom w ciszy. – Jestem córką Lete, a w progu stanął wilk”.

Sadow uniósł nóż nad głową. Alex rozchyliła usta i rozpaczliwie, bez nadziei zagwizdała. „Przyślij mi ogary”.

Szakale wpadły przez frontowe drzwi, warcząc i kłapiąc zębiskami. Popędziły schodami, słychać było stukanie pazurów i ślizganie się łap. „Za późno” – pomyślała.

– Teraz! – rozkazał Blake.

Sadow opuścił nóż. Coś wpadło na niego, zrzucając go z Alex. Nagle korytarz wypełnił się szakalami, biegnącymi po niej warcząca masą. Jeden z nich wpadł na Blake’a. Ciężar ich ciał pozbawił Alex powietrza z płuc; krzyknęła, kiedy uderzały łapami w jej połamane kości.

Szakale oszalały z podniecenia i pragnienia krwi, szczekały i warczały. Alex nie miała pojęcia, jak nad nimi zapanować. Nigdy nie miała powodu, żeby o to zapytać. To była masa lśniących psów, czarnych dziąseł i spienionych pysków. Próbowwała odepchnąć się od podłogi, odsunąć od nich. Poczowała szczęki, które zacisnęły się na jej boku, i krzyknęła, gdy długie zęby wbiły jej się w ciało.

Sadow wykrzyczał ciąg słów, których nie rozumiała, i poczuła, jak szczęki rozwierają się, z rany tryska krew. Zrobiło jej się czarno przed oczami.

Szakale się wycofały. Zmykały chyłkiem schodami, zderzając się ze sobą. Przykucnęły przy poręczy, skomląc cicho, kłapiąc zębami.

Sadow leżał i krwawił na bieżniku w korytarzu obok niej. Miał rozerwaną nogawkę od spodni. Widziała, że zęby szakala przecięły równo jego kość udową, biały odłamek błyszczał jak biała bulwa, krew płynęła mu z nogi. Sadow z trudem łapał powietrze, szukał czegoś w kieszeni, próbował znaleźć telefon, ale poruszał się powoli, niezręcznie.

– Dziekanie Sadow? – wydyszała.

Głowa mu opadła. Alex zobaczyła, że telefon wypadł mu z rąk i spadł na dywan.

Blake czołgał się ku niej. On też krwawił. Widziała, że szakale wgrzyzły mu się w bicepsy, w udo.

Podciągnął się tak, żeby leżeć obok niej, jakby byli kochankami. Nadal miał zacisniętą w pięść rękę. Uderzył ją raz, drugi. Drugą rękę wsunął jej we włosy.

– Żryj gówna – szepnął jej do ucha. Usiadł, złapał ją za włosy i uderzył jej czaszką o podłogę. Gwiazdy wybuchły jej pod powiekami. Znowu szarpnął ją za włosy, unosząc głowę, i odchylił podbródek. – Żryj gówna i zdychaj.

Alex usłyszała mokry, ciężki łomot; zastanawiała się, czy to jej czaszka pękła. A potem Blake zwałił się na nią. Odpychała go, zapierając się o jego pierś – ciężar był niewiarygodny. Wreszcie udało jej się sturlać go z siebie. Dotknęła ręką potylicy. Nie było krwi. Nie było rany.

Nie mogła tego samego powiedzieć o Blake'u. Jedna strona jego idealnej twarzy była krwawym zapadliskiem. Miał roztrzaskaną głowę. Dawes stała nad nim i płakała. W rękach ścisnęła marmurowe popiersie Hiram Bingham III, świętego patrona Lete, a jego surowy profil był pokryty krwią i kawałkami kości.

Popiersie wyśliznęło jej się z palców. Uderzyło o dywan i przeturlało się na bok. Dawes odwróciła się od Alex, osunęła na kolana i wymiotowała.

Blake Keely wpatrywał się niewidzącymi oczami w sufit. Śnieg stopniał na jego płaszczu, wełna lśniła jak coś zdecydowanie delikatniejszego. Wyglądał jak zamordowany książę.

Szakale pobiegły na dół, zniknęły za drzwiami. Alex zastanawiała się, dokąd się udały, na co polowały.

Gdzieś w oddali rozległo się coś, co mogło być syreną albo wyciem czegoś zagubionego w ciemności.

27

ZIMA

Kiedy Alex się obudziła, pomyślała, że wróciła do szpitala w Van Nuys. Białe ściany. Pobrzękujące maszyny. Hellie nie żyła. Wszyscy nie żyli. Ona miała pójść do więzienia.

Złudzenia się rozplynęły. Ból płonący w jej ranie w boku przywrócił ją do teraźniejszości. Zgroza tego, co wydarzyło się w Il Bastone, powróciła gwałtownie rozmazaną plamą – czerwone rozbłyskujące światła, Turner z gliniarzami zalewającymi piętro. Mundurowi wywołali w niej panikę, ale potem... „Jak się nazywasz, mała? Mów do mnie. Możesz mi powiedzieć, co się stało? Już wszystko w porządku. Wszystko w porządku”. Tak łagodnie do niej mówili. Tak delikatnie się z nią obchodzili. Usłyszała, że Turner mówi: „To studentka pierwszego roku”. Magiczne słowa. Yale opadło na nią jak całun i tarcza. „Odwagi, nikt nie jest nieśmiertelny”. Tak duża moc w paru słowach, w inkantacji.

Alex odepchnęła koce i podciągnęła szpitalną koszulę. Każdy ruch sprawiał ból. Bok jej zszyto i ranę zakrywały bandaże. W ustach miała suchą watę.

Pielęgniarka wparowała z szerokim uśmiechem na twarzy. Rozcierała środek odkażający na dłoniach.

– Obudziłaś się! – zauważyła pogodnie.

Alex odczytała imię na plakietce na jej stroju i przeszedł ją dreszcz. „Jean”. Czy to Jean Gatlula? Kobieta, której zapłaciło stowarzyszenie Czaszki i Kości, żeby zajęła się Michaeliem Reyesem, żeby zajęła się *victima* potrzebną do wieszczenia? To nie mógł być przypadek.

– Jak się masz, skarbie? – zapytała pielęgniarka. – Bardzo cię boli?

– Nie, jest w porządku – skłamała Alex. Nie chciała, żeby ją ogłupili lekami przeciwbólowymi. – Trochę jestem przymulona. Pamela Dawes tu jest? Dobrze się czuje?

– Leży dalej w tym korytarzu. Jest leczona z powodu szoku. Wiem, przez co obie przeszłyście, ale musisz teraz odpoczywać.

– To świetny pomysł – powiedziała Alex i przymknęła oczy. – Mogę dostać trochę soku?

– Pewnie – odpowiedziała Jean. – Wrócę, zanim się obejrzysz.

Kiedy tylko pielęgniarka wyszła, Alex usiadła i wstała z łóżka. Ból zmuszał ją do powolnego oddychania, a odgłos własnego dyszenia sprawił, że poczuła się jak zwierzę w pułapce. Musiała zobaczyć Dawes.

Miała podłączoną kroplówkę, więc wzięła ją ze sobą, ciągnąc na kółkach. Cieszyła się z oparcia. Pokój Dawes znajdował się na końcu korytarza. Leżała podparta na poduszkach, ubrana w policyjny dres. Był na nią za duży i granatowy, ale poza tym idealnie pasował do jej typowej garderoby.

Dawes obróciła głowę na poduszce. Nic nie powiedziała na widok Alex, tylko przesunęła się na brzeg łóżka, żeby zrobić jej miejsce.

Alex ostrożnie ułożyła się obok niej. Ledwie się mieściły, ale jej to nie przeszkadzało. Dawes nic nie było. Jej też. Jakoś to przetrwały.

– Dziekan? – spytała.

– W stabilnym stanie. Włożyli mu nogę w gips i napompowali krwią.

– Ile tu leżymy?

– Nie jestem pewna. Dostałam środki uspokajające. Myślę, że co najmniej dzień.

Przez długi czas leżały w milczeniu, z korytarza docierały do nich szpitalne odgłosy, głosy z pokoju pielęgniarek, szczęk i brzęczenie maszynarii.

Alex zaczęła przysypiać, kiedy Dawes powiedziała:

– Oni to wszystko zatuszują, co?

– Aha. – Jean Gatdula była tego ewidentnym sygnałem. Lete i pozostałe stowarzyszenia posłużą się każdym okruczem wpływów, żeby prawdziwe szczegóły nigdy nie wyszły na jaw. – Uratowałam mi życie. Znowu.

– Zabiłam kogoś.

– Zabiłaś drapieżnika.

– Jego rodzice dowiedzą się, że został zamordowany.

– Nawet aligatory mają rodziców, ale to ich nie powstrzymuje przez gryzieniem.

– To już koniec? – zapytała Dawes. – Tęsknię za... normalnością.

„Jeśli kiedykolwiek ją znajdziesz, daj mi znać”.

– Myślę, że tak – odpowiedziała na głos Alex.

Dawes zasługiwała na odrobinę pociechy, a tylko tyle mogła jej dać. Przynajmniej teraz cały ten splątany bałagan będzie mógł się rozwikłać. Blake

będzie nicią, która to wszystko połączy. Narkotyki, kłamstwa. Domy Zasłony zostaną rozliczone.

Alex musiała zasnąć, bo obudziła się gwałtownie, kiedy Turner wszedł do pokoju z dziekanem Sandowem na wózku. Usiadła za szybko i syknęła z bólu, a potem szturchnęła Dawes, która nieco oprzytomniała.

Sandow wyglądał na wycieńczonego, skórę miał obwisłą i niemal kruchą. Miał wyprostowaną przed sobą nogę w gipsie. Alex pamiętała biały szpikulec kości wystający z uda i zastanawiała się, czy powinna przeprosić za przywołanie szakali. Gdyby jednak tego nie zrobiła, nie żyłaby, a dziekan Sandow zostałby mordercą. I najpewniej też by nie żył. Jak wyjaśnili te rany policji? Lekarzom, którzy ich zszywali? Może nie musieli. Może wpływy Lete, stowarzyszeń i dziekana Yale sprawiały, że tłumaczenia nie były konieczne.

Detektyw Abel Turner wyglądał świeżo jak zawsze w grafitowym garniturze i fiołkowym krawacie. Przysiadł na brzegu dużego szezlongu ustawionego w kącie dla gości, którzy zostawali na noc.

Alex zdała sobie sprawę, że po raz pierwszy znaleźli się razem w jednym pokoju: Oculus, Dante, Centurion i dziekan. Tylko Wergiliusza brakowało. Może gdyby zaczęli rok w taki sposób, sprawy inaczej by się potoczyły.

– Chyba powinienem zacząć od przeprosin – powiedział Sandow; głos miał zdarty. – To był ciężki rok. Chciałem utrzymać śmierć tej dziewczyny z dala od Lete. Gdybym wiedział o serwilisie, eksperymentach ze Zwojem i Kluczem... Ale nie chciałem zapytać, prawda?

Dawes poruszyła się na wąskim łóżku.

– Co się teraz stanie?

– Lance Gressang zostanie oczyszczony z zarzutu morderstwa – powiedział Turner – ale nadal będzie odpowiadał za posiadanie i sprzedaż. On i Tara sprzedawali środki psychotropowe Zwojowi i Kluczowi, prawdopodobnie Manuskryptowi. Zajrzeliśmy też do telefonu Blake’a Keely’ego. Ktoś niedawno usunął z niego duże pliki. – Alex zachowała pokerową twarz. – Jednak jego poczta głosowa była bardzo pouczająca. Tara odkryła, jak działa serwilis i do czego Blake go używa. Zagroziła, że powie policji. Nie wiem, czy Blake bał się szantażu, czy ujawnienia, ale ta dwójka nie pałała do siebie miłością.

– Dlatego ją zabił?

– Przesłuchaliśmy mnóstwo przyjaciół Blake’a Keely’ego i jego znajomych – mówił dalej Turner. – Nie przepadał za kobietami. Chyba się zapędził albo sam zaczął brać narkotyki. Jego zachowanie ostatnio było naprawdę dziwne.

Dziwne. Jak na przykład jedzenie zawartości zatkanej toalety. Jednak reszta układała się w sensowną całość. Blake praktycznie nie uważał dziewczyn, których używał, za istoty ludzkie. Jeśli Tara rzuciła wyzwanie jego kontroli, to

może morderstwo nie było dla niego aż tak dużym krokiem. Kiedy Alex przeżywała śmierć Tary i to twarz Lance'a unosiła się nad nią, uznała, że to był urok ukrywający twarz prawdziwego mordercy. A jeśli Blake podał jej w jakiś sposób serwilis i zwyczajnie rozkazał zobaczyć twarz Lance'a? Czy narkotyk działał aż tak mocno?

Coś jeszcze ją dręczyło.

– Blake powiedział mi, że nie zabił Tary.

– Ewidentnie oszalał, kiedy cię zaatakował – odparł Sadow.

– Nie. Kiedy... – Kiedy przyszła się na nim zemścić za to, co zrobił Mercy. – Parę dni temu. Był pod przymusem.

Turner zmrużył oczy.

– Przesłuchiwałaś go?

– Miałam okazję, więc skorzystałam.

– Czy to jest właściwa chwila, żeby krytykować metody Alex? – zapytała cicho Dawes.

Alex szturchnęła ją w ramię.

– Słuszna uwaga. Żaden z was nie zainteresowałby się nikim poza Lance'em, gdybym nie była szpilką w waszych tyłkach.

Turner się roześmiał.

– A ty jak zwykle od razu skaczesz do gardła, Stern.

Sadow westchnął zboląły.

– W rzeczy samej.

– Ale ona ma rację – powiedziała Dawes.

– Owszem – zgodził się skarcony dziekan. – Ma rację. Tyle że Blake mógł wierzyć w swoją niewinność. Może nie pamiętał popełnienia zbrodni, jeśli był pod wpływem czegoś, gdy do tego doszło. A może starał się zadowolić tego, kto rzucił przymus. Działanie przymusu bywa skomplikowane.

– A co z *glumą*, która mnie zaatakowała? – zapytała Alex.

– Nie wiem – odpowiedział Sadow – ale podejrzewam, że ktokolwiek nasłał... tego potwora na Darlingtona, nasłał też *glumę*. Nie chcieli, żeby Lete zajęło się śledztwem.

– Kto nie chciał? – dopytywała się Alex. – Colin? Kate? Jak dorwali w swoje ręce *glumę*? Świadomie posłużyli się potworem, który rzuciłby podejrzenie na Księgę i Węża?

„Poprosiłaś, żebym ci powiedział, w co się pakujesz. Teraz już wiesz”. To powiedział jej Darlington, kiedy napuścił na nią szakale. Ale czy sam wiedział? Czy rozumiał, że jego inteligencja, jego uwielbienie dla misji Lete sprawiły, że znalazł się na celowniku?

– Dowiemy się – zapewnił Sandow. – Obiecuję ci to, Alex. Nie spocznę, dopóki to nie zostanie załatwione. Colin Khatri został przesłuchany. To jasne, że eksperymentował razem z Tarą. Z magią portali, zaklęciami pieniężnymi, z bardzo niebezpieczną magią. Nie jest jasne, kto był podżegaczem, ale Tara chciała wejść głębiej i nie pozwalała Colinowi przyhamować, jeśli on i jego stowarzyszenie nadal będzie chciało korzystać... z jej pomocy.

Ponieważ Tara w tym zasmakowała. Zobaczyła przebłysk prawdziwej mocy i wiedziała, że wreszcie ma szansę ją zdobyć.

– Zasadniczo to było z jej strony wymuszenie – powiedział Sandow. – Taka hańba, a wszystko działo się pod moim nosem. – Zgarbił się na wózku. Wyglądał staro i szaro. – Byłaś w niebezpieczeństwie, a ja cię nie chroniłem. Zachowałeś przy życiu ducha Lete, a ja skupiłem się na zaginięciu Darlingtona, na zachowaniu pozorów, że wszystko dobrze się układa, podtrzymaniu iluzji dla absolwentów. To było... To jest wstyd. Twoja uporczywość przynosi chlubę Lete i oboje z Turnerem napiszemy o tym w naszych raportach dla zarządu.

– A co dostanie za swoje wysiłki? – zapytała Dawes ze skrzyżowanymi rękami. – Tak się pan śpieszył, żeby umyć ręce od śmierci Tary, a Alex dwa razy prawie umarła.

– Trzy – poprawiła ją Alex.

– Trzy razy. Powinna coś za to dostać.

Alex uniosła brwi. Od kiedy Dawes jest naciągaczką na pół etatu?

Jednak Sandow tylko skinął głową. To był świat działający na zasadzie *qui pro quo*.

„Widzisz, Darlington? – pomyślała Alex. – Nawet ja znam odrobinę łaciny”.

Turner wstał.

– Nie chcę wiedzieć, co wymyślicie. Możecie ubrać to w ładne słówka, ale Blake Keely, Colin Khatri, Kate Masters to wszystko bogate dzieciaki; upijają się i rozbijają na drzewach sportowe samochody, którymi w ogóle nie powinny jeździć. – Przed wyjściem delikatnie uściśnął ramię Alex. – Cieszę się, że nikt cię nie rozjechał. Postaraj się nie dać sobie skopać tyłka przez tydzień lub dwa.

– Postaraj się nie kupować nowych garniturów.

– Niczego nie obiecuję.

Alex popatrzyła za nim, jak odchodzi. Chciała coś powiedzieć, żeby zawrócił, żeby został. Porządny Turner ze swoją błyszczącą odznaką. Sandow patrzył na złożone ręce, jakby skupiał się na szczególnie trudnej magicznej sztuczce. Może rozłoży ręce i wypuści z nich gołąbka.

– Wiem, że ten semestr był trudny – powiedział w końcu. – Możliwe, że mógłbym w tej kwestii pomóc.

Alex zapomniała o Turnerze i bólu płonącym w boku.

– W jaki sposób?

Sadow odchrząknął.

– Pewnie mógłbym dopilnować, żebyś zaliczyła zajęcia. Nie powinniśmy za bardzo się zapędzać, ale...

– Średnia 3,5 powinna wystarczyć – odezwała się Dawes.

Alex wiedziała, że powinna odmówić, bo chciała zapracować na swoje wyniki. Tak postąpiłby Darlington, tak zrobiłaby Dawes, pewnie tak zrobiłyby Mercy i Lauren. Tara by się zgodziła. Okazja to okazja. Alex może być uczciwa w następnym roku. Mimo wszystko... Sadow za szybko się zgodził. Jakże właściwie były warunki tej umowy?

– Co się stanie ze Zwojem i Kluczem? – zapytała. – Z Manuskryptem? Z tymi wszystkimi dupkami?

– Zostaną podjęte działania dyscyplinarne. Czekają ich wysokie grzywny.

– Grzywny?! Próbowali mnie zabić. Na dobrą sprawę zabili Darlingtona.

– Skontaktowaliśmy się z fundacjami wszystkich Domów Zasłony i odbędzie się spotkanie na Manhattanie.

Spotkanie. Z rozpiską, gdzie kto ma usiąść. Pewnie z miętowym ponczem z kruszonym lodem. Alex poczuła, jak narasta w niej gniew.

– Proszę powiedzieć mi, że ktoś zapłaci za to, co zrobili.

– Zobaczymy – odpowiedział Sadow.

– Zobaczymy?!

Sadow podniósł głowę. Oczy mu płonęły takim samym ogniem, jaki widziała, gdy stawiał czoło piekielnej bestii podczas nowiu.

– Myślisz, że nie wiem, że im ujdzie na sucho? Myślisz, że nic mnie to nie obchodzi? Serwilis rozdawano jak cukierki. Ujawniono magię portali ludziom z zewnątrz i posłużono się nią, żeby zaatakować delegata Lete. Manuskrypt oraz Zwój i Klucz powinny zostać pozbawione grobowców.

– A jednak Lete nie podejmie działań? – zapytała Dawes.

– Żeby zniszczyć kolejne dwa stowarzyszenia ze Starożytnej Ósemki? – mówił z goryczą Sadow. – Żyjemy dzięki ich funduszom i nie mówimy tu o Aurelianach albo Świętym Elmie. To dwa z najpotężniejszych domów. Ich absolwenci są niewiarygodnie potężni i już wywierali naciski.

– Nie rozumiem – powiedziała Alex. Powinna po prostu odpuścić sobie, przyjmując poprawioną średnią i cieszyć się, że żyje. Jednak nie potrafiła. – Musiał pan wiedzieć, że w końcu coś takiego się wydarzy. Turner ma rację. Podrasowujecie wóz. Dajecie im kluczyki. Dlaczego zostawiacie magię, całą tę moc w rękach bandy dzieciaków?

Sadow jeszcze bardziej zgarbił się na wózku. Ogień w nim zgasł.

– Młodość marnuje zasoby. Absolwenci potrzebują stowarzyszeń. Cała siatka kontaktów i układów zależy od magii, do jakiej mają dostęp. To dlatego absolwenci tu wracają, dlatego fundacje utrzymują grobowce.

– Czyli nikt nie zapłaci – powiedziała Alex.

Poza Tarą. Poza Darlingtonem. Poza nią i Dawes. Może w tej rozgrywce nie byli rycerzami, tylko zwykłymi pionkami, których z łatwością można poświęcić w imię długofalowego planu.

Dawes spojrzała zimno na dziekana.

– Powinien pan wyjść.

Sadow robił wrażenie pokonanego, kiedy wyjechał na wózku na korytarz.

– Miałaś rację – powiedziała Dawes, gdy zostały same. – Im wszystkim to się upiecze.

Ktoś zapukał energicznie do drzwi.

– Panno Dawes, siostra przyjechała po panią – poinformowała ją Jean. Wskazała Alex. – A ty powinnaś odpoczywać we własnym łóżku. Zaraz wracam z wózkiem dla ciebie.

– Wyjeżdżasz? – Alex nie chciała, żeby to zabrzmiało oskarżycielsko. Dawes uratowała jej życie. Mogła wybrać się, dokąd tylko zechce. – Nie wiedziałam, że masz siostrę.

– Mieszka w Westport – odpowiedziała Dawes. – Potrzebuję... – Pokręciła głową. – To miały być tylko badania. To mnie przerosło.

– Jasne – odpowiedziała Alex.

Gdyby jej matka miała mieszkanie parę stacji kolejowych stąd, zamiast paru tysięcy mil, to też chętnie zwinęłaby się u niej na kanapie na tydzień albo dwanaście tygodni.

Alex zeszła z łóżka.

– Uważaj na siebie. Oglądaj mnóstwo kiepskiej telewizji i pożyj normalnie przez jakiś czas.

– Zostań – zaprotestowała Dawes. – Chcę, żebyś ją poznała.

Alex zmusiła się do uśmiechu.

– Zajrzyj do mnie przed wyjściem. Muszę dorwać coś słodkiego, najlepiej słodkiego i przeciwbólowego jak percocet, zanim padnę, a nie chcę czekać, aż kochana siostrzyczka Jean zabierze mnie na wózku.

Wyszła jak najszybciej, zanim Dawes zdążyłaby coś więcej powiedzieć.

Wróciła do siebie tylko po to, żeby zabrać telefon i odłączyć kroplówkę. Nigdzie nie widziała swoich ubrań i butów, pewnie zabrano je jako dowody. Pewnie już nigdy więcej ich nie zobaczy.

Wiedziała, że postępuje irracjonalnie, ale nie chciała tu dłużej przebywać. Nie chciała udawać, że może pragmatycznie rozmawiać o czymś, co nie miało

najmniejszego sensu.

Sadow może przeproszać, ile wlezie. Alex nie czuła się bezpieczna. I zastanawiała się, czy kiedykolwiek poczuje się bezpieczna. Jesteśmy pasterzami. Ale kto ich ochroni przed wilkami? Blake Keely nie żył, jego śliczna czaszka została roztrzaskana na kawałki. Jednak co będzie z Kate Masters i Manuskryptem, którzy wypuścili na świat serwilis, żeby zaoszczędzić parę dolców? Co z Colinem – entuzjastycznym, genialnym, zadbanym Colinem – oraz resztą Zwoju i Klucza, którzy sprzedali swoje sekrety przestępcom i prawdopodobnie nasłali potwora, który pożarł Darlingtona? A co z *glumą*? Prawie została zamordowana przez golema w okularach i nikt się tym nie przejął. Zaatakowano Dawes. Dziekan Sadow niemal się wykrwawił na dywanie w korytarzu. Naprawdę wszystkich ich można było poświęcić?

Nic nie zostanie zdemontowane, nic się nie zmieni. Zbyt wielu potężnych ludzi potrzebowało magii, która żyła w New Haven i którą doglądały Domy Zasłony. Teraz śledztwo należało do Sadowa i anonimowych grup absolwentów, którzy wymierzą sprawiedliwość i udzielą łaski zgodnie ze swoim widzimisię.

Alex zwinęła lekarski fartuch z krzesła i ruszyła do windy w szpitalnych skarpetkach. Myślała, że ktoś ją zatrzyma, ale minęła pokój pielęgniarek bez przeszkód. Bolało ją tak, że chciała zgiąć się wpół i złapać się ściany, ale wolała nie zwracać na siebie uwagi.

Drzwi windy otworzyły się, ukazując kobietę o kasztanowych włosach, ubraną w kremowy sweter i obcisłe džinsy. Wyglądała jak Dawes, ale Dawes wydestylowana i wypolerowana na wysoki połysk. Alex przepuściła ją i wsiadła do windy. Kiedy tylko drzwi się zamknęły, zgarbiła się pod ścianą, próbując odzyskać oddech. Tak naprawdę nie miała planu. Po prostu nie mogła tam zostać. Nie mogła rozmawiać o niczym z siostrą Dawes. Nie mogła zachowywać się tak, jakby to, co się wydarzyło, było słuszne, właściwe albo w porządku.

Wyszła na zimno, szurając nogami, przekuśtykała pół przecznicy od szpitala i zamówiła przez telefon samochód. Było późno i ulice były puste – jeśli pominąć Pana Młodego. North unosił się w poświacie szpitalnych świateł. Robił wrażenie zatroskanego, kiedy ruszył do niej, ale Alex nie mogła wykrzesać w sobie zainteresowania. Nie znalazł Tary. Nie zrobił niczego, żeby jej pomóc.

„To koniec – pomyślała. – Nawet jeśli tego nie chcesz, stary”.

– „Bez czci, bez żalu, bez pieśni nagrobnych” – warknęła.

North wzdrygnął się i zniknął ze zranioną miną.

– Jak się dzisiaj miewasz? – zagadnął ją kierowca, gdy usiadła na tylnym siedzeniu.

– Jestem na wpół martwa i pozbawiona złudzeń. A jak pan się miewa?

Chciała znaleźć się za magicznymi ochronami, ale nie mogła znieść myśli o powrocie do Il Bastone.

– Może mnie pan zabrać na róg York i Elm? – poprosiła. – Jest tam zaułek. Pokażę panu.

Ulice były ciche i ciemne, miasto pozbawione twarzy.

„To koniec” – pomyślała Alex, kiedy wywlekła się z samochodu i wspięła schodami do Klitki, otoczona zapachem goździków i przytulności.

Dawes uciekła do Westport. Sandow mógł wrócić do domu, do swojej gospodyni i sikającego po nogach labradora. Turner... Cóż, nie wiedziała, do kogo Turner wraca, gdy idzie do domu. Do matki. Do dziewczyny. Do pracy. Alex zrobi to, co robi każde ranne zwierzę. Pójdzie tam, gdzie potwory do niej nie dotrą. Schowa się.

Inni osłabną, fałszywy krok zrobią – karą jest tylko duma urażona.
Nam pisane jest na trąbce grać, gdy po raz ostatni jeździec siodła konia.
Pisane nam odpowiedź dać bez zwłoki. Gdy skrzydła czarne śmierć nad nami
skłoni,
Staniemy w jej obliczu, gotowi na wszystko: hoplici, huzarzy, dragoni.

Mężom Lete Cabot Collins
(Jonathan Edwards College, '55)

Cabsy był fatalny jako poeta. Najwyraźniej przegapił ostatnie czterdzieści lat poezji i po prostu chciał dalej pisać Longfellowa. To niewdzięczne tak narzekać, skoro stracił rękę i tak dalej, ale nie wiem, czy to usprawiedliwia dwie godziny uwięzienia w Il Bastone i słuchania, jak czyta swoje ostatnie arcydzieło, podczas gdy biedny Lon Richardson musi obracać strony.

Pamiętnik Carle Roehmer z czasów w Lete
(Branford College '54)

POCZĄTEK WIOSNY

Alex obudziła się, gdy usłyszała brzęk tłuczonego szkła. Potrzebowała chwili, żeby przypomnieć sobie, gdzie się znajduje, ogarnąć sześciokątny wzór na podłodze w łazience Klitki, wodę kapiącą z kranu. Złapała się krawędzi umywalki i podciągnęła, poczekała, aż zawrót głowy minie, zanim przeszła przez garderobę do salonu. Przez chwilę gapiała się na stłuczone okno – jedna z gomółek oprawionych w ołów stłukła się i chłodne wiosenne powietrze wpadało do środka. Odłamki szkła posypały się na drewno siedziska w oknie obok porzuconego falafela i *Sugerowanych wymagań dla kandydatów do Domu Lete*, broszurki nadal otwartej na stronie, gdzie Alex przestała czytać. *Mors irrumat omnia*.

Ostrożnie wyjrzała na zaułek. Pan Młody czekał tam, jak zawsze przez ostatnie dwa tygodnie. Może trzy tygodnie? Nie była pewna. Stała tam też jednak Mercy w przewiązanej paskiem kurtce w stulistne róże; czarne włosy miała związane w kucyk, a na jej twarzy malowało się poczucie winy.

Alex pomyślała, że może lepiej w ogóle nie reagować. Nie wiedziała, jak Mercy ją wytropiła, ale nie musiała pozwolić na to, żeby ją rzeczywiście znalazła. W końcu współlokatorka znudzi się czekaniem, aż Alex się pokaże, i pójdzie sobie. Albo rzuci kolejnym kamieniem w okno.

Mercy pomachała i w zaułku pojawiła się kolejna postać ubrana w fioletowy dziany płaszcz i błyszczący szalik w kolorze morwy.

Alex oparła głowę o framugę okna.

– Cholera.

Włożyła bluzę od dresu Domu Lete, żeby zasłonić brudną koszulkę, i kuśtykając, zeszła boso po schodach.

Wzięła głęboki wdech i otworzyła drzwi.

– Skarbie! – zawołała mama i rzuciła się ku niej.

Alex zmrużyła oczy z powodu wiosennego blasku i próbowała się nie wzdrygnąć.

– Cześć, mammo. Nie obejm...

Za późno. Matka już ją ścisnęła i Alex syknęła z bólu.

– Co się stało? – zapytała Mira, odsuwając się.

– Dochodzę do siebie – odpowiedziała.

Mira ujęła twarz Alex w dłonie, odgarnęła jej włosy. Oczy napełniły jej się łzami.

– Och, skarbie. Moja mała gwiazdka. Bałam się, że do tego dojdzie.

– Nie biorę, mammo. Przysięgam. Po prostu bardzo, bardzo się pochorowałam.

Mira nie dowierzała. Poza tym wyglądała nadzwyczaj dobrze. Miała nowe jasne pasemka w blond włosach, jej skóra promieniała. Możliwe, że odrobinę przytyła. „To z mojego powodu – pomyślała z bólem Alex. – Przez wszystkie te lata wyglądała na zmęczoną i starszą niż w rzeczywistości, bo martwiła się o mnie. Potem jednak jej córka została malarką i trafiła do Yale. Magia”.

Alex zobaczyła, że Mercy kręci się pod ścianą zaułka. Kapuś.

– Chodźcie – powiedziała. – Wejdźcie.

Łamała zasady Domu Lete, wprowadzając obce osoby do Klitki, ale skoro Colin Khatri mógł pokazać Lance'owi Gressangowi, jak otworzyć portal na Islandię, to ona mogła zaprosić matkę i współlokatorkę na herbatę.

Zerknęła na Pana Młodego.

– Ale nie ty.

Już zaczął iść do niej, więc pośpiesznie zamknęła drzwi.

– Nie kto? – zapytała matka.

– Nikt, nieważne.

Idąc po schodach, Alex zadyszała się i dostała zawrotów głowy, ale była dostatecznie przytomna, żeby zawstydić się, gdy otworzyła drzwi do Klitki i wpuściła gości do środka. Była w takim stanie, że nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo nabałaganiła. Porzucone koce leżały w stosie na kanapie, wszędzie walały się brudne naczynia i pojemniki z zepsutym jedzeniem. Teraz, kiedy odetchnęła świeżym powietrzem, czuła też, że w salonie śmierdzi jak na bagnie połączonym ze szpitalnym oddziałem.

– Przepraszam – powiedziała. – Byłam... Nie czułam się na siłach, żeby sprzątać.

Mercy wzięła się za otwieranie okien, a Mira zaczęła zbierać śmieci.

– Nie rób tego – powiedziała Alex, bo aż ją mrowiło ze wstydu.

– Nie wiem, czym innym się zająć – odpowiedziała Mira. – Usiądź i pozwól, że pomogę. Wyglądasz tak, jakbyś miała się przewrócić. Gdzie jest kuchnia?

– Po lewej – odpowiedziała Alex, kierując ją do ciasnej wnęki kuchennej, w której panował podobny bałagan jak w salonie, jeśli nie gorszy.

– Czyje to mieszkanie? – zapytała Mercy, zdejmując płaszcz.

– Darlingtona – odpowiedziała. W pewnym sensie nie kłamała. Zniżyła głos.

– Skąd wiedziałaś, że tu jestem?

Mercy zakłopotana się.

– Możliwe... że śledziłam cię z raz albo dwa razy, gdy tu szłaś.

– Co?!

– Byłaś tajemnicza, w porządku? I martwiłam się o ciebie. Wyglądasz potwornie, nawiasem mówiąc.

– I potwornie się czuję.

– Gdzieś ty się podziewała? Zamartwiałyśmy się. Nie wiedziałyśmy, czy zaginęłaś, czy co się stało.

– Dlatego zadzwoniłaś do mojej mamy?

Mercy uniosła ręce.

– Nie oczekuj przeprosin. Gdybym ja zaginęła, to mam nadzieję, że zaczęłabyś mnie szukać. – Alex skrzywiła się, ale Mercy tylko dźgnęła ją palcem w ramię. – Uratowałaś mnie. Ja ratuję ciebie. Tak to działa.

– Jest tu kosz do segregowania śmieci?! – zawołała z kuchni Mira.

Alex westchnęła.

– Pod zlewem.

Może dobre rzeczy przydarzają się tak samo jak złe. Po prostu czasem trzeba na to pozwolić.

Mercy i Mira stanowiły zaskakująco skuteczny zespół. Wyniosły śmieci, wysłały Alex pod prysznic, załatwiły jej wizytę w uniwersyteckiej przychodni, żeby dostała antybiotyki, chociaż nie zapędziła się tak daleko, żeby pokazać im ranę. Powiedziała, że zmagala się z jakąś grypą albo wirusem. Zmusiły ją do przebrania się w czysty dres, a potem Mira wyszła do małych delikatesów, żeby kupić zupę i Gatorade. Potem wyszła drugi raz, kiedy Alex powiedziała, że wyrzuciła swoje buty.

– Smoła – wyjaśniła. – Były zniszczone.

„Smoła, krew, na jedno wychodzi” – pomyślała.

Mira wróciła godzinę później z parą butów, parą dzinsów, dwoma koszulkami Yale i sandałami pod prysznic, których Alex nie potrzebowała, ale za które i tak podziękowała.

- Kupiłam ci też sukienkę.
- Nie noszę sukienek.
- Ale mogłabyś.

Usadowiły się przed kominkiem z kubkami herbaty i rozpuszczalnego kakao. Niestety Alex wyjadła wszystkie delikatesowe pianki Dawes. Nie było dość zimno, żeby rozpałać ogień, ale pokój wydawał się przytulny i bezpieczny w popołudniowym świetle.

- Na jak długo przyjechałaś? – zapytała Alex.

W jej głosie pojawiła się nuta niewdzięczności, której wcale tam nie chciała.

- Wylatuję jutro z samego rana – odpowiedziała Mira.

– Nie możesz zostać dłużej? – Alex nie była pewna, na ile tego chce, ale kiedy matka rozpromieniła się, uszczęśliwiona pytaniem, Alex ucieszyła się, że wykonała ten drobny gest.

- Żałuję, że nie mogę. Pracuję w poniedziałek.

Alex zrozumiała, że musi trwać weekend. Tylko raz sprawdzała e-maile, odkąd zaszyła się w Klitce, i nie czytała żadnych wiadomości od Sandowa. Pozwoliła, żeby jej telefon padł. Pierwszy raz zaczęła się zastanawiać, czy stowarzyszenia nadal się spotykają, ale bez nadzoru Lete. Może ich działalność została zawieszona po ataku na Il Bastone. Nic ją to nie obchodziło. Myślała za to, czy matkę stać było na kupienie w ostatniej chwili biletów lotniczych na drugi kraniec kraju. Alex żałowała, że nie wyciągnęła od Lete wraz z podwyższoną średnią trochę pieniędzy.

Mercy przyniosła jej notatki z trzech tygodni zajęć, które Alex przegapiła, i już mówiła o planie działania przed egzaminami końcowymi. Alex kiwała głową, ale jaki to miało sens? Sprawę załatwiono. Sandow powiedział, że dopilnuje, żeby Alex zdała, a nawet jeśli nie dotrzyma słowa, to wiedziała, że nie ma dość woli, żeby nadrobić zaległości. Mogła jednak udawać. Przez wzgląd na Mercy i przez wzgląd na matkę.

Zjadły lekką kolację, a potem wróciły spacerkiem do Starego Kampusu. Alex pokazała mamie dziedziniec Vanderbilt i ich wspólne lokum, mapę Kalifornii oraz plakat z reprodukcją *Flaming June* Leightona, na którego widok Darlington przewrócił kiedyś oczami. Pozwoliła, żeby Mira gruchała nad jej szkicownikiem – zmuszała się, żeby czasem po niego sięgnąć dla zachowania pozorów – ale przyznała, że ostatnio niewiele rysowała i malowała.

Kiedy jej matka zapaliła zwitek szalwii i zaczęła okadzać ich wspólny pokój, Alex robiła co w jej mocy, żeby nie zapaść się pod ziemię ze wstydu. Mimo wszystko zdziwiła się, jak miło było wrócić do akademika, zobaczyć rower Lauren oparty o kominek, toster zawałony pudełkami z pop-tartami. Czuła się tu jak w domu.

Kiedy nadszedł czas, żeby Mira wróciła do hotelu, Alex odprowadziła ją, starając się ukryć, ile kosztowało ją zejście parę stopni na ulicę.

– Nie zapytałam, co się stało, i nie zamierzam – powiedziała Mira, owijając szyję błyszczącym szalikiem.

– Dziękuję.

– Nie robię tego dla ciebie. To dlatego, że jestem tchórzem. Jeśli mówisz mi, że nie bierzesz, to chcę ci wierzyć.

Alex nie bardzo wiedziała, jak na to zareagować.

– Możliwe, że latem będę miała pracę. To jednak znaczy, że nie wrócę do domu.

Mira spuściła wzrok na buty – ręcznie szyte skórzane trzewiki, które kupowała u tego samego faceta na targu rzemieślniczym przez ostatnie dziesięć lat. Skinęła głową, a potem otarła łzy z oczu.

Alex też napłynęły łzy do oczu. Ile to już razy matka przez nią płakała?

– Przepraszam, mamo.

Mira wyjęła chusteczkę z torebki.

– W porządku. Jestem z ciebie dumna. I nie chcę, żebyś wracała do domu po tych wszystkich strasznych rzeczach z tymi strasznymi ludźmi. Tu jest twoje miejsce. Tu było ci pisane rozkwitnąć. Nie przewracaj oczami, Galaxy. Nie każdy kwiat może rosnąć w dowolnym ogrodzie.

Alex nie była w stanie rozwikłać mieszaniny miłości i gniewu, jaka ją zalała. Matka wierzyła we wróżki, anioły i wizje w kryształach, ale co pomyślałaby o prawdziwej magii? Czy ogarnęłaby jej paskudną prawdziwą twarz? I fakt, że magia nie była czymś pozłacanym i łagodnym, ale kolejnym towarem, na który stać tylko niektórych ludzi? Jednak samochód już podjeżdżał i nadszedł czas, żeby się pożegnać, a nie zaczynać kłótnię z powodu starych ran.

– Cieszę się, że przyleciałaś, mamo.

– Ja też. Mam nadzieję... Jeśli nie zdołasz poprawić ocen...

– Panuję nad sytuacją – zapewniła ją Alex i miło było wiedzieć, że dzięki Sandowowi bynajmniej nie kłamała. – Obiecuję.

Mira uściskała ją, a Alex wciągnęła zapach olejku paczulowego i tuberozy, wspomnienie dzieciństwa.

– Powinam była lepiej sobie poradzić – powiedziała matka, szlochając. – Powinam była ustalić wyraźniejsze granice. Powinam była pozwalać ci na jedzenie w fast foodach.

Alex nie mogła powstrzymać śmiechu i zaraz skrzywiła się z bólu. Żadna ilość przestrzeganych godzin snu i tłuszczów typu trans nie mogłaby jej uchronić.

Matka usiadła na tylnym siedzeniu samochodu, ale zanim Alex zamknęła za nią drzwi, powiedziała:

– Mamo... mój tata...

Na przestrzeni lat Mira starała się odpowiadać na pytania Alex dotyczące jej ojca. Skąd pochodził? „Czasem mówił, że z Meksyku, czasem że z Peru, innym razem że ze Sztokholmu albo Cincinnati. To był dla nas żart”. Nie brzmiało to zabawnie. „A może to nie był żart”. Czym się zajmował? „Nie rozmawialiśmy o pieniądzach. Lubił surfować”. Kochałaś go? „Tak”. A on ciebie? „Przez pewien czas”. Dlaczego odszedł? „Ludzie odchodzą, Galaxy. Mam nadzieję, że odnalazł szczęście”.

Czy matka mówiła to szczerze? Alex nie wiedziała. Kiedy dorosła na tyle, żeby zdać sobie sprawę, iż te pytania bardzo matkę ranią, a odpowiedzi nigdy się nie zmieniają, przestała pytać. Postanowiła, że nie dba o to. Jeśli ojciec nie zawracał sobie nią głowy, to ona nie zamierzała zawracać sobie głowy nim.

Jednak teraz złapała się na tym, że mówi:

– Czy było w nim coś niezwykłego?

Mira się roześmiała.

– Powiedziałabym, że wszystko było w nim niezwykłe.

– Miałam na myśli... – Alex szukała sposobu opisanego tego, czego chciała się dowiedzieć, tak, żeby nie wyjść na wariatkę. – Czy lubił to samo co ty? Tarota, kryształki i to wszystko? Czy miałaś kiedyś wrażenie, że widzi rzeczy, których nie ma?

Mira spojrzała na Chapel Street. Zapatrzyła się w dal.

– Słyszałaś kiedyś o ludziach jedzących arsenik?

Alex zamruwała zdumiona.

– Nie...

– To ludzie, którzy codziennie przyswajają odrobinę arsenu. Dzięki temu ich skóra jest czystsza, oczy bardziej błyszczące i czują się znakomicie. A jednocześnie po prostu piją truciznę. – Kiedy Mira spojrzała na Alex, jej wzrok był tak surowy i opanowany, jak nigdy dotąd, pozbawiony jej typowej, nieco wymuszonej radości. – Tym właśnie było życie z twoim ojcem. – A potem uśmiechnęła się i wróciła dawna Mira. – Napisz do mnie, gdy już zobaczysz się z lekarzem.

– Pewnie.

Alex zamknęła drzwi i popatrzyła za odjeżdżającym samochodem. Pan Młody zachowywał pełen szacunku dystans, obserwując całą rozmowę, ale teraz się zbliżył. Czy on kiedykolwiek sobie odpuści? Naprawdę nie chciała iść do Il Bastone, ale będzie potrzebowała biblioteki Lete, żeby zorientować się, jak przerwać ich związek.

– „Nikt nie jest nieśmiertelny” – warknęła na niego i zobaczyła, jak niechętnie cofa się i znika między cegłami.

– U twojej mamy wszystko w porządku? – zapytała Mercy, kiedy Alex weszła do ich wspólnego pokoju.

Mercy włożyła hiacyntowy szlafrok i zwinęła się na kanapie.

– Tak myślę. Martwiła się tylko, czy poradzę sobie przez resztę roku.

– A ty się nie martwisz?

– Pewnie. Jasne.

Mercy prychnęła.

– Właśnie, że nie. Przecież widzę. Powrót tajemniczej Alex Stern. W porządku. Tajemniczość nie jest zła. Grałam w softball przez dwa lata w szkole średniej.

– Serio?

– Widzisz? Ja też mam sekrety. Słyszałaś o Blake’u?

Nie. O niczym nie słyszała w ciągu tygodni, gdy ukrywała się w Klitce. Na tym zasadzał się cały sens jej ucieczki. Jednak według Mercy Blade Keely zaatakował kobietę w jej domu i jej mąż załatwił go kijem golfowym. Technicy kryminalni zidentyfikowali nóż, który miał przy sobie, jako broń, którą zabito Tarę Hutchins. Nikt nic nie wspominał o Dawes, domu przy Orange Street ani śmiertelnościami marmurowym łbie Hirma Bingham III. Nikt nie mówił o serwilisie. Nie padło ani jedno słowo na temat stowarzyszeń. Sprawa zamknięta.

– Sama mogłam skończyć martwa – powiedziała Mercy. – Chyba powinnam się cieszyć.

„Cieszyć”. To słowo zawisło w powietrzu, a jego niewłaściwość była jak przykry brzęk dzwonu.

Mercy odchyliła głowę na oparcie sofy i zagapiła się w sufit.

– Moja prababka dożyła stu trzech lat. Sama rozliczała swoje podatki i codziennie rano chodziła popływać na basenie, aż się przekręciła w trakcie zajęć z jogi.

– To musiała być świetna osoba.

– Była najbardziej upierdliwą jędzą pod słońcem. Mój brat i ja nie cierpieliśmy chodzić do jej domu. Podawała cuchnącą herbatę i wiecznie narzekała. Jednak za każdym razem człowiek czuł się trochę twardszy pod koniec wizyty. Bo ją przetrwaliśmy.

Alex uznała, że będzie miała szczęście, jeśli wytrzyma do końca semestru. Ale miło było pomarzyć.

– Żałuję, że moja babcia nie dożyła stu trzech lat.

– Jaka była?

Alex usiadła na paskudnym fotelu Lauren.

– Przesądna. Religijna. Nie do końca wiem, czy to pierwsze, czy drugie. Ale miała żelazne zasady. Mama powiedziała mi, że kiedy przyprowadziła mojego ojca do domu, on tylko raz spojrzął na babcię, odwrócił się i nigdy nie wrócił.

Alex zapytała kiedyś o to babcię, po jej pierwszym ataku serca. „Za ładny” – odpowiedziała, machając lekceważąco ręką. Mal tormento que soplo. Zły wiatr, który przeleciał na przestrzal.

– Chyba trzeba takim być – powiedziała Mercy – jeśli ma się dożyć starości.

Alex wyjrzała przez okno. Pan Młody wrócił. Twarz miał napiętą, zdeterminowaną. Jakby mógł czekać wieczność. Pewnie mógł.

„Czego chcesz?” – zapytała ją Belbalm. „Bezpieczeństwa, wygody, braku lęku. Chcę dożyć starości – pomyślała Alex, zaciągając zasłony. – Chcę siedzieć na ganku, pić cuchnącą herbatę i wrzeszczeć na przechodniów. Chcę przetrwać w tym świecie, który wciąż próbuje mnie zniszczyć”.

POCZĄTEK WIOSNY

Następnego ranka, kiedy Alex wyszła na zajęcia, postanawiając chociaż się pokazać, North nadal czekał. Robił wrażenie wzburzonego, co rusz przecinał jej drogę, unosił się w jej polu widzenia, więc nie mogła widzieć tablicy podczas hiszpańskiego.

„Wiem, że cię tu nie ma – napisała do Dawes, kiedy wyszła z zajęć. – Ale czy znalazłaś coś na temat zrywania więzi z Szarymi? Mam problem z Panem Młodym”.

Straciła cierpliwość, skręciła do łazienki przy wejściu do Jadalni i pomachała na Northa.

– Powiedz mi jedną rzecz – zaczęła. – Znalazłeś Tarę za Zasłoną?

Pokręcił głową.

– W takim razie odpieprz się ode mnie. Koniec umowy. Sprawa została rozwiązana, a ja nie chcę zadawać się z dupkiem, który morduje dziewczyny.

Alex tak naprawdę nie wierzyła, że North ponosi odpowiedzialność za śmierć Daisy, ale chciała, żeby zostawił ją w spokoju.

Pan Młody wskazał palcem umywalkę.

– Jeśli myślisz, że napuszczę wody, żebyśmy sobie pogawędzili, to się mylisz. Odpuść sobie.

Pomyślała, czy nie zerwać się z wykładu i nie wrócić do ciszy magicznie chronionego pokoju w akademiku, ale zadała sobie już dość trudu, żeby się ubrać. Równie dobrze mogła to wykorzystać. Przynajmniej to był Szekspir, a nie współczesna powieść brytyjska.

Przeszła Elm Street na High Street i do Linsly-Chittenden Hall, zajęła miejsce w ławce przy przejściu. Za każdym razem, gdy Pan Młody pojawiał się przed jej oczami, ogniskowała wzrok gdzie indziej. Nie przeczytała tego, co

powinna, ale każdy zna *Poskromienie złoŃnicy*, a jej podobał się fragment, którym się zajmowali – o muzyce i siostrach.

Alex patrzyła na slajd z sonetem nr 130, kiedy poczuła, że głowa jej dosłownie pęka. Zalała ją fala lodowatego zimna. Zobaczyła rozbłyŃki ulicy oświetlonej gazowymi lampami, komin buchający ciemnymi chmurami w szare niebo. Poczwała smak tytoniu w ustach. „North” – pomyślała. North znalazł się wewnątrz niej, a ona go wcale nie zaprosiła. Zdążyła poczuć nagły gniew, a potem świat pociemniał.

W następczej sekundzie patrzyła na kartkę papieru. Profesor nadal mówiła, ale Alex nie całkiem rozumiała, co takiego. Widziła ślad długopisu ciągnący się od miejsca, w którym przerwała notatki. Na stronie nabazgrano chwiejnym charakterem pisma trzy daty: 1854 1869 1883.

Na kartce były ślady krwi.

Alex podniosła rękę i omal nie uderzyła się w twarz. Jakby zapomniała, jak długą ma rękę. Pośpiesznie otarła twarz rękawem. Krew leciała jej z nosa.

Dziewczyna na prawo od niej gapiła się na nią.

– Nic ci nie jest?

– Mam się świetnie – odpowiedziała.

Ścisnęła nozdrza palcami, starając się powstrzymać krwawienie, a potem pośpiesznie zamknęła zeszyt. North unosił się przed nią z miną wyrażającą upór.

– Ty sukinsynu.

Dziewczyna obok niej skrzywiła się, ale Alex miała dość robienia dobrej miny do złej gry. North ją opętał. Był w niej. Równie dobrze mógłby wepchnąć rękę w jej tyłek i zrobić z niej pacynkę.

– Ty pierdolony sukinsynu – warknęła pod nosem.

Schowała zeszyt do torby, porwała płaszcz i pośpiesznie wyszła z wykładu, a potem tylnymi drzwiami z Linsly-Chittenden Hall. Poszła prosto do Il Bastone, pisząc rozpaczliwą wiadomość do Dawes: „SOS”.

Kuśtykała, zanim doszła do błoni, ból w boku utrudniał jej oddychanie. Żałowała, że nie wzięła ze sobą percocetu. North nadal sunął kilka kroków za nią.

– Teraz zachowujesz pełen szacunku dystans, ty bezcielesny skurwysynie? – warknęła przez ramię.

Miał ponurą minę, ale było pewne jak diabli, że nie jest mu przykro.

– Nie wiem, co złęgo można zrobić duchowi, ale dowiem się – obiecała mu.

Cała jej wściekłość była przykrywką dla strachu, jaki kołatał się w jej sercu. Skoro wszedł raz, to czy zdoła ponownie? Do czego mógł ją zmusić? Do skrzywdzenia siebie? Skrzywdzenia kogoś innego? Na dobrą sprawę posłużyła

się Northem do tego samego, kiedy Lance ją zaatakował, ale wtedy jej życiu groziło niebezpieczeństwo. Nie zmuszała go do poszukiwań i zbierania danych.

A jeśli inni Szarzy odkryją to i zaczną się wpraszać? To musiał być efekt więzi, jaka połączyła ją z Northem. Dwa razy go zaprosiła. Znała jego imię i nazwisko. Zwracała się do niego po imieniu. Może kiedy raz otworzy się drzwi, nie da się ich ponownie zamknąć.

– Alex?

Obróciła się gwałtownie i przeszył ją ból z rany. Na chodniku stał Tripp Helmuth w granatowej wiatrówce drużyny żeglarskiej i odwróconej do tyłu czapce z daszkiem.

– Czego chcesz?

Uniósł ręce w obronnym geście.

– Niczego! Chciałem tylko... Dobrze się czujesz?

– Nie, naprawdę nie, ale niedługo będę.

– Chciałem ci tylko podziękować za to, no wiesz, że nie wywlekałaś sprawy Tary.

Alex niczego dla niego nie zrobiła, ale jeśli Tripp uważał, że było przeciwnie, to nie miała nic przeciwko temu.

– Nie ma sprawy.

– Ale sprawa z Blake’iem Keelym to jakieś szaleństwo.

– Tak uważasz?

Tripp zdjął czapkę, przeczesał włosy palcami i włożył ją z powrotem.

– A może nie. Nigdy go nie lubiłem. Niektórzy goście są po prostu z natury podli, wiesz?

Alex spojrzała na Trippa zaskoczona. Może nie był aż tak bezużyteczny, jak jej się wydawało.

– Dobrze to wiem.

Rzuciła ostrzegawcze spojrzenie Northowi, który krążył w tę i z powrotem, przechodząc raz za razem przez Trippa.

Tripp zadygotał.

– W mordę, chyba rozkłada mnie jakaś grypa.

– Idź, odpocznij – poradziła mu Alex. – Ostatnio krąży tu coś niedobrego.

Coś, co wygląda jak martwy gość z epoki wiktoriańskiej.

Alex pośpiesznie poszła Elm Street do Orange, chcąc jak najszybciej znaleźć się za magicznymi osłonami. Z trudem wspięła się po trzech stopniach na werandę Il Bastone i ogarnęło ją uczucie ulgi, gdy tylko otworzyła drzwi i przekroczyła próg. North unosił się pośrodku ulicy. Zatrzasnęła drzwi i zobaczyła przez okno, że podmuch powietrza obalił go na plecy – jakby cały dom potężnie sapnął. Oparła czoło o drzwi.

– Dzięki – mruknęła.

Jednak co następnym razem miałoby go powstrzymać przed wepchnięciem się w nią? Czy będzie musiała wrócić na pogranicze, żeby przerwać więź? Zrobi to. Zda się na łaskę Salome Nils, żeby ponownie wpuściła ją do Wilczego Łba. Pozwoli, żeby Dawes tysiąc razy ją utopiła.

Odwróciła się, przyciskając plecy do drzwi. Czuła się tu jak w bezpiecznej przystani. Popołudniowe światło wpadało przez ocalałe witrażowe okno w przedpokoju. Drugie zabito deskami, kamienie i odłamki szkła leżały w głębokim cieniu. Na starej tapecie widać było krew w miejscu, gdzie Dawes uderzyła głową. Nikt nie próbował tego zmyć.

Alex zerknęła do salonu, niemal spodziewając się, że zobaczy tam Dawes. Jednak nigdzie nie było widać ani śladu jej segregatorów, jej katalogowych kart, ani jej samej. Dom wydawał się pusty, poobijany i ranny. To wywołało tępy ból w sercu Alex. Nigdy nie musiała wrócić do Strefy Zero. I nigdy nie kochała Strefy Zero. Z radością odwróciła się do tego miejsca plecami, nie chcąc nigdy więcej patrzeć na jatkę, którą tam urządziła.

Może jednak kochała Il Bastone, ten stary dom z ciepłym drewnem, ciszą i gościnnością.

Odepchnęła się od drzwi i wyjęła szufelkę i szczotkę ze schowka. Zamiecenie odłamków szkła zajęło jej dużo czasu. Wsypała je do plastikowej torby i zakleiła kawałkiem taśmy. Nie była pewna, czy powinna je wyrzucić. Może mogliby włożyć odłamki do tygła z kozim mlekiem i ocalić witraż.

Dopiero kiedy poszła umyć ręce w małej toalecie, zdała sobie sprawę, że ma zaschniętą krew na twarzy. Nic dziwnego, że Tripp zapytał o jej zdrowie. Zmyła ją, patrząc, jak woda spływa, wirując i znika.

Znalazła niezepsuty chleb i ser w lodówce. Zrobiła sobie lunch, chociaż nie była głodna. A potem poszła na górę do biblioteki.

Dawes nie odpowiedziała na jej wiadomości. Pewnie nawet nie patrzyła na telefon. Ona też się zaszyła. Alex nie miała do niej pretensji, ale to znaczyło, że sama musi znaleźć sposób zerwania więzi z Panem Młodym.

Wyrwała Księgę Albemarle'a z półki i się zawahała. Natychmiast rozpoznała pierwszą datę, do której napisania w zeszycie zmusił ją North. 1854 – rok jego śmierci. Pozostałe daty nic dla niej nie znaczyły. Niczego nie była mu winna. Jednak Darlington uważał, że sprawa Pana Młodego jest warta zbadania. Chciałby wiedzieć, co znaczą te daty. Może Alex też chciała. Miała wrażenie, że ustępuje, ale North nie musiał się dowiedzieć, że obudził w niej ciekawość.

Alex zdjęła torbę i wyjęła notatki z Szekspira. Otworzyła je na zakrwawionej stronie: 1854 1869 1883. Gdyby spróbowała szukać informacji po samych

datach, biblioteka pewnie oszalałaby. Musiała znaleźć sposób na zawężenie pola poszukiwań.

A może wystarczyłoby znaleźć notatki Darlingtona.

Alex przypomniała sobie słowa, które napisał na katalogu z powozami: „Pierwsza?”. Jeśli rzeczywiście badał sprawę Northa, to nie znalazła żadnych notatek w sypialni Wergiliusza ani w Black Elm. A może jego notatki znajdowały się w bibliotece? Alex otworzyła Księgę Albemarle’a i spojrzała na ostatnie wpisy Darlingtona – zapytanie o plany Rosenfeld Hall. Jednak tuż nad nim znajdowało się pytanie o coś, co nazywało się *Daily New Haven*. Skopiowała dokładnie wpis i odstawiła książkę na półkę.

Kiedy regał przestał się trząść, otworzyła przejście i weszła do biblioteki. Półki były zapełnione stosami czegoś, co przypominało nie tyle gazetę, ile ulotki wypełnione drobną czcionką. Były ich tysiące.

Alex wyszła i znowu otworzyła Księgę Albemarle’a. Darlington pracował w bibliotece w noc zniknięcia. Zamówił plany Rosenfeld Hall.

Tym razem gdy otworzyła drzwi, na regale leżała płasko tylko jedna książka. Była wielkiego formatu i cieniutka, oprawiona w wołą skórę. Nie było na niej ani grama kurzu. Alex położyła ją na stole pośrodku pokoju i pozwoliła, żeby sama się otworzyła. Między trzecim a czwartym podziemnym poziomem Rosenfeld Hall leżała żółta kartka z notesu, schludnie złożona i pokryta drobnymi, kanciastymi bazgrołami Darlingtona – ostatnia rzecz, jaką napisał, zanim ktoś wysłał go do diabła.

Bała się rozłożyć tę kartkę. To mogło nie być nic ważnego. Po prostu notatki do pracy semestralnej. Lista napraw potrzebnych w Black Elm. Jednak w to nie wierzyła. Tamtej grudniowej nocy Darlington pracował nad czymś, co było dla niego ważne, nad czymś, co rozgryzał od miesięcy. Był roztargniony, może myślał o nadchodzącej nocy, może martwił się swoją uczennicą, która nigdy nie czytała tego, co jej zadano. Nie chciał zabierać notatek ze sobą, więc ukrył je w bezpiecznym miejscu. Tutaj, w książce z planami. Myślał, że niedługo do nich wróci.

– Powinam była być lepszym Dantem – szepnęła.

Może teraz będzie mogła bardziej się wykazać.

Delikatnie rozłożyła kartkę. Pierwsza linijka brzmiała: „1958 – Colina Tillman-Wrexham. Atak serca? Udar?”.

Poniżej widniała seria dat – wszystkie połączone z kobiecymi imionami i nazwiskami. Ostatnie trzy pasowały do tych, do których napisania zmusił ją North.

1902 – *Sophie Mishkan-Rhineland* – zapalenie opon mózgowych?

1898 – *Effie White-Stone-Dropsy (odma?)*
1883 – *Zuzanna Mazurski-Phelps – apopleksja*
1869 – *Paoletta DeLauro-Kingsley – zadżgana*
1854 – *Daisy Fanning Whitlock-Russell – zastrzelona*

„Pierwsza?”. Darlington uważał, że Daisy była pierwsza, ale w jakim sensie? Daisy została zastrzelona, a Paoletta zadżgana, ale pozostałe kobiety zmarły z przyczyn naturalnych.

Albo ktoś nauczył się sprytniej zabijać.

„To mi się zwiduje – pomyślała Alex. – Tworzę związki, które nie istnieją”. Według każdego programu telewizyjnego, jaki kiedykolwiek oglądała, seryjni mordercy zawsze mają swój modus operandi, ulubiony sposób zabijania. Poza tym jeśli w New Haven działał morderca i jeśli daty się zgadzały, to ten konkretny psychopata polował na dziewczyny od 1854 roku do 1958 – przez ponad sto lat.

Nie mogła jednak powiedzieć, że to niemożliwe, bo widziała, co magia potrafi.

I było coś znajomego w sposobie, w jaki te daty się grupowały. Wzór odpowiadał temu, w jaki sposób powstawały stowarzyszenia. Raptowny wzrost działalności w XIX wieku, a potem nie wybudowano nowego grobowca aż do lat sześćdziesiątych, kiedy powstała siedziba Manuskryptu. Nieprzyjemny dreszcz przeszedł jej po plecach. Wiedziała, że stowarzyszenie Czaszki i Kości założono w 1832 roku i to nie odpowiadało żadnej z dat śmierci, ale to była jedyna data, którą pamiętała.

Wzięła notatki i pobiegła korytarzem do sypialni Dantego. Wyjęła z szuflady biurka egzemplarz *Życia Lete*. Zwój i Klucz założono w 1842 roku, Księgę i Węża w 1865, Świętego Elma w 1889, Manuskrypt w 1952. Tylko data założenia Wilczego Łba pasowała do śmierci w 1883 roku, ale to mógł być zbieg okoliczności.

Przesunęła palcem po liście nazwisk.

1854 – Daisy Fanning Whitlock-Russell – zastrzelona

Nigdzie indziej nie widziała podwójnego nazwiska Daisy. Pisano o niej po prostu „Daisy Fanning Whitlock”.

Bo to nie było podwójne nazwisko. Rhinelander. Stone. Phelps. Kingsley. Russell, Wrexham. To były nazwy fundacji i organizacji, które założyły stowarzyszenia i opłaciły budowę grobowców.

Alex pobiegła z powrotem do biblioteki i zamknęła przejście regałem. Znowu wyszarpnęła Księgę Albemarle’a, ale tym razem zmusiła się do zastanowienia. Musiała obmyślić, jak ująć problem. Russell to fundacja, która

założyła Czaszkę i Kości. Alex ostrożnie napisała: „Akty notarialne dotyczące ziem zakupionych przez fundację Russell przy High Street, New Haven, Connecticut”.

Na środkowej półce czekała na nią księga rachunkowa. Widniał na niej widmowy ogar, symbol Lete, a w środku Alex znalazła jeden po drugim akty poświadczające zakup ziem w całym New Haven, w miejscach, które pewnego dnia staną się siedzibami ośmiu Domów Zasłony. Każda zostanie zbudowana na węźle mocy stworzonym przez jakąś nieznaną siłę.

Tyle że Darlington ją rozpoznał. „Pierwsza.” 1854 rok – wtedy fundacja Russell kupiła ziemię, na której stowarzyszenie Czaszki i Kości wybuduje swój grobowiec. Darlington złożył w całość to, co stworzyło te ogniska magii napędzające rytuały stowarzyszeń, węzły, które wszystko umożliwiły. Martwe dziewczyny. Jedna po drugiej. Wykorzystał stare wydania New Havenera, żeby dopasować miejsca, w których zginęły, z lokalizacją grobowców stowarzyszeń.

Co było specjalnego w ich śmierci? Nawet jeśli wszystkie zostały zamordowane, to w New Haven doszło do mnóstwa morderstw na przestrzeni lat, które nie poskutkowały powstaniem magicznych węzłów. A Daisy nie zginęła na High Street, gdzie stowarzyszenie Czaszki i Kości zbudowało swój grobowiec, więc dlaczego węzeł tam się uformował? Alex wiedziała, że coś jej umyka, że nie udaje jej się połączyć kropek, które Darlington połączył.

North podał jej daty. On też spostrzegł związek.

Alex pobiegła z powrotem do łazienki i napełniła umywalkę wodą.

– North! – zawołała, czując się jak kretyńka. – North!

Nic. Te duchy. Nigdy ich nie ma, gdy ich potrzebujesz.

Jednak istniało mnóstwo sposobów, żeby zwrócić uwagę Szarego. Alex zawahała się, a potem wzięła z biurka nóż do listów. Rozcięła sobie przedramię i pozwoliła, żeby krew skapnęła do wody. Rozlała się chmurką.

– Puk, puk, North.

Jego twarz pojawiła się w odbiciu tak nagle, że Alex aż podskoczyła.

– Śmierć Daisy stworzyła węzeł – powiedziała. – Jak na to wpadłeś?

– Nie mogłem znaleźć Tary. To powinno być łatwe, gdy ma się przedmiot w ręce, ale nigdzie nie było jej śladu po tej stronie Zasłony. Tak samo jak Daisy. Nie ma też śladu Gladys O'Donaghue. Coś się wydarzyło tamtego dnia. Coś większego niż tylko moja śmierć czy Daisy. Myślę, że to samo powtórzyło się przy śmierci Tary.

Daisy była arystokratką, należała do elity miasta. Jej śmierć wszystko zaczęła. Jednak pozostałe dziewczyny? Kim były? Nazwiska takie jak DeLauro, Mazurski, Mishkan. To były imigrantki pracujące w fabrykach? Pomoce

domowe? Córki wyzwolonych niewolników? Dziewczyny, które nie prowokowały nagłówków, nie dostały marmurowych nagrobków po śmierci?

I Tara miała być jedną z nich? Ofiarą? Jednak dlaczego zamordowano ją w tak makabryczny sposób? Tak publicznie? I dlaczego teraz? Jeśli to rzeczywiście były morderstwa, to minęło ponad pięćdziesiąt lat, odkąd zmarła ostatnia dziewczyna.

Ktoś potrzebował węzła. Jeden z Domów Zasłony potrzebował nowej siedziby. Święty Elmo od lat domagał się zbudowania nowego grobowca, a na co komu grobowiec bez węzła? Alex przypomniała sobie pusty skwer, na którym znaleziono ciało Tary. Było tam mnóstwo miejsca pod budowę.

– North – powiedziała. – Wróć i poszukaj pozostałych. – Odczytała mu nazwiska jedno po drugim: Colina Tillman, Sophie Mishkan, Effie White, Zuzanna Mazurski, Paoletta DeLauro. – Spróbuj je znaleźć.

Zerwała ręcznik z wieszaka i przycisnęła do rozcięcia. Usiadła przy biurku i wyrzała przez okno na Orange Street, starając się zebrać myśli. Gdyby Darlington odkrył sposób tworzenia węzłów, pierwszą osobą, której powiedziałby o tym, byłby Sandow. Byłby pewnie dumny, podekscytowany nowym odkryciem, które rzucało światło na sposób działania magii w mieście. Jednak Sandow nigdy nie wspomniał ani jej, ani Dawes o tych nowych poszukiwaniach Darlingtona.

Czy to miało znaczenie? Sandow nie mógł brać w tym udziału. Został brutalnie zaatakowany raptem kilka stóp od miejsca, w którym teraz siedziała. Prawie umarł.

Jednak nie z powodu Blake'a Keely'ego. Blake skrzywdził Dawes i omal nie zabił Alex, ale nie zrobił niczego dziekanowi. To warczące, na wpół oszalałe ogary Lete, które przybiegły, żeby bronić Alex. Przypomniała sobie zaciśniętą pięść Blake'a. Uderzył ją tą ręką, ale jej nie otworzył.

Przeszła korytarzem do schodów. Nie zważając na ciemną plamę na dywanie i nadal unoszący się zapach wymiocin, uklękła i zaczęła szukać – w szparach podłogi, pod bieżnikiem. Dopiero kiedy zerknęła do pustej wiklinowej żardyniery, spostrzegła błysk złota. Owinęła rękę w rękaw bluzki i ostrożnie wyjęła przedmiot do światła. Moneta przymusu. Ktoś kontrolował Blake'a. Ktoś wydał mu bardzo konkretne rozkazy.

„To rok ustalania funduszy”.

Darlington poszedł ze swoją teorią dotyczącą dziewczyn i grobowców do Sandowa. Niestety dziekan już wiedział. Sandow, który miał kłopoty finansowe po rozwodzie i nie opublikował niczego od lat. Sandow, który tak desperacko próbował wyciszyć zniknięcie Darlingtona. Sandow, który odwlekał rytuał mający odnaleźć Darlingtona, aż minął pierwszy nów, który posłużył się tym

rytuałem, żeby uniemożliwić Darlingtonowi powrót do Black Elm. Bo może to Sandow przygotował pułapkę na Darlingtona w piwnicy Rosenfeld Hall. Już wtedy planował zabić Tarę Hutchins i wiedział, że tylko Darlington zrozumie, co naprawdę znaczy jej śmierć. Dlatego się go pozbył.

Sadow nigdy nie zamierzał sprowadzić Darlingtona z powrotem. W końcu Alex była idealnym kozłem ofiarnym. To oczywiste, że wszystko musiało się pochrzanić w roku, kiedy sprowadzili do Lete kogoś obcego. Należało się tego spodziewać. W przyszłości będą ostrożniejsi. W następnym roku błyskotliwa, kompetentna Michelle Alameddine zajmie się edukacją ich krnąbrnego Dantego. A Alex będzie miała dług u Sandowa, na zawsze będzie mu wdzięczna za poprawienie średniej ocen.

„Może się mylę” – pomyślała. A nawet jeśli miała rację, to nie znaczyło, że musi coś powiedzieć. Mogła milczeć, zgodzić się na lepsze oceny, zaliczyć spokojne, piękne lato. Colin Khatri skończy w maju szkołę, więc nie będzie musiała dłużej być dla niego miłą. Przetrwa, może wręcz rozkwitnie pod opieką profesor Belbalm.

Obróciła monetę przymusu w rękę.

W dniach po masakrze w mieszkaniu przy Van Nuys Eitan przeleciał całe Los Angeles, próbując dowiedzieć się, kto zabił jego kuzyna. Krążyły plotki, że to Rosjanie, tyle że Rosjanie woleli broń palną, a nie kije baseballowe. Albo Albańczycy. Albo ktoś z Izraela, kto dopilnował, żeby Ariel nigdy nie wrócił z Kalifornii.

Eitan przyszedł odwiedzić Alex w szpitalu mimo policji pilnującej jej drzwi. Ludzie tacy jak Eitan byli podobni do Szarych. Zawsze potrafili wejść tam, gdzie chcieli.

Usiadł przy łóżku na krześle, które raptem dzień wcześniej zajmował dziekan Elliot Sandow. Miał zaczerwienione oczy i sypał mu się zarost na podbródku. Jednak jak zawsze był ubrany w elegancki garnitur, nosił złoty łańcuch na szyi rodem z lat siedemdziesiątych, jakby kolejne pokolenia alfonsów i sutenerów przekazywały go sobie niczym puchar przechodni.

– Prawie umarłaś tamtej nocy – powiedział.

Alex zawsze podobał się jego akcent. Początkowo myślała, że jest Francuzem.

Nie wiedziała, jak zareagować, więc oblizła usta i wskazała na dzbanek z kostkami lodu. Eitan odchrząknął i skinął głową.

– Otwórz usta – powiedział i położył jej na język dwa kawałki lodu. – Masz bardzo spierzchnięte usta. Bardzo wysuszone. Poproś o wazelinę.

– Dobrze – wychrypiąca.

– Coś się wydarzyło tamtej nocy?

– Nie wiem. Przyszłam późno na imprezę.

– Dlaczego? Gdzie byłaś?

Czyli to przesłuchanie. W porządku. Alex była gotowa się przyznać.

– Ja to zrobiłam.

Eitan poderwał głowę.

– Ja ich wszystkich zabiłam.

Eitan zgarbił się na krześle i przesunął ręką po twarzy.

– Pieprzone ćpuny.

– Nie jestem ćpunem. – Nie wiedziała, czy to prawda. Nigdy nie sięgnęła po silne narkotyki. Za bardzo się bała, co może się stać, jeśli straci kontrolę, więc utrzymywała się przez lata w precyzyjnie dobranym stanie otumanienia.

– Ty ich zabiłaś? Drobną dziewczynka. Straciłaś przytomność nabuzowana fentanylem. – Eitan rzucił jej spojrzenie z ukosa. – Wisisz mi za towar.

Fentanyl. W jakiś sposób przeszedł do jej krwi z krwi Hellie i zostało go w jej ciele dość, żeby wyglądało tak, jakby też o mały włos nie przedawkowała. Ostatni podarunek, idealne alibi.

Alex się roześmiała.

– Idę na Yale.

– Pieprzone ćpuny – powtórzył z niesmakiem Eitan.

Wstał, otrzepał idealnie skrojone spodnie.

– Co zamierzasz? – zapytała Alex.

Rozejrzał się po sali.

– Nie masz kwiatów, baloników, nic takiego. To smutne.

– Pewnie tak – odpowiedziała.

Nie była nawet pewna, czy jej matka wie, że ona jest w szpitalu. Mira pewnie od dawna czekała na taki telefon.

– Nie wiem, co zrobię – przyznał Eitan. – Myślę, że twój chłopak, ten dupek, zadłużył się u niewłaściwej osoby. Orznął kogoś albo wkurzył, a Ariel znalazł się w złym miejscu w złej porze. – Znowu potarł twarz. – Ale to nie ma znaczenia. Kiedy raz wyjdiesz na matola, to jest jak tatuaż: wszyscy to widzą. Dlatego ktoś za to umrze. – Alex zastanawiała się, czy to będzie ona. – Wisisz mi za fentanyl. Sześć tysięcy dolarów.

Kiedy Eitan wyszedł, poprosiła pielęgniarkę, żeby przysunęła jej bliżej szpitalny telefon. Wyjęła wizytówkę, którą zostawił jej Elliot Sandow, i zadzwoniła do jego biura.

– Przyjmę pana ofertę – powiedziała, kiedy sekretarka połączyła ją z nim – ale będę potrzebowała pieniędzy.

– To nie powinien być problem – odparł wtedy dziekan.

Później Alex żałowała, że nie poprosiła o więcej.

Alex znowu obróciła monetę przymusu. Wstała, ignorując ból, który ją przeszył. Wróciła do biurka, gdzie rozłożyła bazgroły Darlingtona obok swoich zakrwawionych notatek z Szekspira.

„Kiedy raz wyjdiesz na matoła, to jest jak tatuaż: wszyscy to widzą”.

Wzięła telefon i zadzwoniła do domu dziekana. Zgodnie z oczekiwaniami odebrała jego gospodyni.

– Cześć, Yelena. Mówi Alex Stern. Mam coś dla dziekana, co powinnam mu podrzucić.

– Nie ma go w domu – odpowiedziała Yelena z bardzo mocnym ukraińskim akcentem – ale możesz przynieść paczkę dla niego.

– Wiesz, dokąd wyszedł? Lepiej się czuje?

– Tak. Poszedł na duże przyjęcie u rektora. Powitalne.

Alex nigdy nie była w domu rektora, ale wiedziała, który to budynek. Darlington jej pokazał – ładna sterta czerwonej cegły i białej stolarki przy Hillhouse Street.

– To świetnie – powiedziała. – Niedługo wpadnę.

Potem napisała do Turnera: „Źle to rozwikłaliśmy. Spotkaj się ze mną w domu rektora”.

Złożyła listę nazwisk i schowała w kieszeni. Miała dość robienia za matoła dla Sandowa.

– W porządku, Darlingtonie – szepnęła. – Zabawmy się w rycerzy.

POCZĄTEK WIOSNY

Alex zajrzała do akademika, żeby wziąć prysznic i się przebrać. Starannie wyszczotkowała włosy, sprawdziła bandażę, włożyła sukienkę, którą kupiła jej matka. Nie chciała się wyróżniać. A gdyby coś poszło nie tak, chciała wyglądać jak najbardziej wiarygodnie. Nalała sobie filiżankę herbaty i poczekała, aż pojawi się w niej North.

– Coś się udało? – zapytała, gdy zobaczyła jego bladą twarz.

– Nie ma tu żadnej z nich – odpowiedział. – Coś się stało z tymi dziewczynami. To samo, co przytrafiło się Daisy. Coś gorszego niż śmierć.

– Spotkaj się ze mną poza magicznymi osłonami. I bądź gotowy. Będę potrzebowała twojej siły.

– Dostaniesz ją.

Alex nie wątpiła. To zabłąkana magia zabiła Northa i jego narzeczoną – Alex była tego pewna. Jednak potem doszło do czegoś jeszcze, czego Alex nie potrafiła wytłumaczyć. Wiedziała tylko, że to uniemożliwiło Daisy przejście za Zastonę, gdzie mogłaby odnaleźć spokój.

Pojechała zamówionym samochodem do domu rektora. Przed frontem stał chłopak, który parkował samochody gości. Przez okna widziała ludzi tłoczących się w pokojach. Dobrze. Będą świadkowie.

Mimo to napisała do Dawes. „Wiem, że zniknęłaś, ale jeśli coś mi się stanie, to wina Sandowa. Zostawiłam zapiski w bibliotece. Po prostu poproś Księgę Albemarle’a”.

Nie dostała jeszcze odpowiedzi od Turnera. Czy teraz, gdy myślał, że jego sprawa została już rozwiązana, skończył z Alex? Cieszyła się z obecności Northa, gdy szła ścieżką.

Spodziewała się, że ktoś będzie sprawdzał nazwiska przy wejściu, ale weszła bez przeszkód. Pomieszczenia były ciepłe i pachniały wilgotną wełną

i pieczonymi jabłkami. Zdjęła płaszcz i powiesiła go na dwóch innych. Mimo gwaru rozmów słyszała, że ktoś gra na fortepianie. Porwała dwa faszerowane kapelusze grzybów z tacy przechodzącego obok kelnera. Do diabła, nie umrze z pustym żołądkiem.

– Alex? – zapytał kelner i zdała sobie sprawę, że to Colin.

Robił wrażenie może nieco zmęczonego, ale z pewnością nie zasmuconego czy rozgniewanego.

– Nie wiedziałam, że pracujesz też dla rektora – powiedziała ostrożnie.

– Belbalm mnie wypożyczyła. Muszę później odwiedzić ją do domu, jeśli chcesz, żeby cię podrzucić. Pracujesz dzisiaj?

Alex pokręciła głową.

– Nie, mam tylko coś do przekazania dziekanowi Sandowowi.

– Chyba widziałem go przy fortepianie. Wróć do kuchni, gdy załatwisz swoje sprawy. Ktoś przysłał Belbalm butelkę szampana i przyniosła ją dla nas.

– Świetnie – odparła Alex z nieszczerym entuzjazmem.

Znalazła toaletę i czmychnęła do niej. Potrzebowała chwili, żeby wziąć się w garść, żeby ogarnąć swobodne zachowanie Colina. Powinien być wściekły. Powinien nienawidzić jej za ujawnienie jego związków w Tarą i faktu, że stowarzyszenie Zwoju i Klucza podzieliło się swoimi tajemnicami z ludźmi z zewnątrz i korzystało z nielegalnych narkotyków. Nawet jeśli Sandow nie wymienił jej imienia w trakcie procedur dyscyplinarnych, to nadal była reprezentantką Lete.

Tyle że Alex wiedziała, że nikt nie poniesie prawdziwych konsekwencji. Dostaną tylko po łapach. Ktoś inny zapłaci za to krwią. Mimo wszystko spodziewała się, że w jakimś stopniu sprawcy zostaną rozliczeni.

Oparła się o umywalkę i zapatrzyła w lustro. Wyglądała na wyczerpaną, pod oczami miała ciemne cienie. Włożyła stary czarny sweter na obcisłą kremową sukienkę z wełny, którą kupiła jej matka. Teraz go zdjęła. Jej skóra była ziemista, ręce chude i żyłaste jak u kogoś, kto wiecznie nie dojadał. Widziała różowy ślad przesączający się przez wełnę sukienki. Nowy opatrunek musiał się poluzować na brzegach. Miała wyglądać porządnie, jak dobra dziewczyna, która się stara, jak ktoś, komu można zaufać. A zamiast tego wyglądała jak potwór za progiem.

Alex słyszała brzęk kieliszków i pomruk uprzejmych rozmów w salonie. Tak bardzo się starała stać się częścią tego świata. Jeśli jednak taki był prawdziwy świat, normalny świat, to czy naprawdę chciała do niego wejść? Nic nigdy się nie zmieniało. Źli ludzie nigdy nie cierpieli. Colin, Sandow, Kate i wszyscy ludzie, którzy byli tu przed nimi, którzy wypełniali grobowce i uprawiali magię – nie różnili się od Lenów, Eitanów i Arielów tego świata. Brali to, czego chcieli. Świat mógł im wybaczyć, zignorować ich albo ich przyjąć, ale nigdy ich nie

karął. Zatem gdzie tu sens? Jaki sens ma średnia, dzięki której zda, i jej kaszmirowe swetry z wyprzedzący, skoro gra jest ustawiona od pierwszej chwili?

Alex przypomniała sobie ćmy pocztowe, które Darlington ułożył na jej skórze w przyćmionym świetle zbrojowni. Pamiętała, jak patrzyła na blednące tatuaże i po raz pierwszy uwierzyła, że wszystko jest możliwe, że może znaleźć sposób, aby odnaleźć się w tym miejscu.

„Uważaj tylko przy porywach namiętności”. Ślina mogła odwrócić działanie czaru.

Alex zacisnęła dłonie w pięści. Przesunęła językiem po kostkach lewej ręki, a potem zrobiła to samo z prawą. Przez chwilę nic się nie działo. Alex słuchała, jak woda kapie z kranu.

A potem tusz rozkwitł czernią na jej rękach. Węże i peonie, pajęczyny i gromady gwiazd, dwa niezgrabne karpie koi krążące wokół siebie na jej lewym bicepsie, szkielet na przedramieniu, tajemne symbole Koła Fortuny na drugiej. Nadal nie miała pojęcia, co te symbole znaczą. Wyjęła tę kartę z talii tarota Hellie na chwilę przed tym, jak weszły do salonu tatuaży na deptaku. Alex patrzyła w lustrze, jak jej historia rozlewa się po skórze w postaci blizn, które sama sobie wybrała.

„Jesteśmy pasterzami”. Z tym już koniec. Lepiej być grzechotnikiem. Lepiej być szakalem.

Alex wyszła z toalety i dała się wciągnąć w tłum, w chmury perfum, między garnitury i swetry od St. John's Bay. Widziała nerwowe spojrzenia rzucane w jej kierunku. Nie wyglądała dobrze. Nie wyglądała zdrowo. Nie należała tutaj.

Spostrzegła szpakowate włosy Sandowa w gromadce gości przy fortepianie. Opierał się na dwóch kulach. Zdziwiła się, że siebie nie wyleczył, ale też nie wyobrażała sobie, żeby zawłókł tuzin kartonów koziego mleka po schodach w Il Bastone bez niczyjej pomocy.

– Alex! – powiedział nieco skonsternowany. – Co za miła niespodzianka.

Alex uśmiechnęła się ciepło.

– Udało mi się znaleźć teczkę, o którą pan prosił, i pomyślałam, że będzie pan chciał jak najszybciej się o tym dowiedzieć.

– Teczka?

– Z aktami notarialnymi potwierdzającymi zakup ziemi. Począwszy od 1854 roku.

Sadow zdębiał, a potem nieprzekonująco się zaśmiał.

– Oczywiście. Zapomniałbym własnej głowy, gdyby nie była dobrze przykręcona. Proszę nam wybaczyć na chwilę – powiedział i wyprowadził ich dwoje z tłumy.

Alex szła za nim. Wiedziała, że dziekan już ocenia, ile ona wie i jak ją wypytać, a może jak ją uciszyć. Wyjęła telefon i włączyła nagrywanie. Wolałaby ochronę, jaką zapewnia tłum, ale wiedziała, że mikrofon nie zdołałby wychwycić jego głosu przy gwarze przyjęcia.

– Trzymaj się blisko – szepnęła do Northa, który unosił się u jej boku.

Sadow otworzył drzwi do gabinetu – pięknego kwadratowego pokoju z kamiennym kominkiem i drzwiami balkonowymi, które wychodziły na ogród na tyłach. W ogrodzie nadal leżał topniejący śnieg, ale pojawiły się już pierwsze zielone zaczątki roztopów.

– Panie przodem – powiedział dziekan.

– Niech pan wejdzie pierwszy – odparła Alex.

Dziekan wzruszył ramionami i wszedł. Odłożył kule i oparł się o biurko.

Alex zostawiła otwarte drzwi, żeby byli przynajmniej częściowo widoczni dla gości. Nie spodziewała się, że Sadow weźmie ozdobny przycisk do papieru i przyłoży jej w głowę, ale zabił już jedną dziewczynę.

– Zamordowałaś Tarę Hutchins.

Sadow otworzył usta, ale Alex powstrzymała go ruchem ręki.

– Nie zaczynaj jeszcze kłamać. Mamy sporo do omówienia, więc daj sobie czas. Zabiłaś ją albo kazałaś ją zabić na trójkątym kawałku nieużytku i domyślam się, że fundacja Rhinelander wkrótce go zakupi.

Dziekan wyjął fajkę z kieszeni, a potem woreczek z tytoniem i zaczął starannie ją nabijać. Odłożył fajkę obok siebie, nie zapalając jej.

W końcu skrzyżował ręce i spojrzał Alex w twarz.

– I co z tego?

Alex nie była pewna, czego się spodziewała, ale nie tego.

– Ja...

– I co z tego, panno Stern?

– Zapłacili ci?

Obejrzał się przez ramię, żeby mieć pewność, że nikt nie stoi w korytarzu.

– Stowarzyszenie Świętego Elma? Tak, w zeszłym roku. Po rozwodzie nic mi nie zostało. Straciłem oszczędności. Jestem winny skandalicznie wysokie alimenty. Jednak paru oddanych wychowanków Świętego Elma przekreśliło te wszystkie kłopoty jednym cukiem. Wystarczyło, żebym dostarczył im węzeł, na którym będą mogli zbudować grobowiec.

– Skąd wiedzieli, że możesz go stworzyć?

– Nie wiedzieli. To ja się do nich zwróciłem. Odgadłem ten wzorzec w czasach swojej działalności w Lete. Wiedziałem, że to znowu się wydarzy. Minęło tak dużo czasu. Nie sądziłem, że będę musiał cokolwiek zrobić. Wystarczyło, że zwyczajnie poczekamy.

– Czy stowarzyszenia brały udział w morderstwach pozostałych dziewczyn? Coliny, Daisy i reszty?

Dziekan znowu się obejrzał.

– Bezpośrednio? Sam zastanawiałem się nad tym od lat. Jednak gdyby którekolwiek stowarzyszenie odgadło sposób tworzenia węzłów, to czemu przestałoby tylko na jednym? Czemu nie wykorzystałoby tej wiedzy? Nie sprzedałoby jej? – Wziął fajkę. – Nie, nie sądzę, żeby brały w tym udział. To specyficzne miasto. Zasłona jest tu cieńsza, przepływ magii łatwiejszy. Magia wiruje w węzłach, ale jest w każdym kamieniu, w każdej garści ziemi, w każdym liściu na starym wiąznie. I jest głodna.

– Miasto...

Alex przypomniała sobie dziwne uczucie, jakie ją ogarnęło w miejscu przestępstwa; sposób jego dokonania odzwierciedlał mapę kolonii New Haven. Dawes powiedziała, że rytuały działają najlepiej, gdy są przeprowadzone w sprzyjającym czasie. Albo w sprzyjającym miejscu.

– To dlatego wybrałeś to skrzyżowanie, żeby zamordować tam Tarę.

– Wiem, jak stworzyć rytuał, Alex. Kiedy tego chcę.

Czy Darlington nie powiedział jej, że Sandow był genialnym delegatem Lete? Że nadal korzysta się z niektórych stworzonych przez niego rytuałów?

– Zabiłeś ją dla pieniędzy.

– Zabiłem ją dla mnóstwa pieniędzy.

– Przyjąłeś zapłatę od zarządu Świętego Elma. Powiedziałeś im, że wiesz, gdzie pojawi się nowy węzeł.

– Że przygotuję dla nich nowe miejsce. Myślałem, że wystarczy, jak poczekam, aż cykl sam się dopełni. Jednak nic z tego. Nikt nie umarł. Nowy węzeł nie powstał. – Pokręcił sfrustrowany głową. – Byli tacy niecierpliwi. Powiedzieli... Powiedzieli, że zażądają zwrotu pieniędzy, że zwrócą się do zarządu Lete. Trzeba było ich uspokoić. Stworzyłem rytuał, o którym wiedziałem, że zadziała. Potrzebowałem jednak ofiary.

– I wtedy znalazłeś Tarę.

– Znałem ją – powiedział Sandow prawie z czułością. – Kiedy Claire chorowała, Tara załatwiała jej marihuanę.

– Twojej żonie?

– Opiekowałem się nią przez dwa nawroty raka piersi, a potem ode mnie odeszła. Ona... Tara bywała w moim domu. Usłyszała rzeczy, których pewnie nie powinna była usłyszeć. Nie pamiętałem o dyskrecji. Jakie to miało znaczenie?

Jakie miało znaczenie, że jakaś dziewczyna z miasta czegoś się dowie?

– A Tara była miła, prawda?

Sadow odwrócił wzrok pełen poczucia winy. Może się z nią pieprzył. Może po prostu cieszył się, że ma z kim porozmawiać. Tak się robi. Trzeba być miłym dla klientów. Sadow potrzebował współczucia, ramienia, żeby się wypłakać, więc Tara mu to zapewniła.

– A potem Darlington odkrył wzorzec, sznur dziewcząt.

– Tak samo jak ja. Pewnie to było nieuniknione. Był zbyt bystry, zbyt dociekliwy. I zawsze chciał się dowiedzieć, co wyróżnia New Haven. Próbował stworzyć mapę niewidzialnego. Przedstawił mi to mimochodem, jakby to było akademickie ćwiczenie, szalona teoria, potencjalny temat pracy magisterskiej. Jednak wtedy już...

– Już planowałeś zabicie Tary.

– Wykorzystała to, co usłyszała w moim domu, i rozkręciła na tym zgrabny interesik, sprzedawała prochy stowarzyszeniom. Za bardzo zbliżyła się z Klucznikami i Manuskryptem. Narkotyki. Rytuály. W końcu to wszystko by się posypało. Miała dziewiętnaście lat, była narkomanką, kryminalistką. Była...

– Łatwym celem. – „Tak samo jak ja”. – Niestety Darlington się zorientował. Wiedział o wcześniejszych dziewczynach. Był dość bystry, żeby połączyć je z Tarą. Dlatego nasłałeś na niego piekielną bestię.

– Na was oboje, Alex. Wygląda jednak na to, że Darlington wystarczył, żeby nasycić głód bestii. A może uratował cię w jakimś ostatnim, straceńczym akcie heroizmu.

A może potwór nie chciał pożreć Alex. Może wiedział, że Alex przepali mu trzewia.

Sadow westchnął.

– Darlington lubił mówić o tym, że New Haven zawsze stoi o krok od sukcesu, o włos od szczęścia i dobrego losu. Nie rozumiał, że to miasto kroczy po linii. Po jednej stronie sukces, po drugiej ruina. Magia tego miejsca i krew, która ją podtrzymuje, to właśnie to, co oddziela miasto od jego upadku.

To miasto od samego początku miało przesrane.

– Sam to zrobiłeś? – zapytała. – Czy nie miałeś dość jaj?

– Byłem kiedyś rycerzem Lete, sama wiesz. Mam dość woli.

Robił wrażenie dumnego z siebie.

Isabel powiedziała, że Sadow odsypiał burbona, którego za dużo wypił, w gabinecie Belbalm w noc, kiedy Tara umarła, ale mógł się wymknąć albo może nawet posłużył się magicznym portalem, o którego użycie podejrzewała Colina. Nadal musiałby skorzystać z uroku, ale to też pewnie żaden problem dla dziekana. Alex pomyślała o lusterku, którym się posłużyła, żeby wejść do mieszkania Tary, a potem do więzienia. Kiedy wyjęła je z szuflady, zobaczyła na

nim smugę. Jednak Dawes nigdy nie odłożyłaby go brudnego. Ktoś posłużył się nim przed Alex.

– Przybrałeś twarz Lance’a. Otumaniałeś Tarę tak, żeby nie czuła bólu, a potem ją zamordowałeś. Nasłaaś też na mnie *glumę*?

– Tak. To było ryzykowne, może nawet głupie. Nie mam talentu do nekromancji. Nie wiedziałem jednak, co mogłaś odkryć w kostnicy.

Przypomniała sobie, jak Sandow siedział naprzeciwko niej w Klitce z filiżanką herbaty na kolanie i mówił, że jej moc ściągnęła na nią atak *glumy*, że to ona jest temu winna i odpowiada za śmierć Tary.

– Powiedziałeś mi, że to moja wina.

– Cóż, miałaś tego nie przeżyć. Musiałem coś powiedzieć. – Jego słowa brzmiały tak rozsądnie. – Darlington wiedział, że narobisz kłopotów. Nie miałem jednak pojęcia, jak dużych.

– Nadal nie wiesz – odpowiedziała Alex. – A Darlington znienawidziłby cię serdecznie.

– Darlington był dżentelmenem, a to nie są czasy dla dżentelmenów. – Wziął fajkę. – Chcesz usłyszeć coś naprawdę strasznego?

– Że z zimną krwią zamordowałeś dziewczynę, żeby jakieś bogate dzieciaki zbudowały sobie wyrefinowany klub? To rzeczywiście brzmi potwornie.

On jednak jakby w ogóle jej nie słyszał.

– To nie zadziało – powiedział, kręcąc głową i marszcząc czoło. – Rytuał był pewny, zbudowałem go idealnie, ale węzeł się nie pojawił.

– Czyli Tara zginęła, a ty nadal masz przerąbane?

– Tak by było, gdyby nie ty. Obstawiam, że byś pozbawił Manuskrypt grobowca. Święty Elmo dostanie nową siedzibę przed następnym rokiem. Będą mieli to, czego chcieli. Ja dostanę pieniądze. Zatem pytanie brzmi: Alex, czego ty chcesz?

Alex spojrzała na niego. On naprawdę zamierzał z nią negocjować.

– Czego chcesz? Przestań mordować ludzi! Nie możesz zamordować dziewczyny i sprawić, że Darlington znika. Nie możesz wykorzystywać mnie, Dawes i Lete, bo chcesz miło mieszkać w ładnej okolicy i jeździć fajnym samochodem. My nie powinniśmy balansować na linie. Jesteśmy, do cholery, pasterzami.

Sandow się roześmiał.

– Jesteśmy żebrakami przy stole. Rzucają nam ochłapy, ale prawdziwa magia, magia, która daje przyszłość i ratuje życie, należy do nich. Chyba że zagarniemy jej trochę dla siebie.

Podniósł fajkę, ale zamiast ją zapalić, wysypał jej zawartość do ust. Zabłysła na jego wargach – astrumalinas. Gwiezdna Moc. Przymus. Dał to Blake’owi,

żeby posłużył się tym przeciwko Alex tamtej nocy w Il Bastone. Tej nocy, kiedy Sandow nasłał Blake'a, żeby ją zabił.

Nie tym razem.

Alex sięgnęła po Northa i poczuła, jak nagle zalewa ją, wypełnia ją swoją siłą. Rzuciła się na Sandowa.

– Nie ruszaj się! – powiedział dziekan i Alex zawahała się, bo chciała być tylko posłuszna.

Jednak narkotyk nie miał władzy nad umarłym.

„Nie” – odpowiedział North, a jego głos rozbrzmiał klarownie i prawdziwie w jej głowie.

– Nie – powtórzyła Alex. Pchnęła dziekana na fotel. Jego kule upadły ze stukotem na podłogę. – Turner już jedzie. Powiesz mu, co zrobiłeś. Nie będzie nowego grobowca dla Świętego Elma. Nie skończy się tylko grzywnami i zawieszeniem działalności. Wszyscy za to zapłacicie. Pieprzyć stowarzyszenia, pieprzyć Lete, pieprzyć ciebie.

– Alexandro?

Oboje z Sandowem się odwrócili. W progu stała z kieliszkiem szampana w ręce profesor Belbalm.

– Co tu się dzieje? Elliot... Nic ci nie jest?

– Ona mnie zaatakowała! – krzyknął. – Coś jest z nią nie tak, jest nieźrównoważona. Marguerite, wezwij ochronę. Zawołaj Colina, żeby pomógł nam unieruchomić Alex.

– Oczywiście – powiedziała Belbalm, gdyż poddała się przymusowi.

– Pani profesor, chwileczkę... – zaczęła Alex. Wiedziała, że to na nic się nie zda. Dopóki znajdowała się pod wpływem Gwiazdnej Mocy, nie da się przemówić jej do rozsądku. – Mam nagranie, mam dowód...

– Alexandro, nie wiem, co w ciebie wstąpiło – powiedziała Belbalm, kręcąc ze smutkiem głową. A potem uśmiechnęła się i mrugnęła porozumiewawczo. – A właściwie to dobrze wiem, co w ciebie wstąpiło. Bertram Boyce North.

– Marguerite! – warknął Sandow. – Powiedziałem ci, że masz...

– Och, przestań, Elliot. – Profesor Belbalm zamknęła za sobą drzwi i przekręciła klucz.

POCZĄTEK WIOSNY

Alex zamarła. To niemożliwe. Jakim cudem Belbalm opierała się Gwiezdnej Mocy? I czy w jakiś sposób mogła widzieć Northa?

Belbalm odstawiła kieliszek szampana na regał z książkami.

– Proszę, może usiądziesz, Alex? – zaproponowała jak dobra gospodyni.

– Marguerite – powtórzył surowo Sadow.

– Od dawna powinniśmy porozmawiać, prawda? Jesteś zdesperowanym człowiekiem, ale myślę, że nie jesteś głupi. A rektor już przyjemnie się spił i siedzi przed kominkiem. Nikt nam nie przeszkodzi.

Sadow nieufnie usiadł z powrotem w fotelu przy biurku.

Alex jednak nie zamierzała siadać.

– Widzi pani Northa?

– Widzę jego kształt – odpowiedziała Belbalm. – Ukryty w tobie jak sekret. Nie zauważyłaś, że moje biuro jest chronione?

Alex przypomniała sobie uczucie spokoju, jakie tam ją ogarniało, rośliny rosnące w skrzynkach na parapecie – miętę i majeranek. Rosły też na granicy domu Belbalm, chociaż to był środek zimy. Nie mogła do końca ogarnąć, co Belbalm sugeruje.

Kobieta uśmiechnęła się i skinęła głową.

– Jesteśmy Wędrowcami Koła. Wszystkie światy są dla nas otwarte. O ile mamy dość odwagi, żeby do nich wejść.

Alex nagle zakręciło się w głowie. Osunęła się na fotel, a skrzywienie skóry wydało jej się dziwnie kojące.

Belbalm wzięła kieliszek i rozsiadła się wygodnie naprzeciwko niej, elegancka i opanowana jak zawsze, jakby były matką i córką, które przyszły spotkać się z dziekanem.

– Możesz już go wypuścić, jeśli chcesz – powiedziała i Alex potrzebowała chwili, żeby zdać sobie sprawę, że Belbalm mówi o Panu Młodym.

Zawahała się, a potem szturchnęła lekko Northa i ten wylał się z niej, nabierając kształtu obok biurka i patrząc nieufnie to na Alex, to na Belbalm.

– Nie do końca wie, co robić, prawda? – uznała profesor. Przechyliła głowę na bok i na jej ustach pojawił się uśmiech. – Cześć, Bertie.

North wzdrygnął się i cofnął.

Alex przypomniała sobie oświetlone popołudniowym słońcem biuro firmy North i Synowie, gdzie w kątach nadal walały się trociny, oraz towarzyszące temu głębokie uczucie zadowolenia.

– O czym myślisz, Bertie?

– Daisy? – szepnęła Alex.

Dziekan Sandor pochylił się do przodu, przyglądając się Belbalm.

– Daisy Fanning Whitlock?

To nie mogła być prawda.

– Wolę francuską formę Marguerite. To brzmi mniej prowincjonalnie niż Daisy, prawda?

North pokręcił głową, a na jego twarzy pojawił się gniew.

– Nie – powiedziała Alex. – Widziałam Daisy. Nie tylko jej zdjęcie. Naprawdę ją widziałam. W żaden sposób jej nie przypominasz.

– Ponieważ to nie jest ciało, z którym się urodziłam. To nie jest ciało, które zniszczył mój zadowolony z siebie, rozkochany Bertie. – Odwróciła się do Northa, który teraz piorunował ją wzrokiem pełen niedowierzania. – Nie martw się, Bertie. Wiem, że to nie twoja wina. W pewnym sensie to była moja wina. – Akcent Belbalm zniknął i teraz mówiła tak samo jak North, przeciągając samogłoski. – Mam tyle wspomnień, ale tamten dzień w fabryce pamiętam najwyraźniej. – Zamknęła oczy. – Nadal czuję słońce wlewające się przez okna, zapach pasty do drewna. Chciałeś pojechać w podróż poślubną do Maine. Ze wszystkich miejsc wybrałeś właśnie Maine... Dusza wepchnęła się we mnie, oszalała, przesiąknięta krwią, jeżąca się magią. Całe życie spędziłam w bliskości z umarłymi, ukrywając mój dar, pożyczając ich siłę i wiedzę, ale nigdy duch nie przejął mnie w taki sposób. – Wzruszyła bezradnie ramionami. – Spanikowałam. Wepchnęłam go w ciebie. Nawet nie wiedziałam, że potrafię coś takiego.

Oszalała, przesiąknięta krwią, jeżąca się magią.

Alex podejrzewała, że coś poszło nie tak podczas wieszczenia w 1854 roku, że Kościeje niechcący zabili bezdomnego, który był ich *victima*. Zastanawiała się, co przyciągnęło ducha do tego właśnie pomieszczenia, dlaczego szukał azylu wewnątrz Northa, czy to był tylko potworny zbieg okoliczności. Jednak nie, tę

magię, tę zablakaną duszę wyrwaną z ciała, zawieszoną między życiem a śmiercią, przyciągnęła moc młodej dziewczyny. To Daisy ją przyciągnęła.

– To był głupi błąd – powiedziała Belbalm z westchnieniem. – I zapłaciłam za niego. Nie mogłeś pomieścić tej duszy i jej gniewu. Ona wzięła twoją broń. Posłużyła się twoją ręką, żeby mnie zabić. I tak po prostu moje życie się skończyło, chociaż tak niewiele się nim nacieszyłam.

North zaczął krążyć, kręcąc głową.

Belbalm zapadła się w fotelu i parsknęła.

– Mój Boże, Bertie, czy możesz być aż tak tępy? Ile razy minąłeś mnie na ulicy i nawet nie zerknąłeś na mnie po raz drugi? Ile lat musiałam patrzeć, jak rozczulasz się nad sobą w New Haven w całej swojej byronowskiej glorii? Pozbawiono mnie ciała, więc musiałam ukraść nowe. – Mówiła spokojnie, w opanowany sposób, ale Alex wyczuwała jej gniew. – Zastanawiam się, Bertie, ile razy spojrząłeś na Gladys i w ogóle jej nie dostrzegłeś?

„Tacy goście jak on nigdy nie zauważają służby”. Alex pamiętała, że wyglądała przez okna gabinetu Northa i widziała Gladys spacerującą wśród dereni w białym czepku. Nie, nieprawda. Trzymała czepkę w ręce. To jej włosy były białe, gładkie i lśniące jak głowa fokki. Jak włosy Belbalm.

– Biedna Gladys – powiedziała Belbalm, opierając podbródek na dłoni. – Założę się, że dostrzegłbyś ją, gdyby była ładniejsza.

North patrzył teraz na nią, a na jego twarzy malowało się coś pomiędzy zgodą a upartą niewiarą.

– Nie byłam gotowa umrzeć. Opuściłam swoje zniszczone ciało i przejęłam jej ciało. Była pierwsza.

Pierwsza.

Gladys O'Donaghue odkryła ciała Daisy i Northa, po czym pobiegła z krzykiem Chapel Street aż do High Street, gdzie znalazła ją policja. High Street to miejsce, gdzie dopadł ją zdesperowany duch Daisy. High Street – tam, gdzie powstał pierwszy węzeł i gdzie wybudowano pierwszy z grobowców.

– Opętałaś Gladys? – spytała Alex, próbując zrozumieć opowieść Belbalm.

North wtargnął do głowy Alex, ale tylko na krótką chwilę. Wiedziała, że krążą historie o opętaniach, ale nigdy nie słyszała o czymś takim jak to... cokolwiek to właściwie było.

– Obawiam się, że to zbyt delikatne słowo na określenie tego, co zrobiłam Gladys – odpowiedziała łagodnie Belbalm. – Ona była Irlandką, wiesz? Bardzo uparta osobka. Musiałam wtargnąć w nią, tak jak tamta nieszczęsna dusza próbowała wepchnąć się we mnie. To była walka. Wiesz, że Irlandczycy uważają słowo „niedźwiedź” za tabu? Nikt nie wie, dlaczego dokładnie, ale najpewniej z obawy, że nawet wymówienie słowa może przywołać to zwierzę. Dlatego

nazywali go „kudłaczem” albo „miodożercą”. Zawsze uwielbiałam to słowo. „Miodożerca”. Pożarłam jej duszę, żeby zrobić miejsce dla swojej. – Przeciągnęła językiem po zębach. – Była taka słodka.

– To nie jest możliwe – orzekł Sandow. – Szary nie może tak po prostu przejąć czyjegoś ciała. A już na pewno nie na stałe. Ciało obumarłoby.

– Mądrała – powiedziała Belbalm. – Tyle że ja nie byłam zwykłą dziewczyną i nie jestem zwykłym Szarym. Moje nowe ciało należało wzmacniać, a ja miałam do tego środki. – Rzuciła Alex szelmowski uśmiezek. – Ty już wiesz, że możesz wpuścić w siebie umarłego. Nie zastanawiałaś się nigdy, co możesz zrobić z kimś żywym?

Te słowa miały swój ciężar i powoli docierały do Alex. Daisy nie zabiła Gladys tak po prostu. To była rzecz drugorzędna, bez mała nieistotna. Ona pochłonęła duszę Gladys. To ten akt przemocy stworzył węzeł. Czy w takim razie stworzyła także pozostałe węzły? „Moje nowe ciało należało wzmacniać”.

Gladys była pierwsza. Ale nie ostatnia.

Alex wstała i zaczęła cofać się w stronę kominka.

– Zabiłaś je wszystkie. Te wszystkie dziewczyny. Zjadłaś ich dusze.

Belbalm skinęła głową. To był bez mała ukłon.

– I zostawiłam ich ciała. Skorupy dla przedsiębiorcy pogrzebowego. To nie różni się tak bardzo od tego, co ty robisz, gdy wciągasz Szarego, żeby czerpać z jego siły, ale nie potrafisz nawet sobie wyobrazić żywotności płynącej z żywej duszy. To może mi wystarczać na lata. Czasem na dłużej.

– Dlaczego? – dopytywała się rozpaczliwie Alex. To nie miało sensu. – Dlaczego te dziewczyny? Dlaczego tutaj? Mogłaś udać się dokądkolwiek, zrobić co zechcesz.

– Mylisz się. – Śmiech Belbalm był gorzki. – Miałam wiele zawodów. Zmieniałam nazwisko i tożsamość, tworzyłam fałszywe życiorysy, żeby ukryć swoją prawdziwą naturę. Jednak nigdy nie dotarłam do Francji. Ani w moim starym ciele, ani w tym. Bez względu na to, ile dusz skonsumuję, nie mogę wyjechać, żeby nie zacząć się rozkładać.

– To z powodu miasta – powiedział Sandow. – Potrzebujesz New Haven. Tu mieszka magia.

Belbalm uderzyła dłonią w podłokietnik fotela.

– W tej dziurze.

– Nie miałaś prawa – powiedziała Alex.

– Oczywiście. – Belbalm robiła wrażenie bez mała skonsternowanej. – Czy chłopcy z Czaszki i Kości mieli prawo rozkroić tego biednego człowieka? – Skinęła na Sandowa. – Czy on miał prawo zamordować Tarę?

Sadow wzdrygnął się zaskoczony.

– Wiedziałaś? – zapytała Alex. – Jej duszę też zjadłaś?

– Nie jestem psem, który przybiega, gdy zadzwonią na kolację. Dlaczego miałabym bawić się taką duszą, kiedy mam przed oczami prawdziwą ucztę?

– Aha – powiedział Sandow, łącząc dłonie palcami. – Rozumiem. Alex, ona ma na myśli ciebie.

Belbalm rzuciła mu lodowate spojrzenie.

– Nie rób takiej zadowolonej miny, Elliocie. Nie jestem tu po to, żeby sprzątać bałagan, którego narobiłeś, i nie zamierzam marnować czasu na martwienie się, że wygadasz moje sekrety. Umrzesz w tym fotelu.

– Wątpię, Marguerite. – Sandow wstał z tą samą determinacją na twarzy, co podczas rytuału w nowiu, kiedy patrzył na piekielne ognie. – „Już na zgon dnia jasnemu biją wszystkie dzwony, bydło z łąk wolno wraca, rycząc, w stronę sioła...”¹.

North wzdrygnął się i cofnął. Rzucił rozpaczliwe spojrzenie Alex, łapiąc się po omacku ściany, gdy zaczął znikać przez regał z książkami. Mimo strachu walczył z przepędzającymi go słowami śmierci.

– North! – wykrzyknęła Alex, wyciągając do niego rękę i próbując go wciągnąć z powrotem w siebie.

Jednak się spóźniła. On już zniknął przez ścianę.

– „Do chaty krok kieruje rolnik utrudzony – deklamował Sandow, a jego głos rozbrzmiewał głośno w pokoju. – Mnie i mrokom zostawia świat cały dookoła...”.

Belbalm powoli wstała z fotela, poprawiła rękawy eleganckiej czarnej tuniki.

– Poezja, Elliocie?

Słowa śmierci. Jednak Belbalm nie bała się śmierci. Dlaczego miałyby się jej bać? Już ją spotkała i pokonała.

Sandow skupił spojrzenie na Belbalm.

– „Może ta zaniedbana ukrywa mogiła serce brzemienne kiedyś niebiańskim płomieniem...”.

Belbalm wzięła głęboki wdech i wyciągnęła do niego rękę – w takim samym geście, w jakim Alex powitała Hellie i wciągnęła w siebie Northa.

– Przestań! – krzyknęła Alex, rzucając się przez pokój.

Złapała Belbalm za rękę, ale jej skóra była twarda jak marmur, kobieta nawet nie drgnęła.

Sandowowi oczy wyszły na wierzch i z jego rozchylonych ust dobył się głośny gwizd jak z gotującego się czajnika. Stęknął i padł z powrotem na fotel z taką siłą, że mebel przewrócił się i przeturlał po podłodze. Sandow złapał się podłokietników. Dźwięk ucichł, ale dziekan nadal siedział wyprostowany i gapił się w pustkę jak kiepski aktor odgrywający wstrząs.

Belbalm z niesmakiem zacisnęła usta i z gracją otarła kącik ust.

– Dusza jak mączyste jabłko.

– Zabiłaś go – powiedziała Alex, nie mogąc oderwać oczu od ciała dziekana.

– A naprawdę zasługiwał na coś więcej? Ludzie umierają, Alexandro. To rzadko jest prawdziwa tragedia.

– Nie przekroczy Zasłony, prawda? – dodała Alex, zaczynając rozumieć. – Zjadasz ich dusze i nigdy nie mogą dalej odejść.

To dlatego North nie był w stanie znaleźć po drugiej stronie ani Gladys, ani żadnej z pozostałych dziewczyn. A co się stało z duszą Tary, złożoną w ofierze w rytuale Sandowa? Gdzie ona skończy?

– Zdenerwowałam cię. Widzę to. Jednak wiesz, co to znaczy wykroić sobie miejsce w świecie, musieć walczyć o swoje życie na każdym kroku. Nie potrafisz wyobrazić sobie, o ile trudniej było w moich czasach. Kobiety wysyłano do domu wariatów, bo za dużo czytały albo mężowie się nimi zmęczyli. Tak niewiele dróg pozostawało dla nas otwartych. A moją mi skradziono. Dlatego wykułam sobie nową.

Alex wskazała palcem na Belbalm.

– Nie zamienisz tego w jakiś feministyczny manifest. Wykułaś sobie nową ścieżkę z życia innych dziewczyn. Imigrantek. Kolorowych. Biednych. – „Dziewczyn takich jak ja”. – Po to, żeby kupić sobie parę dodatkowych lat.

– Tu chodzi o wiele więcej. To akt boski. Z każdym życiem, które odbieram, widziałam nową świątynię wznoszoną na moją chwałę, budowaną przez chłopców, którzy nigdy nie zatrzymali się, żeby zdumieć się mocą, jaką zawładnęli, a tylko brali ją jak coś im należnego. Bawią się magią, a ja tworzę nieśmiertelność. A ty będziesz tego częścią.

– Ale ze mnie szczęściara. – Alex nie musiała pytać, co Belbalm ma na myśli. Profesor odrzuciła ofiarę Sandowa, bo nie chciała popsuć sobie apetytu. – Jestem cenną zdobyczą.

– Nauczyłam się cierpliwości w tym długim życiu. Nie wiedziałam, czym jest Sophie, kiedy ją spotkałam, ale kiedy zjadłam jej duszę? Była jak dziczyzna. Gorzka jak cis. Burzyła krew jak błyskawica. Nasyciła mnie na ponad pięćdziesiąt lat. I wtedy, kiedy już zaczynałam słabnąć i starzeć się, pojawiła się Colina. Tym razem rozpoznałam zapach mocy. Wyczułam ją na parkingu kościelnym i długo szłam jej śladem.

Śmierć tych dziewczyn była fundamentem dla grobowców Świętego Elma i Manuskryptu.

Jak to Belbalm się wyraziła? „Jesteśmy Wędrowcami Koła”.

– Zupełnie jakby coś je tu przyciągało, żeby mnie nakarmiły. Tak samo było z tobą.

To dlatego zabójstwa skończyły się w 1902 roku. Dziewczyny ginęły jedna po drugiej pod koniec XIX wieku, gdy Daisy żywiła się zwykłymi ofiarami, żeby utrzymać się przy życiu. Potem jednak znalazła pierwszego Wędrowca Koła, Sophie Mishkan, dziewczynę z taką samą mocą jak Alex. Ta dusza nasyciła ją aż do 1958 roku, kiedy Belbalm zamordowała Colinę Tillman, następną obdarzoną mocą dziewczynę. Teraz przyszła kolej na Alex.

To miasto. Czy to New Haven przyciągało Wędrowców Koła? Daisy. Sophie. Colina. Czy Alex obrała kurs kolizyjny z tym miejscem i jego potworem? Magia karmiła się magią?

– Kiedy zorientowałaś się, czym jestem? – zapytała Alex.

– Wiedziałam od pierwszego spotkania. Chciałam, żebyś nieco dojrzała. Obmyła się ze smrodu pospólstwa. Ale... – Belbalm wzruszyła ramionami. Wyciągnęła rękę.

Alex poczuła przeszywający ból w piersi, jakby hak wbił się pod jej mostek i zaczepił o serce. Widziała, że zapalają się wokół niej niebieskie płomienie, otaczał je obie pierścieniami ognia. Koło. Poczuela, że upada.

Hellie była światłem słonecznym. North był zimny i podobny do węglowego dymu. Belbalm to były zęby.

Alex kołysała się obok grilla na maleńkim balkonie w Strefie Zero. Zapach węgla wypełniał powietrze, smog kładł się plamą na wzgórzach w oddali. Czuela bosymi stopami dudnienie basów. Uniosła kciuk, żeby zasłonić wschodzący księżyc, a potem z powrotem go odsłoniła.

Kobieta pochylała się nad jej kołyską, sięgając po nią raz za razem, ale jej ręce przechodziły przez ciało Alex. Płakała, srebrne łzy spadały na pulchne rączki Alex i znikwały, przesączając się przez jej skórę.

Hellie trzymała Alex za rękę. Ciągnęła ją po deptaku w Venice. Wyjęła dziewięć pałek z talii tarota. Alex już trzymała swoją kartę w dłoni. „Za nic nie dam sobie tego wytatuować – powiedziała. – Daj mi wyciągnąć drugą”.

Len zdjął jedną ze skórzanych bransoletek z ręki i zawiązał ją na nadgarstku Alex. „Nie mów Mosh” – szepnął. Jego oddech pachniał kwaśnym chlebem, ale Alex nigdy w życiu nie była szczęśliwsza, nigdy nie czuela się równie dobrze.

Jej babcia stała przed kuchenką. Alex czuela zapach kminku i mięsa piekącego się w piekarniku, w ustach zaś miód i orzechy włoskie. „Teraz przestrzegamy diety wegetariańskiej” – powiedziała Mira. „Może w twoim domu – odparła babcia. – Kiedy wnuczka przychodzi do mnie, karmię ją siłą”.

W ogrodzie stał mężczyzna i przycinał żywopłot, który nigdy się nie zmieniał, mrużąc oczy z powodu słońca nawet w pochmurne dni. Próbował odezwać się do Alex, ale nie słyszała ani słowa.

Wspomnienia jedno po drugim odrywały się jak włókienka, wpadając między zęby Belbalm, i tkanina Alex po kawałku się rozplatała. Belbalm, Daisy, chciała je wszystkie, dobre i złe, smutne i słodkie, wszystkie były równie pyszne.

Nie miała dokąd uciekać. Alex próbowała przypomnieć sobie zapach perfum matki, kolor kanapy we wspólnym pokoju w akademiku, cokolwiek, co pozwoliłby jej zatrzymać samą siebie, kiedy Daisy ją połykała.

Potrzebowała Hellie. Potrzebowała Darlingtona. Potrzebowała... Jak ona się nazywała? Nie mogła sobie przypomnieć imienia rudej dziewczyny ze słuchawkami na szyi. Pammie?

Alex leżała zwinięta w kłębek na łóżku. Otaczały ją motyle, które zamieniły się w ćmy. Z tyłu leżał wtulony w nią chłopak. „Będę ci służył po kres dni” – powiedział.

Belbalm głębiej zatopiła zęby. Alex nie mogła przypomnieć sobie własnego ciała, własnych rąk. Niedługo przepadnie. Czy wraz ze strachem pojawiła się ulga? Wszystkie smutki, straty i błędy zostaną wymazane. Nie pozostanie z niej nic.

Belbalm ją rozłupie. Wypije ją do dna, całkiem osuszy.

Fala wzniosła się nad kamiennym placem przy Bibliotece Beinecke, piękny ciemnowłosy chłopak krzyczał: „Niech wszystko stanie się oceanem!”.

Mogła wypłynąć na Pacyfik, minąć Catalinę i patrzeć, jak promy przypływają i odpływają.

Fala załamała się nad placem, zabierając ze sobą Szarych.

Alex pamiętała, jak kulila się na podłodze tej pięknej biblioteki, łązy płynęły jej po policzkach i śpiewała jedną ze starych piosenek babki, wypowiadała jej słowa. Ukrywała się przed Szarymi, ukrywała się za... Darlingtonem, on nazywał się Darlington... za Darlingtonem w ciemnym płaszczu. Chowała się tak, jak to robiła przez całe życie. Odcinała się od świata żywych, żeby uwolnić się od umarłych.

„Niech wszystko stanie się oceanem”.

„Alexandro!”. Głos Belbalm. Ostrzeżenie. Jakby znała jej myśl, gdy ta tylko pojawiła się w głowie Alex.

Już nie chciała dłużej się ukrywać. Uważała się za kogoś, kto dużo przetrwał, ale tak naprawdę to nie była lepsza od zbitego psa, który warczy i kłapie zębami w nadziei na przeżycie. Teraz była czymś więcej.

Alex przestała walczyć. Przestała próbować odciąć się od Belbalm. Pamiętała swoje ciało, pamiętała swoje ręce. To, co zamierzała zrobić, było

niebezpieczne. Cieszyła się z tego.

„Niech wszystko stanie się oceanem. Niech ja stanę się powodzią”.

Rozłożyła szeroko ręce i się otworzyła.

Natychmiast ich poczuła, jakby tylko na to czekali – statki na nieskończonym morzu, wiecznie przeorujące ciemny horyzont w oczekiwaniu na jakieś światło, na latarnię, która nimi pokieruje. Wyczuwała ich w całym New Haven. Na Hillhouse Street. Na Prospect Street. Czowała, jak North wraca z miejsca, gdzie kiedyś znajdowała się fabryka, dokąd wyrzuciły go słowa śmierci. Wyczuła dzieciaka, który wiecznie próbował zdobyć bilety przed nieistniejącym już Coliseum, wyczuła Szarego biegającego sprintem przed Payne Whitney, tysiące innych, na których nigdy nie pozwoliła sobie spojrzeć – starych ludzi, którzy umarli we własnych łózkach, kobietę pchającą pokiereszowanymi rękami zgnieciony wózek, chłopca z raną postrzałową twarzy, który na oślep sięgał po grzebień w kieszeni. Odwodnioną turystkę kuśtykającą w dół East Rock, ciągnącą za sobą złamaną nogę. Poza Westville, w zniszczonym labiryncie posiadłości Black Elm Daniel Tabor III owinął się ciasno szlafrokiem i popędził ku niej z papierosem wciąż zwisającym z ust.

„Przyjdźcie do mnie – błagała. – Pomóżcie mi”. Odsłoniła przed nimi swoją panikę, strach płonący jasno jak światło na strażnicy, jej pragnienie, żeby przeżyć jeszcze jeden dzień, jeszcze jedną godzinę, oświetlało im drogę.

Nie było ich końca, przelewali się ulicami, mijali ogród, przenikali ściany i tłoczyli się w gabinecie, napierali na Alex. Napłynęli spiętrzoną falą.

Alex poczuła, że Belbalm się cofnęła. Nagle znowu widziała pokój, Belbalm z wyciągniętą ręką i płonącymi oczami. Koło nadal je otaczało i płonęło niebieskim płomieniem. Stały w jego środku, otoczone przez szprychy.

– Co to jest? – syknęła Belbalm.

– Wezwanie do zaginionych! – krzyknęła Alex. – Wezwanie do zagubionych! Znam ich imiona. – A imiona mają moc; wypowiedziała je po kolei, jak wiersz z zaginionych dziewcząt: – Sophie Mishkan! Colina Tillman! Zuzanna Mazurski! Paoletta DeLauro! Effie White! Gladys O’Donaghue!

Umarli szeptali ich imiona, powtarzali je, przybliżając się jak przypływ z ciał. Alex widziała, że wypełnili ogród, częściowo przenikali przez ściany. Słyszała nawet, jak jęczą: „Sophie, Colina, Zuzanna, Paoletta” i staje się to coraz głośniejszym zawodzeniem.

Szarzy przemawiali, nawoływali resztki dusz; pomruk głosów rozbrzmiewał rwanym i coraz głośniejszym refrenem.

– Alexandro – warknęła Belbalm, a Alex widziała pot na jej czole. – Nie zrzeknę się ich.

Tyle że to już nie zależało od niej.

– Nazywam się Galaxy, ty pieprzony żarłoku.

Na dźwięk imienia Alex Szarzy westchnęli zgodnie, a ich westchnienie przepłynęło podmuchem przez pokój, poruszając rąbkiem sukienki Alex, odrzucając włosy z twarzy Belbalm. Jej oczy stały się wielkie i białe.

Wydawało się, że dziewczyna wynurza się z niej, odrywa się od Belbalm jak biała łupinka cebuli. Miała gęste czarne loki i nosiła fartuch robotnicy na szarej bluzce i spódnicy. Pojawiła się blondynka w kapeluszu z piórkiem, o skórze jak wyblakła morela, w prostej sukience ze stójką i z niemożliwie szczupłą talią; potem czarna dziewczyna migocząca w różowym sweterku i w spódnicy szytej z koła, z włosami ułożonymi w błyszczące fale. Jedna po drugiej odrywały się od Belbalm i dołączały do tłumu Szarych.

Gladys była ostatnia i nie chciała wyjść. Alex to czuła. Mimo wielu lat chowania się w świadomości Daisy bała się opuścić własne ciało.

– Ona nie może cię zatrzymać – powiedziała Alex. – Nie bój się.

Dziewczyna wynurzyła się, ledwie widoczna, okrucień Szarej. Była wyraźnie młodszą wersją Belbalm, szczuplejszą i o ostrzejszych rysach, białe włosy nosiła zaplecione w warkocz. Gladys odwróciła się, żeby spojrzeć na siebie, na Belbalm w czarnej tunice i z pierścieniami na rękach. Uniosła ręce, jakby chciała się przed nią zasłonić, bo nadal się bała. Cofnęła się w tłum, gdy pozostałe dziewczyny ściągnęły ją ku sobie.

Belbalm otworzyła usta, jakby chciała krzyknąć, ale wydobył się z nich tylko piskliwy gwizd czajnika, taki sam, jaki wcześniej wydał z siebie dziekan.

North stał teraz obok Alex; może był tam cały czas.

– Ona nie jest potworem – powiedział błagalnie. – To tylko dziewczyna.

– Wiedziała swoje – odpowiedziała Alex. Nie było w niej miejsca na litość. – Uważała, że jej życie jest ważniejsze niż życie nas wszystkich.

– Nie wiedziałem, że jest zdolna do czegoś takiego – powiedział ponad zgiełkiem tłumu. – Nigdy nie wiedziałem, że ma takie serce.

– Nigdy jej nie poznałeś.

Ostrożnej Diasy, która ukrywała swoje sekrety. Która widziała duchy i marzyła, żeby zobaczyć świat. Szalonej Daisy, zabitej, zanim zaczęła prawdziwe życie. Okrutnej Daisy, która nie pogodziła się ze swoim losem i kradła życie po życiu, żeby się nimi karmić.

Alex wypowiedziała ostatnie imię.

– Daisy Fanning Whitlock!

Wyciągnęła rękę i poczuła, że duch Diasy przesuwa się do niej powoli, niechętnie, walcząc o utrzymanie się w ciele jak roślina, która zawija korzenie w ziemi, nie dając się wyrwać.

Alex czerpała siłę z Szarych, którzy ją otaczali i przenikali przez nią. Uformowała w myślach zęby, które zatopiła w świadomości Daisy. Pociągnęła.

Dusza Daisy poleciała ku niej. Alex odrzuciła ją, zanim zdążyłaby w nią wniknąć i przejąć kontrolę.

Przez krótką chwilę dostrzegła ciemnowłosą dziewczynę o drobnej twarzy, w szerokiej sukni z falbaniastymi rękawami. Jej pierś była rozdarta raną postrzałową, usta rozciągnięte w krzyku. Szarzy naparli naprzód. North rzucił się przed Daisy.

– Proszę! – powiedział. – Zostawcie ją w spokoju!

Jednak na przód tłumu wyszła Gładys cieniutka jak samo powietrze.

– Nie.

– Nie – powtórzyły zaginione dziewczyny. Sophie, Zuzanna, Paoletta, Effie i Colina.

Szarzy naparli, mijając Northa. Opadli na Daisy całą hordą.

– *Mors irrumat omnia* – szepnęła Alex.

Śmierć dyma nas wszystkich.

Koło zawirowało i żołądek Alex się szarpnął. Wyciągnęła ręce, żeby złapać się czegoś, czegokolwiek. Uderzyła w coś namacalnego i upadła na kolana. Pokój nagle znieruchomiał.

Alex leżała na dywanie w gabinecie rektora. Podniosła wzrok, w głowie nadal jej się kręciło. Przepadli wszyscy Szarzy poza Panem Młodym. Słyszała swoje bijące w piersi serce, a za drzwiami odgłosy przyjęcia. Dziekan leżał martwy w fotelu przy biurku. Kiedy zamknęła oczy, pod powiekami nadal płonął jej powidok w kształcie Koła.

Ciało Belbalm zniknęło, skóra rozpadła się w pylistą pustą skorupę, kości rozsypały się, gdy opadł na nie ciężar setki lat. Zostało z niej niewiele więcej niż kupka popiołu.

Pan Młody wpatrywał się w kupkę prochu, który kiedyś był dziewczyną. Uklęknął i wyciągnął rękę, ale jego dłoń przeszła przez proch na wylot.

Alex złapała się krawędzi biurka, żeby się podciągnąć. Podeszła chwiejnie do drzwi balkonowych, które prowadziły do ogrodu. Otworzyła je i wpadło zimne powietrze. Owionęło czystością jej zaczerwienione policzki i rozwiało prochy Belbalm.

North patrzył bezradnie, jak unoszą się nad dywanem.

– Przepraszam – mruknęła Alex. – Ale fakt, miałeś beznadziejny gust, jeśli idzie o kobiety.

Spojrzała na ciało dziekana i spróbowała zmusić umysł do myślenia, lecz czuła się wyżęta, pusta. Nie mogła ogarnąć własnych myśli. W ogrodzie na rabatach kiełkowały narcyzy.

Turner, pomyślała. Gdzie się podziewa? Dostał wiadomość?

Wyjęła telefon. Dostała wiadomość od detektywa. „Pracuję przy sprawie. Poczekaj. Zadzwoń, gdy skończę. NIE RÓB NICZEGO GŁUPIEGO”.

– Jakby w ogóle mnie nie znał.

Zza drzwi napłynął wybuch śmiechu. Musiała zebrać myśli. Jeśli dane dotyczące innych przypadków śmierci przypisanych Daisy były prawidłowe, to śmierć Sandowa zostanie uznana za atak serca albo udar. Jednak Alex nie zamierzała ryzykować. Mogła wymknąć się do ogrodu, ale ludzie widzieli, że wchodziła razem z nim do gabinetu. Nie była wtedy dyskretna.

Mogłaby wrócić z powrotem na przyjęcie, wmieszać się w tłum. Gdyby ktoś zapytał, powiedziałyby, że ostatni raz widziała go, gdy rozmawiał z profesorem Belbalm.

– North – powiedziała. Zerknął z miejsca, w którym klęczał. – Potrzebuję twojej pomocy.

Istniała możliwość, że się nie zgodzi, że będzie ją winił za ostateczną śmierć Daisy. Alex zastanawiała się, czy Szarzy pozwoli, żeby chociaż częśćka jej osoby przekroczyła Zastonę. Obecność Northa tutaj, jego żałoba sugerowały, że to jest mało prawdopodobne.

North powoli wstał. Oczy miał ciemne i smutne jak zawsze, ale patrzył teraz na Alex z nową ostrożnością. „Czy on się mnie boi?”. Nie miała nic przeciwko temu. Może zastanowi się dwa razy, zanim znowu wskoczy do jej czaszki. Mimo to współczuła mu. Wiedziała, co to znaczy stracić kogoś, a on stracił Daisy dwa razy. Najpierw stracił dziewczynę, którą kochał, a potem swoje wyobrażenie na jej temat.

– Upewnij się, że nikogo nie ma w korytarzu – poleciła mu. – Nikt nie może zobaczyć, jak wychodzę z tego pokoju.

North przepłynął przez drzwi i przez długą chwilę Alex zastanawiała się, czy nie zostawi jej tutaj z martwym ciałem i dywanem pokrytym sproszkowanym złem.

Potem wrócił przez ścianę i skinął głową, dając znać, że droga jest wolna.

Alex zmusiła się do ruchu. Czowała się dziwnie, otwarta na przestrzał i odsłonięta jak dom, w którym otwarto wszystkie drzwi.

Wygładziła włosy, obciągnęła rąbek sukienki. Będzie musiała zachowywać się normalnie, udawać, że nic się nie wydarzyło. Wiedziała jednak, że to żaden kłopot. Robiła to przez całe życie.

Mówimy „Zasłona”, ale wiemy, że istnieje wiele Zasłon, a każda stanowi barierę między naszym światem i tym, co znajduje się poza nim. Niektórzy Szarzy pozostają odcięci za nimi wszystkimi, nigdy nie wracając do świata żywych. Innych można spostrzec w naszym świecie, jeśli ktoś zaryzykuje przyjęcie Pocisku Hirama, a jeszcze inni potrafią przeniknąć dalej do naszego świata, ukazywać się i być słyszanyymi przez zwykłych ludzi. Wiemy też, że istnieje wiele pograniczy, gdzie umarli mogą się kontaktować z żywymi, i od dawna podejrzewaliśmy, że istnieje wiele form życia po życiu. Naturalnym wnioskiem jest uznanie, że istnieje także wiele piekieł. Jeżeli jednak rzeczywiście istnieją, to pozostają nieprzeniknione dla nas, nieznanne i nieodkryte. Ponieważ nie ma odkrywcy tak nieustraszonego i śmiałego, żeby wejść na drogę do piekła, bez względu na to, czy jest wybrukowana.

z Życie Lete: procedury i protokoły Dziewiątego Domu

Quando ganeden esta acerrado, guehinam esta sempre abierto.
O ile Ogród Rajski może być zamknięty, o tyle Piekło jest zawsze otwarte.

powiedzenie ladino

32

WIOSNA

Alex spotkała się z Dawes w Klitce i razem przeszły Elm Street do Payne Whitney, do skrzyżowania, które Sandow wybrał na rytualne morderstwo, do miejsca, gdzie umarła Tara Hutchins. Pomyślna lokalizacja. Na obrzeżach pustej działki zaczęły wyrastać wiosenne kwiaty, bladofioletowe krokusy, drobniutkie białe dzwonki konwalii na wygiętych jakby z wahaniem szyjkach.

Alex z trudem opuszczała chronione magią miejsca. Przez całe życie widziała Szarych – Cichych, jak ich nazywała. Już nie byli cisi. Teraz ich słyszała. Umarła kobieta w koszuli nocnej śpiewała do siebie cicho przed szkołą muzyczną. Dwóch młodych mężczyzn w surdutach przysiadło na ogrodzeniu Starego Kampusu i plotkowało; lewe boki ich ciał zostały zwęglone dawno temu w pożarze. Nawet teraz musiała świadomie ignorować utopionego wioślarza, który biegał sprintem wokół ośrodka sportowego. Słyszała jego dyszenie. Jak to możliwe? Dlaczego duch miałby oddychać? To tylko wspomnienie tego, że potrzebował kiedyś powietrza? Stary nawyk? Czy odgrywanie człowieka?

Pokręciła głową. Znajdzie sposób, żeby ich uciszyć, albo zwariuje, próbując.

– Ktoś coś mówi? – zapytała Dawes, ścisząc głos.

Alex skinęła głową i potarła skronie. Nie wiedziała, jak naprawi ten konkretny problem, ale czuła, że musi dopilnować, aby pewni Szarzy nie zdali sobie sprawy, że nadal może ich słyszeć, bo tak wielu z nich rozpaczliwie pragnęło stworzyć więź ze światem żywych.

Nie widziała Northa od południa na przyjęciu u rektora. Może gdzieś oplakiwał to, czym stała się Daisy. Może stworzył grupę wsparcia po drugiej stronie Zasłony dla dusz, które przez wiele lat trzymała w niewoli. Alex nie miała pojęcia.

Obeszły parcelę, którą dziekan zamierzał przygotować dla Świętego Elma. Alex miała nadzieję, że kwiaty porosną całe miejsce śmierci Tary. Wysłała

nagranie z wyznaniem Sandowa do zarządu Lete. „To potworność” – zgodzili się. Groteska. Jednak przede wszystkim to rzecz niebezpieczna. Nawet jeśli rytuał Sandowa zawiódł, nie chcieli, żeby komukolwiek przyszło na myśl, że poprzez morderstwo można stworzyć węzeł, i nie chcieli, żeby Dom Lete został powiązany ze śmiercią Tary. Jeśli nie liczyć paru członków zarządu, wszyscy nadal uważali, że to Blake Keely odpowiada za morderstwa, i Dom Lete zamierzał tak to pozostawić.

Tym razem Alex nie zamierzała naciskać. Miała zbyt wiele nowych sekretów, których musiała strzec. Śmierć Sandowa została przypisana nagłemu masywnemu atakowi serca podczas przyjęcia powitalnego. Raptem kilka tygodni wcześniej zaliczył fatalny upadek. Znalazł się w bardzo stresującej sytuacji finansowej. Jego śmierć to powód do smutku, ale nie przyciągnęła szczególnej uwagi, zwłaszcza że Marguerite Belbalm zniknęła po tym, jak widziano ją rozmawiającą z nim na tym samym przyjęciu. Widziano ją po raz ostatni, gdy wchodziła do gabinetu rektora, żeby porozmawiać z dziekanem Sandowem. Nikt nie wiedział, gdzie przebywa, czy coś jej się stało. Policja New Haven rozpoczęła śledztwo.

Dom Lete nie wiedział, czym Belbalm była i w jaki sposób była powiązana ze śmiercią Sandowa. Alex dopilnowała, żeby nagranie skończyło się, zanim profesor weszła do gabinetu. Zarząd Lete nigdy nie usłyszał określenia „Wędrowcy Koła” i nigdy nie usłyszy, bo o ile Alex się nie myliła, mogła tworzyć węzły, kiedy tylko zechce – musiała jedynie polubić zjadanie dusz. Widziała, w jaki sposób Lete i stowarzyszenia działają. To nie była wiedza, której potrzebowali.

Dawes sprawdziła godzinę na zegarku i bez słowa obie zgodnie zostawiły Payne Whitney za sobą. Skręciły w Grove Street. Przed sobą Alex widziała zwaliste mauzoleum Księgi i Węża, ponury kawał białego marmuru otoczony przez czarne kute żelazo. Teraz, kiedy Alex wiedziała, że stowarzyszenie nie nasało na nią *glumy* i nie miało nic wspólnego ze śmiercią Tary, zaczęła się zastanawiać, czy nie pomogłoby jej odnaleźć duszy Tary. Chociaż nie rwała się, żeby przestąpić ich próg, i nie podobała jej się myśl, czego mogą zażądać od niej w zamian, Dom Lete był winien Tarze Hutchins chociaż namiastkę spoczynku. To jednak będzie musiało poczekać. Musiała zrobić jeszcze jedną rzecz, zanim będzie mogła pomóc Tarze. To było coś, czego może nie przeżyć.

Alex i Dawes przeszły przez masywną neogipską bramę prowadzącą na cmentarz, pod inskrypcją, która tak ubawiła Darlingtona: „UMARLI POWSTANĄ”.

Może nie tylko umarli, jeśli Alex się do tego przyłoży.

Minęły groby poetów, uczonych i rektorów Yale. Przy nowym nagrobku zebrał się mały tłum. Dziekan Sandow nadal obracał się w najlepszym towarzystwie.

Alex wiedziała, że mogą się tu spotkać dzisiaj wychowankowie Lete, ale jedyną osobą, jaką poznała, była Michelle Alameddine. Nosiła ten sam elegancki płaszcz, a ciemne włosy zebrała w schludny węzeł. Turner też się zjawił, ale tylko skinął do niej głową. Nie był z niej zadowolony.

– Zostawiłaś mi do znalezienia ciało? – warknął na nią, kiedy zgodziła się z nim spotkać w Il Bastone.

– Przepraszam – odpowiedziała Alex – ale naprawdę trudno ci coś kupić.

– Co się wydarzyło na przyjęciu?

Alex oparła się o kolumnę werandy. Miała wrażenie, że dom opiera się na niej.

– Sandow zabił Tarę.

– Pytam, co się jemu stało.

– Zawał.

– Akurat. Zabiłaś go?

– Nie musiałam.

Turner patrzył na nią przez długą chwilę i Alex cieszyła się, że chociaż raz mówi prawdę.

Od tamtego czasu nie rozmawiali, a Alex podejrzewała, że Turner ma dość jej i Lete. Nie miała do niego pretensji, ale odebrała to jak stratę. Lubiła mieć po swojej stronie dobrych ludzi.

Nabożeństwo było długie, ale oschłe, recytacja dokonań dziekana, wystąpienie rektora, kilka słów od szczupłej kobiety w granatowej sukience, byłej żony Sandowa, jak zdała sobie sprawę Alex. Szarych nie było dziś na cmentarzu. Nie lubili pogrzebów, a przy grobie nie było dość emocji, żeby przewyciężyli swoją niechęć. Alex nie miała nic przeciwko chwili spokoju.

Kiedy trumnę dziekana spuszczano do ziemi, Alex napotkała spojrzenie Michelle Alameddine i skinęła do niej lekko głową – to było zaproszenie. Razem z Dawes odsunęła się od grobu; miała nadzieję, że Michelle pójdzie za nimi.

Ruszyły krętą ścieżką w lewo, mijając grób Kingmana Brewstera, obsadzony oczarem, który co roku kwitł na żółto w czerwcu, prawie zawsze w jego urodziny, i tracił liście w listopadzie, w rocznicę jego śmierci. Gdzieś na tym cmentarzu pochowano pierwsze ciało Daisy.

Kiedy doszły do cichego narożnika między dwoma sfinksami, Dawes powiedziała:

– Jesteś pewna?

Włożyła na pogrzeb spodnie mamy i perłowe kolczyki, ale jej rudy kok przesunął się lekko na bok.

– Nie – przyznała Alex – ale potrzebujemy wszelkiej możliwej pomocy.

Dawes nie zamierzała się sprzeczać. Wylewnie przepraszała, kiedy Dom Lete skontaktował się z nią w domu jej siostry w Westport i usłyszała od Alex prawdziwą historię tego, co wydarzyło się na przyjęciu w domu rektora. Poza tym zależało jej na tej misji równie mocno jak Alex. Może nawet bardziej.

Alex zobaczyła, że Michelle idzie do nich przez trawę. Poczekwała, aż dojdzie, i zaczęła prosto z mostu:

– Darlington żyje.

Michelle westchnęła.

– To o to chodzi? Alex, zrozum...

– Jest demonem.

– Słucham?

– Nie umarł, kiedy został pożarty przez piekielną bestię, ale uległ przemianie.

– To niemożliwe.

– Posłuchaj – powiedziała Alex – spędziłam ostatnio sporo czasu na pograniczu...

– Dlaczego nie jestem zdziwiona?

– I za każdym razem słyszę... Nie wiem właściwie, czym są: czy to Szarzy? Jakieś potwory? Słyszę na ciemniejszym brzegu jakieś istoty, które nie są do końca ludzkie. Mówiły coś, czego nie mogłam do końca zrozumieć. Początkowo myślałam, że to imię i nazwisko. Desmond Jonathan albo Du Monde Jean. Ale to było coś innego.

– No i? – Twarz Michelle zastygła w sztywnym wyrazie obojętności, jakby walczyła ze sobą, żeby robić wrażenie otwartej.

– Demon dżentelmen. To właśnie mówiły. Mówiły o Darlingtonie. I myślę, że się bały.

„Darlington był dżentelmenem, a to nie są czasy dla dżentelmenów”. Alex w tamtej chwili ledwie pamiętała słowa dziekana, jednak kiedy słuchała nagrania rozmowy, utkwiły jej w głowie. Darlington, dżentelmen z Lete. Ludzie zawsze go tak opisywali. Alex sama tak o nim myślała, jakby jakimś cudem pojawił się w niewłaściwej epoce.

Mimo to potrzebowała czasu, żeby złożyć to w całość, zdać sobie sprawę, że istoty na ciemnym brzegu pomrukiwały te dziwne dźwięki za każdym razem, gdy Alex wspominała o Darlingtonie albo choćby o nim myślała. Nie były rozgniewane, lecz przestraszone, tak samo jak Szarzy bali się w noc wieszczenia. To rzeczywiście Darlington wypowiedział słowo „morderstwo” podczas rytuału

w nowiu, a nie jakieś jego echo. I oskarżał Sandowa, nie Alex. Człowieka, który zamordował Tarę. Człowieka, który próbował jego zamordować. Daniel Tabor Arlington, zawsze dżentelmen, chłopiec o nienagannyh manierach. Jednak czym się stał?

– To, co sugerujesz, nie jest możliwe – orzekła Michelle.

– Wiem, że tak to brzmi – odezwała się Dawes – ale ludzie mogą stać się...

– Znam ten proces, ale demony tworzy się w jeden sposób: poprzez połączenie siarki i grzechu.

– O jakim grzechu mówimy? – zapytała Alex. – Masturbacji? Błędach gramatycznych?

– Jesteś na cmentarzu – zbesztła ją Dawes.

– Zaufaj mi, Dawes, umarłym to wisi.

– Istnieje tylko jeden grzech, który może zamienić człowieka w demona – odpowiedziała Michelle. – Morderstwo.

Dawes była wstrząśnięta.

– On by nigdy, przenigdy...

– Sama kogoś zabiłaś – przypomniała jej Alex. „I ja też”. – „Nigdy” to duże słowo.

– Darlington? – zapytała z niedowierzaniem Michelle. – Pupilek nauczyciela? Rycerz w lśniącej zbroi?

– Nie bez powodu rycerze noszą miecze i nie zaczepiłam cię po to, żebyśmy mogły się posprzeczać. Nie chcesz pomóc, to w porządku. Wiem to, co wiem: piekielna bestia została wysłana, żeby zabić Darlingtona. On jednak przeżył i to coś wysrało go w piekło. Wyciągniemy go.

– Tak? – zapytała Michelle.

– Tak – odpowiedziała Dawes.

Zimny wiatr powiał przez cmentarne drzewa i Alex musiała powstrzymać dreszcz. Miała wrażenie, że zima nie chce odejść. Czuła, że to ostrzeżenie, jednak Darlington przebywał po drugiej stronie czegoś strasznego i czekał na ratunek. Sandow skradł złotego chłopca Lete z tego świata i ktoś musiał wykraść go z powrotem.

– Zatem – powiedziała, kiedy wiatr przybrał na sile, potrząsając świeżymi liśćmi na gałęziach, jęcząc wśród nagrobków jak żałobnik, który zatracił się w smutku. – Kto jest gotowy pójść do piekła?

Domy Zasłony

„STAROŻYTNA ÓSEMKA”

DOMY GŁÓWNE

Czaszka i Kości – 1832

Bogaci i biedni – wszyscy są równi w obliczu śmierci.

Nauki: haruspicyja i antropomancyja. Wrózenie za pomocą wnętrzości ludzkich i zwierzęcych.

Znani wychowankowie: William Howard Taft, George H.W. Bush, George W. Bush, John Kerry.

Zwój i Klucz – 1842

Mieście moc opromienić tę mroczną ziemię, mieście moc ożywić ten martwy świat.

Nauki: duru dweomer, magiczne portale. Projekcja astralna i eteryczna.

Znani wychowankowie: Dean Acheson, Gary Trudeau, Cole Porter, Stone Phillips.

Księga i Wąż – 1863

Wszystko w świecie się zmienia, nic się nie zatraci.

Nauki: Nakya albo mekromanteia, nekromancyja i przyzywanie kości.

Znani wychowankowie: Bob Woodward, Porter Goss, Kathleen Cleaver, Charles Rivkin.

Wilczy Łeb – 1883

Wilk jest siłą watahy, a wilka siłą – wataha.

Nauki: Teriantropia.

Znani wychowankowie: Stephen Vincent Benét, Benjamin Spock, Charles Ives, Sam Wagstaff.

Manuskrypt – 1952

Śnimy sen we śnie w nieskończonym kręgu iluzji.

Nauki: magia lustrzana i uroki.

Znani wychowankowie: Jodie Foster, Anderson Cooper, David Gergen, Zoe Kazan.

DOMY MNIEJSZE

Aurelian – 1910

Nauki: logomancja – wiązanie słowem i wróżenie za pomocą języka.

Znani wychowankowie: admirał Richard Lyon, Samantha Power, John B. Goodenough.

Święty Elmo – 1889

Nauki: tempestate atrium, magia żywiołów, przywoływanie burz.

Znani wychowankowie: Calvin Hill, John Ashcroft, Allison Williams.

Berzelius – 1848

Nauki: żadnych. Opiera się na tradycji zapoczątkowanej przez Jönsa Jacoba Berzeliusa, od którego nazwiska wzięła się nazwa stowarzyszenia, szwedzkiego chemika, który stworzył nowy system symboli chemicznych, dzięki czemu tajemne nauki alchemii odeszły w przeszłość.

Znani wychowankowie: żadnych.

Podziękowania

W Nowym Jorku: liczne podziękowania dla wszystkich z Flatiron Books, zwłaszcza Noaha Eakera, który bardzo wiele zaryzykował dla tej książki, dla Amy Einhorn, Lauren Bittrich, Patricii Cave, Marleny Bittner, Nancy Trypuc, Katherine Turro, Cristiny Gilbert, Keitha Hayesa, Donny Noetzel, Leny Shekhter, Lauren Hougen, Kathy Lord oraz Jennifer Gonzalez i jej drużyny. Dziękuję New Leaf Literary – Pouyi Shahbazianowi, Veronice Grijalva, Mii Roman, Hilary Pecheone, Meredith Barnes, Abigail Donoghue, Jordan Hill, Joe Volpe, Kelsey Lewis, Cassandrze Baim i Joannie Volpe, którzy wspierali mnie i ten pomysł od samego początku.

W New Haven i na Yale: dziękuję profesor Julii Adams z Hopper College, Angeli McCray, Jenny Chavira z *Association of Yale Alumni*, Judith Ann Schief z *Manuscripts and Archives*, Markowi Branchowi z *Yale Alumni Magazine*, Davidowi Heiserowi z *Yale Peabody Museum of Natural History*, Michaelowi Morandowi z *Beinecke* oraz Claire Zelli. Dziękuję rabinowi Shmully Hechtowi za dostęp do Anderson Mansion i Barbarze Lamb, która podzieliła się swoją rozległą wiedzą na temat Connecticut i towarzyszyła mi podczas wizyt na wielu cmentarzach. Niekiedy pozwoliłam sobie potraktować fakty z historii i geografii New Haven z pewną swobodą. Przede wszystkim stowarzyszenie Wolf's Head zbudowało swoją pierwszą siedzibę na Prospect Street w 1884 roku. Nowa siedziba na High Street powstała ponad czterdzieści lat później.

W Kalifornii: podziękowania dla Davida Petersona za pomoc z łaciną, Rachael Martin, Robyn Bacon, Ziggy'ego the Human Cannonball, Morgana Faheya, Michelle Chihara, Sarah Mesle, Josha Kamensky'ego, Gretchen McNeil, Julii Collard, Nadine Semerau, Marie Lu, Anne Grasser, Sabaa Tahir, Robin LaFevers, Victorii Aveyard i Jimmy'ego Freemana. Dziękuję także mamie, która pierwsza śpiewała mi w ladino, dziękuję Christine, Samowi, Emily, Ryanowi i Ericowi, dzięki któremu nie przestałam się śmiać, oraz manatowi.

Na uczelni: Stevenowi Testa, Laini Lipsher i mojej własnej watasze z 1997 roku.

Wszędzie poza tym: Maxowi Danielowi z UCLA i Simone Salmon za ich pomoc z sefardyjskimi balladami, Kelly Link, Danielowi José Olderowi, Holly Black, Robin Wasserman, Sarah Rees Brennan, Rainbow Rowell, Zoraidzie Córdova, Cassandrze Clare, Ally Carter, Carrie Ryan, Marie Rutkoski, Alex Bracken, Susan Dennard, Gamynne Guillote i Michaelowi Castro.

Wiele książek pomogło mi stworzyć świat *Dziewiętego Domu: Yale in New Haven: Architecture and Urbanism* Vincenta Scully; *Yale University: An Architectural Tour* Patricka Pinnella, *Go to Your Room: A story of undergraduate Societies and Fraternities at Yale* Loomisa Havemeyera, *Yale: A History* Brooksa Mathera Kelleya; *The Power of Privilege: Yale and America's Elite Colleges* Josepha A. Soaresa; *Skulls and Keys: The Hidden History of Yale's Secret Societies* Davida Alana Richardsa; *Ebony and Ivy: Race, Slavery, and the Troubled History of America's Universities* Craiga Stevena Wildera; *Carriages and Clocks, Corsets and Locks: The Rise and Fall of an Industrial City* Prestona Maynarda i Marjorie B. Noyes; *New Haven: A Guide to Architecture and Urban Design* Elizabeth Mills Brown; *Model City Blues: Urban Space and Organized Resistance in New Haven* Mandi Isaacs Jackson oraz *The Plan for New Haven* Fredericka Law Olmsteda i Cass Gilbert. Znalazłam balladę *La Moza y El Huerco* w artykule *Sephardic Songs of Mourning and Dirges* Palomy Díaz-Mas. Dziękuję także organizacji *Pan-Hispanic Ballad Project*.

O autorce

Leigh Bardugo to autorka bestsellerów z pierwszych miejsc listy New York Timesa, powieści i opowiadań fantasy, w tym Cienia i kości oraz Szóstki Wron. Urodziła się w Jerozolimie, dorastała w Kalifornii i ukończyła uniwersytet Yale. Obecnie mieszka i pisze w Los Angeles.

www.leighbardugo.com

